

Edward P. Jones

Znany świat

Z angielskiego przełożył Witold Kurylak

MOJEMU BRATU JOSEPHOWI V JONESOWI

***i, jeszcze raz, PAMIĘCI NASZEJ MATKI JEANETTE S. M. JONES,
która w lepszym świecie mogłaby osiągnąć znacznie więcej***

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym wyrazić wdzięczność następującym osobom: Dawn L. Davis, mojej redaktorce, która wierzyła we mnie od samego początku, Lii Coyne (babci Stevena Mearsa), kobiecie niewielkiej postury, stojącej nocami na brzegu i jak najwyżej wznoszącej latarnię, Shirley Grossman (żonie zmarłego Milтона), w niektóre noce przejmującej latarnię, dzięki czemu Lii mogła się położyć tam, gdzie stała, i trochę odpocząć, Marii Guarnaschelli, redaktorce zbioru *Lost in the City*, fundacji Lannana oraz Jeanie J. Kim, Eve Shelnutt, która nie bacząc na wodę, z każdą godziną podnoszącą się na jej brzegu, zawsze była gotowa odebrać telefon, Ericowi Simonoffowi, mojemu agentowi, który wierzył zapewne jeszcze przed pierwszym słowem, oraz Johnowi Edgarowi Widemanowi, człowiekowi życzliwemu i wspaniałomyślnemu.

Moja dusza często rozmyślała nad tym, jak też sobie poradziłem...

1

Związek. Ciepło rodzinne. Burzowa pogoda

Tego wieczoru, kiedy odszedł jego pan, pracował jak zwykle jeszcze długo po tym, gdy pozwolił innym dorosłym, między innymi żonie, zakończyć dzień pracy i odesłał ich, głodnych i zmęczonych, z powrotem do chat. Młodszym, wśród nich swojemu synowi, pozwolił zejść z pola mniej więcej godzinę przed dorosłymi, aby przygotowali spóźnioną kolację i, jeśli czas na to pozwoli, pobawili się przez kilka minut w ostatnich tego dnia promieniach słońca. Kiedy w końcu on sam, Moses, oswobodził się z wysłużonej i zmurszałej uprzęży, jaka łączyła go z najstarszym mułem jego pana, po słońcu pozostało tylko dziesięciocentymetrowe wspomnienie czerwonej pomarańczy, która leżała wcześniej na nieruchomych falach horyzontu między dwiema górami - po lewej i po prawej. Spędził na polu pełne czternaście godzin. Przed zejściem z pola zatrzymał się na chwilę w spowijającej go wieczornej ciszy. Muł drżał na całym cieple, pragnąc powrócić do domu i odpocząć. Moses zamknął oczy, schylił się i wzięwszy szczyptę ziemi, włożył ją do ust, nawet się nie zastanawiając nad tym, co robi, jakby to był tylko okruszek chleba z mąki kukurydzianej. Przeżuwał ziemię w ustach, a później, odchyliwszy głowę do tyłu, przełknął ją. Kiedy otworzył oczy, zdążył jeszcze zobaczyć cienki paseczek słońca gasnący w granacie nieba i po chwili zanikający zupełnie. Był jedynym mężczyzną wśród zamieszkujących tę krainę niewolników i wolnych, który jadł ziemię, ale gdy niewolnice, zwłaszcza te w ciąży, jadły ją z jakichś niezrozumiałych powodów - aby pozyskać to coś, czego ich ciałom nie dawały kukurydziane ciastka pieczone w popiele, jabłka czy też słonina - on jadł ją nie tylko dlatego, żeby poznać zalety i niedostatki pola, lecz także dlatego, że jedzenie jej dawało mu poczucie więzi z tą jedyną rzeczą na tym jego małym świecie, która znaczyła prawie tyle, co jego własne życie.

Był lipiec, a smak lipcowej ziemi jeszcze bardziej przypominał słodzony metal niż w czerwcu czy w maju. Z dojrzewających upraw uwalniało się metaliczne życie, które zaczynało wyczerpywać się dopiero w połowie sierpnia, a w porze żniw zupełnie już znikało,

ustępując miejsca cierpkiej stęchliźnie, którą kojarzył z nadejściem jesieni i zimy, z końcem związku, jaki się rodził z pierwszym posmakowaniem ziemi jeszcze w marcu, przed pierwszą wiosenną ulewą. Tego wieczoru, kiedy słońce już zaszło, a księżyc się nie pojawiał, objęty miłym uściskiem ciemności podążył na koniec rzędu, trzymając muła za ogon. Na polanie puścił ogon i mijając muła, poszedł w kierunku stajni.

Zwierzę ruszyło za nim, a kiedy Moses już je oporządził przed nocą i wyszedł na zewnątrz, poczuł w powietrzu zapach deszczu. Wdychał powietrze i czuł, jak przepaja go ten zapach. Uśmiechnął się, sądząc, że jest sam. Ukląkł, aby być bliżej ziemi, i oddychał coraz głębiej, chłonąc więcej i więcej. W końcu, gdy woń zaczęła zanikać, podniósł się i po raz trzeci w tym tygodniu odwrócił się tyłem do ścieżki prowadzącej do chat, w których mieszkali jego ludzie, a także do własnej chaty, z jego kobietą i synem. Zona знаła go już na tyle, aby nie czekać, że wróci i zje z nimi posiłek. W księżycowe noce widział dym unoszący się nad tym całym światem, jaki tworzyły chaty ustawione wzdłuż wąskiej dróżki - dom, pożywienie, odpoczynek i to wszystko, co w wielu chatach uchodziło za życie rodzinne. Zwrócił głowę lekko w prawo i zdawało mu się, że słyszy bawiące się dzieci, ale kiedy odwrócił ją z powrotem, jeszcze wyraźniej doszedł go głos ostatniego tego dnia ptaka, jego wieczorny świergot w małym lasku leżącym daleko po lewej.

Ruszył prosto przed siebie, na najdalszy kraniec pola kukurydzy, w kierunku skrawka lasu, bezwartościowego od dnia, gdy jego pan kupił go od białego człowieka, który zbankrutował i wrócił do Irlandii.

- Bardzo dobrze mi się tam wiodło - kłamał ten człowiek swoim ziomkom po powrocie do Irlandii, gdy jego umierająca żona pochylała się nad nim. - Ale tęskniłem za wami wszystkimi i za bogactwem mojej ojczyzny.

Jednak ten skrawek lasu, mierzący nieco więcej niż hektar, rodził jakąś miękką, błękitną trawę, której nie tknęłyby żadne zwierzęta, oraz wiele drzew, których nikt nie potrafił rozpoznać. Na chwilę przed tym, jak Moses wszedł do lasu, zaczęło padać i z każdym jego krokiem deszcz wzmagał się coraz bardziej. W głębi lasu strugi deszczu lały się już między drzewami i przez ogromne, letnie liście, a chwilę później Moses zatrzymał się i wyciągnąwszy ręce, zbierał w nie wodę, która omywała mu twarz. Później rozebrał się do naga i położył na ziemi. Deszcz zaczął wlewać mu się do nosa, zwinął więc koszulę i podłożył ją pod głowę, a deszcz spływał po jego pochylonej twarzy. Kiedy był już starym człowiekiem i reumatyzm skuł łańcuchem jego ciało, spoglądał w przeszłość i winą za te łańcuchy obarczał takie wieczory, jak ten, oraz noce, kiedy to zatracał się zupełnie i zasypiał, a przychodził do siebie dopiero rankiem, pokryty rosą.

Ziemia nasiąkła wilgocią. Liście zdawały się łagodzić uderzenia ciężkich kropli deszczu, które lekko spadały na jego ciało i twarz, jak delikatne stukanie palcami. Otworzył usta - nieczęsto mógł obcować w ten sposób z deszczem. Przez cały czas miał otwarte oczy i nie odwracając głowy, chłonał tyle, ile tylko potrafił, a potem wyciągnął swój interes i zrobił to. Kiedy już skończył, po kilku zaledwie ruchach, zamknął oczy, odwrócił się na bok i zapadł w drzemkę. Mniej więcej pół godziny później deszcz nagle przestał padać, pogrążając wszystko w ciszy, która go obudziła. Podniósł się na nogi, jak zawsze niechętnie. Całe ciało oblepiały mu błoto, liście i inne śmieci, zaraz bowiem za deszczem do lasu przybył wiatr. Wytarł się spodniami i przypomniał sobie, że kiedy ostatnim razem był tu w deszczu, padało tak długo, że woda spłukała go do czysta. Ogarnęło go wówczas jeszcze większe szczęście, śmiał się i wirował w kółko, w czymś, co, patrząc z boku, można by nazwać tańcem. Nie wiedział, że Alice, kobieta, o której powszechnie sądzono, że postradała zmysły, patrzyła w tym momencie na niego, napotkawszy go po raz pierwszy od sześciu miesięcy włóczenia się nocami. Gdyby nawet wiedział o jej obecności, do głowy by mu nie przyszło, że była na tyle świadoma, aby móc zrozumieć, co tu zaszło, zważywszy, jak mocno, jak opowiadano, kopnął ją muł na plantacji w odległym kraju, którego nazwę jedynie ona pamiętała. W chwilach, gdy była przy zdrowszych zmysłach, co zdarzało się rzadko od czasu, gdy kupił ją pan Mosesa, Alice potrafiła dokładnie opisać tę niedzielę, kiedy to muł kopnął ją w głowę i wygnał z niej cały zdrowy rozsądek. Nikt jej nie wypytywał; jej historia była tak żywa, tak smutna - jeszcze jeden niewolnik pozbawiony wolności, a teraz jej umysł był tak pomieszany, że wędrowała po nocy jak krowa, która zgubiła dzwonek. Nikt nie wiedział zbyt wiele o miejscu, z którego pochodziła, nie wiedziano, że jej poprzedni właściciel panicznie obawiał się mułów i nigdy nie zgodziłby się trzymać tych zwierząt w swoim gospodarstwie, a nawet wygnał ze swojego małego światka wszystkie obrazy i książki o mułach.

Moses wyszedł z lasu i wkroczywszy w jeszcze większe ciemności, ruszył w kierunku chat, nie potrzebując księżycy, który miałby oświetlać mu drogę. Miał trzydzieści pięć lat i przez cały ten czas zawsze był czymś niewolnikiem, niewolnikiem białego człowieka, później niewolnikiem innego białego człowieka, a teraz, od dziesięciu blisko lat, niewolnikiem-nadzorcą u czarnoskórego pana.

*

Caldonia Townsend, żona jego pana, jedynie drzemała przez ostatnie sześć dni i nocy, kiedy jej mąż mozolnie zmierzał ku śmierci. Lekarz białych ludzi odwiedził ich pierwszego dnia rano, ze względu na matkę Caldonii, która wierzyła w magię białych ludzi, ale orzekł jedynie, że pan Mosesa, Henry Townsend, przechodzi zły okres i wkrótce powróci do

zdrowia. Dolegliwości białych i czarnych ludzi różniły się, a człowiek, który specjalizował się w chorobach jednych, wcale nie musiał wiedzieć zbyt wiele o tych drugich. Doktor uważał, że Caldonia powinna to rozumieć bez potrzeby mówienia jej o tym. Jeśli jej mąż umierał, to lekarz nic o tym nie wiedział. Wyszedł w czasie największego upału, po otrzymaniu od Caldonii 75 centów - 60 centów za rzucenie okiem na Henrygo i 15 centów za fatygę i wykorzystanie powozu oraz jednookiego konia.

Henry Townsend - trzydziestojednoletni Murzyn, właściciel trzydziestu trzech niewolników i ponad dwudziestu hektarów ziemi, dzięki czemu zajmował dużo wyższą pozycję w hierarchii społecznej niż wielu innych, zarówno czarnych, jak i białych mieszkańców hrabstwa Manchester w stanie Wirginia - większą część swoich ostatnich dni spędził w łóżku oparty na poduszkach, jedząc wodnistą owsiankę i patrząc przez okno na ziemię, po której, jak ciągle powtarzała jego żona Caldonia, miał znowu chodzić i jeździć konno. Ale Caldonia była młodziutka i pełna naiwnego optymizmu, a w swoim życiu poznała tylko jedną śmierć: śmierć jej ojca, skrytobójczo otrutego przez własną żonę. Czwartego dnia swojej drogi ku śmierci Henry poczuł, że coraz trudniej jest mu siedzieć, i się położył. Tę noc spędził na podtrzymywaniu żony na duchu.

- Nic mnie nie boli - powtarzał to wiele razy tego dnia, w lipcu 1855 roku. - Nic mnie nie boli.

- A powiedziałaś mi, gdyby bolało? - zapytała Caldonia. Była już prawie trzecia nad ranem, mniej więcej dwie godziny po tym, jak zwolniła na wieczór Lorette, osobistą pokojówkę, która pojawiła się w jej życiu wkrótce po zawarciu małżeństwa z Henrym.

- Nie mam w zwyczaju nie mówić ci prawdy - odrzekł Henry tego czwartego wieczoru. - Zatem nie mogę zacząć teraz.

W wieku lat dwudziestu i dwudziestu jeden otrzymał pewne wykształcenie, wystarczające do tego, aby móc docenić taką żonę jak Caldonia, kolorowa kobieta, która urodziła się jako wolny człowiek i kształciła się przez całe swoje życie. Małżeństwo zajmowało jedno z ostatnich miejsc na liście rzeczy, jakie planował w życiu zrobić.

- Kochanie, dlaczego nie położysz się spać? - odezwał się Henry. - Czuję, że sen się zbliża i nie musisz czekać, aż tu dotrze.

Znajdował się w pomieszczeniu, które pracujący w domu niewolnicy nazywali „pokojem chorych i powracających do zdrowia”, dokąd przeniósł się pierwszego dnia choroby, aby zapewnić Caldonii nieco spokoju w nocy

- Jest mi tu zupełnie dobrze - powiedział. Noc robiła się chłodniejsza, a on miał na sobie świeżą bieliznę nocną, ponieważ przepocił tę, którą założono mu około godziny dziewiątej.

- Poczytać ci? - zapytała Caldonia, okryta koronkowym szalem, który Henry zobaczył kiedyś w Richmond. Zapłacił białemu chłopcu, aby ten wszedł do sklepu dla białych i kupił mu go, ponieważ do sklepu nie wpuszczano czarnoskórych klientów.

- Coś z Milтона? A może z *Biblii*?

Siedziała zwinęta w przystawionym do jego łóżka, wielkim fotelu z końskiego włosia. Po obu stronach łóżka stały stoliki nocne, na których starczało miejsca tylko na książkę i kandelabr na trzy świece, grube jak kobieca ręka. Kandelabr po prawej był zgaszony, a w stojącym po lewej paliła się tylko jedna świeca. W palenisku nie było ognia.

- Zmęczył mnie już Milton - powiedział Henry - A *Biblia* bardziej mi odpowiada za dnia, kiedy jest słońce i mogę podziwiać to wszystko, co dał mi Bóg.

Dwa dni wcześniej powiedział rodzicom, że czuje się już lepiej i żeby pojechali do domu. Rzeczywiście odczuwał niewielką poprawę, ale następnego dnia, kiedy jego rodzice wrócili już do siebie, Henryemu znowu się pogorszyło. On i jego ojciec już od ponad dziesięciu lat żyli w pewnym oddaleniu od siebie, ale ojciec był na tyle silnym mężczyzną, aby odsunąć swoje rozczarowanie synem, gdy widział, że choruje członek jego rodziny. Ojciec odwiedzał Henryego na plantacji jedynie wtedy, gdy syn miał problemy, czyli może siedem razy w ciągu tych mniej więcej dziesięciu lat. Gdy przyjeżdżała sama matka Henryego, niezależnie od tego, czy czuł się źle, czy dobrze, zatrzymywała się w jego domu, w pokoju dwa piętra poniżej swojego syna i Caldonii. Tego dnia, gdy Henry odesłał ich do domu, rodzice weszli po schodach i ucałowali na pożegnanie jego uśmiechniętą twarz, matka w usta, a ojciec w czoło, jak zawsze od czasu, kiedy Henry był jeszcze chłopcem. Jeśli rodzice przyjeżdżali razem, nigdy nie spali w domu, który zbudował wraz z niewolnikiem Mosesem, woleli zatrzymywać się w pierwszej lepszej nie zamieszkannej chacie wśród niewolniczych zabudowań. Tak też uczynili, gdy przyjechali pochować swoje jedyne dziecko.

- Mam coś zaśpiewać? - zapytała Caldonia i wyciągniętą ręką dotknęła jego dłoni spoczywającej na krawędzi łóżka. - Czy mam śpiewać, aż zbudzą się ptaki?

Była wykształcona przez wyzwoloną czarnoskórą kobietę, która z kolei kształciła się w Waszyngtonie i w Richmond. Ta kobieta, Fern Elston, trzy dni wcześniej wróciła na swoją plantację po odwiedzinach w domu Townsendów, aby tam dalej dorabiać sobie na życie w hrabstwie Manchester, ucząc wyzwolone czarne dzieci, których rodziców było stać na opłacenie nauki. Caldonia powiedziała:

- Sądziysz, że słyszałeś wszystkie moje piosenki, Henry Townsend, ale to nieprawda. Naprawdę nie słyszałeś.

Fern Elston wyszła za mąż za mężczyznę, który podobno miał być rolnikiem, ale celem jego życia był hazard i - jak Fern przyznawała sama przed sobą w tych momentach, gdy była w stanie na krótko zapomnieć o swojej miłości i zobaczyć męża takim, jakim był naprawdę - miała wrażenie, że wiedzie on ich długą drogą, która skończy się w przytułku dla ubogich. Fern i jej mąż byli właścicielami dwunastu niewolników. W 1855 roku w hrabstwie Manchester w stanie Wirginia żyły trzydzieści cztery wolne murzyńskie rodziny, składające się z matki, ojca i przynajmniej jednego dziecka, a osiem z tych wolnych rodzin miało niewolników i wszystkie osiem wiedziało, co się dzieje u innych. Po wybuchu wojny secesyjnej liczba czarnoskórych właścicieli niewolników w hrabstwie Manchester spadła do pięciu, wliczając w to jednego niewiarygodnie posępnego człowieka, który, według amerykańskiego spisu ludności z 1860 roku, prawnie posiadał własną żonę i piątkę dzieci oraz trójkę wnuków. Zgodnie ze spisem ludności z 1860 roku w hrabstwie Manchester było 2670 niewolników, ale prowadzący spis bogobojny urzędnik Stanów Zjednoczonych pokłócił się z żoną tego dnia, gdy wysyłał swoje sprawozdanie do Waszyngtonu, i wszystkie jego wyliczenia były obarczone błędem, ponieważ zapomniał przenieść jedynekę. Henry powiedział:

- Nie, kochanie. Lepiej zachowaj śpiewanie na inną okazję. Jedyne, czego naprawdę pragnął, to kochać ją, wstać z łóżka boleści i o własnych siłach pójść wraz z żoną do łóżka, w którym byli szczęśliwi przez całe małżeństwo. Kiedy umierał, późnym wieczorem siódmego dnia, Fern Elston towarzyszyła Caldonii przy jego łóżu śmierci.

- Zawsze uważałam, że postąpiłaś słusznie, wychodząc za niego - powiedziała Fern w pierwszym odruchu żalu po Henrym, jej dawnym uczniu. Po wojnie secesyjnej Fern powie autorowi polemicznych broszur, białemu imigrantowi z Kanady, że Henry był najbystrzejszym z jej uczniów, kimś, kogo mogłaby uczyć za darmo. Loretta, służąca Caldonii, również była obecna przy śmierci Henry'ego, ale zachowała ciszę. Jedyne po chwili zamknęła oczy swojego pana i przykryła jego twarz kołdrą, prezentem gwiazdkowym od trzech niewolnic, robionym przez nie czternaście dni.

*

Moses poszedł dróżką między zabudowaniami niewolników w stronę swojej chaty, położonej najbliżej domu, w którym mieszkali jego pan i pani. Obok chaty Mosesa, na wilgotnym pniaku przed własną chatą, siedział Elias i strugał kawałek drewna sosnowego, z którego miał powstać korpus lalki dla jego córeczki. To była pierwsza rzecz, jaką miał jej dać.

Na gwoździu obok drzwi wisiała lampa, ale światło było słabe i pracował prawie na ślepo, zgięty na tyle, na ile tylko pozwalało mu jego własne ciało. Ale jego córka i dwóch synów, z których jeden miał dopiero trzynaście miesięcy, byli dla niego wszystkim, i w jakiś niewiadomy sposób nóż właściwie ciął sosnowe drewno, zaczynając coś, z czego miało powstać prawe oko lalki.

Kiedy Moses znalazł się kilka kroków przed Eliaszem, odezwał się:

- Rano masz spotkanie z mułem.

- Wiem - odpowiedział Elias. Moses się nie zatrzymał. - Nikomu tu krzywdy nie robię - dodał Elias. - Tylko majstruję przy kawałku drewna.

W tym momencie Moses stanął i powiedział:

- Możesz sobie nawet naprawiać boski tron, nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałem, że rano masz się spotkać z tym mułem. Ten muł teraz śpi, może byś więc poszedł w jego ślady.

Elias nic nie odpowiedział i nie poruszył się. Moses rzekł:

- Człowieku, nawet dwie minuty nie minęły, a ty już jakbyś chciał o tym zapomnieć.

Elias był dla Mosesa sporym strapieniem od dnia, w którym Henry Townsend przywiózł go z targu niewolników, jaki odbywał się na wolnym powietrzu dwa razy w roku, na wiosnę i jesienią po żniwach, na wschodnim skraju miasta Manchester. Tego właśnie dnia, gdy Henry kupił Eliasa, biali ludzie rozmawiali o postawieniu stałej budowli przeznaczonej na targ niewolników - tego roku wiosną, gdy odbywał się targ, deszcz padał codziennie, wielu białych przeziębiło się więc, a jedna kobieta zmarła na zapalenie płuc. Ale jesienią Bóg był łaskawszy i każdego dnia pogoda sprzyjała kupowaniu i sprzedawaniu niewolników, i nikt ani słowem nie wspominał o stawianiu stałej konstrukcji, tak dobry był dach, jaki sam Bóg zapewnił na targ. Moses odezwał się do Eliasa:

- Jeśli nie będziesz tu na mnie czekał, gdy wstanie słońce, nawet *massa* Henry ci nie pomoże.

Ruszył dalej, do swojej chaty. Moses był pierwszym niewolnikiem kupionym przez Henrygo Townsenda - 325 dolarów i akt kupna-sprzedaży od białego człowieka, Williama Robbinsa. Minęły ponad dwa tygodnie, zanim Moses zrozumiał, że nikt z niego nie kpi i że naprawdę czarny człowiek, o dwa tony ciemniejszy niż on sam, był właścicielem jego i każdego rzucanego przez niego cienia. W pierwszych tygodniach po sprzedaży, kiedy spał w jednej chacie z Henrym, Moses rozmyślał nad porządkiem tego świata - jakby mało było tego, że żył na świecie, w którym został niewolnikiem białego człowieka, to jeszcze Bóg musiał kręcić tym światem i wirować nim we wszystkie strony, skoro pozwalał czarnoskórym być

właścicielami ludzi swojej rasy. Czy w ogóle Bóg jeszcze zajmował się sprawami tego świata?

Elias jedną stopą startł wióry z drugiej i ponownie zabrał się za struganie. Miał problemy z prawą nogą lalki - chciał, żeby była to figurka biegnącej postaci, ale kolano nadal nie chciało się zginać w odpowiedni sposób. Patrząc na efekt jego pracy, ktoś mógłby pomyśleć, że była to tylko stojąca nieruchomo lalka, a tego nie chciał. Martwił się, że jeśli wkrótce kolano się nie zegnije, będzie musiał zaczynać od początku z nowym kawałkiem drewna. Znalezienie odpowiedniego może być trudne. Ale przecież prawa noga jego własnej żony, Celeste, również nie zginała się tak, jak powinna, może więc na dłuższą metę u lalki nie miało to specjalnego znaczenia. Celeste kulawa od pierwszego kroku, jaki zrobiła na ziemi.

Moses wszedł do chaty, w której powitały go ciemności i wygasłe palenisko. Na dworze lampa Eliasa chwiała się na wszystkie strony, a potem jeszcze bardziej przygasła. Elias nigdy nie wierzył, że istnieje Bóg kierujący się zdrowym rozsądkiem, w związku z tym nigdy nie kwestionował świata, w którym kolorowi ludzie mogli być właścicielami niewolników, i gdyby nawet w tej chwili, w zupełnych niemal ciemnościach, wyrosły mu skrzydła, tego również by nie zakwestionował. Po prostu dalej robiłby lalkę. W chacie Eliasa spała jego kulawa żona i trójka dzieci, a w palenisku było tyle żaru, żeby wystarczyło na całą noc, która znowu zapowiadała się zimna. Elias zostawił prawą nogę lalki w spokoju i powrócił do głowy, którą uważał już za tak idealną, jak wszystko, co zostało stworzone przez człowieka. Radził sobie dużo lepiej niż w czasach, gdy strugał pierwszy grzebień dla Celeste. Do główki lalki chciał doczepić wąsy kukurydzy, ale potrzebne mu ciemne wąsy miały być gotowe dopiero wczesną jesienią. Musiały więc wystarczyć niedojrzałe.

Moses nie był głodny, nie miał zatem pretensji do żony i chłopca o panujące ciemności. Położył się na sienniku obok żony, Priscilli. Ich syn leżał po jej drugiej stronie, pochrapując z lekka. Priscilla obserwowała męża, który powoli zapadał w sen, a gdy już usnął, wzięła jego dłoń i przyłożywszy ją do swojej twarzy, chłonęła zapach zewnętrznego świata, jaki przyniósł wraz z sobą, i dopiero wtedy sama zaczęła szukać snu.

*

Tego ostatniego dnia - dnia, w którym zmarł Henry Townsend - Fern Elston przyjechała wcześniej, w amerykańskie powożonym przez sześćdziesięcioletniego niewolnika odziedziczonego przez jej męża po ojcu.

Fern i Caldonia spędziły kilka godzin w saloniku, popijając napój przyrządzany przez matkę Caldonii z mleka i miodu. W tym czasie na górze przy Henrym kolejno siedziały kucharka Zeddie i Loretta, służąca Caldonii. Mniej więcej o siódmej wieczorem Caldonia

zapropowała Fern, żeby położyła się spać, ale Fern miała problemy z zaśnięciem i powiedziała Caldonii, że mogą wspólnie posiedzieć przy Henrym. Fern była nauczycielką nie tylko Caldonii, ale również jej brata bliźniaka. W hrabstwie Manchester nie było zbyt wielu dobrze wykształconych wolnych kobiet, z którymi mogłaby spędzać wolny czas, dlatego Fern zaprzyjaźniła się z kobietą, która, będąc jeszcze dziewczynką, w słowach Williama Szekspira znajdowała aż za dużo powodów do chichotania.

Obie kobiety poszły na górę około ósmej i Caldonia powiedziała Lorecie, że jeśli będzie potrzebna, to ją zawoła, na co Loretta skinęła głową, wyszła z pokoju i poszła na dół, do swojego małego pokoiku na końcu korytarza. Pozostała trójka, Fern, Henry i Caldonia, zaczęła rozmawiać o upale w Wirginii i o tym, jak taki upał potrafi człowieka zmęczyć. Henry był raz w Północnej Karolinie i uważał, że skwar w Wirginii jest nieporównywalny. Tego ostatniego wieczoru znowu było dosyć chłodno. Henry nie musiał zmieniać ubrania, które nałożył o szóstej. Przed dziewiątą usnął, ale wkrótce się obudził. Jego żona rozprawiała z Fern o wierszu Thomasa Graya. Wydawało mu się, że wie, o jakim wierszu mówią, ale gdy w końcu zdołał znaleźć słowa, które pozwoliłyby mu przyłączyć się do rozmowy, do pokoju wkroczyła śmierć i zbliżyła się do niego - Henry wchodził po schodach do małego domku, z każdym krokiem coraz mocniej zdając sobie sprawę z tego, że nie był jego właścicielem, lecz tylko go wynajmował. Był bardzo rozczarowany; słyszał za sobą kroki, a śmierć powiedziała mu, że to nadchodzi Caldonia, aby uświadomić sobie swoje własne rozczarowanie. Ten, kto wynajął mu dom, obiecał tysiąc pokoi, ale gdy Henry przechodził przez pomieszczenia, nie znalazł nawet czterech, a wszystkie były identyczne i wszędzie dotykał głową sufitu.

- Tak nie można - powtarzał sobie Henry, odwracając się, aby podzielić się swoimi myślami z żoną i powiedzieć: „Żono, żono, spójrz, co oni narobili, co narobili”.

A wtedy Bóg powiedział:

- Nie żono, Henry, ale wdowo.

Stało się to kilka minut przed tym, jak Caldonia i Fern dowiedziały się, że Henry odszedł, kiedy jeszcze wciąż rozmawiały o białej wdowie, właścicielce dwóch niewolników mieszkającej na farmie leżącej w odległej części Wirginii, w pobliżu Montross, gdzie najbliżsi biali sąsiedzi byli oddaleni o wiele mil. Ta wiadomość o młodej kobiecie, Elizabeth Marson, pochodziła już sprzed ponad roku, ale dopiero teraz docierała do mieszkańców hrabstwa Manchester i kobiety siedzące w pokoju z martwym Henrym dyskutowały, jakby to wszystko przydarzyło się Elizabeth tego właśnie ranka. Po śmierci męża tej białej kobiety jej niewolnice, Mirtha i Destiny, opanowały farmę i całymi miesiącami więziły tę kobietę,

zameczając ją na śmierć pracą ponad siły i zezwalając jej tylko na kilka godzin odpoczynku dziennie, aż włosy zupełnie jej posiwiały, a z porów skóry płynęła krew. Caldonia powiedziała, że z tego, co zrozumiała, Mirthę i Destiny sprzedano, aby zrekompensować straty Elizabeth i aby mogła się osiedlić daleko od pełnej bolesnych wspomnień farmy, ale Fern uważała, że niewolnice zostały stracone zgodnie z prawem. Kiedy w końcu Elizabeth uratowano, nie pamiętała już, że to ona była właścicielką majątku, i minęło dużo czasu, zanim ponownie się tego nauczyła. Caldonia, zauważywszy bezruch swojego męża, podeszła do niego. Potrząsnęła nim i krzyknęła. Loretta weszła po cichu do pokoju i z komody wzięła lusterko. Caldonia, patrząc, jak Loretta podsuwa lusterko do ust Henryego, miała wrażenie, że on po prostu zemdlał i jeśli tylko wystarczająco głośno go zawoła, przyłoży usta dość blisko jego ucha i zawoła głośno na tyle, że usłyszą ją wszyscy niewolnicy w swoich chatkach, on może się odwrócić i znowu będzie jej mężem. Wzięła rękę Henryego w swoje dłonie i przycisnęła ją do policzka. Zauważyła, że dłoń była ciepła, i pomyślała, że może tli się w nim wystarczająco dużo życia, aby jeszcze zmienił zdanie. Caldonia miała dwadzieścia osiem lat i była bezdzietna.

*

Tej nocy, kiedy zmarł Henry, Alice - kobieta pozbawiona rozumu, która patrzyła na samotnego Mosea w lesie - była własnością Henryego i Caldonii od niecałych sześciu miesięcy. Już od pierwszego tygodnia zaczęła włóczyć się nocami po polach, śpiewając i mówiąc do siebie, a także robiąc rzeczy, od których czasami włos się jeżył na karku członkom patroli poszukujących zbiegłych niewolników. Opluwała i klepała ich konie za kłamstwa, jakie o niej opowiadali jej sąsiadom, a zwłaszcza najmłodszemu dziecku Eliasa, „maluszkowi”, z którym, jak powiedziała patrolującym, miała zamiar pobrać się po żniwach. Łapała mężczyzn za krocze i błagała ich, aby z nią tańczyli, ponieważ jej wybranek ciągle udawał, że jej nie zna. Zwracała się do mężczyzn, używając zmyślonych imion, i podawała im dzień i godzinę, w której Bóg zabierze ich do nieba, przeciągnie wszystkich bez wyjątku członków ich rodziny przez nieboskłon i zrzuci ich do piekła, nie namyślając się dłużej niż kobieta wrzucająca truskawki do miseczki ze śmietaną.

W te pierwsze dni po zakupie Alice mężczyźni patrolujący okolicę zaciągali ją z powrotem na plantację Henryego, jeden z nich podjeżdżał do werandy, a następnie walił kolbą rewolweru w drzwi domu czarnoskórego, budząc Henryego i Caldonię.

- Twoja własność biega tu bezpańska, a ty śpisz, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku! - krzyczeli do niego, a przed nimi na ziemi leżała chichocząca Alice. - Wylaż i sprawdź, co się dzieje z twoją własnością.

Henry wychodził z domu i po raz kolejny wyjaśniał, że nikt, nawet nadzorca, nie potrafił jej powstrzymać od wałęsania się. Moses proponował nawet, żeby przywiązywać ją na noc, ale Caldonia nie chciała się na to zgodzić.

- Nie warto przejmować się tą kobietą - mówił Henry do mężczyzn, schodząc po schodkach w nocnej bieliźnie i pomagając Alice wstać z ziemi. Mówił, że chociaż miała tylko pół mózgu, była dobrą robotnicą, jednak nigdy nie próbował wytłumaczyć dwóm lub trzem białym mężczyznom, którzy nie mieli niewolników, że kobieta z połówką mózgu była dużo tańsza niż taka z całym mózgiem - 228 dolarów i dwa buszle jabłek nie nadających się do jedzenia, a jedynie z biedą na jabłecznik, od którego można się było tylko krzywić ze złości. Patrol wkrótce odjeżdżał.

- Tak się właśnie dzieje - mówili do siebie mężczyźni, wróciwszy na drogę - kiedy daje się czarnuchom takie same prawa co białym.

W połowie trzeciego tygodnia po kupieniu niewolnicy przez Henrygo i Caldonię patrolujący mężczyźni przyzwyczaili się już do widoku Alice wałęsającej się po okolicy i stała się ona jeszcze jednym stałym elementem ich nocnej pracy, któremu nie warto było poświęcać większej uwagi niż pohukującej sowie czy królikowi przebiegającemu przez drogę. Czasami, gdy mężczyznom na patrolu nużyły się już ich własne żarty albo gdy spodziewali się wypłaty od szeryfa Johna Skifringtona, rozsiadali się na siodłach i naśmiewali się z niej, patrząc, jak śpiewa na drodze swoje ponure piosenki. Przedstawienie wypadło najlepiej, gdy księżyc świecił pełnym blaskiem, rzucając na nich światło i łagodząc ich strach przed nocą i szaloną niewolnicą, a jednocześnie oświetlając Alice, która tańczyła w rytm śpiewanej pieśni. Księżyc przydawał życia jej cieniowi, który tańczył wraz z nią i przeskakiwał z jednej strony drogi na drugą, uspokajając konie i uciszając świerszcze. Ale gdy byli w złym humorze albo gdy lał deszcz i ich wyświechtane ubrania przemokły do suchej nitki, a konie płoszyły się i skóra świerzbiła ich aż po same kostki, wtedy obrzucali ją wyzwiskami. Jednak z czasem, przez te sześć miesięcy, jakie upłynęły od kupienia Alice przez Henrygo, mężczyźni patrolujący okolicę dowiedzieli się od innych białych, że szalony Murzyn w nocy oznaczał to samo co dwugłowy kurczak albo pianie kura. Pecha. Dużego pecha, lepiej więc było nie rzucać przekleństw.

Tego deszczowego wieczoru, gdy umarł jej pan, Alice znowu wyszła z chaty, którą dzieliła z Delphie i z córką Delphie, Cassandrą. Delphie miała już prawie czterdzieści cztery lata i uważała, że Bóg chowa dla ludzi w zanadru większe zagrożenia niż oszalałą kolorową kobietę, i to właśnie powiedziała swojej córce, która początkowo obawiała się Alice. Alice wyszła tego wieczoru na zewnątrz i zobaczyła Eliasa stojącego w drzwiach swojej chaty, z

nożem do wycinania i kawałkiem drewna sosnowego w dłoniach, czekającego, aż przestanie padać.

- Chodź ze mną - zaśpiewała do Eliasa. - Po prostu chodź ze mną. Chodź, chłopie.

Elias zignorował ją.

Powróciwszy z podglądania Mosesa w zagajniku, Alice ponownie przeszła dróżką między chatami i wyszła na główną drogę. Trudno jej było iść po błotnistej ziemi, ale uparcie dążyła naprzód. Gdy już znalazła się na drodze, odwróciła się tyłem do plantacji Henry'ego i zaczęła śpiewać, jeszcze głośniejsz niż wtedy, gdy znajdowała się na ziemi swojego pana.

Podniósłszy przód swojej sukienki, aby mógł to zobaczyć księżyc i wszyscy dookoła, tańczyła w podskokach na drodze i śpiewała z całych sił:

U pana na drodze umarlaka spotkałam.

Jak go zobaczyłam, o imię go zapytałam.

Zdjął kapelusz i kościstą głowę podniósł,

Powiedział to i owo i gdzieś się wyniósł.

Ojciec Henryego, Augustus Townsend, wykupił się ostatecznie z niewolnictwa, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Był stolarzem i snycerzem, a o jego pracy ludzie powiadali, że nawet największych grzeszników wzruszyłaby do łez. Jego pan, William Robbins, biały człowiek i właściciel stu trzynastu niewolników, już dawno temu zezwolił mu, aby najmował się do dodatkowej pracy, z której Robbins zatrzymywał część zarobków. Z pozostałych pieniędzy Augustus płacił za swoją wolność. Kiedy już stał się wolny, dalej przyjmował zlecenia na różne prace. Potrafił w trzy tygodnie zrobić łóżko z baldachimem, krzesła wykonywał w dwa dni, a szyfoniery w mniej więcej siedemnaście dni, w zależności od czasu, jaki zajmowało zdobycie luster. Zbudował prymitywną chatę - później cały dom - na ziemi wydzierżawionej, a potem wykupionej od biednego białego człowieka, któremu bardziej były potrzebne pieniądze niż ziemia. Ten dość duży kawał terenu znajdował się na zachodnim krańcu hrabstwa Manchester, w miejscu, w którym hrabstwo, jakby znużone ciągłą wędrówką na zachód, nurkowało raptownie na południe, w stronę hrabstwa Amherst. Moses, „który nic nie wiedział o świecie” - jak to określał Elias, zgubiłby się tam w dwa miesiące, sądząc, że zmierza na północ. Augustusowi Townsendowi podobało się to miejsce, ponieważ był to najdalszy zakątek hrabstwa i do najbliższego białego z niewolnikami było pół mili.

Augustus zapłacił ostatnią ratę za swoją żonę, gdy Mildred miała dwadzieścia sześć lat, a on dwadzieścia pięć, mniej więcej trzy lata po wykupieniu własnej wolności. Ustawa

Izby Reprezentantów stanu Wirginia z 1806 roku wymagała, aby wyzwolony niewolnik opuścił stan w okresie dwunastu miesięcy od uzyskania wolności. Wolni Murzyni mogliby przekazywać niewolnikom zbyt wiele „poglądów sprzecznych z naturą”, jak to stwierdził delegat z hrabstwa Northampton przed uchwaleniem ustawy, oraz, jak dodał delegat z Gloucester, wolnym Murzynom brakowało nakładanej na niewolników „naturalnej kontroli”. Delegaci uchwalili, że każdy wyzwolony człowiek, który nie opuści Wirginii w ciągu jednego roku, może zostać ponownie oddany w niewolę. Tak stało się z trzynastoma osobami w roku złożenia wniosku przez Augustusa - pięcioma mężczyznami, siedmioma kobietami i jednym dzieckiem, dziewczynką o imieniu Lucinda, której rodzice zmarli, zanim rodzina zdążyła wynieść się z Wirginii. Głównie dzięki pracy swoich złotych rąk Augustusowi udało się nakłonić Williama Robbinsa i grupę innych białych obywateli do złożenia petycji do zgromadzenia stanowego o wydanie zezwolenia na pozostanie Augustusa na terenie hrabstwa. „Nasze hrabstwo - a tak naprawdę nasz umiłowany stan - poniesie niepowetowaną stratę, jeśli zostanie pozbawione talentów Augustusa Townsenda” - brzmiał fragment petycji. To właśnie jego petycja i jeszcze dwie inne, złożone przez dawnych niewolników, były jedynymi, jakie załatwiono pozytywnie z dwudziestu trzech rozpatrywanych tego roku. Na pobyt w Wirginii po uzyskaniu wolności zezwolono również kobiecie z Norfolk City, piekającej wyszukane ciastka i paszteciki na przyjęcia, oraz fryzjerowi z Richmond, przy czym klientela obojga składała się raczej z białych niż z czarnych. Augustus nie próbował składać prośby po wykupieniu swojej żony, Mildred, ponieważ prawo zezwalało wyzwolonym niewolnikom pozostać w stanie, jeśli mieszkali jako czyjaś własność, a krewni i znajomi często wykorzystywali to prawo, aby zachować przy sobie ukochane osoby. Augustus nie starał się również o petycję w sprawie swojego syna, Henrygo, i z czasem, zważywszy na to, jak ich uprzedni właściciel William Robbins traktował Henrygo, mieszkańcy hrabstwa Manchester po prostu nie pamiętali, że w rzeczywistości Henry na zawsze pozostał w archiwach Manchesteru zapisany jako własność swojego ojca.

Matka Henrygo, Mildred, uzyskała wolność, gdy chłopiec miał dziewięć lat. Kiedy opuszczała plantację, w ciepły dzień dwa tygodnie po żniwach, trzymając syna za rękę, szła drogą, na której czekał na nią Augustus ze swoim wozem i dwoma mułami. Rita, mieszkająca z Mildred w jednej chacie, trzymała drugą rękę chłopca.

Przy wozie Mildred osunęła się na kolana i chwyciła mocno Henrygo, który w końcu zrozumiał, że zostaną rozłączeni, i zaczął płakać. Augustus ukląkł obok żony i obiecał Henryemu, że po niego wróci.

- Zanim zdążysz się dobrze obrócić - powiedział - już będziesz jechał z nami do domu.

Augustus powtarzał w kółko to samo, a chłopiec starał się zrozumieć znaczenie słowa „dom”. Znał to słowo, wiedział, że oznaczało chatę wraz z nim, jego matką oraz Ritą. Nie pamiętał już, czy jego ojciec stanowił część tego domu. Augustus nie przestawał mówić, a Henry szarpał Mildred, pragnąc, aby wróciła na ziemię Williama Robbinsa, z powrotem do chaty, w której dym unosił się z paleniska od czasu, gdy je rozpalono.

- Proszę - powiedział chłopiec. - Proszę, wracajmy. Mniej więcej w tym czasie na drodze pojawił się William Robbins, kierujący się do miasta Manchester na swoim cennym gniadoszu, Sir Guilderhamie. Poklepał czarną grzywę konia i zapytał Henry'ego, dlaczego płacze, na co chłopiec odpowiedział:

- Dla niczego, *massa*.

Augustus wstał i zdjął kapelusz. Mildred wciąż tuliła syna. Chłopiec znał swojego pana jedynie z daleka, od dawna nie przebywali tak blisko siebie. Robbins siedział wysoko na koniu, jak góra oddzielająca chłopca od pełni światła słonecznego.

- Zatem nigdy już tego nie rób - powiedział Robbins. Skinął głową w stronę Augustusa. - Jak tam, Augustusie, odliczasz dni, nieprawdaż?

Spojrzał na Ritę.

- Dopilnuj, żeby wszystko było w porządku - rzucił. Chciał przez to powiedzieć, żeby nie pozwoliła chłopcu wychodzić zbyt daleko poza teren posiadłości. Zwróciłby się do niej po imieniu, ale nie wyróżniła się w jego życiu na tyle, aby miał pamiętać imię, które jej dał po narodzinach. Wystarczyło, że imię było zapisane w wielkiej księdze urodzin i zgonów, w rejestrze zmian w stanie niewolników.

„Wyraźny pieprzyk na lewym policzku”, napisał pięć dni po narodzinach Rity, „i szare oczy”. Kiedy po latach Rita zniknie z plantacji, Robbins umieści te dane na plakacie obok informacji o jej wieku i o wysokiej nagrodzie za jej odnalezienie.

Robbins po raz ostatni spojrzał na Henry'ego, którego imienia również nie znał, i ruszył galopem, a czarny ogon wierzchowca najpierw podskakiwał pięknie w jedną stronę, później w drugą, jakby ogon był czymś odrębnym od całego konia i w związku z tym żył własnym życiem. Henry przestał płakać. W końcu Augustus musiał odciągnąć żonę od dziecka. Oddał Henry'ego w ręce Rity, wieloletniej przyjaciółki Mildred. Podsadził żonę na wóz, który ugiął się i zatrzeszczał pod nowym ciężarem. Wóz i muły nie były tak wysokie jak koń Robbinsa. Jeszcze zanim podniósł się z kolan, Augustus przyrzekł synowi, że zobaczy się z nim w niedzielę, w dzień, w którym Robbins zezwalał na wizyty. A potem Augustus powiedział jeszcze:

- Wrócę po ciebie - mając na myśli dzień, kiedy ostatecznie wyzwoli chłopca. Ale wykupienie Henry'ego zajęło więcej czasu, niż przewidywał. Robbins wkrótce się dowiedział, jak sprytnym chłopcem był Henry. Trudno było wycenić inteligencję i właśnie z tego powodu jego cena była płynna, a ostateczna wartość zależała tylko od tego, ile można było maksymalnie wyciągnąć na rynku. Cały ten koszt mieli ponieść Mildred i Augustus.

*

Przed niedzielnymi wizytami Mildred przygotowywała dla Henryego jak najwięcej jego ulubionych smakołyków. W niewoli знаła tylko jedzenie niewolników, z dużą ilością słoniny i kukurydzianych ciastek pieczonych w popiele, urozmaicane raz na jakiś czas garścią rzepaku lub jarmużu. Ale wolność i pochodzące z pracy pieniądze spowodowały, że teraz ich stół był dużo lepiej zastawiony. Gdy jednak tylko pomyślała, co jadł Henry, od razu opuszczała ją chęć do jedzenia i nie potrafiła cieszyć się nawet jednym smacznym kąskiem. Dlatego też przed każdą wizytą przygotowywała mu niewielką ucztę. Małe pierożki z mięsem, ciastka, którymi mógł później przez cały tydzień dzielić się z kolegami, od czasu do czasu jakiś złapany przez Augustusa królik, którego zasałała, aby przez kilka dni zachowywał świeżość. Matka i ojciec przyjeżdżali wozem ciągniętym przez muły na plantację Robbinsa, aby spotkać się z synem, nęcąc go tym, co przywieźli. Czekali na drodze, aż Henry wyjdzie na swoich patykowatych nogach spomiędzy chat, za którymi górowała ogromna i odwieczna posiadłość Robbinsa.

Szybko dorastał, zawsze chętny pokazać im wyrzeźbione przez siebie drobiazgi. Galopujące konie, obładowane muły, byk z głową zwróconą tak, aby móc oglądać się za siebie. Cała trójka siadała na narzucie rozłożonej na znajdującym się naprzeciwko plantacji Robbinsa kawałku ziemi niczyjej. Za nimi po lewej płynął potok, w którym nigdy nie widziano ryb, ale niewolnicy i tak próbowali coś tam złowić, ćwicząc w oczekiwaniu na dzień, w którym woda będzie łaskawsza. Po posiłku Mildred siadała między Augustusem i Henrym, a oni łowili ryby. Ciągle wypytywała, jak go traktowano. Jego odpowiedzi prawie zawsze były takie same - że *massa* Robbins i jego nadzorca dobrze go traktują i że Rita zawsze jest dla niego dobra.

Jesień tego roku - 1834 - pewnego dnia po prostu odeszła i nagle nastąpiła zima. Mildred i Augustus przyjeżdżali w każdą niedzielę, nawet gdy zrobiło się zimno, a także później, kiedy było jeszcze zimniej. Rozpalali ogień na ziemi niczyjej i jedli, niewiele mówiąc. Robbins powiedział im, aby nie zabierali chłopca zbyt daleko, tak żeby jego nadzorca zawsze mógł widzieć ich z wejścia do posiadłości. Zimowe odwiedziny trwały krótko, bo chłopiec często skarżył się na chłód. Czasami Henry w ogóle się nie pokazywał,

nawet gdy zimno było znośne i pozwalało na kilkuminutowe odwiedziny Mildred i Augustus czekali godzinami, skuleni na wozie pod narzutami i kocami, albo z nadzieją przechadzając się tam i z powrotem po drodze, ponieważ Robbins zabronił im wchodzić na jego ziemię, z wyjątkiem dni, w których Augustus dokonywał kolejnej wpłaty - w drugi i czwarty wtorek miesiąca. Mieli nadzieję, że jakiś niewolnik wypuści się na zewnątrz, idąc do posiadłości lub z niej powracając, i że będą mogli krzyknąć do niego lub do niej, aby zawołali ich syna, Henry'ego. Ale nawet wtedy, gdy kogoś zobaczyli i mówili tej osobie o Henrym, dalej na próżno czekali na pojawienie się chłopca.

- Zapomniałem - mówił Henry następnym razem, gdy się spotykali. Jako dziecko Augustus często był chłostany, ale chociaż Henry był jego synem, nie stanowił jego własności i w związku z tym był poza zasięgiem wpływów ojca.

- Bardziej się postaraj pamiętać, synu. Abyś wiedział, jak należy postępować - mówił Augustus, ale kończyło się na tym, że Henry zachowywał się odpowiednio jedną lub dwie kolejne niedziele, a potem znowu nie pokazywał się w następną.

W połowie lutego, po dwugodzinnym oczekiwaniu na umówione pojawienie się syna na drodze, gdy Henry w końcu się przywłókł, Augustus złapał chłopaka i potrząsnął nim, a potem pchnął go na ziemię. Henry zakrył twarz i zaczął płakać.

- Augustus! - krzyknęła Mildred i pomogła synowi wstać. - Wszystko jest dobrze - powiedziała do niego, tuląc go w ramionach. - Wszystko jest dobrze.

Augustus odwrócił się i poszedł do wozu stojącego po drugiej stronie drogi. Wóz był przykryty grubym płótnem, osłoną, jaką Augustus wymyślił wkrótce po pierwszej wizycie w zimnych warunkach. Matka i syn wkrótce podążyli za nim przez drogę i cała trójka usiadła na wozie pod przykryciem, wokół kamieni rozgrzanych przez Mildred i Augustusa. Były to dość duże kamienie, nagrzewane przez wiele godzin w domu w niedzielne poranki przed wyruszeniem na spotkanie z Henrym. Później, na chwilę przed wyjazdem z domu, zawijano je w koce i umieszczano na środku wozu. Gdy przestawały już oddawać ciepło i gdy chłopiec zaczynał skarżyć się na chłód, wiedzieli, że nadchodził czas odjazdu.

Tej niedzieli, kiedy Augustus pchnął Henryego, trójka po raz kolejny w milczeniu spożywała posiłek.

Następnej niedzieli czekał na nich Robbins.

- Słyszałem, że zrobiłeś coś Henryemu, który stanowi moją własność - powiedział, zanim Augustus i Mildred zdążyli zejść z wozu.

- Nie, panie Robbins, nic mu nie zrobiłem - powiedział Augustus, nie pamiętając zdarzenia z popchnięciem syna.

- Nic takiego nie moglibyśmy zrobić - odezwała się Mildred. - Za nic na świecie byśmy go nie skrzywdzili. To nasz syn.

Robbins spojrział na nią, jakby mu powiedziała, że dziś jest środa.

- Nie życzę sobie, abyście dotykali mojego chłopaka, mojej własności.

Jego koń, Sir Guilderham, stał beczynnym jakieś dwa kroki za swoim panem. W momencie, gdy koń zaczął się oddalać, Robbins odwrócił się i chwycił cugle, a następnie dosiadł wierzchowca.

- Żadnych wizyt przez miesiąc - powiedział, wyjmując klaczek z końskiego ucha.

- Prosimy, panie Robbins - odezwała się Mildred. Po uzyskaniu wolności nie musiała już mówić do niego „master”. - Przyjechaliśmy z tak daleka.

- Nic mnie to nie obchodzi - odrzekł Robbins. - Cały miesiąc potrwa gojenie się tego, co mu zrobiłeś, Augustusie.

Robbins się oddalił. Henry nie powiedział rodzicom, że został stajennym Robbinsa. Wcześniej stajennym był Toby, starszy chłopiec, ale Henry przekupił go jedzeniem otrzymywanym od Mildred, w zamian za co Toby zaczął mówić nadzorcy, że nie nadaje się do tej pracy.

- Henry lepszy - Toby tak często powtarzał to nadzorcy, aż w końcu w głowie białego człowieka stało się to prawdą. Od tego czasu całe jedzenie, jakie w każdą niedzielę Mildred przynosiła synowi, już wcześniej było obiecane Tobyemu.

- Za nic na świecie byśmy go nie skrzywdzili - powiedziała Mildred w kierunku pleców Robbinsa. Zaczęła płakać, ponieważ ujrzała przed sobą miesiąc składający się z rozciągających się w nieskończoność tysięcy dni. Augustus objął ją ramionami i ucałował jej głowę w czepku, a później pomógł żonie wspiąć się na wóz. Droga do domu na południowym zachodzie hrabstwa Manchester zawsze zajmowała im blisko godzinę, w zależności od łaskawości lub złośliwości pogody

*

Henry rzeczywiście był lepszym stajennym niż Toby, dużo pilniejszym i zupełnie nie przeszkadzało mu wstawanie przed wschodem słońca, żeby zająć się obowiązkami. Zawsze czekał na Robbinsa, kiedy ten wracał z miasta, od Philomeny, czarnoskórej kobiety, i od dwójki dzieci, które z nią miał. W te pierwsze dni, kiedy starał się wykazać przed Robbinsem, Henry stał przed posiadłością i patrzył na Robbinsa i Sir Guilderhama wyłaniających się ze spowijającej drogę zimowej mgły, a serce chłopca biło coraz szybciej, w miarę jak koń stawał się coraz większy.

- Dzień dobry, *massa* - mówił i podnosił obie ręce, aby przejąć cugle.

- Dzień dobry, Henry Wszystko w porządku?

- Tak, *massa*.

- No to tak trzymać.

- Tak, *massa*, staram się.

Robbins wchodził do swojego domu, aby spotkać się z białą żoną, która jeszcze nie złożyła broni w walce z Philomena o miejsce w jego sercu. Żona wiedziała o pierwszym dziecku, jakie miał z tą kobietą, o Dorze, ale o drugim, Louisie, miała się dowiedzieć dopiero wtedy, gdy chłopczyk skończył trzy lata. To było jeszcze zanim żona Robbinsa stała się okropnie zgorzkniała i zaczęła spędzać większość czasu w tej części rezydencji, którą jej córka przed laty, gdy była malutka i nie bardzo wiedziała, co robi, nazwała Wschodem. Po tym, jak jego żona zrobiła się okropnie zgorzkniała, zaczęła wyładowywać swoją złość na osobach ze swojego najbliższego otoczenia, na ludziach, których nie potrafiła pokochać. Zgodnie z tym, co opowiadali niewolnicy, zachowywała się tak, jakby nienawidziła ziemi, po której musieli stąpać.

Henry zabierał Sir Guilderhama do stajni przeznaczonej dla ulubionych zwierząt Robbinsa i szczotkował go tak długo, aż pot zniknął zupełnie, a uspokojone zwierzę zaczynało zamykać oczy, co oznaczało, że chciało, aby je zostawiono w spokoju. Następnie Henry sprawdzał, czy koń miał wystarczająco dużo siana i wody. Czasami, gdy chłopiec uważał, że może wykpić się tego dnia od innych obowiązków, stawał na stołeczku i rozczesywał grzywę, aż ręce mu omdlewały. Jeśli nawet koń rozpoznawał chłopca dzięki całej jego pracy, nigdy nie dawał tego po sobie poznać.

*

Henry czekał niecierpliwie na jednym krańcu drogi, którą Robbins jeździł przynajmniej trzy razy w tygodniu, a na drugim jej końcu, na samym skraju miasta Manchester, stolicy hrabstwa, znajdował się inny chłopiec, Louis, który w 1840 roku, kiedy Henry był szesnastolatkiem i spełnionym stajennym, miał osiem lat. Mały Louis również był niewolnikiem Robbinsa i tak też zapisano go w odbywającym się tego roku amerykańskim spisie ludności. W spisie odnotowano, że dom przy Shenandoah Road w Manchesterze, w którym chłopiec mieszkał, prowadziła jego matka, Philomena, oraz że chłopiec miał o trzy lata starszą siostrę Dorę. W spisie ani słowem nie wspomniano, że dzieci były spokrewnione z Robbinssem, który jeździł do Manchesteru, ponieważ kochał ich matkę nad życie, i że w chwilach spokoju, po ustąpieniu burzy szalejącej w jego głowie, obawiał się, że z tej miłości zaczyna tracić zmysły. Dziadek Robbinsa, który jako chłopiec podróżował na gapę na HMS Claxton podczas dziewiczego rejsu tego statku do Ameryki, nigdy by tego nie zaaprobował -

nie tego, że Robbins zatracił się w miłości do Murzynki, ale że w ogóle się zatracił. Skoro tak wiele oddał miłości, powiedziałby dziadek swojemu wnukowi, skąd Robbins weźmie tyle hartu ducha, aby powrócić do Bristolu w Anglii, do ich domu?

W amerykańskim spisie ludności z 1840 roku można znaleźć mnóstwo informacji, znacznie więcej niż w spisie dokonany przez delegata stanu -alkoholika w 1830 roku, a wszystkie dane z 1840 roku składały się na jedną istotną informację - Manchester było w tym okresie największym hrabstwem w Wirginii; miejscem, w którym żyło 2191 niewolników, 142 wolnych Murzynów, 939 białych i 136 Indian, głównie z plemienia Cherokee, ale z domieszką krwi Indian Choctaw. Powszechnie lubiany i pedantyczny garbarz, który dorabiał jako urzędnik stanowy i stracił na mrozie trzy palce, przeprowadził spis w 1840 roku w niecałe osiem letnich miesięcy Zajęłoby mu to mniej czasu, ale miał wiele problemów w pracy, między innymi wynikających z kłopotów z takimi ludźmi, jak Harvey Travis, który chciał mieć pewność, że jego dzieci zostaną zaliczone do białych, chociaż wszyscy wokół wiedzieli, że jego żoną była czystej krwi Indianka Cherokee. Travis nawet nazywał swoje dzieci czarnuchami i brudnymi mieszającami w chwilach, gdy nie mógł już znieść ani ich, ani tego świata. Urzędnik spisowy, garbarz i urzędnik z władzą szeryfa w jednej osobie, powiedział Travisowi, że zaliczy dzieci do białych, ale w rzeczywistości w swoim sprawozdaniu do rządu federalnego w Waszyngtonie napisał, że były niewolnikami i stanowiły własność ich ojca, co, w świetle prawa, było prawdą. Urzędnik po raz pierwszy zobaczył te dzieci w dniu, w którym wybrał się do Trávisa na jednym z dwóch mułów zakupionych dla niego przez rząd amerykański, aby mógł wykonywać swoje zadania podczas prowadzenia spisu. Stwierdził, że zarówno dla niego, jak i dla rządu federalnego dzieci miały zbyt ciemną skórę, by można je było uznać za coś innego niż czarnoskórych. Poinformował rząd, że dzieci były niewolnikami i niczego już nie zmieniał, w ogóle nie wspominając o domieszce krwi białej czy też indiańskiej. Urzędnik wierzył głęboko, że jego rząd potrafi czytać między wierszami. I chociaż miał pewne wątpliwości, czy żona Trávisa to Indianka czystej krwi, w tym wypadku uwierzył Travisowi na słowo i zapisał, że jest „Indianką - czystej krwi Cherokee”. Urzędnik miał również spore kłopoty z ustaleniem powierzchni całego hrabstwa i skończyło się na tym, że wysłał wyraźnie zaniżone dane. Jak powiedział swojemu powiernikowi, najbardziej zmyliły go te cholerne góry, ponieważ nie potrafił prowadzić pomiarów ziemi, jeśli stały mu one na drodze. Nawet po odjęciu gór ze wszystkich obliczeń Manchester wciąż jeszcze był dwa razy mniejszy niż następne największe hrabstwo w stanie Wirginia.

W 1840 roku ośmioletniego Louisa nie dało się wprost utrzymać w miejscu w te dni, kiedy zdawało mu się, że Robbins przyjedzie do nich z wizytą. Pełno go było w całym domu, który Robbins zbudował, gdy Philomena była w ciąży z Dorą i gdy nie chciał, aby przebywała na plantacji w pobliżu jego własnej żony, od początku podejrzewającej, że traci męża, z którym przeżyła dziesięć lat. Chłopiec wbiegał po schodach i wyglądał z wychodzącego na drogę okna na piętrze, ale gdy nie widział śladów kurzu wzbijającego się spod kopyt Sir Guilderhama, ponownie zbiegał na dół i patrzył przez okno w salonie.

- Chyba patrzę nie tam, gdzie trza - mówił do osoby znajdującej się aktualnie w pokoju, a potem znowu wbiegał po schodach. Nauczycielka, Fern Elston, już wcześniej upominała Louisa, że należy poprawnie formułować zdania.

Nikommu innemu w całym hrabstwie nie uszłoby na sucho umieszczenie Murzynki i jej dwójki dzieci w domu położonym w dzielnicy, w której mieszkali biali. Na jednej ze stron sprawozdania ze spisu dla rządu federalnego w Waszyngtonie urzędnik spisowy postawił ptaszka przy nazwisku Williama Robbinsa i na stronie 115 umieścił przypis, informujący, że jest on najbogatszym człowiekiem w hrabstwie. Urzędnik był dalekim kuzynem Robbinsa i był bardzo dumny, że jego krewnemu tak świetnie wiodło się w Ameryce.

*

Dora i Louis nigdy nie mówili do Robbinsa „ojcze”. Zwracali się do niego per „panie William”, a gdy go nie było w pobliżu, mówili o nim „on”. Louis lubił, jak Robbins sadzał go na kolanie i szybko podrzucał. „Pan William, mój konik” - tak czasami go nazywał. Robbins mówił do niego: „Moje książątko. Moje małe książątko”.

Chłopiec cierpiał na dolegliwość zwaną przez mieszkańców tej części Wirginii „wędrującym okiem”. Gdy patrzył wprost na kogoś, jego lewe oko często podążało za jakimś nieokreślonym ruchomym obiektem, który znajdował się nieco z boku - jakby patrzyło na jakąś plamkę brudu w pobliżu albo lecącego w oddali ptaka. Oko śledziło ruchy tego obiektu przemieszczającego się w bok o kilkadziesiąt centymetrów, a po chwili ponownie patrzyło na osobę stojącą przed chłopcem. Prawe oko, a także umysł Louisa, nigdy nie opuszczały osoby, z którą chłopiec rozmawiał. Robbins zdawał sobie sprawę, że gdyby takie wędrujące oko przytrafiło się chłopcu, którego urodziłaby mu jego biała żona, mogłoby to świadczyć, że ten biały chłopiec ma jakieś wady, mogłoby oznaczać, że jego przyszłość stoi pod znakiem zapytania i mógłby nie otrzymać całej miłości ojcowskiej. Ale w wypadku dziecka czarnoskórej kobiety, będącej panią serca Robbinsa, wędrujące oko jedynie jeszcze bardziej zbliżało chłopca do ojca. „To okrutne, co Bóg zrobił memu synowi”, powtarzał sobie wielokrotnie, wracając do domu.

Z czasem Louis miał się nauczyć, jak panować nad okiem i nie dopuszczać, aby decydowało o jego przeznaczeniu, gdyż ludzie w Wirginii uważali, że wędrujące oko jest oznaką człowieka nieuważnego lub nieszczerego. W okresie, gdy przyjaźnił się z Caldonią i jej bratem, Calvinem, w malutkiej akademii Fern Elston dla wolnych murzyńskich dzieci, znajdującej się zaraz za jej salonem, Louis potrafił już wyczuć chwilę, w której oko zaczynało wędrować, patrząc jedynie na wyraz twarzy osoby, z którą rozmawiał. Wystarczyło mrugnąć i oko powracało na miejsce. Wymagało to baczego i ciągłego patrzenia w oczy drugiej osoby, a ludzie zaczęli uznawać to za dowód, że Louis jest człowiekiem, który zwracał uwagę na to, co do niego mówiono. Dla wielu ludzi stał się człowiekiem uczciwym; na tyle uczciwym, aby Caldonia Townsend mogła przyjąć jego oświadczenia.

- Nigdy nie myślałem, że będę ciebie godzien - powiedział przy oświadczeniach, równocześnie myśląc o zmarłym Henrym. Odpowiedziała:

- Wszyscy jesteśmy tyle samo warci.

*

Robbins miał czterdzieści jeden lat, gdy Henry został jego stajennym. Wyjazdy do miasta nie były dla niego łatwe. Najlepiej byłoby podróżować powozem - amerykańskim, ale to nie było dla niego. Sir Guilderham był kosztownym i wspaniałym okazem konia i należało go pokazywać światu. W 1840 roku, gdy pozostało jeszcze wiele rat do spłacenia za wolność Henry'ego, Robbins już od dłuższego czasu myślał o tym, że traci rozum. Podczas jazdy do miasta albo w drodze powrotnej przez jego głowę przewalało się coś, co określał mianem małej burzy, z piorunami i błyskawicami.

Błyskawica rozciągała się zygzakiem od czoła i z grzmiotem eksplodowała u podstawy czaszki. Potem w całej głowie odczuwał coś na kształt uspokajającego deszczu, który kojarzył mu się z powrotem do normalności. Podczas niektórych burz tracił świadomość na całe minuty. Zdarzało się, że Sir Guilderham wyczuwał nadejście takiej burzy i zwalniał kroku, a później zupełnie się zatrzymywał, aż nawałnica się skończyła. Jeśli jednak koń jej nie wyczuł, burza uderzała w niczego nie spodziewającego się Robbinsa, który później wyłaniał się z niej kilka mil bliżej punktu docelowego, zupełnie nie pamiętając, jak się tu dostał.

Uważał, że te burze są ceną, jaką musi płacić za Philomenę i ich dzieci. Pewnego dnia w 1841 roku, ocknąwszy się po jednej z takich burz, zobaczył, że na drodze prowadzącej do plantacji stoi przed nim biały człowiek i pyta, czy nic mu nie jest. Z nosa Robbinsa ciekła krew, a mężczyzna właśnie wskazywał na nos i na krew. Robbins wytarł nos rękawem płaszcza. Krwawienie ustąpiło.

- Odprowadzę pana do domu - odezwał się człowiek. Robbins wskazał w stronę swojej posiadłości i pojechali obok siebie, a mężczyzna opowiadał mu, kim jest i czym się zajmował, i chociaż wcale go to nie interesowało, Robbins był jednak wdzięczny za towarzystwo.

Poczuł się więc zobowiązany do wyrażenia wdzięczności za okazaną mu uprzejmość, gdy drugiego dnia pobytu u Robbinsa mężczyźnie wpadło w oko dwoje niewolników. W *Piśmie Świętym* napisano, że gości należy traktować po królewsku, aby gospodarz nieświadomie nie przeoczył, że gości aniołów. Mężczyzna wyszedł na werandę zapalić jedno z cygar Robbinsa i ujrzał Toby'ego, dawnego stajennego, oraz jego siostrę. Jedzenie dostarczane przez Mildred sprawiło, że ciała chłopca i dziewczynki przeszły metamorfozę, cudownie też przeobraziło ich kości, czego nigdy nie dokonałoby ubogie jedzenie u Robbinsa. Mężczyzna wszedł do domu i zaproponował 233 dolary za tę parę niewolników, twierdząc, że więcej nie ma.

Dopiero po czterech dniach od wyjazdu całej trójki, dwójki dzieci i mężczyzny, który mógł być aniołem, Robbins uzmysłowił sobie, jak zły interes zrobił, nawet biorąc pod uwagę obniżkę ceny w ramach wdzięczności wobec anioła. Wkrótce wbił sobie do głowy, że mężczyzna musiał być jakimś abolicjonistą, niewiele różniącym się od złodzieja, jakimś diabłem w przebraniu. To właśnie po tej bolesnej sprzedaży zrodził się pomysł utworzenia patroli niewolniczych, kiedy uświadomił sobie, że z powodu szalejących w jego głowie burz stawał się bezbronny i że abolicjoniści mogą w każdej chwili zakraść się i dzięki oszustwu zabrać mu wszystko, na co on i jego ojciec oraz ojciec jego ojca pracowali. Ten pomysł wykrystalizował się i nabrał ostatecznych kształtów dopiero po zniknięciu Rity, kobiety, która zastąpiła matkę Henry'emu po wykupieniu Mildred przez jej męża, Augustusa Townsenda. Przed przybyciem człowieka-anioła i przed zniknięciem Rity hrabstwo Manchester w stanie Wirginia nie miało specjalnych problemów ze znikającymi niewolnikami. Ostatni raz stało się to w 1837 roku, kiedy to pewnej nocy mężczyzna o imieniu Jessie zbiegł wraz z czterema innymi niewolnikami. Zostali odnalezieni dwa dni później przez oddział pościgowy złożony z ochotników dowodzonych przez szeryfa Gillyego Pattersona. Ucieczka i pościg do tego stopnia rozsierdziły właściciela Jessiego, że zastrzelił zbiegłego niewolnika na bagnach, na których oddział go znalazł. Tej samej nocy kazał również okuliwić pozostałą czwórkę uciekinierów - szybkie cięcie ostrym nożem przez ich ścięgna Achillesa - zaraz po tym, jak w celu zastraszenia pozostałych czternastu niewolników odciął głowę Jessiego i zatknął ją na paliku zrobionym z gałęzi jabłoni przed chatą, w której Jessie mieszkał wraz z trzema innymi mężczyznami. W świetle prawa zamordowanie Jessiego było zabójstwem usprawiedliwionym

- zbiegli niewolnicy nie zmierzali, co prawda, w stronę białej wdowy i jej dwóch nastoletnich córek, jednak pięciu mężczyzn złapano w odległości niecałej mili od domostwa tych kobiet. Nikt z białych nawet nie próbował wyobrazić sobie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby ta piątka niewolników zawróciła i skierowała się na południe, w kierunku przeciwnym niż ten do wolności, i gdyby trafili do domu wdowy i dziewcząt. Jessie dostał to, na co zasłużył, myślał sobie szeryf Patterson, zwłaszcza biorąc pod uwagę wdowę i jej córki. Nie napisał jednak tego w raporcie sporządzonym dla sędziego sądu hrabstwa, osoby znanej z ostrego podejścia do kwestii znęcania się nad niewolnikami. Szeryf Patterson napisał za to, że dla właściciela Jessiego wystarczającą karą było to, że będzie żyć ze świadomością pozbycia się mienia, które na rynku z pewnością mogło osiągnąć wartość 500 dolarów.

W rzeczywistości człowiek spotkany przez Williama Robbinsa na drodze nie był ani abolicjonistą, ani aniołem, a Toby i jego siostra nigdy nie zobaczyli północy. Mężczyzna sprzedał dzieci za 527 dolarów człowiekowi, który miał zwyczaj przeżuwać jedzenie z otwartymi ustami. Spotkał go w modnym barze w Petersburgu, zamykanym na noc i przekształcanym w burdel, z kolei człowiek z nieustannie otwartymi ustami sprzedał dzieci plantatorowi ryżu z Południowej Karoliny, za 619 dolarów. Po tym zdarzeniu matka dzieci nie potrafiła już porządnie wykonywać swoich obowiązków, nawet gdy nadzorca chłostał skórę na jej plecach batem, aby zmusić kobietę do rzetelnej i sumiennej pracy. Matka zmarniała i pozostały z niej tylko skóra i kości. Robbins sprzedał ją pewnemu człowiekowi w Tennessee za 257 dolarów i trzyletniego muła; była to sprzedaż, na której wyraźnie stracił, zważywszy na możliwości, jakie tkwiły w matce, gdyby tylko się pozbierała, i biorąc pod uwagę, ile Robbins już wydał na jej utrzymanie, jedzenie oraz ubranie, a także na szczelny dach nad jej głową i Bóg raczy wiedzieć, na co tam jeszcze. W swojej księdze, w której odnotowywał zmiany w stanie niewolników, Robbins przekreślił imię matki tych dzieci, jak to robił zawsze w wypadku ludzi, którzy zmarli przedwcześnie lub zostali sprzedani bez zysku.

Robbins zazwyczaj spędzał noce u Philomeny, dzielnie wysłuchując jej nieustannego gadania o chęci wyjazdu i życia w Richmond. Na swoją plantację wyruszał tuż przed świtem, jeśli tylko pozwalała na to pogoda. W drodze powrotnej prawie zawsze czuł burzę w głowie. Wolałby cierpieć w drodze do miasta, aby móc cieszyć się Philomeną i dziećmi, wiedząc, że najgorsze ma już za sobą. Niezależnie od tego, jaką pogodą obdarzył Bóg hrabstwo Manchester, na drodze zawsze czekał na niego Henry. Kiedy tej pierwszej zimy Robbins zobaczył chłopca trzęsącego się w szmatach zawiązanych wokół stóp, zaraz kazał swojemu niewolnikowi szewcowi zrobić coś odpowiedniego na nogi chłopca. Służącym zajmującym się domem powiedział, że Henry ma jeść z nimi w kuchni i że zawsze ma być odpowiednio

ubrany, nie gorzej niż oni. Doszło do tego, że Robbins zaczął z utęsknieniem wypatrywać chłopca machającego do niego przed posiadłością, zaczął rozumieć, że widok Henry ego oznacza, że już jest po burzy i że już nie grożą mu źli ludzie przebrani za anioły. Zaczął odczuwać coś na kształt miłości do tego chłopca, a miłość ta, z dnia na dzień coraz większa, stanowiła kolejny powód, aby podnieść cenę, jaką Mildred i Augustus Townsend musieliby zapłacić za swojego syna.

2

Prezent ślubny. Najpierw obiad, później śniadanie. Modlitwy przed ofiarowaniem

W *Piśmie Świętym* Bóg nakazał mężczyznom, żeby brali sobie żony, a John Skiffington posłuchał tego nakazu.

Zawsze starał się żyć skromnie i zgodnie z boskimi nakazami, ale obawiał się, że choć miał już dwadzieścia sześć lat, to wciąż nie wszystko mu się udawało. Pragnął rzeczy ziemskich i znacznie więcej oddawał cesarzowi, niż - o czym sam dobrze wiedział - podobałoby się to Bogu.

- Jestem ułomny - mówił Bogu co rano, gdy wstawał z łóżka. - Jestem niedoskonały, ale wciąż pozostaję gliną w Twoich rękach, zawsze podążam drogą, jaką Ty dla mnie wybrałeś. Uformuj mnie, Panie, i pomóż mi stać się doskonałym.

Myśl o ożenku podsunął mu Bóg dopiero tego jesiennego popołudnia w 1840 roku, w salonie szeryfa Gillyego Pattersona. Skiffington, będący od dwóch lat zastępcą Pattersona, jako dwudziestolatek przybył wraz ze swoim ojcem do Manchesteru, do miasta i hrabstwa w centrum Wirginii, które jego ojciec widział tylko raz, jako dziecko, i o którym dwukrotnie marzył jako dorosły. Ojciec przez długi czas był w Północnej Karolinie nadzorcą na plantacji, która należała do jego kuzyna, i właśnie tam John Skiffington z pewnymi trudnościami wkraczał w wiek męski, dorastał wśród mniej więcej dziesięciu białych ludzi i około 209 niewolników - liczby te zmieniały się co roku tylko nieznacznie w związku z narodzinami, sprzedażą i zakupami oraz w związku ze zgonami. W noc przed śmiercią matki Johna Skiffingtona jego ojciec miał sen, w którym Bóg powiedział mu, że nie chce, aby on i jego syn byli panami niewolników, dwa dni później opuścił więc z synem Północną Karolinę, zabierając ze sobą martwą kobietę w sosnowej skrzyni na wozie, którym obdarował ich kuzyn.

- Nie pozostawiaj żony w Północnej Karolinie - powiedział Bóg ojcu na zakończenie snu.

W 1840 roku przyjechały do szeryfa Pattersona na trzy miesiące dwie siostrzenice z Filadelfii i podczas ich wizyty szeryf i jego żona w niemal każdą niedzielę o pierwszej organizowali proszony obiad. Pattersonowie zapraszali sąsiadów na spotkania w kameralnym gronie i właśnie tego jesiennego popołudnia wypadła kolej Johna Skiffinktona i jego ojca. Żona Pattersona była daleką krewną żony Williama Robbinsa, na obiedzie pojawili się więc również Robbinsowie, choć w mniemaniu Robbinsa Pattersonowie, nie mówiąc już o Skiffingtonach, byli dwa, jeśli nie trzy szczeble niżej niż on sam.

John Skiffington i jego ojciec przybyli pierwsi i kiedy John wkroczył z szarówki dnia do ciemnobłękitnego salonu pani Patterson, najpierw zobaczył Winifred Patterson, dzieło Filadelfijskiej Pensji dla Dziewcząt, instytucji głęboko przesiąkniętej duchem kwakryzmu. John był mężczyzną o niedźwiedziej postawie i nie należał do nieśmiały. Również Winifred nie była wstydliva, co stanowiło niezamierzony efekt przebywania w Filadelfijskiej Pensji dla Dziewcząt, i nie minęło wiele czasu, gdy on i Winifred - już po przybyciu Robbinsów - zaszyli się w kącie salonu i zaczęli konwersację, która ciągnęła się przez cały obiad aż do wczesnego wieczoru. Najbardziej zdumiewało go, dlaczego wcześniej, przed tą niedzielą, zupełnie nie interesowała go płeć piękna. Gdzie Bóg ukrywał przez ten cały czas tę część jego głowy i serca?

Później widywał Winifred często - w salonie pani Patterson, w kościele albo podczas przejażdżki amerykańcem, w której towarzyszyły jej pani Patterson i młodsza siostra. John stał się jedynym stałym gościem na niedzielnych obiadach u Pattersonów i pani Patterson, powstrzymując chichot, kilka razy była zmuszona powiedzieć mu, że to niegrzecznie i egoistycznie tak zachłannie zagarniać Winifred dla siebie, zanim inni goście na obiedzie zdążą nacieszyć się światowością wpojoną w nią w Filadelfijskiej Pensji dla Dziewcząt. Na początku stycznia pani Patterson powiedziała mężowi, że sprawy zaszły już tak daleko, że chyba najlepiej będzie, jeśli pan Patterson wezwie swojego brata z Filadelfii, ponieważ jego brat i pan Skiffington chyba mają sobie coś do powiedzenia. Brat przyjechał, panowie porozmawiali, ale w marcu, po drugim mrozie, jaki tego roku odmienił ogrody, Winifred wróciła do Filadelfii. Skiffington dwa razy jeździł do Filadelfii i z ostatniego wyjazdu, który odbył się w maju, powrócił z otrzymaną od Winifred obietnicą, że wyjdzie za niego.

Pobrali się w czerwcu, a na uroczystości ślubnej obecni byli co lepsi biali obywatele hrabstwa, tak lubiany stał się John w Manchesterze jako zastępca Pattersona. Kuzyn jego ojca w Północnej Karolinie był chory, ale przysłał swojego syna, Counsela Skiffinktona, wraz z żoną Belle, pochodzącą z bardzo dobrej rodziny z Raleigh. Chociaż John i Counsel dorastali razem, blisko jak bracia, nie darzyli się nadmierną miłością i gdyby Counsel nie był zamożny,

jego lekka niechęć do Johna mogłaby podczas ich spotkań przekształcać się w coś dużo bardziej niemiłego. Ale dzięki swojemu bogactwu mógł wznieść się ponad uczucia, które z innych ludzi zrobiłyby pospolitą hołotę i naprawdę był nad wyraz szczęśliwy, mogąc przyjechać na ślub swojego kuzyna do miasteczka w Wirginii, którego nazwę żona musiała mu ciągle przypominać. Ponadto Counsel od pięciu miesięcy nie wyjeżdżał z Północnej Karoliny i tęsknił już za spacerem pod innym niebem.

Counsel i jego żona, po omówieniu sprawy ze swoim umierającym ojcem, przywieźli z Północnej Karoliny prezent ślubny dla Winifred. Czekali z nim do oficjalnego przyjęcia zorganizowanego dla członków rodziny w domu na skraju miasta, który John kupił dla swojej narzeczonej. Około trzeciej, gdy już się nieco uspokoiło, Belle wyszła do ogrodu za domem, a po chwili wróciła z dziewięcioletnią niewolnicą i kazała tej dziewczynce, przystrojonej w niebieską wstążkę, stanąć, a następnie okręcić się przed Winifred.

- Jest twoja - powiedziała Belle do Winifred. - Kobieta, a zwłaszcza mężatka, nic nie znaczy bez osobistej służącej.

Wszyscy goście z Filadelfii umilkli, podobnie jak John Skiffington i jego ojciec, z kolei ludzie z Wirginii, zwłaszcza ci, którzy znali cenę dobrej niewolniczej skóry, tylko się uśmiechnęli. Belle uniosła rąbek sukienki dziewczynki, pokazując ją Winifred, aby ta mogła się jej przyjrzeć, jakby sama sukienka stanowiła dodatkową premię.

Winifred spojrzała na swojego męża, a on, widząc jej wzrok, tylko skinął głową, Winifred powiedziała więc:

- Dziękuję.

Ojciec Winifred wyszedł z pokoju, a za nim ojciec Skiffingtona. Z ust Counsela nie schodził uśmiech, mężczyzna wspominał te dawne czasy w Północnej Karolinie, kiedy to zaczynała się rodzić jego niechęć do kuzyna. Dla samego widoku wyrazu twarzy kuzyna warto było odbyć całą tę wycieczkę do tego zapomnianego miasteczka w Wirginii.

- Mam wrażenie, że to chyba dobry sposób na wprowadzenie pani w życie, do jakiego powinna się pani przyzwyczaić, pani Skiffington - powiedział Counsel do Winifred. Spojrzał na Belle, swoją żonę. - Nieprawdaż, pani Skiffington?

- Oczywiście, mój drogi. - Zwróciła się do prezentu ślubnego: - Powiedz „dzień dobry”. Powiedz „dzień dobry” swojej pani.

Dziewczynka wykonała polecenie, dygając, jak jej pokazywano przed wyjazdem z Północnej Karoliny, a także wiele razy później, w drodze do Manchesteru.

- Dzień dobry. Dzień dobry, pani.

- Ma na imię Minerva - powiedziała Belle. - Reaguje na imię Minnie, ale jej pełne imię brzmi Minerva. Jednak będzie reagować na każde imię, które wybieriecie. Możesz ją nazywać Minnie i będzie reagowała. Ale jej pełne imię brzmi Minerva.

Pierwsza służąca, którą Belle dostała, gdy miała dwanaście lat, cierpiała na przykry nocny kaszel i po kilku tygodniach trzeba ją było wymienić na kogoś cichszego.

- Minerva - odezwało się dziecko.

- No proszę - powiedziała Belle. - Proszę bardzo.

Tej nocy, kiedy Belle Skiffington będzie umierać, jej pierwsza służąca, Annette, która już wyzbyła się kaszlu, jaki męczył ją przez lata, otworzy *Biblię* w gabinecie swojego domu w Massachusetts w poszukiwaniu jakichś wersetów, które pomogłyby jej wyciszyć się przed zaśnięciem. Z *Biblii* wypadnie liść jabłoni z Północnej Karoliny, który ukryła na piersiach, żeby przyniósł jej szczęście tej nocy, kiedy uciekała z piątką innych niewolników. Miała nie widzieć tego liścia przez wiele lat i w pierwszej chwili nie będzie pamiętała, skąd pochodzi ta zbrązowiała i krucha rzecz. Ale gdy to sobie przypomni, gdy liść rozpadnie się jej w palcach, wybuchnie płaczem, który zbudzi wszystkich w domu, i nie będzie jej można uspokoić, nawet gdy wstanie świt. Druga służąca Belle, ta, która nawet jeden dzień w życiu nie chorowała, umrze dzień po śmierci Belle. Na imię miała Party i była matką trójki dzieci, z których w chwili jej śmierci jedno było już martwe, a dwójka jeszcze żyła - Allie i Newby, chłopiec lubiący pić mleko prosto z krowiej dójki. Dzieci te umrą trzeciej nocy, tej samej, w której zmarło ostatnie dziecko Belle - piękna piegowata dziewczynka, która tak ładnie grała na fortepianie.

- Proszę bardzo - znowu Belle powiedziała do Winifred. - Nie chciałabym, żeby ją pani zepsuła, pani Skiffington. Zepsucie już wielu doprowadziło do upadku. I, moja droga Winifred, ja sobie tego nie życzę.

Belle roześmiała się i ponownie podniosła rąbek sukienki Minervy.

- Tak - powiedział Counsel, mrugając do swojego kuzyna, Johna. - Moja żona jest najlepszym dowodem na upadek spowodowany zepsuciem.

*

Rankiem po nocy poślubnej Winifred odwróciła się w łóżku do swojego męża i powiedziała mu, że pragnie, aby w jej życiu nie było niewolnictwa. Odpowiedział jej, że on również tego pragnie, przypomniał swojej narzeczonej, jak wraz z ojcem wyrzekli się niewolnictwa jeszcze przed wyjazdem z Północnej Karoliny. Tak właśnie jego ojciec zinterpretował ostami sen, a także te wszystkie sny, które śnił od tygodni.

- Nie mieszaj się do niewolnictwa - usłyszał głos Boga we śnie. Przez śmierć matki Johna Skiffingtona Bóg jedynie podkreślił to, czego pragnął: *Nie pozostawiaj żony w Północnej Karolinie.*

Skiffington usiadł na małżeńskim łożu. On i Winifred mówili do siebie szeptem, chociaż ich prezent ślubny, Minerva, i jego ojciec znajdowali się daleko, na drugim końcu korytarza. Counsel i Belle wyjeżdżali tego dnia, ale nawet po ich wyjeździe Skiffington nie wiedział, jak pozbyć się dziewczynki. Sprzedaż nie wchodziła w rachubę, ponieważ nie wiedzieliby, co się z nią będzie działo. Nawet sprzedanie jej dobremu i bogobojnemu panu wcale nie gwarantowało, że taki pan nie sprzeda jej komuś, kto nie będzie już tak bogobojny. A sprezentowanie jej w niczym nie było lepsze od sprzedaży. Winifred usiadła na łóżku. Po tym, jak się kochali ubiegłej nocy, oboje wstali i ubrali się w nocną bieliznę, tak bardzo byli nieprzyzwyczajeni do siebie nawzajem. Ściągnęła koszulę ciasno wokół szyi i położyła dłoń na najwyższych guzikach.

- Prawie zapomniałam, gdzie jestem - powiedziała Winifred, myśląc o Południu, myśląc o świecie, w którym ludzie mieli na własność innych ludzi. Spojrzała w okno, zza którego, mimo ciężkich zasłon, docierała zapowiedź wyjątkowo pięknego dnia. W tym momencie przypomniała sobie historię tej kobiety i jej przystojnego męża w Filadelfii - zostali wtrąceni do więzienia za trzymanie dwóch wolnych Murzynów jako niewolników. Murzyni ci byli niewolnikami od lat, nie wychodzili z domu i wszyscy biali sąsiedzi znali ich z imienia, ale ludzie po prostu sądzili, że oni należą do rodziny. Nawet nosili nazwiska białych ludzi.

- To cały Counsel - powiedział Skiffington, jakby trochę na swoją obronę. Południe było domem, a nie jakimś piekłem, jakim chcieli je uczynić niektórzy ludzie z Północy. - Nie każdego stać na to, aby tak po prostu sprezentować niewolnika. Są drodzy, Winifred. To cały Counsel, zawsze się ze mną droczy. Stać go na to, aby mi dokuczać. I naprawdę chcieli ci zrobić przyjemność. Uszczęśliwić cię.

- Boli mnie, gdy o tym pomyślę - powiedziała i zaczęła płakać. Odwrócił się na łóżku i przyciągnął ją do siebie, położył dłoń z tyłu jej głowy. - John, proszę...

- Cicho - powiedział. A potem, po chwili, ucałował czubek jej głowy i przyłożył usta do jej ucha. - Jej może być lepiej tu, u nas, niż gdziekolwiek indziej.

Myślał nie tylko o tym, co mogłoby się stać, gdyby sprzedali ją Bóg jeden wie komu, ale również o tym, co pomyśleliby sąsiedzi, gdyby oddali ją rodzinie Winifred i pozwolili jej żyć na Północy: zastępca szeryfa John Skiffington, niegdyś porządny człowiek, a teraz trzymający z obcymi, i to z ludźmi z Północy. Skiffington zapytał żonę:

- Czyż my dwoje nie jesteśmy dobrymi ludźmi?

- Mam nadzieję - odpowiedziała Winifred. Położyła się na łóżku, a Skiffington zaczął się ubierać. Ostatecznie nadal był zastępcą szeryfa, ślub niczego tu nie zmieniał. Wciąż wzbierały w niej łzy, ale powstrzymała je i zajęła się obserwowaniem męża. Po chwili wyszedł. Znowu zaczęła płakać.

Trzy pokoje dalej Minerva, ich prezent ślubny, usłyszała, że jej pan wychodzi i po cichu opuściła swój pokój. Zaczęła przyglądać się najbliższemu pustemu oknu, korytarzowi oraz wszystkim drzwiom w korytarzu. Przez okno zaglądało jasne słońce i prawie wszystkie szklane gałki u drzwi jarzyły się blaskiem. Po chwili, na jej oczach, słońce stopniowo wzniosło się wyżej i blask zniknął. Minerva była boso, chociaż Belle nieraz ostrzegała ją, aby nie włożyła się po domu bez nocnych pantofli. Minerva pamiętała natomiast, aby założyć na ramiona jeden z szali Winifred.

- Będiesz w porządnym domu - pouczała ją Belle - i nie wolno ci chodzić z obnażonymi ramionami. A teraz powtórz, co ci mówiłam.

Minerva podeszła do najbliższego okna i spojrzała w stronę wschodzącego wciąż słońca. W Północnej Karolinie miała starszą siostrę i kiedy była jeszcze w domu, każdego ranka patrzyła w tę stronę, gdzie wschodziło słońce, w kierunku sąsiedniej farmy, na której jej siostra była niewolnicą. Mogły odwiedzać się mniej więcej raz na trzy tygodnie. I chociaż Minerva podróżowała kilka dni, aby przyjechać z Północnej Karoliny do Wirginii, nadal spoglądała w kierunku, z którego wschodziło słońce, wierząc całym sercem, że może dojrzeć farmę, na której była jej siostra. Rozczarowało ją, że nic nie widzi. Chociaż jej siostra, która została w Północnej Karolinie, mieszkała tylko o krok od Belle Skiffington, jednak miała ocaleć ze spustoszenia, jakie stało się udziałem Belle i prawie wszystkiego, co Bóg jej dał. Minerva chciała otworzyć okno, sądząc, że farma z jej siostrą jest tak blisko, że wystarczy tylko zerknąć za szybę, ale nie śmiała go dotknąć. Minerva i jej siostra miały się ponownie zobaczyć dopiero po ponad dwudziestu latach. Miało się to wydarzyć w Filadelfii, dziewięć przecznic od Filadelfijskiej Pensji dla Dziewcząt.

- Aleś urosła - powie jej siostra, przyłożywszy obie dłonie do policzków Minervy

- Gdybym mogła, to bym wstrzymała to wzrastanie - odpowie jej Minerva. - Czekałabym, abyś mogła zobaczyć, jak dorastam, ale to nie zależało ode mnie.

Minerva odstąpiła od okna i zrobiwszy jeden krok korytarzem, zatrzymała się. Nasłuchiwała. Zrobiła dwa kolejne kroki i znalazła się w pobliżu schodów. Nie miała na tyle odwagi, aby zejść po schodach na dół, gdzie, jak sądziła, przebywała reszta domowników. Już za niecały tydzień nabierze odwagi i będzie jej miała tyle, aby nawet podejść do drzwi

frontowych, otworzyć je i zrobić krok na poranną werandę. Dziewczynka zrobiła jeszcze kilka kroków, minęła swój pokój i doszła do uchylonych drzwi. Zobaczyła ojca Johna Skiffinktona modlącego się na kolanach w narożniku pokoju. Kompletnie ubrany, z kapeluszem na głowie, ten stary mężczyzna, który miał znaleźć sobie drugą żonę w Filadelfii, klęczał już od prawie dwóch godzin - Bóg dał tak wiele i w zamian prosił o tak niewiele. Minerva ruszyła dalej i doszła na koniec korytarza, gdzie Winifred wciąż płakała w swoim łóżku i nie dosłyszała pukania małej dziewczynki, która zastukała w uchylone drzwi raz, a później jeszcze raz. Wreszcie Winifred usłyszała pukanie.

- Tak. Tak - odpowiedziała. - Kto tam?

Minerva dziecięcym paluszkiem pchnęła lekko drzwi, a te uchyliły się nieco bardziej. Dziewczynka zajrzała do pokoju i rozglądała się, aż w końcu ujrzała Winifred. Omiotła niewinnym wzrokiem cały pokój, a potem powoli podeszła do łóżka. Minerva bała się teraz bardziej niż przed chwilą na korytarzu. W tej chwili czuła nawet tęsknotę za Belle, ponieważ Belle była czymś pewnym, czymś, co znała, wszystkie uczucia dziewczynki Winifred widziała w jej twarzy. Dotknęła jej ramienia i rozpoznała szal, który przywiozła z Filadelfii ze swojej „wyprawy”, jak to kiedyś w żartach określiła podczas rozmowy ze Skiffingtonem. Winifred musnęła palcami policzek Minervy, pierwszej i ostatniej czarnoskórej istoty ludzkiej, jaką miała kiedykolwiek dotykać.

- Słyszałam, jak pani płakała - powiedziała Minerva.

- To tylko zły sen - odpowiedziała Winifred. Minerva dalej rozglądała się po pokoju, jakby spodziewając się zastać w nim Skiffinktona. Starła się przypomnieć sobie wszystko, czego ją nauczono o odpowiednim zachowaniu w towarzystwie pani domu. Troska o dobre samopoczucie pani z pewnością była jedną z rzeczy, jakich uczyła ją Belle.

- Na pewno zły sen? - zapytała dziewczynka. Winifred zamyśliła się.

- Wystarczająco zły, jak sędzę.

- Ojej - powiedziała Minerva. - Ojej. Znowu się rozejrzała.

- Jesteś głodna? - zapytała Winifred.

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Minerva, opierając obie dłonie na łóżku.

- Zatem musimy coś zjeść. A oprócz tego musimy znaleźć dla mnie jakieś inne i lepsze imię. Ale najpierw obie musimy coś zjeść.

*

Trzy tygodnie później William Robbins oraz czterej inni najwięksi właściciele ziemscy w okolicy wezwali szeryfa Gillyego Pattersona i Johna Skiffinktona do domu Robbinsa. Robbins nadal nie mógł się otrząsnąć po sprzedaży Tobyego i jego siostry

mężczyźnie, którego spotkał na drodze, i udało mu się przekonać pozostałą czwórkę, że w okolicy czai się coś groźnego. Niczego nie mógł powiedzieć na pewno, ale jeśli William Robbins twierdził, że nadciąga burza, to należało to traktować poważnie i nie miało znaczenia, jak błękitne i piękne było niebo i jak radośnie kroczyły kurczaki po podwórzu.

Robbins wyraził swoje niezadowolenie z braku czujności Pattersona, dając do zrozumienia, że podczas gdy Patterson i Skiffington spali, abolicjoniści niepostrzeżenie zabierali majątek właścicieli w imię jakiejś głupawej idei o rajach dla Murzynów na Północy. Nabral przekonania, że spotkany na drodze mężczyzna przybył do ich hrabstwa, a następnie czekał na niego na drodze i zaprzyjaźnił się z nim jedynie po to, aby ukraść Tobyego i jego siostrę. Robbins po raz pierwszy poruszył temat powołania służby obywatelskiej.

- Tu jest spokojny kraj, William - powiedział szeryf Patterson. - Nie potrzeba nam niczego więcej, niż już mamy. Wraz z Johnem odwalamy tu dobrą robotę.

Patterson cieszył się z tej niewielkiej, posiadanej przez siebie władzy i obawiał się, że proponowanie jakiegokolwiek innego rozwiązania może być atakiem na jego stanowisko. Nigdy też nie podobało mu się to, że Robbins w biały dzień bezceremonialnie przyjeżdżał, kiedy chciał, do miasta, odwiedzając tę swoją Murzynkę i jej murzyńskie dzieciaki.

- Gilly, ilu masz niewolników?

- Nie mam żadnych, William. Dobrze o tym wiesz.

Na werandzie Robbinsa znajdowała się czwórka mężczyzn, wśród nich szeryf i trzech właścicieli ziemskich. Czwarty właściciel ziemski stał na ziemi, obok zastępcy szeryfa - Skiffingtona. Skiffington przez całą drogę musiał wysłuchiwać narzekań Pattersona na temat potrzeby przyjeżdżania do Robbinsa.

- Ja nie jestem chłopcem na posyłki, John - powiedział Patterson do Skiffingtona. - A takim chcę mnie tu zrobić. Nie po to przybyłem tu przez Ocean Atlantycki, żeby zostać chłopcem na posyłki.

Już dawno temu znikły wszelkie pozostałości akcentu, jaki przywiózł z oceanu. Mówił jak każdy przeciętny biały człowiek z Wirginii, jakiego można spotkać na ulicy.

Robbins powiedział: - - Cóż, Gilly, a zatem nie wiesz. Nie masz pojęcia, jak trudno jest zadbać o to, żeby wszystko na tym świecie funkcjonowało, jak trzeba. Jeździsz sobie, pilnujesz spokoju, ale to nie ma nic wspólnego z prowadzeniem plantacji pełnej niewolników.

- Ja też nigdy nie utrzymywałem, że tak jest, William. Mówię tylko, że Manchester to spokojne miejsce - odrzekł Patterson. Spodobało mu się brzmienie słowa „spokojne” i myślał, jak by tu użyć go jeszcze raz przed odejściem.

- Tak było wczoraj - powiedział Robbins. - To był wczorajszy spokój. To było dawno temu, jeszcze wczoraj. Nawet teraz przypominam sobie to zamieszanie z tym czarnuchem Turnerem i całą resztą. Nawet teraz, nawet jeszcze dziś. Moja żona o tym mówi. Moja żona nad tym płacze. On sam nie wymyśliłby czegoś takiego. Ten abolicjonista po prostu przyszedł tu, jak gdyby nigdy nic, i wyszedł przez drzwi z moją własnością.

- Słyszałem, że było inaczej - powiedział Patterson. - Słyszałem, że to był uczciwy interes. Uczciwa sprzedaż, William.

- Wiatr wieje i szum jego słyszysz, lecz nie to, co ja szepczę ci do ucha.

Robbins podniósł się, podszedł na skraj werandy i skrzyżował ręce na piersiach. Dzień wcześniej widział się z Philomena i teraz powróciło do niego gorzkie wspomnienie tego, jak mówiła o Richmond i o tym, jacy mogliby tam być szczęśliwi. Pozostali mężczyźni na werandzie nie ruszali się ze swoich miejsc, a Patterson, pochyliwszy się do przodu na krześle, badał słoje w drewnianej podłodze.

Po chwili się odezwał:

- John i ja wykonamy dodatkową pracę, jeśli to właśnie was gryzie. Moim zadaniem jest ochranianie wszystkich obywateli, zapewnienie, żeby wszyscy mogli codziennie spać spokojnie, a jeśli tak się nie dzieje, to moim obowiązkiem jest się tym zająć.

Jeden z siedzących na werandzie właścicieli ziemskich, Robert Colfax, powiedział:

- Bill, co ty na to?

Robbins i Colfax jeszcze przez długi czas mieli o tym nie wiedzieć, ale tego właśnie dnia ich przyjaźń mijała punkt kulminacyjny. Od tej chwili miała już nieodmiennie zmierzać ku końcowi.

Robbins się nie odezwał.

- Bill, co ty na to? - zapytał Colfax.

Robbins odwrócił się, rozplótł ramiona i przesunął dłonią po włosach.

- Zgoda - odpowiedział. - Jak na razie zgoda. Ale jeśli wydarzy się coś jeszcze...

Usiadł ponownie i podniósł rękę, na której nie było widać obrączki. Natychmiast pojawił się przy nim sługa.

- Przynieś nam coś.

- Tak, panie.

Czarny mężczyzna zniknął i wkrótce powrócił, niosąc napoje. Patterson powiedział, że dziękuje za poczęstunek, że on i Skiffington muszą już wracać. Podniósł się, a po krótkiej chwili pojawił się Henry, prowadząc konie Pattersona i Skiffingtona.

- Obiecuję spokój i zapewnię go wam - powiedział Patterson. - Życzę panom miłego dnia.

Wsiadł na konia, a Henry podał mu cugle. Skiffington już siedział na swoim wierzchowcu.

Mężczyźni na werandzie, a także osamotniony teraz właściciel ziemski na podwórzu, powiedzieli:

- Do widzenia.

*

Patterson piastował stanowisko szeryfa jeszcze przez dwa lata, do 1843 roku, kiedy to Robbins stwierdził, że Patterson nic dotychczas nie zrobił w sprawie ochrony mienia. W 1842 roku zniknął Tom Anderson, czterdziestosześcioletni niewolnik, ale tak naprawdę nigdy nie było wiadomo, czy rzeczywiście uciekł. Jego pan, były pastor o takim samym imieniu, był winien 350 dolarów pewnemu człowiekowi w hrabstwie Albemarle i już wcześniej obiecał niewolnika Toma w ramach zwrotu długu. Powiadano, że zamiast spłacić dług, Tom pastor prawdopodobnie sprzedał Toma niewolnika i zgarnął 450 dolarów, które, o czym powszechnie wiadomo, był wart Tom niewolnik. Tom pastor zawsze twierdził, że „jego Tom” zbiegł, nawet oskarżał abolicjonistów, a później już zawsze tłumaczył się przed człowiekiem z Albemarle, któremu był winien pieniądze, że jest za biedny, żeby oddać dług. Ponieważ Tom pastor nie miał nic więcej, na czym mogłoby zależeć człowiekowi z Albemarle, dług poszedł w zapomnienie, chociaż w swoim testamencie - po raz ostatni poprawianym w 1871 roku, kiedy niewolnictwo nie było już tym, czym było przedtem - człowiek z Albemarle wśród swojego majątku wymienił: „Tom Anderson, NIEWOLNIK z rudymi włosami, lat 46”. Na początku 1843 roku, po rzekomej ucieczce czterech innych niewolników, znikła bardzo pewna siebie czternastoletnia niewolnica Ophelia. W wypadku jej zniknięcia również trudno było znaleźć wyjaśnienie, jakie mogłoby wszystkich usatysfakcjonować. Część białych widziała w tym zbrodniczą rękę jej zazdrosnej pani, osoby kształconej w Paryżu, Wenecji i Poughkeepsie w stanie Nowy Jork, która powróciła do domu w Wirginii ze swoim mężem, latającym za spódniczkami Włochem, który czarnych ludzi zobaczył po raz pierwszy dopiero po przyjeździe do Ameryki. Ale niewolnicy w hrabstwie Manchester powiadali, że Ophelia spotkała matkę Jezusa późnym popołudniem na głównej drodze, którą ludzie jeździli do hrabstwa Louisa, i kiedy Maria usłyszała śpiew Ophelii, od razu stwierdziła, że niebo bez niej jest nic nie warte. Maria zapytała Ophelię, czy chce pójść z nią i w promieniach słońca objadać się brzoskwiniami ze śmietaną aż do dnia Sądu Ostatecznego, na co Ophelia wzruszyła ramionami i rzekła:

- To brzmi zupełnie nieźle. W tej chwili i tak nie mam nic lepszego do roboty Tak czy owak, do wieczora nie mam nic do roboty.

Koniec długiego urzędowania szeryfa Pattersona, człowieka zaledwie trzydziestoosmioletniego, był mało istotnym zdarzeniem w historii hrabstwa Manchester - na liście wydarzeń historycznych plasował się daleko za śmiercią pani Taylor, która zmarła jako studwuletnia dziewczica w 1820 roku, i za burzą śnieżną, która w maju 1829 nawiała dwadzieścia pięć centymetrów śniegu, a także za wypadkiem niewolnika Bakera oraz dwóch chłopaków Otisów, którzy w 1849 roku samoistnie stanęli w płomieniach przed sklepem tekstylnym. Szeryf nadal piastował swoje stanowisko, ale uraz pozostał i Patterson nigdy już nie doszedł do siebie po tym, jak Robbins wzywał go na swoją plantację jak jakieś dziecko, a właściwie jak murzyńskie dziecko. Jednak zdaniem wszystkich, od Robbinsa przez Colfaxes aż po białych, których nie było nawet stać na niewolników, miary dopełniła sprawa Rity, rozdmuchana przez Robbinsa do nadnaturalnego rozmiaru. Rity, czyli kobiety, która stała się drugą matką dla małego Henryego Townsenda. Po sprawie Rity wszyscy się zgodzili, że całemu hrabstwu może wyjść na dobre zmiana, która zakończy coś, co Robbins zaczął określać jako „odpływ krwi niewolniczej”. Patterson zrezygnował ze stanowiska, spakował się i powrócił do angielskiego miasteczka w pobliżu szkockiej granicy, gdzie od stuleci mieszkała jego rodzina. Resztę życia spędził jako hodowca owiec i znano go jako dobrego pasterza, jakby „to było jego powołanie”. Po wyjeździe z Ameryki zdecydowanie poprawiło mu się zdrowie, natomiast zdrowie jego żony, Szkotki z Gretna Green, która miała problemy ze słuchem, nigdy już nie było takie, jak za jej wcześniejszych, szczęśliwych lat w Stanach Zjednoczonych. Gdy tylko ludzie w tej części świata pytali Pattersona o cuda w Ameryce, o możliwości i nadzieje drzemiące w tym kraju, Patterson odpowiadał, że było to dobre i miłe miejsce, ale że wszyscy Amerykanie doprowadzają je do ruiny i że byłoby dużo lepsze, gdyby ich tam nie było.

John Skiffington pokochał Pattersona i darzył go szacunkiem, ale nawet przez jeden dzień nie zastanawiał się nad przyjęciem propozycji Robbinsa i Colfaxes, aby został nowym szeryfem, czy, jak to wyraził Robbins, „przejął obowiązki”. Skiffington rzeczywiście uważał, że lepiej potrafi zadbać o spokój w okolicy, zważywszy na rosnącą wybuchowość Pattersona. Chociaż małżeństwo Skiffingtona trwało już dwa lata, zarówno on, jak i Winifred wciąż uważali się za nowożeńców, dwa lata to było mniej niż jedno mrugnięcie boskiego oka. Skiffington pragnął godnego życia dla swojej panny młodej i sądził, że właśnie stanowisko szeryfa, a nie jakiegoś tam zastępcy, może to zapewnić. Czuł, że może zyskać reputację, która pomogłaby mu wykonywać ważniejsze prace w innym miejscu, nawet w Filadelfii, do której

Winifred, jak często sama powtarzała, chciałaby powrócić. Pewien znany mu człowiek z hrabstwa Halifax awansował od zastępcy szeryfa na delegata stanu w czasie krótszym niż jedno pokolenie, szybciej niż chłopiec wyrasta na mężczyznę. Skiffington kochał Południe, ale jako mąż kobiety z Północy stopniowo pogodził się z myślą, że mogłby żyć szczęśliwie w Filadelfii czy w każdym innym miejscu kraju, i uważał się za jeszcze jednego Amerykanina, który stał się tym, kim jest, dzięki temu, co Południe mu dało i czego go nauczyło. Gdy tylko razem z Winifred przyjeżdżali z wizytą do teściów w Filadelfii, Skiffington nigdy nie wracał na Południe nie złożony wcześniej wyrazów szacunku w miejscu, w którym zmarł Benjamin Franklin. Uważał Franklina za drugiego największego Amerykanina, zaraz po Jerzym Waszyngtonie, a przed Thomasem Jeffersonem.

Chociaż hrabstwo Manchester dysponowało stosownymi funduszami, Skiffington nie zdecydował się wtedy na zaangażowanie zastępcy, ponieważ od początku uważał, że Patterson przyjął go jedynie ze względu na jego ojca. Sam potrafił zrobić wszystko, co było potrzebne. Ale Skiffington, pamiętając o cesarzach, którzy sprawowali władzę nad wszystkim, co nie należało do Boga, skorzystał ze wskazówki udzielonej mu przez Colfaxa i Robbinsa i zebrał zespół dwunastu ludzi, którzy mieli służyć w patrolach jako „nocni pomocnicy” - patrolując teren w poszukiwaniu niewolników. Podzielił hrabstwo Manchester na trzy części i do każdej z nich przydzielił nocny zespół składający się z trzech mężczyzn. Poza jednym człowiekiem, Indianinem Cherokee, wszyscy członkowie patroli należeli do białej biedoty, a tylko dwóch z nich miało niewolników. Jednym był Barnum Kinsey, w tym okresie uważany przez wszystkich za najbiedniejszego białego w hrabstwie, którego przed niewolnictwem, jak to stwierdził jeden z sąsiadów, uchronił jedynie kolor skóry. Kiedy Barnum został członkiem patrolu, jego jedyny niewolnik, Jeff, miał pięćdziesiąt siedem lat. Stanowił on część wiana jego drugiej żony, w którego skład wchodziło także pięć metrów kwadratowych zielonego jedwabiu przeplatanego cudownymi złotymi nitkami, jedwabiu tak bajecznego, że człowiek mógłby wsiąść na niego i poszybować w kierunku słońca. Jeff zmarł w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, kiedy już od prawie roku nie mógł pracować - przez cały ten czas Barnum i jego żona opiekowali się nim. Gdziekolwiek by nie poszedł po śmierci, Jeff mógł być wdzięczny, że w ostatnich miesiącach jego życia Barnum czytał mu z almanachu Franklina *Poor Richard's Almanac*.

- Panie Barnum, niech pan przestanie rozśmieszać mnie tą książką - mówił Jeff, śmiejąc się. - Pan i ta śmieszna książka zabijecie mnie.

Po śmierci Jeffa Barnum musiał posłać do pracy w polu swoje pierwsze dziecko z drugiego małżeństwa. Dzieciak miał wtedy cztery lata, a do tego czasu cały magiczny zielony

jedwab ze złotymi nitkami był już albo sprzedany, albo zużyty Szeryf John Skiffington miał pewnego dnia powiedzieć o Barnumie Kinseyu, że był dobrym człowiekiem, ale nie byłby w stanie praktykować w miejscu, które nie pobrażało ludziom takiej religii jak jego.

Złożone ślubowanie, aby nigdy nie mieć niewolników, nie przeszkadzało Skiffingtonowi w wykonywaniu obowiązków związanych z utrzymywaniem instytucji niewolnictwa, instytucji, którą sam Bóg usankcjonował w *Biblii*. Skiffington nauczył się od swojego ojca, jak wiele pociechy można znaleźć w oddzieleniu prawa boskiego od cesarskiego.

- Oddaj im swoje ciało - uczył go ojciec - ale pamiętaj, że dusza należy do Boga.

Dopóki Skiffington i Winifred żyli w świetle padającym z boskiego prawa, z *Pisma Świętego*, nic na ziemi, nawet jego obowiązki szeryfa względem cesarza, nie mogło im odmówić wstępu do królestwa niebieskiego.

- Nie będziemy posiadali niewolników - Skiffington obiecał Bogu i powtarzał tę obietnicę każdego ranka, gdy klękał, aby się pomodlić. Chociaż dla wszystkich w hrabstwie ich prezent ślubny, Minerva, był ich własnością, Skiffingtonowie nie uważali się za jej właścicieli, a już na pewno nie za takich, jakimi byli inni biali i kilku czarnych, którzy mieli niewolników Minerva nie była wolna, ale w podobnym stopniu, jak nie jest wolne dziecko w rodzinie. Nawet po latach, kiedy w Filadelfii płaciła za te wszystkie plakaty z wydrukowanym wizerunkiem Minervy, Winifred Skiffington miała myśleć tylko o jednym: *Muszę odnaleźć moją córeczkę. Muszę odnaleźć moją córeczkę.*

Za czasów Skiffingtona biuro szeryfa znajdowało się obok sklepu wielobranżowego na głównej ulicy Manchesteru, a po wojnie secesyjnej zostało przeniesione do większego obiektu po drugiej stronie ulicy, obok sklepu z artykułami żelaznymi. Skiffington miał jeden egzemplarz *Biblii* na północno-zachodnim krańcu swojego biurka w areszcie, a drugi w torbie przy siodle. Uspokajało go to, że dokądkolwiek by się udał, zawsze mógł sięgnąć po słowo Boże i czytać je. Dwadzieścia dziewięć lat skończył w tym samym miesiącu, w którym został szeryfem. Miasto i hrabstwo wstępowały właśnie w wieloletni okres „pokoju i dobrobytu”, jak to określiła w opublikowanej w 1948 roku książce historyk Roberta Murphy z University of Virginia. Dla osób żyjących z pracy swoich niewolników oznaczało to między innymi, że aż do śmierci Henry’ego Townsenda nie uciekł ani jeden niewolnik. Roberta Murphy - której książkę odrzuciło wydawnictwo University of Virginia Press, a w końcu opublikowało ją University of North Carolina Press - nazwała ponadto Skiffingtona „darem niebios” dla hrabstwa. Tę badaczkę historii szczególnie interesowały różne osobliwości w hrabstwie. Odnotowała na przykład, że w 1851 roku mieszkającemu na wschodnim krańcu hrabstwa

Manchester właścicielowi dwóch niewolników jednego dnia urodziło się pięć kurczaków z dwiema głowami. Powiadano nawet, że dwa z tych kurczaków zdawały się tańczyć do dźwięków harmonijki. Ludzie zjeżdżali się aż z Tennessee i Południowej Karoliny, aby za opłatą 1 centa móc zobaczyć tę piątkę kurczaków. Zdaniem badaczki, która trzy lata po wydaniu swojej książki uzyskała tytuł profesora zwyczajnego Washington and Lee University, pojawienie się tych kurczaków, a wszystkie dożyły roku 1856, było doniosłym wydarzeniem w historii hrabstwa, na liście ważnych zdarzeń umieszczonym dziesięć miejsc za urzędowaniem Johna Skiffingtona jako szeryfa.

*

Sprawa Rity, dzięki której Skiffington ostatecznie miał zająć posadę szeryfa w 1843 roku, zaczęła się w momencie wykupienia przez Mildred i Augustusa Townsendów od Williama Robbinsa ich syna, Henry'ego. Augustus i Mildred przyjechali po dziecko kilka dni po zapłaceniu ostatniej raty. Czekali tej niedzieli na drodze i koło południa pojawiła się Rita, druga matka Henry'ego, prowadząc chłopca. Strój stajennego należał do Robbinsa, Henry wyszedł więc do rodziców boso i w używanym ubraniu, które Robbins dorzucił za darmo, ponieważ Townsend nigdy nie spóźniał się z płatnością. Kiedy chłopiec i Rita uściskali się już na pożegnanie, Henry'emu pozostało tylko wsiąść na tył wozu.

- Do zobaczenia, Rito - powiedziała Mildred.

- Do zobaczenia - odpowiedziała Rita.

- Do zobaczenia, Rito - powiedział Henry.

Dla wszystkich osób związanych z tą sprawą zdumiewające było to, że Robbins nigdy nie podejrzewał Townsendów, a Henry, który był tak blisko Robbinsa jak jego własny syn, Louis, nigdy słowem się nie odezwał. Rita wyszła na drogę, chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, i stała z założonymi rękami, chyba że machała nimi chłopcu na pożegnanie. Gdy wóz ruszył, zaczęła wymiotować i przez łyzy mogła jedynie myśleć, jak bardzo smakował jej obiad, teraz zmarnowany na drodze. Po chwili znowu zwymiotowała - tym razem myśląc, że to musiało być małe śniadanie składające się z jednego skradzionego jajka i plastra starego świńskiego ucha, które zzieleniałoby w ciągu godziny lub dwóch, gdyby go nie ugotowała. Chwyła rąbek sukienki i wytarła usta. Było południe i słońce stało wysoko. Schowało się na moment za chmurę, a gdy wychynęło ponownie, zrobiła krok w kierunku odjeżdżającego wozu. Otarła łyzy i zaczęła biec, a gdy słońce chowało się za następną chmurę, dogoniła wóz i chwyciła się go. Augustus nie powoził zbyt szybko, ponieważ znowu jego rodzina była razem i miał dużo czasu - widział, jak cały ten czas

rozpościerał się przed nim nad doliną i górami, w nieskończoność. Henry szybko chwycił drugą rękę Rity Augustus i Mildred patrzyli przed siebie, w stronę domu.

- Tatusiu - odezwał się cicho Henry, patrząc na Ritę. Nogi zwisały mu z krawędzi wozu i tylko on był zwrócony do tyłu, w stronę plantacji Robbinsa. - Tatusiu.

Augustus odwrócił się na koźle i zobaczył Ritę.

- Kobieto, co ty wyprawiasz?

- Nie zostawiajcie mnie tu. Proszę, nie zostawiajcie mnie tu - z trudem wydusiła z siebie Rita. Chwilami nie nadążała i wtedy wóz ciągnął ją, a Henry mógł jedynie mocno ją trzymać. Augustus zatrzymał muły. Wspięła się na wóz i chwyciła Henry'ego w ramiona.

- Proszę, proszę. Na Jezusa, proszę.

- Wracaj zaraz - powiedziała Mildred, a Augustus powtórzył za nią te słowa. Słońce znowu świeciło pełnym blaskiem, chmury odsunęły się i teraz więcej światła padało na to, co jeszcze nie było przestępstwem, jedynie drobnym wykroczeniem - dwa uderzenia bicia w plecy Rity i złajanie wolnych i niewinnych Townsendów, również chłopca, który powinien lepiej wiedzieć, nawet jeśli jego rodzice twierdzili, że oni nic o tym nie wiedzieli.

- Wracaj - powiedzieli razem Mildred i Augustus. Henry, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, rozplakał się, ale nadal trzymał. Ritę równie mocno jak ona jego. Augustus zsiadł z wozu i zaczął odciągać Ritę.

- Odejdź. Odejdź, kobieto - powiedział, rozglądając się wokół w obawie, że zaraz pojawi się Robbins, nadzorca albo jakiś niewolnik, który będzie świadkiem całego zdarzenia. Augustus trząsł się na całym ciele i patrzył na nieuchronny ruch słońca, jak umierający człowiek śledzący poruszanie się godzinowej i minutowej wskazówki zegara - gorsza była zapowiedź tej drugiej, dużo szybszej wskazówki na zegarze, oznajmiającej, że jeszcze przed zachodem słońca ich plecy będą wychłostane do żywego mięsa.

- Proszę, Rito, odejdź. Proszę.

- Augustusie, nie zostawiaj mnie tu. Nigdy nie skrzywdziłam Henry'ego. Henry, powiedz mu, jaką dobrą matką byłam dla ciebie.

- Tak, tatusiu, ona była dobrą mamą - odwrócił się i spojrzał na Mildred. - Mamo, ona była dobrą mamą.

- To nie ma znaczenia. Zabijesz nas, Rito. Augustus wzniosł ręce i wygrażał nimi całemu światu.

- Zła matka, dobra matka, to nic nie znaczy.

Ukląkł, aby powstrzymać łzy. Mildred zeszła z wozu i podeszła do niego.

- Augustusie - powiedziała, a Henry powtarzał:

- Tatusiu, tatusiu.

W niecałą godzinę wypowiedział słowo „tatus” więcej razy niż przez całe trzy lata. Augustus podniósł się.

- Augustusie - powtórzyła Mildred. Dotknęła jego piersi, a on zrozumiał ten gest.

- Nie dożyjemy rana - rzekł.

Wsiadł z powrotem na wóz i wzięwszy lejce, już się nie odezwał, czując, jak ten cały widziany wcześniej czas teraz kurczy się i zwija w jego kierunku, cofając się sponad gór i doliny. Mildred kazała Ricie położyć się i z pomocą Henry ego przykryła ją kocem. Kiedy Mildred podniosła się, mąż zapytał ją:

- Masz swoje dokumenty?

- Tak - odpowiedziała. - A ty masz swoje?

Te same pytania zadawali sobie każdej niedzieli przed wyjazdem z domu, ale teraz dodał:

- Masz akt kupna Henryego?

- Tak - odpowiedziała Mildred.

Augustus skinął głową i kazał mułom ruszać naprzód.

- Jazda - powiedział. - Ruszać.

Rzucił okiem za siebie i ujrawszy szare wybrzuszenie, jakim teraz była Rita, a dalej z tyłu wejście do plantacji Robbinsa, gdzie kiedyś mieszkał i on, i jego żona, a także jego dziecko, przynaglił muły do szybszego kroku.

Przesiedział całą noc, czekając i zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Rita, jakby próbując zniknąć, zaszła się w kącie kuchni niedawno ukończonego przez Augustusa domu. Powiedziała Townsendom, że boi się przyjąć łóżko na górze, żeby potem przez całe życie nie musiała zapominać o jego wygodach. Nikt nie pojawił się w poniedziałek i nikt nie pojawił się we wtorek. Wczesnym rankiem w ten wtorek Augustus zaczął zbierać wyrzeźbione przez siebie laski, które miał wysłać do irlandzkiego kupca w Nowym Jorku. Każdą laskę zawijał w grube płótno. Po włożeniu trzeciej laski do drewnianej skrzyni przerwał swoją pracę i spojrzał na Ritę, siedzącą w kącie i śpiącą.

- Rito - powiedział szeptem. Obudziła się i natychmiast; wstała, czując zbliżający się koniec. Nie widziała tych wszystkich białych jeźdźców i ich koni, którzy mieli po nią przyjechać, ale od razu podniosła ręce wysoko w geście poddania się.

- Podejdz tu - wyszeptał Augustus. Wyjął trzy zawinięte laski i polecił jej wejść do skrzyni. W pierwszej chwili pomyślała o trumnie, ale tylko biali ludzie mieli takie ładne trumny.

Kiedy już ułożyła się w środku, z głową w odległości około dwóch centymetrów od górnej krawędzi i stopami prawie dotykającymi dna, po obu jej stronach ułożył zawinięte laski. Zamierzał wysłać kupcowi w Nowym Jorku przynajmniej czterdzieści lasek, ale w tej chwili ocenił, że w skrzyni zmieści się najwyżej siedemnaście. Rodzina Rity zawsze składała się z osobników bardziej kościstych niż mięsistych i teraz okazało się to zbawienne. Augustus często się zastanawiał, jakimi ludźmi byli nowojorscy odbiorcy jego lasek, do jakich miejsc z nimi wędrowali - i o tym właśnie myślał, zawijając laski i uśmiechając się do Rity. U podstawy jednej z lasek Augustus wyrzeźbił Adama. Adam podtrzymał Ewę, a ona trzymała Kaina, który podtrzymywał Abla, i tak dalej, i tak dalej. Po mniej więcej czternastu figurkach, wśród których umieścił swoje wyobrażenie króla i królowej Anglii, znajdował się Jerzy Waszyngton. Rita, nie wiedząc i nie dbając o to, co było na lasce, rozumiejąc tylko, że może otrzymać jeszcze jeden słoneczny dzień, wzięła zawiniętą laskę z Adamem oraz jego rodem i chwyciła ją mocno.

- Wyłaż, muszę zrobić otwory na powietrze.

Gdy już to zrobił, ponownie kazał jej wejść do środka i dopasował pokrywę skrzyni.

- Jak tam? - zapytał ją przez jeden z otworów, kiedy już pokrywa znalazła się na swoim miejscu.

- Jest dobrze. Jest naprawdę dobrze, Augustusie - odpowiedziała. Zanim ją obudził, śpiącą w kącie, śniła o pracy - siała nasiona w rzędach i skończywszy na długo przed wszystkimi, czekała na nadzorcę, który miał jej dać następne zadanie. Na chwilę przed tym, jak Augustus wyszeptał jej imię, podniosła obie ręce, aby nadzorca wiedział, że czekała, a nie ociągała się.

Kiedy Augustus kończył już przygotowywać skrzynię, po wyłożeniu jej grubym płótnem, z góry zeszli Mildred i Henry i patrzyli, co robi. Minęła szósta rano. Zapiał kogut, po chwili następny i jeszcze jeden. Czwórka ludzi wzięła skrzynię oraz laski i zaniósła to wszystko na wóz.

- Napełnij je wodą - powiedział Augustus i podał Henryemu dwie butelki, a sam wrócił do skrzyni. Obok miejsca, w którym miała spoczywać głowa Rity Augustus położył czystą szmatkę. Przesunął nieco jedną laskę i po drugiej stronie miejsca na głowę ułożył napełnione butelki. Zdumiewało go, jak to wszystko łatwo szło, żadnego drżenia dłoni, jakby się urodził tylko po to, aby pakować kobietę do skrzyni i wysyłać ją do Nowego Jorku. Wierzył, że gwizdanie w domu lub w jej go okolicy przynosiło pecha, ale podczas wykonywanej teraz pracy poczuł ogromną pokusę, aby zagwizdać. W końcu odwrócił się do

Rity, podał jej rękę i pomógł wejść na wóz, a później do skrzyni. Zanim zabił wieko, Mildred powiedziała:

- Kochana Rito, zobaczymy się kiedyś tam, jak Bóg da. Rita odparła:

- Mildred, moja droga, zobaczymy się kiedyś tam. Bóg nie mógłby nas tak skrzywdzić, żebyśmy kiedyś tam się nie zobaczyli.

Rita kurczowo trzymała się laski z Adamem i Ewą, podtrzymującymi swoich potomków i wtedy to cała trójka widziała ją po raz ostatni. Mildred często widywała ją w swoich snach. Chodziła po cmentarzu i napotykała ciało Rity, jeszcze nie pochowane.

- Zobaczymy się jeszcze - mówiła martwa Rita.

- Tak, wiem, przecież obiecałaś - tylko tyle Mildred potrafiła powiedzieć, chwytając za łopatę, aby zacząć kopać.

Henry towarzyszył ojcu w drodze do miasta, do agencji spedycyjnej, i przez całą drogę mówił do Rity, a o drugiej po południu skrzyni już nie było. Ojciec i syn patrzyli za odjeżdżającym pociągiem, czekając na to, że się zatrzyma i zacznie się cofać, a cały świat będzie świadkiem dokonanego przez nich przestępstwa: kradzieży mienia białego człowieka. Ale pociąg się nie zatrzymał.

- Jak ona sobie poradzi? - zapytał Henry, kiedy zniknął już i pociąg, i ludzie, i cały dym.

- Powolutku - odparł Augustus.

Mniej więcej w połowie drogi do domu mężczyzna uzmysłowił sobie, że były to przecież pierwsze dni jego syna na wolności. Wraz z Mildred planowali tydzień świętowania, którego punktem kulminacyjnym miało być zaproszenie sąsiadów na najbliższą niedzielę. Augustus odezwał się:

- Czujesz się jakoś inaczej?

- Ale jak? - zapytał Henry Trzymał lejce, kierując mułami.

- Jak wolny. Jak człowiek, który nie jest niewolnikiem.

- Nie za bardzo Nie wydaje mi się.

Chciał się dowiedzieć, czy powinien czuć się inaczej, ale nie wiedział, jak o to zapytać. Zastanawiał się, kto teraz czekał na Robbinsa nadjeżdżającego na Sir Guilderhamie.

- Nie musisz czuć się inaczej. Możesz się czuć, jak tylko chcesz - Augustus przypomniał sobie, jak to kilka lat temu Henry doniósł Robbinsowi, że ojciec go pchnął, i teraz przyszło mu do głowy, że jeśli Robbins miał się kiedyś dowiedzieć o Ricie, to z ust Henry'ego. Zastanawiał się, czy wszystko byłoby inaczej, gdyby najpierw wykupił chłopca, a dopiero później Mildred.

- Nie musisz nikogo pytać, jak masz się czuć. Możesz po prostu czuć się tak, jak ci się podoba. Czujesz się smutny, bądź smutny Czujesz się wesoły, możesz być wesoły.

- No, myślę.

- Och tak - powiedział Augustus. - Ja to wiem. Poznałem już trochę, jak to jest z tą całą wolnością. To jakby wszystko naraz: to, co wielkie, i to, co małe, i tak, i nie, i w górę, i w dół.

- No, myślę - powtórzył Henry.

Ciekawe, ale to właśnie po zakupie drugiej czarnej osoby - nie pierwszej, nie Mosesa, który został u niego nadzorcą - Henry zaczął się martwić. Do tego czasu dowiedział się już, co Augustus i Mildred sądzili o jego postępowaniu. Tą drugą osobą była Zeddie, kucharka, a kupił ją od człowieka z Fredericksburga, który sprzedawał partię pięciu niewolników i dysponował najbardziej bogatą w informacje ulotką, zapełnioną całą historią tych niewolników. Była to głównie fikcja, ponieważ tacy właśnie byli handlarze niewolników z Fredericksburga w Wirginii. Jako czarnoskóry, Henry w tych czasach nie mógł sam kupować niewolników w hrabstwie Manchester. Drugiego niewolnika kupił przez Robbinsa. Być może właśnie dlatego - poza tym, że myślał o rodzicach - Henry sądził, że Zeddie nie była warta pieniędzy, jakie za nią zapłacił. Robbins, po tym, jak mu sprzedał Mosesa, starał się go nauczyć, że każdy człowiek czuje się oszukany po kupieniu lub sprzedaniu niewolnika.

- To dobra kucharka - powiedział, klepiąc swój wielki jak arbuz brzuch, gość z Fredericksburga do Robbinsa o Zeddie, stojącej z głową nakrytą chusteczką, z rękami złożonymi przed sobą, ze stopami w tak marnych butach, że pewnie rozleciałyby się, gdyby w nich nie stała. Henry znajdował się na samym końcu targu i gdyby zobaczył go ktoś obcy, mógłby pomyśleć, że był służącym czekającym na zamknięcie targu i na swojego pana, którego miał odwiedzić do domu. Za pieniądze Henryego Robbins przeprowadzał dla niego wszelkie transakcje zakupu niewolników aż do 1850 roku, kiedy to delegat z Manchesteru doprowadził do zmiany prawa. Większość białych wiedziała, że sprzedając niewolnika Robbinsowi, w rzeczywistości sprzedaje go Henry emu Townsendowi. Niektórzy odmawiali. W końcu Henry był tylko czarnuchem, który dorobił się na szyciu butów i trzewików. Kto mógł wiedzieć, co mu po głowie chodziło? Kto mógł wiedzieć, co naprawdę czarnuch chciał robić z innymi czarnuchami?

- Możesz sobie myśleć, co chcesz - powiedział Augustus do Henryego, gdy wóz zbliżał się do domu - a wszystko będzie w porządku.

*

Minęło czterdzieści jeden godzin, zanim Rita dotarła w skrzyni do Nowego Jorku. Skrzynię otworzyła łomem żona kupca, barczysta Irlandka spotkana przez niego na statku HMS Thames w czasie dwudziestego rejsu tego statku do Ameryki. Pierwszy mąż Irlandki zmarł zaledwie dzień po wyjściu statku z Cork Harbor, pozostawiając ją samą z piątką dzieci. Zgodnie z zarządzeniem kapitana statku, ciało jej męża - w trumnie składającej się tylko z ubrania, w jakim mężczyzna zmarł, i z rodzinnej koronki spowijającej jego głowę - zostało wyrzucone za burtę po odmówieniu dziesięciu *Ojcie Nasz* i dziesięciu *Zdrowaś Mano* przez najstarsze dziecko zmarłego, ośmioletniego chłopca. Chłopiec ten, Timothy, brnął przez dziesiątkę każdej z tych modlitw, chociaż kapitan, niemiecki protestant, uważał, że wystarczyłoby po jednej. Irlandzka modlitwa z pewnością warta była dziesięć razy mniej niż niemiecka. Chłopiec nie potrafił pogodzić się ze śmiercią ojca i wszyscy zebrani mogli to wyczuć w słowach odmawianej modlitwy. Po miesiącu podróży zmarło najmłodsze dziecko Irlandki, pięciomiesięczna dziewczynka - dwadzieścia *Ojcie Nasz* i dwadzieścia *Zdrowaś Mano* odmówione przez Timothy'ego. Trumienka z koronki dla malutkiej Agnes, ostatnia koronka z rodzinnej fortuny.

Mary O'Donnell karmiła dziewczynkę piersią i dzień po tym, jak oddano Agnes falom, mleko przestało płynąć. Uważała, że to naturalny efekt żalu za Agnes. Później miała jeszcze trójkę dzieci ze swoim drugim mężem - sprzedawcą lasek Augustusa Townsenda - ale po narodzinach żadnego z nich mleko nie powróciło.

- Gdzie jest moje mleko? - pytała za każdym razem Boga po urodzeniu kolejnego dziecka. - Gdzie jest moje mleko?

Bóg jednak nie dał jej żadnej odpowiedzi, nie dał też nawet kropli mleka. Przy drugim i trzecim dziecku o wstawiennictwo u Boga zwróciła się do Marii, matki Jezusa.

- Czyż Bóg nie dał ci mleka dla twojego dziecka? - pytała Marię. - Czy Jezuskowi brakowało mleka?

Mary O'Donnell-Conlon nigdy nie zadomowiła się w Ameryce, nigdy nie czuła się tam tak dobrze jak we własnym kraju. Na długo przed tym, jak HMS Thames ujrział brzegi Ameryki, ta Ameryka, kraj pełen obietnic i nadziei, wyciągnęła swoje ręce przez morze i zabrała jej męża, mężczyznę, który zabrał jej serce i je posiadał, a później Ameryka zabrała jeszcze jej dziecko - dwie niewinne istoty w tym bezkresnym świecie, zawierającym tak wiele różnych rzeczy, które mogły zostać zabrane najpierw Nie żywiła urazy do Boga. Bóg był po prostu Bogiem. Ale Ameryce nie mogła wybaczyć, i to ona była dla niej źródłem całej niedoli. Gdyby Ameryka nie wezwała jej pierwszego męża, nie zwiódła go swoim śpiewem,

mogliby zostać w domu i jakoś sobie radzić w tej Irlandii, gdzie dzieci, nawet duże dzieci, miały najbardziej rumiane policzki.

Mary Conlon aż do samej śmierci zachowała czarne włosy. Jako stara kobieta budziła się rano z jednym lub dwoma siwymi włosami, a następnego dnia włosy te ponownie były czarne.

- Tak silne, czarne włosy - mówiła do Boga, gdy miała siedemdziesiąt pięć lat. - Takie włosy, a ja chciałam jedynie trochę mleka.

Dzieci były bardzo do niej przywiązane, ale najbliższy jej i najbardziej oddany był Timothy, pieszczotliwie nazywany ulubieńcem matki. Na statku do Ameryki zamartwiał się na śmierć w obawie, że teraz umrze jego matka. Nawet milion *Ojciec Nasz* i milion *Zdrowaś Mario* nie zmusiłyby go, by oddał matkę morzu.

To właśnie Timothy, wówczas dwunastoletni, stał przy boku matki, gdy otwierała skrzynię od Augustusa Townsenda.

- Nie odsyłajcie mnie z powrotem - dochodził ich głos Rity z ciemności, kiedy jeden po drugim zaczęły wychodzić gwoździe, a podważane wieko stopniowo oddzielało się od skrzyni i do wnętrza pomalutku zaczynało sączyć się słabe światło, oświetlając jej postać. Każdy kolejny wyciągany przez Mary gwoździe rozbrzmiewał w głowie Rity przeraźliwym hałasem, przerażającym i głośnym jak nadejście wojsk. W miarę jak docierało do niej światło, Rita zaczęła odczuwać wstyd z powodu swojego marnego stanu, przez cały siedmiogodzinny odcinek z Baltimore musiała leżeć na brzuchu, ponieważ tragarze nie zwrócili uwagi na słowa wypisane czarną farbą na górze skrzyni przez agenta spedycyjnego w Manchesterze: „TA STRONĄ DO GÓRY. ZACHOWAĆ SZCZEGÓLNA OSTROŻNOŚĆ”. Mary nie zareagowała, gdy najpierw usłyszała, a później, przez pierwszą większą szczelinę, ujrzała czarnoskórą kobietę. Rita, po całkowitym otwarciu skrzyni, zakryła oczy, ponieważ nawet słabe światło w magazynie było dla niej zbyt mocne.

- Nie odsyłajcie mnie. Nie odsyłajcie mnie.

Rita nie wiedziała, czy jest w Nowym Jorku, czy też w domu znajdującym się na plantacji sąsiadującej z plantacją Williama Robbinsa. Ledwo mogła się poruszać, a w ustach miała zupełnie sucho, ponieważ przez całą drogę pozwoliła sobie tylko na pięć łyżek wody. Nie wiadomo było, ile potrwa ta podróż, na końcu której mogła czekać ją śmierć i nie wolno było marnować wody. Jej ciało było tak wysuszone, że nie było nawet w stanie wytwarzać łez, a wypowiedane przez nią słowa wydobywały się z niej, jakby usta miała zatkać szmatami. Powoli otworzyła oczy i ujrzała Mary.

- Nie odsyłaj mnie.

A później, po raz pierwszy ujrawszy chłopca - Timothy ego, Rita zeszywniałymi rękami ofiarowała mu laskę z Adamem i Ewą oraz ich potomkami. Chłopiec, który podobnie jak jego matka przez cały czas zachował kamienny wyraz twarzy, wziął laskę, jakby to było coś, na co przez cały czas czekał.

3

Śmierć w rodzinie. Cdzie jest „Bóg. Dziesięć tysięcy grzebieli

Loretta, służąca Caldonii Townsend, wyszła następnego ranka z domu o wschodzie słońca i otworzywszy drzwi do chaty Mosesa, do których wcześniej raz zapukała, powiedziała mu, że pan Henry nie żyje. Podrapał się po bokobrodach.

- Od kiedy? - zapytał.

- Od zeszłej nocy - odparła. Zona Mosesa, Priscilla, wyszła za nim, zakrywając usta dłonią.

- O Boże - powiedziała. - *Massa* nie żyje. Odwróciła się do syna, który siedział przy palenisku i jadł chleb kukurydziany z sosem.

- Umarł ktoś z rodziny - powiedziała do chłopca. Syn popatrzył na matkę i po chwili powrócił do jedzenia. Coś podszeptało chłopcu, że jego matka, zajęta myśleniem o zmarłym panu, może nie zjeść swojej porcji, zabrał się więc również za jej posiłek.

- Loretto, co z nami teraz będzie? - zapytał Moses, sądząc, że skoro przebywała w domu, to mogła wiedzieć coś więcej. Priscilla przysunęła się do męża i Loretta widziała tylko jedną trzecią jej ciała, reszta była ukryta za mężczyzną.

- Nie wiem, Moses. Musimy czekać i zobaczymy. Cała trójka pomyślała o szóstce niewolników należących do pobliskiej rodziny białych, o szóstce niewolników mieszkających tak blisko, że dla niewolników Henry'ego byli prawie jak rodzina. Wszyscy sześcioro byli dobrymi robotnikami i dzięki nim ich właściciel stał się dosyć zamożny, przynajmniej jak na warunki w hrabstwie Manchester. Loretta odezwała się:

- Musimy czekać i patrzeć, skąd wieje wiatr. Mieszkający w pobliżu biały człowiek zmarł cztery miesiące wcześniej i początkowo wdowa po nim, jego trzecia żona, matkująca dwójce jego dzieci z drugiego małżeństwa, powiedziała niewolnikom, że nie zostaną sprzedani. Ale zanim jeszcze zmarły zdążył na dobre zadomowić się w grobie, wdowa sprzedała swoich niewolników, aby zdobyć fundusze na nowe życie w Europie, którą знаła z dwóch mało wiarygodnych książek z obrazkami, pieczołowicie przez nią przechowywanych i przez lata w kominie ukrywanych przed mężem. W jednej z nich artysta przedstawił, jak sam to określił, paryską modę z 1825 roku. Blisko trzydzieści lat dzieliło rok publikacji książek z

modą od roku, w którym wdowa ostatecznie dotarła do Francji, zatem w momencie jej przyjazdu cały przedmiot jej marzeń - moda z 1825 roku - bez wątpienia wyszedł już z mody. Biali ludzie mówili, że do nowego życia w Paryżu zabrała ze sobą dwójkę dzieci zmarłego, jednak wśród kolorowych, niewolników i wolnych krążyła opinia, że było zupełnie inaczej, że kobieta sprzedała dzieci, gdy tylko bezpiecznie wydostała się z Wirginii. Murzyni powiadali, że na tym świecie, znanym lub nieznanym, ktoś mógłby nie zastanawiać się dwa razy nad kupnem dwójki szczęśliwych białych dzieciaków z puciołowatymi policzkami, potrafiących pisać i śpiewać jak aniołki, a także trochę rachować.

Priscilla podeszła jeszcze bliżej męża, ukrywając za nim większość z trzeciej części swojego ciała, jaką wcześniej widziała Loretta. Powiedziała:

- Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiała opuścić plantację *massy* Henry'ego. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym znowu nie wiedziała, gdzie jestem na świecie.

Sprzedaż szóstki niewolników z sąsiedztwa - wraz ze zwierzętami, ziemią i całym wyposażeniem - przyniosła wdowie nieco powyżej 11316 dolarów, co uzupełniło 1567 dolarów i 39 centów, jakie jej mąż trzymał w banku i zakopane na podwórzu. Po sprzedaży wszystkiego, na swoim miejscu pozostała jedynie ziemia, cała reszta, między innymi niewolnicy, została rozrzucona po najdalszych zakątkach świata. Każdy niewolnik trafił do innego miejsca. Piątkę z nich łączyły więzy krwi. Jedna niewolnica, Judy, była żoną młodego mężczyzny, którego właścicielem był Henry Townsend. Inna, licząca niecałe siedem miesięcy Melanie, dopiero przyzwyczajała się do stałych pokarmów i zaczynała raczkować, cały czas trzeba więc było mieć ją na oku. Przez swojego wujka nazwana „panna żywe srebro”, mała Melanie - jak chwalili się jej rodzice wszystkim, którzy tylko chcieli słuchać - miała werwy za trójkę dzieciaków i potrafiła raczkować i raczkować po wszystkich kątach, aż w końcu ktoś jej nie podniósł, albo dopóki nie zmęczyły się jej rączki i nóżki.

Moses znowu podrapał się po bokobrodach i w panującej wokół ciszy, przerywanej jedynie trzaskaniem ognia w palenisku, ktoś przechodzący dróżką między chatami mógłby usłyszeć, jak jego palce przesuwają się po policzkach. W tym właśnie momencie z sąsiedniej chaty wyszedł Elias, niosąc puste wiadro na wodę. Skinął głową na powitanie osobom stojącym w drzwiach chaty Mosesa, ale nikt słowem się nie odezwał. Loretta odkloniła się na dzień dobry Eliasowi. Uważała, że to Moses powinien powiedzieć mu o śmierci Henry'ego.

- Moses - odezwała się Loretta, gdy Elias już ich minął. - Wszystko może poczekać, aż Henry spocznie spokojnie w grobie, aż pochowamy pana. Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Słyszę - odrzekł Moses. - Świetnie słyszę. Loretta powiedziała:

- Czy ktoś tu może sprawiać kłopoty? Czy ktoś może tu zrobić coś, co zakłóciłoby ostatnią drogę tego człowieka do grobu?

- Lepiej powiedz jej o Stamfordie - odezwała się Priscilla. Stamford miał czterdzieści lat i rozpaczliwie szukał jakiejś młodej kobiety, do której mógłby się zbliżyć. Kiedy Stamford miał najwyżej dwanaście lat, pewien człowiek powiedział mu, że aby przetrzymać niewolę, mężczyzna musi mieć młodą kobietę, „młode ciało” - jak to określił. Bez „młodego ciała” mężczyzna był skazany na straszliwą śmierć w niewoli.

- Nie daj się, Stamfordie - wielokrotnie powtarzał mu ten człowiek. - Zawsze miej młode ciało na podorędziu.

- Jakieś problemy ze Stamfordem? - zapytała Loretta, wpatrując się w czubek głowy Priscilli, gdyż tylko tyle było jej widać. - Znowu Gloria?

Gloria była ostatnim młodym ciałem Stamforda. Moses odrzekł:

- Z tym raczej koniec. Wydaje mi się, że przedwczoraj go wywalila. Teraz Stamford jest chyba sam, a to dla niego nie jest najszcześniejszy stan.

- Mosesie, proszę, powstrzymaj go - powiedziała Loretta. - Nie pozwól, żeby zaczął jakąś awanturę. Stamfordem możemy zająć się po pogrzebie. Nie chcę żadnej awantury, gdy będziemy składać Henry ego do grobu.

- Powstrzymam go - odparł Moses. - Albo mu gnaty porachuję, jeśli będzie czegoś próbował.

- Żadnego bicia. - Loretta spojrzała na dróżkę między chatami, na której mała dziewczynka stała z rękami na biodrach i patrzyła na nią. Loretta знаła jej imię, pomogła przyjść tej dziewczynce na świat. *Przywitaj się ze mną, malutka. Przywitaj się z Loretta.*

- Żadnego bicia, tylko go powstrzymaj. I mam nadzieję, że nie mylisz się co do Stamforda, jak myliłeś się w wypadku Eliasza.

- Po mojemu to z Eliaszem wciąż mogą być kłopoty. Loretta odwróciła wzrok od dziewczynki i powiedziała do Mosesa:

- Pani Caldonia i pani Fern chcą, żebyś za jakąś godzinę, po śniadaniu, zebrał wszystkich przed domem - i ponownie spojrzała między chaty, ale okazało się, że dziewczynki już nie było. Stała teraz dokładnie w miejscu, w którym słońce miało się wyłonić zza horyzontu. - Idź i powiedz im, że Henry nie żyje.

Skinął głową. Był boso. Oboje wiedzieli, gdzie było jego miejsce w hierarchii osób ważnych i mniej ważnych na plantacji Townsenda, nie ociągał się więc, kiedy kazała mu coś zrobić. Kiedyś, niedługo po tym, jak Henry kupił ją dla swojej młodej żony, Loretta przez wiele tygodni uważała, że Moses mógłby być dla niej odpowiednim mężczyzną, nie najgorszą

partią, ale pewnego ranka obudziła się, słysząc, jak on krzyczy na kogoś czy na coś. Krzyk był tak głośny, że ucichły nawet poranne ptaki. Krzyczał tak nieprzerwanie, aż z domu wyszedł Henry i kazał mu się uciszyć. Tego ranka, kiedy Moses głośno krzyczał, było tak zimno, że zraniła się w rękę, rozbijając wodę w miednicy I gdy później ubierała się, spragniona ciepła, wiedziała już, że on się nie nadaje. Teraz Loretta odwróciła się od Mosesa i Priscilli i odeszła spod ich drzwi.

W drodze powrotnej do domu spotkała Eliasa, który niósł wiadro wody ze studni.

- Powiedz Celeste, że Henry nie żyje.

- Wbiłaś mu igłę, żeby się upewnić? - zapytał Elias. - Szturczałaś go, żeby mieć pewność?

Początkowo, zanim jeszcze sobie wszystko przypomniała, niezbyt rozumiała, co mógł mieć na myśli, a jej usta otworzyły się w zdumieniu na kształt małej litery „o”. Kiedyś potrafił być dla niej bardziej miły Loretta spojrzała w dół na wodę, jak dochodziła aż do samej krawędzi wiadra. Nie było widać, żeby uronił choć jedną kroplę, a to świadczyło o sposobie, w jaki poruszał się po świecie, nawet z tą swoją głową, niezrównoważoną po utracie części ucha.

- Nie żyje i tyle - powiedziała Loretta. - Potrafię rozpoznać umarłego, Eliasie. Nie robi min, żeby wyglądać jakoś inaczej. *Master* martwy.

Wielu niewolników mówiło, że stosunek sługi do jego pana można było rozpoznać po tym, czy w danym dniu nazywał go *master*, *marse* czy *massa*. *Morse* mogło brzmieć jak przekleństwo, jeśli było wypowiedziane przez odpowiednią kobietę w odpowiedni sposób. Alice jako jedyna mówiła *massa*, ale wydobywało się to z niej jak wołanie z grobu.

- *Master nie żyje* - powtórzyła Loretta, a Eliasa uderzyło, że nigdy wcześniej nie słyszał, żeby mówiła *master*. Poczul potrzebę powtórzenia jej słów, jakby to miało załatwić sprawę raz na zawsze.

- *Master nie żyje*.

Ominęła go i zginęła we mgle, która szybko zniknęła, wypalana przez słońce. Powróciwszy do domu, stanęła w oknie kuchni i patrzyła na świat wynurzający się z mgły. Nie było potrzeby mówić kucharce Zeddie, żeby przygotowała śniadanie, ani Bennettowi, mężowi Zeddie, żeby rozpałił ogień. Chwilowo to śmierć wydawała wszystkie polecenia. Wszędzie panowała cisza. Loretta miała trzydzieści dwa lata. Kiedy nadejdzie dzień, w którym wszyscy niewolnicy przestaną już być niewolnikami i gdy będą decydować, jakie mają sobie wybrać nazwiska, ona nie wybierze nazwiska Townsend, Blueberry, Freeman czy

też Godspeed albo Badmemory, jak uczyni to wielu. Nie wybierze żadnego i tak pozostanie nawet wtedy, gdy postanowi wyjść za mąż.

*

Moses ruszył dróżką między chatami, osiem po jednej stronie i osiem po drugiej, ustawionymi tak, jak Henry Townsend ujrzał to we śnie, kiedy skończył dwadzieścia jeden lat i nie miał jeszcze żadnego niewolnika. W pierwszej chwili Moses chciał posłać jednego ze swoich synów albo inne dziecko, żeby powiedziało wszystkim, że mają się zebrać na podwórzu domu, ale kiedy wyszedł ze swojej chaty i zobaczył, jak wypełniona słońcem mgła strzępi się i rozmywa w nicłość, uzmysłowił sobie, że była to jedna z tych ostatnich rzeczy, jakie jeszcze zrobi dla swojego pana. Nie wiedząc, że Loretta już powiedziała Eliasowi, najpierw poszedł do jego chaty, która stała tuż obok. W tym samym momencie do drzwi podeszła żona Eliasa, Celeste. Być może czegoś się spodziewała, a może miała zamiar wpuścić trochę porannego powietrza, w każdym razie Celeste otworzyła drzwi, zanim jeszcze zdążył zapukać.

- *Master* nie żyje - powiedział Moses.

- Stało się więc - odpowiedziała i wytknąwszy głowę przez drzwi, spojrzała w stronę domu ich pana, jakby spodziewając się, że na werandzie zobaczy jakiś znak oznajmiający tę wiadomość.

- Musimy iść do domu - dodał Moses.

- Elias - odezwała się Celeste do swojego męża, odwracając się w jego stronę. - Henry odszedł.

Spojrzawszy mu w oczy, od razu poznała, że on już o tym wie, choć przez myśl mu nie przeszło, żeby i jej powiedzieć. Najmniejsza plamka brudu na policzku jego dziecka potrafiła być dla niego bardzo ważna, natomiast śmierć jego pana znaczyła nie więcej niż śmierć muchy w jakimś obcym miejscu, o jakim nigdy nawet nie słyszał. Celeste również nie darzyła Henryego specjalną miłością, ponieważ jednak śmierć odebrała mu całą jego moc, stać ją było na odrobinę miłosierdzia.

- Henry nie żyje. Niech Bóg będzie miłosiwy - powiedziała i pokuśtykała do Eliasa i do trójki swoich dzieci bawiących się na sienniku. Kuśtykała straszliwie i budziło to wielki żal w sercach większości widzących to ludzi, sądzili bowiem, że poruszanie się musi sprawiać jej cierpienie. *Zwierzęta zabijano za dużo mniejsze ułomności* - pomyślał kiedyś Moses po tym, jak Henry przywiózł ją do domu. Niezależnie od swojego kalectwa była jednak dobrą pracownicą.

Moses przeszedł się między chatami tam i z powrotem i powiadomił wszystkich. Wszystkie chaty, poza jedną, były zajęte. W chacie tej zmarł pewien mężczyzna, niejaki Peter, a wdowa po nim, kobieta o imieniu May, opuściła ją, aby dać duchowi Petera czas i przestrzeń na przygotowania do drogi do domu. Zanim Moses dotarł do ostatniej chaty po jego stronie dróżki, tej, którą Alice, nazywana przez niego „nocnym włóczęgą”, dzieliła z Delphie i jej córką, Cassandrą, na dróżkę zaczęli wychodzić niewolnicy. Kilka kobiet płakało, wspominając, jak Henry się uśmiechał, jak przyłączał się do ich śpiewów, albo po prostu myśląc, że kiedy ktoś umiera - dobry czy zły, pan czy niewolnik - to pada kolejne drzewo w lesie życia, który chroni ich przed ich własną śmiercią. Większość jednak niczego nie mówiła ani nic nie robiła. Ich świat zmienił się, ale oni jeszcze nie potrafili pojąć, w jaki sposób. Byli własnością człowieka czarnoskórego, co dla wielu na tym świecie było czymś niezwykłym, a teraz, po jego śmierci, być może kupi ich człowiek o skórze białej, co już nie było takie dziwne. Jednak obojętnie, co się wydarzy, jutro znowu wstanie dla nich słońce, później księżyc, psy będą gonić własne ogony, a niebo niezmiennie pozostanie poza zasięgiem.

- Źle spałem - powiedział do swojego sąsiada mężczyzna mieszkający naprzeciwko Eliasa.

- No, ja spałem świetnie - odpowiedział sąsiad. - Spałem, jakby mi za to płacili, spałem za trzy białe kobiety wolne od wszelkich trosk.

- Wygląda na to - stwierdził pierwszy - że musiałeś zabrać trochę mojego snu. Lepiej mi oddaj. Lepiej mi oddaj, zanim mi go zużyjesz. Oddawaj.

- No dobra, oddam - odparł ze śmiechem sąsiad, przyglądając się luźnym nitkom na swoich ogrodniczkach. - Na pewno. Jak tylko skończę. Ale na razie mam zamiar skorzystać z nich dzisiaj w nocy. Przyjdź po nie jutro.

Obaj się roześmiali.

Często się zdarzało, że Alice, nocny włóczęga, stała gotowa do wyjścia za drzwiami w momencie, gdy Moses otwierał je każdego ranka, ubrana i gotowa do pracy, jakby tak stała w drzwiach i czekała na niego przez całą noc. Również teraz czekała ze swoim nieodłącznym uśmiechem, jakim nieodmiennie witała wszystko - od śmierci dziecka sąsiadów po cztery pomarańcze, jakie Henry i Caldonia dawali każdemu niewolnikowi w rano Bożego Narodzenia.

- Dziecko zmarło, dziecko zmarło, dziecko zmarło - śpiewała. - Pomarańcze na Boże Narodzenie, pomarańcze na Boże Narodzenie, pomarańcze na rano Bożego Narodzenia.

- Żadnych głupot, kobieto - powiedział jej Moses. Odwrócił się i zobaczył Stamforda, poszukiwacza młodych ciał, stojącego w środku tłumu i zerkającego na Glorię, która nie chciała być już jego młodym ciałem.

- Pan nie żyje - Moses powiedział do Alice. - Dziś rano żadnych głupot, kobieto.

Alice wciąż się uśmiechała.

- Pan zmarł, pan zmarł, pan zmarł.

- Uspokój się, dziewczyno - powiedział Moses. - Trochę szacunku dla zmarłych.

Opowiadano, że muł, który przed laty kopnął Alice, był mułem jednookim, ale przez to, że był jednooki, wcale nie był bardziej wredny niż każdy inny muł. Opowiadano również, że chwilę po kopnięciu, gdy już odzyskała zmysły, Alice trzepnęła muła i wyzwalała go od najgorszych. Działo się to, zanim Henry wykupił ją za 228 dolarów i dwa buszle jabłek z posiadłości białego człowieka, który nie miał spadkobierców i obawiał się mułów. To właśnie przez to wyzwisko wszyscy się dowiedzieli, że wstąpiła na drogę obłąkania, gdyż przed kopnięciem Alice była znana jako miła dziewczyna używająca miłych słów.

- Moses? - Współlokatorka Alice, Delphie, podeszła z tyłu do Alice.

- *Master me* żyje - powiedział Moses. - Ty i Cassie weźcie Alice i razem z wszystkimi chodźcie do domu.

- Moses, *master nie żyje*? - zapytała Delphie. - Co teraz z nami będzie?

Za kilka miesięcy miała skończyć czterdzieści dwa lata i już teraz żyła dłużej niż wszyscy jej przodkowie, wszyscy bez wyjątku. Nie miała świadomości wielowiekowej historii, jaka ją poprzedzała, jedynie w kościach pojawiała się to uczucie, że od pewnego czasu zapuszczała się w jakieś nieznane miejsce, a uczucie to budziło w niej nadzieję na odnalezienie drogi, która nie będzie zbyt głęboko wrzynać się w jej stopy i w jej duszę. Coraz śmieiej zaczynała marzyć, że dożyje pięćdziesiątki. *Mam na imię Delphie i mam pięćdziesiąt lat. Policzcie je. Zaczynjcie od pierwszego i policzcie je. Jeden Delphie, dwa Delphie, trzy Delphie...* Przed czterdziestką życzyła sobie tylko, aby świat był dobry dla jej córki Cassandry, czyli Cassie, jak ją niektórzy nazywali. Nachodzące ją teraz drugie życzenie rodziło w niej obawę, że pragnienie dożycia pięćdziesiątki może zniechęcić Boga do spełnienia jej pierwszego życzenia, tego o córce. Bóg mógłby powiedzieć: „Delphie, zdecyduj się w końcu na jakieś życzenie. Nie mam tyle czasu, a ty masz za dużo życzeń”. Delphie zwróciła się do Mosesa:

- Wyjedziemy stąd? Sprzedadzą nas?

- Nic więcej nie wiem, poza tym, że jest ranek i że pan umarł - odpowiedział Moses. - Ty i Cassie weźcie Alice i chodźcie do domu, jak wszyscy.

- Pan zmarł, pan zmarł, pan zmarł - śpiewała Alice.

- Idziemy - powiedziała Delphie. Popatrzyła na swoją córkę, a Cassandra zgarbiła się. Kupiono je razem, był to jeden z tych kilku wypadków, gdy Bóg wysłuchał modlitw Delphie. Zastanawiała się teraz, czy powinna modlić się za duszę Henryego. Krocząc w kierunku domu, pomyślała, że modlitwa za człowieka, który był jednym z dzieci bożych, z pewnością nie pójdzie na marne. Codziennie modliła się, żeby jedzenie zostało w jej brzuchu, odmawiała modlitwy długie na dziesiątki słów. Można chyba zatem poświęcić dziesięć słów za duszę Henryego Townsenda. Delphie zobaczyła Stamforda stojącego dwie osoby za Glorią, kobietą, która już go nie chciała. *Jeśli tylko dotknie Glorii, pomyślała Delphie, z miejsca przyłożę temu głupcowi - tu, na otwartej przestrzeni.*

Na dróżce między chatami zebrał się już tłum i Moses powoli się przez niego przedzierał, przedzierał się przez niepewność dwudziestu dziewięciu dorosłych i dzieci. W swojej chacie zastał Priscillę i swojego syna Jamiego, który bawił się w łapki z Tessie, najstarszym dzieckiem Eliasa i Celeste. Moses wyszedł z chaty i ruszył w kierunku domu, a za nim poszli wszyscy. Dzieci podskakiwały po drodze, jak to zawsze robiły w niedzielę, kiedy miały wolne. Wszystkie dzieci, z wyjątkiem niesionych przez rodziców, szły przed dorosłymi. Kiedy doszli na miejsce, zastali Caldonię na werandzie, a wraz z nią Augustusa i Mildred, rodziców Henry'ego, stojących po jednej stronie, a po drugiej nauczycielkę Fern Elston, która trzymała Caldonię za rękę. Augustus i Mildred przyjechali niecałą godzinę wcześniej. Za Caldonią znajdowała się jej matka i brat bliźniak. W drzwiach stała służąca Loretta, za nią kucharka Zeddie i jej mąż Bennett. Mgła się rozwiła i znowu zapowiadał się piękny dzień.

Caldonia podeszła na skraj werandy i po raz pierwszy po wyjściu przez frontowe drzwi podniosła głowę. Miała na sobie czarną żałobną suknię z welonem, przywiezioną przez matkę. Słońce świeciło jej prosto w twarz, ale Caldonia nie przysłaniała oczu. Przed wyjściem płakała i wiedziała, że łązy wkrótce powrócą, chciała się więc pospieszyć, aby wypowiedzieć przynajmniej kilka słów. Fern objęła ją ramieniem i Caldonia uniosła welon.

- Wiecie już, że nasz Henry od nas odszedł - powiedziała do niewolników. - Odszedł na zawsze, odszedł do nieba. Módlcie się za niego. Poświęćcie mu wszystkie wasze modlitwy. On troszczył się o dobro was wszystkich, a we mnie jest nie mniej troski. Ja również was kocham.

Nie zastanawiała się wcześniej, co ma powiedzieć. Te wszystkie wypowiedane słowa nie pochodziły od niej, stanowiły część czegoś, co już gdzieś słyszała, czegoś, co mógł mówić

jej ojciec jako bajkę do poduszki, co Fern Elston mogła przed laty wkładać do głowy Caldonii i dziesiątek innych uczniów. Caldonia powiedziała do niewolników:

- Proszę, nie martwcie się. Jestem tu i tu pozostanę. A wy będziecie ze mną. Będziemy razem w tym wszystkim, co nas czeka. Bóg jest z nami. Bóg da nam wiele dni, dobrych i jasnych dni, dni dobrych i radosnych. Wasz pan miał pracę do wykonania, wasz pan pragnął lepszego życia dla was, dla waszych dzieci i dla tego świata, a ja również tego dla was pragnę. Proszę, nie martwcie się. Bóg jest z nami.

Było to jak coś, co przeczytała w książce napisanej przez białego człowieka w innym czasie i miejscu. Henry zawsze powtarzał, że chciałby być lepszym panem niż wszyscy znani mu biali. Nie rozumiał, że świat, jaki chciał stworzyć, był z góry skazany na niepowodzenie, jeszcze zanim zdążył wypowiedzieć pierwszą sylabę słowa „master”.

Caldonia zająknęła się i zaczęła płakać, a jej teść, Augustus, wziął ją w ramiona i chwilę później oddał ją w objęcia jej brata, który odprowadził ją do domu, a za nimi do domu weszły jej matka, Fern Elston oraz Loretta.

Augustus zszedł po schodach, a Mildred podążyła za nim. Dokładnie wiedzieli, co niewolnicy czują w sercach, dokładnie wiedzieli, co oni myślą. Niewolnicy podchodzili do nich, nic nie mówiąc. Augustus zszedł między nich nie po to, aby odebrać kondolencje, ale ponieważ teraz, po przemówieniu Caldonii, wiedział już, że śmierć jego syna nie przyniesie im wolności. Wiedział, że nikt z nich nawet nie marzył, że śmierć może dać im wolność - ich świat poruszał się w kosmosie w inny, nie tak łaskawy sposób. Ale on przez jakiś czas w to wierzył, miał nadzieję od tej chwili, gdy o drugiej nad ranem rozległo się pukanie do drzwi.

- Augustus, przykro mi, ale pani kazała powiedzieć, że umarł *master* Henry - powiedział Bennett, w jednej ręce trzymając przepustkę, a w drugiej latarnię, aby w ciemnościach można było zobaczyć jego twarz. Augustus wierzył w Caldonię, zawsze w nią wierzył, od samego początku widział w niej światło, jakiego brakowało jego własnemu, urodzonemu w niewoli synowi. Ale teraz w jej słowach zabrakło tego światła. Zatem on i Mildred zeszli po schodach, aby przekazać własne kondolencje. Szli przez tłum, ściskając mężczyzn i kobiety, całując twarzyczki dzieci, bo przecież poznali ich przez te wszystkie lata.

Zanim dotarli do końca tłumy, do domu przyjechał William Robbins w lekkim powozie powożonym przez Louisa, jego syna. Louis, Caldonia i jej brat bliźniak Calvin razem chodzili do szkoły, w której uczyła Fern. Robbins siedział na tylnym siedzeniu powozu wraz z Dorą, siostrą Louisa, jeszcze jedną koleżanką Caldonii ze szkoły. Robbins wysiadł z powozu i obszedłszy go, pomógł wysiąść Dorze. Żaden z niewolników się nie poruszył. Mając czarnego pana i czarną panią, wielu z nich rzadko miało okazję zobaczyć białego

człowieka. Zdjąwszy kapelusz, Robbins podszedł do schodów i zaczął się po nich wspinać w kierunku drzwi, a za nim podążyły jego dzieci. Augustus przez cały czas obserwował tego białego człowieka. Robbins nie obejrzał się ani razu, ale gdy znalazł się przy drzwiach w jego głowie rozpętała się burza, a to spowodowało, że się odwrócił.

- Panie? - powiedział Louis. - Panie?

Robbins podszedł na skraj werandy i spojrział w dół na wszystkich zebranych.

- Co ja wam mówiłem? - zapytał zgromadzonych. - Czy ja wam nie mówiłem?

Dora zapytała ojca, czy coś się stało. Pomijając skórę, ciemniejszą o półtora tonu, oraz różnicę wieku, Dora była jak dwie krople wody podobna do córki, którą Robbins miał ze swoją białą żoną.

- Co ja wam mówiłem?

Wiatr, delikatny, ale nieustępliwy, przeszedł przez jego głowę i burza ucichła, i chwilę później Robbins podniósł dłoń w geście pozdrowienia tłumu. Ludzie nie zareagowali. Robbins zdawał sobie sprawę, że w ostatniej minucie coś się wydarzyło, ale zupełnie nie wiedział, co, nie wiedział też, w jaki sposób mógł się skompromitować, nawet przed tą zbieraniną niewolników. Przypomniawszy sobie, że przybył tu, ponieważ zmarł człowiek, którego los nie był mu obojętny Henry, ten dobry Henry, zmarł. Dora podeszła od tyłu do ojca i delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

- Wejźmy do środka - powiedziała. Robbins odwrócił się i bez pukania otworzył drzwi domu Caldonii. Za nim weszła dwójka jego dzieci. Calvin wyszedł z domu i zszedł do zgromadzonych, aby przekazać im życzenie Caldonii, zgodnie z którym nikt nie miał pracować ani tego, ani następnego dnia, kiedy to odbędzie się pogrzeb.

- Moses - powiedział - dajcie mi znać, jeśli czegoś potrzeba.

Miało to znaczyć - jeśli czegoś potrzeba do przygotowania trumny i grobu dla Henry'ego. Stamford, starając się zrobić wrażenie na kobiecie, która już go nie chciała, ostentacyjnie ścisnął dłoń Calvina i powtarzał, że bardzo mu przykro z powodu śmierci biednego pana Henryego. Calvin skinął głową. Chciał zostać tu, na dole, z niewolnikami, ale obawiał się, że nie będą go tak mile witać jak Augustusa i Mildred. Wraz z matką mieli trzynastu niewolników, mimo to trudno byłoby nazwać go szczęśliwym młodym człowiekiem. Gdy tylko poruszał z nią temat ich wyzwolenia, a robił to często, Maude, jego matka, powtarzała, że są jego dziedzictwem, dodając, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wyzbywa się własnego dziedzictwa.

Nikt z niewolników nie podszedł już do Calvina, zaczął się więc zbierać do odejścia. Augustus rzucił w stronę jego pleców:

- Powiedz Caldonii, że zaraz przyjdziemy.

Calvin ponownie skinął głową i ruszył w kierunku domu. Jego ojciec zmarł powolną śmiercią trzy lata temu, usychając i kurcząc się jak liść w bezdeszczowy grudzień, a Calvin zawsze podejrzewał, że ojciec został otruty przez swoją żonę, ponieważ miał zamiar uwolnić niewolników - ich dziedzictwo.

- Kochana Maude, chciałbym stanąć przed Bogiem z czystym sumieniem - często powtarzał ojciec Calvina. Po śmierci ojca Calvin został z matką w ich domu, w otoczeniu niechcianego dziedzictwa, ponieważ Maude powiedziała mu, że ona też nie zagrzeje miejsca na tym świecie. Został również ze względu na bliskość syna Williama Robbinsa, Louisa, którego Calvin kochał, a który nigdy nie mógłby odwzajemnić miłości Calvina. Calvin opuścił Augustusa, Mildred i zebranych niewolników, wszedł po schodach i zatrzymał się, stał tak tam przez dłuższą chwilę, tylko jakieś pół metra od drzwi.

Niewolnicy w towarzystwie Mildred i Augustusa poszli do swoich chat. Nawet teraz, po odejściu Henry'ego, a zwłaszcza teraz, Mildred i Augustus nie zamierzali zatrzymywać się w domu zbudowanym przez ich syna i jego niewolnika. Postanowili zatrzymać się w chacie, którą opuścili zaledwie kilka dni wcześniej, kiedy Henry zapewnił ich, że już czuje się lepiej.

Wśród niewolników, których Henry Townsend pozostawił swojej żonie, było trzynaście kobiet, jedenastu mężczyzn i dziewięcioro dzieci. Lista dorosłych obejmowała służących pracujących i mieszkających w domu - Loretę, Zeddie i Bennetta. W każdej chwili w domu mogli pracować inni dorośli lub dzieci; zależało to od prac, jakie należało wykonać, i od tego, czy byli potrzebni w polu. Przed niewolnikami wracającymi do swoich chat szła grupka dzieci, a na jej czele kroczyła najstarsza córka Eliasa i Celeste, Tessie. Zaczęła podskakiwać po drodze, ale ktoś z dorosłych powiedział jej, że umarł człowiek i że skakanie trzeba odłożyć na inny dzień. Tessie miała już prawie sześć lat, a że była nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców, posłuchała i przestała podskakiwać. Tessie miała dożyć dziewięćdziesięciu siedmiu lat, a lalka, którą zrobił dla niej ojciec, miała towarzyszyć jej do samego końca. Ona i jej lalka, która już dawno straciła włosy z kukurydzy, jakie jej zamocował ojciec Elias, przeżyły dwójkę jej własnych dzieci, a lalka przeżyła ją samą. Tego dnia obok Tessie szedł Jamie, syn Priscilli i nadzorcy Mosesa. Chłopiec miał skłonności do psot i był najgrubszym niewolniczym dzieckiem w czterech hrabstwach, a w wieku ośmiu lat był najlepszym przyjacielem Tessie. Jamie ciągle powtarzał, że pewnego dnia pobierze się z Tessie, ale nigdy do tego nie doszło.

Pięcioletni Grant, najstarszy z braci Tessie, trzymał ją za rękę, gdy zmierzali w kierunku chat. Granta i drugiego chłopca, Boyda, również pięcioletniego, od tygodni trapiły te

same koszmary nocne. To, co przyśniło się jednej nocy Grantowi, następnej nocy śniło się Boydowi. A potem, kilka dni później, następowała zmiana sytuacji i sen Boyda przekraczał dróżkę między chatami i lokował się w śpiącej głowie Granta.

- Ale mnie małpujesz - dogadywali jeden drugiemu, bezpieczni w blasku słońca. Obaj bali się zasnąć, ale znajdowali jakąś dziką przyjemność w porównywaniu swoich snów, wspominając i dzieląc się szczegółami, których drugi chłopiec mógł nie pamiętać.

- Widzisz, jak podchodzi do ciebie ten ogromniasty facet w niebieskim kapeluszu?

- Wcale nie był niebieski. Był żółty

- No, ja widziałem niebieski.

- To źle widziałeś.

Ostatnio sny pojawiały się coraz rzadziej i mówiono, że z nadejściem jesieni całkiem się skończą. Elias niósł trzecie dziecko, trzynastomiesięcznego Ellwooda. Celeste kuśtykała obok męża. Od trzech miesięcy była w ciąży z ich czwartym dzieckiem.

Tego dnia na czele tłumu niewolników znajdowała się jeszcze dwójka trzyletnich bliźniaków, Caldonia i Henry. Rok wcześniej bliźniaki przechodziły bardzo poważne problemy zdrowotne, przez prawie dwa tygodnie owładnięte jakąś paraliżującą chorobą gorączkową, której biały doktor nie mógł rozpoznać, a w związku z tym również wyleczyć. Zalecił natomiast objęcie plantacji kwarantanną i szeryf John Skiffinkton posyłał tam swoje patrole, aby dopilnować zalecenia. Przez całą chorobę dzieci Caldonia przesiadywała przy nich dniami i nocami, do domu wracając jedynie po to, aby zmienić ubranie. W końcu Delphie, która znała się nieco na rytualnych praktykach magicznych, poradziła matce bliźniaków, żeby spały, dotykając się czubkami głów, i w ciągu dwóch dni dzieci były ponownie na nogach. Delphie przypuszczała, że jeszcze w łonie utworzyła się więź między bliźniakami i że podczas porodu więź ta została przerwana, a to odbiło się na ich zdrowiu. Jedynie dotykanie się głowami w czasie snu mogło pomóc odtworzyć tę więź, przygotowując dzieci na resztę ich wspólnego życia. Bliźnięta miały dożyć osiemdziesięciu ośmiu lat. Caldonia umarła jako pierwsza, a chociaż jej brat cieszył się dostatnim i szczęśliwym życiem z dobrą żoną i wieloma pociechami oraz z pociechami tych pociech, postanowił podążyć za swoją siostrą.

- Przez całe życie nigdy mnie nie zwiódła na manowce - powiedział przy drinku swojemu najlepszemu przyjacielowi w wieczór poprzedzający podjęcie ostatecznej decyzji o śmierci. - I nie sądzę, aby miała mnie sprowadzić na manowce tym ostatnim razem.

Wśród idących na czele tłumu dzieci była również siedmiolatka Delores oraz jej trzy lata młodszy brat Patrick. Delores miała dożyć dziewięćdziesięciu pięciu lat, ale jej brat umarł

w wieku lat czterdziestu siedmiu, trzykrotnie postrzelony przez mężczyznę, z którego sypialni wychodził właśnie przez okno po tym, jak spędził noc z żoną tego człowieka. W noc swojej śmierci Patrick miał możliwość wyboru - mógł zejść na dół i spędzić noc na grze w karty albo wejść przez okno sypialni, gdzie czekała już żona tego mężczyzny, cała wilgotna, spragniona i pełna ochoty.

- Pragnę tego, co ty masz, P-Patrick - powiedziała mu wcześniej tego dnia ta kobieta. - Bardzo tego pragnę.

W tym tygodniu Patrickowi nie szła karta. Przegrał już 53 dolary, a był jeszcze winny pewnemu złemu człowiekowi następne 11 dolarów, pomyślał więc, że może więcej szczęścia znajdzie w ramionach żony tego mężczyzny.

- Daj mi to, co masz, P-Patrick.

*

Augustus i Mildred zatrzymali się w chacie, w której mieszkali podczas choroby Henrygo. Peter i jego żona May mieszkali w tej chacie do czasu, kiedy to pięć tygodni wcześniej dwa konie, przestraszone w stajni czymś, co tylko one widziały, próbując ucieczki, stratowały Petera. Dziecko May miało teraz siedem miesięcy i w grupie powracających do swoich chat niewolników niósł je sąsiad mieszkający obok chaty Petera i May. May wyprowadziła się na wymagany miesiąc, aby dać duchowi Petera czas na pożegnanie się, a później odnalezienie drogi do nieba. Jednak po upływie tego miesiąca nie powróciła do chaty. Dopiero dzień po pogrzebie Henrygo Townsenda May, znana ze swojego uporu, doszła do wniosku, że przez ponowną obecność Mildred i Augustusa w jej chacie Peter dawał jej do zrozumienia, że dotarł na miejsce i że się zdomowił. Wówczas powróciła do swojej chaty.

Chociaż tego dnia nikt nie miał pracować w polu, jednak i tak należało zająć się pewnymi sprawami, jeśli świat miał się kręcić jak zawsze. Trzeba było wydoić krowy, podkuć muła, zebrać jajka, naprawić pług, pozamiatać chaty, aby nie zwiększyła się warstwa zalegającego tam już kurzu i brudu. Ponadto ciała niewolników i zwierząt potrzebowały strawy i trzeba było przypilnować ognia. Wszyscy poza dziećmi poniżej pięciu lat rozeszli się do swoich zajęć, stwierdziwszy, że jedzenie może poczekać do zakończenia porannych obowiązków, bo przecież resztę dnia mieli dla siebie. Mildred i Augustus uczestniczyli we wszystkich zajęciach, ponieważ nieobca im była praca.

Około południa Calvin i Louis przyszli do Mosesa i powiedzieli mu, że trzeba wykopać grób. Odpowiednie miejsce znajdowało się za domem, po lewej stronie, gdzie Henry już wcześniej zaplanował pochówek dla siebie, a także dla Caldonii i ich potomków. Znajdowało się na tym samym kawałku ziemi, na którym byli chowani niewolnicy, ale w

pewnym oddaleniu, jak to było w zwyczaju białych właścicieli niewolników. Na cmentarzu dla niewolników niewiele było grobów osób dorosłych, zupełnie inaczej niż na innych cmentarzach niewolników w hrabstwie Manchester, gdzie leżały całe pokolenia mężczyzn i kobiet. Henry Townsend nie był jeszcze wystarczająco długo panem, aby jego dorośli niewolnicy mieli umierać ze starości i zaludniać cmentarz. Na cmentarzu niewolników leżał Peter, mężczyzna stratowany przez konie. Ludzie uważali, że musiała się zdarzyć jedna z dwóch rzeczy: albo zwierzęta wyczuły coś bezbożnego w stajni i uciekały przed tym w popłochu, albo wyczuły coś świętego za drzwiami stajni i jak najszybciej chciały się do tego zbliżyć. Tak czy owak, na ich drodze znalazł się Peter, ojciec nie narodzonej jeszcze dziewczynki. Na cmentarzu leżała również Sadie, która w chwili śmierci była dosyć nowym nabytkiem Henryego. Wysoka czterdziestoletnia kobieta, która przed pięciu laty zasnęła z pustym brzuchem po czternastu godzinach pracy w polu i już się nie obudziła. Choć z Peterem łączyła ją śmierć, jednak poza tym była raczej samotna w życiu, prawdopodobnie dlatego, że była nową niewolnicą na plantacji. Nie miała męża, ale dwukrotnie spała z mężczyzną z innej plantacji. Jego pan, biały właściciel pięciu niewolników, pozwolił temu niewolnikowi przyjść na pogrzeb Sadie, jednak ostrzegł Andy'ego, że jeśli pogrzeb się przeciągnie, jak to czasami zdarzało się na pogrzebach czarnuchów, Andy miał odejść i od razu wracać do domu. Wypisał Andy emu przepustkę ważną do drugiej po południu. Na cmentarzu niewolników leżało dziesięcioro dzieci: pięć dziewczynek i pięciu chłopców, z czego tylko dwójka była spokrewniona, i żadne nie doczekało drugiego roku życia. Umarły z różnych powodów. Niezdolność do trawienia nawet matczyne mleka, zakażenie po poparzeniu się unoszącym się w powietrzu rozżarzoną węglem, cicha, niewyjaśniona śmierć w nocy, jakby dziewczynka nie chciała przeszkadzać matce we śnie. Jedno zmarło przypasane do pleców matki, gdy kobieta pracowała w polu, na dwa dni przed końcem żniw, gdy akurat nie było pani Caldonii i jej służącej Loretty, a kucharka Zeddie źle się czuła i nie mogła zająć się dzieckiem. Jedyne leżące na cmentarzu dzieckiem, które przeżyło więcej niż dwa lata, był dwunastoletni Luke, chudy chłopiec o uroczym usposobieniu, zmarły z powodu ciężkiej pracy na plantacji, na którą został wynajęty za dwa dolary tygodniowo. Chłopiec będący ulubieńcem Eliasa i Celeste. Na pogrzeb Lukea Henry sprowadził jego matkę z miejsca położonego dwa hrabstwa dalej, ale nikt nie potrafił odnaleźć jego ojca. Oba cmentarze znajdowały się na wzniesieniu, obu strzegły drzewa, trochę jabłoni, dereni, olśniewająca magnolia i jeszcze inne, których nikt nie potrafił rozpoznać. Cmentarze leżały o krok od siebie.

Calvin, brat bliźniak Caldonii, zaczął kopać pierwszy, a wykopawszy prawie pół metra, wyszedł i oddał szpadel Louisowi. Podobnie jak Calvin, Louis nie był przyzwyczajony do dużego wysiłku, ale nie było tego widać po jego pracy. Louis przekazał łopatę Augustusowi, który kopał tak długo, aż Calvin powiedział mu, że zrobił już bardzo dużo i że może podać szpadel Mosesowi. Gdy Moses wchodził do dołu, z domu wyszedł William Robbins, a za nim jego córka Dora. Robbins stał w miejscu prawie pół godziny, nie odzywając się i tylko patrząc na pracujących mężczyzn, a potem odwrócił się i wraz z Dorą udał się z powrotem do domu. Po pogrzebie, który odbył się następnego dnia, miał nie widzieć plantacji aż do dnia, w którym Louis poślubił Caldonię. Podczas gdy mężczyźni pracowali, Henry Townsend był w domu myty i ubierany, a następnie został złożony w salonie na desce służącej za katafalk.

Jako następny kopał Elias, który potem podał szpadel czterdziestolatkowi Stamfordowi. Stamford oprócz tego, że uganiał się za młodymi kobietami, potrafił być najbardziej niemiłym człowiekiem pod słońcem, jeśli tylko zbyt długo nie miał nic do roboty. Czasami, gdy zdarzało mu się być szczerym wobec samego siebie, Stamford zdawał sobie sprawę, że jego dni z Glorią były policzone. Obecnie łypał okiem na Cassandre, kobietę mieszkającą razem z Alice, ale Cassandra już mu kiedyś powiedziała, że nie interesuje jej stary, zapchlony pies. Dwudziestosexioletnia Gloria uwielbiała ciasteczka; kochała łamać je gorące i maczać w melasie, jeśli tylko ją miała. Stamford potrafił piec jej ulubione ciasteczka, ale to było za mało. Przez cały czas ze sobą walczyli, a raz awantura trwała całą noc i rano posiniaczeni i poranieni nie byli w stanie iść do pracy w polu. Po tygodniu takich awantur Henry kazał Mosesowi ich rozdzielić. Zdaniem ludzi dobrze zrobił, bo w następnym tygodniu Gloria mogłaby zabić swojego partnera. Stamford zamierzał doprowadzić do tego, żeby Cassandra go polubiła, a był to już trzeci jego plan tego lata. Kilka tygodni później, tego dnia, kiedy Stamford miał zobaczyć martwe wrony spadające z drzewa, a później sam pójść na spotkanie śmierci, pożegnał się z Glorią, pożegnał się z Cassandrą i ze wszystkimi dobrymi młodymi ciałami, które, jak radził mu to przed laty pewien człowiek, miały mu pomóc przetrwać niewolę.

- Bez młodego ciała, Stamford, umrzesz jak niewolnik. A to nie będzie piękna śmierć.

Kiedy Stamford skończył, Calvin ponownie wziął łopatę i chwilę później na Henryego czekał dół głębokości sześciu stóp. Następnie mężczyźni wzięli z wozu drewno przywiezione przez Augustusa i Mildred i zabrali je do drugiej stodoły, gdzie zrobili trumnę dla Henry'ego. Było to drewno sosnowe, w jakim chowano prawie wszystkich w hrabstwie Manchester w

stanie Wirginia. Również niewolnicy czasami dostawali sośninę, jeśli zawsze postępowali poprawnie i ich panowie uważali, że na nią zasłużyli.

Mniej więcej po drugiej po południu William Robbins wyjechał z Dorą i Louistem - on skierował się na swoją plantację, a oni do domu za miastem, w którym mieszkali z matką. Pozostała część dnia upływała powoli i nie wydarzyło się nic więcej, ani dobrego, ani złego.

*

Alice, kobieta wędrująca po nocach, zaczynała się niecierpliwie na długo przed porą, kiedy wszyscy kładli się spać.

- Daj jej spokój - Cassandra powtarzała swojej matce, Delphie, która chciała jakoś uspokoić Alice. Te trzy kobiety dzieliły chatę z osieroconą nastolatką. W końcu Delphie nie pozostało nic innego, jak rzeczywiście zostawić ją w spokoju i tylko kiwała głową, kiedy Alice wychodziła z chaty. Wędrując zeszłej nocy, tej, której zmarł jej pan, Alice skaleczyła się w stopę. Ale to skaleczenie nie przeszkadzało jej teraz w chodzeniu między chatami tam i z powrotem i śpiewaniu „Pan umarł, pan umarł, pan nie żyje”. Tego wieczoru Moses nie udał się do lasu, aby pobyć w samotności, ale zanim położył się spać, obszedł plantację i sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Trzy razy kazał Alice uciszyć się i za trzecim razem go posłuchała, teraz jedynie przechadzając się tam i z powrotem między chatami. Jeśli Augustus i Mildred, przebywający w chacie May, słyszeli nawet, jak Alice śpiewa o ich zmarłym synu, niczego nie rozumieli. Na koniec Alice wolnym krokiem poszła w stronę wędzarni.

Caldonia wraz z Cahdnem i ich matką zeszli tego wieczoru między chaty i prosili Augustusa i Mildred, aby przyszli do domu i tam się zatrzymali. Odmówili, jak to już tego dnia zrobili wcześniej dwa razy. Mildred być może zgodziłaby się, gdyby nie była z Augustusem. Fern Elston również zeszła na dróżkę między chaty. Zdarzyło się to pierwszy raz w jej życiu. Wcześniej, zanim kilka tygodni temu pożegnała hazardzistę z jedną stopą, podczas swoich wizyt zawsze pozostawała w domu, nie chcąc, jak to określiła, zadawać się z „żadnymi niewolnikami, którzy nie byli nauczeni czystości”. Ale ten hazardzista, mężczyzna, który stracił stopę, zmienił w jej życiu wszystko i już nigdy nie miała postrzegać świata w taki sam sposób. Tego wieczoru, gdy szła za Caldonia, Maude i Calvinem, myślała o tym, że hazardzista Jebediah Dickinson powinien już przebyć ponad połowę drogi do Baltimore, jeśli tylko mu się udało, jeśli wytrzymał koń i wóz, które mu dała. Od kiedy wyjechał, rankiem dwa dni temu, nie przestawała myśleć o tym, że w innym świecie mogłaby coś do niego poczuć, niezależnie od tego czy miał jedną stopę czy dwie, czy miał ciemną skórę czy jasną.

Nie musiałyby nawet uczyć go czytać i pisać, ponieważ on już to umiał. *Zawsze byłam dobrą żoną.*

Moses i Priscilla wyszli ze swojej chaty i przyłączyli się do małej grupki idącej dróżką między chatami. Wieczorny dym unoszący się znad ognia, na których gotowano kolację otulał wszystkich grubym kokonem. Caldonia, wciąż w welonie, zapukała do kilku drzwi i wsunawszy głowę do środka jednej czy dwóch chat, pytała, czy ktoś czegoś nie potrzebuje. Wszystkie dzieci lubiły *mistress* Caldonię. Jej matka, Maude, przez cały dzień powtarzała jej, że powinna zająć się swoim „dziedzictwem”, ale gdy Caldonia zaczęła opowiadać o tym, co Henry, za Williamem Robbinsem, nazywał „umiejętnością zarządzania niewolnikami”, przestała wierzyć, że to, co robiła jej córka, mogło oznaczać coś więcej, niż tylko chwilową ucieczkę z domu, który nagle stał się dwa razy większy niż jeszcze dzień wcześniej. Moses mówił do Caldonii przez całą drogę, opowiadając, co on i niewolnicy będą robić po powrocie do pracy oraz czego dowiedział się o zbiorach, kiedy próbował smaku ziemi. Jego monotony głos dawał trochę ukojenia, dużo więcej niż ręka Calvina na jej ramieniu czy też uśmiechy, jakimi obdarzały ją dzieci. Jego słowa w jakiś dziwny sposób mówiły jej, że pewnego dnia ból zmniejszy się przynajmniej o połowę.

Na końcu dróżki zawrócili. Fern zatrzymała się i w samotności patrzyła poza dróżkę, na pola. Kiedy się odwróciła, zobaczyła stojącą przed nią Alice, która mówiła, że pan nie żyje.

- Wiem - powiedziała Fern. - Wiemy o tym.

- To dlaczego nie jesteś gotowa? - zapytała Alice. Fern ponownie spojrzała w stronę pól, a gdy odwróciła się z powrotem, Alice już nie było. Przez cztery pokolenia rodzina Fern dochowała się potomków, którzy z łatwością mogli uchodzić za białych.

- Nie wychodź za nic gorszego od siebie - stale powtarzała jej matka, mając na myśli kogoś ciemniejszego niż ona sama, a Fern jej nie posłuchała. Jej matce z pewnością nie spodobałby się hazardzista, który stracił nogę.

- Istoty ludzkie nigdy nie powinny się cofać. Zawsze powinny podążać do przodu.

Niektórzy członkowie rodziny Fern stali się tak biali, że zniknęli za granicą kolorów i nigdy już nie oglądali się za siebie. Czasami widywała swoich krewnych, siostrę, kuzynów, w Richmond, w Petersburgu, jadących ulicami w powozach zaprzęgniętych w piękne konie, wtedy kłaniała się im, oni odklinali się jej i dalej zajmowali się swoimi sprawami. Mąż Fern również był hazardzista i powoli przegrywał ich małą fortunę, ale ona nic nie mogła na to poradzić. Odszedł hazardzista z jedną stopą. Nie знаła nikogo, kto by wyjechał do Baltimore i powrócił, aby jej o tym opowiedzieć. *Zawsze byłam dobrą żoną.*

Kiedy odeszli do domu, między chatami zapanowała cisza. Moses i Priscilla weszli do swojej chaty i zamknęli drzwi na noc. Wędrująca Alice ponownie wyszła na drózkę między chatami i przechadzała się tam i z powrotem. Augustus i Mildred położyli się w swojej chacie i przytulili do siebie. Jedno z nich zaczęło mówić - później nie pamiętali, kto to był - o Henrym, o wszystkim od jego urodzin aż do śmierci, zaczynając tym samym wielotygodniowy proces wspominania wszystkiego, co tylko udało im się przypomnieć o synu. Gdyby potrafili czytać i pisać, mogliby z tego wszystkiego stworzyć książkę składającą się z dwóch tysięcy stron. W domu na wzgórzu Calvin zapalił kolejne świece, przygotowując się do czuwania przy Henrym. Gdy Calvin zapalał świece, Loretta przykryła twarz Henrygo czarnym jedwabiem - uważała, że powinien dobrze odpocząć przed podróżą, która czekała go rano.

*

Alice wyruszyła przed siebie i gdy tylko znalazła się na drodze, ponownie zaczęła śpiewać. Tak głośno, jakby chciała sięgnąć sklepienia niebios. Nieco ponad milę od plantacji Townsenda napotkał ją patrol szeryfa Johna Skiffingtona.

- Pan nie żyje, pan nie żyje, pan nie żyje.

- Co ty tu robisz? - zapytał Harvey Travis, mężczyzna żonaty z Indianką Cherokee. Wiedział, że Alice jest obłąkana, ale uważał, że jego praca wymaga stawiania pytań, nawet jeśli nie uzyskiwał logicznych odpowiedzi. Patrol składał się z trzech osób, jak zawsze w tej części hrabstwa.

Alice nie przerywała śpiewu, a po chwili zaczęła tańczyć.

- Och, zostaw ją w spokoju - powiedział Barnum Kinsey - To ta szalona kobieta od tego czarnucha Henry'ego.

- Będę, do diabła, robił to, co będę chciał! - odrzekł Travis. Wolał kiedy Barnum pił, bo wtedy przynajmniej siedział cicho.

- Harvey, ja tylko mówię, że przecież już wiesz, że ona jest nieszkodliwa. Być może jeszcze bardziej zwariowała po śmierci Henryego.

- Pan nie żyje, pan nie żyje, pan nie żyje.

- Mam już dosyć tego twojego szwendania się tu - powiedział Travis. - Jak ją spotykam, tak tu tańczącą, nie mogę potem zasnąć. Przyprawia mnie o dreszcze.

Trzeci mężczyzna zaczął się śmiać, ale Barnum się nie odzywał. Księżyc świecił słabym światłem i ten trzeci mężczyzna trzymał latarnię. Skiffington znowu zmienił składy patroli i mężczyzna z latarnią był nowicjuszem w tej części hrabstwa, a chociaż inni

zapewniali go, że nie ma się czym przejmować, jego żona, będąca w ciąży z drugim dzieckiem, dała mu latarnię na drogę.

- Powinniśmy zacząć pobierać opłatę od tego czarnucha Henry'ego za każdym razem, gdy spotkamy na drodze jednego z jego czarnuchów.

- Henry zmarł. Mówiłem ci - powiedział Barnum, a mężczyzna z latarnią znowu się roześmiał. Był bardzo młody - Chyba nie słuchasz tego, co ona mówi.

Tego ranka Barnum obiecał żonie, że już nie będzie pił. Razem płakali i skończyło się na tym, że wspólnie uklękli i modlili się. Kiedy nadeszły ich dzieci i zobaczyły rodziców pogrążonych w modlitwie, również uklękły przy nich. To były już drugie dzieci Barnuma, pierwsze dorosły i odeszły w świat, zapomniały o ojcu, który je kochał, ale który w oczach świata znaczył niewiele więcej niż czarnuch.

Alice, tańcząc, przesunęła się obok mężczyzny stojącego z przodu z latarnią. Palcem wskazała na Trávisa.

- Hej, daj spokój! - powiedział, przestraszony, że ona może robić coś złego. - Do diabła!

Pozostali mężczyźni zaczęli się z niego śmiać.

- Pan nie żyje, pan nie żyje, pan nie żyje. Wierzgnęła nogami i palcem pokazała na Trávisa i jego konia.

- Na Boga! - powiedział Travis. - Zostawcie ją chłopcy zostawcie.

I szybko minął kobietę, która wciąż wierzgała i śpiewała. Pozostali dwaj mężczyźni również ruszyli swoje wierzchowce z miejsca.

Barnum zatrzymał się.

- Idź lepiej do domu. Mówię ci, idź lepiej do domu.

Alice jeszcze raz powiedziała mu, że pan nie żyje. Nie przestawała wymachiwać nogami.

- Wiem - powiedział Barnum - ale lepiej idź do domu. Mężczyźni odjechali.

Po pewnym czasie Alice poszła w stronę, z której nadszedł patrol. Strzepnęła z sukienki kurz drogi. Do swojej chaty miała powrócić dopiero około wpół do trzeciej nad ranem. Księżyc, świecący dotychczas słabym blaskiem, teraz zniknął zupełnie. Po zrobieniu kilku kroków zaczęła śpiewać i to tak głośno, jak na początku. Kiedyś, jeszcze zanim muł kopnął ją w głowę, pewna niewiele mówiąca po angielsku afrykańska kobieta powiedziała jej, że niektóre anioły mają problemy ze słuchem i że najlepiej mówić do nich bardzo głośno.

U pana na drodze umarlaka spotkałam.

Jak go zobaczyłam, o imię go zapytałam.

Zdjął kapelusz i kościstą głowę podniósł,

Powiedział to i owo i gdzie się wyniósł.

Elias ukończył lalkę dla swojej córki Tessie w noc poprzedzającą dzień, w którym pochowali Henry'ego Townsenda. Nóż do wycinania odłożył na ziemi obok pniaka, na którym siedział, i przez dobrą chwilę trzymał lalkę w obu dłoniach, czując pustkę i jakiś niepokój, który pojawił się po zakończeniu zadania. Od czasu ślubu z Celeste zawsze czuł się lepiej, kiedy ręce miał zajęte, jeśli nie mógł uciszyć ich we śnie. Jego nogi nigdy się nie uciszały - wierzgały i wzdrygały się nerwowo przez sen, a Celeste ciągle groziła, że będzie mu je związywać na noc.

- Słuchaj, mój mężu, ty chyba chcesz jeszcze bardziej mnie okaleczyć tymi twoimi rozbieganymi stopami.

Przesunął palcem po twarzyczce lalki, a potem ucałował ją w czoło. Chciał, żeby przypominała Tessie, ale zdawał sobie sprawę, że niezbyt mu się to udało. Potrzebował teraz jakiegoś nowego zajęcia dla rąk i to im szybciej, tym lepiej. Może jakaś rzeźbiona figurka dla starszego syna, może jakiś konik. Kiedyś zobaczył statek; było to tego dnia, kiedy po raz ostami widział swoją matkę, ale czuł, że nie uda mu się zrobić statku, którego obraz pozostał mu w głowie - cichego brązowego olbrzyma odpływającego pod błękitnym niebem. Gdyby się wziął za rzeźbienie statku, pewnie wyszłoby mu coś podobnego do tego pierwszego grzebienia, jaki zrobił dla swojej żony, Celeste. A poza tym, gdzie syn mógłby puszczać stateczek? Tam, głęboko w studni, gdzie nawet by go nie widział? Mógłby powiedzieć Tessie, że lalka ma twarz jego matki, ponieważ wyobrażenie Tessie o tym, jak wyglądała jej babcia, najprawdopodobniej niewiele się różniło od jego własnego wspomnienia o matce, a to wspomnienie zatarło się zupełnie przez trzydzieści lat.

Elias wstał i strzepnął wióry z koszuli i spodni. Był sam na dróżce między chatami. Już go nie obowiązywało tajne ślubowanie, które kiedyś złożył Henry emu. Ale to i tak nie miało znaczenia, czy człowiek żył, czy nie. Elias spojrzał w górę i na odsłoniętym fragmencie nieba zobaczył mrugające gwiazdy, które miały wskazywać mu drogę. Jakże był przygotowany, jakież był spokojny, z mocnymi nogami, sercem rozpaczliwie pragnącym bić pod innym księżycem i innym słońcem. Ponownie usiadł i włożywszy lalkę pod koszulę, schylił się, aby podnieść kolejny kawałek drewna. Zbliżało się pół do dziesiątej. Gdy podniósł nóż, ze swojej chaty wyszła Alice i zaczęła tańczyć na drodze, a po chwili stanęła przed nim wsparta pod boki. Rzadko ze sobą rozmawiali, ponieważ to, co mówiła, zawsze było pozbawione sensu.

- Co tam teraz robisz? - zapytała ku jego zaskoczeniu.

- Coś dla mojego chłopaka.

- No to zrób to porządnie, tak, żeby się nie zepsuło - powiedziała Alice.

Spodziewał się, że teraz wyskoczy z jakąś kolejną bzdurą, ale ona tylko stała jak poprzednio. Może to księżyc, albo jego brak, wpływał na jej zachowanie.

- Nie spóźnij się - powiedział do niej Elias. - Nie spóźnij się z twojej wędrowki.

- Ty też się nie spóźnij - odrzekła i oddaliła się tanecznym krokiem. Patrzył za nią i po raz pierwszy poczuł, że się jej boi - Zacznie od głowy, bo może się okazać, że jest to najtrudniejsza część konia. Żadnego statku. Po co w ogóle podsuwać chłopcu takie pomysły? Wziął drewno w lewą dłoń, nóż w prawą, a później się rozplakał.

- Nie spóźnij się - powtarzał w kółko. - Nie spóźnij się. Dwa dni po tym, jak w 1847 roku Henry kupił Eliasa od białych nowożeńców z hrabstwa Bath przejeżdżających przez Manchester, Elias ujrzał Celeste siedzącą na ziemi. Znał tylko Moseesa i mężczyzn ze swojej chaty, ale widywał ją z daleka, jak kuśtykała to tu, to tam. Wyglądało na to, że bawi się z dwójką dzieci, a może im w czymś pomaga, podczas gdy one w podskokach oddalały się od niej.

- Chodź, Celeste - mówiły dzieci.

- Zaraz tam będę - odpowiadała. Z wysiłkiem zaczęła się podnosić i po kilku próbach stanęła na nogach. Przez jakiś czas stała nieruchomo, bez słowa spoglądając w dół, na swoje stopy przykryte długą, zieloną sukienką. Dzieci nawoływały ją, ale ona się nie poruszyła. W końcu odeszła, kulejąc, ociężałym krokiem. Przez cały czas obserwował tę scenę, jednak nie ruszył się, aby kobiecie pomóc. Od czasu, gdy przybył tu z Bath wraz z parą nowożeńców, którzy przez całą drogę kłócili się ze sobą, myślał jedynie o ucieczce i nie chciał dopuszczać do siebie żadnych innych myśli. Odwrócił się w nadziei, że uda mu się odejść niezauważenie, jednak ona najpierw wyczuła jego obecność, a później zobaczyła go i ten widok miał na długo pozostać w jej pamięci. Nie potrzebowała jego pomocy, ale czuła, że oglądał przedstawienie z kaleką kobietą i że mu się to podobało, a to było nieładnie.

Kupiono ją za 387 dolarów mniej więcej rok przed nim i od czasu, gdy znalazła się na plantacji, nikt złego słowa nie mógł powiedzieć na Celeste. Nigdy nie mówiła *master* lub *mistress* do Henry ego czy Caldonii - po prostu „proszę pana” albo „proszę pani”, w ten niewinny sposób okazując swój sprzeciw wobec wszystkiego, co ją otaczało. Ludzie powiadali, że Celeste ma złote serce. Ale przez następne tygodnie miała Eliasowi za złe, że podglądał kaleką kobietę, i przy każdej okazji zachowywała się wobec niego złośliwie. Zdarzało się, że kiedy jadł samotnie obiad na skraju pola, specjalnie do niego podchodziła i kuśtykając starała się wznieść jak największą chmurę pyłu, żeby tylko zakurzyć jego jedzenie.

Lubiła stawać do pracy w rzędzie naprzeciw rzędu, w którym on pracował, i demonstrować wszystkim, jaki Elias był powolny. Opowiadała, że jest leniuchem, nie zważając na to, czy ją słyszy, czy nie. Kiedy szła dróżką między chatami, a on stał jej na drodze, zaczynała kuśtykać szybciej w taki sposób, że on nie miał odwagi ruszyć się z miejsca.

- Coś ty zrobił tej kobiecie - ktoś żartował sobie z niego, widząc, jak Elias został przez nią prawie stratowany - że ona przeklina dzień, w którym przyszedłeś na świat?

Pod koniec drugiego tygodnia pobytu na plantacji Townsenda Elias się rozchorował. Głowa pękała mu z bólu i nie mógł zatrzymać pożywienia w żołądku, a na podeszwach jego stóp pojawiły się dziwne pęcherze. Chwilami aż zwijał się z bólu w bruździe, w której pracował. Ogarniający go ból był tak przemożny, że zdawał się rozrywać go na strzępy. Wiedział, że aby wyslizgnąć się pewnej nocy z plantacji, musi być postrzegany jako osoba godna zaufania, ale choroba odbijała się na jego pracy i również Moses zaczął nazywać go leniem.

- Panie, chyba kupiłeś kota w worku - powiedział pewnego dnia do Henryego. Elias budził się w nocy i słyszał, jak wiatr odlicza kolejne dni pozostałe mu jeszcze do przeżycia.

„Żyj, póki możesz. Żyj, póki możesz”, mówił mu wiatr, „bo potem nie zmożesz”.

Nigdy nie wierzył w działanie magii, ale zaczął odnosić wrażenie, że Celeste coś mu robiła i że to może doprowadzić do jego śmierci w oddaleniu od upragnionej wolności. W snach widział, że okulała w walce z diabłem. Jednak ona nie zajmowała się praktykami magicznymi, a ponieważ była kobietą o takiej, a nie innej naturze, po trzech tygodniach jej uraza do niego się rozviała. Stał się dla niej kolejnym mężczyzną, który nie mógł znieść towarzystwa kalekiej kobiety. W czwartym tygodniu już go żałowała, widząc, jak cierpi skulony w bruździe.

I wtedy, w połowie piątego tygodnia, zaczął się czuć lepiej, a wiatr przestał do niego mówić. Jednak był bardzo osłabiony chorobą i teraz starał się dojść do pełni sił, pracując na polu ciężiej i dłużej, często zostając, aby pracować w polu jeszcze długo po tym, jak Moses mówił mu, że tego dnia już zrobił swoje. Ale nawet po dziewięciu czy dziesięciu tygodniach jego ciało nie było takie, jak przedtem, a w czwartym miesiącu zaczął już tracić nadzieję. Wciąż planował ucieczkę, ale obawiał się, że może mu braknąć sił na to, by biec całymi kilometrami, może być zbyt słaby, żeby odwrócić się i skrócić karki goniących go psów.

W czwartym miesiącu swojego pobytu na plantacji wstał z siennika w środku nocy i odszedł, kierując się gwiazdami wskazującymi północ. Było to w czasach, gdy mężczyźni jeżdżący w patrolach organizowanych przez Johna Skiffingtona zaczynali przyzwyczajać się już do swojej nowej roboty. Kiedy Elias oddalił się jakieś pięć mil od plantacji Townsenda,

zaczął opadać z sił. Zjadł większość placków kukurydzianych, które wziął ze sobą, sądząc, że główny problem stanowiło buntujące się z głodu ciało. Często zatrzymywał się, aby zebrać siły, ale za każdym razem, gdy ponownie ruszał w drogę, był słabszy niż przedtem. Po przebyciu mniej więcej siedmiu mil prawie się czołgał, a po ośmiu padł ze zmęczenia. Kiedy się ocknął, leżąc w poprzek drogi, dobiegł go odgłos wolno nadjeżdżającego w jego kierunku konia. Nie mając pewności, z której strony koń nadjeżdża, zaczął się czołgać w poprzek drogi, w stronę oczekującej na poboczu wysokiej trawy. Rozsunąwszy trawę, zrobił tam sobie miejsce, w którym starał się ukryć, i usłyszał, że nadjeżdżający koń się zatrzymał. To był William Robbins na Sir Guilderhamie.

- Kimkolwiek jesteś, wiem, że tam jesteś - odezwał się Robbins. - Jeśli jesteś czarnuchem, wyłaź stamtąd, a jeśli jesteś biały, powiedz, kim jesteś, a ja zostawię cię w spokoju.

Robbins odczekał kilka minut, a potem rozsunął płaszcz i wyjął jednostrzałowy pistolet.

- A zatem jesteś czarnuchem, a nie białym - powiedział. Wystrzelił w trawę, a kula drasnęła lewe udo Eliasa. Elias nie poruszył się i po krótkiej chwili Robbins, wyciągając drugi pistolet, powiedział:

- Nawet tu czuję twoją krew. Jeśli nie chcesz, żebym utoczył jej więcej, wstań i wyjdź tu do mnie.

Kiedy Robbins wycelował, Elias podniósł się, trzymając wysoko w górze ręce z rozcapierzonymi palcami. Księżyc nie osiągnął jeszcze pełni, było jednak wystarczająco jasno, aby Robbins mógł zobaczyć nerwowe drżenie palców Eliasa. Po nodze powoli spływała krew.

- Jesteś wolnym człowiekiem czy niewolnikiem?

- Niewolnikiem.

- I nie masz przepustki. Wyczuwam to po zapachu strachu, jaki się unosi z twojej krwi. Kto jest twoim właścicielem?

- *Master* Henry Townsend, panie - to „panie” powiedział po to, aby nie strzelono do niego znowu z czystej złości.

- Podejdź tu. Czego ty tu szukasz, panienki?

- Nie, panie.

Elias się poruszył, ale noga ugrzęzła mu w kałuży krwi i musiał rękami podnieść kończynę, aby w ogóle móc zrobić krok. Kiedy podszedł do Robbinsa, biały człowiek schylił się i z całej siły uderzył go w szczękę, a Elias zatoczył się do tyłu. Zrobił dwa szybkie kroki w

stronę Robbinsa, ogarnięty nagłą myślą, że jeśli zabiłby tego białego, to jedynym świadkiem byłby jego koń. Ale Robbins odbezpieczył drugi pistolet i wymierzył w Eliasa. Elias się zatrzymał.

- Znam Henry ego Townsenda - powiedział Robbins - i jeśli przyjdzie mi zapłacić za martwego niewolnika, to z pewnością to zrobię. Podejź.

Trzymał pistolet kilka centymetrów od twarzy Eliasa i jeszcze raz uderzył niewolnika pięścią. Elias upadł.

- Nawet jeśli miałbyś dożyć stu lat, pamiętaj, że nigdy nie wolno rzucać się na białego człowieka.

*

Zdało się, że wiadomość rozeszła się między niewolnikami na plantacji Henrygo, jeszcze zanim większość z nich wyszła ze swoich chat: komuś udało się uciec. Była niedziela i śpiący do późna Moses dowiedział się o tym ostatni. Ludzie cieszyli się z sukcesu Eliasa:

- Czyjaś dusza odfrunęła. Fiuuut... Aż czuje się wiatr od tych skrzydeł. Boże wszechmogący.

Stamford nie potrafił skojarzyć twarzy Eliasa i sądził, że był to ciemnoskóry gość z pieprzykiem wielkości chrabąszcza na lewym policzku i dopiero Delphie przypomniała mu, że Henry odsprzedał tego mężczyznę, ponieważ gość z pieprzykiem lubił się ze wszystkimi bić.

- Bił się od momentu, gdy tylko się obudził, aż do chwili, kiedy szedł spać. Jak zobaczył śledzący go własny cień, zaczynał się z nim bić. Biedaczysko. Boże... Nawet z tobą się bił, Stamford - opowiadała Delphie.

- No, no! - odparł Stamford. - To chyba przegrał tę walkę. Musiał stracić głowę i dlatego go sprzedano. Nie miał głowy i nie mógł pracować. Trzeba było sprzedać tego głupka na mielone mięso.

Delphie powiedziała:

- Nie pamiętam, żeby tak się stało.

- To chyba źle pamiętasz - odrzekł Stamford i uniósł swoje pięści, aby pokazać jej, z czym musiał się zmierzyć mężczyzna z pieprzykiem. Działo się to w czasach, gdy Stamford był z inną młodą kobietą, zanim zaczął żyć z Glorią.

- Zabieraj mi te łapska - powiedziała Delphie. Dzieciaki, których w tym czasie na plantacji Townsenda mieszkało kilkoro, często zabawiały się kosztem dorosłych i zaczęły się naśmiewać ze Stamforda. Jedenastoletni wówczas Lukę, chłopiec, który miał zostać zamęczony na śmierć pracą ponad siły, śpiewał piosenkę, jakiej nauczył się od swojej matki:

- Jestem tu, jestem tam, nie ma mnie nigdzie... Celeste jadła właśnie ostatnie z kukurydzianych ciastek pieczonych w popiele, gdy usłyszała o ucieczce Eliasa. Nie lubiła go, ale jak wszyscy cieszyła się z jego udanej ucieczki. Jeśli nie mogła czegoś zdobyć dla siebie, życzyła tego innym, posiłek tego poranka był więc bardzo przyjemny. Moses, dowiedziawszy się dopiero po śniadaniu, poszedł do Henry'ego i powiedział:

- *Master*, ten nowy czarnuch zwiął.

Niedzielne nabożeństwa dla niewolników prowadził pastor, wolny człowiek, Valtims Moffett. Jeśli było zimno, nabożeństwa odbywały się w stodole, a gdy pogoda była ładna - na dróżce między chatami. Przez piętnaście minut pastor wygłaszał kazanie, po czym wszyscy śpiewali dwie lub trzy pieśni. W dniu, w którym Robbins złapał Eliasa, pogoda była ładna, nie było za gorąco, chociaż pastor i tak często powtarzał, że każdy dzień jest dobry na słowo Boże. Pastor był ogromnym mężczyzną, cierpiącym na podagrę i reumatyzm, które, jak szybko wytłumaczył ludziom, „Bóg nałożył na mnie, jak krzyż na naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa”. W niektóre poranki ponad godzinę zajmowało mu podniesienie się z łóżka i ubranie się. Miał żonę i jedną niewolnicę, ale zarówno żona Helen, jak i niewolnica Pauline, rodzona siostra żony, były drobnymi kobietami i obie razem niezbyt wiele mogły zrobić przy tak wielkim mężczyźnie, który do tego musiał nieść swój krzyż. Tego niedzielnego poranka po ucieczce Eliasa pastor przybył mocno spóźniony, choć nie tak bardzo jak w dniu, w którym chowano Henry'ego.

Ledwie co Moses powiedział Henry'emu, że Elias zniknął - gdy dobiegł ich głos Robbinsa, obaj ruszyli więc wokół domu, kierując się w stronę frontu. Robbins obudził się tego ranka, nie pamiętając spotkania z Eliaszem ubiegłej nocy, ani tego, że zabrał go na swoją plantację i przykuł łańcuchami do werandy za domem. Przypomniał mu o tym przy śniadaniu jego kucharz.

Robbins odezwał się do Henry'ego:

- Dzień dobry. Taki miły dzień. Czy u ciebie i Caldonii wszystko w porządku?

Zakuty w łańcuchy Elias stał obok Robbinsa, tylko kilka centymetrów od jego obutych nóg w strzemionach.

- Och tak, panie Robbins, u nas w porządku - odpowiedział Henry.

- Mam coś, co należy do ciebie - powiedziawszy to, Robbins kopnął Eliasa, a niewolnik upadł na ziemię. - Znalazłem go na drodze ubiegłej nocy. Jest ranny w nogę, ale od tego nie umrze i nie będzie to miało też wpływu na cenę, jeśli zdecydujesz się go sprzedać. Chyba że będzie wyraźnie kulał.

Roześmiał się - miał to być taki mały żart między nimi, ponieważ w tym okresie Robbins był jeszcze mniej skłonny do sprzedaży niewolników i tak też zawsze doradzał Henry'emu. Pewnego razu powiedział mu: „Czarnuchy rosną w cenę, należy ich więc cenić”.

- Rozumiem - powiedział Henry. Moses stał za nim.

- Moses, pomóż mu wstać. Proszę wejść, panie Robbins. Moses podniósł Eliasa za ramiona i popatrzył na niego z lekkim uśmieszkiem, przypominając mu tym uśmiechem i wzrokiem, że nigdy go nie lubił.

- Nie, nie dziś, Henry. Dziś nie, ale powiedz Caldonii, że wkrótce do was zajadę. Obiecuję.

Ziemia, na której stali, należała niegdyś do Robbinsa, sprzedał ją Henryemu za cenę niższą, niż zdarzyło mu się sprzedać cokolwiek, za wyjątkiem dwojga niewolników - Toby'ego i jego siostry Mindy. Robbins rzucił okiem na Eliasa i skinął głową Henryemu. Henry życzył mu dobrego dnia. Robbins podniósł cugle z kolan i lekko za nie pociągnął, a koń odwrócił się, pięknie i dostojnie poruszając wspaniałą głową i szyją, z błyszczącym wędzidłem w pysku, stanowiącym dodatkowy akcent całej jego wspaniałości, i oddalili się lekkim kłusem do głównej drogi, po której ruszyli galopem. Ten błysk na zawsze już miał pozostać w pamięci Eliasa. Tej nocy, kiedy urodzi się jego drugie dziecko, będzie je trzymać, jeszcze wilgotne od zmagania na drodze ku życiu, a od tej wilgoci odbijając się będzie ogień z paleniska i znowu zauważy ten błysk, który zniknie dopiero, gdy odgoni go mrugnięciem oka.

Henry podszedł do Eliasa i wymierzył mu policzek.

- Boleśnie mnie rozczarowałaś. Co mam teraz z tobą zrobić? Co, do cholery, mam z tobą zrobić? Jeśli pragniesz ciężkiego życia, to służę ci.

„Służę ci” było zwrotem, jakiego Fern Elston lubiła używać podczas lekcji, usłyszanym po raz pierwszy przez Henry'ego, gdy siedział wraz z nią w jej salonie, przytłoczonym rosnącymi tam drzewami - brzoskwinią i magnolią, które udało się jej udomowić z pomocą służby. Jej mąż hazardzista widział coś takiego, zrobili to obcokrajowcy w burdelu w Richmond, i wprowadził tę metodę uprawy w hrabstwie Manchester.

- Tego właśnie chcesz? - zapytał Henry - Proszę bardzo, służę ci ciężkim życiem.

Większość ludzi zupełnie gubiła się na widok drzew rosnących w domu Fern, ponieważ przyzwyczajeni byli do tego, że to, co miało być wewnątrz, było wewnątrz, a co na zewnątrz, to na zewnątrz. Wszyscy chwalili przed Fern jej drzewa, nawet gdy kręciło się im od tego w głowach. Wśród tych ludzi byli tylko wolni Murzyni, gdyż biali nigdy nie przychodzili do Fern. Henry obawiał się, że również Caldonia może wpaść na pomysł podobnego udekorowania ich salonu.

- Nie, *marse*.

Elias nadal był w łańcuchach, ponieważ Robbins zapomniał, że łańcuchy należały do niego. Inni niewolnicy wychodzili ze swoich chat i przyglądali się temu, co się dzieje. Celeste stała zaraz za pierwszym rzędem ludzi, a Stamford wykręcił nieco ramię na bok, żeby lepiej widziała.

- Z twojego zachowania w ogóle to nie wynika - powiedział Henry.

- Gdy już będziesz ich miał, gdy będziesz miał przynajmniej jednego, już nigdy nie będziesz sam - powiedział Robbins Henryemu, kiedy ten kupił od niego Moseśa. Wiedząc, jak bolesna potrafi być samotność, jako dziecko będąc oddzielony od Augustusa, a potem od Mildred, Henry pomyślał, że to dobra myśl, nigdy nie być samotnym, zawsze kogoś mieć. Henry powiedział do Eliasza:

- Jeśli zależy ci na dobrym życiu, to też służę.

Żywiąc się światłem wpadającym przez okna rozciągające się od podłogi prawie do sufitu, drzewa w salonie Fern urosły do wysokości około dwóch i pół metra, a następnie zatrzymały się, jakby na rozkaz. Brzoskwinia rodziła drobnutkie owoce, jakie można było zmieścić na kciuku mężczyzny, bardzo słodkie, zbyt słodkie na placek czy na kruszon, gdyby nawet kucharzowi udało się zebrać wystarczającą ich liczbę. Kwiaty magnolii również były małe i tak piękne, że mąż Fern, hazardzista, powiedział, że gdyby były obrazkami, to oprawiłby je w ramki.

- Moses - powiedział Henry - zabierz go i zakuj w łańcuchy, aż postanowię, czy on chce dobrego życia, czy złego.

Ponieważ był ładny dzień i pastor Valtims Moffett miał odprawić nabożeństwo na dróżce między chatami, Moses przykuł Eliasza w wielkiej stajni.

- Chcesz dobrego czy złego życia? - naśmiewał się z niego, a po chwili zostawił go samego. Przez pierwsze godziny w stajni Elias obmyślał, jak to pozabija wszystkich w okolicy, najpierw wszystkich na plantacji, a później wszystkich w całym hrabstwie, w Wirginii. Kolorowych i białych. Starał się nie poruszać łańcuchami, ponieważ od ich brzękania bolały go uszy i czuł większą suchość w ustach. Mógł dosyć wygodnie stać, jeśli tylko chciał, i patrzeć na tę jedyną część ściany stajni, pozbawioną jakiegokolwiek otworu, przez który mógłby wyglądać na zewnątrz. Kiedy usiadł, zauważył, że może się nieco odwrócić od ściany, ale ręce miał zawieszane mniej więcej na poziomie twarzy i nie mógł się położyć. Przez długi czas patrzył w stronę krokwi, przyglądając się wróblom przylatującym i wylatującym z budowanego przez nie gniazda. Pochłonięte prostym zadaniem życiowym - zanieść żdźbło słomy do gniazda, powrócić po następne. Słońce padało na latające ptaki, ale

w pobliżu miejsca, gdzie znajdowało się gniazdo, światło było dosyć słabe. Zastanawiał się, czy zostanie tu na tyle długo, aby ptaki złożyły jajka, a potem wykluły się pisklęta, czy zobaczy, jak pisklęta dorastają, a później zbudują własne gniazda. Zanieść żdźbło słomy do gniazda, powrócić po następne. Czy zobaczy, jak wnuki tych wróbli zostają rodzicami. Mógł skrócić kark każdemu na plantacji, należało jedynie postanowić, czy zacząć od Mosesa, czy od pana. Moses miał grubszy kark. Najtrudniej będzie z karkami dzieci. Ale upora się z tym, słyhać będzie tylko trzask. Mógłby mocno zamknąć oczy przy tej czynności, podobnie może zrobić ze starszymi ludźmi. Najgłośniejszą będą krzyczeć kobiety, ale Bóg, skoro jest takim Bogiem, jakim jest, doda mu sił.

Był bardzo zmęczony, u Robbinsa nie mógł spać. Opuścił głowę i zaniknął oczy, ale wkrótce kark mu zeszywniał i w końcu musiał odchylić głowę zupełnie do tyłu i cieszyć się ulgą, jaką to mu przynosiło. Zamknął oczy, ale sen nie nadchodził, nawet nie mógł nerwowo drzemać, jak to robił u Robbinsa.

Niedługo przed przybyciem Moffetta Elias otworzył oczy i ujrzał obserwującego go chłopca. Kiedy chłopiec zobaczył, że Elias otwiera oczy, podszedł bliżej i zapytał:

- Chcesz wody?

Elias znowu zamknął oczy i nic nie odpowiedział, ponieważ nie miał zamiaru oszczędzać niczyjego karku.

- Chcesz wody?

Skinął głową, nie otwierając oczu, i usłyszał, że chłopiec wychodzi. Kiedy przez dłuższy czas nie wracał, Elias pomyślał, że pewnie zabawił się jego kosztem i to go nawet nieco uspokoiło. Wkrótce usłyszał kaznodziejski głos Moffetta, jakieś niezrozumiałe słowa. Kiedy ponownie otworzył oczy, przed nim stał chłopiec, w jednej ręce trzymając wyszczerbioną, porcelanową filiżankę ze śmietnika, a w drugiej duży kawał placka kukurydzianego.

- Jest pastor - powiedział chłopiec z uśmiechem, jakby Elias właśnie czekał na tę wiadomość. - Jak jeszcze byłem w innym miejscu, też go słyszałem.

Trzy dni wcześniej Henry kupił Partię Numer Cztery, grupkę trzech niewolników, w której był ten chłopiec. Elias wziął chleb w dłonie i zaczął jeść, a między kęsami pił z filiżanki podsuwanej mu do ust przez chłopca.

- Mam na imię Lukę - powiedział chłopiec, gdy już skończyła się woda.

- Wiem - odparł Elias, patrząc na muchę spoczywającą na jego dłoni i powoli zmierzającą w stronę chleba. Chłopiec uśmiechnął się, odwrócił filiżankę do góry dnem i potrząsnął nią. - Wiem.

Chłopiec wstał i wybiegł ze stajni, ale zaraz wrócił z większą ilością wody Usiadł przed Eliasem, a ponieważ chleb już się skończył, Elias trzymał filiżankę w dłoniach.

- Chcesz jeszcze placka kukurydzianego? - zapytał Luke. Mężczyzna pokręcił głową.

- Znam pieśń o Jezusie. Mogę zaśpiewać.

Elias ponownie pokręcił głową. Moffett co niedzielę mówił o tym samym - że niebo było bliżej, niż wszyscy to sobie wyobrażali, i że wystarczy zejść na jeden krok ze słusznej drogi, aby na zawsze utracić niebo.

- Wytrwajcie - mówił. - Po prostu wytrwajcie, niebo jest tuż-tuż. Możecie je zobaczyć. Możecie je zobaczyć. Zamknijcie oczy, a je ujrzycie.

Na zakończenie mówił, że powinni być posłuszni swoim panom i paniom, bo jeśli będą nieposłuszni, nie dostąpią nieba.

- Pewnego dnia chciałbym zasiąść z wami wszystkimi i w niebie jeść brzoskwinie ze śmietaną. Nie chcę pochylać się i patrzeć daleko, daleko w dół i widzieć, jak gorzejecie gdzieś w piekle.

Luke i Elias nie byli w stanie rozróżnić słów pastora, przysłuchiwali się więc tylko, jak napływały do stajni i odbijały się od wszystkich ścian. Wróble przestały latać, ćwierkały tylko gdzieś nad ich głowami. Elias widział je oczami wyobraźni, jak układają żdźbła słomy i, kręcąc się w miejscu, moszczą sobie wygodne miejsce do złożenia jajek. W końcu odezwał się Luke:

- Urodziłem się u *marse* Colfaxes... Znasz to miejsce? Elias odpowiedział:

- Znam. Tak, znam.

Opuściwszy filiżankę na kolana, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Zawsze, nawet w najgorszych chwilach swojego życia, potrafił wyobrazić sobie, że pewnego dnia będzie wolny. Ale teraz...

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Luke. - Posiedzę z tobą. Będzie dobrze. Mogę tu siedzieć z tobą, aż te wszystkie duchy zostawią cię w spokoju. Nie boję się żadnych duchów.

*

Po nabożeństwie Moffett usiadł wraz z Henrym i Caldonią w ich jadalni i zjadał chleb z serem, popijając herbatą, w której było tyle miodu, ile tylko się zmieściło. Utrzymywał, że słodkie rzeczy łagodziły jego podagrę. Caldonia i Henry od czasu do czasu schodzili na nabożeństwa do niewolników, ale zazwyczaj już samo przesiadywanie z Moffettem traktowali jako swoje nabożeństwo, jako obcowanie z Bogiem. Po posiłku Moffett usadowił się z nogami opartymi na stołku, który z zaplecza przyniosła mu kucharka

Zeddie. Wyścielany stołek nie był używany do żadnych innych celów i nazywano go podnóżkiem pastora Moffetta.

Henry mówił niewiele, przez cały czas zastanawiając się, co zrobić z Eliaszem.

- Jesteś dzisiaj jakiś nieobecny, Henry - powiedział w pewnym momencie Moffett.

Zaraz po wejściu do domu zapłacono mu dolara za odprawienie nabożeństwa. W początkowym okresie działalności kaznodziejskiej, jeszcze zanim nabawił się podagry, płacono mu 3 centy za każdego niewolnika słuchającego jego kazania, ale wtedy hrabstwo było bogatsze. Obecnie zatrudniało go tylko kilku białych właścicieli niewolników, wielu poprzestawało na czytaniu swoim niewolnikom fragmentów z *Pisma Świętego*. Ta garstka czarnoskórych właścicieli niewolników nabrała przekonania, że ich własne zbawienie spłynie na ich niewolników. Jeśli oni sami chodzą do kościoła i wiodą przykładowe życie, to Bóg pobłogosławi im oraz ich majątkowi. I pewnego dnia pójdą do nieba, a wraz z nimi ich niewolnicy. Po co więc płacić Moffettowi za coś, co mogli za darmo załatwić we własnym zakresie?

- Nie spał zbyt dobrze - powiedziała Caldonia. - Wydaje mi się, pastorze, że zbyt dużo pracuje i to objawia się bólami głowy Bezsenne noce. Ciągłe powtarzam mu: „Odpocznij, Henry. Odpocznij”. Może pastor mógłby przyłączyć się do moich słów. Przypomnieć mu, że Boga nie uszczęśliwia widok jego dzieci, które zapracowują się na śmierć.

Byli z Henrym małżeństwem od trzech lat i siedmiu miesięcy

- Z pewnością nie uszczęśliwia - powiedział Moffett. - Lenistwo jest grzechem, Henry, ale zbyt ciężka praca również jest grzechem. Jak myślisz, dlaczego Bóg tak mocno podkreślił znaczenie niedzieli i niedzielnego odpoczynku?

Pamiętaj, abyś dzień święty święcił, w ten sposób Bóg mówi nam, żebyśmy się nie przemęczali. Uszczęśliwiał Boga, Henry, i pracuj tyle, aby zapłacić swoje rachunki.

- Właśnie - powiedziała Caldonia.

- Tak też czynię - odezwał się Henry. - Przecież odpoczywam. Po prostu moja żona nigdy nie widzi, gdy to robię.

Kiedy patrzył na Moseśa mówiącego mu, że Elias zniknął, postanowił, że tu chłosta nie wystarczy, że tym razem musi to być ucho. Jeszcze nie był pewien, czy ma to być całe ucho, czy tylko kawałek, a jeśli kawałek, to jak duży.

- Och, na miłość Boską, Henry! - powiedziała Caldonia. - Może pastor Moffett ci uwierzy, ale ja i tak wiem lepiej.

Moffett uniósł się lekko w fotelu i oparł jedną stopę na drugiej, leżącej na podnóżku. Tego dnia miał odprawić jeszcze dwa nabożeństwa i na oba miał się spóźnić. Henry korzystał

z jego usług, ponieważ pamiętał go z czasów, kiedy sam był niewolnikiem u Williama Robbinsa, pamiętał, że lubił słuchać go po tym, jak jego rodzice uzyskali wolność i pozostała mu jedynie Rita, jego druga matka, która się nim opiekowała.

Moffett wyszedł.

Henry popatrzył za Moffettem odjeżdżającym w amerykańskie i postanowił następnego dnia posłać po Indianina Cherokee, Odena Peoples. Podzielił się tą myślą z Caldonia, kiedy już znaleźli się z powrotem w salonie.

- Wydaje mi się - powiedziała - że jest to zbyt ciężka kara, Henry. Zbyt ciężka w stosunku do tak niewielkiego przestępstwa.

Siedziała na kanapie, a on stał przy oknie, po lewej stronie pokoju.

- To nie taka mała zbrodnia, Caldonio. To jest czarna owca w stadzie, w samym jego środku, nawet nie z brzegu, gdzie łatwo ją wyciągnąć i się jej pozbyć. Z tym coś trzeba zrobić - odpowiedział. Czasami wypowiadał się tak, jak starała się go nauczyć Fern, ale zdarzało się, że mówił zupełnie inaczej. Był szczególnie „ekscentryczny i leniwy”, jak to ona określała, kiedy był zmęczony i brakowało mu pewności siebie. Caldonia, wyczuwszy teraz to jego wyczerpanie, podeszła do męża i objęła go od tyłu. Również małżeństwo oznaczało koniec samotności, ale Robbins nic o tym nie wspominał.

- Henry, pozwól mu jeszcze raz spróbować postępować, jak należy.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Gdy był chłopcem na plantacji Robbinsa, znał człowieka, któremu odcięto prawe ucho po drugiej próbie ucieczki. Kiedy ten człowiek, niejaki Sam, bezdzietny kawaler, zestarzał się i nie w głowie było mu już uciekanie, a poza tym miał dużo czasu, żeby gryźć się swoim nieszczęściem, lubił chwycić małe dzieci i je straszyć, przykładając pozbawioną ucha stronę głowy blisko ich twarzy, a dzieci krzyczały, żeby je puścił. Rana rozwinęła się w okropny grzyb z tkanki bliznowatej i różniła się od drugiej strony twarzy jak piekło od nieba.

- Szukaj mojego ucha! - krzyczał do dzieci, potrząsając nimi. - Szukaj mojego ucha, i to szybko!

Jeden chłopiec zemdlał. Ojciec innego pobił Sama, ale to i tak nie powstrzymało go od łapania dzieci. Henry również został tak kilka razy złapany, ale pewnego dnia, gdy miał dwanaście lat, poczuł, że już się nie boi, nawet sam się zastanawiał, gdzie się podział strach, kiedy mężczyzna przyciągał go bliżej do swojej głowy, a grzyb jeszcze raz groził, że zaraz się otworzy i że zrobi się tak wielki, żeby móc wciągnąć go do środka. Sam trzymał go na tyle długo, że Henry mógł dokładnie przyjrzeć się brunatnej gładkości blizny, wprost zapraszającej go, aby sięgnął ręką i jej dotknął. Miał nawet na tyle czasu, żeby zaglądnąć do

otworu usznego, częściowo przykrytego siwymi włosami i brunatną gładkością, i zastanowić się, ile dźwięków takie ucho mogło odbierać.

- Daj mu jeszcze jeden dzień w stajni, żeby mógł wszystko przemyśleć - powiedziała Caldonia. Zdjęła ręce z jego ramion i opuściła je wzdłuż ciała, ale nadal opierała się o plecy męża.

- Nawet jeden dzień to za długo, Caldonio.

*

Tak jak zaplanowano, zjedli wczesną kolację u Fern Elston. Mąż Fern, hazardzista Ramsey, był tym razem w domu i zaczął pić jeszcze przed przyjazdem gości. Ramsey nie był pijany, ale, jak to się mu często zdarzało, w połowie posiłku zrobił się agresywny i zaczął oskarżać jednego z gości o to, że ten jest mu winien pieniądze. Tym gościem był Saunders Church, który przybył wraz z żoną Isabelle - para wolnych kolorowych ludzi, niemających niewolników. Początkowo Saunders śmiał się, sądząc, że Ramsey próbuje go naciągnąć.

- Ramsey - odezwała się Fern, po tym, jak jej mąż po raz trzeci domagał się pieniędzy - odłożmy sprawy finansowe na inny dzień.

Henry milczał przez cały posiłek. Nie chciał tu przyjeżdżać, ale Caldonia nalegała, mówiąc, że to może poprawić mu humor.

- Nic ci nie jestem winien - powiedział w końcu Saunders, widząc, że Ramsey bynajmniej nie chce go naciągnąć. - Nic ci nie jestem winien.

Było to zgodne z prawdą. Z powodu swojego pijaństwa Ramsey często myślał, że cały świat jest mu coś winien. Na całe towarzystwo, jakie zasiadło do kolacji, składała się trójka mężczyzn i trójka kobiet. Ramsey siedział u szczytu stołu.

- Daj spokój, Ramsey, posłuchaj żony - odezwał się Henry. - Saunders jest twoim gościem.

Siedział po lewej stronie Ramseya, a Isabelle po prawej stronie męża.

- Nie pytałem jakiegoś czarnucha, służącego białemu człowiekowi, jak mam żyć - powiedział Ramsey. - Pytałeś Robbinsa, co masz dzisiaj powiedzieć?

Henry spuścił wzrok na kolana, a potem błyskawicznie, zanim Ramsey mógł zareagować, wyciągnął rękę i chwyciwszy mężczyznę za gardło, potrząsnął nim raz czy dwa i dalej go nie puszczał. Ramsey zaczął osuwać się na krzesło. Był Murzynem o czerwonym odcieniu skóry, ale powoli, w mocnym uścisku Henry ego, z jego twarzy zniknęły wszystkie kolory, a usiłujące schwytać nieco powietrza usta otwierały się i zamykały powoli, jak u ryby. Ramsey widział po drugiej stronie stołu swoją żonę. Ich małżeństwo minęło już punkt kulminacyjny i Fern tylko spojrzała mu w oczy, ale się nie poruszyła.

- Na Boga, Henry! - krzyknęła Caldonia i obiema dłońmi chwyciła jego rękę. - Henry, proszę!

Saunders podniósł się i w końcu udało mu się oderwać dłoń Henryego od szyi Ramseya, który teraz jeszcze głębiej osunął się na krzesło. Caldonia odciągnęła Henry'ego, aż w końcu jej mąż usiadł na krzesło i oparł dłonie na krawędzi stołu, po dwóch stronach leżącego przed nim talerza. Henry spojrzał w stronę Fern i powiedział:

- Przykro mi, że popsulem tak miłe popołudnie. Isabelle, Saunders i Caldonia zajmowali się Ramseyem. Fern skinęła głową i rzekła:

- Wiem o tym, Henry Wiem.

*

Tego dnia Townsendowie i Valtims Moffett dotarli do swoich domów mniej więcej o tej samej porze. Moffett szedł krótką dróżką prowadzącą do jego małego domu i kiedy znalazł się około pięciu metrów od drzwi, usłyszał kłótnię żony i jej siostry. Pies zdechł, nikt więc nie wyszedł, aby go powitać. Słońce stało jeszcze dość wysoko, a jego ciało, natłuszczone i nakarmione długim dniem, miało w sobie dość energii i siły, aby coś jeszcze zrobić. Odstawił powóz do stajni i poszedł do domu, ale przed wejściem zatrzymał się na ganku i nasłuchiwał. Kłótnia ciągnęła się już od dwóch miesięcy, a zaczęła się dwa dni po tym, jak spał ze swoją szwagierką. Jego nieszczęśliwa żona dała do zrozumienia swojej siostrze, że nic ją nie obchodzi, czy ta będzie spać z Moffettem. Ale kiedy to się już stało, żonę ogarnęła nieoczekiwana wściekłość i ich trwające cały dzień kłótnie ciągnęły się do późna w nocy.

Moffett stał i nasłuchiwał. Odczuwał perwersyjną rozkosz, słuchając ich, dźwięk ich walki kołysał go do snu. Wiedział, że Bogu to się z pewnością nie podoba, ale czuł, że mimo swoich dolegliwości ma przed sobą jeszcze wiele lat życia i że znajdzie się jeszcze czas na to, aby paść przed Bogiem na kolana i prosić o wybaczenie. Kobiety starały się go zadowolić, pokazać mu, że jedna jest lepsza od drugiej i że to ta druga powinna zostać odrzucona. Czyż Bóg nie pozwolił Dawidowi czy Salomonowi na to samo? Moffett poszedł do stajni. Nawet tu słyszał ich głosy. Wkrótce słońce zajdzie, a wraz z nim znikną jego siły. Oporządził konia na noc i wziął pług. Wysypał pieniądze z portmonetki i przeliczył swój zarobek - cztery dolary i pięćdziesiąt centów. Nie zdejmując niedzielnej ubrania, wziął narzędzia potrzebne do zaostrenia pługa.

*

Henry i Caldonia położyli się tego wieczoru wcześniej i kochali się dwukrotnie, nieustannie starając się o syna, który mógłby zmiękczyć zatwardziałe serce Augustusa

Townsenda. Kiedy skończyli, on leżał na plecach, a ona, położywszy rękę na jego piersiach, odpoczywała na boku.

- Nigdy nie miało dla mnie znaczenia, co mówią ludzie - powiedziała po chwili, mając na myśli słowa hazardzisty Ramseya. Henry ociekał potem, a ona, przyłożywszy język do jego policzka, spijała ten pot koniuszkiem języka.

- Wiem - odpowiedział.

- Powinieneś otoczyć swoje serce mocniejszym pancerzem przeciw takim rzeczom - powiedziała Caldonia.

- Staram się - powiedział i uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że już pojutrze będę w pełni opancerzony.

Zamknął oczy, a ona przycisnęła się do niego jeszcze bliżej i kiedy pot przestał płynąć, zamknęła usta. Sam, mężczyzna z obciętym uchem, dalej żył na plantacji Robbinsa. Miał chatę tylko dla siebie, na co pozwolił mu Robbins, chociaż nadzorca mówił, że go to zepsuje.

- Od czasu, gdy zaczął odróżniać dobro od zła, dobrze dla mnie pracuje - powiedział Robbins nadzorcy. Sam nadal chwycił i straszył małe dzieci. Dorośli wiedzieli, że to jest nawyk, z którym niewiele mogą zrobić, starali się więc nauczyć dzieci, aby go unikały.

- Nawet nie mówcie mu „dzień dobry” czy „dobranoc”. Odsuwajcie się od niego jak najdalej, kiedy do was mówi, i idźcie swoją drogą.

*

W drodze na plantację Townsenda, we wtorkowy poranek, Indianin Cherokee, Oden Peoples, spotkał szeryfa Johna Skiffingtona i powiedział mu, że został wynajęty przez Henrygo po ucieczce jednego z jego niewolników. W torbie przy siodle Skiffingtona znajdował się otrzymany miesiąc wcześniej list od jego kuzyna, Counsela Skiffingtona z Północnej Karoliny. Kuzyn rekomendował w tym liście pewną kobietę w hrabstwie Amelia, dysponującą lekarstwem na dolegliwości żołądkowe, na które John Skiffington cierpiał już od dzieciństwa. Counsel zawsze naśmiewał się z „niewieścigo żołądka” Johna, ale nigdy nie uważał, żeby bóle kuzyna były urojone. John wybrał się w dwudniową podróż do tej kobiety w hrabstwie Amelia, słysząc jednak o ucieczce Eliasa, postanowił pojechać z Odenem Peoples, jednym z członków jego patroli. Zbiegły niewolnik był tak naprawdę złodziejem, ponieważ kradł własność swojego pana - samego siebie. Przyjechali około wpół do dziesiątej. Moses wraz z drugim mężczyzną przyprowadzili Eliasa z pola i Oden odciął mniej więcej jedną trzecią ucha niewolnika, podczas gdy wszyscy, łącznie z Henrym, stali na dróżce między chatami. Elias przez cały czas miał spuszczoną głowę, poza tą krótką chwilą, kiedy

Oden mu ją podniósł, aby łatwiej mógł operować brzytwą. Cały płatek uszny i jeszcze kawałek. Oden zawsze nosił ze sobą woreczek z okładem z pieprzu; kompres, który mieszał z octem, gorczycą i odrobiną soli - sprawdzony środek na zatrzymanie krwawienia nawet u tych, którzy zdawali się mieć więcej krwi niż inni ludzie. „Krwawce”, jak ich nazywał Oden. Elias ponownie zwiesił głowę i stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, odmawiając trzymania okładu przy uchu. W końcu Oden musiał przywiązać kompres do głowy Eliasa szmatą, którą Moses przyniósł ze swojej chaty.

Henry polecił Mosesowi zabrać wszystkich z powrotem na pole. Od razu, na drodze między chatami, wypłacił Odenowi dolara za pracę wykonaną na uchu Eliasa.

- Twoim zdaniem to wystarczy? - spytał Henry, kiedy wracając z Odenem i Skiffingtonem, wyszli spośród chat i zbliżali się do nie osiodłanego konia Odena i rudej klaczy Skiffingtona.

- Nie wiem - odrzekł Oden. - To zależy od jego serca. Ale - chwycił cugle - wrócę i załatwię resztę tego ucha za darmo.

Henry skinął głową. Skiffington powiedział:

- Zajadę tu, wracając z hrabstwa Amelia, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Ale ty, Henry, musisz pamiętać o swoich obowiązkach. Tak jak wszyscy, których niewolnicy wpadają na pomysł, żeby uciec. Musisz zachować czujność.

Niedawno, po tym, jak zorganizował patrole, powiedział pewnemu białemu, którego niewolnik miał zwyczaj chodzić tam, gdzie mu się żywnie podobało:

- Moi ludzie nie są aniołami latającymi w górze i widzącymi popełnione zło i schodzącymi na dół, aby je naprawić. Mają swoje ograniczenia, musisz więc pomagać i też pilnować swoich niewolników.

- Zajmiemy się nim, panie Skiffington - odparł Henry. Oden powiedział o Eliasia:

- Jeśli znowu ucieknie, resztę ucha utnę za darmo, ale będę musiał policzyć za pracę przy drugim uchu.

Wsiadł na konia. Wziął w dłoń końską grzywę, przesunął po niej palcami i odłożył ją na lewą stronę szyi wierzchowca. Skiffington również wsiadł na konia i powiedział:

- Nigdy nie widziałem niewolnika bez dwóch uszu.

- Ja widziałem - odrzekł Oden - ale to nie była moja robota.

- To musi być straszny wstyd. Stracić oboje uszu - stwierdził Henry Oden - jako Indianin Cherokee - nie zasługiwał na „pan”, kiedy Henry zwracał się do niego.

- Tak, to musi być wstyd - powiedział Oden. - Pamiętaj, za drugie ucho płacisz. Tak jest uczciwie. Ale resztę tego ucha zrobię za darmo. Nie zapłacisz ani centa.

Henry już się nie odezwał i dwóch mężczyzn razem wyjechało na drogę, gdzie się rozdzielili - Skiffington ruszył do hrabstwa Amelia, w nadziei, że kobieta pomoże jego żołądkowi, a Oden, z podskakującym końskim ogonem, do domu na wypoczynek po nocnym patrolu. Oden nie prowadziłby swojego interesu z uszami, gdyby nie śmierć niewolnika w hrabstwie Amherst. Pewien biały człowiek obciął ucho swojemu „notorycznemu uciekinierowi” i ten niewolnik wykrwawił się na śmierć. Nikt nie był w stanie zrozumieć, co się stało - przecież ludzie obcinali uszy lub ich części od ponad dwóch stuleci. W siedemnastym wieku w całej kolonii Wirginia zdarzało się, że uszy obcinano nawet białym wziętym na służbę. Ale szczęście musiało opuścić tego człowieka z hrabstwa Amherst i jego wart 515 dolarów niewolnik zmarł z utraty krwi. Kilku białych chciało wnieść oskarżenie o zabójstwo, ale wielka ława przysięgłych odrzuciła zarzut, stwierdziwszy, że ten człowiek i tak wystarczająco wycierpiał przez stratę swojej własności.

Ludzie byli wystraszeni tym, co się stało z niewolnikiem, który wykrwawił się na śmierć, i zaczęli wierzyć, że nawet po dwustu latach wykonywania tej czynności wciąż może istnieć prawdziwa nauka obcinania uszu, podobnie jak była nauka podcinania ścięgien niewolnikowi czy jesienno zarzynania prosiaków. Oden pojawił się po śmierci tego niewolnika z hrabstwa Amherst, dwudziestosiedmioletniego leworęcznego mężczyzny o imieniu Fred, oferując solidną i efektywną pracę oraz gwarantując przeżycie ofiary. Nawet kiedy Oden przejął już to zadanie, niektórzy panowie nadal wykorzystywali śmierć tego człowieka, aby zastraszyć potencjalnych uciekinierów.

- Tylko naróbcie mi tu kłopotów, a skończycie jak ten czarnuch Fred. A potem rzucę wasze cholerne ścierwo wieprzom.

To nie mogło być prawdą - świnie mogły jeść prawie wszystko, ale świnie w Wirginii nigdy nie tknęłyby człowieka. W czwartym roku urzędowania Skiffingtona jako szeryfa Oden miał właściwie monopol na obcinanie uszu w pięciu hrabstwach, nie licząc Manchesteru.

*

Tej wtorkowej nocy, kiedy Oden obciął już Eliasowi część ucha, Luke spał obok Eliasa. Luke znał chłopaka, który znał Freda, i pomyślał, że jeśli Elias zacznie w nocy krwawić, to on będzie na miejscu, aby mu pomóc - mógłby zdążyć pobiec po Lorette, zanim Elias by się wykrwawił. Początkowo Elias mówił mu, że nie życzy sobie żadnego towarzystwa i że jeśli chłopiec zostanie, to go zabije. Luke nic na to nie odpowiedział i rozłożył swój siennik kilka centymetrów od miejsca, do którego był przykuty Elias.

Caldonia i Loretta przyszły do stajni, zanim jeszcze chłopiec i mężczyzna zasnęli. Loretta zdjęła okład zrobiony przez Odena i założyła własne bandażę, przez cały czas słowem się nie odzywając.

- Proszę, postaraj się być dobry - powiedziała Caldonia przed wyjściem. - Proszę, postaraj się.

Dwie kobiety uklęły przy Eliasie, a kiedy Loretta rzuciła okład w słomę, Caldonia go podniosła. Na kompresie było tak mało krwi, że nie było czym się martwić - więcej wydalą w ciągu godziny swojej miesiączki. Zapach pieprzu był przejmujący. Zanim Caldonia się podniosła, powiedziała do Eliasza:

- Równie łatwo jest robić dobro co zło.

Elias się nie odezwał.

Caldonia spojrzała z góry na Loretkę opatrującą Eliasa i na Lukea obserwującego mężczyznę i kobietę. To wszystko, razem i z osobna, wyglądało po prostu strasznie. W takich chwilach chciała ponownie zastanowić się nad obraną przez nich drogą. Tą długą drogą do tego dziedzictwa, do niewolników „Moje dziedzictwo” - powtarzała często jej matka, Maude. „Musimy chronić nasze dziedzictwo”.

Loretta podniosła się i wzięła okład z rąk Caldonii.

- Przyjdę jutro rano - powiedziała Loretta. Wyszły ze stajni i Caldonia powiedziała Loretce, żeby poszła do domu, bo przed udaniem się na spoczynek chce złożyć kilka wizyt. Często odwiedzała ludzi w ich chatach, niejednokrotnie zawstydzając tym ich mieszkańców, którzy znali cudowny dom, w jakim ona mieszkała.

- Pójdę z panią - odparła Loretta. Caldonia pokręciła głową. Powiedziała:

- Powiedz panu, że zaraz przyjdę.

Caldonia odwróciła się i ruszyła dróżką między chatami. Gdy widziała światło sączące się spod drzwi, pukała i pukała tak długo, aż ktoś otwierał albo pytał:

- Kto tam? Kto przyszedł?

*

W niedzielę dwa tygodnie później, kiedy Moffett przyjechał, wygłosił kazanie i odjechał, Elias spotkał Celeste i Lukea w pobliżu pól. Celeste trzymała w ramionach szlochającego Lukea. Kiedy podniosła wzrok i ujrzała Eliasa, nie ucieszyła się na jego widok, ponieważ pamiętała, jak na nią patrzył, gdy chodziła, utykając.

- Luke, chłopcze, co się stało? - zapytał Elias. Przez krótką chwilę myślał, że to Celeste musiała go uderzyć, a potem pożałowała swojego czynu. Ale sposób, w jaki go obejmowała, świadczył o tym, że nie wyrządziła mu krzywdy Czas spędzony z chłopcem

spowodował, że Luke stał mu się tak bliski, jak tylko druga istota ludzka może być bliska sercu człowieka.

- Luke, powiedz Eliasowi, co się dzieje. Kto cię skrzywdził? Powiedz Eliasowi, kto to?

Celeste odezwała się:

- Sądzę, że tęskni za swoją mamą. Chłopiec ma prawo tęsknić za mamą. Dziewczynka ma prawo tęsknić za mamą. Znalazłam go pod tym drzewem, zalanego łzami.

Nie chciała, aby ten obserwator, Elias, bardziej się do nich zbliżał, ale on jednak podszedł i położył rękę na głowie chłopca, a jego dłoń znalazła się w pobliżu jej nadgarstka.

- Luke, ja będę twoją mamą - powiedziała. - Będę najlepszą mamą, jaką tylko potrafię być.

Wkrótce chłopiec się uspokoił. Celeste spojrzała na rękę Eliasa, a potem na niego samego. Nadciągała burza i właśnie dlatego Elias wyszedł w poszukiwaniu Luke'a. Chłopiec lubił bawić się w deszczu i nigdy nie przejmował się tym, że może go zabić piorun. Teraz zaczęło padać, taki przekorny deszcz, delikatne, rzadkie krople. Spragniony wróbel mógł odchylić łepkę i łapać krople, nie obawiając się, że woda go zatopi. Celeste spojrzała na wielką kroplę deszczu na ręce Eliasa przykrywającej głowę Lukea, patrzyła, jak do pierwszej kropli dołączyły dwie kolejne. Rozległ się grzmot, ale dochodził jeszcze z bardzo daleka, z drugiej strony gór. Celeste powiedziała:

- Lepiej pomóżmy mu.

Zdobyła się na to, aby spojrzeć mężczyźnie prosto w twarz.

- Tak, lepiej mu pomóżmy.

*

Po tym spotkaniu Celeste i Elias nadal nie mieli sobie prawie nic do powiedzenia, a Elias powrócił do snucia swoich planów ucieczki. Późną nocą po tym, jak Moses zapewnił Henryego, że Elias dostał już nauczkę, Elias postanowił wyjść na próbę na drogę i czekać, co może mu się przydarzyć.

Nigdy nie potrafił powiedzieć, kiedy zaczęło mu zależeć na Celeste, pamiętał jedynie, że budząc się pewnego ranka, poczuł, że na świecie panuje cisza i bezruch, jakich nigdy wcześniej nie zaznał. Ptaki nie śpiewały, nie trzaskał ogień w palenisku, nie przebiegały myszy, a nawet jego chrapiący współmieszkańcy spali cicho. Zawsze wyobrażał sobie, że w takiej właśnie chwili wymknie się, ruszy w drogę ku wolności, w takiej właśnie chwili, gdy cały świat będzie zajęty czymś innym. Ale kiedy usiadł na sienniku i wsłuchiwał się w tę nicość, poczuł, że chce być z tą kobietą. Powoli świat zaczynał powracać do normalności i

pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, a przynajmniej tak mu się zdawało, był odgłos jej kuśtykania po dróżce między chatami, szelest rąbka jej sukienki po ziemi, szuranie stopy jej ułomnej nogi, kiedy ją podnosiła.

Jednak kiedy starał się zbliżyć do niej, iść obok niej, w nadziei, że ta bliskość wyrazi to, czego nie potrafił wyrazić słowami, ona oddalała się pospiesznie, sądząc, że on jedynie chciał przyjrzeć się z bliska jej okropnemu utykaniu. Cierpiał dzień po dniu, widząc, jak ona się od niego odsuwa. Dopiero później, prawie dwa miesiące po tym, jak Oden przyłożył brzytwę do jego ucha, pewnego wieczoru, kiedy już wszyscy niewolnicy skończyli pracę i zaczęli myśleć o spaniu, Elias poszedł do chaty, którą Celeste dzieliła z dwiema innymi kobietami, i stukał tak długo, aż jedna z tych kobiet podeszła do drzwi. Luke przeprowadził się do Celeste, ale teraz go tam nie było.

- Czy mogłabyś powiedzieć Celeste, że chciałbym zamienić z nią słówko? - odezwał się Elias do kobiety.

Kobieta się roześmiała, ale gdy zobaczyła, że Elias nie odchodzi, odwróciła się i zawołała do Celeste:

- To ten Elias do ciebie.

Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim podeszła do drzwi. Skinął jej głową, a ona odpowiedziała tym samym.

- Chciałbym po prostu porozmawiać z tobą, to wszystko - powiedział.

- Dobrze - odpowiedziała.

Popatrzył jej prosto w twarz, jej sylwetka rysowała się w świetle docierającym z wnętrza chaty - Dlaczego cały czas mnie źle traktujesz, skoro ja tylko chcę cię dobrze traktować?

- Co powiedziałeś?

- Dlaczego cały czas mnie źle traktujesz, skoro ja tylko chcę cię dobrze traktować? To powiedziałem.

- Nie wydaje mi się, żebym cię jakoś źle traktowała.

- Ale tak jest i proszę cię, abyś przestała to robić. Schodząc do niego z jedyne go stopnia przed chatą, oparła jedną rękę o futrynę drzwi, aby utrzymać równowagę, a on chwycił ją za drugie ramię. Po dłuższej chwili powiedziała:

- Nie chciałam tym wyrządzić ci żadnej krzywdy Uwierzył w to, co powiedziała, i znowu nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Udało mu się to dopiero, kiedy usłyszał, jak jedna z kobiet w chacie roześmiała się z tego, co powiedziała druga kobieta.

- No to będę z tobą rozmawiać. Jutro, jeśli ci to nie przeszkadza. Porozmawiamy jutro.

- Tak.

Odwróciła się i ponownie oparła się o futrynę, weszła na stopień, podtrzymywana przez Eliasa za łokieć. Wkroczyła do chaty i zamknęła za sobą drzwi.

*

Tydzień później ponownie był przed jej chatą, ona stała w drzwiach, a on rozwinął kawałek szmaty i pokazał jej grzebień, który wyrzeźbił z kawałka drewna. Grzebień był niezgrabny, bez wątpienia było to jedno z najbardziej prymitywnych i brzydkich narzędzi w historii ludzkości. Każdy ząb wyglądał inaczej - niektóre były za grube, ale większość była bardzo cienka, ponieważ zestrugiwał je w nadziei, że nabiera wprawy

- Och - powiedziała Celeste. - Ojej. Wzięła grzebień i uśmiechnęła się.

- Boże miłościwy.

- To nic takiego.

- To jak cały świat. To dla mnie?

- Tak.

- Ojej, Boże miłościwy

Spróbowała się przeczesać, ale grzebień nie spełnił swojego zadania.

- Ojej - powtarzała Celeste, walcząc z grzebieniem. Wyłamało się kilka zębów. - Ojej.

Sięgnąwszy ręką, chwycił jej dłoń z grzebieniem i wspólnie wyplątali go z jej włosów.

- Połamałam go - powiedziała, gdy już uwolnili grzebień z włosów. - O Boże, połamałam go.

- Nic się nie stało - powiedział Elias.

- Ale ty mi go dałeś, Elias.

Oprócz jedzenia w żołądku i ubrań na grzbiecie oraz kilku nic niewartych rzeczy w kącie chaty, grzebień był wszystkim, co miała. Trzyletnie dziecko mogłoby przez cały dzień taszczyć jej wszystkie rzeczy i nie zmęczyłoby się.

- Możemy zrobić następny.

Sięgnął ręką i wyjął ząb, który złamał się w jej włosach.

- Ale...

- Zrobię ci grzebienie dla wszystkich włosów na twojej głowie.

Zaczęła płakać.

- Łatwo ci tak mówić dzisiaj, kiedy słońce świeci. Ale jutro, może w przyszłym tygodniu, słońca nie będzie, a ty już nie będziesz myślał o żadnym grzebieniu.

Jeszcze raz powtórzył:

- Zrobię ci grzebienie dla wszystkich włosów na twojej głowie.

Upuścił złamany ząb na ziemię, a ona mocno zacisnęła dłoń na resztkę grzebienia.

Schowwała twarz w drugiej dłoni i płakała. Na plantacji, z której pochodziła, podszedł do niej kiedyś na polu kukurydzy pewien niewolnik i powiedział jej, że taką kobietę jak ona powinno się zastrzelić jak konia ze złamaną nogą. Wtedy też tak płakała.

Elias objął ją ramionami, nieśmiało, bo to był pierwszy raz. Drżał na całym ciele, a to drżenie wzmagало się, im bliżej była jego ciała. Ucałował ją w bok głowy, tuż obok linii włosów, a jego wargi dotknęły nie tylko jej skóry i włosów, ale również zęba z grzebienia, którego jakoś wcześniej nie zauważył.

*

Następnego dnia wspólnie spożywali kolację na skraju pola, a kiedy on skończył jeść, powiedział jej, że musi porozmawiać z panem, po czym wstał i odszedł z pola, a Moses nawet nie zapytał go, co robi ani dokąd idzie. Na tyłach domu zastukał do drzwi. Otworzyła je kucharka Zeddie.

- Zeddie, muszę porozmawiać z *master* Henrym. Czy mógłbym porozmawiać z *master* Henrym?

- Powiem mu - odrzekła Zeddie. - Wejdz.

Szerzej otworzyła drzwi, a on wszedł do środka; po raz pierwszy znalazł się w domu. Poczł zapach drzewa pierwszy raz nacinanego, zapach krwi utoczonej z pierwszej rany zadanej drzewu siekierą. Elias zamknął drzwi. Po chwili Zeddie powróciła z panem i Henry, jeszcze zanim wszedł do kuchni, zapytał:

- O co chodzi, Elias?

Elias spojrzał na Zeddie, a po chwili powiedział:

- Ja lubię Celeste, *master*, i z każdym dniem lubię ją bardziej. Z tego, co widzę, to lubienie nie skończy się jutro.

- Naprawdę, Elias?

- Tak, *master*. Chcę się z nią ożenić. Chcę z nią być. Niczego bardziej nie chcę oprócz życia.

Zeszłej nocy znowu mu się śniło, że uciekł na wolność. Był tak bezpieczny jak anioł u stóp Boga, bezpieczny w swojej drodze ku wolności, a potem przypomniał sobie, że tam, w niewoli, coś pozostało, coś, o czym zapomniał, pobiegł więc z powrotem, mijając po drodze miliony dążących ku wolności. Przeszukiwał opuszczone chaty niewolników w poszukiwaniu tego, o czym zapomniał, i w ostatniej chacie z setek, które przeszukał, zobaczył Celeste - nie miała nawet jednej nogi, na której mogłaby stać. Zobaczyła go i odwróciła od niego twarz.

- I chcesz, żebym się na to zgodził?

- *Master*, ja będę dla niej dobrym mężem i będę dobrym pracownikiem każdego dnia, w którym Bóg da mi siły. Byłbym nieszczęśliwy, *master*, gdyby nas rozdzielono, kiedy ona jest moją żoną. Byłoby nam źle, gdyby nas sprzedano oddzielnie. Byłoby źle.

Elias zdawał sobie sprawę z tego, co mówi, i wiedział również, że jeśli jego pan da swoje błogosławieństwo, już nigdy więcej nie będzie marzył o tym, aby znowu znaleźć się na tej drodze.

- Byłbym nieszczęśliwy, gdybym stracił dobrą żonę, i Celeste byłaby nieszczęśliwa, gdyby straciła dobrego męża. Nie znieślibyśmy rozdzielenia.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy, Elias. I chcę, żeby Celeste była szczęśliwa. Teraz więc wracaj i bądźcie szczęśliwi.

- Dziękuję, *master*.

Zeddie właśnie dokładała do pieca, ale przerwała swoją pracę i otworzyła drzwi przed Eliasem. Wszedł z domu. Henry przeszedł przez dom i wychodząc przez frontowe drzwi zdążył jeszcze zobaczyć Eliasa zmierzającego na pole. Poza Eliasem w zasięgu wzroku nie było nikogo, a do głównej drogi było bliżej niż do pól. Henry zszedł po schodach i ruszył za Eliasem, który poszedł prosto na pole i od razu powrócił do pracy wykonywanej przed kolacją, zjedzoną już przez wszystkich niewolników na polu. Henry widział Celeste, jak utyka, chodząc po swoich rzędach, utyka i szybko pracuje. Znajdowała się na jednym końcu pola, a jej przyszły mąż na drugim. Elias nie patrzył na nią, ona nie patrzyła na niego. Moses pomachał do Henryego i Henry pomachał mu w odpowiedzi.

Henry przez dłuższy czas stał w miejscu, obserwując Eliasa, i przez cały ten czas Elias nawet nie spojrzał na Celeste. Henry zrozumiał, że on nie musi patrzeć, że wystarczyło mu samo uczucie. I zrozumiał jeszcze, że to, co właśnie się stało, było lepsze, niż jakiegokolwiek łańcuchy. Miał ich oboje, silnego mężczyznę przywiązanego do kobiety z wykrzywioną nogą, choć nigdzie nie było widać żadnych łańcuchów. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym Williamowi Robbinsowi. Henry wrócił do domu tą samą drogą i w wielkiej księdze wpisał wybraną przez siebie datę ślubu Eliasa i Celeste, wpisał to zamasztyłym pismem, jakiego nauczyła go Fern Elston, gdy miał dwadzieścia lat.

*

Ślubu udzielił im Moffett, a podczas jego nieobecności szwagierka pobiła swoją siostrę tak, że ta ledwo żyła. Na plantacji trzeba było dokonać pewnych zmian i przeprowadzek, ale w końcu Celeste i Elias dostali swoją chatę i wzięli do siebie Lukea. Skiffington aresztował szwagierkę Moffetta, jednak skończyło się na niczym, ponieważ jej

siostra nie chciała wnieść oskarżenia. Kobieta wróciła do domu i cała trójka żyła tak jak przedtem.

Młody Lukę był szczęśliwy Kiedy Shavis Merle, biały właściciel trzech niewolników, chciał wynająć Lukea na żniwa, Elias powiedział Henryemu, że pójdzie zamiast chłopca, ponieważ wszyscy wiedzieli, jak bezwzględny potrafi być Merle. Ale Henry nie miał zamiaru spełniać dwóch życzeń Eliasa w jednym roku i wynajął Lukea za dwa dolary tygodniowo. Merle uważał, że robotnikom trzeba dawać dużo jedzenia, ale oni i tak to wszystko zwracali na polu, pracując od świtu do zmierzchu, a tego roku nikt więcej nie zwrócił niż Luke. Kiedy Lukę zmarł przy pracy w polu, Merle na wszystkie sposoby bronił się przed wypłatą jakiegokolwiek odszkodowania, ale William Robbins zmusił go do zapłacenia Henryemu za chłopca stu dolarów

- Uczciwy interes to uczciwy interes - William Robbins musiał wielokrotnie powtarzać to Merlemu.

Moffett przybył wcześniej na pogrzeb, w którym Merle uczestniczył, i powiedział kilka słów nad grobem chłopca, ale nikt nie powiedział tyle, co Elias, i w końcu jego nowa żona musiała objąć go ramionami, aby zatamować potok tych wszystkich słów

4

Osobliwości na południe od granicy. Sztuczki ze sznurkiem w przeklętym mieście. Edukacja Henryego Cownsenda

Od połowy lat siedemdziesiątych i przez prawie całe lata osiemdziesiąte dziewiętnastego wieku biały człowiek z Kanady, niejaki Anderson Frazier, zarabiał na dostatnie życie w Bostonie, wydając sprzedawane za dwa centy broszury o Ameryce i mieszkających tam ludziach, a zwłaszcza o ich, jak to nazywał, „osobliwościach”. Publikowane przez niego informacje pochodziły głównie z gazet i czasopism, ale w swoich broszurach nadawał im nową, atrakcyjną i barwną oprawę, zachwycającą tysiące czytelników. Do Stanów Zjednoczonych przybył w 1872 roku, sfrustrowany tym, że tak niewiele udało mu się osiągnąć w Kanadzie. Był czwartym z siedmiorga dzieci i nie chciał zajmować się rozpoczętą przez jego ojca i dziadka działalnością handlową, w której tak dobrze czuli się jego starsi bracia. Poza tym miał już dość tego, co postrzegał jako kanadyjską szorstkość, która dobrze przysłużyła się krajowi w czasach, gdy Europejczycy starali się stworzyć tu miejsce bezpieczne dla białego człowieka, doszedł jednak do przekonania, że ta niegdyś konieczna szorstkość, wyraźnie zauważalna w zachowaniu jego braci, stawała się cechą charakterystyczną całego kraju. A on pragnął się od tego uwolnić. Kanadę zobaczył ponownie

dopiero w 1881 roku. Kraj w zasadzie pozostał taki sam jak wtedy, gdy go opuszczał, ale jego rodzina zmieniła się na gorsze i gdy siedział w kuchni pełnej bratanków i bratanic, rozmawiając z jedną z sióstr, w głębi duszy czuł, że gdyby nie wyjechał, większa część jego rodziny dalej zmierzałaby dość wygodną ścieżką, na jakiej widział ich ostatnio.

Od momentu, kiedy zajął się publikowaniem broszur w Bostonie, zaczął podróżować tam i z powrotem wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki, dojeżdżając na południe aż do Waszyngtonu, i zapuszczać się daleko w głąb kraju, zbierając dodatkowe informacje dla Kanadyjskiego Przedsiębiorstwa Wydawniczego. W 1879 roku spotkał w Nowym Jorku młodą kobietę, Esther Sokoloff, która powróciła z nim do Bostonu, ale nie chciała go poślubić, nigdy jednak nie podając przyczyny. Bardzo kochał Esther; nie przypuszczał nawet, że może tak mocno pokochać Amerykankę - jak pisał do swego przyjaciela w Kanadzie, który nie potrafił czytać i któremu ktoś inny musiał odczytać listy Andersona. Przez pierwsze półtora roku życia razem zdarzało się, że zostawiała go bez słowa i wracała do swojej rodziny w Nowym Jorku, a gdy on przyjeżdżał do tego miasta, nie chciała się z nim zobaczyć. Raz poprosił pewną kobietę, aby poszła do jej domu i spytała, czy może się z nim spotkać, a kiedy Esther odmówiła, Anderson wyruszył do tej części Ameryki, która była położona na południe od Waszyngtonu; do tej części kraju, która nie interesowała go, zanim nie poczuł bólu, jaki zadała mu Esther.

To właśnie na Południu Anderson zetknął się z materiałem, który miał później wykorzystać w nowej serii broszur, wydanych pod wspólnym tytułem „Osobliwości i dziwactwa naszych południowych sąsiadów”. *Gospodarka bawełną, Smaczne jedzenie z niczego, Flora i fauna, Potrzeba opowiadania*. Seria odniosła wielki sukces, a największą popularnością cieszyła się opublikowana w 1883 roku broszura o wolnych Murzynach, którzy przed wojną secesyjną mieli niewolników. Ta publikacja o murzyńskich właścicielach niewolników doczekała się dziesięciu wydań. Do końca dwudziestego wieku dotrwało tylko siedem egzemplarzy broszury. W 1994 roku pięć z nich znajdowało się w Bibliotece Kongresu, a dwa pozostałe zostały sprzedane jako część czarnych memorabiliów, będących w posiadaniu czarnoskórego mężczyzny z Cleveland w stanie Ohio. Po śmierci tego mężczyzny w 1994 roku kolekcję sprzedano producentowi samochodów w Niemczech za 1,7 miliona dolarów.

Anderson Frazier rozpoczął pisanie serii broszur o Południu trzy miesiące przed tym, jak pewnego marcowego dnia Esther powróciła z Nowego Jorku i powiedziała mu, że już go nigdy nie opuści. Dwa miesiące później przeszedł na judaizm. Odkładał obrzezanie do momentu, kiedy rabin, bardzo niski mężczyzna o niesfornych włosach, powiedział, że

Anderson stoi przed niebezpieczeństwem porzucenia wiary i zerwania przymierza z Bogiem. Usiedli wspólnie w gabinecie rabina.

- Bóg jest wszystkim - powiedział mu rabin.

Anderson znał rabina wiele lat, poszukiwał u niego rady i pocieszenia już za pierwszym razem, gdy Esther wróciła do swojej rodziny. Jeszcze zanim Anderson po raz pierwszy spotkał tego rabina, słyszał, że jakiś rabin w okolicy stracił ostatnio w pożarze syna, synową i trójkę wnucząt. Tego pierwszego dnia Anderson poszedł do domu tego człowieka w poszukiwaniu pociechy, nie wiedząc, że przychodzi do rabina dotkniętego tą tragedią. Anderson myślał, że śmierć piątki ludzi wydarzyła się w rodzinie innego rabina, w innej dzielnicy.

Zatem kiedy rabin powiedział Andersonowi, że grozi mu zerwanie przymierza, Anderson został obrzezany, a następnie wziął ślub.

Broszura o wolnych Murzynach będących właścicielami innych Murzynów składała się z dwudziestu siedmiu stron, nie licząc sześciu stron z rysunkami i mapami. Siedem stron poświęcono Henryemu Townsendowi i wdowie po nim, Caldonii, oraz jej drugiemu mężowi, Louisowi Cartwrightowi, synowi Williama Robbinsa. Cartwright było nazwiskiem, jakie matka Louisa, Philomena, wybrała dla siebie i swoich dzieci. Na jednej z tych siedmiu stron broszury znajdowały się dwa długie akapity, w których wymienione zostało nazwisko Fern Elston, nauczycielki, która, jak napisał Anderson, „sama była właścicielką kilku Murzynów”.

Anderson spotkał Fern pewnego sierpniowego dnia w 1881 roku. Przyszedł do niej, kiedy siedziała na ganku ze szklanką lemoniady w ręce i w wielkim kapeluszu na głowie, i zapytał, czy może z nią porozmawiać. Fern nigdy nie przepadała za towarzystwem białych, a ten jej stosunek do nich z czasem jedynie się pogorszył.

- Myślę, że tak - odpowiedziała, siedząc w cieniu morwy, nie tak starej, jak ona sama.
- Myślę, że tak, jeśli tylko nie zajmie mi pan zbyt wiele czasu. Nie mamy czasu na głupstwa, ani pan, a tym bardziej ja.

Dla Andersona Fern równie dobrze mogła mieć lat szesnaście, jak trzydzieści dziewięć, czy też pięćdziesiąt pięć albo siedemdziesiąt osiem. Uważał, że jako dziennikarz powinien potrafić określić jej wiek, nie pytając o to. Nigdy też jej o to nie zapytał, a w swoim opracowaniu, jakie zamieścił w broszurze na temat wolnych Murzynów posiadających niewolników, ani razu nie podał jej wieku.

Podszedł do ganku miłego domku w murzyńskiej dzielnicy miłych domków. Początkowo myślał, że ciemnoskóry mężczyzna na rogu ulicy źle go skierował, ponieważ

kobieta, którą zobaczył, z pewnością była białą kobietą, niezależnie od tego czy potrafił określić jej wiek, czy też nie.

Gdy już znalazł się na ganku, była serdeczna, a po tym, jak przesiedział z nią ponad pół godziny, zaproponowała mu lemoniadę. Lemoniadę przyniósł Andersonowi mężczyzna, który niegdyś był jej niewolnikiem, a obecnie najbliższym przyjacielem.

Anderson po raz pierwszy usłyszał o wolnych Murzynach mających własnych niewolników zaledwie pięć miesięcy wcześniej i uznał, że jest to najdziwaczniejsza rzecz ze wszystkich dziwacznych rzeczy, z jakimi się spotkał. Powiedział o tym Fern.

- Sam nie wiem - powiedział, kiedy zbliżała się już godzina jedenasta. - Wydaje mi się, że to tak, jakby być właścicielem własnej rodziny, jakby mieć na własność członków rodziny.

Niedawno powrócił z wizyty, którą złożył swojej rodzinie po raz pierwszy od opuszczenia Kanady w 1872 roku. Gdy rozmawiał z Fern, pomyślał o swoim rodzeństwie i żałował, że nie może być z nimi, że wyjechał z Kanady wtedy za pierwszym razem, a teraz po raz drugi. Przez głowę przemaszerowały mu imiona wszystkich siostr i braci, powoli, tak że miał ogromnie dużo czasu na to, aby palcem swojego umysłu przesunąć po każdej literce w ich imionach.

- Nie, panie Frazier, to inaczej, niż posiadać członków własnej rodziny. To coś zupełnie innego. - Fern wygładziła sukienkę, choć było to niepotrzebne. - Nie może pan odejść z tego miejsca w przekonaniu, że to jest to samo, ponieważ tak nie jest.

Jeśli na niego patrzyła, a zdarzało się to rzadko, kapelusz z szerokim rondem zasłaniał część jej twarzy. Dużo lepiej ją widział, gdy patrzył na nią z boku, a ona spoglądała na ulicę.

- Wszyscy robimy tylko to, na co zezwala prawo i Bóg. Nikt z nas, wierzących w prawo i Boga, nie robi nic więcej. A pan, panie Frazier? Czy robi pan więcej, niż zezwala Bóg i prawo?

- Staram się nic takiego nie robić, pani Elston.

- A widzi pan, panie Frazier. Pod tym względem jesteśmy podobni do siebie. Ja nie byłam właścicielką swojej rodziny i panu nie wolno opowiadać ludziom, że byłam. Nie byłam. My mieliśmy... - westchnęła, a słowa zdawały się teraz wychodzić przez dużo bardziej suche gardło, niż jeszcze kilka sekund wcześniej - mieliśmy niewolników. Tak wtedy było i tak robiliśmy.

Powiedziała mu, że ma na nazwisko Elston, ale było to nazwisko jej pierwszego męża. Wszyscy wokół znali ją pod nazwiskiem jej trzeciego męża. Ten mąż był kowalem, byłym niewolnikiem, mężczyzną o orzechowej skórze, z którym miała dwójkę dzieci, kiedy już była

w takim wieku, że nie wydawało jej się możliwe, aby jej własne ciało mogło jej zrobić coś takiego. Mąż nazywał ją „mama”, a ona jego „papa”. Powiedziała do Andersona:

- My, żadne z nas, Murzynów, nigdy nie zrobiłoby niczego, czego nam nie było wolno.

Fern przyglądała się wnętrzu swej dłoni. Gdyby Anderson nie był białym i nie był mężczyzną, gdyby ten dzień od początku nie był taki gorący i nie robił się coraz gorętszy, gdyby nie kłóciła się z mężem od samego rana o taką błahostkę, że nawet nie zasługiwała na miano błahostki, gdyby dawno temu hazardzista nie wyjechał do Baltimore bez jednej stopy, gdyby było inaczej, Fern być może otworzyłaby się przed Andersonem. „Oto prawda, jaką znam w głębi serca”. Gdyby ten hazardzista wyjechał z obiema stopami, gdyby stracił jedynie malutki, malusieńki paluszek tam, na samym końcu jednej z jego dłoni.

Imiona członków rodziny nie opuszczały Andersona, kiedy tak siedział z Fern, i to przynosiło mu jakąś dziwną pociechę.

- Pani Elston, czy tęskniła pani kiedyś za domem? Wszyscy przechodzący obok domu Murzyni mówili jej

„dzień dobry” i szli w jedną lub w drugą stronę pokrytej kurzem ulicy w małym miasteczku w Wirginii, w którym tory kolejowe wyraźnie mówiły mieszkańcom: wszyscy czarni w tę stronę, a wszyscy biali w tamtą. Anderson, jako osoba pochodząca z innego miejsca, której obecnym celem było zostać pobożnym żydem, początkowo się pogubił.

- Nie, starałam się żyć poza wpływem takiej dolegliwości - odpowiedziała Fern, odganiając muchę. - Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest to choroba tak osłabiająca i niebezpieczna dla życia, jak te wszystkie inne. Te, o których piszą w książkach - odwróciła się w jego stronę - i w broszurach. - Ponownie odwróciła się w drugą stronę.

- Nie - rzekł Anderson. - Nie jest tak groźna dla życia. Prawdą jest, że potrafi być nawet zupełnie miła.

Spojrzał na ziemię przed sobą, na trawę, drzewa po obu stronach wijącej się ścieżki prowadzącej do ganku, na to wszystko skąpane w słonecznym świetle, a potem ujrzał swoją rodzinę, braci i siostry stojących jedno przy drugim. Trzy miesiące przed wizytą w Kanadzie usłyszał, że zmarła jedna z jego siostr, Sheila, druga od lewej na podwórzu Fern. Całe jego rodzeństwo stało teraz na rozgrzanym letnim słońcem podwórzu przed domem Fern, w najcieplejszych zimowych ubraniach, płaszczach, w wysokich butach, futrzanych czapach. Padał śnieg. Siostry i bracia machali do niego, każde jedną ręką, ale poza tym machaniem wszyscy byli prawie zupełnie nieruchomi, jakby pozowali do fotografii.

- Tak, zupełnie miła.

Fern odwróciła się w jego stronę, w stronę człowieka, który prawdopodobnie był już wykończony bezlitosnym upałem Południa.

- Widzę - i odwróciła wzrok - że będę musiała uwierzyć dziennikarzowi na słowo.

Jakiś mężczyzna przeszedł obok domu i pozdrowiwszy Fern, powiedział, że poranek znowu jest gorący

- Próbowalesz tych ketmii, które ci posłałam, Herbert? - zapytała tego mężczyznę.

- Tak - odpowiedział, unosząc kapelusza. - I bardzo mi smakują. Adele przyrządziła je całkiem nieźle. Tak jak lubię. Jutro skończę ten twój płot za domem. Adele chciałaby wiedzieć, kiedy przyjdiesz.

- Powiedz jej, że wkrótce do niej zajrzę. Pozdrów ją ode mnie. I jeszcze jedno, Herbercie, będzie więcej ketmii. Mogę ci to obiecać.

- A ja już teraz dziękuję.

Ona i Anderson patrzyli za mężczyzną, jak dochodzi do rogu ulicy, patrzy w lewo i w prawo, a następnie kieruje się w lewo.

- Czasami wydaje mi się, że zbyt dużo wiary pokładam w moim ogrodzie - odezwała się Fern. - Pewnego dnia zawiedzie mnie i wszyscy będą mnie uważali za kłamczuchę.

- Pani Elston, czy mogłaby mi pani opowiedzieć o panu Townsendzie?

Wypiła łyczek lemoniady, ale nie spojrzała na niego. Długo przetykała, a później przypatrywała się szklance. *Zimne szklanki lemoniady płaczą*, pomyślała. *Jakiś poeta powinien umieścić to w wierszu do swojej damy, chyba że ta dama już dwa razy to wyraziła w jednym ze swoich listów do niego.*

- O Henrym czy Augustusie? Mogę powiedzieć, że znałam Henrygo. Wydaje mi się, że bardzo dobrze znałam Henry'ego. Ale nie mogłabym powiedzieć, że znałam Augustusa.

Mówiąc to, próbowała przypomnieć sobie Augustusa, ale pamięć o nim była pełna dziur, tak samo jak jej wspomnienie o jednonogim hazardziście. *Taka powinność, taka zona.* W swoim życiu rzadko widywała Augustusa, a większość z tego, co zachowała w pamięci, pochodziło z dnia, w którym stała naprzeciw niego podczas pogrzebu Henrygo.

- Był przystojny - powiedziała o Augustusie. - Nigdy nie miałam skłonności do przesady - dodała. - Jeżeli więc mówię, że był przystojny, to rzeczywiście tak było. Podobnie Henry, ale nie dożył tych lat, aby pozbyć się tej chłopięcej maski, jaką kolorowi mężczyźni noszą, zanim staną się przystojni i nieustraszeni, zanim się nie nauczą, że śmierć jest tak bliska jak cień i nie zaczną stosownie do tego żyć. Kiedy się tego nauczą, stają się piękniejsi, niż sam Bóg mógłby to sobie wyobrazić, panie Frazier.

*

Oprócz tego, że był stajennym Williama Robbinsa, młody Henry Townsend był również uczniem szewca na plantacji swojego pana. Stał się lepszy od człowieka, który go uczył.

- *Master*, ja już nic więcej nie mogę go nauczyć - szewc Timmons powiedział Robbinsowi mniej więcej dwa lata przed dniem wykupienia syna z niewoli przez Augustusa i Mildred. - Wchłonął już wszystko, co umiem, i teraz szuka czegoś więcej.

Niedługo potem Robbins pozwolił Henry'emu zdjąć miarę ze swoich stóp i chłopiec po raz pierwszy zrobił mu buty Robbins był bardzo zadowolony

- Henry, gdyby pani Robbins się zgodziła, to ja bym w nich spał.

Było to krótko przed tym, jak on i jego żona zaczęli spać w osobnych łóżkach, ona w tej części posiadłości, którą jej córka w dzieciństwie nazywała Wschodem, a on w drugiej, przez córkę nazywaną Zachodem.

W miarę jak coraz bardziej zbliżał się dzień, w którym rodzice Henryego mieli zabrać go na wolność, Robbins ze zdumieniem zauważał, że będzie mu chłopca brakować. Od czasu, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że kocha Philomenę, nie dziwiły go własne uczucia do czarnej istoty ludzkiej. Przyzwyczał się do widoku Henryego stojącego na drodze, w oczekiwaniu na jego powrót z wyjazdu w interesach lub ze spotkania z Philomena i ich dziećmi. Chłopiec rozsiewał wokół siebie jakiś spokój, stojąc tak z największą na świecie cierpliwością, podczas gdy Robbins, często przychodzący do siebie po przejściu przez jego głowę burzy, powoli zjeżdżał z głównej drogi na dróżkę prowadzącą między chaty, a później kierował się w górę, do domu. *Tak czekali ojcowie na swoich synów marnotrawnych*, przyszło raz do głowy Robbinsowi.

- Piękny poranek, *massa* Robbins - mówił chłopiec, gdyż Robbins nieodmiennie wracał rankiem.

- Dzień dobry, Henry. Długo już czekasz?

- Nie za długo - odpowiadał chłopiec, choć zazwyczaj czekał godzinami, niezależnie od pogody, wyruszając na swoje stanowisko, gdy jeszcze było ciemno. Robbins powoli zsiadał z konia i czasami potrzebował pomocy w dotarciu do drzwi. Kiedy już mężczyzna znalazł się w domu, chłopiec zajmował się koniem.

Po uzyskaniu wolności Henry wielokrotnie wracał do Robbinsa, który zamawiał u niego buty dla siebie i bawiących z wizytą mężczyzn. Henry'emu nie wolno było oczywiście dotykać białej kobiety, ale przy pomocy jednej z domowych niewolnic Robbinsa, która zmierzyła ich stopy, zrobił również buciki dla żony Robbinsa, Ethel, ich córki Patience i dla wszystkich kobiet odwiedzających plantację. Pomiary dokonywane przez niewolnicę nie były

tak dokładne, jakby sobie tego życzył, i wkrótce nauczył się pozyskiwać precyzyjniejsze informacje, na odległość biorąc miarę z kobiecych stóp. Robbins zachwalał Henry'ego wszędzie, dokąd tylko jechał, i dzięki pochwałom Robbinsa oraz gości wracających do swoich domów Henry zyskał rozgłos producenta czegoś, co jeden gość z Lynchburga określił „obuwie, jakie sam Bóg wymyślił dla ludzkich stóp”.

Henry zaczął odkładać pieniądze, które obok nieruchomości, jakie w końcu miał dostać od Robbinsa, stanowiły podstawę tego, czym był i co posiadał tego wieczoru, gdy umarł. To Robbins nauczył go, jaka jest wartość pieniądza, jaka jest wartość jego pracy i jak bez zmruczenia oczu podawać ceny swoich wyrobów. Wielokrotnie towarzyszył Robbinsowi w jego podróżach, podczas których biały mężczyzna pracował nad utworzeniem czegoś, o czym marzył, że stanie się imperium, „małą Wirginią w wielkiej Wirginii”. Pewnego razu w Clarksburgu Robbins prowadził konwersację z panem domu, a w tym samym czasie Henry brał z tego mężczyzny miarę na parę butów do konnej jazdy. Mężczyzna zaczął się denerwować i zamierzył się na Henry'ego, mówiąc, że czarnuch uraził go w stopę. Robbins, który w tym momencie miał już pięć par butów od Henry'ego, kazał chłopcu wyjść, a kiedy Henry powrócił, gospodarz, z poczerwieniałą twarzą, był już dużo miłszy, jednak nigdy nic więcej od Henry'ego nie kupił.

Augustus Townsend wolałby, żeby jego syna nie łączyło z przeszłością nic więcej poza odwiedzaniem zaprzyjaźnionych niewolników na plantacji Robbinsa, a z pewnością wolałby, żeby nic go nie łączyło z białym człowiekiem, który kiedyś był jego właścicielem. Jednak Mildred uzmysłowiła mu, że im większy świat będzie mógł wokół siebie stworzyć Henry, tym większą uzyska wolność.

- Te dokumenty świadczące o jego wolności, które wszędzie ze sobą nosi, nie wnoszą zbyt wiele wolności - powiedziała do swojego męża. Kiedy już jej syn uzyskał wolność, pragnęła, aby mógł poruszać się swobodnie i zobaczyć to, co przedtem było mu zabronione. To, że zawsze jeździł z Robbinsem, było przecież niewielką ceną, a poza tym to właśnie Robbins na początku ograniczał jego świat.

- To całe wożenie go ze sobą jest tylko odkupywaniem win w oczach Boga - powiedziała Mildred.

Po mniej więcej dwutygodniowym wyjeździe z Robbinsem Henry wracał do rodziców z błyszczącymi oczami i sercem gotowym podzielić się obrazami tej części Wirginii, w której właśnie był. Mildred i Augustus, słysząc nadjeżdżającego konia Henry'ego, wychodzili na drogę i czekali, aż syn ukaże się ich oczom, cierpliwie, jak Henry oczekujący przyjazdu Robbinsa na dróżce prowadzącej do posiadłości. Robbins powiedział mu, że może zaufać

bankowi Manchester National i Henry odkładał tam część swoich zarobków. Kiedy tylko zsiadał z konia, od razu szli z ojcem zakopać pozostałe pieniądze na podwórzu za domem, a później przykrywali je kamieniami, żeby pies nie mógł tam kopać. Za sąsiadów mieli samych dobrych i uczciwych ludzi, ale świat był również pełen obcych, a niektórzy z nich zeszedli z drogi dobra i uczciwości. Potem cała trójka odprowadzała konia do stajni, oporządzała go i szła do domu, nie odstępując się na krok.

W ten sposób Henry dorastał do wieku dwudziestu lat.

*

Philomena Cartwright zapragnęła zamieszkać w Richmond, gdy była jeszcze mała, na długo przed uzyskaniem wolności. Urodziła się na plantacji Roberta Colfaxa i tam właśnie Robbins zobaczył ją po raz pierwszy, gdy miała czternaście lat. Kiedy miała osiem lat, Colfax kupił dwójkę niewolników od człowieka, który jeździł po kraju i sprzedawał swoje mienie, ludzi i wszystko inne, ponieważ zbankrutował. Jak powiedział Colfaxowi, chciał rozpocząć nowe życie, a na początek tego nowego życia zaproponował Colfaxowi dobrą cenę na niewolników. Jednym z nich była Sophie, trzydziestopięcioletnia kobieta, która lubiła opowiadać małej Philomenie, jakim wspaniałym miejscem jest Richmond, chociaż w rzeczywistości nigdy nie dotarła bliżej Richmond niż do Goochland. Sophie opowiadała, że w Richmond panowie i ich żony żyli jak królowie i królowe, a byli tak bogaci, że ich niewolnicy żyli jak normalni biali panowie i ich żony, jakich widywali w hrabstwie Manchester. Niewolnicy w Richmond mieli tak dużo jedzenia, że ciągle musieli kupować nowe ubrania, ponieważ ich ciała zmieniały się właściwie z tygodnia na tydzień. Jak opowiadała Sophie, w Richmond byli tacy niewolnicy, którzy mieli własnych niewolników, a niektórzy z tych niewolników niewolników również mieli niewolników. Każdej nocy odbywały się pokazy sztucznych ogni - świętowano w ten sposób dosłownie wszystko, nawet to, że małemu dziecku wypadł pierwszy ząb albo gdy maluch zaczął chodzić. Jeśli wydarzyło się coś szczęśliwego, to w Richmond świętowano. Opowieści o Richmond zaczęły się, gdy Philomena miała osiem lat, i wciąż pojawiały się nowe, gdy Robbins ujrzał ją po raz pierwszy.

Tego dnia Robbins, który przyjechał do domu Colfaxa na Sir Guilderhamie, zobaczył dziewczynę wychodzącą z domu tylnym wyjściem i idącą w kierunku chat. Na głowie niosła pakunek z praniem. Zsiadłszy z konia, ruszył między chaty, prowadząc za sobą swojego wierzchowca, i zwrócił uwagę, do której chaty weszła dziewczyna. Często musiał jeździć do Richmond, ale uważał, że to miasto było nie lepsze niż Sodom.

Wspomnił Colfaxowi o dziewczynie i w ciągu dwóch tygodni Colfax mu ją sprzedał. Robbins miał dwójkę dzieci z niewolnicą, która wraz z tymi dziećmi mieszkała w odległej chacie na jego plantacji, ale nie był z nią już od prawie roku.

Sześć miesięcy po rozpoczęciu związku z Philomena, po tym, jak umieścił ją ze służącą przywiezioną z jego plantacji w domu niedaleko miasteczka, powiedziała Robbinsowi, że chce, aby byli z nią jej matka i brat, Robbins kupił więc również ich, chociaż Colfax nie dał mu już tak dobrej ceny jak przy sprzedaży Philomeny Robbins wyzwoił Philomenę na jej szesnaste urodziny, a kilka miesięcy później podarował jej matkę i brata. Po następnych dwóch miesiącach, kiedy była w pierwszym miesiącu ciąży z Dorą, nakłoniła go do zakupu Sophie - tej, która opowiadała o Richmond. Wkrótce brat Philomeny uciekł z Sophie, a Philomena oświadczyła, że o niczym nie wiedziała, i powiedziała to w taki sposób, że Robbins jej uwierzył. Robbins robił wszystko, co było w jego mocy, aby ich odnaleziono i sprowadzono z powrotem, ale przepadli jak kamień w wodę. Wyznaczył nagrodę 50 dolarów za każde z nich, miesiąc później podniósł ją do 100 dolarów, a kwota w dolarach stanowiła największy element listu gończego. Philomena zdawała się nie przejmować tym, że straciła dwie części swojego dobytku. Powiedziała matce, że wierzy, że oni w końcu dotarli do Richmond i w niektóre dni cieszyła się szczęściem Sophie, którą kochała od wielu lat, ale w inne gardziła nią za to, że teraz wiodła życie, jakim ona chciała się cieszyć w Richmond. *Czy jest możliwe, zastanawiała się pewnego dnia, kiedy Sophie nie było już od roku, że zabraknie im sztucznych ogni, zanim ona sama będzie mogła zobaczyć Richmond?*

Po narodzinach Dory Robbins przywiązał się do Philomeny bardziej, niż mógł przypuszczać. Po raz pierwszy powiedziała do niego „William”, gdy dziewczynka miała tydzień, a on jej nie poprawił, spodobało mu się, jak jego imię wypływało z jej ust i zdawało się wirować w powietrzu niczym nic nie znacząca pieśń, zanim jego umysł zdążył pochwycić i przekazać mu, że to było jego imię. Lubił być z nią nawet wtedy, gdy była nadąsana i kaprysiła jak dziecko.

- Nie traktujesz mnie jak należy, William. Nie traktujesz, William.

Pragnienie przebywania w Richmond powróciło silnie wraz z przyjściem na świat Louisa, trzy lata po narodzinach Dory. To pragnienie nigdy nie wygasło, ale urodzenie Dory pomogło Philomenie przeobrazić się w dojrzałą kobietę, która potrafi czekać na właściwą chwilę - nawet pozbawione sztucznych ogni Richmond z opowiadań Sophie było wiecznym miastem, które będzie czekać na Philomenę. Ale narodziny Louisa spowodowały, że sposepniała i stopniowo, w miarę upływających ciężkich dni, coraz bardziej przekazywała opiekę nad dziećmi swojej matce i służącej, która obecnie również była jej własnością.

Po raz pierwszy uciekła do Richmond, gdy Dora miała sześć lat. Robbins wysłał po nią swojego nadzorcę, a ten znalazł ją śpiącą na ulicy, gdzie mieszkała po wydaniu tej niewielkiej sumy pieniędzy, jaką przywiozła do Richmond. Choć nie wprost, jednak nadzorca dał do zrozumienia, że nie odpowiada mu sprowadzanie do domu nałożnic swojego chlebodawcy. Kiedy następnym razem Philomena uciekła do Richmond, zabrała ze sobą dzieci i więcej pieniędzy. Dora miała wtedy osiem lat, a Louis sześć. Tym razem Robbins pojechał po nich osobiście i wziął ze sobą Henry'ego, który miał wówczas szesnaście lat. To była druga wizyta Henryego w Richmond.

Pod koniec długiego dnia Robbins znalazł całą trójkę w pensjonacie, niecałe dziesięć przecznic od budynku władz stanowych, w tym samym miejscu, w którym Philomena zatrzymała się podczas swojego pierwszego pobytu w Richmond. Drzwi otworzyli mu właściciele pensjonatu, mężczyzna i kobieta, ludzie urodzeni na wolności, i unieśli wysoko świece, aby obrzucić wzrokiem twarz wysokiego Robbinsa, a potem powiedzieli mu, w którym pokoju na górze może znaleźć Philomenę.

Robbins przez dłuższy czas stał przed zamkniętymi drzwiami, a Henry znajdował się pół metra obok niego, pierwszy raz w życiu czując, że wolałby nie być w pobliżu tego białego człowieka, który tak wiele dla niego znaczył.

W końcu Robbins odwrócił się i spojrzał przelotnie na Henryego stojącego w ciemnym korytarzu. Henry miał w ręku lampę otrzymaną od właścicieli domu, ale dymiła i dawała zbyt dużo światła.

- Jaki mamy dzień, Henry?
- Środę, panie Robbins.
- Rozumiem. I tak daleko do północy, kiedy będzie czwartek.
- Tak, proszę pana. Jeszcze daleko do północy Robbins otworzył drzwi.

Henry stał w drzwiach i patrzył, obawiając się odejść i równocześnie obawiając się zostać. Philomena siedziała na brzegu łóżka, w jednym pantoflu, drugi leżał po przeciwnej stronie pokoju. Kobieta wcale nie wyglądała na zaskoczoną widokiem Robbinsa. Była sama w pokoju, a dwie znajdujące się tam lampy, jedna na stoliczku obok łóżka i druga na szafie, jasno oświetlały pomieszczenie. Henry widział jej twarz tak wyraźnie, jak w słoneczne południe.

- Nie chcę wracać. Słyszysz, William? Nie chcę wracać! Nie zmuszaj mnie.
- Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona, a ona wyrwała się mu i upadła na łóżko.
- Gdzie są dzieci? - zapytał Robbins, a ona po chwili z ociąganiem podniosła palec i lekko pstryknęła nim w kierunku ściany, w stronę znajdującego się po drugiej stronie pokoju.

Robbins popatrzył na ścianę, jakby potrafił przeniknąć ją wzrokiem i zajrzeć do drugiego pokoju, a kiedy ponownie spojrzął na Philomenę, widać było, że jest jeszcze bardziej rozzłoszczony. Podniósł ją za ramiona, a kiedy zaczęła mu się wyrywać, wymierzył jej policzek. Uderzyła go w twarz, najpierw było to lekkie kłapięcie, ale drugi cios był tak silny, że odrzucił jego głowę. Puścił jedno jej ramię i pokazał jej pięść, następnie uderzył ją tą pięścią, a kobieta natychmiast omdlała. Ręce opadły jej bezwładnie i upadła na łóżko. Henry, widząc, że Philomena pada jak nieżywa, zaczął krzyczeć, i wtedy Robbins przypomniał sobie, że nie przyszedł tu sam.

Henry krzyczał tak długo, aż Robbins podszedł do niego i kazał mu się uciszyć.

- Przestań! Słyszysz, przestań!

- Ale ona nie żyje - powiedział Henry, patrząc na Robbinsa i pokazując na nieruchomą Philomenę.

- Tak samo nie żyje jak ja albo ty - Robbins chwycił go delikatnie za gardło. - A teraz skończ ten raban.

Robbins wrócił do Philomeny, a Henry poszedł za nim. Mężczyzna usiadł na łóżku i chwyciwszy Philomenę, zaczął nią potrząsać i widać było, że kobieta z każdą chwilą powraca do siebie. Henry patrzył na to bez słowa.

- Idź poszukać dzieci - powiedział Robbins. - W pokoju obok. Idź do nich i zajmij się nimi.

Patrzył za wychodzącym Henrym i żałował, że kazał mu iść. *Jestem w domu czarnuchów*, myślał, *otoczony czarnuchami*. Obserwował pulsującą żyłkę na jej szyi i liczył uderzenia. Kiedy doszedł do siedemdziesięciu pięciu, zamknął oczy, lecz nadal liczył.

Henry nie zauważył uchylonych drzwi po lewej, prowadzących do pokoju, w którym były dzieci. Wyszedł na korytarz, skręcił w prawo i, nie pukając, po prostu pchnął drzwi i ujrzał jedynie ciemność. Nie wyczuł obecności dzieci, podszedł więc do drzwi po drugiej stronie pokoju Philomeny i je otworzył. Dora i Louis byli w łóżku, dziewczynka obejmowała swojego brata. Słyszeli, jak krzyczy ich matka, a później jak krzyczy ich ojciec, a później jeszcze krzyki Henrygo.

Podszedł do nich i powiedział im, że wszystko będzie dobrze, i po kilku minutach zaczęli mu wierzyć. To on zrobił im bućki, które teraz leżały porzucone razem w kącie pokoju. Dał im wody, a one piły tak łapczywie, jakby robiły to po raz pierwszy od długiego czasu. To właśnie wtedy w Louisie zakiełkowało coś, co po latach spowodowało, że bez zastanowienia wszedł do dołu i przez jakiś czas kopał, aby pomóc przygotować grób dla

Henrygo. Henry sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego zaczął im śpiewać, ale w miarę jak on śpiewał, Dora stopniowo mogła wypuścić brata z objęć.

Robbins zastał Henry'ego klęczącego przy łóżku, wciąż śpiewającego. Henry znalazł gdzieś kawałek sznurka i zaczął z niego robić drabinkę sznurową, jedyną rzecz, jaką Rita, jego druga matka, potrafiła zrobić ze sznurka.

- Jestem bardzo malutki i nic mnie nie obchodzi - śpiewał. - Jestem bardzo malutki i nic mnie nie obchodzi. Malutki...

Robbins stał w drzwiach i słuchał.

- Jestem bardzo malutki i nic mnie nie obchodzi. Zastanawiał się, czy jego żona w domu śpi. Ktoś po drugiej stronie korytarza zaśmiał się i przypomniał mu się śmiech niewolnika pracującego na jego polu. Robbins dotknął drzwi pięścią i patrzył, jak się coraz szerzej otwierają.

Dora zobaczyła go pierwsza i natychmiast wyskoczyła z łóżka wprost w jego ramiona. Ucałował ją w policzek. Trzymała się go mocno, aż z powrotem zaniósł ją do łóżka i położył. Dotknął policzka Louisa, ale chłopczyk nie zareagował, ponieważ Henry dał mu sznurek i maluch w tym momencie był nim zupełnie pochłonięty.

- Zostań z nimi na noc, Henry - powiedział Robbins, podciągając Dorze kołdrę aż pod brodę i zdmuchując lampę po jej stronie łóżka. - Zostań z nimi i uspokój je. Po prostu z nimi zostań.

- Dobrze, panie.

Obszedł łóżko, zbliżył się do Louisa i ułożył go wygodnie, a potem podciągnął mu kołdrę pod szyję.

- Słuchajcie Henry'ego - powiedział im.

Wziął kilka koców leżących na krześle i polecił Henry'emu, aby ten położył się koło łóżka, Henry zdjął więc buty własnej roboty i położył się, a Robbins zdmuchnął świecę przy łóżku po stronie Louisa i wyszedł z pokoju.

Kiedy wrócił do pokoju Philomeny byli już z nią właściciele pensjonatu. Jej policzek nabrzmiał, z każdą chwilą robiąc się coraz bardziej fioletowy, ale on nie wiedział, jaki to był kolor, ponieważ stojąca po tej stronie pokoju lampa zgasła.

- Chciałbym, żeby ktoś się tym zajął - powiedział Robbins do mężczyzny, a potem powtórzył to samo do jego żony, przez cały czas pokazując głową w stronę rany

- Zajmiemy się tym - odpowiedziała kobieta.

- Zajmiemy się tym - powiedział mężczyzna.

Robbins podszedł do łóżka i po raz pierwszy pomyślał, że jego uczucie do Philomeny może doprowadzić go do ruiny. Jego żona kładła się spać wcześniej, ale córka przesiadywała w salonie, czytając lub załatwiając bieżącą korespondencję. Parter jego rezydencji córka nazwała Południem, a piętro Północą.

- Idź na Wschód, mamó - miała po latach powiedzieć córka Patience, w dniu, w którym do rezydencji przyszła Dora. Tego dnia Patience myślała, że William Robbins jest bliski śmierci.

- Idź na Wschód, a ja tam do ciebie przyjdę. Mamó, proszę. Dora stała w drzwiach rezydencji. Dwie córki nigdy się wcześniej nie widziały.

- Idź na Wschód, a ja tam do ciebie przyjdę, mamó. Robbins zdał sobie sprawę z tego, że Philomena nie będzie mogła jechać rano, postanowił więc, że ją zostawi w pensjonacie. Nie chciał też, aby jego dzieci oglądały jej twarz. Powiedział właścicielom pensjonatu, że życzy sobie, aby dopilnowano, żeby Philomena wróciła do Manchesteru.

- Zajmę się tym - powiedział mężczyzna. - Znajdę kogoś i zajmujemy się tym.

Robbins nie wierzył w słowa tego człowieka, ale nie mógł zrobić nic więcej.

- Będzie gotowa za dzień lub dwa - powiedziała kobieta, trzymając Philomenę pod brodę i badając obrażenia. Już podczas rozmowy z nim, kiedy mężczyzna oraz jego żona zapewniali go, że przywiozą mu Philomenę, zaczął się obawiać, że już nigdy jej nie zobaczy. Spojrzał na nią i nie mógł oderwać od niej wzroku. Miał nadzieję, że miłość do dzieci zmusi ją do powrotu do Manchesteru. Nie śmiał marzyć, że może to uczynić jakaś miłość do niego.

Wrócił do hotelu dla białych, w którym zameldował się wcześniej, i wypił kilka kieliszków, chociaż kiedy po raz pierwszy wchodził do pensjonatu dla Murzynów, w ogóle nie miał takiego zamiaru. Obudził się koło ósmej, później niż planował, i konno wrócił do pensjonatu, gdzie ze zdumieniem zobaczył, że Henry już wszystko przygotował do podróży. Załatwił lekki powóz dla siebie i dwójki dzieci, a także dla Philomeny, ponieważ nie wiedział, że ona nie wraca z nimi. Powóz miał ciągnąć koń, na którym Henry przyjechał, oraz drugi koń, którego Henry zdobył w pobliskiej stajni, posługując się imieniem Williama Robbinsa jak środkiem płatniczym, ponieważ przybył do Richmond z niewielką sumą własnych pieniędzy. Robbins najpierw zajrzał do Philomeny, następnie poszedł do dzieci siedzących w swoim pokoju, nakarmionych, wypoczętych i tryskających dobrym humorem. Zaprowadził je do Philomeny, ponieważ opuchlizna na jej policzku ustąpiła, a potem zabrał je na dół, do powozu. Podczas ich odwiedzin Philomena spała.

Zbliżała się dziesiąta, gdy wyruszyli do Manchesteru. O piątej po południu zatrzymali się w domu w pobliżu Appomattox, mniej więcej w połowie drogi do celu swojej podróży, i

tam spędzili noc. Właściciel domu, czterdziestodwuletni mężczyzna, wówczas żonaty ze swoją czwartą żoną, siostrą jego zmarłej drugiej żony, był przyzwyczajony do dużego ruchu na drodze i nieźle na tym zarabiał. Znał Robbinsa na tyle, że pozwolił mu na ulokowanie trójki czarnuchów w pokoju sąsiadującym z pokojem Robbinsa i nie policzył mu dodatkowo za to, że czarnuchy mieszkały w domu, a nie w stodole.

Henry prowadził powóz przez całą drogę do Manchesteru, Louis siedział przy nim, a Dora na tylnym siedzeniu w towarzystwie szmacianej lalki, natomiast Robbins przez sporą część drogi jechał obok nich na Sir Guilderhamie. W pewnym momencie, kiedy już dawno minęli Appomattox, Dora wyjrzała z powozu i podniosła wzrok na Robbinsa. Uśmiechnął się do niej, a potem, jakieś pół mili dalej, polecił Henry'emu zatrzymać się i, przywiązawszy konia do tyłu powozu, usiadł obok Dory, a ona bez słowa wtuliła się w jego ramiona. Robbins patrzył na tył głowy Henryego, obserwował, jak patrzy na niego Louis, jakby uczestniczył w lekcji, z której później miał być egzaminowany Dora drzemała, a Robbins pomyślał, że tak mógłby umrzeć, właśnie tu, na drodze do domu ze swoimi dziećmi. Lepiej mogłoby być jedynie wtedy, gdyby po drugiej stronie siedziała jego córka Patience. Gdy tak patrzył na plecy zajętego swoją pracą Henryego, naszała go myśl, jakiej podświadomie od dawna starał się unikać, że świat nie będzie zbyt łaskawy dla dzieci, które miał z Philomena, ale niezależnie od tego, jaki ten świat miałby być, chciał, aby miały w nim Henryego.

Do domu, który kiedyś kupił Philomenie, dotarli drugiego dnia podróży, chwilę po zachodzie słońca. W drzwiach czekała na nich matka Philomeny Spotykała się z mężczyzną z pobliskiej plantacji, który właśnie przed chwilą opuścił jej dom, do syta przez nią nakarmiony Mężczyzna ten lubił grać na banjo i cały czas grał jej na tym instrumencie, który jednak brzmiał dość dziwnie, brakowało w nim bowiem jednej struny Babcia dzieci zeszła do powozu i od razu zaczęła skakać koło swoich „pączusiów”, jak je nazywała. Córka była jej właścicielką, ale między nimi nic to nie znaczyło.

*

Kiedy dwudziestoletni Henry kupował pierwszy kawałek ziemi od Robbinsa, od razu powiedział o tym rodzicom. Ziemia znajdowała się wiele mil od miejsca, w którym mieszkali, za to od plantacji Robbinsa dzieliły ją tylko dwa kroki, chociaż grunty nie stykały się ze sobą. W chwili śmierci Henry miał już być właścicielem całego terenu między jego ziemią a plantacją Robbinsa, i nic już nie dzieliło tego, co posiadali. W dzień kupna ziemi zjadł kolację z Mildred i Augustusem. Ale tego dnia, kiedy kupił od Robbinsa pierwszego niewolnika, Mosesa, nie pojechał do ich domu i nie wybierał się do nich przez dłuższy czas. Pierwszy dzień jako właściciel niewolnika spędził z Robbinssem, i wraz z Mosesem i białym mężczyzną

planowali, gdzie ma zbudować dom. Nie miał żony, nawet do nikogo się nie zalecał. Kiedy wreszcie powiedział rodzicom o Mosesie, jego dom - dwukondygnacyjny i tylko dwa razy mniejszy od domu Robbinsa - był już w jednej trzeciej ukończony, a Henry wciąż nie miał żony.

Dom był w połowie gotowy, kiedy Robbins pewnego popołudnia wczesną jesienią podjechał na koniu będącym potomkiem Sir Guilderhama i zatrzymawszy się, obserwował, jak Henry i Moses mocują się przed nieukończonym budynkiem. Henry i Moses nie zauważyli jego przybycia, a przyzwyczajony do widoku Robbinsa pies nawet nie zaszczekał.

- Henry - odezwał się w końcu Robbins, wciąż siedząc w siodle. - Henry, podejdź.

Zawrócił i odjechał kilka metrów, Henry ruszył więc w jego stronę, a w ślad za nim Moses. Kiedy Robbins, nie zatrzymując się, odwrócił głowę i zobaczył, że Moses idzie za Henrym, na jego twarzy pojawiła się wściekłość. Krzyknął do Mosesa:

- Powiedziałem: „Henry, podejdź”. Gdybym chciał rozmawiać z tobą, to bym cię zawołał.

Moses się zatrzymał, a Henry obejrzał się za nim. Robbins jechał dalej, najpierw powoli, później nieco szybciej i w końcu Henry musiał biec, aby dotrzymać mu kroku. Robbins zatrzymał się ponownie dopiero po wyjechaniu na główną drogę, ale się nie odwrócił. Gdy Henry dotarł do Robbinsa, ledwo mógł złapać oddech. Stał pochylony za Robbinsem, z dłońmi opartymi na kolanach.

- Tak, proszę pana? - powtarzał Henry - Tak, proszę pana? Robbins wciąż się nie odwracał, Henry obszedł więc jeźdźca, aby stanąć przed nim, i położył rękę na końskim czole, znajdującym się grubo ponad pół metra powyżej głowy Henryego.

- Tak, proszę pana?

- Kto to jest? - zapytał Robbins, unosząc dłoń w rękawiczce i kciukiem wskazując za ramię. - Z kim to tak się bawisz jak dziecko w błocie?

- To Moses. Pan zna Mosesa, panie Robbins. - Moses był jego niewolnikiem niecałe sześć miesięcy.

- Wiem, że kupiłeś ode mnie niewolnika, aby robił to, co niewolnik ma robić. Tyle wiem.

- Tak, proszę pana.

- Henry - powiedział Robbins, nie patrząc na niego, tylko w dal, na drugą stronę drogi - prawo będzie cię chronić jako pana nad twoim niewolnikiem i będzie to czynić bez mrugnięcia okiem. Ta ochrona ciągnie się stąd - i wskazał na umowne miejsce na drodze - aż do samej śmierci twojego dobytku - i pokazał na miejsce położone kilkadziesiąt centymetrów

od pierwszego. - Ale prawo oczekuje od ciebie, że wiesz, kim jest pan i kim jest niewolnik. I nie ma żadnego znaczenia, czy masz tylko trochę jaśniejszą skórę od swojego niewolnika. Prawo jest na to ślepe. Ty jesteś panem i prawo tylko to chce wiedzieć. Prawo przyjdzie do ciebie i stanie za tobą. Ale jeśli ty będziesz tarzał się ze swoim dobytkiem i był dla niego towarzyszem zabaw, a twój dobytek odwróci się i cię ukąsi, prawo i tak do ciebie przyjdzie, ale nie z pełnym zaangażowaniem i tak szybko, jak tego będziesz potrzebował. Bo to oznacza, że ty ze swojej strony nie dopełniłeś warunków umowy. To oznacza, że wskazałeś linię oddzielającą cię od twojego dobytku i powiedziałeś swojemu dobytкови, że ta linia nie ma żadnego znaczenia.

Henry zdjął rękę z czoła wierzchowca.

- Dzisiaj tarzasz się z twoim dobytkiem, na który masz świstek papieru. A co będziesz robił, gdy będziesz miał dziesięć takich świstków, pięćdziesiąt świstków? Henry, co będziesz robił, gdy będziesz miał sto świstków papieru? Czy nadal będziesz się z nimi tarzał w błocie?

Robbins spiął konia i już nic więcej nie powiedział. Henry patrzył za nimi, za mężczyzną i wierzchowcem, a później spojrzął na Moseśa, który do niego machał, gotów powrócić do pracy Moses, trzymając w ręce piłę, odtańczył krótki taniec. Henry podszedł do niego.

- Możemy zrobić jeszcze sporo, zanim się ściemni - powiedział Moses i uniósł piłę wysoko nad głowę.

- Dziś już nie będziemy pracować.

- Co? A dlaczego nie?

- Moses, powiedziałem, że nie.

- Ale światło jest dobre. Dzień jest dobry, *massa*.

Henry podszedł do niego, wziął od niego piłę i wymierzył mu policzek, a kiedy na twarzy Moseśa odmalował się ból, uderzył go jeszcze raz.

- Dlaczego nigdy nie robisz tego, co ci każe? Dlaczego, Moses?

- Robię. Ja zawsze robię, co *massa* każe.

- Czarnuchu, nie robisz. Nigdy nie robisz.

Moses czuł, że zaczyna zapadać się w ziemię. Podniósł jedną stopę i postawił ją w innym miejscu, mając nadzieję, że to coś pomoże, ale nie pomogło. Chciał przestawić drugą nogę, ale tego byłoby już za wiele - już przestawienie pierwszej nogi nastąpiło bez zezwolenia.

- Po prostu od teraz rób to, co ci każe - powiedział Henry Upuścił piłę na ziemię. Schylił się i podniósł ją, a później przez dłuższy czas patrzył na to narzędzie, na zęby

ustawione w rzędzie, na to, jak zgrabnie maszerowały do drewnianej rączki. Znowu upuścił piłę i spojrzął na nią z góry

- Przyrowadź mi osiodłanego konia - rzekł Henry, wciąż patrząc na piłę. - Przyrowadź mi konia.

- Tak, proszę pana, już idę.

Moses wkrótce wrócił ze zwierzęciem. Henry wsiadł na wierzchowca.

- Wróć później. Może wróć jutro. Ale chcę, żebyś ty pracował tu jak należy, kiedy wrócę. Żebyś pracował jak należy.

Koń ruszył z miejsca. Dopiero po przejechaniu sporego odcinka Henry przypomniał sobie, że zostawił swój kapelusz, ale dzień był ładny, więc pomyślał, że może jechać z gołą głową. Nie ujechał jednak nawet kilku metrów, gdy usłyszał odgłosy pracy Mosesa. Ptaki zaczęły swoje trele i nieco ponad milę dalej śpiew ptaków zupełnie zagłuszył dźwięki pracującego za nim człowieka. A potem, kiedy przejechał następną ćwierć mili, dobiegł go ryk muła, któremu zawtórowała krowa, i jadąc dalej, usłyszał świerszcze, aż w końcu ćwierkanie ptaków, muczenie krowy i świerszcze oraz wieczorne powietrze, wszystko zlało się razem w jedno.

Przed udaniem się na spoczynek Moses dokończył podłogę w kuchni. Nastąpiła już ciemność, ale czuł jakąś potrzebę ukończenia pracy, rozstawił więc w pomieszczeniu świece oraz kilka latarń i pracował przy ich migoczącej pomocy z jakimś wewnętrznym wycuciem, mówiącym mu, co gdzie powinno się znaleźć. To wycucie służyło mu nawet wtedy, gdy pracował w zupełnych ciemnościach. I stopniowo, wraz z upływającym wieczorem, a później nocą, zupełnie zapamiętał się w swojej pracy. Tam, na zewnątrz, nie istniał ani czas, ani ciemności. Nie było pustego brzucha. Była tylko praca. Pot zalewał mu twarz, a on zlizywał krople spływające mu po ustach i połykał je. Kiedy praca tego dnia - trzydziestego trzeciego od wbicia pierwszego gwoźdźnia w drewno - została ukończona, zjadł kilka ciasteczek oraz trzy jabłka i wypił tyle wody, ile tylko dał radę. Poszedł do chaty, w której mieszkał z Henrym, wiedząc teraz, że od dziś będzie to tylko jego chata. Jutro albo wtedy, gdy jego pan wróci, on i Henry będą mogli przejść z kuchni w stronę frontu domu. Może uda się im nawet dotrzeć do początku drugiej kondygnacji, a w jednym z pokoiów na piętrze, może w ukończonej jadalni lub salonie, będzie spał Henry. Moses zatrzymał się w drzwiach chaty i popatrzył w noc. Jego babcia - albo kobieta, która, zanim ją sprzedano, utrzymywała przed światem, że jest jego babcią - próbowała opowiadać mu o gwiazdach („Te gwiazdy mogą cię prowadzić”), ale on nie miał głowy do gwiazd. Patrzył teraz na nie i podniósł rękę, aby

osłonić oczy, jakby to zrobił w środku najbardziej słonecznego dnia. Stał niecałe trzy metry od miejsca, w którym pewnego ranka miał umrzeć.

*

Tego dnia, po wizycie u Henryego, a przed powrotem do żony i córki, Robbins pojechał do Fern Elston. Zawsze dziwiło go, że nie dostrzegał w Henrym tylu wad, ile widział w białych, którzy wystarczająco dużo w życiu posiadli, aby ściągnąć na siebie zawistny gniew bogów. Robbins zawsze uważał, że im mniej człowiek miał wad, tym mniej pozostawało otwartych furtek, przez które bogowie mogli wtargnąć w jego życie i ściągnąć go w dół, w nicość. A skoro Robbins nie widział tak wielu wad, sądził, że Henry jest w stanie poradzić sobie tam, gdzie nawet dobrzy i silni biali ludzie chwalili się i z powrotem byli wdeptywani w ziemię. Ale z biegiem lat zauważył, że czasami postępowanie Henryego było tak nieodpowiednie, że stanowiło to dla niego powód do zmartwień. A od czasu, kiedy wprowadził Henry ego do swojego życia, żadna niedoskonałość nie martwiła go bardziej niż to, że mocował się z niewolnikiem Mosesem, jak jakiś pospolity czarnuch po ciężkiej pracy w polu. Jak ktoś mógł pomyśleć, biały czy inny, że może zachować swoją ziemię i niewolników i nie tracić swojej przyszłości, jeśli nie uważał się za lepszego od tego, co posiadał? Bogowie, ci zmienni bogowie, tak bardzo nienawidzili człowieka zamożnego, ale jeszcze bardziej nienawidzili człowieka, który nie doceniał, jak wysoko podnieśli go z ziemi.

Przyjechawszy do Fern, Robbins zobaczył jej niewolnika i powiedział mu, żeby przekazał swojej pani, że chce się z nią widzieć. Robbins nie zsiadł z konia i gdyby nie zobaczył niewolnika, nadal siedziałby w siodle, czekając, aż ktoś zauważy jego obecność i zapyta, czy mu w czymś pomóc. Fern wyszła z domu i podeszła na skraj werandy, na co Robbins zdjął kapelusz, ale wciąż pozostawał w siodle. Fern nie zeszła po schodkach, byli więc mniej więcej na tym samym poziomie i mogli patrzeć sobie prosto w twarz.

- Dzień dobry, Fern.

- Dzień dobry, panie Robbins.

- Jest ktoś, komu potrzebna jest edukacja - począwszy od pisania przez wszystko inne. Nie potrafi się nawet podpisać. Powinien wiedzieć, jak się to robi, a także poznać wiele innych rzeczy. Powinien wiedzieć, jak należy zachowywać się w Wirginii.

- Rozumiem - odpowiedziała Fern. Nie słyszała, żeby miał jeszcze jakieś dzieci z Philomena Cartwright, pomyślała więc, że związał się z jakąś inną kolorową kobietą i że teraz trzeba było kształcić dziecko z tego związku. Lubiła brać pod opiekę czteroletnie dzieci, im były jednak starsze, tym bardziej ich głowy wypełniały bzdury, jakich nie była w stanie wyplenić.

- Chodzi o Henry ego Townsenda. Chyba go znasz. Wybuchnęła śmiechem, ale tylko na moment, bo zobaczyła, że Robbins się nie uśmiecha.

- Ten Henry, którego znam, jest mężczyzną - powiedziała. - Mężczyzną - powtórzyła, upewniwszy się, że na nią patrzy, gdy to mówiła.

- To on - odrzekł Robbins. - Już dawno wyrósł z lat chłopięcych. Ale zaczyna zastanawiać się nad swoim życiem, a ja nie chciałbym, żeby stała mu się krzywda z tego powodu, że czegoś nie wie.

- Mężczyźni nie uczą się zbyt dobrze, panie Robbins. Kobiety tak, ponieważ potrafią poddawać się, ugiąć się pod wpływem wiejącego wiatru. Kobieta, niezależnie od wieku, zawsze się uczy, zawsze się rozwija. Ale mężczyzna, z całym szacunkiem dla pana, przestaje uczyć się mniej więcej w wieku czternastu lat. W tym okresie zamyka się na wszystko, panie Robbins. Spróchniały pień jest w stanie nauczyć się więcej niż mężczyzna. Uczenie mężczyzny to nieustanna walka, wojna, a ja bym ją przegrała.

- Z Henrym będzie inaczej, Fern. Będzie otwarty na twoje nauki. Nie przyszedłbym do ciebie w sprawie żadnego innego Murzyna.

Płacił jej miesięcznie 20 dolarów za kształcenie Dory i Louisa. Czuł nawet pokusę, aby przychodziła do jego domu i dawała prywatne lekcje jego białej córce, tak był zadowolony z postępów swoich czarnoskórych dzieci, ale pewnych rzeczy jego żona nie potrafiła ścierpieć i w ten sposób otworzyłyby kolejną furtkę, przez którą mogliby wtargnąć bogowie. Patience, druga córka, była dość dobrze wyedukowana, ale nie tak dobrze jak Dora kształcona przez Fern.

- Henry nie będzie tak oporny ani tak tępy jak pień.

- Najstarsze dziecko, jakie do mnie przyprawiono, miało dziesięć lat - powiedziała Fern. - To była wojna, ale zwyciężyłam. Ponadto byłam wtedy młodsza.

Spojrzała Robbinsowi prosto w twarz, później odwróciła wzrok i popatrzyła na miejsce, w którym w przyszłości miał obozować hazardzista Jebediah Dickinson.

- Proszę przekazać Henryemu Townsendowi, aby przyszedł tu jutro o dziesiątej rano. Jak się spóźni, to straci pierwszą lekcję.

Nie powiedziała, żeby on sam powiedział to Henryemu, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie przyjmie wiadomości od kobiety niższego niż on stanu, aby przekazać ją człowiekowi, który również nie dorównywał mu stanem.

- Dobrze - rzekł Robbins. - Poczekajmy tydzień i wtedy określisz cenę.

- Cena będzie inna niż dla dzieci. Dzieci mogą uczyć nawet przez sen.

- Nic mu o tym nie mów, a ja już zapłacę cenę za dorosłego. Nawet cenę za trójkę dzieci.

Z powrotem włożył kapelusz na głowę.

- Życzę miłego dnia, Fern.

Nadal pragnął, aby Henry znalazł się w świecie, w jakim przyjdzie zamieszkać jego dzieciom, ale te zapasy z Mosesem uświadomiły mu, jak bardzo jeszcze Henry jest nieprzygotowany. Fern to zauważy i zrobi, co trzeba. Tego sierpniowego dnia, kiedy przyszedł do niej kanadyjski autor broszur, Anderson Frazier, Fern powiedziała: „Nie, Henry nie doczekał tego, aby stać się w pełni przystojny. Augustus tak, ale jego syn nie zdążył”.

- Do widzenia, panie Robbins - powiedziała Fern.

Patrzyła za nim, jak wyjeżdża na drogę i skręca w lewo. Słyszała od Maude, matki Caldonii, że między nim a Henrym mogło istnieć coś sprzecznego z naturą. Bo w przeciwnym razie - dlaczego biały człowiek o jego pozycji spędzałby tak dużo czasu z młodym człowiekiem, który kiedyś był jego własnością? Teraz wiedziała, że to nie było sprzeczne z naturą. W oczach Robbinsa widziała strach, ten sam strach, jaki odczuwa mężczyzna, posyłając swojego syna na polowanie na niedźwiedzia i dając mu jedynie swoją ulubioną strzelbę, która ojca zawiodła o jeden raz za dużo.

Zeszła po stopniach werandy. Jej mąż, Ramsey, nałogowy hazardzista, który wyjechał tydzień temu, obiecał wrócić tego dnia. Zeus, jej najbardziej zaufany niewolnik, wyszedł z domu i zapytał, w czym może jej pomóc.

- Ogród - odpowiedziała, wskazując głową w stronę azalii. - Od wczoraj nie zajmowałam się ogrodem.

To właśnie Zeus był tym mężczyzną, który podawał lemoniadę Andersonowi Frazierowi tego sierpniowego dnia.

Wtedy Zeus już zarabiał pieniądze u Fern i jej męża kowala, nazywał ich pracodawcami, ale tak naprawdę był najlepszym przyjacielem Fern.

- Tak, proszę pani - powiedział Zeus, spoglądając na ogród. Poszedł do szopy po jej kapelusz ogrodniczy i po wszystko, czego mogła potrzebować.

Ucichły już wszelkie odgłosy odjeżdżającego Robbinsa. Westchnęła i spojrzała na drogę, po której odjechał biały mężczyzna. Miesiąc zajmie nauczenie Henrygo, jak ma napisać swoje nazwisko. No, może dwa tygodnie. Przecież była świetną nauczycielką, a Augustus i Mildred też nie byli takimi tępakami, może nie będzie więc tak ciężko, jak przy rąbaniu pnia tępą siekierą. Weszła do ogrodu, na którego widok szybciej zabiło jej serce. Od wyjazdu męża nie kapała się, ale już wkrótce ten okres jej rezygnacji z wody miał się

skończyć, chociaż ona sama tego końca jeszcze nie widziała. Pojawił się Zeus z narzędziami i włożył jej kapelusz na głowę, a zrobił to tak dobrze, że już nie musiała poprawiać tego nakrycia głowy.

- Przydałby się nam nowy, *mistress* - powiedział o jej kapeluszu. Jej mąż przyjął Zeusa od białego człowieka w ramach rozliczenia jednego z długów karcianych, kiedy Zeus miał dwanaście lat. Nie podobało jej się imię, z jakim przybył, postanowiła więc wówczas, będąc świeżo upieczoną żoną, sama je zmienić. Nazwała go na cześć boga, którego mogłaby czcić, gdyby w jej naturze mieściło się oddawanie czci bogu. Ani Fern, ani Zeus nie pamiętali jego dawnego imienia. Teraz Fern powiedziała:

- Och, Zeus, ten kapelusz musi na razie wystarczyć. Przynajmniej do końca miesiąca. A potem oboje zobaczymy.

Weszli do ogrodu, omijając najdelikatniejsze z rosnących w nim roślin. Ona sama nie schylała się do kwiatów, jedynie pokazywała, co ma być zrobione, co należało wyciąć, co należało przyciąć, a Zeus klękał i doprowadzał wszystko do porządku. On też miał kapelusz, równie stary jak ten noszony przez Fern. Zeus miał nigdy nie przejść na emeryturę i nigdy nie odejść od Fern i jej męża kowala. Tego dnia, gdy przybył do niej z wizytą autor broszur Anderson Frazier, Fern wczesnym rankiem była w swoim nowym ogrodzie harując na kolanach obok swojego pracownika, Zeusa. Usiadłszy z Andersonem na werandzie, zauważyła odrobinę brudu za paznokciem i sama siebie skarciła w duchu za to, że przeoczyła coś, co nawet małe dziecko zauważyłoby podczas mycia rąk.

*

Fern Elston postanowiła nie iść w ślady rodzeństwa i wielu swoich kuzynów, i nie zdecydowała się rozpoczynać życia jako biała kobieta. Pozostała w hrabstwie Manchester, gdzie wszyscy wiedzieli, kim jest - wolną Murzynką, chociaż kolorem skóry nie różniła się od wszystkich białych. Jednym z powodów, dla których została, był Ramsey Elston, wolny Murzyn przybyły z miejsca położonego na północ od Charlottesville. Gdyby przeniosła się w jakieś inne miejsce, w którym mogłaby uchodzić za białą, kolor skóry jej męża wzbudzałby podejrzenie. Chociaż jego skóra była dość jasna, jednak nie tak jasna jak jej i wyraźnie było widać, że jest kolorowy. W każdej innej części świata byłaby traktowana jak biała kobieta z mężem Murzynem, a to ograniczyłoby jej świat prawie tak, jakby żyli jako para kolorowych. A ponadto samo to, że była białą żoną czarnoskórego, mogłoby doprowadzić do śmierci jej męża.

Fern nigdy nawet nie przyszło do głowy, aby uchodzić za białą kobietę. Biali niezbyt ją obchodzili, nie widziała więc powodu, dla którego miałyby chcieć zostać jedną z nich. W

całym hrabstwie Manchester znano ją jako kobietę budzącą zażenowanie w ludziach, a na dodatek była wykształcona, co ich jeszcze bardziej onieśmiewało. Mężczyźni jeżdżący na patrole organizowane przez szeryfa Johna Skiffingtona obawiali się spotkać ją po zmierzchu na drodze, choć rzadko zdarzało się jej o tej porze przebywać poza domem.

Przy pierwszych spotkaniach z mężczyznami patrolującymi okolicę witała ich słowami:

- Nie będę znieważać was słowem ani uczynkiem i życzę sobie, abyście wy również nie znieważali mnie słowem ani uczynkiem. Pragnę również, abyście nie znieważali mojego sługi - sługą był jeden z jej niewolników, aktualnie powożący bryczką. Następnie okazywała im dokumenty świadczące o tym, że jest wolną kobietą, a zaraz potem akt kupna niewolnika. Cierpliwie czekała, aż sprawdzą jej papiery. Niektórzy z patrolujących mężczyzn nie potrafili czytać, ale również przy nich czekała cierpliwie, aż niepiśmienny mężczyzna skończy udawać, że czyta. Wiedziała, że ludzie nie rodzą się z umiejętnością czytania. Nie mówiła „dzień dobry”, kiedy ją zatrzymywali, nie mówiła także „do widzenia”, kiedy pozwalali jej jechać dalej.

- Ruszaj dalej - mówiła do swojego sługi.

Jeśli podczas spotkania z patrolem wydarzyło się coś „przykrego”, następnego dnia mówiła o tym nie szeryfowi Johnowi Skiffingtonowi, ale Williamowi Robbinsowi. Pewnego razu jeden z członków patrolu, Harvey Travis, który potrafił czytać, zirytował się oschłością jej manier i zmiąwszy dokumenty rzucił je na jej kolana.

- Masz - powiedział.

- Ruszaj dalej - poleciła słudze tym samym tonem, jakim mówiła, gdy jej nie ubliżano.

Nazajutrz pojechała do Robbinsa. Nigdy nie obchodziła domu białych ludzi, aby wejść przez tylne drzwi, i tego dnia również tego nie zrobiła. Niewolnik, który ją tu przywiózł, poszedł na tyły domu i znalazłszy tam niewolnicę robiącą pranie, powiedział jej, że *mistress* Fern chciałyby porozmawiać z *master* Robbinssem. Zanim jej sługa zdążył wrócić do bryczki i siedzącej w niej pani, Robbins już schodził po schodkach werandy.

- Panie Robbins - odezwała się. - Spotkała mnie przykrość ze strony jednego z członków patrolu i obawiam się, że jeśli nic nie zostanie zrobione w tej sprawie, może dojść do kolejnych takich przykrych wypadków.

Nie ruszała się z bryczki, a Robbins przez cały ten czas stał obok. Oboje płacili podatek na finansowanie patroli, ale dla samych patrolujących nie miało to żadnego znaczenia.

Znał ją dość dobrze i wiedział, że nie była w tej sprawie u Skiffingtona.

- Zajmę się tym, Fern. Zobaczą, co się da zrobić.
- Będę wdzięczna, jeśli uda się panu coś załatwić.
- W takim razie tym bardziej się postaram.

*

Nigdy więcej nie obraził jej żaden z mężczyzn patrolujących okolicę. Od tego czasu już zawsze, gdy spotykała nocą patrol na drodze, zatrzymywała się i wyciągała dokumenty, zanim jeszcze ją o to proszono. Z czasem znali ją wszyscy mężczyźni uczestniczący w patrolach i już nie żądali od niej dokumentów. Ale ona wciąż nieodmiennie wyciągała papiery

- Wiemy, kim jesteś - mówili.

Ona się nie odzywała. A potem, gdy jasne się stało, że już nigdy w życiu nie musi się zatrzymywać, ona wciąż się zatrzymywała i robiła to co zawsze.

*

Skłonność Ramseya Elstona do hazardu powodowała, że robili się coraz ubożsi, chociaż było to takie ubóstwo, które przeważającej większości ludzi w hrabstwie, zarówno białym, jak i wolnym czarnoskórym, pozwoliłoby na zupełnie wygodne życie. Ramsey nigdy nie grał w swoim hrabstwie. Wyjeżdżał przynajmniej dwa hrabstwa dalej, gdzie mógł znaleźć na tyle namiętnych białych hazardzistów, by nie przeszkadzało im to, że grają z Murzynem. Musiał mieć ponadto pewność, że jeśli wygra, to oni nie będą tak zawzięci, żeby odbijać sobie straty na jego skórze, a później, po poturbowaniu go, nie zabiorą z powrotem swoich pieniędzy. Zazwyczaj nie było go przez trzy lub cztery dni, najwyżej tydzień, i na początku ich małżeństwa nie przeszkadzało jej to aż tak bardzo. A poza tym zazwyczaj wygrywał. Ziemia, jaką mieli, przynosiła plony, dodatkowo jeszcze przychodziły pieniądze od ich krewnych z Richmond i Petersburga, pieniądze nadchodziły całymi latami, chociaż nikt się w tej sprawie nie umawiał. Bank w Richmond lub Petersburgu kontaktował się z bankiem w Manchesterze i na koncie Fern pojawiały się pieniądze. Podejrzewała, że krewni przysyłali jej pieniądze za jej dyskrecję, ale ostatnią rzeczą, jaką mogłaby zrobić, to powiedzieć światu, że jej krewni udawali białych. Znała ich wszystkich, jako dziecko bawiła się z nimi, spała z nimi w ich łóżkach, ale nie uważała już ich za osoby, z którymi łączyły ją więzy krwi.

Ramsey, zwłaszcza w okresie poprzedzającym przyjazd innego hazardzisty, Jebediaha Dickinsona, po powrocie do domu przez wiele tygodni był najbardziej troskliwym mężem, aż ponownie brała w nim górę potrzeba znalezienia się przy stoliku z pieniędzmi, kartami, mężczyznami i cygarami. Ciągnął go ten, oddalony o dwa hrabstwa, świat hazardu, a ona mogła to poznać po jego zachowaniu, po tym, jak snuł się po domu, jak stopą odsuwał szczeniaki ze swojej drogi. Musiał wrócić do tego świata, do całego, nawet do widoku tego

slugi, którego jedynym zadaniem było rozwiewanie dymu z cygar za pomocą gazety, której nikt z graczy nawet nie próbował czytać.

Fern nie należała do kobiet czekających na męża w oknie. Niemniej jednak usychała z tęsknoty za nim. Zawsze dokładnie ją informował, kiedy wróci.

- Nie myj się - mówił przed odjazdem. - Nie kąp się do mojego powrotu.

Początkowo przychodziło jej to z trudem, ponieważ wychowano ją w przeświadczeniu, że brak czystości zbliżał człowieka do ludzi pracujących w polu.

- Muszę się kąpać, panie Elston - mówiła. - Chcę się kąpać.

- Zrób to po moim powrocie.

- Ale ja tymczasem zaleję się potem, aż po same kostki u nóg.

- Możesz wypocić mi całą rzekę, mnie to nie przeszkadza. Będę w niej pływał. Tylko nie kąp się.

W takich okresach starała się unikać swoich uczniów, bo uczyła ich wszystkich, od Dory po Caldonię, równie higienicznego podejścia do kwestii czystości. Kiedy Ramsey powracał, z reguły późnym wieczorem, zastawał ją w ich sypialni.

- Byłam dobrą żoną, panie Elston. Śmiał się.

- A ja dobrym mężem, pani Elston.

A ona co noc wierzyła w jego słowa, aż do przyjazdu Jebediaha Dickinsona. Potem Ramsey zaczynał ją rozbierać, powoli zdejmując kolejne części jej garderoby, a jedyna świeca w pokoju szybciej się teraz wypalała, aż w końcu pozostawał z niej mały ogarek. Jeszcze na długo, zanim ją rozebrał, stawała się senna i ociążała od ogarniającego ją pragnienia, i zdawało się jej, że zaraz upadnie na podłogę, a wtedy całował ją w szyję, nawiązując pierwszy kontakt z jej skórą, po raz pierwszy smakując warstwę soli. Ten pocałunek cucił ją i ożywiał, ale po chwili ponownie stawała się ociążała i znowu musiał ucałować jej szyję.

- Kąpałaś się, pani Elston?

- Nie kąpałam się, panie Elston - każde słowo wypowiedane z wysiłkiem, a zarazem tak bardzo potrzebne. - Byłam dobrą żoną.

Tak było podczas wiosny i lata ich wspólnego życia. W tej części Wirginii powiadano, że wiosną i latem świece paliły się jaśniej, ponieważ wtedy wiał wiatr z gór i dawał płomieniom więcej powietrza do oddychania. Jednak inni ludzie nie zgadzali się z tym i mówili, że widzieli świece palące się równie jasno jesienią, a nawet w zimie, kiedy powietrze nie było tak przyjazne. Fern Elston zgadzała się z tą drugą opinią.

*

Elstonowie rzadko mieli więcej niż trzynastu niewolników, choć podczas pobytu hazardzisty Jebediaha Dickinsona liczba ta zwiększyła się do czternastu. Trzynastu niewolników zawsze wystarczało im do posługi w domu i do uprawiania tych kilku akrów ziemi, które zaspokajały wszystkie ich potrzeby. Niewolnicy pracujący w polu mieszkali w chatach stojących bliżej domostwa państwa niż robotnicy na jakiegokolwiek innej plantacji czy farmie w Wirginii. Nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak było. Z pewnością nie brakowało ziemi, żeby ulokować ich dalej.

- Ci Elstonowie nie mieli niewolników - mawiali kolorowi ludzie - oni mieli sąsiadów, którzy przez przypadek byli niewolnikami.

*

Fern nie powiedziała Andersonowi Frazierowi, białemu autorowi broszur, że Henry Townsend miał najciemniejszą skórę ze wszystkich jej uczniów, powiedziała mu za to, że był pierwszym wyzwolonym niewolnikiem, jakiego uczyła, i że prawdopodobnie był najbystrzejszym z jej uczniów.

- Być może jego krew była w jakiś sposób nieskalana - powiedziała Andersonowi, kiedy zbliżało się już południe. Była gotowa nie udzielać odpowiedzi, jeśliby zapytał, co miała na myśli, ale Anderson się nie odezwał. Słuchała, jak słowo „nieskalana” odbijało się echem w jej głowie, i pomyślała, że użyła go po raz pierwszy od długiego czasu.

- Gdy już nauczył się czytać i pisać, udostępniłam mu moją biblioteczkę, jednak większość książek nie zainteresowała go tak bardzo, jak się tego spodziewałam. Oczywiście był mężczyzną, a nie dzieckiem skłonny do oddawania się rozkoszom. Czytał, podobało mu się i przychodził po następną. Książki zabierał do domu. Nie mam pojęcia, kiedy czytał, bo z tego, co słyszałam, przez cały czas zajmował się budową domu.

Tego sierpniowego dnia, kiedy siedziała na ganku z Andersonem, obok domu przeszli kobieta i mężczyzna, trzymając się za ręce, i Fern pomachała do nich, a para pomachała jej w odpowiedzi.

- Od czasu do czasu jakaś książka bardzo go zajmowała i potrafił całymi dniami o niej rozprawiać. Czy zna pan Milтона, panie Frazier? Czy zna pan *Raj utracony*, panie Frazier?

- Tak, pani Elston.

- Henry również. „Powiedzieć coś takiego” - tak wyraził się o diable, który oświadczył, że woli rządzić w piekle niż służyć w niebie. Uważał, że tylko człowiek, który dogłębnie poznał siebie samego, mógłby powiedzieć coś takiego, mógłby tak ostatecznie i nieodwracalnie odwrócić się od Boga. Próbowałam mu ukazać, jak straszny to był wybór, ale Henry już wyrobił sobie własne zdanie i nie byłam w stanie tego odmienić. Uwielbiał Milтона

i Thomasa Graya. Nie przepadam za żadnym z nich, mimo to czuję się w obowiązku zapoznać z nimi moich uczniów.

Odwróciła się do Andersona i odchyliła nieco głowę, tak że widać było całą jej twarz. Ciągnęła dalej:

- Nie potrafiłam zmienić sposobu, w jaki się wysławiał. Czasami mówił tak, jak go uczyłam, ale wielokrotnie zdarzało się, że mówił tak, jak musi mówić człowiek, który spędził dwadzieścia lat na pracy w polu. Jego ojciec również tak mówił.

*

Tego samego dnia, kiedy Robbins widział go mocującego się z Mosesem, Henry Townsend dotarł do swoich rodziców nieco po siódmej wieczorem. Ucieszył się, gdy zobaczył, że Mildred i Augustus są jeszcze na nogach. Od dłuższego czasu nie przyjeżdżał do nich i nic im nie powiedział o kupnie Mosesa ani o rozpoczęciu budowy domu. Z jednej strony chciał ich zaskoczyć wiadomością o nowym domu. Z drugiej strony bał się powiedzieć im o Mosesie. Ale Henry był psychicznie wykończony po tym, co usłyszał od Robbinsa, i pomyślał, że podzielenie się opowieścią o domu i Mosesie może być dobrym pomysłem na spędzenie wieczoru przed pójściem spać. Zastał ich przy stole kuchennym, a Mildred na jego widok wstała i pokryła mu twarz pocałunkami. Augustus bawił się z jednym z psów, delikatnie ciągnąc go za ucho.

- Poszedł! - rzucił do psa, wstając od stołu, i pies wymknął się z kuchni. Augustus pocałował Henry'ego w usta, jak to miał w zwyczaju od czasu, gdy Henry podróżował z Robbinssem - miał to być sposób na przyciągnięcie Henry'ego z powrotem na łono rodziny. Tego dnia, gdy odbyły się zapasy, rodzina nie widziała się już prawie od dwóch miesięcy.

Usiedli przy kuchennym stole. Mildred postawiła przed synem kawałek jabłecznika, jednak po chwili go zabrała i na talerzu położyła drugi kawałek, tuż obok pierwszego. Jak zawsze, przez długie chwile panowała cisza. Czas, jaki ta trójka spędziła w oddaleniu od siebie w początkowych latach, wytworzył aurę skrępowania, która ujawniała się w takich chwilach - Augustus pierwszy uzyskujący wolność i pracujący, aby uwolnić żonę, matka i syn żyjący wspólnie jako niewolnicy, następnie ojciec i matka pracujący, aby uwolnić Henry'ego, i wreszcie cała trójka wykuwająca nowe życie w czasie, gdy w żyłach chłopca krew zaczynała szybciej krążyć. Ale w końcu przychodził moment, kiedy wśród panującej ciszy jedno z rodziców, Mildred albo Augustus, odchrząkało i słowa znowu same płynęły z ich ust.

- Pracuję nad domem - powiedział Henry między kolejnymi kęsami drugiego kawałka ciasta. - Stawiam dom. Wielki dom.

Mildred i Augustus uśmiechnęli się.

- A co potem? Żona? - spytał Augustus.

- Może. Może. To będzie dobry dom, papo. Nawet biali ludzie powiedzą: „Ależ ładny dom ma ten Henry Townsend”.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Henry? - zapytał Augustus. - Przecież bym ci pomógł. Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy. Przecież po to jestem.

- Wiem, papo. Ja tylko chciałem mieć już coś do pokazania, żebyście z mamą mieli się czym zachwycać. Może byś przyszedł, jak dojdziemy do piętra.

- Piętrowy - powiedziała Mildred. - Słyszałeś to, Augustusie? On buduje coś większego, niż ty posiadasz. - Mrugnęła do męża. - A kiedy „wy” dojdziecie do piętra? Kto to jest „my”?

Henry odłożył widelczyk po zjedzeniu ostatniego kawałka ciasta.

- A to jest druga nowina. Mam pomoc. Augustus pokręcił głową, mile zaskoczony.

- A kto ci pomaga? Pewnie wynajęłaś Charlesa i Miliarda z plantacji Colfaxes. Muszę przyznać, że to zręczni pracownicy. Dobrzy ludzie i warci pieniędzy, jakie im płacisz. Wykop pieniądze z podwórza i ureguluj z nimi sprawy Colfaxes. Pozwoli im zatrzymać część zarobku. Ten Charles mógłby wykorzystać te swoje pieniądze na wykupienie się od Colfaxes. A może to Buddy? Ten wolny Buddy, a nie Buddy z plantacji Dalforda. Czasami ten niewolnik Buddy nie pracuje zbyt dobrze. Ale ten wolny Buddy to zupełnie inna sprawa.

- Nie, papo. Mam własnego człowieka. Kupiłem sobie człowieka. Tanio kupiłem od pana Robbinsa. Mosesa.

Po zjedzeniu ciasta poczuł się senny i myślał, jakby to było miło udać się teraz na górę i zasnąć.

- To dobry pracownik. I jeszcze długo pożyje. A pan Robbins wypożycza mi pozostałych ludzi do pracy.

Mildred i Augustus spojrzeli po sobie. Mildred opuściła głowę.

Augustus podniósł się tak szybko, że krzesło, na którym siedział, odchyliło się niebezpiecznie, sięgnął więc szybko do tyłu i złapał je, jednak przez cały czas wpatrywał się w Henry'ego.

- Chcesz mi powiedzieć, że kupiłeś człowieka i on jest teraz twój? Kupiłeś go i nie wyzwoliłeś go? Henry, ty jesteś właścicielem człowieka?

- Tak. No, właściwie tak, papo - Henry patrzył to na ojca, to na matkę.

Również Mildred wstała.

- Henry, ale dlaczego? - powiedziała. - Dlaczego to zrobiłeś?

Zaczęła szukać w pamięci tej chwili, tego dnia, kiedy ona i jej mąż mówili mu o tym, co powinien i czego nie powinien robić. *Nie iść samemu do lasu, jeśli papa albo ja o tym nie wiemy Nosa nie wytknąć za drzwi bez dokumentów stwierdzających wolność, nawet do studni czy wygódki. Co wieczór odmawiać pacierz.*

- Mamo, co ja zrobiłem? Co takiego?

Zbieraj jagody rosnące najbliżej ziemi, synku. Te są najśłodsze. Jak biały człowiek powie, że drzewa potrafią mówić, potrafią tańczyć, od razu powiedz, że tak, że wiele razy widziałeś, jak to robią. Nie patrz ludziom prosto w oczy. Jak zobaczysz, że w twoją stronę jedzie biała kobieta, uciekaj z drogi i schowaj się za drzewem. Im brzydsza biała kobieta, tym dalej uciekaj i tym grubszego szukaj drzewa. Ale gdzie w tym wszystkim, czego uczyła syna, było to przykazanie, że nie będziesz posiadał nikogo, samemu będąc kiedyś czyjąś własnością? Nie wracaj do Egiptu, jeśli Bóg już cię stamtąd wyprowadził.

- Henry, nie rozumiesz, dlaczego to jest złe? - zapytał Augustus.

- Nikt mi nigdy nie mówił, że to jest złe.

- Synu, po co ktoś miałby cię uczyć, co jest złe? - powiedział Augustus. - Czy ty sam nie masz oczu, żeby to zobaczyć bez mojego mówienia?

- Henry - dodała Mildred - po co robić coś w stary i zły sposób?

- Ja nic takiego nie robię, mamo, ja nic takiego nie robię. Augustus cicho powiedział:

- Kiedy udało mi się zdobyć ten niewielki kawałek ziemi, obiecałem sobie, że nigdy nie postanie na nim stopa właściciela niewolników. Przenigdy.

Przyłożył rękę na moment do ust, a potem zaczął szarpać brodę.

- Nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że z wszystkich istot ludzkich na tej bożej ziemi pierwszym właścicielem niewolników, któremu każę opuścić to miejsce, będzie moje własne dziecko. Nigdy bym nawet nie pomyślał, że to będziesz ty. Po co wykupywaliśmy cię od Robbinsa, jeśli miałeś to zrobić? Po co nam było kłopotać się, żebyś był wolny, Henry?

Augustus wyszedł z pokoju w kierunku drzwi frontowych, dając w ten sposób znak Henryemu, żeby ten poszedł za nim. Mildred usiadła, ale po chwili się podniosła.

- Papo, nie zrobiłem niczego, do czego nie mam prawa. Nie zrobiłem niczego, czego nie zrobiłby biały człowiek. Papo, poczekaj.

Mildred podeszła do syna i położywszy dłoń na jego karku, zaczęła go głaskać:

- Augustus...? - Henry szedł za ojcem, a Mildred za synem. - Papo, papo, poczekaj chwilę.

W pokoju od frontu Augustus odwrócił się do Henryego.

- Najlepiej będzie, jak wyjdiesz, i to natychmiast - powiedział Augustus. Otworzył drzwi.

- Nie zrobiłem niczego, czego nie zrobiłby biały człowiek. Nie złamałem żadnego prawa. Nie. Posłuchaj.

Obok drzwi znajdowało się kilka stojaków z laskami, ułożonymi jedna nad drugą, łącznie około dziesięciu. - Papo, tylko dlatego, że ty tak nie robisz, to jeszcze nie znaczy, że...

Augustus zdjął laskę zdobioną w mnóstwo wiewiórek goniących jedna za drugą, główka za ogonkiem, ogonek za główką, rząd lśniących stworzonek biegnących wokół laski aż na samą górę, gdzie czekał na nie idealny żołądź, z szypułką i wszystkimi szczegółami. Augustus uderzył Henryego laską w ramię i Henry padł na podłogę.

- Augustus, przestań! - krzyknęła Mildred i uklękła przy synu.

- Tak się czuje niewolnik! - zawołał do niego z góry Augustus. - Tak właśnie czuje się każdego dnia każdy niewolnik.

Henry uwolnił się z objęć matki i podniósł się na nogi. Wyrwał ojcu laskę.

- Henry, nie! - krzyknęła Mildred.

Henry spróbował złamać kij na kolanie i udało mu się to za drugim razem.

- A tak czuje się pan - powiedział i wyszedł z domu. Mildred ruszyła za nim.

- Proszę, synu. Proszę.

Szedł dalej, a kiedy na schodach uświadomił sobie, że nadal trzyma w rękach kawałki laski, odwrócił się i wręczył je matce.

- Henry. Synu, poczekaj.

Poszedł do stajni. Przyjechał z zamiarem zatrzymania się na noc i dlatego też oporządził konia, ale teraz osiodłał go w docierającym do stajni słabym świetle księżycy. Koń się opierał.

- No, dalej! - powiedział mu Henry. - Ruszaj się! Matka wyszła na podwórze i patrzyła, jak syn odjeżdża w ciemność. Jeszcze przez długi czas słyszała stukot kopyt konia na czymś, co tu, gdzie mieszkali, uchodziło za drogę, a odgłos odjeżdżającego syna pozostawił w jej wyobraźni obraz, jaki miał jej towarzyszyć przez wiele dni.

*

Ból w ramieniu nie pozwalał mu jechać szybko i do domu Robbinsa dojechał dopiero po trzech godzinach. Mildred i Augustus pragnęli mieszkać jak najdalej od siedzib białych ludzi. Henry się obawiał, że Robbinsa nie będzie w domu. Pomyślał, że mógłby po prostu przespać się do rana w stodole. Ale Robbins popijał samotnie na werandzie i gdy Henry powoli szedł przez podwórze, żaden z mężczyzn słowem się nie odezwał. Księżyc rzucał

dużo światła. Koń Robbinsa skubał trawę na podwórzu i podniósł łeb, aby popatrzeć na Henryego. Henry zsiadł ze swojego wierzchowca. Odprowadził zwierzę białego człowieka i po chwili powrócił po swojego konia.

Kiedy wrócił, zatrzymał się na podwórzu i spojrzał na Robbinsa, który popijał z butelki. Henry nigdy jeszcze nie widział, żeby robił to na dworze.

- Czy mogę usiąść przy panu, panie Robbins?

- Oczywiście. Oczywiście. Nie odmówiłbym ci miejsca, podobnie jak nie odmówiłbym Louisowi.

Robbins był jednym z niewielu białych, którzy nie mieli nic przeciwko temu, aby usiąść przy jednym stole z człowiekiem czarnoskórym. Oprócz świerszczy i głosu jakiegoś dziwnego nocnego stworzenia w panującej wokół ciszy słychać było tylko ich słowa. Henry usiadł na górnym stopniu schodków. Żona Robbinsa patrzyła przez okno z piętra na Wschodzie. Robbins nie siedział w swoim ulubionym bujanym fotelu, ponieważ kołysanie w fotelu zaczęło powodować bóle w krzyżach.

- Mógłbym cię czymś poczęstować, Henry, ale są pewne ścieżki, którymi lepiej, żebyś nie kroczył. Przynajmniej nie teraz, dopóki dysponujesz wszystkimi zmysłami.

- Tak, proszę pana.

- Henry, czy dziś jest wtorek?

- Tak, proszę pana, wtorek. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

- Hm... - zamruczał Robbins i pociągnął z butelki dwa krótkie łyki. - Moja matka urodziła się we wtorek, w bardzo ładnym miejscu tuż obok Charlottesville. Zawsze uważałem wtorek za mój szczęśliwy dzień, chociaż sam urodziłem się w czwartek. We wtorki nie popełniam błędów. Ożeniłem się we wtorek, chociaż pani Robbins wolała niedzielę.

- Tak, proszę pana.

- Henry, czy wiesz, jakiego dnia urodziła się twoja matka?

- Nie, panie Robbins, nie wiem.

- W zeszłym tygodniu wyciągnąłem tę wielką księgę. Nie moją *Biblię*. Taką inną książkę. Księgę, w której są zapisani moi wszyscy niewolnicy i wszystko inne. Nie, to chyba nie było w zeszłym tygodniu. Może dwa tygodnie temu albo wtedy, kiedy ty zabrałeś się za dom. I poszukałem jej imienia. Jej dniem jest wtorek, Henry. Zapamiętaj to. Ożeń się we wtorek, a będziesz szczęśliwy Ty urodziłeś się w piątek, jak wynika z księgi. Ale na to nie zważaj.

Henry powiedział, że nie będzie na to zważał.

- Czy jesteś zadowolony z pracy nad domem, Henry? Widział Henrygo, jak klęczy przy łóżku i zabawia dzieci tej nocy w Richmond. Henry przydałby się dzieciom w ich świecie, żeby tylko przestał mocować się z czarnuchami.

- Tak, proszę pana, zadowolony.

Ciągle musiał zmieniać pozycję, żeby złagodzić nieco ból w barku.

- Nie zatrzymuj się, chłopcze, tylko na posiadaniu domu i kawałka ziemi. Bierz wszystko, co się da. Są tutaj biali, Henry, którzy nic nie mają. Możesz spokojnie przyjść i wziąć to, czego oni nie biorą. Czemu nie? Bóg siedzi sobie w swoim niebie i przeważnie nic go nie obchodzi. Cała sztuka w życiu polega na tym, aby wiedzieć, kiedy Boga rzeczywiście nic nie obchodzi, a wszystko, co trzeba robić, robić za jego plecami.

- Tak, proszę pana.

- Wiem, że masz w sobie tę potrzebę posiadania, chęć uchwycenia i przyciągnięcia do siebie, nieprawdaż Henry?

- Tak, panie Robbins.

Aż do tej chwili nie wiedział, jak wiele chciał.

- No to bierz i niech szlag trafi świat, Henry.

Henry czekał aż do tego momentu, aby powiedzieć Robbinsowi, że prawdopodobnie ma złamany bark i że chyba nie uda mu się podnieść się ze schodów o własnych siłach.

*

Tego sierpniowego dnia Fern Elston powiedziała Andersonowi Frazierowi, autorowi broszur:

- Kobieta, której przeznaczeniem było uczyć ludzi, budzi się rano, rozpaczliwie potrzebując towarzystwa uczniów. Ja byłam taką osobą. Wciąż taka jestem. Powiedziałam moim dzieciom i mojemu mężowi, żeby na moim grobie umieszczono napis „Matka” i „Nauczycielka”. Przede wszystkim to, nawet przed moim nazwiskiem. A jeśli kamieniarz będzie miał jeszcze miejsce, niech dopisze „Żona”. „Żona” pod nazwiskiem. „Dobra żona”, jeśli się zmieści - przerwała na chwilę, po czym powróciła do tematu Henry’ego Townsenda.

- Przychodzi mi na myśl jedynie miłe popołudnie i wczesny wieczór, kiedy zaprosiłam Henry’ego na kolację, w której uczestniczyło również kilkoro moich dawnych uczniów. Wydaje mi się, że minął niecały rok od czasu, kiedy zaczęłam go uczyć, i w tym okresie wciąż był moim uczniem. Przyszedł w jakimś wełnianym garniturze, zdecydowanie zbyt grubym jak na ten dzień. Podejrzewam, że gdyby do tego garnituru przyłożyć trzepaczkę, kurz zupełnie zakryłby jego właściciela. Wydaje mi się, że w tym czasie miał już trójkę niewolników. Może czwórkę, między innymi kobietę, która mu gotowała...

- Jak się spisywał tego wieczoru, pani Elston? - zapytał Anderson.

- Zupełnie dobrze. Oczywiście Dora i Louis znali go, a nawet go uwielbiali. Był dla nich jak starszy brat, wiadomo więc było, że spotkanie powinno być raczej miłe. Calvinowi, bratu Caldonii, od razu przypadł do gustu. Calvin od dłuższego czasu nie mógł sobie poradzić z samym sobą i starał się stwarzać innym swobodną atmosferę. Ci dwaj rozmawiali ze sobą przez większość popołudnia, aż do zmroku. A później, pod koniec wieczoru, po tym, jak przez cały czas siedział naprzeciwko niej przy stole, ale nie odezwał się do niej ani razu, Henry w końcu powiedział do Caldonii: „Widziałem, jak jeździsz konno i zauważyłem, że czasami opuszczasz głowę”. Nie przeprosił Calvina za przerwanie rozmowy, jaką z nim prowadził, nie przeprosił również Friedy, do której Caldonia w tym momencie mówiła. Jeszcze nie przerabiałam z nim dobrych manier. Przy pracy z dziećmi byłaby to oczywiście jedna z pierwszych lekcji, ale przy uczeniu mężczyzny musiałam nieco zmienić podstawy - ciągnęła dalej, opisując pozostałą część wieczoru. Widać było, że to jedno z jej ulubionych wspomnień.

Caldonia spojrzała ponad stołem na Henrygo, jakby go wcześniej nie zauważyła.

- Och - odezwała się, po tym, jak powiedział, że widział ją na koniu.

- Trzymasz głowę opuszczoną, a tak nie należy robić - powiedział Henry.

Wziął w prawą dłoń pieprzniczkę, wyciągnął rękę przed siebie i poruszał ręką od prawej strony do lewej. Teraz obserwowali go już wszyscy przy stole. Ręka z pieprzniczką poruszała się równo, z gracją, od prawej strony do lewej.

- Tak jeżdżą inni - powiedział Henry - Ja i wszyscy inni. Przełożył pieprzniczkę do lewej dłoni, przechylił ją i już z mniejszą gracją przesuwał rękę od lewej do prawej. A w miarę jak ją przesuwał, pieprz wysypywał się z pieprzniczki na biały obrus Fern. Powiedział:

- Przykro mi o tym mówić, ale ty jeździsz w ten sposób. Henry kilka razy powtórzył prezentację z pieprzniczką - kiedy przemieszczała się od prawej do lewej, trzymała się prosto, ale gdy jechała od lewej do prawej, pieprz się z niej wysypywał. Fern pomyślała, że w tym wysypywaniu się pieprzu było coś smutnego, a tym bardziej było to smutne, że tak naprawdę mogło być inaczej. Powiedziała do Andersona:

- W taki oto niezdarny sposób starał się powiedzieć Caldonii, że coś traciła, nie patrząc w górę.

W końcu Henry zauważył smugę pieprzu na obrusie i spojrzał na Fern.

- Przepraszam - powiedział do niej.

- To nie jest taki znowu problem - odrzekła Fern. - Pan Elston narobił dużo więcej szkód mojemu obrusowi.

Caldonia nie odrywała wzroku od Henryego i w końcu uśmiechnęła się do niego.

- Od teraz będę starała się robić to lepiej - powiedziała. - Wiem, że będę robić to lepiej. Henry odstawił pieprzniczkę na stół i palcami zebrał pieprz na małą kupkę.

Calvin, brat bliźniak Caldonii, odezwał się do niej:

- Od lat ci mówię, że jeździsz w ten sposób, ale ty nigdy mnie nie słuchasz.

Oczy nadal miała utkwione w Henrym i na moment zapomniała, gdzie jest Calvin. Siedział dwie osoby na lewo od Henryego, ale Caldonia zaczęła szukać go po prawej stronie, nie koncentrując się zbyt dobrze, ponieważ nadal była skupiona na Henrym.

- Posłuchaj, braciszku - powiedziała ze wzrokiem wędrującym od prawej do lewej, starając się kierować słowa do brata. - Drogi braciszku, przez cały ten czas nigdy nie mówiłeś do mnie tak, jakby od tego, co mówisz, zależało moje życie.

Wszyscy się roześmieli, a Frieda rzuciła:

- No właśnie.

Fern powiedziała do Andersona Frazier:

- W tym czasie żył jeszcze ojciec Caldonii, mógł więc udzielić zgody na to, żeby Henry starał się o jej rękę. Zawsze towarzyszyła im służąca matki, ponieważ przywoite dziewczęta nie chodzą same z mężczyznami, z którymi nie są spokrewnione. Gdyby jej ojciec nie żył, nie sądzę, aby jej matka wyraziła zgodę, a Caldonia nie potrafiłaby sprzeciwić się matce.

- A dlaczego - zapytał Anderson - nie dałaby zgody? Fern po raz kolejny przypomniała sobie, że rozmawia z białym człowiekiem. Jeśli miał dowiedzieć się czegoś o czarnych ludziach, o tym, jaka skóra była uznawana za wartościową, a jaka nie, to na pewno nie od niej.

- Nie wiem, dlaczego - odrzekła. - Maude, jej matka, potrafiła w szczególny sposób podchodzić do pewnych spraw.

*

Pogrzeb Henryego trwał nieco ponad godzinę. Wszyscy jego niewolnicy otoczyli rodzinę i przyjaciół oraz dół, w którym go złożono. W związku z tym, że Valtims Moffett się spóźnił, zaczęli bez niego. Caldonia nie wiedziała, kiedy może przybyć Moffett, doszła więc do wniosku, że ostatecznie Bóg nie będzie miał za złe Henry'emu Townsendowi, że w pociągu, jakim uda się w swoją ostatnią drogę, nie będzie odpowiedniego maszynisty. Mildred długo przemawiała. Mówiła bardzo nieskładnie i wszyscy uważali, że nie ma w tym nic dziwnego, a Caldonia przez cały czas trzymała ją pod rękę. Fern zaśpiewała pieśń o Jezusie, której nauczyła się jeszcze w dzieciństwie. Kiedy zaczynała śpiewać, wydawało się

jej, że zna tekst, ale w połowie pieśni pamięć ją zawiodła i dalej musiała wymyślać własne słowa. Augustus nie przemawiał. Nie przemawiał również Robbins, stojący między Dorą a Louisem. W jego głowie rozszalała się burza i stracił sporą część ceremonii. To był drugi pogrzeb kolorowego, w jakim Robbins uczestniczył w ciągu niecałego roku. Wcześniej zmarł jeden z jego pierwszych niewolników - stał na polu, przestał pracować i zaczął powoli osuwać się coraz niżej i niżej, najpierw na jedno kolano, później na drugie. Niewolnik pracował samotnie w swoim rzędzie, z pełnym workiem zawieszonym na szyi, a ludzie przez dłuższy czas pracowali dalej i nikt nie zauważył, że Michael zniknął.

- Przygotujesz mi dobre miejsce, gdzieś tam, synku - powiedziała Mildred nad grobem syna - a ja tam wkrótce przybędę.

Moses, Stamford i Elias zasypali dół. Ludzie pracujący zwykle w polu mieli tego dnia wolne, natomiast służba w domu pracowała do późna, zajmując się osobami, które zostały, aby oplakiwać i wspominać Henryego. Robbins nie został. Tym razem przyjechał konno, a nie w powozie, jak dzień wcześniej.

*

Po tym wieczorze w Richmond, kiedy Robbins ją uderzył, Philomena Cartwright miała nie zobaczyć tego miasta przez wiele, wiele lat. Jej szczeka nie zagoiła się jak należy i nigdy już nie mogła jeść twardego pożywienia tą stroną ust. Raz, gdy zagroziła, że ucieknie i wróci do Richmond, Robbins powiedział jej, że sprzeda ją ponownie w niewolę.

- Nie możesz - powiedziała. - Nie możesz, William. Ja mam dokumenty potwierdzające moją wolność.

Powiedział jej, że w świecie, w którym ludzie wierzą w Boga, którego nie widzą, i udają, że wiatr może być jego głosem, papier nic nie znaczy; że ma tylko taką moc, jaką dał mu on, Robbins. Po raz trzeci i ostatni zobaczyła Richmond niedługo po tym, jak armia Północy spaliła doszczętnie większość miasta. Miała wtedy czterdzieści cztery lata i upłynęło już trzydzieści lat od dnia, kiedy Robbins ujrzał ją po raz pierwszy, niosącą pranie, niemal podskakującą po drodze, z głową wypełnioną opowieściami Sophie o Richmond. Kiedy przybyła do Richmond po raz ostatni, ogień jeszcze się tlił, i Philomena powiedziała do Louisa, Dory, Caldonii i swojego wnuka, że płomienie na ziemi są kiepską namiastką sztucznych ogni na niebie.

5

Wydarzenia w Arlington. Krowa pożycza życie od kota. Znany świat

W hrabstwie Manchester zazwyczaj panował spokój i zdarzało się, że szeryf John Skiffington całymi miesiącami nie miał nic innego do roboty, jak odesłać do domu jakiegoś pijaka, którym najczęściej był Barnum Kinsey, mężczyzna zatrudniony w jego patrolach. Raz czy dwa na kilka miesięcy Skiffington i jego żona Winifred przyjmowali od rodziny zaproszenie na kolację i zatrzymywali się u nich na dzień lub na dwa dni, jeśli krewni mieszkali zbyt daleko, aby wracać tego samego dnia. Oboje, a zwłaszcza Winifred, uwielbiali towarzystwo ludzi, Skiffington wiedział ponadto, jak ważne jest, aby wyborcy znali go jako dobrego człowieka i dobrego męża, oprócz tego, że miał godnie reprezentować oblicze prawa. Gdy zatrzymywali się u rodziny sytuowanej tak jak oni, w kolacji zwykle uczestniczyły pary z tej samej klasy społecznej i być może jedna, ale z reguły nie więcej niż jedna, para z klasy Williama Robbinsa. Bywali również u ludzi ze świata Robbinsa, ale przy takich okazjach podczas wspólnego posiłku Skiffington i Winifred byli jedynymi przedstawicielami swojej klasy. Co się tyczy klasy z której pochodzili mężczyźni biorący udział w patrolach, byli to ludzie żyjący z dnia na dzień i bardzo rzadko zdarzało się, że ich gdziekolwiek zapraszano.

Wiosną 1844 roku wielu białych w hrabstwie Manchester wciąż jeszcze niepokoili wiadomości docierające z innych miejsc o „zajściach” wśród niewolników, do których doszło kilka lat wcześniej. Na Północy nazywano to powstaniem niewolników, ale w Wirginii słowo „powstanie” trąciło abolicjonizmem i uważano, że jest zbyt mocne na coś, co wielu właścicieli niewolników wolało określać jako „sprzeczki rodzinne” wywoływane przez nieznanymi osobników wywodzących się spoza rodziny Jedną z osób, które nie potrafiły otrząsnąć się z niepokoju, była pięćdziesięcioczworoletnia kuzynka Winifred, Clara Martin. Mieszkała w najbardziej na wschód wysuniętej części hrabstwa Manchester, tak daleko na wschodzie, jak Augustus i Mildred mieszkali na zachodzie. Clara miała daleką krewną w Arlington, a ta kuzynka miała sąsiadkę, której kucharka-niewolnica została przyłapana na kolejnej już próbie dosypywania mielonego szkła do posiłków tej sąsiadki. Daleka krewna napisała do Clary, że było to „wyjątkowo haniebne”, ponieważ ta sąsiadka wychowywała kucharkę, Epethę, od dziecka, nauczyła ją wszystkiego, co trzeba, o kuchni, „gruntownie i we wszystkie strony”. Clara wielokrotnie czytała ten list, próbując wyobrazić sobie, w jaki sposób można tak drobno zmielić szkło, aby biedna, ufna kobieta nie zauważyła, co je. Czy może przez cały czas podawano jej wyłącznie zieleninę i dzięki temu myślała, że szkło to tylko piasek pozostały po niedokładnym myciu? A może nawet raz upomniała kucharkę za niedomyte warzywa? Czy szkło nadal w niej tkwiło, rozrywając jej wnętrze, ponieważ, w przeciwieństwie do prawdziwego jedzenia, nie wiedziało, którędy się wychodzi?

Clara Martin miała tylko jednego niewolnika, pięćdziesięcioletniego Ralpha, chudego mężczyznę z włosami do ramion, który w zimie cierpiał na reumatyzm. Przez wszystkie zimowe miesiące kuśtykał, poruszając się w świecie gęstej melasy, przy każdym kroku ledwo powstrzymując się od jęku. Ale wraz z nadejściem marca jego kości, jak sam mówił, znowu robiły się szczęśliwe. Ralph był w rodzinie jej męża od urodzenia i pojawił się w jej życiu, gdy w wieku dwudziestu lat wychodziła za „mojego ukochanego pana Martina”. Teraz jej mąż nie żył już od piętnastu lat, a ich jedyne dziecko, syn, wyjechał w poszukiwaniu odwiecznie nieuchwytnego szczęścia w dziewiczej Kalifornii, „po drugiej stronie świata”, jak Clara napisała kiedyś w liście do swojej dalekiej krewnej w Arlington. I tak przez lata Clara wiodła spokojne, samotne życie, mieszkając w spokoju z Ralphem, który zajmował się różnymi sprawami, między innymi gotowaniem dla niej posiłków. Jej najbliższy sąsiad mieszkał daleko, w sąsiednim hrabstwie. A później doszło do tych zająć wśród niewolników w innych hrabstwach Wirginii, po których nadszedł ten straszny list o tej niegdyś zaufanej niewolnicy w Arlington, która nie chciała już gotować zgodnie z tradycyjnymi przepisami.

Tej wiosny w 1844 roku, w piątek, Skiffington i Winifred wybrali się z wizytą do Clary. W domu zostawili Minerve - już dwunastoletnią i dojrzewającą. Winifred, a nawet Skiffington, mogli traktować ją prawie jak córkę, ale wszyscy wiedzieli, kto był objęty zaproszeniem, a kto nie. W areszcie siedział tylko jeden więzień i ojciec Skiffingtona zgodził się go karmić i pilnować. Więzień, sympatyczny Francuz, niejaki Jean Broussard, zamordował swojego skandynawskiego partnera i było to pierwsze zabójstwo białego człowieka w hrabstwie od dwudziestu sześciu lat. Broussard lubił dużo mówić. Jeszcze bardziej lubił śpiewać. Skiffingtona już zaczynało męczyć słuchanie, jak Broussard nazywa go „*monsieur* szeryf. Postawiony w stan oskarżenia zaledwie trzy dni przed wyjazdem Skiffingtona do Clary, Broussard czekał, aż władze stanu Wirginia znajdą sędziego, który przyjechałby na proces. Broussard twierdził, że jest niewinny, i powtarzał, że amerykańska sprawiedliwość ostatecznie o tym zaświadczy.

W ten piątek późnym rankiem Skiffington i Winifred dotarli do plantacji Roberta i Alfredy Colfaxów, białych właścicieli dziewięćdziesięciu siedmiu niewolników, i o dwunastej trzydzieści zjedli tam obiad. Robert posiadał kolekcję zabytkowych europejskich pistoletów, którą bardzo chętnie pokazywał wszystkim, którzy, jego zdaniem, byli w stanie podziwiać ją bez zazdrości. Problem polegał jednak na tym, że większość ludzi odczuwała zazdrość i w związku z tym nie mógł chwalić się swoją kolekcją tak, jakby sobie tego życzył. Robbins, dobry znajomy Colfaxes, nie okazywał zazdrości i często wspólnie podziwiali broń, czasami siedząc i oglądając ją do późna w nocy. Również Skiffington nie zazdrościł Colfaxowi. Dla

synów Colfaxes pistolety znaczyły niewiele więcej niż zabawki. Dlatego też cieszył się ogromnie, gdy przyjeżdżał Skiffington, bo wtedy mogli razem, z ogromnym namaszczeniem, wyjmować pistolety pojedynczo z gabloty, jaką wykonał Augustus Townsend, i podziwiać to, co jakiś Niemiec czy Włoch dawno temu stworzył, jakby od tego zależało jego życie.

*

Kiedy Skiffington i Winifred przyjechali w piątek około trzeciej, na podwórzu stała Clara Martin, a zza węgła domu wyszedł Ralph i odprowadził ich konie i powóz.

- Witam pana, panie Skiffington. Witam panią, pani Skiffington - powiedział. Długie włosy miał związane z tyłu kawałkiem sznura.

Skiffington i Winifred odpowiedzieli „dzień dobry”. Ralph odwrócił się i spojrzał na nich, a po chwili skinął głową.

- Tak. Tak, dzień dobry - powiedział.

Clara patrzyła za nim, jak odprowadza konie i powóz, a kiedy już zniknął, rzuciła Skiffingtonowi znaczące spojrzenie:

- John, co ja mam z nim zrobić? - zapytała. Uśmiechnął się.

- To dobry człowiek. Może trochę wolny, ale dobry. - Skiffington posyłał swoje patrole, aby od czasu do czasu do niej zaglądali, ale to nie wystarczało.

- John, ona jest bojaźliwa jak żrebak - po jednej z takich wizyt powiedział Skiffingtonowi Barnum Kinsey. - I szczerze mówiąc, John, nie widziałem tam niczego, czego mogłaby się bać. Patrzyłem, ale niczego nie znalazłem.

Nieco po piątej zasiedli do posiłku, a Ralph, który przygotował jedzenie, wycofał się do swojego pokoju, dobudowanego do kuchni wkrótce po ślubie Clary. Clara tylko skubała jedzenie. Winifred i Skiffington jedli dużo, mając nadzieję, że ich dobry apetyt uzmysłowi jej, że nie ma się czego obawiać. Clara nic nie powiedziała, ale Winifred zauważyła, że kuzynka straciła na wadze od czasu, kiedy ją ostatnio widziała. Winifred miała ciotkę, która zmizerniała do tego stopnia, że pozostały z niej tylko skóra i kości, ale było to spowodowane suchotami, a poza tym ta kobieta mieszkała w Connecticut.

- Chciałabym, żebyś z nim porozmawiał - po kolacji powiedziała Clara do Skiffingtona. Znajdowali się w salonie. Pojawił się Ralph i pozbierał naczynia ze stołu, a potem znowu gdzieś przepadł, aby piętnaście minut później wrócić z kawą. Z jego włosów zniknął sznur. Zdarzyło się kiedyś, jakieś pięć lat wcześniej, że przyszedł do salonu i zastał Clare starającą się rozczesać swoje włosy

- O Boże - powtarzała. - Już lepiej, żebym w ogóle nie miała włosów niż ten kołtun.

- Proszę tak nie mówić, pani Martin.

- Ależ to jest kołtun, Ralph. Z pewnością jest.

Przez cały dzień padało, a że było to w lecie, jego kości nie dawały mu powodu do narzekania.

- Moja siostra - powiedziała - ona ma takie włosy, jakie Bóg powinien dać mnie. I nigdy tego nie doceniała. Cudowne rude włosy. Królewskie włosy Ani razu nie dziękowała Bogu za takie włosy, a on i tak jej ich nie zabiera.

- Pani siostra nie może się z panią równać, to jest pewne, pani Martin. Ja się tym zajmę, jeśli pani pozwoli - powiedział, stojąc za nią i dotykając grzbietu jej dłoni. Nigdy wcześniej nie dotknął jej rozmyślnie, zdarzało się to jedynie w niewinny, przypadkowy sposób, o którym nikt nie mógłby niczego zdrożnego sobie pomyśleć. Z wahaniem uniosła rękę nieco wyżej i po kilku sekundach ją otworzyła, a on wziął szczotkę. Wcześniej tego dnia grzmiało i błyskało, ale teraz tylko padał deszcz, uderzając w ganek, stukając w okno i podlewając w ogrodzie rośliny, tak bardzo go spragnione.

- Ja się tym zajmę, jeśli pani pozwoli - i delikatnie zaczął rozczesywać jej włosy. Kiedy szczotka wykonała swoje zadanie, bez pytania sięgnął po grzebień, leżący na samym środku jej łona. W grzebieniu było kilka pasemek włosów, usunął je więc, a one niespiesznie opadły na podłogę. Odchyliła się w fotelu i zamknawszy oczy, pomyślała: *Pani siostra nie może się z panią równać*. Godzinę zajęło mu szczotkowanie i czesanie włosów, później nakładanie przyjemnego olejku, i zanim jeszcze skończył, zasnęła, co zdarzało się jej niezbyt często, ponieważ zawsze mówiła, że łóżko to jedyne miejsce, w którym jej ciało może usnąć. Obudziła się kilka godzin później i zobaczyła, że Ralph nie ma, a jej włosy były zaplecione w warkocze. Czowała ich miękkość, dotykając ich swoimi stwardniałymi i kościstymi palcami. Zawołała go, później jeszcze raz, ale kiedy zobaczyła świecę tańczącą słabym światłem i zdała sobie sprawę z panującej wokół ciszy, jakby rozbrzmiewającej własnym głosem, pomyślała, że nie powinna go wołać i zamknęła usta. Westchnęła i rozsiadła się wygodnie w fotelu. Wkrótce ponownie usnęła i większość nocy spędziła w fotelu. Deszcz padał jeszcze przez dwa dni i przez te dni Ralph codziennie układał jej włosy, ale później już nigdy.

- Wystarczy, Ralph - powiedziała ostatnim razem. - Na razie wystarczy

- Tak, proszę pani.

Pijąc kawę, Clara powiedziała do Skiffingtona:

- Chciałabym, żebyś z nim porozmawiał.

- A co ja mam mu powiedzieć? - zapytał Skiffington.

- Nie wiem. Coś typowego dla szeryfa. Coś, co szeryf powiedziałby do szubrawca. Potencjalnego szubrawca. „Mam cię na oku, potencjalny szubrawcze”.

Winifred się roześmiała. Piła właśnie kawę i teraz odstawiła filiżankę na stojący obok niej stolczyk. Śmiała się z tego, co powiedziała Clara, ale również dlatego, że słowo „szubrawiec” przypomniało jej o szkolnych czasach i o dyktandach w Filadelfii. Jej mąż był szeryfem od około roku. Nazywał ją „pani Skiffington”, a ona jego „pan Skiffington”, poza sytuacjami, w których ją zdenerwował albo zasmucił - wtedy przez kilka dni mówiła do niego „John”.

- To bardzo poważna sprawa, John - powiedziała Clara. - Naprawdę poważna. Ty właściwie nie masz żadnych niewolników, tylko to dziecko, które wychowujesz. Ale Ralph nie jest dzieckiem, a na świecie jest już inaczej niż kiedyś.

- Ale przecież znasz go od wielu lat, nieprawdaż? - zapytał Skiffington.

Winifred odwróciła się w stronę Skiffingtona.

- Chyba jeszcze sprzed potopu. Clara powiedziała:

- Winnie, tutaj czas nie ma już znaczenia. Podobnie jak lojalność. Cały świat staje na głowie.

- Czy powiedział coś, co mogło cię zaniepokoić? - zapytał Skiffington. - Coś - mrugnął do żony - za co mógłbym go aresztować.

- Nie, nie, na Boga, nie. To tylko...

Clara wyciągnęła rękę przed siebie i kilka razy pomachała nią, jakby się wachlując.

- To tylko te miazmaty Te miazmaty, jakie krążą wokół nas obojga.

Winifred pomyślała: *M-I-A-Z-M-A-T-Y*.

- Co to znaczy? - zapytał Skiffington. - Co oznacza to słowo?

Z pewnością nigdy nie spotkał się z tym słowem w *Biblii*.

- To powietrze, panie Skiffington - powiedziała Winifred, a potem zaczęła stukać palcem wskazującym w zamknięte wargi, jakby szukała w pamięci lepszego określenia na znaczenie tego słowa. - To atmosfera wokół. To powietrze.

- Niezdrowe powietrze - wyjaśniła Clara. - Niezdrowe powietrze.

- Przed wyjazdem pójde z nim porozmawiać - powiedział Skiffington

- Co mu powiesz? - zapytała Clara. - Tylko staraj się nie zranić jego uczuć. Proszę, John, nie powiedz mu nic przykrego.

- Claro, on albo jest szubrawcem, albo nie. Jeszcze nie wiem, co mu powiem. Tego się dowiem dopiero, jak przed nim stanę. Ale nie będzie to nic nieprzyjemnego, ponieważ wiem, że jest dobrym sługą, wiem także, że muszę ci to powiedzieć, bo w przeciwnym wypadku nie byłbym z tobą szczerą. Służył ci przez tyle lat i będzie ci dalej służył, mimo tych wszystkich głupstw, jakich ci ktoś naopowiadał.

Clara westchnęła:

- Lepszy rydz niż nic.

- Lepsze cokolwiek niż nic - powiedziała Winifred.

*

Kiedy kobiety udały się już na spoczynek, Skiffington pozostał w salonie i czytał *Biblię*, jak robił to często w domu, gdy Winifred i Minerva kładły się spać. Jego ojciec przed snem palił fajkę i chociaż syn próbował przejąć ten zwyczaj, jednak nie potrafił znaleźć w tym takiej przyjemności jak ojciec. Szkoda, myślał często, ponieważ słowo Boże czasami wprowadzało taki zamęt w jego głowie, że być może fajka pomogłaby go uporządkować.

Usłyszał Ralpha krzątającego się z tyłu domu i wstał, odkładając na fotel *Biblię* otwartą na czytanej przez siebie stronie. W kuchni Ralph właśnie kończył sprzątać przed położeniem się spać.

- Czy mam panu coś przygotować rano, panie Skiffington? - zapytał stojącego w drzwiach Skiffingtona. - Mamy jeszcze trochę tego placka, który tak panu smakował. Może położę panu kawałeczek na talerzyku, będzie pan spał jak niemowlę.

- Nie, Ralph. Przyszedłem tylko powiedzieć „dobranoc”. Chciałem się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku. Wiem, że opieka nad panią Clarą potrafi być prawdziwą udręką. Wiernie jej służysz, a ona o tym wie.

- Dobranoc?

- Tak, chciałem powiedzieć „dobranoc”.

- Tak, proszę pana. Dziękuję. I dobranoc panu...

- Tak, zatem... Dobranoc.

- I panu też dobranoc. Dobranoc - włosy znowu miał związane kawałkiem sznura. - Bez placka? Dobry placek, wiem, co mówię.

- Nie, dziękuję. Ale dobranoc. I dziękuję za smaczne jedzenie. I za placek.

- Ja też panu dziękuję. Dobranoc. I dzień dobry, jak wstanie dzień.

- Dobranoc. - Skiffington wyszedł, jednak w powietrzu nadal wisiała cała niezręczność tej sytuacji. Wróciwszy do salonu, wziął do ręki *Biblię* i zaczął czytać w miejscu, w którym przerwał. Ale otwarty rozdział niezbyt odpowiadał nastrojowi, w jakim był, czuł, że teraz potrzebuje czegoś innego, przekartkował więc książkę i zatrzymał się na *Księdze Hioba*, po tym jak Bóg dał mu tak dużo, dużo więcej, niż miał wcześniej, zanim Bóg zniszczył jego życie.

*

Następnego dnia powiedział Clarze, że rozmawiał z Ralphem i że wszystko jest w jak najlepszym porządku oraz że nie ma się już czym martwić.

- Martw się o deszcz w twoim ogrodzie i nie wspinaj się wyżej na swojej drabinie zmartwień - powiedział jej. Uśmiechnęła się.

Kilka mil od jej posiadłości miał do załatwienia pewną sprawę z dwoma członkami patroli - Harveyem Travisem i Clarenceem Wilfordem - po obiedzie więc, koło pierwszej, wyruszył na koniu, którego osiodłał dla niego Ralph. Sobota była pochmurna, ale był przekonany, że obróci tam i z powrotem przed deszczem, jeśli w ogóle będzie padać.

*

Kiedy formowano patrole, Barnum Kinsey i Oden Peoples, szwagier Harveya Trvisa, byli jedynymi spośród ludzi mających brać udział w patrolach, którzy mieli niewolników. Członkom patroli płacono 12 dolarów miesięcznie, głównie z podatku nałożonego na właścicieli niewolników, wynoszącego 5 centów za jednego niewolnika miesięcznie (podatek wzrósł do 10 centów za niewolnika z początkiem wojny secesyjnej i był pobierany przez większą część 1865 roku). Kiedy żył jeszcze jego jedyny niewolnik, Jeff, Barnum Kinsey był zwolniony z tego podatku, a Oden Peoples nigdy nie został opodatkowany.

Oden był czystej krwi Indianinem Cherokee. Był właścicielem czterech niewolników. Jednym była jego „teściowa”. Drugim jego „żona”, sama półkrwi Indianka Cherokee, a pozostałą dwójkę stanowiły jego dzieci. Jego żona należała kiedyś do ojca Odena, podobnie jak teściowa. Gdy Oden wziął Tassock za żonę, ojciec dorzucił mu jej matkę, sądząc, że kobieta Odena może czuć się samotnie tak daleko od wioski, w której była jego niewolnicą. Ojciec Odena lubił przechwalać się, że był wodzem Cherokee, przywódcą tysiąca dusz, ale to była nieprawda i wszyscy - czarni, biali i Indianie - wyśmiewali go za to kłamstwo, w twarz i za plecami. - Wódz Wielkie Łgarstwo - tak go nazywali. Żona Odena był siostrą przyrodnią kobiety, którą poślubił inny mężczyzna jeżdżący w patrolach, Harvey Travis. Ona również była niewolnicą, chociaż czystej krwi Indianką Cherokee, ale Travis przede wszystkim kupił ją od wodza Wielkie Łgarstwo i wyzwolił, ponieważ mówił, że nigdy nie poślubi niewolnicy.

Travis był tym członkiem patroli, który z wielu względów sprawiał Skiffingtonowi najwięcej problemów. Ale dobrze wykonywał swoje zadania i Skiffington traktował go jak kota chodzącego własnymi ścieżkami, którego nie da się obłaskawić, ale który zabił tak dużo myszy, że można mu było pozwolić na samowolę. Tej pochmurnej soboty, po obiedzie u Clary, Skiffington jechał rozsądzić spór między Travisem a innym mężczyzną uczestniczącym w patrolach, Clarence'em Wilfordem. Travis miał zdychającą krowę i postanowił sprzedać ją Clarenceowi i jego żonie, Beth Ann. Harvey otrzymał 15 dolarów od

Clarencea i twierdził, że krowa dawała dużo mleka, chociaż w rzeczywistości więcej mleka spadało z nieba, niż płynęło z tej krowy. Clarence miał ośmioro dzieci, które już zaczynały zapominać, jak smakuje krowie mleko. Prawdę mówiąc, trójka najmłodszych znała jedynie smak mleka matki. Tak więc Beth Ann i Clarence kupili krowę i czekali, i czekali, kiedy pojawi się mleko.

- Jeszcze nigdy nie widziałem suchszych dójek - powiedział Clarence do żony. Tak było całymi tygodniami, a Clarence denerwował się i coraz bardziej wściekał na Harveya. Na patrolach dochodziło między nimi do kłótni i bójek, w związku z czym nikt z nimi nie chciał pracować.

I nagle, tydzień przed sobotą, w którą przyjechał John Skiffington, Clarence wyszedł z domu zdecydowany zarznąć krowę i zadowolić się mięsem, jakie może uzyskać. Wiedział, że mogą być z tym problemy, ponieważ dzieci polubiły krowę i nadawały jej różne pieszczotliwe przezwiska. Clarence poszedł do stodoły, gdzie zastał swoją żonę Beth Ann siedzącą w kucki i dojącą krowę. Podniosła na niego wzrok, a całą twarz miała zalaną łzami.

- O Jezuu, o Jezuu - powtarzała. Łapała mleko do wiadra na wodę i, dojąc dwiema rękami, rękawem bluzki starała się otrzeć łzy z twarzy, żeby nie wpadały do mleka. - Muczała, a ja właśnie przyszedłam zobaczyć, co się dzieje.

Clarence podszedł do żony i ucałował ją w policzek.

- Zawołaj je - powiedziała do niego, mając na myśli dzieci. - Zawołaj je tu wszystkie.

Podniósł się i zrobił krok, następnie drugi i trzeci, a później odwrócił się gwałtownie, aby zobaczyć, czy mleko nie zniknęło. Jakby czytając mu w myślach, Beth Ann wzięła jedną dójkę i wycelowała w stojącego obok kota. Kot zamknął oczy, otworzył pyszczek i zaczął pić. Ogon miał podniesiony ale gdy tak pił, ogon powoli opadał, aż w końcu spoczął na ziemi.

Nadeszły dzieci, większe niosły na rękach mniejsze. Wszystkie piły z wiadra, a gdy było już puste, matka ponownie je zapełniła. Później napełniała je jeszcze dwa razy. Wkrótce dzieci ułożyły się na ziemi w stodole i zasnęły. Clarence usiadł obok żony i po chwili położył dłoń, tę nieumazaną w mleku, z tyłu głowy żony i pogładził jej włosy. Krowa machnęła ogonem, przeżuując. Puściła bąka.

W końcu rodzice musieli zanieść wszystkie pociechy do domu i położyć je do łóżek, ponieważ dzieci nie chciały same iść.

- Czy wiesz, co to oznacza? - spytała Beth Ann, gdy zanosili ostatnie z dzieci.

- Powiedz.

- To znaczy, że musimy sprawić sobie nowe wiadro na wodę.

*

Harvey Travis domagał się zwrotu zwierzęcia, ponieważ X Akrowa dająca takie ilości mleka nie była tym, za co wziął 15 dolarów. Clarence powiedział Skiffinktonowi, że dwa razy do niego strzelano i chociaż nie widział strzelca, sądził, że był nim Harvey. Beth Ann przesłała przez Barnuma Kinseya wiadomość do Skiffingtona: „Albo my go zabijemy, albo on nas”.

Przyjechawszy do Clarencea, Skiffinkton zastał Beth Ann z dwójką dzieci w ogrodzie. Clarence był w lesie, posłała więc po niego jedno z dzieci. Skiffinkton posłał drugie dziecko po Harveya, a potem oboje z Beth Ann weszli do stodoły, aby mógł zobaczyć krowę.

- Cieszę się, że przyjechałeś, John - powiedziała, otrzepując ręce z brudu. Skiffinkton wiedział, że z tej pary to ona była bardziej porywcza. - Może tobie uda się połapać w tym wszystkim. Bo ja, a tym bardziej Clarence, nic z tego nie rozumiemy.

Kiedy zmierzali do stodoły, spod ich stóp czmychnęło kilka kurczaków. Jej długie czarne włosy były nieco rozczochrane i zauważył, że wystarczyłoby kilka ruchów grzebieniem, żeby doprowadzić je do porządku. Wilfordowie byli ubodzy, ale nie tak biedni jak Barnum Kinsey.

- Beth Ann, nie mam zamiaru wyjeżdżać stąd bez załatwienia tej sprawy.

- Chcę, żebyś wiedział, że nie żartowałam z tym zastrzeleniem Harveya Trvisa. Jeśli będę musiała wybierać między nim a ojcem moich dzieci, nie zawaham się.

Barnum powiedział Skiffinktonowi, że słowa o zabijaniu pochodziły zarówno od mężczyzny, jak i od jego żony. Teraz już wiedział, że to żona była jedyną autorką tych słów, i rozumiał, dlaczego Clarence, mężczyzna, który przez całe życie pragnął jedynie pokoju, mógł chcieć za żonę taką kobietę jak Beth Ann.

Drzwi do stodoły były uchylone i Beth Ann, posługując się ręką i nogą, energicznym ruchem otworzyła je na oścież.

Krowa była bardziej wychudła, niż to sobie Skiffinkton wcześniej wyobrażał - bladożółta z brązowymi łatami wielkości półmiska. Oczy również miała bladożółte. O czymś takim mógł śnić Józef i ostrzegać przed tym faraona. Przez cały ostatni tydzień dzieciaki Wilfordów nazywały krowę Śmieszka.

Kiedy wyszli ze stodoły, zobaczyli, że w ich stronę truchta spocony Clarence, a nieco ponad minutę później zza wzniesienia nadszedł Harvey z dwójką swoich synów i z chłopakiem Clarencea, posłanym po niego przez Skiffingtona. Żadne z dzieci Trvisa nie przypominało ojca. Wszystkie wyglądały jak jego żona, Indianka Cherokee, chociaż miały jaśniejszą skórę i była to jedyna cecha, jaką odziedziczyły po Trvisie.

- Ty sprzedałeś Clarence'owi i Beth Ann tę krowę? - zapytał Trávisa Skiffinkton. Obiad nie ułożył mu się dobrze w żołądku i szeryf nagle zaczął się robić niecierpliwy - Tak, John.

- W takim razie to powinno zakończyć sprawę - powiedział Skiffinkton. - Prawo stoi po stronie Clarencea. Uczciwa transakcja. Czysty interes.

- Poczekaj, John - odezwał się Travis. - Może to ja powinienem pierwszy zgłosić pretensje i bronić swojej sprawy a nie zeznawać jako drugi.

- John, widzisz, co my tu mamy - powiedziała Beth Ann. - Cały czas taka gadka, a do tego kule.

- Kule były tylko z waszej strony - Travis spojrział na Skiffingtona. - A może teraz też będziesz wierzył tylko w to, co ona mówi? Może gdyby Clarence był trochę bardziej...

- Nie biorę niczyjej strony, ja stoję tylko po słusznej stronie - powiedział Skiffinkton do Trávisa. - A jeśli mi nie wierzysz, to możesz wracać do domu.

Odczekał chwilę.

- Nie mam czasu zajmować się tymi waszymi krowimi sprawami, Harvey. Nie życzę sobie, żeby moi ludzie zachowywali się w ten sposób.

Stał teraz twarzą w twarz z Harveyem. Beth Ann znała życie na tyle, żeby wiedzieć, kiedy sprawy toczyły się niezależnie od niej, i siedziała cicho. Skiffinkton podszedł do Trávisa i stali teraz pół metra od siebie.

- Powiedz mi, Harvey: gdyby ta krowa zdechła dzień po tym, jak mu ją sprzedałeś, jeden dzień później. Albo nie, nie dzień, nawet nie dzień później. Godzinę po tym, jak mu ją sprzedałeś, wystarczająco długo, żeby Clarence wziął to zwierzę od ciebie i odprowadził je przez to wzniesienie do siebie, tak żeby stanęło wszystkimi czterema kopytami na jego ziemi, a on by je miał na własność, bez żadnych zobowiązań, a wtedy padłoby u niego, czy oddałbyś mu jego pieniądze? Czy pomyślałbyś, że sprzedałeś mu zdechłą krowę i oddałbyś mu pieniądze? No powiedz, zrobiłbyś tak?

- Może bym uważał, że tak należy, widząc jak... To znaczy, właściwie krowa nie żyłaby tak długo...

Odpowiedź rozczarowała Skiffingtona, ale wiedział, że nie powinien być zawiedziony. Wziął Harveya za ramię i odeszli na bok.

- Harvey, sprzedałeś mu krowę i ja tu nic nie mogę zrobić. Tu nawet prezydent Fillmore nic by nie wskórał. Wiesz dobrze, że jeśli bym pomyślał, że coś jest tu nie w porządku, gdyby Beth Ann i Clarence zrobili coś nie tak, stanąłbym w twojej obronie. Niebo i ziemię bym poruszył, żebyś doszedł swoich praw, Harvey. Rozumiesz mnie?

- Tak, John, rozumiem.

- Przykro mi. Nie życzę sobie więcej żadnych zatargów między wami dwoma, żadnych. Rozumiesz mnie, Harvey?

- Tak, John, rozumiem.

- Powiem ci coś - dwa razy w tygodniu przyślesz tu dwóch swoich chłopaków z jakimś naczyniem, w którym będą mogli przynieść mleko. Ale tylko dwóch chłopaków, Harvey, i tylko dwa razy w tygodniu. I tego samego dnia nie będą przychodzić jeszcze raz. Tylko jeden raz. I nigdy nie przyjdiesz ani ty, ani twoja żona.

Travis wytarł usta dłonią, po chwili otarł brew rękawem. Oczy zaszyły mu łzami, ponieważ czuł, że kiepsko na tym wyszedł, po tym, jak pięć tygodni wcześniej wprowadził w życie plan, który miał mu przynieść 15 dolarów zysku. Skinął głową.

- Poczekaj tu - powiedział Skiffington i wrócił do Clarence'a i Beth Ann, którzy zgodzili się na to, co on zaproponował Harveyowi.

- John, czy będziemy mieli z nim jakieś problemy, czy będą problemy ze strzelaniem?
- zapytała Beth Ann.

- Czy to się skończy, John? - zapytał Clarence.

- Nic już się nie będzie działo. Już nic nie będzie.

- Czyje słowo na to mamy? - zapytała Beth Ann. - Twoje słowo czy jego?

- Najpierw jego słowo poparte moim - powiedział Skiffington.

- Dobra - i uściśnęła dłoń Skiffingtona, a potem on uściśnął dłoń jej męża.

Skiffington poszedł z powrotem do Trvisa.

- Jeśli będzie spokój, to być może będziecie mogli częściej przychodzić po mleko, Harvey, ale to musi wyjść od Clarence'a i Beth Ann. To oni mogą pozwolić wam częściej przychodzić, ponieważ to jest ich własność.

Harvey skinął głową. Odwrócił się, chcąc odejść.

- Aha, Harvey, jeśli ktoś znowu będzie strzelał do Clarence'a, to wiedz, że ja przyjadę po ciebie i wtedy inaczey zatańczę z tobą i twoją żoną.

Travis nic nie powiedział, ale uściśnął dłoń Skiffingtona, zabrał dzieci i ruszył przez wzniesienie do siebie. Trochę mu jeszcze pozostało z tych 15 dolarów, jakie dostał za krowę, ale nie dawało mu to tej przyjemności, jaką odczuwał, zanim dowiedział się, że krowa miała drugie życie. Skiffington patrzył za nim. Po bokach Trvisa szli jego synowie, każdy z rozwianymi czarnymi indiańskimi włosami i obaj prawie tak ciemni jak ich matka. Jeden z chłopców podniósł wzrok, mówiąc coś do Trvisa, i zanim jeszcze wszyscy zniknęli, Travis

spojrzał w dół, aby odpowiedzieć dziecku, głowa mężczyzny zdawała się powolutku opadać, ciężka od goryczy. Chłopiec kiwał głową, słuchając, co mówił ojciec.

*

Jadąc z powrotem do Clary, czuł ogromne zaskoczenie, że wszystko poszło tak gładko. Patrząc na oddalającego się Harveya, na to, jak odchodził, trzymając dzieci za ręce, wiedział, że ten człowiek dotrzyma słowa i że już nie będzie kłopotów z powodu krowy. Nadal miał problemy z żołądkiem. Często mówił Winifred, że jest mężczyzną zniszczonym - kiepski żołądek, kiepskie zęby, skurcze w lewej nodze przed zaśnięciem. Skurcze w prawej budzące go w nocy.

Mniej więcej w połowie drogi powrotnej do Clary, widząc, że nie będzie padać i sądząc, że spacer złagodzi ból żołądka, postanowił się przejść. Wyczuł, że koń Gary nie należy do tych, które chodzą własnymi drogami, puścił więc cugle wolno, a koń szedł za nim jak pies. Słońce zaczęło świecić jaśniej, później jeszcze jaśniej, John zatrzymał się więc i wyjąwszy *Biblię* z sakwy przy siodle, usiadł pod dereniem. Zanim otworzył książkę, rozejrzał się wokół, popatrzył, jak słońce rozlewa swój blask na dwa drzewa brzoskwiniowe i na okoliczne wzgórza. Krzewy lyszcza wiechowatego kołysały się na wszystkie strony, a on patrzył i czuł się coraz szczęśliwszy. *To właśnie dał mi mój Bóg* - pomyślał.

W takich chwilach lubił wyobrazać sobie, że wszyscy ludzie w jego życiu byli tak zadowoleni jak on sam, ale zdawał sobie sprawę z naiwności takiego myślenia. Clara była dobra i Winifred była dobra, podobnie jak jego ojciec, a nawet to dziecko, Minerva, każdego dnia coraz bardziej wyrastająca z wieku dziecięcego. Być może Barnum Kinsey dobrze przespał noc i nie bolała go głowa po nocnym pijaństwie. Mieszkający niedaleko Skiffingtona chłopiec poparzył sobie nogę przy kominku i Skiffinkton miał nadzieję, że chłopiec czuje się już dobrze. Lubiał chodzić z tym chłopcem na ryby, chłopak wiedział, jak zachować ciszę, a to była umiejętność, jakiej trudno było nauczyć małego wędkarza. Bardzo go lubił, ale marzył o dniu, kiedy będzie miał własne dziecko.

Skiffinkton kartkował *Biblię* w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby odpowiadać jego nastrojowi. Trafił na miejsce w *Księdze Rodzaju*, w którym dwa anioły w przebraniu obcych goszczą w domu Lota. Mieszkający w mieście mężczyźni przyszli do jego domu i namawiali Lota, aby wyprowadził obcych, bo chcieli z nimi postąpić tak, jak to czynili z kobietami. Lot starał się chronić gości i zaproponował w zamian mężczyznom swoje córki dziewice. Dla Skiffingtona był to jeden z najbardziej poruszających fragmentów *Biblii* i poczuł pokusę pominięcia go i przejścia do *Psalmsów*, do *Apokalipsy* czy do *Ewangelii według św. Mateusza*, ale wiedział, że Lot i jego córki oraz aniołowie przebrani za obcych stanowili część boskiego

planu. Aniołowie porazili ślepotą mężczyzn, którzy chcieli wyważyć drzwi domu Lota, a później, następnego ranka, spustoszyli miasto. Skiffinkton spojrział w górę i jego wzrok podążył za samcem kardynała, który przeleciał z prawej strony nieba na lewą i usiadł na jednym z drzew brzoskwiniowych, odbijając się czerwoną plamą na połyskującej zieleni. Samica, w matowo brunatnym kolorze, podążyła za nim i usiadła na gałęzi tuż nad głową samca. Winifred zawsze bardzo żałowała żony Lota i tego, co się z nią stało, natomiast Skiffinkton nie miał tak zdecydowanego zdania.

Przeczytał więc cały fragment, ale zrobił to tylko raz, nie czytał już po raz drugi ani po raz trzeci czy czwarty. Później przeszedł do *Księgi Psalmów* i po przeczytaniu czterech pomyślał, że najlepiej zrobi, jak pojedzie do Clary. Samiec kardynała wciąż siedział na swoim miejscu, ale samica zniknęła.

*

Nigdy nie pracował w Dzień Pański, w niedzielę, ale przecież prowadzenie powozu z Winifred w drodze powrotnej do miasta nie miało wiele wspólnego z pracą. Po śniadaniu Ralph przyprowadził powóz i Skiffinkton, Winifred oraz Clara wyszli z domu.

- Życzę państwu wszystkim dobrego dnia - powiedział Ralph, zanim zniknął za węglem domu. - To dobry dzień na jazdę. Dobry dzień na wszystko, czego dusza zapragnie.

- Tak - odrzekła Winifred - to dobry dzień na wszystko. Poprzedniego wieczoru Clara niewiele mówiła i tego poranka również była małowówna. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzyła, jak Skiffinkton pomaga Winifred wejść do powozu, a później podchodzi do niej samej, aby ucałować ją w policzek, i wsiada do powozu.

- Trzymam cię za słowo, że wszystko będzie w porządku - i głową pokazała na tyły domu, gdzie zniknął Ralph. Oni - Clara i Ralph - mieli przeżyć wspólnie następne dwadzieścia jeden lat. Dużo wcześniej Ralph miał stać się wolnym człowiekiem, ponieważ nadeszła wojna secesyjna i odnalazła ich w tym zakątku świata. Skiffington wsiadł do powozu. Po uzyskaniu wolności Ralph wbił sobie do głowy, że odejdzie. Miał jakąś rodzinę w Waszyngtonie. Ale Clara ciągle płakała i mówiła, że to stare miejsce, to stare przekłete miejsce nie będzie już takie samo, jeśli Ralph nie będzie dreptał po całym domu rankiem, w południe i wieczorem. Postanowił więc zostać - ostatecznie jego krewni w Waszyngtonie nigdy nie byli zbyt sympatyczni, a jeden z nich był urodzonym pijakiem.

- Masz moje słowo - powiedział Skiffington, biorąc lejce od Winifred. - Masz słowo, a nawet więcej.

- John, ja po prostu nie wiem, co bym zrobiła, gdyby skończyło się na tym, że Ralph mnie zamorduje. Co ja bym zrobiła, John?

I po tych dwudziestu jeden latach to Clara umrze pierwsza, pogrążona we śnie, z nożem pod poduszką i z drugim leżącym obok niej w łóżku tak blisko jak jakiś kochanek. Włosy rozsypane wokół głowy niespięte, ale luźne, tak jak czasami lubiła, gdy spała; tak jak wyglądały włosy Ralpha, kiedy nie podtrzymywał ich kawałek sznura.

Skiffington się uśmiechnął.

- Wtedy przyjechałbym i zaraz bym go aresztował. Od razu bym to zrobił.

Tej niedzieli, w dniu wyjazdu Skiffingtona i Winifred, Clara już od ponad dwudziestu czterech lat jadła posiłki przygotowywane przez Ralpha. Ale chociaż pojęcie o gotowaniu miała nie większe niż ptak siedzący na gnieździe, od następnego dnia sama zaczęła przyrządzać swoje jedzenie i siadała naprzeciw Ralpha, podczas gdy on jadł to, co przygotował, i patrząc na nią, mówił o szczęśliwych czasach, a ona jadła to, co sama przyrządziła.

- Pan Skiffington przyjedzie, zaaresztuje go i wsadzi go do więzienia, Claro - powiedziała Winifred. - W mgnieniu oka.

Trudno było powiedzieć, dlaczego, ale wydawało się, że to uspokoiło Clarę bardziej niż wszystko inne, co on i Winifred powiedzieli w ten weekend. Uśmiechała się bez przerwy, a uśmiech ten nie zniknął nawet wtedy, gdy Skiffington chwycił jej policzek i pociągnął dwa razy. Drzwi do jej sypialni zawsze były zamknięte. Kiedy w dniu swojej śmierci nie zeszła zrobić sobie śniadania, Ralph wszedł na górę i zapukał. Po ponad półgodzinnym pukaniu i wołaniu jej wyszedł z domu, zostawiając stygnące śniadanie na stole kuchennym, i poszedł dwie mile do najbliższej farmy, aż do sąsiedniego hrabstwa Hanover, i sprowadził białego człowieka oraz jego jednorękiego kuzyna, a tych dwóch białych wyważyło drzwi. Od lat drzwi były na noc zabezpieczane dwoma gwoździami.

- Claro, niedługo się zobaczymy, na pewno przed końcem czerwca, chyba że przyjedziesz do miasta - powiedziała Winifred.

- To dobrze, wiecie, jak cieszę się z każdej wizyty państwa Skiffington. Dla państwa Skiffington zawsze jest miejsce przy moim stole.

Ralph wyjechał i zamieszkał u swoich krewnych w Waszyngtonie, ponieważ po śmierci Clary zjechała się jej rodzina i został bez domu. Rodzina sprzedała ziemię Williamowi Robbinsowi, co rozzłościło Roberta Colfaxes. Krewni Ralpha w Waszyngtonie nie byli tacy źli, jak mu się zawsze wydawało. Pijak odnalazł Boga tydzień po Święcie Niepodległości i na zawsze pożegnał się z butelką. Waszyngton był odpowiednim miejscem na kości starego człowieka.

*

W drodze powrotnej do domu siedzieli w powozie blisko siebie, Winifred trzymała go pod ramię, a Skiffington śpiewał tych kilka piosenek, które nuciła mu jego matka, kiedy był dzieckiem w Północnej Karolinie, w domu kuzyna Counsela. A później po raz pierwszy rozmawiali o swoich planach, o tym, jak ma wyglądać ich życie w Pensylwanii za kilka lat, gdy już pożegna się z pracą szeryfa w hrabstwie Manchester. Ona chciała być blisko krewnych, zwłaszcza mieszkającej w Filadelfii siostry. On specjalnie nie przepadał za Filadelfią, ale podczas złożonej tam w zeszłym roku wizyty odnalazł ładną okolicę w pobliżu Darby, tuż za Filadelfią. Było tam nawet miejsce, w którym mógłby łowić ryby, dobre miejsce, w którym mógłby uczyć syna, jak zachować cierpliwość i ciszę oraz jak doceniać, co Bóg dla nich zrobił.

- A czy twój tato pojedzie z nami? Nie chciałabym, żeby został tu bez nas.

Skiffington się uśmiechnął, a Winifred oparła głowę na jego ramieniu.

- On zna tylko Południe, ale poszukiwać duszyczek może równie łatwo tam, jak i tu - odrzekł.

Jego ojciec podjął się ewangelizacji, ale był w tym dyskretny, postępował dyplomatycznie, nigdy nie narzucając nikomu swojej religii, zawsze czekając na przyzwolenie.

- Tak, wydaje mi się, że spodoba mu się wyzwanie, jakie stanowią ludzie w Pensylwanii - powiedziała Winifred. - Jeśli przedstawia się im sprawę w odpowiedni sposób, oni są w stanie to zaakceptować.

- Tak jak ty zrobiłaś to ze mną.

Roześmiała się i podniosła głowę, spojrzała na niego.

- Ja bym raczej powiedziała, panie Skiffington, że było na odwrót. Ja stałam w miejscu, a to ty do mnie podszedłeś. W taki właśnie sposób mnie wychowano.

Nic nie odrzekł.

- A Minerva? - zapytała Winifred.

- Ona również pojedzie, jeśli tylko do naszego wyjazdu nie dorośnie i nas nie opuści.

Wyobrażał sobie Minerve, jak stoi na tyłach domu obok kojca dla kurczaków i sięga, aby zerwać jabłko - to jeszcze nie do końca dojrzałe i w związku z tym najlepsze na jablecznik.

- Możemy pomóc jej ułożyć sobie życie w Pensylwanii. A jeśli będzie już dorosła, to nie będzie o czym mówić. To ona będzie decydować o swoim życiu.

- Chciałabym, żeby była tam z nami - powiedziała Winifred. - Bardzo by mi jej brakowało w domu. Chciałabym, żeby byli tam z nami wszyscy, których kocham, jak w wielkim ogrodzie, w którym nie brakowałoby nam niczego.

- Myślę, że Adam i Ewa mogliby nam to odebrać - odrzekł Skiffington. - A Pensylwania może tak bardzo różnić się od Edenu, jak to tylko jest możliwe.

- Phi.

- Poradzimy sobie. Daję ci na to słowo.

- A więc cofam to „phi” - wyciągnęła dłoń przed siebie. - Wracaj „phi” - otworzywszy dłoń, przyłożyła ją do otwartych ust i je zamknęła. - W porządku, „phi” wróciło.

Kawałek dalej ziewnęła i zamknęła oczy, opierając głowę na jego ramieniu. Znowu zaczął śpiewać. Wkrótce zasnęła, ale on mimo to dalej śpiewał, jedynie odrobinę ciszej niż przedtem.

*

Gdy zajeżdżali pod dom, Minerva czekała w bramie. Pomachała im, a oni jej. Była prawie tak wysoka jak Winifred. To było jeszcze zanim Skiffington zaczął myśleć o niej w inny sposób.

- Ojciec Skiffington poszedł do więzienia nakarmić tego człowieka - powiedziała Minerva. Carl Skiffington, ojciec Johna, nie wzdragał się przed pracą w niedzielę, a poza tym, jak sam powiedział, karmienie więźnia było koniecznością, a nie zadaniem, które można odłożyć na poniedziałek. Minerva wbiegła leciutko po frontowych schodach domu i owinęła ramiona wokół słupka. Odwróciła się, aby otworzyć drzwi, i cała trójka weszła do domu.

Minerva nie była taką służącą, jak wszyscy okoliczni niewolnicy, ponieważ Skiffingtonowie nie uważali się za jej właścicieli. To prawda, że służyła i miała obowiązek sprzątania domu i pomagania Winifred przy gotowaniu. Ale nie potrafili nazywać jej służącą. Gdyby mogła od nich odejść, gdyby potrafiła odróżnić północ od południa i wschód od zachodu, Skiffington i Winifred podążyliby za nią, ale nie miałyby to nic wspólnego z sytuacją, gdy on wraz ze swoimi patrolami ścigał zbiegłego niewolnika. Dziecko mogło się zgubić, a obowiązkiem rodziców jest zrobić to, co trzeba.

Świat nie zezwalał im myśleć o niej jak o „córcie”, ale po latach, już w Filadelfii, Winifred powiedziała, że Minerva była jej córką.

- Muszę odzyskać moją córeczkę - mówiła do drukarza przygotowującego plakaty z wizerunkiem Minervy. - Muszę odzyskać moją córeczkę.

W ten sposób była i nie była córką. Była Minerva. Po prostu ich Minerva. „Minervo, przyjdź tu”, „Minervo, jak ci to smakuje?”, „Minervo, jak będę wracał do domu z aresztu, to

przywiozę materiał na twoją sukienkę”, „Minervo, co ja bym bez ciebie zrobiła?” Dla białych w hrabstwie Manchester była kimś w rodzaju ich pupilki. „To Minerva szeryfa”, „To Minerva pani Skiffington”. I wszyscy byli z tego zadowoleni. A jeśli chodzi o samą Minerve, nie знаła niczego innego.

- Aleś wyrosła - po latach powiedziała w Filadelfii siostra Minervy.

*

W poniedziałkowy poranek John Skiffington dotarł do aresztu około ósmej.

- Ach, ach, dzień dobry *monsieur* szeryf - powiedział Jean Broussard, gdy tylko Skiffington pojawił się w drzwiach.

- Bardzo tęskniłem za pana towarzystwem, choć muszę przyznać, że pana *pere* jest uroczym i najbardziej odpowiednim zastępcą. Cały czas powtarzał, że Bóg jest ze mną, ale ja to wiem już od dawna. Bóg jest wszędzie w Ameryce, a zwłaszcza tu ze mną.

- Dzień dobry, Broussard.

- Nie chciałbym poganiać świata, ale zaczynam myśleć, że nie znajdę się na wolności, zanim nie osiągnę wieku pana *père*.

- Twierdzisz, że jesteś niewinny, a jeśli jest to prawdą, prawo to dostrzeże i cię uwolni.

- Jestem niewinny. Jestem niewinny panie Skiffington. Broussard cały czas twierdził, że w obronie własnej zabił swojego partnera - mężczyznę z Finlandii albo z Norwegii czy Szwecji, to zależało od tego, w jakim nastroju był ten jego partner, kiedy go pytano, skąd pochodzi. Gdy był w złym nastroju, mówił, że jest ze Szwecji. W dniu swojej śmierci był Szwedem.

- Wiele zależy od tego, kiedy przyjedzie tu sędzia z sądu hrabstwa, aby rozpatryć twoją sprawę - powiedział Skiffington, wieszając płaszcz na wieszaku przy drzwiach. Oprócz płaszcza Skiffingtona znajdował się tam tylko płaszcz Broussarda, wiszący tam od dwóch tygodni. - Przyjedzie tu, sąd przysięgłych wysłucha cię, a później znowu cały świat będzie stał przed tobą otworem. Francja czy dowolne inne miejsce, do którego będziesz się chciał udać.

Skiffington podszedł do swojego biurka i usiadłszy przy nim, zaczął szukać papieru, na którym po raz kolejny chciał napisać prośbę o przyjazd sędziego z sądu hrabstwa. Sędzia nie był potrzebny w miasteczku od ubiegłego roku, kiedy to biały mężczyzna został oskarżony o zranienie żony Uniewinniono go po tym, jak jego żona, krawcowa szyjąca damskie ubrania i kochanka Roberta Colfaxes, zeznała, że w jakiś dziwny sposób sama postrzeliła się w plecy.

- Chyba już nie Francja. Kocham Francję. Francja dała mi życie, ale teraz to ja już jestem Ameryka, *monsieur* szeryf. Wznoszę flagę! Wznoszę flagę nad moją głową i nad głowami was wszystkich, *monsieur* szeryf!

- To dobrze dla ciebie, Broussard. To dobrze dla nas wszystkich.

Pewien człowiek z Culpeper zgodził się przyjechać i go bronić. Skiffington znalazł w końcu kartkę do napisania wniosku, a w innej szufladzie trafił na listę pytań, na które najpierw należało udzielić odpowiedzi na czystej kartce papieru, a dopiero później ktoś w Richmond mógł zdecydować, czy sędzia przyjedzie. Każde pytanie trzeba było przepisać na kartkę z wnioskiem, a po nim umieścić odpowiedź.

I należało wpisać każde pytanie, nawet jeśli nie było na nie odpowiedzi. „Charakter zarzucanego przestępstwa”.

- Wydaje mi się, że na zawsze już tu zostanę, zostanę w tym miejscu i będę szczęśliwy.

Broussard od trzech lat był obywatelem Stanów Zjednoczonych. Nie widział Francji i swojej rodziny od czasu, kiedy stamtąd wyjechał osiem lat wcześniej. Nadal zamierzał ściągnąć rodzinę do Ameryki. Tylko dwoje jego najstarszych dzieci pamiętało, jak Broussard wyglądał.

- Zostanę i będę gonił za szczęściem, właśnie tak, bo tak powinien robić i pan, i ja.

Żona Broussarda znalazła sobie kochanka dwa lata po wyjeździe męża. Żona i wszystkie bez wyjątku dzieci Broussarda uwielbiały tego kochanka. Ta miłość była tak wielka, że Broussard nie byłby w stanie ich z niej wyleczyć.

- Opiewam Amerykę. Opiewam szczęście Ameryki.

- Tak - odrzekł Skiffington, otwierając kałamarz - goń za nim do woli.

„Nazwisko oskarżonego lub oskarżonych”.

- Sprowadzę tu moją żonę i będziemy tak silni, jak pan i pani Skiffington. Ja będę pan Broussard, a my będziemy państwo Broussard. Będziemy mieli większy dom niż pana, *monsieur* szeryf. Czy pan ma duży dom, *monsieur* szeryf?

Broussard i jego partner w interesach, Alm Jorgensen, przybyli do hrabstwa Manchester z dwoma niewolnikami na sprzedaż - Mosesem, który miał później zostać nadzorcą u Henrygo Townsenda, oraz kobietą o imieniu Bessie. Słyszeli, że Robert Colfax poszukuje nowych niewolników, ale Colfaxowi nie spodobał się sposób, w jaki Broussard i Jorgensen sprzedawali niewolników.

- Dostaliśmy tych ludzi w Aleksandrii, cholera - powtarzał Jorgensen Colfaxowi. Powiedział mu również, że jest Finem. Ale nie mieli aktów kupna Mosesa i Bessie, a

ponieważ Broussard i Jorgensen byli obcymi i do tego jeszcze obcokrajowcami, Colfax odesłał ich z kwitkiem.

- Mój dom jest wystarczająco duży na mnie, na moją rodzinę i na wszystko, co mogę do niego włożyć. Już mówiłem, że możesz mnie nazywać John - powiedział Skiffington.

- Tak, tak. John, ja też jestem John, nie?

Za swój udział ze sprzedaży Mosesa i Bessie Broussard zamierzał sprowadzić żonę i dzieci. Po wieczornej popijawie on i Jorgensen wszczęli bójkę na werandzie pensjonatu, w którym się zatrzymali, i skończyło się na tym, że Szwed zginął.

Otworzyły się drzwi aresztu i do środka wszedł William Robbins, a za nim Henry Townsend, wówczas dwudziestoletni. Za niecały rok Henry miał kupić Mosesa, a za prawie trzy poślubić Caldonię. Ponad połowę tego czasu spędził na plantacji Robbinsa, mieszkając w chacie stojącej w oddaleniu od chat innych niewolników. Był wolnym człowiekiem, robił buty i trzewiki i mógł chodzić, gdzie mu się podobało, jeśli tylko nosił ze sobą dokumenty poświadczające jego wolność.

- John - odezwał się Robbins. Sięgnął przez biurko i podał Skiffingtonowi rękę na powitanie. Uścisk dłoni skończył się, zanim jeszcze Skiffington zdążył się całkiem podnieść.

- Bill.

- Dzień dobry - odezwał się Broussard, chociaż nie znał Robbinsa.

- John, mamy tu z Henrym do ciebie taką nieprzyjemną sprawę. Harvey Travis bardzo nieładnie go potraktował niecałe dwa dni temu, kiedy Henry wyjeżdżał z mojego domu. Uderzył Henrygo, a być może uderzyłby go więcej razy, gdyby nie wkroczył Barnum Kinsey i nie wziął Henrygo w obronę. Niemiła sprawa, John, niemiła. A Henry tylko jechał do swojej rodziny.

Henry nie ruszył się od drzwi.

- Dzień dobry, *monsieur* Bill.

Broussard stał przy kratkach, nie opuszczał tego miejsca przez cały czas od wejścia Skiffingtona. Robbins odwrócił się.

- To był Travis, tak? - zapytał Henry'ego.

- Tak, proszę pana.

- Travis - powiedział Robbins do Skiffingtona.

- Właśnie widziałem się z nim w sobotę, Bill. Widziałem Harveya w sobotę.

- W tej sprawie?

- Nie, w innej - odpowiedział Skiffington. - Zobaczę się z nim znowu dziś wieczorem, przed patrolem. Porozmawiam z nim.

Znał Henryego, tego Murzyna od butów i trzewików, w ostatnich latach kilka razy z nim rozmawiał. Skiffington, Winifred i Minerva mieli przyjechać na pogrzeb Henry ego. Patrząc na Henry ego stojącego przy drzwiach, Skiffington przypomniał sobie, że Murzyn jest synem meblarza Augustusa i kobiety Mildred, którzy mieszkają na samym końcu hrabstwa, ale równie dobrze mogli mieszkać na końcu świata.

Broussard i Jorgensen usłyszeli nazwisko Williama Robbinsa od Colfaxes i teraz Broussard zaczynał uświadamiać sobie, że to był właśnie ten mężczyzna, o którym Colfax powiedział, że być może będzie zainteresowany kupnem Mosesa i Bessie.

- *Monsieur. Monsieur* Bill, czy można na chwilkę? Na momencik?

- Co? - zapytał Robbins.

- Proszę, mamy dla pana niewolników. Dwóch dobrych ludzi dla pana.

Skiffington wyjaśnił, w czym rzecz.

- Nie przyjechałem tu po żadnych przeklętych niewolników - powiedział Robbins do Broussarda. Doszły do niego słuchy o Francuzie, który zabił swojego partnera.

- Proszę. Proszę. Ja chciałbym sprowadzić tu moją żonę i dzieci i być Ameryka.

Skiffington i Robbins spojrzeli po sobie i po chwili szeryf wzruszył ramionami. Robbins przez moment popatrzył na Henry ego i powiedział do Broussarda:

- Gdzie jest ta twoja własność?

- Sawyer trzyma ich na tyłach domu, a ta resztkę pieniędzy, jakie Broussard miał na ich utrzymanie, już się kończy - powiedział Skiffington. - On tu żyje za darmo, ale nie wiem, co się z nimi stanie, jak skończą się pieniądze.

Robbins odwrócił się do Henry ego.

- Powiedz panu Sawyerowi, żeby przyprowadził tu tę jego własność, i dodaj, że chcę wrócić do domu przed obiadem.

- Tak, proszę pana - powiedział Henry i wyszedł.

- Dobrzy ludzie. Wspaniali niewolnicy - powiedział Broussard.

- Tylko „wspaniali” to za mało - powiedział Robbins i odwróciwszy się od Broussarda i Skiffingtona, wyjrzał przez okno wychodzące na ulicę. - Tylko najwspanialszy mogą mnie wyciągnąć rano z łóżka.

- To będą najwspanialszy, *monsieur* Bill.

Sawyer wszedł pierwszy. Był grubym mężczyzną i miał trudności ze złapaniem oddechu. Za nim pojawił się Moses, który odwrócił się, aby pomóc Bessie, bo miała jakieś problemy ze stopą. Utykała i krzywiła się przy każdym kroku. Ani on, ani ona nie mieli na

sobie łańcuchów, ale Sawyer trzymał pistolet w dłoni. Na końcu wkroczył Henry i gdy wszyscy już weszli do pomieszczenia, zajął miejsce przy drzwiach.

- Widzi pan, *monsieur* Bill. Najwspanialszy ludzie. Moses i Bessie spojrzeli na Broussarda, później na Skiffingtona, a w końcu na Robbinsa, który ich obserwował, kiedy szli ulicą. Już teraz wiedział, że kobieta się nie nada. Okaleczenie być może nie było trwałe, ale w jej chodzie spostrzegł jakieś niepokojące odchylenie, jakby tworząc ją, Bóg skrzywił jej ciało nieco na bok i kazał jej przez całe życie chodzić pochylonej na lewo. Widział ponadto, że płakała, a to nie miało nic wspólnego ze stopą. Jego zdaniem ten płacz również miał charakter trwały Robbins podszedł do Mosesa.

- Zdejmuj to - powiedział, pokazując na łańcuchy, w jakie niewolnik był ubrany.

- Panie. Panie *master*, ta kobieta, ona i ja razem - powiedział Moses.

- Rób, co ci każę - odrzekł Robbins. Chwilę później Moses stał nagi. Robbins obszedł go dookoła i kiedy już wystarczająco wyściskał jego ramiona oraz nogi i zajrzał mu do ust, powiedział do Broussarda:

- Ile?

- Osiemset dolarów, *monsieur* Bill. Robbins odparł:

- Zadaję ci proste i jasne pytanie, oczekuję równie prostej i jasnej odpowiedzi.

Henry przestąpił z nogi na nogę. Broussard trzymał się mocno prętów krat.

Sawyer nadal próbował złapać oddech. Wyciągnął szmatkę i oparł się o ścianę. Skiffington miał w biurze tylko jedno krzesło, przy biurku. Przez cały czas stał przy biurku, ale teraz zrobił dwa kroki i usiadł. Sawyer wytarł twarz i kark. Skiffington wziął do ręki listę pytań. Teraz będzie musiał wszystko zaczynać od początku. „Charakter zarzucanego przestępstwa. Czy byli świadkowie przestępstwa? Czy świadkowie są wiarygodni?”

- Ale *monsieur* Bill, to bardzo dobrzy ludzie. Proszę, proszę, moja piękna żona czeka.

- Drogi panie, nie mam przyjemności znać pana żony, pięknej czy nie, a i ona mnie nie zna.

- Tak. Tak. W takim razie siedemset dolarów, *monsieur* Bill. I pięćset za kobietę. Dobre ceny Pochodzą z Aleksandrii. Pan słyszał o Aleksandrii. Aleksandria w Wirginii znana ze sprzedaży niewolników Ludzie mówili: jedź do Aleksandrii po najlepszych niewolników. Aleksandria. Starożytna jak Egipt.

Skiffington pisał. „Nazwisko świadka lub świadków Nazwisko przestępcy lub przestępców”.

Robbins odezwał się do Bessie, wskazując na jej łańcuchy:

- Zdejmuj te rzeczy.

Henry cofnął się pół kroku, aż gałka u drzwi wbiła mu się w plecy.

- Proszę, panie *master* - powiedział Moses - my razem, ona i ja. Nie rozdzielajcie nas. My razem.

Prawdą było, że oboje przyjechali z Aleksandrii, gdzie po raz pierwszy spotkali się w zagrodzie dla niewolników I obecnie, po dwóch miesiącach spędzonych razem, nie mógł znieść myśli, że mogą go z nią rozdzielić.

- Proszę, panie *master*, ona i ja rodzina.

Robbins nie zwracał na niego uwagi. Bessie znowu zaczęła płakać i płakała cały czas, gdy się rozbierała. Robbins pomacał ją tak samo, jak zrobił to z Mosesem.

- Proszę... - zaczął Moses.

- Jak się jeszcze raz do mnie odezwiesz - powiedział Robbins do Moseesa - to kupię cię tylko po to, żeby zabrać cię na ulicę i tam zastrzelić. Jeszcze jedno słowo.

Skiffington podniósł wzrok znad swoich papierów. *Jeśli na moich oczach zamordujesz tego czarnucha, to cię aresztuję.* Robbins podszedł do krat i powiedział do Broussarda:

- Daję ci pięćset dwadzieścia pięć za tego mężczyznę i ani grosza więcej. Jeśli powiesz coś więcej poza słowem „tak”, wychodzę.

- Tak, *monsieur* Bill. Tak.

Broussard puścił kraty i opuścił ręce wzdłuż ciała.

- Tak, *monsieur*.

- Co mam zrobić z tą kobietą, Bill? - zapytał Sawyer.

- Nie wiem, Reese. Naprawdę nie wiem.

„Gdzie doszło do przestępstwa?” - to było najłatwiejsze pytanie ze wszystkich, napisał więc: „Hrabstwo Manchester w stanie Wirginia”. „Data popełnienia przestępstwa”. Zapomniał dokładnej daty zabójstwa i będzie musiał o to zapytać Broussarda. Wiedział, że dalej na liście było pytanie o świadków. O to również będzie musiał zapytać Broussarda.

- *Massa*, my razem - powiedział Moses do Skiffingtona. - Ja i Bessie razem. Ona wszystko, co mam na świecie. My jedni jak rodzina.

- Wiem o tym - odrzekł Skiffington, starając się pisać dalej. - Myślisz, że tego nie wiem?

Przyszło mu do głowy, że za oknem może przechodzić biała kobieta i poczuć się urażona w swoich uczuciach, widząc nagiego niewolnika, wstał więc i podszedł do okna, w celu odwrócenia uwagi ewentualnie przechodzącej kobiety

- Proszę, ona i ja, my jedni. My jedni.

Skiffington zobaczył, że po drugiej stronie ulicy przechadza się pani Otis. Zatrzymała się, aby porozmawiać z panią Taylor, która najwyraźniej była przy nadziei. Pani Otis trzymała za rękę swoje najmłodsze dziecko, chłopca, który nie rozwijał się tak szybko jak jej pozostałe dzieci. Pani Taylor zaśmiała się z czegoś, co powiedziała pani Otis, i na moment przyłożyła dłoń w rękawiczce do ust. Przy boku trzymała rozłożoną parasolkę. Syn Otisów był zafascynowany tym przedmiotem. Skiffington lubił tego chłopca i uważał, że za kilka lat nie będzie się różnił od swoich rówieśników.

- Dajcie mu trochę czasu - mówił nieraz do pana Otisa. Nie mógł powiedzieć tego pani Otis, ponieważ ona nie wierzyła, że z jej synem jest coś nie w porządku. Chłopczyk sięgnął po parasolkę, a pani Taylor, wiedząc, co mógłby zrobić, gdyby udało mu się ją chwycić, uniosła ją poza zasięg jego rąk. Chociaż Skiffington był pełen nadziei co do rozwoju chłopca, jednak nie był ślepy. Musiał być jakiś problem, jeśli dwunastoletni chłopiec ssał trzy palce naraz i bał się odejść od matki, bo demony zjedzą mu intymne części ciała. To właśnie ten chłopiec, wraz ze swoim bratem i małym niewolnikiem o imieniu Teacher, miał w przyszłości stanąć w płomieniach przed sklepem tekstylnym. Najpierw zapalił się młodszy biały chłopiec, a później jego brat. Niewolnik Teacher spłonął pięć minut później, w momencie, gdy ulicą nadbiegał mężczyzna z wiadrem wody.

Moses jeszcze raz powiedział, że są razem, i Skiffington odpowiedział mu, żeby przestał, bo uszy go od tego bolą.

- Mam tylko ją, *massa*. My rodzina.

Chwilę później wszyscy opuścili budynek aresztu, poza Skiffingtonem i jego aresztantem, który na tyle długo był cicho, że Skiffington zdążył wypełnić cały wniosek. Następnie złożył podpis, wpisał swoje stanowisko i na koniec datę.

- Nagrodzę pana za pomoc, *monsieur* Skiffington - odezwał się Broussard po jakimś czasie. Siedział na pryczy i był bardzo zadowolony z tego, jak się sprawy potoczyły, chociaż została mu jeszcze do sprzedania Bessie.

- Niczego nie chcę, Broussard. Płacą mi za to, co tu robię. Broussard podskoczył i podszedł do krat.

- Ależ nie. Nie. Ja chciałbym okazać moją wdzięczność. Pokazał na lewą ścianę, na której Skiffington powiesił mapę, zbrązowiały i pożółkły drzeworyt o rozmiarach mniej więcej dwa i pół metra na metr osiemdziesiąt. Mapa została stworzona przez Niemca, Hansa Waldseemullera, który, zgodnie z informacją podaną na legendzie umieszczonej w prawym dolnym rogu mapy, żył we Francji trzysta lat wcześniej.

- Mieszkam tam, gdzie robią tę piękną mapę. Wiem, kto je robi, *monsieur* Skiffington, i mogę załatwić panu lepszą i większą mapę. Zrobię to, aby okazać swoją wdzięczność.

- Ta mi wystarczy - odrzekł Skiffington. Przez miasto przejeżdżał Rosjanin, który twierdził, że był potomkiem Waldseemullera, i Skiffington kupił tę mapę od niego. Chciał ją sprezentować Winifred, ale ona uważała, że mapa jest zbyt szkaradna, żeby ją powiesić w domu. Nagłówek legendy brzmiał: „Znany świat”. Skiffington podejrzewał, że Rosjanin, mężczyzna z siwą brodą sięgającą mu do brzucha, był Żydem, ale nie potrafił odróżnić Żyda od innego białego człowieka.

- Załatwię panu lepszą mapę - powiedział Broussard. - Załatwię panu lepszą, bardziej dzisiejszą. Dzisiejszą mapę, jak świat jest dziś, a nie wczoraj czy dawno temu.

Rosjanin powiedział Skiffingtonowi, że właśnie wtedy po raz pierwszy na mapie pojawiło się słowo „Ameryka”. Teren Ameryki Północnej był mniejszy niż w rzeczywistości, a w miejscu Florydy nie było nic. Ameryka Południowa wydawała się mieć właściwe rozmiary, ale tylko ona z tych dwóch kontynentów była opatrzona nazwą „Ameryka”. Ameryka Północna pozostawała bezimienna.

- Moja mapa mi odpowiada - odrzekł Skiffington. Rosjanin dostarczył mapę w dwunastu częściach, każda ważyła około półtora kilograma, i Skiffington spędził sporo czasu na jej składaniu. Robił to, gdy Winifred z Minerva były u Gary a kiedy Winifred wróciła i powiedziała, że nie chce tego widzieć w swoim domu, musiał rozebrać mapę i ponownie złożyć w areszcie.

- Zobacz pan, *monsieur* Skiffington - powiedział Broussard. - Załatwię panu lepszą. Załatwię panu dużo lepszą mapę.

*

Jean Broussard został uznany winnym morderstwa pierwszego stopnia, a następnie zabrany do Richmond i tam powieszony Szwagier strażnika więziennego, znany nicpoń, jakoś zdołał znaleźć w Richmond rzymskokatolickiego księdza - człowieka, który przechodził ciężki okres w życiu, kiedy to wszyscy w jego snach mówili po łacinie - i ten ksiądz, starając się uciec przed swoimi snami, dzień i noc spędzał z Broussardem, aż do samego końca. Pięćset dwadzieścia pięć dolarów, jakie Broussard otrzymał ze sprzedaży Mosesa, Skiffington przekazał do Richmond, skąd z kolei przekazano je do Waszyngtonu, a stamtąd do ambasady francuskiej. I po pięciu miesiącach pieniądze, zamienione na franki, dotarły do wdowy po Broussardzie. Pani Broussard nigdy nie miała obsesji na punkcie Ameryki, nie potrafiła nawet pojąć, że Ameryka składa się z odrębnych stanów, a równocześnie stanowi jedno państwo. Dysponując taką wiedzą nigdy nie zrozumiała, że pieniądze przysłał rząd stanu Wirginia.

Zarówno ona, jak i jej dzieci oraz jej kochanek zawsze sądzili, że pieniądze przysłał rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki, i że to była zapłata za to, co ten rząd zrobił jej mężowi, obywatelowi amerykańskiemu.

Trzysta osiemdziesiąt pięć dolarów za Bessie, sprzedaną ślepem mężczyźnie i jego pobożnej żonie w Roanoke dwa tygodnie po sprzedaży Mosesa, ruszyło w tę samą drogę z hrabstwa Manchester, ale gdzieś między hrabstwem a statkiem wiozącym pocztę wraz ze zniechęconymi i tęskniącymi za domem imigrantami powracającymi do Europy zgubiło się albo po prostu zostało przez kogoś zagarnięte. Ktoś skorzystał z tych pieniędzy, ale nie była to wdowa po Broussardzie ani jej dzieci czy jej kochanek w Saint-Etienne.

Być może dobrze się stało, że Jean Broussard skończył tak, jak skończył w Ameryce. Jego rodzina nigdy nie rozstałaby się z kochankiem - albo musiałby z nimi pojechać, albo w ogóle by nie przyjechali. Nie, dla niego nie było już miejsca we Francji. Ktoś nawet przypadkiem stłukł jego ulubiony kubek. Jego rodzina mogła trafić gorzej niż na mężczyznę, z którym związała się jego żona. Kochanek był, na swój sposób, człowiekiem religijnym. A do tego bardzo zręcznie posługiwał się nożem. Potrafił wykroić serce człowieka w czasie nie dłuższym, niż tej ludzkiej maszynie zajmowało przejście od jednego uderzenia do drugiego, a tym samym nożem kochanek potrafił obrać jabłko, nie tracąc ani kawałeczka mięszu, i świeżutkie podać czekającemu na nie dziecku.

Jeśli zamordowany Alm Jorgensen miał jakichś spadkobierców, nikt o nich nie wiedział.

Akta z procesu Jeana Broussarda i większość akt sądowych dziewiętnastowiecznego hrabstwa Manchester spłonęły w 1912 roku podczas pożaru, w którym zginęło dziesięć osób, a wśród nich czarnoskóry dozorca pracujący w budynku, w którym akta przechowywano, oraz pięć psów i dwa konie. Proces Broussarda trwał jeden dzień, a właściwie część dnia - sam proces zajął cały ranek, a narada przysięgłych część tego letniego popołudnia. Jeden z przysięgłych studiował prawo w collegeu William and Mary, gdzie wcześniej uczęszczali jego ojciec i dziadek. Kiedy ten człowiek, niejaki Arthur Brindle, wrócił z collegeu do Manchesteru i zaczął pracować, zorientował się, że prawo robiło z niego biedaka. Zajął się zatem handlem tekstyliami i żył dostatnio. Przez większość życia cierpiał na bezsenność - takie to miał problemy ten kupiec-prawnik. Wraz z żoną odkryli, że jeśli przed udaniem się spać opowiadał jej o swoim dniu, udawało mu się przespać w nocy przynajmniej dwie godziny, co było zdecydowanie więcej niż te pół godziny snu, gdy nie rozmawiali. I tak wieczorem tego dnia, kiedy on i jedenastu innych mężczyzn skazało Jeana Broussarda, leżał obok żony i jej o tym opowiadał. Według jego relacji Broussard, składając zeznania, wciąż

powtarzał, że jest dumnym i prawym amerykańskim obywatelem i że gdyby to od niego zależało, nigdy nie skrzywdziłby innego dumnego i prawego amerykańskiego obywatela.

- To nawet nie to ciągle powtarzanie, kim jest, zaszkodziło sprawie tego człowieka - opowiadał kupiec, ziewając i nasłuchując cichutkiego szmeru, jaki czyniło jego dziesięcioro dzieci śpiących w domu. Nie chodziło również o to, że obrońca z Culpeper ciągle powtarzał przysięgłym, że skandynawski partner Broussarda nie był obywatelem amerykańskim, chociaż i to nie pomogło w jego sprawie. Chodziło o akcent. Ten akcent, który spowodował, że ciągnął się za nim „smród obłudnika”. Wszystko, co mówił Broussard, wydawało się jakieś przekręcone, nawet kiedy się przedstawiał. Sędziowie przysięgli, jak opowiadał kupiec swojej żonie, mogliby nawet przyjąć, dlaczego zamordowano partnera, gdyby tylko Broussard po prostu usiadł na swoim miejscu i opowiedział całą tę historię bez akcentu.

6

Zastygła krowa i zastygły pies. Chata na niebie. Smak wolności

W niedzielę, kiedy Henry Townsend już drugi dzień spoczywał w ziemi, jego teściowa, Maude Newman, przysłała do sypialni swojej córki w domu zbudowanym przez Henryego i Mosesa i usiadłszy na łóżku Caldonii, wzięła rękę córki w swoją dłoń, przez cały czas wzdychając.

- Moja biedna mała wdówka - wzdychała Maude. Chwilę wcześniej służąca Caldonii, Loretta, pytała swoją panią, czy nie przynieść jej czegoś do jedzenia albo do picia. Caldonia odpowiedziała jej, że nie ma teraz głowy do jedzenia i picia. Kobiecie, która spędziła z nią prawie całe jej małżeńskie życie, powiedziała, że jedyne, co może robić, to otwierać oczy i oddychać. Loretta odparła:

- Tak, proszę pani - wiedząc, że to musi być święta prawda, i wycofała się, aby z daleka obserwować, czy Caldonia w końcu zdecyduje się podnieść z łóżka. Loretta słyszała o pewnej niewolnicy, która musiała robić przy swojej pani praktycznie wszystko, nawet podcierać jej tylne partie po każdym wypróżnieniu. Caldonia zawsze była silną kobietą i wolała większość rzeczy robić sama, z czasem Loretta stała się więc kimś w rodzaju jej towarzyski.

- Ona jest taka, że mogłaby być niewolnicą - Loretta zażartowała pewnego razu do Celeste, żony Eliasa, wiedząc, że ta nikomu o tym nie powie.

Kiedy Caldonia wreszcie podniosła się na łóżku i ułożyła wsparta na poduszkach, wlepiła wzrok w Lorette, jakby pytając ją, czego teraz świat od niej oczekuje. Wzrok Caldonii powędrował w stronę otwartej szafy z uszkodzonymi drzwiami, które nigdy się dobrze nie

zamykały, i zatrzymał się na wiszącej tam czarnej sukni. Suknia zdawała się żyć własnym życiem, mieć go tak wiele, że mogłaby samodzielnie zejść z wieszaka, podejść i ułożyć się na jej ciele. Pozapinać się. Po śmierci ojca Caldonii jej matka nosiła tę suknię tylko przez miesiąc.

- Mam już jej dosyć - powiedziała Maude, odkładając sukienkę. - Skóra mnie świerzbi od noszenia czarnych rzeczy. Pan Newman był człowiekiem miłym Bogu, ale dlaczego ja mam teraz cierpieć, kiedy on zasiada razem z Panem?

I tak skończyła się żałoba Maude.

- Moja biedna mała wdówka - znowu powtórzyła Maude.

- Mamo, proszę. Proszę, daj mi dziś spokój. Jutro, pojutrze, ale nie dziś.

- Dziedzictwo jest twoją przyszłością, Caldonio, a to nie może czekać. Chciałabym, ale nie może. Wszystko może czekać, ale nie dziedzictwo.

Dla Maude dziedzictwo oznaczało niewolników i ziemię, fundamenty bogactwa. Obawiała się, że pogrążona w żalu Caldonia zdecyduje się sprzedać niewolników wraz z ziemią, jakby starając się spełnić życzenie, którego Henry, przywiązany do pragnień i potrzeb świata materialnego, nie miał odwagi spełnić za życia.

- Nie chcę, żebyś była jak twój ojciec, który do tego stopnia pogrążył się w żalu, że nie potrafił odróżnić dobra od zła.

- Mamo, Henry nauczył mnie, jak nie pozwolić, żeby coś takiego jak żal sprowadziło mnie na złą drogę.

Mówiąc te słowa, widziała go, jak stoi w przesączonym zapachem kapryfolium ogrodzie jej matki, jak zawsze za grubo ubrany na tę porę roku, i jak opowiada, że będzie panem innym od pozostałych, takim pasterzem, jakiego Bóg sobie życzył. Mówił ogólnikowo o dobrym jedzeniu dla niewolników, niestosowaniu chłosty, krótkich i szczęśliwych dniach w polu. Pan patrzący z góry na nich wszystkich, tak jak spoglądał na niego siedzący na swoim tronie Bóg. Był młodym szewcem, który nieco ponad rok wcześniej zrobił korzystny interes z Williamem Robbinsem, kupując od niego Mosesa. Ale słowa te nie miały dla Caldonii żadnego znaczenia; była młoda, w okolicy nie było interesujących kawalerów, którzy mogliby starać się o jej rękę, i gdyby nawet przez całe popołudnie mówił o sadzeniu i zbieraniu tytoniu, to i tak byłaby to serenada dla jej uszu. Było to ponad rok po tym, jak Augustus złamał mu rękę laską z żółędziem i wiewiórkami.

Caldonia pomyślała o tym, co mówiła jej matka. *Henry był dobrym panem*, stwierdziła w myślach. *Jednym z najlepszych.*

Tak, to prawda, że czasami musiał ograniczać im racje jedzenia. Ale przecież to nie była jego wina - gdyby Bóg zesłał więcej jedzenia, Henry z pewnością dałby je im. Henry był jedynie pośrednikiem w tej konkretnej transakcji. Tak, czasami niektórzy niewolnicy byli bici, ale tylko ci, którzy nie chcieli robić tego, co było słuszne i dobre. „Kto różgi pożałuje...” - ostrzega *Biblia*. Jej mąż zrobił wszystko, co było w jego mocy, i w dniu Sądu Ostatecznego jego niewolnicy staną przed Bogiem i złożą temu świadectwo.

- Henry dobrze mnie nauczył - powiedziała do swojej matki.

Caldonia ponownie położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Co dziś mogliby powiedzieć jego niewolnicy o swoim panu? Czy byliby tak wspaniałomyślni, jak w dniu Sądu Ostatecznego, kiedy będzie już po wszystkim i kiedy będą mogli pozwolić sobie na wspaniałomyślność? Otworzyła oczy, a Maude uśmiechała się do niej.

Pewnego dnia w klasie Fern Elston, kiedy Caldonia miała dziesięć lat, jej brat Calvin uderzył kolegę w ramię i ten chłopiec się rozplakał.

- Wcale nie uderzyłem go tak mocno, pani Elston. To było leciutkie uderzenie, ledwo go dotknąłem. Nie zrobiłem niu krzywdy.

Fera podeszła do Calvina i wymierzyła mu policzek, a następnie tak długo nim potrząsała za ramiona, aż Calvin się rozplakał.

- Calvinie, dlaczego płaczesz? Przecież tylko leciutko cię uderzyłam.

Kiedy obaj chłopcy przestali płakać, Fern powiedziała łagodnie do Calvina:

- Ten, kto uderza, nigdy nie może osądzać. Tylko ten, kto został uderzony, może powiedzieć, jak silny był cios, czy mógł zabić człowieka, czy zaledwie ziewnęłoby po nim niemowlę.

- Nie wątpię, że Henry nauczył cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć - powiedziała Maude i uściśniła dłoń Caldonii. - Ale podobnie jak twój ojciec, masz we krwi zbyt wiele melancholii, która może ci zaszkodzić.

Po śmierci swojego najmłodszego dziecka, trzynastu lat wcześniej, Tilmon Newman uwierzył, że Bóg pragnął, aby uwolnił swoich niewolników, których w chwili śmierci dziecka miał dwunastu. „Bogu - powiedział Tilmon do Maude - nie udało się przekazać tej wiadomości przez śmierć moich rodziców i braci - a wszyscy umarli w niewoli”. Zaczął więc zabierać dzieci Tilmona, aby nauka była tym boleśniejsza.

- Przed Bogiem nikt nie może się schować - powiedział Tilmon kilka dni po pochowaniu swojego czteroletniego dziecka. - Nawet ty, Maude. Za każdą górą cię znajdzie.

Loretta cofnęła się i plecami oparła się o ścianę sypialni. Następnie zaczęła przesuwać się bokiem, aż skryła się zupełnie w zacienionym kącie. Musiała być w pobliżu, gdyby

Caldonia jej potrzebowała, ale lepiej było, żeby Maude nie myślała, że ona stara się chwytać każde słowo z tego ich „a daczego” i „a po co”, a na podstawie tego, co usłyszy, wymyśla sobie niestworzone rzeczy. Niektóre białe panie nie zwracały uwagi na to, co słyszą ich sługi, były zdania, że niewolnicy potrafią słyszeć i oceniać nie lepiej niż filiżanki i spodeczki. A niektóre, jak Caldonia, traktowały służące raczej jak powierniczki. Ale z kolei inne, jak Maude, uważały, że z woli Boga cały świat jest im przeciwny, a nikt nie mógł być im bardziej przeciwny niż ich mienie, które potrafiło słuchać, mówić i myśleć. One nigdy nie popełniłyby tego błędu, żeby pomyśleć, że niewolnik niczym nie różni się od filiżanki czy spodeczka. Loretta odnosiła wrażenie, że Maude budzi się każdego ranka z gorączką we krwi i mieczem w obu dłoniach i nawet jej własne dzieci stale muszą składać jej dowody swojej lojalności. Taka pani potrafiła być dużo bardziej brutalna wobec niewolnika, niezależnie od tego, czy była jego właścicielką, czy nie, i zrobiłaby wszystko, żeby odizolować wścibskiego sługę od tego małego światka, w którym żyła. Lata służby u Caldonii nie miałyby dla Maude żadnego znaczenia. Po chwili, w miarę jak rozmowa się rozwijała, Loretta niezauważenie usunęła się do korytarza.

- Mamo, daj mi spokój. Mój mąż nawet jeszcze nie wystygł. Troszkę spokoju, zanim mnie w tym wszystkim zamkniesz. Przecież Moses zajmuje się tym wszystkim. I jest tu Calvin. Pozwól mi jeszcze trochę pobyc w żałobie. Calvin tu jest.

- Calvin, Calvin - powiedziała Maude. - W jego krwi jest jeszcze więcej melancholii niż w twojej. Zostaw to wszystko pod jego opieką, a jeszcze przed świtem twoje dziedzictwo znajdzie się za drzwiami.

Caldonia jeszcze bardziej zanurzyła się w łóżku, wysuwając dłoń z ręki matki.

- Nie zachowuj się jak mała dziewczynka, Caldonio.

- Nie zachowuję się jak mała dziewczynka. Ja tylko jestem biedną małą wdówką.

- Caldonio, nie będę tolerować żadnych głupstw z twojej strony.

Loretta stała w miejscu, w którym Caldonia i Maude nie mogły jej zobaczyć, ale z którego widziała, czy ktoś nie idzie po schodach.

- Nie mam zamiaru jeszcze raz tego przechodzić. Tilmon Newman, podobnie jak Augustus Townsend, pracował na wykupienie swojej wolności. Zamierzał wykupić całą rodzinę, wszystkiego cztery osoby, a wśród nich rodziców. Ale w początkowym okresie swojej wolności ten młody mężczyzna spotkał Maude i ożenił się z nią, a potem zaczęli budować własne życie - najpierw kawałek ziemi, później jeden czy dwóch niewolników. Jeszcze dziecko. Maude stale przypominała mu, jakiego dobrego pana mieli jego rodzice i że niewola jego rodziny nie była tak ciężka, jak wielu innych niewolników.

- Byłeś tam - mówiła. - Wiesz, jakim dobrym człowiekiem jest Horace Green. Twoi rodzice i bracia poczekają, aż my staniemy na nogi, aż będziemy mieli wszystkiego tyle, że wystarczy dla każdego, i kiedy będą mogli wyjść na wolność, niczego im nie będzie brakowało.

Ale nie minęły trzy lata i oni wszyscy zginęli, zanim zdążył ich wykupić: jego matka utonęła, ojciec zginął w bójce z innym niewolnikiem, najstarszy brat zmarł po zatruciu jedzeniem przygotowanym z prosiaka skradzionego z sąsiedniej farmy, a najmłodszy brat, wysłany przez swojego pana na poszukiwanie krowy zagubionej w śnieżycy, został odnaleziony cztery dni później - chłopiec i krowa przytuleni do siebie i zamarznięci. Trzeba było czekać, aż oba ciała odtają, żeby je osobno pochować.

Caldonia znowu usiadła na łóżku.

- Matko, Henry zbyt ciężko pracował, żeby dać mi to wszystko. Nie zamierzam tego roztrwonić, choćbyś nie wiem co sobie wyobrażała. Znam moje obowiązki wobec tego, co mi pozostawił. Jak bardzo bym nie była córką papy, jestem również twoją córką.

- Musisz pamiętać, że bardzo łatwo jest popaść w nędzę. Jej własna rodzina już od kilku pokoleń była wolna, ale nigdy nie było ich stać na kupno choć jednego niewolnika.

- Tego bym ci nie życzyła. Doprowadzona do nędzy przez żalobę.

Spojrzały po sobie.

- Caldonio, powinnaś coś zjeść.

- Mamo, nie mam serca do jedzenia.

- Włóż w to trochę serca, Caldonio. Troszkę mleka. Troszkę chleba. Postaraj się włożyć trochę serca w małe co nieco.

Tilmon Newman zamierzał znaleźć sposób, w jaki mógłby zapewnić swoim niewolnikom wolność, był w kontakcie z białym człowiekiem z Południowej Karoliny, który uważał, że mogliby ich wszystkich załadować razem i wywieźć ku wolności.

- Musimy stanąć przed Bogiem, mając nie więcej niż dzieci przychodzące na świat - powiedział Maude Tilmon. Ale ona otruła Tilmona, zanim jeszcze coś takiego mogło się zdarzyć. Placek z arsenikiem. Kawa z arsenikiem. Mięso z arsenikiem. Służba myślała, że oszalała, skoro sama przygotowywała wszystkie posiłki dla męża.

- Tak wiele dla mnie zrobił, dlaczego miałabym nie zająć się nim od czasu do czasu? - mówiła im.

Arszenik wyzerał Tilmona od środka, pochłaniał mięso i mięśnie z jego kości.

- Zupełnie nie rozumiem - powiedział biały lekarz. - Nie potrafię znaleźć nic, co mogłoby mu dolegać.

Po latach Maude wciąż miała nieco arszeniku, który trzymała w buteleczce w kącie za komodą. Służba sprzątająca jej pokój myślała, że to jakieś lekarstwo na częste bóle głowy Maude. Niewolnicy pracujący w domu nigdy nie sięgali do tej buteleczki, kiedy ich samych bolała głowa, ponieważ uważali, że to, co pomagało Maude, nigdy w życiu nie będzie działać na niewolnika.

- To może kromka chleba z konfiturami - powiedziała Caldonia.

Loretta stała przy łóżku.

- I mleko? - zapytała.

- Czystą wodę. Loretto, poproszę o zimną, czystą wodę, Maude wstała.

- A jak już zje, Loretto, pomóż jej się ubrać.

- Tak, proszę pani.

- Marno, zawsze się sama ubieram.

- Nie musisz hołdować dawnym zwyczajom, Caldonio.

- Na razie nie muszę ich zmieniać.

Loretta i Maude wyszły razem. Na dole Loretta poszła do kuchni, a Maude wyszła na werandę, gdzie spodziewała się znaleźć Calvina.

- Mam nadzieję, mamó, że nie byłeś u niej tak wcześnie rano - powiedział Calvin. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, stał oparty o słupek. To on sprowadził do ojca tego białego człowieka z Południowej Karoliny. - Z tą całą twoją przemową o dziedzictwie. Nie powinna tego wysłuchiwać tak szybko po tym, jak pochowała Henry ego.

- Calvinie, z każdym dniem przyprawiasz mnie o większe cierpienie.

Maude stała przy drugim słupku. Po śmierci Tilmona dowiedziała się, że to właśnie przez syna jej mąż poznał tego białego człowieka z Południowej Karoliny, tego abolicjonistę. Zaledwie kilka miesięcy później Maude bardzo poważnie się rozchorowała i ta choroba miała nie odstępować jej przez lata. Calvin został przy niej, był pielęgniarzem matki, która tak naprawdę już go nie lubiła.

- Zupełnie nie rozumiem - powiedział biały lekarz do Calvina trzeciego roku choroby matki. - Nie potrafię znaleźć nic, co mogłoby jej dolegać.

- Przepraszam cię za to, mamó - odrzekł Calvin matce. - Za to całe cierpienie.

Coraz trudniej przychodziło mu znalezienie powodu, dla którego miałyby pozostawać w Wirginii. Kopiąc grób dla Henryego, myślał o tym, żeby porozmawiać z Caldonia o uwolnieniu niewolników, ale teraz już wiedział, że ona jest innego zdania. A do tego matka zawsze go onieśmiałała.

Maude podeszła do niego.

- To nie twoja wina, Calvin. Jesteśmy tacy, jakimi nas Bóg stworzył.

Dotknęła jego ręki, a on spojrzał na nią przelotnie.

- Nie chcę, żebyś rozmawiał z Caldonia o sprzedaniu jej dziedzictwa. Nie chcę, żebyś mówił jej, że może być szczęśliwa gdzieś tam, daleko, bez tego wszystkiego.

Położył dłoń na jej ręce, tej spoczywającej na jego ramieniu.

- Nie próbuj faszerować jej swoimi marzeniami.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło, mamó. Maude ponownie weszła do domu, ale po chwili wróciła.

- Pragnę, żebyś wiedział, że mam dla ciebie dziedzictwo, czy tego chcesz, czy nie.

- Naprawdę nie chcę.

Czekał, aż przypomni mu, że mieszka w jej domu, domu prowadzonym przez niewolników. Jadł jedzenie przez nich przygotowywane. Spał w łóżku przez nich posłanym. Nosił ubrania przez nich czyszczone.

- No cóż. Jednak ja to mam, Calvin. Skoro Caldonia jest samodzielna, nie mam tego komu dać, tylko tobie. Wszyscy inni nie żyją. Zostawię ci to wszystko. Mogą nie pozwolić mi zabrać dziedzictwa do nieba, po prostu zostawię je więc tobie.

Weszła z powrotem do domu.

*

Później tego ranka ci niewolnicy, którzy zazwyczaj pracowali w polu, powrócili do swoich zajęć. Pracować nie musiały tylko dzieci w wieku poniżej pięciu lat, którymi w kuchni Caldonii opiekowała się siedmioletnia Delores. Zdarzały się tygodnie, w których małymi dziećmi opiekowała się sześciolatka Tessie, córka Celeste i Eliasa. Chociaż była niedziela, czyli dzień, w którym Henry zawsze pozwalał niewolnikom odpoczywać po pozostałych sześciu dniach, nadzorca Moses sam postanowił, że mają iść do pracy Valtims Moffett przyjechał wygłosić kazanie wyjątkowo wcześniej i bardzo się zdziwił, widząc ich w polu. Krzyknął tylko do nich kilka słów, podczas gdy oni dalej pracowali, i wyjechał, nie upominając się o zapłatę. Kiedy Calvin - niecałe dwie godziny po tym, jak wszyscy niewolnicy, łącznie z Celeste będącą od czterech miesięcy w ciąży, poszli na pole - dowiedział się, co zrobił Moses porozmawiał z Caldonia, która powiedziała, że nie chce, aby tego dnia ludzie pracowali. Calvin wyszedł z domu i polecił wszystkim zejść z pola i wracać do swoich chat.

- Caldonia nie życzy sobie, żebyś jeszcze coś robił na własną rękę - powiedział Calvin Mosesowi. Sam nie wiedział dlaczego, ale Moses wyprowadzał go z równowagi i teraz

ucieszył się, że może przytrzeć mu nieco nosa. - Nic nie rób bez uprzedniego porozumienia się z nią. Albo ze mną.

- Tak jest, panie Calvinie - odrzekł Moses. - Teraz to rozumiem.

Calvin stał na początku dróżki biegnącej między chatami i patrzył na niewolników powracających dwójkami lub trójkami do swoich domostw. Na czele grupy szły, podskakując, dzieci. Wiele czasu poświęcił, aby nauczyć się imion wszystkich niewolników, tak jak znał imiona wszystkich niewolników w miejscach, w których często bywał. Zagadywał mijających go ludzi, a większość stawała, aby z nim porozmawiać, nazywając go „*Mister Calvin*”. Dzieci zawsze się go obawiały i po raz kolejny zastanawiał się, co im mówiono o nim i o takich ludziach jak on.

- Proszę powiedzieć pani, żeby się nie martwiła - odezwał się do Calvina Stamford, mężczyzna żyjący dla młodych ciał, mężczyzna odrzucony przez Głorię. - Proszę powiedzieć *mistress*, że Stamford mówił, żeby się nie martwiła.

- Nie, nie pozwólcie jej się zamartwiać - powiedziała Priscilla, żona Mosesa. - To jej nie pomoże, jeśli biedaczka zamartwi się na śmierć.

Pozostali niewolnicy omijali tę trójkę - wiedzieli, jacy potrafią być Stamford i Priscilla.

- Proszę powiedzieć *mistress* - dodał Stamford - że *massa* Henry poszedł prosto do nieba. Dotarł do tych bram, a Pan mu je otworzył i powiedział: „Henry, tak długo na ciebie czekałem. Wchodź tu zaraz. Mam dla ciebie specjalne miejsce, *massa* Henry, tuż obok mnie”. Niech pan powie, że to Stamford powiedział, *massa* Calvin.

- Powiem jej - odrzekł Calvin, próbując przypomnieć sobie, czy Caldonia знаła imiona wszystkich niewolników Kiedy miał dwadzieścia lat, wybrał się raz z przyjacielem na tydzień w okolice Fredericksburga i tam spotkali wracającego wieczorem do domu mężczyznę, niewolnika należącego do pewnego białego człowieka. Napotkany niewolnik znał towarzysza Calvina, człowieka wolnego, którego rodzina miała kiedyś niewolnika, ale musiała go sprzedać, ponieważ nie było ich stać na jego utrzymanie. Calvin i jego przyjaciel byli pijani.

Podeszła Alice i wetknąwszy głowę między Priscillę i Stamforda, zaśpiewała Calvinowi:

- *Massa* zmarł. *Massa* zmarł. *Massa* umiera w grobie.

- Jak się masz, Alice? - zapytał Calvin.

Było coś szczególnego w sposobie, w jaki niewolnik na drodze pod Fredericksburgiem tak bardzo gorliwie zdjął kapelusz przed przyjacielem Calvina, a później przed samym Calvinem.

- Dobry wieczór, *mister* Ted - powiedział ten mężczyzna do przyjaciela Calvina, zanim ponownie założył kapelusz. Calvin, który stał nieruchomo, podczas gdy jego przyjaciel i mężczyzna rozmawiali o niczym, a nietoperze wyruszały na wieczorne loty, w końcu wyciągnął rękę i strącił temu mężczyźnie kapelusz z głowy. Sam nie wiedział, co w niego wstąpiło. *Alkohol* - tłumaczył sobie później. Zawsze po wypiciu coś w niego wstępowało i robił się złośliwy. Nigdy już nie spotkał tego niewolnika i najlepsze, co Calvin mógł zrobić w ramach przeprosin, to było więcej nie pić.

- Och, zjeżdżaj stąd. Zabieraj się stąd - powiedziała Priscilla do Alice, a ona odsunęła się i znowu zaczęła podskakiwać.

- Kiedy nadejdzie księżyc? - śpiewała. - Kiedy nadejdzie księżyc? Słońce chce wiedzieć, kiedy nadejdzie księżyc.

Calvin ruszył z powrotem do domu. Do południa było jeszcze daleko i pomyślał, że zostało jeszcze sporo niedzielного dnia, którym wszyscy mogliby się cieszyć. Mężczyzna na drodze pod Fredericksburgiem był zaszokowany, podobnie jak przyjaciel Calvina.

- No, dalej, uderz mnie za to, co ci zrobiłem - powiedział Calvin, trzymając ręce opuszczone tuż przy ciele. - Uderz mnie. Walnij mnie za to, co ci zrobiłem.

Wiedział, że ten mężczyzna nigdy by czegoś takiego nie zrobił, i czuł do siebie samego nienawiść właśnie za to, że wiedział, dlaczego on nie mógł tego uczynić. Gdyby mężczyzna mocno go uderzył, Calvin nie zareagowałby, pozwoliłby mu bić się i powalić na ziemię.

Wracając do domu, Calvin odwrócił się i spojrzawszy na niewolników rozsianych między chatami, pomyślał na głos, tak że słyszeć mógł go każdy w promieniu metra:

- Nasz Henry odszedł.

Żałował, że nie ma przy nim Louisa, choć wiedział, że nic by to nie dało. Nie było rady na uczucie do mężczyzny z wędrującym okiem. Być może Nowy Jork mógłby pomóc pozbyć się tej miłości, a wraz z nią wszystkich innych problemów. Doszedł do stopni prowadzących do domu i zatrzymał się, po raz pierwszy policzył wszystkie schody. To uczucie do Louisa pojawiło się już jakiś czas temu, ale dopiero od dwóch miesięcy wiedział, że sprawa jest beznadziejna i że dla jego własnego dobra najlepiej będzie, jeśli wyniesie się w inne miejsce.

Poszli popływać w potoku, tak jak to często robili jako dzieci po lekcjach u Fern Elston. Szybko się zmęczeni i wyszli z wody, Louis za Calvinem, a później położyli się na brzegu, w odległości najwyżej dwudziestu centymetrów od siebie. Louis opowiadał o jakiejś kobiecie, która mu się spodobała, opisując, co pierwsze zwróciło jego uwagę. Od dawna tak traktował Calvina - opowiadał mu o wszystkim, co czuł. Leżeli wyciągnięci, a Calvin, ułożywszy się na boku, patrzył na Louisa, który leżał lekko wsparty na łokciach. Calvin zauważył, że w niewielkim zagłębieniu u podstawy szyi Louisa zebrało się nieco wody i potu. Woda zmieszana z potem stała tam przez całą jego opowieść o tej kobiecie, a lustro wody delikatnie drżało, kiedy słowa przyjaciela wydobywały się z jego ust. Jeszcze na długo zanim Louis skończył, Calvin zapragnął nachylić się i chleptać językiem z tej malutkiej kałuży. I niewiele brakowało, a zrobiłby to w chwili, gdy przyjaciel wypowiadał ostateczne słowa, ale wtedy właśnie Louis odwrócił nieco głowę i woda spłynęła mu po piersiach. Calvin wstał i powiedział, że chce już wracać do domu. *Pewnego dnia, powiedział do siebie, moim domem będzie Nowy Jork, a to wszystko tu będzie dla mnie bardzo odległe.* Jednak nawet po wielu latach spędzonych na pielęgnowaniu Maude miał nigdy nie zobaczyć Nowego Jorku.

Calvin wszedł po schodach domu Caldonii i zatrzymał się na werandzie, przy słupku po prawej stronie. Wiedział, że gdyby wtedy ruszył się i spróbował się napić, Louis mógłby chcieć go zabić. „Mógłby mi pomóc Nowy Jork” - napisał w liście do przyjaciela. Nikogo tam nie znał, absolutnie nikogo, jeśli nie liczyć tego zastygłego psa. Był w posiadaniu jednej z pierwszych fotografii zrobionych żywym osobom w Nowym Jorku - zdjęcia rodziny białych siedzących rzędem na ganku. Wyglądało, jakby ci ludzie mieszkali w tym mieście na farmie, a po obu stronach domu Calvin widział drzewa i pustą przestrzeń rozciągającą się we wszystkie strony w coś, co zdawało się doliną, a przynajmniej tak to wyglądało po lewej stronie zdjęcia. W niektórych miejscach widać było rozmazane twarze ludzi, którzy poruszyli się w chwili robienia zdjęcia. Na podwórzu przed domem samotny pies patrzył w prawą stronę. Pies stał z wyprężonym ogonem, jakby gotów ruszyć na pierwsze słowo rzucone przez którąś z osób siedzących na ganku. Obraz psa był bardzo wyraźny. Gdy tylko Calvin zobaczył tę fotografię, od razu zaciekało go, co tak przykuło uwagę psa i spowodowało, że na zawsze zamarł w bezruchu. Po cichu miał nadzieję, że po przyjeździe do Nowego Jorku może uda mu się odnaleźć ten dom i tych ludzi oraz psa i dowie się, co go tak sparaliżowało. Po prawej stronie znajdował się cały świat, jakiego fotografia nie uchwyciła. Cokolwiek by to było, mogło być na tyle wytrzymałe, na tyle cudowne, aby poczekać, aż Calvin tam dotrze, zobaczy i sam to pozna.

*

Tej niedzieli, po rozstaniu się z Priscilla, Stamford poszedł do Cassandry, córki Delphie, aby jeszcze raz ją prosić, żeby była jego kobietą. Teraz, kiedy Gloria była w stosunku do niego oziębła, Stamford zdawał sobie sprawę, że potrzebuje jakiegoś innego młodego ciała na jej miejsce. Zima zbliżała się wielkimi krokami. Mężczyzna, który mówił mu, wówczas dwunastoletniemu, że młode ciało pomoże mu przetrwać niewolę, miał najbrzydsze na świecie uzębienie. Ale wyglądało na to, że miał tyle młodych ciał, z iloma tylko potrafił sobie poradzić.

- Młode ciało - powiedział kiedyś ten człowiek - może cię doprowadzić do szaleństwa, jeśli na to pozwolisz. Musisz poskromić młode ciało, żeby nie doprowadziło cię do szaleństwa.

Stamford zastukał do drzwi chaty Cassandry.

- Cassandra, jesteś tam?

Kilka miesięcy wcześniej otworzył je po pięciu minutach pukania i wtedy Cassandra wyszła i uderzyła go pięścią w twarz. Od tego czasu starał się zachować cierpliwość, ale nie była ona jego mocną stroną.

- Cassandra, kochanie, jesteś tam? To ja, Stamford. Drzwi chaty otworzyły się i ukazała się Cassandra, wsparta pod boki. Stojąca w drzwiach swojej chaty Celeste popatrzyła na znajdującego się na dróżce Stamforda i pokręciła głową. Historia jego pogoni za Cassandra najpierw była komiczna, później smutna, a teraz znowu zaczynała być komiczna.

- Nie mam zamiaru cię słuchać. Zostaw mnie w spokoju. Nie mam zamiaru słuchać tego, co masz do powiedzenia.

- Och, moja droga, poznajesz mnie więc. To ja, Stamford. Twój słodki Stamford.

Cofnęła się do wnętrza chaty i ponownie pojawiła się, tym razem z kawałkiem drewna.

- Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, oberwiesz w łeb. Stamford, ja nie żartuję.

- Ależ kochanie, to ja, twój słodki Stamford. Chyba żartujesz.

Postukała go w głowę dwa razy, aż pył i kurz z polana uniósł się w powietrze i osiadł na jego głowie.

- Masz, słodziutki - powiedziała. - To cała słodycz, jaką możesz ode mnie dostać. A teraz bierz to i wynoś się.

Stuknęła go jeszcze dwa razy, a on szybko cofnął się, dzięki czemu zdążył uniknąć kolejnej porcji pyłu i kurzu na głowie.

- To nieładnie tak robić swojemu mężczyźnie, moja droga. Wrócił następnego wieczoru, kiedy Moses zwolnił ich wszystkich z pola. Przyszedł później niż zazwyczaj, ponieważ czekał, aż będzie mógł niezauważenie skraść kwiaty z ogrodu Caldonii.

- Kochanie, mam coś dla ciebie, kochanie.

Z chaty dochodziły go głosy Cassandra, Alice i Delphie. Słyszał, jak Cassandra prosi jedną z tych kobiet, aby ta wyszła sprawdzić, czego on chce, i po chwili Alice otworzyła szeroko drzwi. Wybałuszyła oczy na widok kwiatów - kilku czerwonych róż i dwu przywiędłych begonii. Alice zaczęła tańczyć wkoło.

- O co chodzi, Alice? Co on ci robi? - zapytała Cassandra. Kiedy podeszła do drzwi, zobaczyła, jak Alice oparta o futrynę pochyla się i wgryza w róże. Przeżuła i przełknęła, a później sięgnęła po następne i Stamford ledwo zdążył się odsunąć.

- Dziewczyno, co ty wyprawiasz? Boże, zmiłuj się! - powiedział. - Niech Bóg jej wybaczy.

- Dobrze ci tak - odezwała się Cassandra. - Najpierw kradnie, a później chce uczynić ze mnie współniczkę w kradzieży Alice, chodź tu - i zamknęła drzwi.

Resztką kwiatów leżała przy drzwiach o drugiej w nocy, kiedy Alice wracała ze swojej włóczgi. Wniosła je do domu i położyła małą wiązanekę obok Cassandra śpiącej na swoim sienniku.

Być może wróciłby następnego wieczoru, ale tej nocy, kiedy ukradł kwiaty, obudził się ze snu, którego nie mógł sobie przypomnieć. Sen rozsypał się na kawałki, gdy tylko Stamford usiadł na sienniku, ale natychmiast naszły go myśli o matce i ojcu. Nie widział ich od ponad trzydziestu pięciu lat. Zaczął ich wzywać w ciemnościach, ale nikt nie odpowiadał. Miał czterdzieści lat. Usiadł na sienniku i zaczął myśleć o tym, że już nigdy nie będzie miał młodego ciała, że wyschnie i umrze samotnie w niewoli. W panujących wokół ciemnościach zdał sobie sprawę, że nawet nie pamiętał imion swoich rodziców. *Czy oni mieli imiona?*, pytał sam siebie, gdy cała chata unosiła się i opadała od chrapania dwóch pozostałych mężczyzn. *Czy oni mieli imiona? Musieli*, powiedział sobie. Wszystkie boże dzieci miały imiona, Bóg nie dopuściłby, żeby było inaczej. Jeśli jego rodzice nie mieli imion, to może w ogóle nie istnieli i nie mogli go stworzyć. Może on nawet się nie urodził, ale po prostu pojawił się pewnego dnia jako mały chłopczyk i ktoś, widząc go samotnego i nagiego na jakiejś drodze, pożałował go i dał mu dom. Nie ma mamy, nie ma taty, dajcie temu biednemu chłopczykowi dom.

Stamford położył się ponownie i próbował znaleźć sobie wygodne miejsce na sianie. Odwracał się na wszystkie strony i w końcu ułożył się jakoś na boku. Martwiło go, że nie

pamięta ich imion. Może byłoby inaczej, gdyby częściej o nich myślał w swoim życiu? Zamknąwszy oczy, ujął rodziców w dłonie, matkę w lewą rękę, a ojca w prawą, i zaniósł ich na plantację, na której widział ich po raz ostatni. Ale coś mu nie pasowało, przełożył więc ojca do lewej ręki, a matkę do prawej, i okazało się, że tak jest lepiej. Postawił ich obok wędzarni, która miała otwór z tyłu dachu.

- Duchy wejdą przez tę dziurę i zabiorą cię do piekła - powiedział mu kiedyś starszy chłopiec. Stamford miał pięć lat, a było to niedługo po tym, jak sprzedano jego rodziców. - powiedz „Jezus” trzy razy, a duchy zostawią cię w spokoju.

- Jezus, Jezus, Jezus.

- Musisz mówić to szybciej, żeby duchy zostawiły cię w spokoju.

- Jezus-Jezus-Jezus.

- Tak chyba jest dobrze.

Stamford umieścił swoich rodziców obok chaty, jaką dzielili z inną kobietą, ale ich imiona nadal nie nadchodziły. Oderwał się na chwilę od swojego zajęcia, aby dotknąć pępka, a to upewniło go, że kiedyś był czymś dzieckiem, był częścią rzeczywistej żywej kobiety, która była z rzeczywistym mężczyzną. Miał pępek, a to stanowiło dowód, że kiedyś należał do matki. W wyobraźni Stamford ponownie wziął swoich rodziców i ustawił ich przed ogromnym domem pana, postawił ich przed panem i panią, ustawił ich przed dziećmi pana, wielkimi, rudymi i głośnymi jak trzy rozwścieczone byki. Umieścił ich na polach, umieścił ich w niebie, aż w końcu umieścił ich przed cmentarzem, na którym nie było żadnych imion. I teraz już wiedział - jego matka miała na imię June, otworzył więc prawą dłoń i wypuścił matkę. Jednak imię ojca nie przychodziło, chociaż ustawiał go na całej plantacji. Może Bóg ten jeden raz się pomylił. Stamford usnął, a tuż przed świtem obudził się i powiedział w otaczającą go ciemność:

- Colter.

Pogrążył się w żałobie po rodzicach i nie wrócił już do Cassandry. Ale bał się śmierci, po czterech dniach wbił więc sobie do głowy, że może Gloria jednak przyjmie go z powrotem, mimo że już powiedziała, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia. Obserwował, jak ona zajmuje się swoimi sprawami, i po powrocie z pola w czwartek wieczorem podszedł do niej, kiedy wracała z chaty Celeste i Eliasa, i powiedział:

- Co porabiasz, kochanie?

- To nie twoja zakichana sprawa.

- To jest moja sprawa, ponieważ ja czuję coś do ciebie.

- No to czuj to sobie gdzieś indziej, bo ja nie chcę, żebyś to czuł tutaj.

Próbował być cierpliwy i zaczął ją nachodzić dopiero po dwóch dniach. Podczas przerwy na obiad Stamford znalazł Głorię w odległym końcu pola, na którym pracowała, jedzącą posiłek wspólnie z Clementem, ostatnim niewolnikiem zakupionym przez Henrygo przed śmiercią.

- Po co tak tu siedzisz z Głorią? - zapytał Clementa.

Gloria się roześmiała i Clement poczuł, że może zignorować starszego mężczyznę. Ta dwójka nie przerywała jedzenia, na które składały się jakieś ciasteczka i trochę melasy.

- Zapytałem cię, co tu robisz z Głorią. Ona nie jest z tobą.

- A mnie się wydaje, że tak właśnie jest - odrzekł Clement.

- I mnie się wydaje, że tak właśnie jest - dodała Gloria. Stamford nachylił się i pchnął Clementa w lewe ramię.

- Stamford, lepiej odejść, dla własnego dobra - powiedział Clement.

- Daj spokój, Stamford - powiedziała Gloria, odkładając jedzenie z powrotem do kubelka.

- Zostaw mnie w spokoju, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre - rzekł Clement. Mieszkał w jednej chacie ze Stamfordem i zawsze byli w dobrych stosunkach.

- Aha, ja dobrze wiem, co jest dla mnie dobre. Wygląda na to, że tylko ty tego nie wiesz.

Jeszcze raz pchnął go w ramię, a Clement odepchnął jego rękę. Kiedy ponownie go pchnął, Clement wstał.

- Stamford, bo zawołam Moseśa - powiedziała Gloria, również się podnosząc.

Stamford uderzył Clementa w twarz otwartą dłonią, a Clement odpowiedział mu ciosem pięści, najpierw jednej, a potem drugiej. Gloria zaczęła krzyczeć, a do jej krzyku dołączyły się kobiety znajdujące się w pobliżu. Po drugim uderzeniu Stamford zaczął osuwać się na ziemię i zdawało się, że cały ten krzyk jeszcze bardziej go przygniatał. Clement już siedział na nim i zaczął go okładać pięściami.

- Masz mnie zostawić, tego chcę - powiedział Clement. - Masz mnie zostawić. Zostawić w spokoju. Zostaw, zostaw, zostaw.

Gloria pobiegła po Moseśa, Eliasa i innych mężczyzn, a kobiety próbowały odciągnąć Clementa od Stamforda, który teraz leżał nieruchomo, cały poraniony i zalany krwią.

- Stamford! - krzyczała Celeste - Tylko nie umieraj! Tak nie można!

A Tessie powtarzała za matką dokładnie to samo, słowo po słowie.

Kobiety podniosły Stamforda, zanim jeszcze przyszli mężczyźni. Następnie czterech mężczyzn zanieśli go do jego chaty, a Moses, który nie był wśród tych mężczyzn, kazał

wszystkim wracać do pracy. Nie chciał zanosić tej wiadomości do domu, do Caldonii, bo - jak powiedział mu kiedyś Henry - nadzorca powinien sam zajmować się takimi drobnymi sprawami. Ale kiedy dotarł do chaty i zobaczył, w jakim stanie jest Stamford, wiedział, że nie uda mu się tego przed nią ukryć. Celeste i Delphie poszły za nim i zajęły się Stamfordem.

- Boże, co wstąpiło w tego starego durnia? - pytała Delphie. Była trzy lata starsza od Stamforda.

- Róbcie, co w waszej mocy, aby go doprowadzić do porządku - powiedział Moses do kobiet. - Wrócę tu.

Stamford mrugał powiekami, a kiedy nie mrugał, jego wzrok był utkwiony w wiszącą w rogu sufitu pajęczynę. Chciał powiedzieć dotykającym go ludziom, że ta pajęczyna to była ręka ducha, która oznajmiała, że duch jest w drodze. Otworzywszy usta, przez krew i poluzowane zęby powiedział do pajęczyny:

- Jezus-Jezus...Idąc w stronę domu, Moses zobaczył, że po schodach wchodzi biały mężczyzna z wielką księgą pod pachą. Moses poszedł na tyły domu i zapukał, a drzwi otworzył mu Bennett, mąż kucharki.

- Stamford jest ranny - powiedział Bennettowi. - Trzeba o tym powiedzieć w domu.

- Poważnie ranny? - zapytał Bennett. Przyjaźnił się ze Stamfordem.

- Może śmiertelnie - odrzekł Moses. Bennett powiedział:

- O Jezu. Zaraz powiem komu trzeba.

Stojący u frontowych drzwi biały mężczyzna przyjechał z Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Atlas”, które miało siedzibę w Hartford w stanie Connecticut. To właśnie jego rozmowa, jaką prowadził z Calvinem przy drzwiach, zatrzymała tak długo Bennetta. W końcu Calvin nadszedł z Bennettem, a kiedy Moses mu opowiedział, co się stało, Calvin wyszedł i powrócił z Caldonia, za którą przyszły Maude i Fern Elston. Calvin powiedział człowiekowi z towarzystwa „Atlas”, że jego siostra nie jest zainteresowana ubezpieczeniem swoich niewolników.

- Poważnie ranny, *mistress* - powiedział Moses do Caldonii. - Przynajmniej z tego, co widzę.

Caldonia poleciła mu iść za sobą i wszyscy podążyli za nią z powrotem przez dom. Po drodze Maude dwukrotnie zapytała Mosesa, czy wytarł buty, na co Caldonia mówiła matce:

- Mamo, daj mu spokój.

Henry, postępując zgodnie z radą Williama Robbinsa, nigdy nie korzystał z ubezpieczenia na niewolników, a wdowa po nim, przynajmniej tego dnia, postępowała zgodnie z wolą swojego zmarłego męża.

Maude i Fern zostały w domu, natomiast Moses, Caldonia i Calvin chwilę później znaleźli się w chacie Stamforda. Pani podeszła do swojego niewolnika i uklękła przy sienniku.

Mężczyzna z towarzystwa „Atlas” znajdował się już wtedy na drodze, odjeżdżając w swoim amerykańskim. W Hartford w stanie Connecticut nauczono go, że kobiety są bardziej skłonne do ubezpieczania swoich niewolników niż mężczyźni.

- Stamford? - powiedziała Caldonia. - W co ty się wpakowałeś?

Wzięła od Celeste kawałek szmaty i wytarła resztki krwi z twarzy mężczyzny

- Celeste, proszę mi przynieść więcej szmat. Loretta, która uzdrowiła wielu niewolników na plantacji, weszła z pudełkiem pełnym czystych szmat służących jej za bandaż i uklękła obok Caldonii.

- I co ja mam teraz z tobą zrobić? - Caldonia zapytała Stamforda, biorąc szmaty z pudełka Loretty. Stamford przestał mrugać i koncentrował się na pajęczynie, starając się podnieść rękę i ostrzec wszystkich ludzi w chacie. *Nadchodzą duchy, nadchodzą duchy*, wydawało mu się, że mówi to do otaczających go osób. Oczy i policzki szybko nabrzmiwały, on jednak nie kojarzył tego z otrzymanymi ciosami. Czuł, że obrzęk pochodzi z mocy duchów. Drzwi do chaty były otwarte i wiejący wiatr poruszał gwałtownie pajęczynę. *Patrzcie na tego ducha*, ostrzegał w myślach innych. *Zostaw nas w spokoju. Nic ci nie zrobiliśmy. Jezus-Jezus...*

Kiedy już go umyły, zasnął. Obudził się koło trzeciej, a przy nim była Delphie z zupą, którą Caldonia posłała przez kucharkę Zeddie z domu. Drzwi były zamknięte, gdy Delphie go karmiła, a w czasie jego snu pajęczyna została zdmuchnięta. Twarz Stamforda wyglądała jak nabrzmiała piłka, ale Delphie udało się nakarmić go zupą. Jadł i myślał, jak to ciągle powtarzanie słowa „Jezus” pomogło. Tego dnia i tej nocy miał chatę dla siebie, ponieważ Moses odesłał Clementa i drugiego współmieszkańca na noc do innej chaty. Delphie spała na jednym z ich sienników. Loretta przychodziła jeszcze trzy razy, aby sprawdzić stan Stamforda - o siódmej, o dziesiątej i o piątej następnego ranka. To właśnie podczas wizyty o dziesiątej stwierdziła, że on przeżyje. Wizyta o piątej potwierdziła to raz na zawsze.

*

Żadna z oferowanych przez firmę „Atlas” polis nie zwróciłaby Caldonii strat wynikłych z półtoratygodniowej absencji Stamforda w pracy. Dopiero za kilka tygodni miano wprowadzić ubezpieczenie od wypadków niewolników przy pracy (ponieważ wypadek zdarzył się w polu, mogłaby dostać odszkodowanie, utrzymując, że był to wypadek przy pracy, jeśli tylko agent nie przyjechałby osobiście zobaczyć Stamforda). Te ubezpieczenia od

wypadków przy pracy wprowadzono, ponieważ agent w Południowej Karolinie poinformował Hartford, że wielu jego klientów pytało o możliwość ubezpieczenia niewolników zranionych podczas pracy. Mężczyźni i kobiety tracili ręce i nogi, cierpieli na różne dolegliwości bezpośrednio związane z wykonywanymi przez nich czynnościami, jak napisał agent w swoim liście do Hartford, a jego klienci pragnęli uzyskać za to jakieś odszkodowanie. W momencie pobicia Stamforda istniała polisa, z miesięczną składką 25 centów, z której Caldonia mogłaby uzyskać odszkodowanie w razie jego śmierci. Suma odszkodowania byłaby mniejsza niż cena, jaką Henry zapłacił za Stamforda-450 dolarów - ponieważ Stamford był już dużo starszy. Niemniej jednak pieniądze mogłyby się przydać na zakup kogoś innego, kogoś silniejszego i bez wątpienia lepiej potrafiącego się bronić.

Agent z towarzystwa „Atlas” przyjechał tego dnia do Caldonii, ponieważ Maude posłała mu wiadomość, że jej niedawno owdowiała córka bardzo potrzebuje pomocy. Maude wykupiła polisy na wszystkich swoich niewolników. Odjeżdżając tego dnia, człowiek z firmy „Atlas” zanotował sobie, że następnym razem musi nalegać na spotkanie z panią domu, a nie poprzestawać na odpowiedzi uzyskanej z ust męskiego krewniaka, który nic nie wie o zaletach produktów towarzystwa „Atlas”. Odpowiedź negatywna, jak uczono go w Hartford, przygotowywała jedynie grunt dla pozytywnej.

*

Stamford już nie chodził za Glorią czy Cassandrą. Chociaż zniknął duch z jego chaty, zaczął myśleć, że już długo na tym świecie nie pociągnie i że nie pokocha go już żadne młode ciało. Zrobił się nieznośny i wdawał się w ciągłe bójki z mężczyznami. Nawet przeklinał dzieci, kiedy w pobliżu nie było starszych, którzy mogliby go przegonić. Dzieci zaczęły mówić, że to człowiek, który wyrzekł się ludzkiego jedzenia. Mówiły, że Stamford je tylko gwoździe, zardzewiałe gwoździe, a pije tylko mętną wodę; im bardziej zmałona, tym dla niego lepsza.

Spotykał się z niewolnikiem z sąsiedniej plantacji, który od czasu do czasu częstował go alkoholem, zdaniem tego mężczyzny lepszym niż whisky pita przez białych. Podstawowym składnikiem były ziemniaki, fermentujące całymi miesiącami. Znajdowały się tam również inne rzeczy, z reguły wszystko, co ten mężczyzna miał akurat pod ręką: liście, martwe owady, kurze nóżki, gazety, brudne szmaty, słonawa woda. Wszystko wędrowało do wywaru. Po wypiciu tego alkoholu ciało na chwilę przechodziło w miły stan, w świat, który mężczyzna pędzący ten alkohol nazywał niebem na ziemi. Efekt był krótkotrwały i jeśli pijący od razu nie zasnął, nachodził go straszny ból głowy, gorszy niż uderzenie drzewa spadającego na głowę mężczyzny gdyż tylko mężczyźni ów trunek pili.

Trochę ponad trzy tygodnie po pobiciu przez Clementa Stamford szedł dróżką między chatami. Dzień wcześniej popił trochę tego alkoholu i czuł ból głowy. Źle widział. Było niedzielne popołudnie i padał deszcz. Nie pamiętał, skąd idzie, ale teraz zmierzał do chaty Delphie. Na błotnistej dróżce nie było nikogo oprócz Stamforda i jednego z trzech mieszkających tu kotów, któremu deszcz najwyraźniej nie przeszkadzał.

Zapukał do drzwi Delphie, a ona je otworzyła, zanim musiał zapukać powtórnie.

- Sporo dumałem nad tym, dlaczego ty i ja się nie zejdziemy - powiedział Stamford. W głowie, choć obolałej, miał jaśniejszy obraz niż tego poranka, ale nadal nie było dla niego do końca jasne, jak rozróżnić, co jest dobre, a co złe.

Delphie odrzekła: - Co?

Jak tylko mogła, pomagała mu wyzdrowieć po bójce z Clementem, a kiedy zobaczyła, że zwrócił się ku czemuś innemu, zajęła się własnymi sprawami.

Stamford wyszczerzył zęby w uśmiechu. „Droga do młodego ciała prowadzi przez las szerokich uśmiechów - mówił mu ten mężczyzna, gdy Stamford miał dwanaście lat. - Ale młode ciało jest tego warte”. Stamford uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ty i ja. My razem. Ty i ja zbieramy się razem i jesteśmy jak jedna mała rodzina, to właśnie mówię.

Jeśli nie mógł znaleźć sobie młodego ciała, weźmie, co się nadarzy. Zima nadciągała wielkimi krokami.

Delphie wyszła z chaty Nie uśmiechała się, ponieważ nie była zbyt szczęśliwa. Tacy mężczyźni jak on nigdy długo nie żyli. Umierali i dwa tygodnie później o nich zapominano.

- Ale ja tego nie chcę, Stamford. Ja tego wcale nie chcę.

- Ależ tak. Jasne, że tak. Mówię ci, ja mam to, czego ci brakuje, złotko. Mam, i to aż w nadmiarze.

„Zimą - jak radził mężczyzna młodemu chłopcu - możesz zawinąć się w młode ciało i nie musisz wychodzić aż do wiosny Możesz zapaść w sen zimowy, jak te misie”.

- Daj mi tylko jedną szansę, a pokażę ci, co mam, złotko. Tylko jedną szansę.

Delphie rozejrzała się po dróżce biegnącej między chatami. Padał drobny deszcz, nie tak mocny jak przedtem, a ona poznała to po tym, że na nielicznych miejscach porośniętych trawą źdźbła nie pochylały się i nie poruszały pod kroplami deszczu. Przeniosła wzrok z powrotem na Stamforda i uświadomiła sobie, że jest jej go żal bardziej niż jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej. Nawet bardziej niż martwego dziecka, pozbawionego matki i porzuconego na

drodze. Pamiętała, co wykrzykiwał przez sen w tych dniach, kiedy leżał pobity przez Clementa.

Stamford wyciągnął rękę i dotknął jej piersi. „A cycuszki”, jak opowiadał mężczyzna chłopcu, „te to dopiero opowiadają o kobiecie, sam zobaczysz, o czym mówię. Musisz im powiedzieć, czego chcesz, nawet jeśli usta tego przeklętego młodego ciała mówią coś zupełnie przeciwnego niż to, co byś chciał usłyszeć. Najpierw pogadaj z cycuszkami, a drzwi otworzą się, jak na zawołanie”.

Delphie zdecydowanym ruchem zdjęła jego rękę ze swojej piersi, a Stamford pozwolił, aby ręka bezwładnie opadła. Jego krew przemoczyła siedem dużych szmat. Drugą ręką Stamford otarł deszcz z twarzy, ale to i tak niewiele pomogło, ponieważ stał na dworze i padający deszcz wkrótce znowu mu ją zalał. W końcu zobaczył to, co ona widziała. Deszcz przestał padać na jakieś dziesięć sekund i Stamford, z uśmiechem nie schodzącym z ust, rozejrzał się, chcąc zobaczyć, dlaczego zapanowała ta nowa cisza. Kiedy jego wzrok ponownie spoczął na niej, ona czekała.

- Nigdy z tobą nie będę - powiedziała.

Deszcz znowu zaczął padać. Delphie podeszła bliżej i przez tę jedną chwilę znowu miał nadzieję, zapomniał, co powiedziała i chłonął jej zapach. Delphie położyła mu ręce na ramionach, chwyciła je mocno, mierząc go całego wzrokiem.

- Stamford, jak dla mnie jesteś zbyt wielkim mężczyzną, żebym mogła cię udźwignąć. Dźwigałam już wielkich mężczyzn i wiem, jak potrafią złamać kark. Mam tylko jeden kark i nie chcę go znowu łamać, przynajmniej zanim dożyję pięćdziesiątki. Cofnęła się, odwróciła i weszła do domu. Była przyzwyczajona do opieki nad ludźmi, starając się ich uzdrowić, upłynęła więc długa chwila, zanim zamknęła drzwi, a kiedy je zamykała, nie wydały żadnego dźwięku.

Stamford wyszedł na środek dróżki, prosto w błoto. Ten mężczyzna z przeszłości, jego doradca, ucichł w jego głowie. W zamysleniu ruszył w stronę przeciwną do tej, w którą się początkowo kierował, i brnął przez błoto w kierunku domu Caldonii. W miarę jak deszcz stawał się bardziej ulewny, uzmysławiał sobie, że w rzeczywistości oddala się od swojej chaty, odwrócił się więc i w rzęsiwym deszczu starał się ją dojrzeć. Ruszył dróżką. Błoto go wciągało. Szedł dalej i stopniowo zaczynał zdawać sobie sprawę, gdzie się znajduje. Minął chatę Celeste i Eliasa. Zatrzymał się. *Pada, pomyślał. Nie, przecież leje jak z cebra.*

Stał tak bardzo długo, a im dłużej stał, tym bardziej się zapadał. Cały zapał, z jakim żył na tym świecie, zaczął go teraz opuszczać. Czuł, jak życie spływa po jego klatce

piersiowej, w dół rąk i nóg, przekazując ziemi coś, czego nigdy nie mogło przekazać jemu samemu. Gdyby teraz Bóg spytał go, czy jest gotowy, odpowiedź byłaby tylko jedna:

- Zabierz mnie do domu. Albo rzuć mnie w dół, do piekła, już mnie to nie obchodzi.

Tylko zabierz mnie stąd.

Ruszył dalej, a błoto spowalniało jego kroki.

Kiedy zbliżał się do swojej chaty otworzyły się inne drzwi i pojawiła się w nich siedmioletnia Delores, trzymając w ręce wiaderko. Wyszła na dróżkę i w odległości metra do Stamforda poślizgnęła się i upadła w błoto.

- Ty głuptasie - odezwał się Stamford, pomagając jej wstać. - Co ty tu robisz, w takiej chłapie?

- Idę pozbierać trochę jagód - odpowiedziała Delores. W oddali, nad światem po prawej od chat, błyskawica rozblęła i zaraz zniknęła, zanim mężczyzna i dziewczynka zdążyli się zorientować, co się dzieje.

- Co? - zapytał Stamford. - Czy ty, dziewczynko, nie masz za grosz rozsądku, jaki dał ci Bóg?

Jeśli nawet kiedyś znał jej imię, już dawno je zapomniał.

- Mam - odrzekła Delores - zostaw mnie więc w spokoju.

Ona i Tessie, najstarsza córka Celeste i Eliasa, były jedynymi dziećmi, które nie bały się Stamforda, nie przejmowały się jego dietą opartą na gwoździach i mętnej wodzie.

- Zostaw mnie w spokoju. Stamford podał jej wiaderko.

- Dokąd, do diabła, idziesz w takim deszczu?

- Przecież ci mówiłam, idę na jagody - odpowiedziała. Ani dziewczynka, ani mężczyzna nie zauważyli brata Delores, czteroletniego Patricka, który stał w drzwiach ich chaty. Siostra powiedziała mu, żeby został w środku i nie otwierał drzwi, aż ona wróci.

- Idę zebrać trochę jagód - powiedziała Delores. - A teraz zostaw mnie, bo chcę iść.

Wytarła deszcz zalewający jej oczy i zamrugła do Stamforda.

- Jagody? - Popatrzył po chatach wokoło, jakby krzaki jagód rosły tylko kilka kroków stąd. - A gdzie jest twoja mama?

- Pomaga w domu państwa.

- A gdzie twój tato? - zapytał Stamford.

- W stajni, pomaga przy tym chorym koniu.

- Och Boże, Boże - powiedział. - Dawaj mi to dziadostwo. Dawaj mi to wiaderko.

- Potrzebuję je na jagody. Ja i mój brat chcemy jagód. Spojrzała na chatę i zobaczyła swojego brata.

- Przecież kazałam ci siedzieć w środku! - krzyknęła na Patricka, który zgarbił się, a potem pokazał jej język, chociaż ojciec uczył go, żeby nigdy tego nie robił. Patrick zatrzasnął drzwi.

- Daj mi to, przyniosę te przeklęte jagody, a ty zostań w domu - powiedział Stamford. Grzmoty i błyskawice zbliżały się i Stamford zdał sobie sprawę, że teraz deszcz jest jeszcze intensywniejszy. Spojrzał na dziewczynkę i na wiaderko.

- Ja to przyniosę.

Wiedział, że umrze, ale pomyślał, że ta drobnostka może mu pomóc uzyskać nic nie znaczący stołek gdzieś w tym kącie nieba, którym nikt się nie interesuje. Taki zakątek nieba zarezerwowany dla durniów, ludzi zbyt głupich, żeby schować się przed deszczem. Do tego zakątka ludzie dostawali się przez tylne drzwi rajy.

- Obiecujesz? - zapytała Delores.

- Jak już coś mówię, to znaczy, że tak będzie. A teraz włącz do domu, bo zamarzniesz na śmierć.

Dziewczynka weszła do chaty.

Stamford wylał z wiaderka to, co zebrało się w nim od wyjścia Delores z domu. Ruszył w stronę miejsca, o którym wiedział, że rosną tam jagody, znowu sam na dróżce między chatami. Słyszał kiedyś o trującej roślinie, którą pewien człowiek zjadł, aby przenieść się na drugi świat, ale ponieważ Stamford nigdy nie myślał, że może chcieć umrzeć, skoro na ziemi było tyle młodych ciał, nie zwrócił więc uwagi na to, co to była za roślina ani gdzie można ją było znaleźć. Pewna kobieta w hrabstwie Amelia zaostrzyła kamień i podcięła sobie żyły. Wykrwawiła się, puszczając krew na ziemię. Słyszał, że była bardzo piękna, musiało to więc być marnotrawstwo dobrego ciała. Może była kaleką, jak Celeste. Piękna była dobra. Kaleka - niedobra. Ten mężczyzna sprzed lat, jego doradca, nadal nie odzywał się w jego głowie, a Stamford wyszedł już spomiędzy chat na szeroką przestrzeń w pobliżu bezużytecznego lasku, do którego chadzał Moses, aby być sam ze sobą. Grzmoty i błyskawice były coraz bliżej, jakieś dwie mile za miejscem, w którym zdaniem Stamforda można było zebrać najśłodsze jagody. *Lepiej się pospieszyć*, pomyślał. *Lepiej uciec przed tą pogodą*. Chciał umrzeć, ale naprawdę nie chciał się w tym celu przeziębnić.

Znalezione przez niego miejsce było wprost bezcenne - kawał ziemi, częściowo leżący na sąsiedniej plantacji będącej własnością białych ludzi. Stamford nie zważał na to. Kiedy zobaczył to, czego szukał, bez namysłu wspiął się na ogrodzenie. Pracował bez przerwy i nie minęło pół godziny, a już skończył. Podniósł wiaderko. Tak, to powinno zaspokoić dwa dziecięce brzuszki do samej kolacji. Opuścił krzaki jagód i wrócił na plantację Townsenda.

Niebawem bezużyteczny lasek leżał już po jego prawej, a do chat zostało mu nieco ponad pół mili. Znajdował się teraz na ładnym kawałku otwartej przestrzeni, na którym, zdaniem niektórych kobiet, rosły najpiękniejsze łąszczce i wilce. Zebrał kilka, kiedy zalecał się do Glorii. Piękne kwiaty w spoconych dłoniach mężczyzny. Ale spełniły swoje zadanie. No właśnie. A może by ją zabił, zanim sam umrze. To by ją nauczyło. Posłać jej dupsko do piekła, tak żeby przez resztę wieczności siedziała na jednym z kiwających się diabelskich stołków na dwóch nogach i rozmyślała nad tym, co mu zrobiła. Zabić ją, a później siedzieć nad nią i z góry patrzeć, jak cierpi przez całą wieczność. Po chwili pomyślał, że takie złe myśli i jagody zebrane dla dzieci jakoś nie pasują do siebie. Deszcz wciąż padał, a grzmoty i błyskawice nadciągały coraz bliżej.

Nie zwrócił specjalnej uwagi na pierwszy grzmot, ale po drugim odwrócił głowę. Zdążył zobaczyć, jak najbliższe drzewo w lasku zadrżało, znieruchomiało, a po chwili znowu zadrżało. To był dąb. Po chwili ujrział pierwszą wronę lecącą jakby do góry nogami, spadającą na ziemię, a w ślad za ciałem ptaka trzepotały dwa albo trzy piórka. Kiedy zobaczył drugą wronę lecącą do góry nogami, już wiedział, że te dwa ptaki nie były owładnięte lotem, lecz śmiercią. Nie zdążył jeszcze mrugnąć, aby zetrzeć deszcz z oczu, gdy druga wrona znalazła się na ziemi obok pierwszej, a za nią sphywało jeszcze więcej piór. Jeśli ptaki wydawały nawet jakiś dźwięk przy upadku, to deszcz był zbyt głośny, żeby Stamford mógł coś usłyszeć.

Górna część drzewa świeciła teraz cudownym blaskiem żółtego światła, jakby umieszczono tam miliony świeczek.

Błyskawica uderzyła w ptaki i Stamford widział, że teraz buchała płomieniami na czubku drzewa, wciąż nienasycona. Przyszło mu do głowy że drzewo było bardzo wysokie i że jeśli komuś udałoby się wspiąć na jego czubek, mógłby skoczyć i zginąć na miejscu. Bardzo powoli, na jego oczach, miliony świec błyskawicy zebrały się razem i utworzyły jedną, dwumetrową, pulsującą linię błękitnego ognia, którą widział przez liście i gałęzie. Piorun zaczął pełznąć w dół drzewa, trzymając się blisko pnia, spalał wszystko po drodze - liście, gałęzie, konary i wszystko inne, co mogło się zdomowić na drzewie. W końcu dotarł do podstawy drzewa, nieodmiennie błękitny, nieodmiennie pulsujący i nieodmiennie dwumetrowy.

Stamford odstawił wiaderko i ruszył w stronę błyskawicy, w stronę swojej śmierci.

Nie uszedł jeszcze daleko, kiedy odwrócił się i spojrział na wiaderko z jagodami, które było lekko przechylone, ponieważ nieświadomie postawił je na małej grudce ziemi. Jeśli ktoś miał to znaleźć i wiedzieć, do kogo należało, to wiaderko powinno stać prosto i znajdować się bliżej chat, bliżej dzieci. Deszcz nawet na chwilę nie ustawał.

Błyskawica nie poruszyła się, ale gdy Stamford pobiegł w jej stronę, spłynęła na ziemię i teraz utworzyła linię ognia ułożoną na trawie, która jednak nie płonęła. Stamford zaczął biec szybciej. Kiedy znajdował się jakieś półtora metra od błyskawicy i lasu, piorun nagle odskoczył od niego i wbił się w drugie drzewo, rozcinając je na pół. Stamford zdążył zobaczyć, jak drzewo rozpada się, a dwie równe części postanawiają się rozdzielić. Opanował go beznadziejny smutek. Tak było codziennie - jedna przeklęta rzecz po drugiej.

Deszcz padał nieprzerwanie, a burza odsunęła się od Stamforda, kierując się w stronę chat. Wrony leżały u jego stóp. Stamford ukląkł. Ptaki spadały w śmiertelnym nieładzie, jednak na ziemi jakaś nieznaną siłą ułożyła je porządnie - pióra zewsząd pozbierane i z powrotem włożone w ich skrzydła, oczy zamknięte, czarne ciała i skrzydła lśniące jakby życiem. Nic spalonego. Leżały - jeden obok drugiego, tak jak mogły siedzieć na gałęzi obok siebie, zanim zakradła się do nich śmierć. Stamford pomyślał, że nawet gdy żyły, nie wyglądały tak pięknie. A nawet gdyby teraz, w tym właśnie momencie, powróciły do życia, to i tak nie mogłyby lepiej wyglądać. Teraz potrzebowały jedynie kogoś, kto by przyszedł i każdemu przygotował po trumience. Stamford polizał palce i potarł nimi o ptaki.

- Tak niewiele potrzebuję, żeby przenieść się na drugi świat - powiedział do pierwszej wrony Zamknął oczy i oczekiwał na śmierć. Zaczął mówić do drugiego ptaka:

- Nie skąp tego, co masz.

Dalej tarł o nie palcami i lizał dłoń. Mówił do każdego ptaka z osobna, jakby z każdym z nich łączyła go osobna i odmienna historia. Mówić do nich jak do pary, jakby były pojedynczą jednostką, byłoby wyrazem braku szacunku dla tej historii, jaką dzielił z każdym z nich z osobna. Nieustannie lizał palce i dotykał ptaków, ale jakoś żaden z nich nie chciał podzielić się swoją niewielką ilością śmierci.

- W porządku, ptaszku. Nie mam żalu do ciebie - powiedział do pierwszej wrony.

- Rozumiem, że to, co masz, wystarczy tylko dla ciebie - odezwał się do drugiego ptaka. - Nie mam do ciebie o to pretensji.

Poczuł, że spada na niego coś ciężkiego, coś, co nie miało nic wspólnego z deszczem, sięgnął więc ręką na czubek głowy Ściągnął z głowy coś, co zaczął rozpoznawać jako żółtko jaja. Potem na jego dłoń spadły kawałeczki skorupki, matowe zielone kawałeczki, popstrzone ciemnobrunatnymi plamkami. Spojrzał w górę, skąd spadało więcej jaj i skorupki, a także gałązki i patyki, z których zbudowane było gniazdo. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w te skorupki i żółtko, a deszcz nie ustępował. Odwrócił się, jakby usłyszał, że ktoś go woła. Następnie wziął trochę skorupki i wsunął je pod lewe skrzydła ptaków. Wtarł żółtko w ich ciała. A kiedy skończył, ziemia otworzyła się i pochłonęła ptaki. Rozplakał się.

Tak narodził się Stamford Crow Blueberry* - mężczyzna, który wraz z żoną miał założyć sierociniec dla kolorowych w Richmond. W 1909 roku kolorowi w Richmond nieoficjalnie przemianowali bardzo długą ulicę i nazwali ją imieniem jego i jego żony, i co rok, przez całe dziesięciolecie, wnioskowali do białych ludzi zasiadających we władzach Richmond, aby usankcjonowali zmianę nazwy. W 1987 roku, po kolejnej akcji w sprawie zmiany nazwy prowadzonej przez jedną z prawnuczek Delphie, władze Richmond ustąpiły i wzdłuż całej ulicy umieściły nowe tabliczki, na znak, że teraz nazwa jest oficjalna. * Crow - ang. wrona,

blueberry - ang. jagoda [przyp. tłum.].

Stamford powrócił do wiaderka jagód i kiedy przy nim ukląkł, natychmiast uzmysłowił sobie, że w wiaderku może być za mało jagód. Ale dzieci czekały już od długiego czasu, a on nie chciał ich rozczarować. Potrząsnął kubelkiem, sądząc, że może będzie wyglądać na pełniejsze. Trochę to pomogło, ale nie za bardzo. Chłopczyka można by nabrać, że było pełne, ale dziewczynka знаła się na rzeczy i będzie wiedziała, że nie udało mu się zebrać pełnego wiaderka. Skulił ramiona w nieustannie padającym deszczu. Zobaczył, że jedna jagoda stacza się z małej górki w wiaderku, złapał ją więc. Trzymał jagodę w palcach, a po chwili zaczął ją ścisnąć. Wypuściła trochę soku. Jagoda nie nadawała się już dla dzieci i pożałował, że ją wycisnął. Żeby się nie zmarnowała, włożył ją do ust. Nie była zła, ale nie mógłby żywić się tylko takimi rzeczami - Bóg dał mu głowę pełną zdrowych zębów, ale żaden z nich nie lubił słodczy. Co, do cholery, stało się z tym pełnym wiaderkiem? Przez chwilę żuł jagodę, a następnie ją przełknął i kiedy podniósł wzrok, zobaczył chatę nadlatującą w jego stronę przez deszczowe powietrze. Nie poruszała się w jakiś specjalnie groźny sposób i Stamford się nie obawiał. Ale podniósł się na nogi.

Chata zbliżyła się jeszcze bardziej i opadła na ziemię nie dalej niż trzy metry od niego. Drzwi się otwały i ukazała się w nich Delores, z rękami założonymi za plecy, bardzo zadowolona z siebie, jak mają w zwyczaju dziewczynki, które noszą jakąś tajemnicę i nie mogą się doczekać, żeby ją wyjawić. Otworzyła usta, jej zęby i język miały kolor niebieski - obraz dziewczynki uszczęśliwionej zjedzonymi jagodami. Obok niej pojawił się jej brat, Patrick, który również otworzył swoje niebieskie usta, aby pochwalić się swoim szczęściem. A potem, ni z tego, ni z owego, chłopiec zatrzasnął drzwi. To nie było skierowane do Stamforda - wbrew temu, co zawsze o nim mówiła jego siostra, nie trzeba było mu niczego dwa razy powtarzać. Chata uniosła się i powróciła tam, skąd nadleciała. Zamknięte drzwi musiały służyć jej za coś w rodzaju oka, ponieważ chata odwróciła się tak, aby drzwi mogły widzieć drogę powrotną.

W 1987 roku w urzędzie miasta Richmond zatrudniono młodą absolwentkę collegeu Świętego Krzyża i pierwszym zadaniem tej kobiety było zaprojektowanie tabliczki, na której miały znaleźć się imiona państwa Blueberry Prawnuczka Delphie, która była radną, chciała, aby na tabliczce widniały oba imiona, a nie jakiś prosty napis, jak „ulica Jagodowa”. Murzynka z collegeu Świętego Krzyża spisała się bardzo dobrze, i wieczorem, w dniu, w którym ukończyła swoje zadanie, zadzwoniła do swojej matki do Waszyngtonu i przeczytała, co udało się jej umieścić na jednej tabliczce - Ulica Stamforda i Delphie Crow Blueberry.

Po oddaniu wiaderka Delores i Patrickowi Stamford stanął na środku dróżki między chatami, w błocie i deszczu, i zaczął liczyć drzwi do chat, w których mieszkały dzieci. Pomijał te z niemowlętami, ponieważ wiedział, że takie dzieci były za małe, aby gryźć jagody i cieszyć się nimi. Poza tym nigdy nie słyszał o słodkim smoczku lukrowanym jagodami. Ciągłe mylił się w swoich obliczeniach i musiał kilka razy je powtarzać. Kiedy już skończył, zauważył, że pojawił się kolejny problem - skąd wziąć tak dużo wiaderk na te wszystkie przekłete jagody.

Deszcz przestał padać następnego dnia, ale trzy dni później powrócił. Było dużo gorzej i wszyscy, którzy byli zmuszeni chodzić w deszczu, bardzo boleśnie to odczuwali. „To był bardzo dotkliwy deszcz” - napisał w 1952 roku historyk Kim Woodford z college u w Lynchburgu. Deszcz spowodował wielką powódź, a historyk z Lynchburga napisał, i bynajmniej nie była to hiperbola, że mogło to być najgorsze zdarzenie, jakie dotknęło jakiegokolwiek hrabstwo od czasu, gdy Wirginia stała się jednym ze stanów Dwadzieścia jeden osób straciło życie, wśród nich ośmiu dorosłych niewolników, pięciu mężczyzn i trzy kobiety. Żadne dziecko, czy to białe, czarne czy też indiańskie, wolne czy w niewoli, nie ucierpiało. Nikt nawet nie liczył żywego inwentarza ani psów czy kotów, które zginęły, tak było ich wiele. Przez całe tygodnie ziemia była pokryta ciałami zwierząt.

*

Trzy tygodnie po dniu, w którym Clement pobił Stamforda, mężczyzna z towarzystwa „Atlas” po raz trzeci wrócił w wynajętym amerykańskim i dowiedział się od Caldonii, że ona nie życzy sobie żadnego ubezpieczenia. Maude zaglądała jej przez ramię, wzdychając z niezadowolaniem.

- Dzień dobry, pani Townsend - powiedział biały człowiek z wielką księgą w jednej ręce i z kapeluszem w drugiej do Caldonii, zanim odesłała go z kwitkiem. Po raz pierwszy miał okazję rozmawiać z nią osobiście. - Bardzo boleliśmy nad pani stratą. Moja firma, Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Atlas”, oraz wszyscy jej pracownicy, składamy pani nasze najszczęśliwsze wyrazy współczucia.

*

Opieka nad pobitym Stamfordem ostatecznie przekonała Caldonię, że - na ile to tylko możliwe - powinna odłożyć żalobę na bok i zająć się sprawami plantacji. Po wysłuchaniu Celeste, Glorii i Clementa postanowiła, że Clement nie zostanie ukarany. Przez Mosesa poleciła Stamfordowi, żeby na przyszłość się pilnował.

- Więcej żadnych bójek, żadnych - powiedziała Mosesowi, ale musiało jeszcze upłynąć wiele dni, zanim Stamford jej posłuchał. Dopiero po wronach, po jagodach i chacie.

Moses z własnej inicjatywy zarządził, że Stamford i Clement będą w trzy niedziele pracować po kilka godzin. Poszliby na skargę do Caldonii, ale sądzili, że on wszystko robił z jej polecenia. Pierwsza niedziela wypadła niedługo po tym, jak Stamford wrócił po pobiciu do pracy w polu, i pracował za niego Elias, ponieważ Celeste powiedziała, że jej zdaniem Stamford nie da rady pracować siedem dni z rzędu.

Następstwem bójki było to, że Caldonia kazała Mosesowi przychodzić do niej każdego wieczoru, po zakończeniu wszystkich prac, i składać sprawozdanie. Stał w salonie i opowiadał jej o wszystkim, co wydarzyło się danego dnia, zaczynając od tej chwili zaraz po śniadaniu, kiedy to spotykał się z niewolnikami na dróżce między chatami, a kończąc na wieczorze, kiedy mówił im, że dzień pracy się skończył. Początkowo sprawozdania zajmowały tylko kilka minut. Ale w miarę jak upływały kolejne dni od śmierci Henrygo, mówił coraz dłużej, ponieważ wyczuwał, że Caldonia pragnęła jego słów. Maude, a czasami również Fern, uciekała chyłkiem z salonu, zanim jeszcze skończył, ale Caldonia i Calvin słuchali każdego słowa. I kiedy w końcu Caldonia została w domu sama, po wyjeździe matki, brata i Fern, nadal go słuchała, a jego sprawozdania stawały się jeszcze dłuższe, czasami trwały całą godzinę. Dość szybko zaczął odchodzić od mówienia o pracy wykonanej w danym dniu i zaczął wymyślać różne własne opowieści o niewolnikach. Loretta siedziała na krześle w kącie pokoju, doskonale wiedząc, co jest prawdą, a co nie, ale nigdy nie mówiła o tym swojej pani.

Wieczorem w dniu wyjazdu Fern Caldonia poprosiła Mosesa, aby usiadł. Spojrzał na Lorette siedzącą na krześle i po dłuższym wahaniu zajął wskazane mu miejsce. Caldonia powiedziała Lorecie, że może już udać się na spoczynek, i Loretta wyszła.

- Byłeś tu od samego początku, prawda? - zapytała Caldonia.

- Proszę?

- Byłeś tu z Henrym od samego początku, od pierwszego dnia?

- Tak jest, proszę pani.

- Co robiłeś?

Moses podniósł wzrok z kolan i zaczął wymyślać pierwsze dni, kiedy to budowali dom, a na ziemi było tylko to, co stworzył Bóg. Caldonia siedziała na skraju kanapy, ubrana w swoją żalobną suknię.

- *Masta* Henry od początku wiedział, jaki dom chce zbudować, *mistress*. Wydaje mi się, że wtedy nawet jeszcze nie wiedział o pani, ale musiał to jakoś wiedzieć, że pani tam gdzieś jest i że pani tam na niego czeka, ponieważ postanowił zbudować taki dom, jaki się pani spodoba. Stworzył go z niczego. Ja byłem przy tym, ale nie byłem tak, jak on przy tym był. Tego pierwszego dnia powiedział do mnie: „Moses, zaczniemy od kuchni. Zona potrzebuje miejsca, w którym może przygotowywać posiłki dla rodziny. Tu właśnie zaczniemy”. I *masta* schylił się i wbił ten pierwszy gwóźdź. *Bach!* To było w poniedziałek, *mistress*, ponieważ *masta* Henry uważał, że nie należy niczego zaczynać w niedzielę, w Dzień Pański.

Caldonia, z rękami przyciśniętymi do piersi, odchyliła się na kanapie i zamknęła oczy. Historia o pierwszym gwoździu pojawiła się nieco ponad miesiąc po złożeniu Henrygo do grobu. Między niewolnikami mówiono, że opowiadanie łgarstw o zmarłych stanowiło najkrótszą drogę do piekła, ale Moses o tym nie myślał, opowiadając o pierwszym gwoździu, nie myślał, że zmarli pragną, aby o nich mówiono prawdę. Nie myślał o tym aż do dnia, kiedy Oden Peoples, Indianin Cherokee, zwrócił się do stojących obok mężczyzn, wskazując na Mosea:

- Podnieście go tu. Ja go zabiorę. Nie będzie długo krwawił.

*

Barnum Kinsey, mężczyzna uczestniczący w patrolach i najbiedniejszy biały w hrabstwie Manchester, był zupełnie trzeźwy, kiedy spotkał się z Harveyem Travisem i szwagrem Trávisa, Odenem Peoples, pewnego wieczoru we wrześniu, nieco ponad pięć tygodni po śmierci Henry'ego Townsenda. Barnum już od trzech i pół tygodnia był trzeźwy i z doświadczenia wiedział, że jeśli przetrzyma czwarty - a może i piąty - tydzień bez picia, może przejść przez resztę roku bez pragnienia, które często ogarniało go w tych pierwszych tygodniach, pragnienia, które męczyło go nawet w tym momencie, gdy jechał na spotkanie z Travisem i Odenem pod najjaśniejszym księżycem, jaki widział od dawna.

Po pięciu tygodniach trzeźwości będzie mógł spojrzeć temu pragnieniu prosto w oczy i powiedzieć mu - „nie”, i kazać mu odejść od siebie. Później zaś, z nowymi siłami, będzie mógł zebrać to, co jego ziemia da mu tej jesieni, a przez pozostałą część roku będzie mógł wynajmować się, aby on i jego rodzina w dobrych warunkach przetrzymali zimę.

Rozpaczliwie obawiał się przebywania w zimie na zewnątrz, postrzegał nadciągającą zimę jak rzucone mu przez Boga wyzwanie, przypomnienie, aby się pozbierał z upadku spowodowanego pijaństwem i niezachwianie kroczył na dwóch nogach. Jego dziadek, który również lubił zaglądać do kieliszka, umarł właśnie w zimie, kiedy poszedł się napić i zamarł na śmierć czwartej najzimniejszej nocy tej zimy. Ojciec Barnuma nie był pijakiem i Barnum przez długi czas myślał, że to przekleństwo miało zwyczaj nawiedzać jego rodzinę w co drugim pokoleniu, ponieważ żaden z jego dwóch synów z pierwszego małżeństwa nie wykazywał skłonności do alkoholu. Chłopcy z drugiego małżeństwa mieli jeszcze czas powąchać, czym to pachnie, picie nie mogło być więc na razie problemem. Co się tyczy kobiet w kolejnych pokoleniach jego rodziny, przekleństwo omijało je wszystkie i kroczyły przez świat niezbrukane, z umysłami czystymi, nie musząc stawiać czoła wyzwaniu, jakie rzucał Bóg każdej zimy.

Cała trójka - Barnum, Travis i Oden - jechała razem i kiedy zbliżała się godzina dziesiąta, na drodze pojawił się Augustus Townsend na swoim wozie ciągniętym przez muła tak zmęczonego jak jego właściciel. Był to starszy z dwóch mułów Augustusa i właściciel nie wykorzystywał go do pracy tak często, jak tego młodszego, ale od czasu do czasu zabierał go ze sobą, aby mu pokazać, że wciąż pokłada w nim zaufanie. Muł i jego pan zawieźli kufer, krzesło i laskę do mężczyzny mieszkającego dwa hrabstwa dalej, do białego mężczyzny, który niedawno wydał za mąż ostatnią z trzech córek i mógł teraz przeznaczyć trochę pieniędzy na własne potrzeby

- Uszczęśliw mnie czymś - poprosił Augustusa - zanim na świat przyjdzie kolejny wnuk.

Augustus jak zwykle źle oszacował czas, jaki miała zająć podróż w obie strony, i w związku z tym i on, i muł byli już o dzień spóźnieni w drodze powrotnej do jego żony, Mildred. Augustus przez cały dzień myślał o Henrym i przez cały ten czas starał się tego nie robić.

- Zatrzymaj się - powiedział Travis do Augustusa. - Zatrzymaj się i przedstaw.

Na wozie Augustusa wysoko nad kozłem wisiała latarnia. Muł lubił to światło. Zdawało się uspokajać go podczas pracy. Latarnia i księżyc dawały wystarczająco dużo światła, aby Travis mógł zobaczyć Augustusa, którego którego wcześniej zatrzymywał już wiele razy.

Augustus zatrzymał się i wyjął dokumenty poświadczające jego wolność. Był zbyt zmęczony, żeby coś mówić, a poza tym wiedział, że słowa nic tu nie pomogą, zwłaszcza z tym białym, Travisem, i prawdopodobnie również z tym Indianinem, Odenem.

- Dobry wieczór, Augustusie - powiedział Barnum. Augustus w pierwszej chwili go nie zauważył.

- Dobry wieczór, panie Barnum. Jak się ma rodzina?

- Dzięki Bogu, wszystko w porządku.

- Nie jesteśmy na jakimś tam kościelnym spotkaniu towarzyskim - powiedział Travis, wrywając dokumenty z rąk Augustusa. - To poważna sprawa prawna.

Travis, który potrafił czytać, trzymał dokumenty wysoko uniesione i, korzystając ze światła latarni Augustusa, przekładał je tam i z powrotem. Nie czytał ich zawartości, ponieważ wcześniej robił to już wiele razy. *Zarówno ty, jak i ja*, myślał Augustus, patrząc na białego człowieka, *znamy te dokumenty na pamięć*. Sam nie potrafiąc czytać, Augustus wkrótce po uzyskaniu wolności dał wolnemu kolorowemu mężczyźnie laskę za to, że ten przez dwa tygodnie pięć razy dziennie czytał mu te dokumenty, i tak słuchając, Augustus zapamiętał każde słowo.

- To dobre papiery - odezwał się Augustus. - Już od dawna jestem wolnym człowiekiem, panie Travis.

- Nie jesteś wolny, dopóki ja i prawo nie stwierdzimy, że jesteś wolny - powiedział Travis.

- Daj spokój Harvey, przecież od lat znamy Augustusa - odezwał się Barnum.

- Nie mów mi, co ja znam, a czego nie znam. Trzymaj tę swoją kartoflaną jadaczkę zamkniętą. Możesz sobie gadać z butelką, jeśli będzie chciała cię słuchać. Dobrze mówię, Oden?

- Jestem po twojej stronie - rzekł Oden - jeśli o to ci chodzi. Barnum, John na pewno nie chciałby, żebyśmy przepuszczali ludzi tylko dlatego, że robiliśmy to już wielokrotnie. To nielegalne.

Travis pomachał papierami i powiedział do Augustusa:

- Wkurza mnie, jak widzę cię, gdy tak sobie jeździsz tam i z powrotem, jakby cię nic nie obchodziło, nawet nie powiesz: „Tak, proszę pana, piękny dzień, nieprawdaż?” Nigdy niczego takiego, jak: „Czy mógłbym pocałować dzisiaj pana w dupcię, proszę pana”.

- Robię tylko to, do czego mam prawo - odrzekł Augustus.

Travis zaczął jeść dokumenty, zaczynając od ich prawych dolnych rogów, powoli przeżuwał te rogi i w końcu je połknął.

- Tyle właśnie myślę, że masz prawo zrobić z twoim prawem do robienia czegokolwiek.

- Zaraz, zaraz - powiedział Augustus. - Przestań, natychmiast.

Podniósł się na wozie, trzymając lejce w lewej dłoni. Muł ani na krok nie ruszył się od czasu, gdy Augustus go zatrzymał.

Travis zabrał się za jedzenie pozostałych resztek papieru, robiąc z tego głośne przedstawienie, a kiedy już skończył jeść, oblizwał palce.

- Jesteś pewien, że wiesz, gdzie miałeś te palce? - zapytał Oden. Travis roześmiał się i beknął.

- Harvey, na Boga, przecież te papiery należą do niego. - odezwał się Barnum. - Co on teraz zrobi?

Spojrzał za plecy Augustusa i zobaczył, że coś się do nich zbliża. Miał nadzieję, że to Skiffington.

- Tak nie można, Harvey. Tak po prostu nie można. Travis otarł usta wierzchem dłoni.

- Tu nie ma znaczenia, czy można, czy nie można. Najlepsze jedzonko od tygodni.

Kawalki papieru weszły mu między zęby i teraz cmokał, a papier wychodził z łatwością.

- Nie chciałbym być na twoim miejscu rano, jak będziesz musiał to wysrać - odezwał się Oden.

- No, nie wiem - odrzekł Travis. - A może wyjdzie jak po maśle? Nie będzie gorzej niż po kapuście.

Do czwórki mężczyzn podjechał wóz dwa razy większy niż wóz Augustusa. Prowadził go wielki czarnoskóry mężczyzna, a obok niego siedział dużo mniejszy, biały, okryty skórkami bobra. Wyglądało na to, że zupełnie nie przeszkadza mu wrześnieowy upał. Z tyłu wozu znajdowała się czwórka dorosłych Murzynów i jedno czarnoskóre dziecko. Biały mężczyzna na wozie wziął w ręce dwie bobrowe łapki i głęboko wciągnął ich zapach.

- Nie ma to jak zapach Tennessee - powiedział.

- Darcy, Darcy - odezwał się Travis. - Dokąd się wybierasz? Znowu się żenisz? Zużywasz kobiety szybciej niż ja nadużywam gościnności.

- Ja tylko przejeżdżam z moim dobytkiem, zanim wasz szeryf mnie zobaczy i wsadzi nos w moje sprawy John Skiffington powinien się nazywać John Sniffington*. * *Sniff* - ang. węszyć [przyp. tłum.].

Darcy miał czterdzieści dwa lata, ale ze swoją rozczochraną, opadającą aż na kolana brodą i prawie całym ciałem pokrytym skórkami mógłby uchodzić za siedemdziesięciopięciolatka.

Travis się roześmiał, a Oden mu zawtórował. Barnum się nie odzywał. Dziecko z tyłu wozu zakaszlało.

- Wygląda na to, Darcy - powiedział Travis - że nadjechałeś w najbardziej odpowiedniej porze. Nie sądzę, żebyś w ogóle wiedział, jaka jest teraz pora, ale dzisiejszej nocy, nawet o tym nie wiedząc, chyba jesteś w odpowiedniej porze. Niezbadane są ścieżki Boga.

- Niech mu będzie chwała. Urodziłem się z zegarem w głowie - zażartował Darcy. - Tik-tak. Tik-tak. Od nocy do nocy Tik-tak.

- Właściwie nie to miałem na myśli, kiedy zatrzymywałem tego czarnucha, ale czemu nie, może być i tak - powiedział Travis.

- A co masz dla mnie, Harvey?

- Czarnucha, który nie wiedział, co ma robić ze swoją wolnością. Myślał, że to oznacza, że jest wolny

- To ten - i Darcy pokazał na Odena. Darcy roześmiał się i szturchnął łokciem siedzącego obok niego czarnoskórego mężczyznę.

- Już dawno nie sprzedawałem Indian. Może z pięć miesięcy temu. Nie dostałem tyle, ile się spodziewałem. Pamiętasz, Stennis? - i jeszcze raz szturchnął Murzyna łokciem.

- Nie było tak źle, jeśli dobrze pamiętam, *masta* - odrzekł Stennis.

- No, będę polegał na tym, co ty pamiętasz, bo zawsze pamiętasz lepiej niż ja. Ten zegar w mojej głowie jakoś nie współpracuje z pamięcią. Cholerny egoista. Wezmę obu, Indianina i czarnego.

- Tego nie - powiedział Travis o Odenie. - To krewny. Rodzina. Znasz Odena. Mówię o tym czarnuchu na wozie.

Barnum odezwał się do Darcyego:

- Panie, ten Augustus Townsend jest człowiekiem wolnym. Nie można go kupić. Proszę zostawić go w spokoju.

Travis przechylił się w siodle i pchnął Barnuma, a potem na niego splunął.

- „Ten Augustus jest człowiekiem wolnym. Ten Augustus jest człowiekiem wolnym”. Bardziej mi się podobałeś, Barnum, jak byłeś tak nawalony, że ledwo stałeś na nogach. Byłeś wtedy bardziej do rzeczy. Jeśli ja mówię, że czarnuch jest na sprzedaż, to jest na sprzedaż i ten jest właśnie na sprzedaż.

- Panie - Augustus odezwał się do Darcyego. - Już od wielu lat jestem wolnym człowiekiem. Wyzwolonym przez pana Williama Robbinsa.

- Tak, tak, tak. Wesołych świąt, wesołych świąt - odrzekł Darcy. - Ile chcesz, Harvey?

- Powtarzam, że on jest wolny - powiedział Barnum.

- Dasz mi dwieście, a będę dzisiaj spać spokojnie - odezwał się Travis i skierował pistolet w stronę Barnuma.

- Do diabła, to chyba chcesz spać spokojnie przez cały miesiąc, Harvey. Chcesz ze mnie zrobić jakąś swoją cholerną poduszkę i materac?

- Sto.

- Mogę dać dwadzieścia pięć dolarów. Tych dwóch mówi, że jest wolny, Harvey. Mogę mieć z tego powodu kłopoty.

- Daj spokój, Darcy. Ten czarnuch robi meble. Rzeźbi w drewnie, a jeśli nie uda ci się znaleźć drewna, na pewno ma dobre plecy do innych celów. Daj mi sto.

- Ale mówi, że jest wolny, Harvey. Ja tu ryzykuję. Trzydzieści dolarów.

Augustus chwycił lejce, gotowy odjechać. Oden wyjął swój pistolet, popatrzył przez chwilę na Travisa i wymierzył broń w Augustusa.

- Na twoim miejscu bym został. Myślę, że powinieneś zostać - powiedział Oden. Augustus się zatrzymał.

- Tak, zostań - powiedział Travis. - Barnum wyciągnie banjo i będziemy się świetnie bawić. Słuchaj Darcy, ja też ryzykuję. Niech będzie pięćdziesiąt dolarów. Zgadzam się na pięćdziesiąt.

- Hm - zastanawiał się Darcy. - Muszę przyznać, że z ciebie jest nielichy negocjator. Stennis, czy stać nas na to, żeby temu człowiekowi dać pięćdziesiąt dolarów?

- Nie pytaj czarnucha o interesy białych ludzi - rzucił Travis.

- Żyję i umrę ze Stennisem - odrzekł Darcy. - Nie masz pojęcia, Harvey, ile on dla mnie zrobił.

- *Marse* - odezwał się Stennis - stać nas na pięćdziesiąt dolarów, ale nie wydaje mi się, żeby nas było stać na wiele więcej.

Travis krzyknął:

- Siedemdziesiąt pięć dolarów! Na Boga, Darcy. Nie pozwól, żeby ten czarnuch mnie oszukiwał. Nie pozwól, żeby czarnuch zajmował się interesami białych.

- W takim razie pięćdziesiąt - rzucił Darcy i znowu powąchał bobrowe łapki.

- Cholera jasna! W takim razie dziesięć dolarów za muła - rzekł Travis.

- Jakiego muła? - zapytał Darcy.

- Tego tutaj.

Ktoś poruszył się z tyłu wozu i Augustus usłyszał dźwięk łańcuchów. Dziecko znowu zakaszlało.

- Możesz mi go dać za darmo, Harvey Niewiele zostało z tego muła. A może śpiewa i tańczy w świetle księżyca?

- Nie szydź ze mnie - rzekł Travis. - Możesz mówić, jak kiedyś, że nie znam się na wartości czarnuchów. Nie ma sprawy, nie będę się kłócił, ale znam się na mułach i koniach. Dobrze się na nich znam, Darcy Chcę dziesięciu dolarów. On jest wart dziesięć dolarów.

- W porządku, Harvey Ale lepiej będzie, jeśli ten muł zaraz nie padnie. Lepiej dla ciebie, żeby był wart tych pieniędzy, bo inaczej będę cię ścigał. - Darcy się roześmiał, a Stennis zaraz mu zawtórował. Następnie zaśmiał się Travis, a po nim Oden. Stennis pochylił się, sięgnął na podłogę i wyciągnął spod nóg metalową kasetkę. Otworzył ją kluczem, który nosił zawieszony na szyi, wyjął trochę monet i włożywszy je do małego woreczka, rzucił woreczek Travisowi.

Darcy kazał Augustusowi zejść z wozu, na co Augustus powiedział, że tego nie zrobi.

- Panie, jestem wolnym człowiekiem.

- Tak, tak, tak. Wesołych świąt, wesołych świąt. A teraz złaż na dół.

Augustus odparł, że nie zejdzie.

- Stennis - powiedział Darcy - dlaczego zewsząd zagrażają nam ludzie niereformowalni? Dlaczego, gdzie się nie obrócimy, oni nam zagrażają? Czy w jakiś sposób nie spodobaliśmy się Bogu?

- Nie wiem, *marse*. Myślałem o tym i myślałem, ale wciąż nie wiem.

- Ale, Stennis, zgodzisz się ze mną, że grożą nam ze wszystkich stron?

- To święta prawda, co pan mówi - odparł Stennis. Travis schował pistolet do kabury i zsiadł z konia, również Oden zsiadł z konia, wciąż trzymając Augustusa na muszce pistolem. Ale zanim jeszcze dobrze stanęli na ziemi, Stennis zeskoczył z wozu i bez żadnego wysiłku jednym ruchem doskoczył do Augustusa. Ściągnął go z wozu i zaczął okładać pięściami.

- Tylko żebyś nie uszkodził mojego nowego nabytku - powiedział Darcy.

Stennis i Travis zaciągnęli Augustusa na tył wozu Darcy'ego i wkrótce przykuli go do łańcucha czarnego mężczyzny siedzącego najbardziej z tyłu. Augustus znowu chciał powtórzyć, że jest wolnym człowiekiem, ale ból był zbyt wielki, a słowa i tak nie mogły wydobyć się z jego ust, ponieważ miał w nich pełno krwi i gdy tylko ją wypluwał, zaraz usta napelniały się nową.

Stennis wyprzągł muła Augustusa i przywiązał go do tyłu wozu.

- No, to ja teraz - powiedział Darcy do Trávisa, kiedy Travis i Oden znaleźli się już na koniach, a Stennis usiadł obok niego na koźle - no, to ja teraz pozwolę, żeby wiatr niósł mnie i mój dobytek.

Darcy zawinął się szczerzej w bobrowe skórki.

- Ach, być w Tennessee. O tym marzę, Stennis.

- Ja też.

- Modlę się do Boga, Stennis, aby moje marzenie się spełniło.

Ich wóz był zaprzężony w dwa konie i wystarczyło, że Stennis wziął lejce, a oba konie ruszyły bez żadnego polecenia, muł podążył za nimi i w mgnieniu oka wóz zniknął.

Zbliżała się jedenasta. Barnum popatrzył w stronę, w którą odjechał Augustus i powiedział:

- Nie powinieneś był tego robić, Harvey Wiesz, że nie powinieneś. Ty o tym wiesz i ja to wiem - odwrócił się w stronę Odena. - Nawet Oden o tym wie.

- Ja nic takiego nie wiem - odezwał się Oden.

- No to powinieneś. Obaj nie powinniście byli tego robić. Dlaczego to zrobiliście?

- To nie o to chodzi - powiedział Travis do Barnuma. - Nie chodzi o to, dlaczego on i ja to robimy, ale dlaczego ty tego nie robisz. To jest odwieczne pytanie. Dlaczego człowiek, nawet tak bezwartościowy jak ty, widzi, co jest słuszne, a i tak nie chce tego robić?

Travis odchrząknął i splunął na drogę. Powiedział:

- To jest właśnie to całe pytanie, jakie musimy sobie zadać. - Przez chwilę się nie odzywał. A potem powiedział:

- No dobra - i podał Barnumowi dwudziestodolarową złotą monetę, a drugą taką monetę rzucił Odenowi, który, wsiadłszy na konia, schował swój pistolet do pochwy i mógł złapać pieniądze w dwie dłonie.

- Nie chcę tych pieniędzy - rzekł Barnum. - Nie biorę ich. Oddał złotą monetę Travisowi.

- Weźmiesz je i jeszcze będziesz się cieszył - powiedział Travis, wyjmując pistolet i ponownie mierząc z niego do Barnuma. - Jesteś po stronie czarnucha? Tak? Odsuwasz się od białego i stajesz po stronie czarnucha? Tak to jest?

- Tak, tak właśnie jest - odezwał się Oden. - Stajesz po stronie czarnucha przeciw białemu?

- Po prostu nie chcę ich, to wszystko - powiedział Barnum. Travis, zwrócony na południe, podjechał do Barnuma, który był odwrócony w kierunku północnym. Byli tak blisko siebie, że ich uda się stykały, a ich wierzchowce, zaniepokojone taką bliskością, zaczęły nerwowo drżeć. Travis przyłożył pistolet do skroni Barnuma.

- Powiedziałem, że weźmiesz je i jeszcze będziesz się cieszył.

Włożył pieniądze Barnumowi za koszulę.

- Wesołych świąt, wesołych świąt - powiedział. Barnum odjechał.

- I tak bez słowa podziękowania, Barnum?! - krzyknął za nim Travis. - Będę musiał złożyć szeryfowi Skiffinktonowi raport, że na patrolu nie wypełniasz swoich obowiązków do końca. Widzisz, Oden, odjechał bez słowa podziękowania.

- Tak - dodał Oden - i nawet nie powiedział „dobranoc”.

- Możemy zakończyć tę noc - stwierdził Travis. - Znaleźliśmy, przesłuchaliśmy i ukaraliśmy dzisiejszej nocy jednego przestępcę. Prawdziwego uciekiniera. Możemy spokojnie zakończyć tę noc, Oden.

- Czemu nie - i Oden ruszył. - Pozdrów ode mnie Zarę i dzieciaki, dobra? Powiedz im, że o nich pamiętam.

- Tak. I pozdrów ode mnie Tassock i twoje dzieciaki - odrzekł Travis. - Ja zajmę się wozem tego czarnucha. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział Oden.

Travis patrzył za odjeżdżającym Odenem, a po kilku minutach zsiadł z konia i korzystając z ognia z latarni Augustusa, zapalił za wozem siano, w które były zawinięte meble w drodze do nowych właścicieli. Kiedy ogień rozpałił się już na dobre, Travis wziął zapalony wiecheć z pobocza i wrzucił go na wóz. Następnie ponownie wsiadł na konia i bez ruchu patrzył na ogień. Był zdecydowany oglądać pożar do samego końca. Koń cofał się przed narastającym żarem ognia, a Travis mu w tym nie przeszkadzał. Po blisko godzinie zsiadł z wierzchowca i trzymając cugle w rękach, podszedł do pogorzelska. Koń był trochę nerwowy ale kiedy Travis odwrócił się i zapewnił go, że wszystko jest w porządku, zwierzę się uspokoiło. To było najmądrzejsze zwierzę, jakie znał. Nauczył je cofać się na komendę „ogień”. A na polecenie „woda” koń wiedział, że ma znowu ruszyć do przodu. Teraz koń stał spokojnie za nim, a Travis miał wrażenie, że słyszy bicie serca zwierzęcia w otaczającej ciszy, przerywanej jedynie trzaskaniem ognia i odgłosami porozumiewających się między sobą owadów, jedynymi obcymi dźwiękami na tym świecie. Oddech z końskiego pyska co jakiś czas rozwiewał włosy Trávisa.

Doczekał do samego końca pożaru, patrzył, jak opadły na ziemię pozbawione drewnianego oparcia metalowe części wozu. Około pierwszej nad ranem ogień zaczął słabnąć, a następnie, niemal godzinę później, dogasać i tylko w kilku miejscach żarzyło się kilka węgielków. Puścił cugle i zebrawszy nieco ziemi z drogi, rozsypał ją na tym, co pozostało z ognia. Podniósł się dym, szary, słaby, prawie bezcelowy, ponieważ unosił się najwyżej pół metra w górę i tam się rozwiewał.

Po raz pierwszy usłyszał o Augustusie Townsendzie wiele lat wcześniej, kiedy zobaczył krzesło, które Augustus wykonał dla białego człowieka w mieście Manchester. Ten mężczyzna ważył ponad sto siedemdziesiąt kilogramów „Ponad czterysta funtów” - jak sam opowiadał. Był kawalerem, ale to nie miało nic wspólnego z jego wagą. Harvey Travis wybrał się pewnego dnia do tego człowieka w sprawie ścinki drzewa. W salonie tego mężczyzny stało krzesło zrobione przez Augustusa, proste, nawet niepolakierowane, ale gładkie w dotyku, a kiedy mężczyzna na nim usiadł, krzesło się nie poskarżyło, ani razu nie zaskrzypiało. Po prostu trzymało się i spełniało swoje zadanie w oczekiwaniu, aż mężczyzna przytyje kolejne sto kilogramów. Kiedy gospodarz wyszedł przynieść mu pieniądze, Travis zbadał to krzesło, obejrzał je dokładnie, próbując zgłębić kryjącą się w nim tajemnicę. Ale krzesło niczego nie zdradziło. To było bardzo dobre krzesło. To było krzesło warte kradzieży.

Kiedy już ogień dogasł, Travis odwrócił się i wytarłszy dłonie w spodnie chwycił cugle. Nauczył konia kiwać raz łbem na słowa „dzień dobry”.

- Dzień dobry - powiedział do konia, na co ten raz kiwnął łbem. Koń potrafił również kiwać głową dwa razy na słowa „dobry wieczór”, a na „do widzenia” i „dobranoc” kiwał łbem trzy razy. Travis jeszcze raz powiedział:

- Dzień dobry - ale poczuł, że to za mało, powtarzał to więc bez przerwy, a koń bez przerwy kiwał głową. A potem, jakby mało mu było „dzień dobry”, przeszedł przez wszystkie dzienne i nocne pozdrowienia i pożegnania, a koń cały czas kiwał głową, aż w końcu zwierzę, wyczerpane i skołowane, opuściło łeb i przestało reagować. Travis stał przez długi czas i głaskał czoło konia. Nauczył również konia odwozić pana do domu. To się sprawdzało, kiedy droga do domu była prosta, kiedy biegła prosto jak strzeł. Jeśli było inaczej, koniowi zdarzało się powędrować drogą, która nie prowadziła do domu. Travis wsiadł na konia.

- Zawieź mnie do domu - powiedział do zwierzęcia, które właśnie kończyło jeden z najdłuższych dni w swoim życiu. Koń zawiózł go do domu.

7

Praca. Mieszkańce. Strzały na pożegnanie

Gdzieś między miasteczkiem Tunck w pobliżu rzeki Waal w Holandii a hrabstwem Johnston w Północnej Karolinie - gdzie rodzina Counsela Skiffinktona, kuzyna szeryfa Johna Skiffingtona, już od trzech pokoleń wiodła dostatnie życie - niejaka Saskia Wilhelm, młoda małżonka, złapała wirusa ospy wietrznej, ale nigdy w życiu, nawet przez jeden dzień, nie miała na nią chorować. Dwa miesiące zajęło jej oraz jej poślubionemu trzy miesiące wcześniej małżonkowi, Thorbeckeowi, który również złapał tego wirusa, dotarcie z Europy

do Anglii. Thorbecke nie był dobrym człowiekiem i nie miał być ani dobrym mężem, ani dobrym ojcem, jak powtarzał Saskii jej ojciec po raz jedenasty w miesiącu zanim jeszcze uciekła z Thorbeckem. Ona jednak darzyła go płomiennym uczuciem miłości. Matka mówiła jej, że miłość się wypali, jeśli tylko Saskia da jej na to czas, ale Saskia zniknęła z Thorbeckem, a miłość rozkwitała jeszcze bardziej. Po tym, co z nim przeszła w Europie i w Ameryce nigdy już nie pokochała innego mężczyzny w taki sposób.

Ten młody człowiek zdawał sobie sprawę, że nad rzeką Waal cieszył się marną reputacją i podczas podróży po Europie przysiągł, nie Saskii, ale samemu sobie, że musi odnieść sukces i że pewnego dnia powróci do Tunck i do wszystkich innych miasteczek nad Waal, i wtedy wszyscy będą musieli mu prosto w twarz powiedzieć, jak bardzo się co do niego mylili. Przyniósł to we Francji, ale wydalono go z niej za różne występki, przyniósł w Anglii, ale również stamtąd został wydalony. Anglicy postanowili nie skazywać go na więzienie, uznali za to, że ukarzą go bardziej dotkliwie, jeśli już nigdy nie będzie się mógł cieszyć widokiem Anglii. Swoje przyrzeczenie Thorbecke ponownie złożył na statku płynącym do Nowego Jorku, do miasta, w którym osiedlił się wraz z Saskią ponad pięć lat przed śmiercią Henry'ego Townsenda. Thorbecke dożył siedemdziesięciu pięciu lat, nigdy jednak nie powrócił do Waal, podobnie jak Saskia, która zmarła w wieku lat siedemdziesięciu jeden. Umarli w miejscach odległych od siebie o cztery tysiące mil. Ona odeszła bezdzietnie. Nigdy już nie usłyszała tego, co mogli jej powiedzieć ojciec i matka - że istnieje miłość poza Thorbeckem.

W połowie drogi do Ameryki Saskia poczuła, że może być jednak w błędzie. Może nawet wróciłaby do rodziny w Tunck, ale wciąż była w nim zakochana i przez całą drogę myślała, że nigdy jej tego nie wybaczą, mogą nawet kazać jej wrócić do męża. Na początku Thorbecke pracował jako rybak na rzece Hudson, ale kapitan i załoga nabrali przekonania, że przynosi statkowi pecha, i zwolniono go. Później zajął się handlem obwoźnym w Nowym Jorku, handlując ubraniami, bibelotami, warzywami i owocami. Jednak w tym także mu się nie poszczęściło z powodu cynicznego charakteru, którym odstraszał klientów. Wkrótce zaczął żyć z tego, co zarabiała Saskia, służąc u bogatych ludzi w mieście. To właśnie jedna z tych rodzin widniała na fotografii, którą miał Calvin Newman. Nieruchomy pies na zdjęciu nazywał się Otto, a imię to otrzymał po psie Saskii, którego miała kiedyś w Tunck.

Jako służąca nie zarabiała wiele. Pokój i wikt stanowiły część jej zarobku, a to trudno było zamienić na pieniądze dla Thorbeckea. Posłał ją na ulicę, a następnie, po ponad roku, sprzedał człowiekowi, który zabrał ją wraz z trzema innymi kobietami (wszystkie pochodziły z Europy) na południe - najpierw do Filadelfii, później do Północnej Karoliny, gdzie rodzice

tego mężczyzny prowadzili dom publiczny Pracując w tym burdelu, Saskia wyrzekła się Thorbeckea, a później swojej rodziny i Tunck.

To właśnie tam zakochał się w niej Manfred Carlyle. Kiedy się spotykali, niecałe trzy lata przed śmiercią Henryego, miłość nie miała już dla Saskii żadnego znaczenia. Witała go za każdym razem, gdy przychodził, mówiła mu to, co chciał usłyszeć, i chociaż w trakcie takich spotkań on zapominał, że płacił jej za te słowa, ona jednak o tym pamiętała. Często do niej przychodził, wiecznie spragniony jej bliskości.

- Nawet nie sądziłem, że uda mi się tak szybko przyjechać - powiedział pewnego razu, z twarzą spoconą i czerwoną po długiej jeździe.

- W takim razie dostaniesz nagrodę - odrzekła Saskia. Carlyle był starszy od niej o dwadzieścia lat i był jednym z wierzycieli Counsela Skiffingtona. Kuzyn Johna Skiffingtona pozwalał, aby Carlyle przyjeżdżał „przewietrzyć się” na jego plantacji po tej całej wypitej whisky i seksie w burdelu. Counsel zawsze się cieszył, mogąc gościć człowieka, któremu był winien pieniądze, i powiedział swojemu nadzorcy, Cameronowi Darrowi, aby towarzyszył Cadykowi i go uszczęśliwił. Carlyle wietrzył się w małym domku na północno-wschodnim skraju plantacji Counsela, śpiąc po czternaście godzin dziennie. Podczas jego ostatniej wizyty Darr starał się go uszczęśliwić, popijając razem z nim. Po trzech dniach takiego wietrzenia Carlyle przebył dwadzieścia mil dzielących go od jego własnego domu, jadąc do rodziny, która wydawała mu się bardzo szara po barwnych dniach spędzonych z Saskią. Podobnie jak Thorbecke i Saskia, Carlyle również ani dnia nie chorował na ospę wietrzną, a choroba ominęła także jego rodzinę i niewolników Podczas tej ostatniej drogi z plantacji Counsela ktoś ukradł mu konia, kiedy Carlyle sikał na brzegu rzeki.

- To powinno było mi coś uświadomić - zwierzył się przyjacielowi kilka miesięcy później, kiedy znów był w burdelu.

*

Przez trzy lata Counsel Skiffington zmagał się z nieurodzajem, a później, w czwartym roku, tym, w którym Saskia przybyła do hrabstwa Johnston, ponownie zaczęło mu się powodzić. Za dobry rok uważał taki, w którym każdy z niewolników przynosił 250 dolarów w plonach, ale przez te trzy straszne lata z pracy każdego niewolnika uzyskiwał tylko 65 dolarów. Czasy były tak ciężkie, że domowa służba, ludzie o nieskazitelnej skórze i rękach, które nie zagnały prawdziwych pęcherzy, została wysłana na pole w nadziei, że jeśli więcej rąk będzie pracować, to może uda się więcej wydrzeć ziemi. Carlyle był jednym z czterech wierzycieli, wśród których tylko jednym był bank, i przez te lata wierzyciele byli dla Counsela wyrozumiali, chociaż z banku co miesiąc przyjeżdżał człowiek, aby sprawdzić

aktualny stan plantacji. W czwartym roku, kiedy zaczęło się odrabianie strat, zysk z każdego niewolnika wyniósł 300 dolarów i nikt już z banku nie przyjeżdżał. Wyglądało na to, że Counsela czeka jeszcze lepszy piąty rok, kiedy nagle, w środku cichej nocy, nadzorca Darr obudził się z tak głośnym kaszlem, że aż wybił ze snu żonę Counsela, Belle, śpiącą w ich domu stojącym w odległości ćwierć mili od chałupy Darra. Jej mąż spał dalej, ponieważ był człowiekiem, którego - jak to określiła Belle w liście do swojej kuzynki ze strony męża, Winifred Skiffington - nie obudziłoby nawet pukanie Jezusa do drzwi. Kaszel Darra obudził również czwórkę dzieci Skiffingtona, ale Belle, przy pomocy dwóch należących do dzieci niewolnic, udało się je ponownie uspić. Poleciała niewolnicom, żeby wróciły do łóżek i sama zrobiła to samo, ale nie potrafiła już odnaleźć snu, nawet kiedy godzinę później kaszel nadzorcy ustał.

Po tej pierwszej nocy kaszel Darra już się nie powtórzył, ale jeden po drugim rozchorowali się niewolnicy, skarżąc się na bóle głowy, dreszcze, nudności i dojmujący ból w plecach i kończynach.

- Oni nie udają - powiedział nadzorca do Counsela. - Poznałbym, gdyby udawali, ale oni nie udają.

Darr, ojciec piątki dzieci, praktycznie nie znał życia poza plantacją i z lubością słuchał opowieści Carlylea o wszystkich miejscach, w których on był, i o tych wszystkich kobietach, które otworzyły przed nim wrota raj, a także o tym, jak w końcu wybrał Saskie. Darr nie miał w zwyczaju zaglądać do kieliszka, ale podczas ostatniego spotkania z Carlyleem trochę wypił, ponieważ dzięki temu jeszcze przyjemniej słuchało się jego opowiadań, jeszcze przyjemniej się je zapamiętywało. O tym, że niewolnicy nie udają, powiedział Counselowi mniej więcej dzień przed tym, gdy na ciałach niewolników i jego własnych dzieci zaczęły się pojawiać bladoczerwone plamy. Counsel postanowił sprowadzić białego lekarza, ponieważ zdawał sobie sprawę, że to, co dolegało niewolnikom, nie było jedynie tygodniowym potknięciem na drodze do piątego, obfitującego w zyski roku.

Doktor objął plantację kwarantanną i niedługo potem po całej okolicy rozeszła się pogłoska, że „Dziecięce Marzenie” - jak Belle ochrzciła plantację - popada w ruinę. Pracownik banku, w obawie, że jego pracodawca poleci mu jechać do Counsela nawet w okresie kwarantanny, zwolnił się z pracy.

Zanim upłynęły cztery tygodnie od powrotu Manfreda Carlyle'a do rodziny, umarła ponad połowa niewolników na plantacji Counsela - dwadzieścia jeden osób w wieku od dziewięciu miesięcy do czterdziestu dziewięciu lat. Wśród nich była roczna Becky, która ząbkowała, ale jej matka karmiła ją piersią tak często, jak to tylko było możliwe, w nadziei,

że choroba ominie jej córeczkę, siedemnastoletnią Nancy, która miała kilka dni później poślubić swojego ukochanego, mężczyznę umiśnionego za dwóch, trzydziesto-dziewięcioletnią Essie, która właśnie po raz ósmy popełniła cudzołóstwo, i dwudziestodziewięcioletni Tony z zajęczą wargą, który cztery dni przed śmiercią połknął dwa surowe żołądki kurczaków, ponieważ czarownik powiedział mu, że to wyleczy jego „schorzenie”. Później, po odejściu tych niewolników, zmarła żona Darra, a po niej troje ich dzieci. Odeszło dziesięciu następnych niewolników i tego samego dnia umarło pierwsze z dzieci Counsela, najstarsza dziewczynka - piegowata Laura, która tak ładnie grała na fortepianie. W ciągu następnych trzech dni po jej śmierci choroba zabrała prawie wszystkich pozostałych mieszkańców plantacji, nawet najmłodszą niewolnicę, dziesięcioletnią Paulę, której matka zmarła przy jej urodzeniu. Pozostał jedynie Counsel, zdrowy jak w deszczowy wieczór, w którym urodziła go jego matka.

Przetrwali również zwierzęta, jakoś sobie radząc nawet po śmierci wszystkich swoich opiekunów. Wiele tygodni później wierzyciele nie uzyskali zbyt dużo za żywy inwentarz pochodzący z miejsca, od którego Bóg się odwrócił.

- Przecież następna może być plantacja osoby, która kupi krowę lub konia - jak stwierdził jeden z potencjalnych kupców. - Jeśli Bóg mógł uczynić to Counselowi Skiffingtonowi, dlaczego nie ma zrobić czegoś podobnego mnie, biednemu?

Ostatecznie po tym, jak Counsel próbował przegonić zwierzęta, niewiele pozostało oprócz samej ziemi, a nawet ona, ponad rok później, kiedy wierzyciele i inni ludzie nabrali już na tyle odwagi, aby się za nią zabrać, została sprzedana za kwotę niższą niż 45 procent jej rzeczywistej wartości. Belle umarła przedostatnia, zaledwie kilka godzin przed tym, jak ostatni niewolnik, pięćdziesięcioletni Alba, wyszedł w malignie ze swojej chaty i usiadł przed domkiem, w którym kiedyś wietrzył się Carlyle, aby tam skonać. Po śmierci Belle Counsel spalił domostwo. Od śmierci pierwszej osoby nie pochował nikogo i cała jego rodzina, wraz z ciałami dziewięciu niewolników, spłonęła razem z budynkiem. Następnie poszedł do domku, w którym mieszkał Carlyle, oraz do chaty Darra i spalił również te zabudowania. Stodoły. Wędzarnię. Kuźnię. Wszystko doszczętnie spłonęło. Chaty niewolników, a w prawie każdej wciąż znajdowały się ciała zmarłych, nie poddały się płomieniom i w większości przetrwały, osmolone, ale gotowe na przyjęcie nowych mieszkańców. Te konstrukcje z błota i taniej cegły stały na swoim miejscu, kiedy przybył księgowy pierwszego wierzyciela, aby zobaczyć, z czym przyszło mu się borykać. Osiem miesięcy później w Georgii Counsel zwrócił uwagę na chatę z dwojgiem drzwi, postawioną dla dwóch rodzin niewolników, i pomyślał, że chaty na jego ziemi nie spłonęły, ponieważ,

podobnie jak ta chata z dwójgim drzwi, prawie nic w sobie nie zawierały. Nawet boski pałac spłonąłby z łatwością, gdyby w salonie znajdował się fortepian, a w bibliotece od podłogi do sufitu stało trzysta ksiązek i do tego były tam jeszcze drewniane meble, sprowadzane z Anglii, Francji i z innych stron świata.

Ocalały natomiast uprawy, które rozwijały się bujnie przez nikogo nie dogłądane. Od ponad siedmiu lat pola nie obrodziły tak dobrze. Nie było żniw w normalnym tego słowa znaczeniu, ponieważ nikt nie przyszedł zebrać tego, co zasiali niewolnicy. Gdyby komuś udało się zliczyć plony, okazałoby się, że na jednego niewolnika przypada ponad 325 dolarów.

*

„Dziecięce Marzenie” płonęło trzy dni. Counsel wyjechał na drugi dzień, przytłoczony ciężarem smutku, jaki miał już go nie opuścić, i skierował się na zachód hrabstwa, a później na południe, ze wszystkich sił starając się unikać istot ludzkich. Nie miało to dla niego specjalnego znaczenia, ale w Południowej Karolinie przyszło mu na myśl, że popełnił przestępstwo, ponieważ większa część jego majątku należała już do innych ludzi. Jechał dalej, ścigany wspomnieniami o ukochanych i o końcu plantacji, której sława sięgała Waszyngtonu. Miał krewnych w Południowej Karolinie, a rodzina Belle mieszkała w Georgii, ale postanowił tam nie jechać. Któż mógł zrozumieć, co mu się przydarzyło? W hrabstwie Manchester, w Wirginii, żył jego kuzyn, z którym dorastał, ale Counsel zawsze był dużo bogatszy niż John Skiffington i nigdy nie przepuścił okazji, żeby Johnowi o tym przypomnieć. Nie potrafił wyobrazić sobie teraz, jak stoi w drzwiach domu Johna, bez grosza, nawet jeśli wiedział, że John przywitałby go z szeroko otwartymi ramionami i oddałby mu wszystko, co sam posiadał. Jechał więc dalej, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że pragnie po prostu spokoju, i nie wiedząc, a miał się o tym dowiedzieć dużo później, że chce odzyskać to wszystko, co stracił.

*

Mniej więcej trzy miesiące po opuszczeniu plantacji Counsel dotarł do Chattahoochee w Georgii, na południe od Columbus, gdzie pomyślał, że jest wystarczająco daleko od wybrzeża, na którym mieszkali krewni Belle. Jechał prawie codziennie, zatrzymał się jedynie na dwa tygodnie w Estill w Południowej Karolinie, gdzie rozłożyło go ostre przeziębienie. Przeziębienie było niepodobne do żadnego, jakie przechodził w przeszłości, i podejrzewał, że to coś więcej, że ospa, od której nawet nie starał się uciec, w końcu go dopadła. Z Północnej Karoliny przywiózł ze sobą trochę pieniędzy, które pozwoliły mu wynająć pokój na tyłach pensjonatu prowadzonego przez parę starszyców. Zapłacił za tydzień, sądząc, że zanim skończy się ten tydzień, on już nie będzie żył. Starszuka chyba odgadywała jego myśli,

ponieważ trzeciego dnia, kiedy go karmiła, powiedziała mu, że w jej domu jeszcze nikt nie umarł i że on nie będzie tym pierwszym. Wyzdrowiał i opuścił ich dom w nocy, zabierając konia i siodło, które im wcześniej ofiarował.

W Chattahoochee, miesiąc po opuszczeniu Estill, choroba odnalazła go ponownie, kiedy dopiero co zatrudnił się u właściciela wielkiej farmy. Mężczyzna ten nie miał niewolników, wynajmował jedynie wolnych Murzynów, gdy była taka potrzeba. Counsel czuł się dziwnie nieswojo wśród czarnych, którzy nie byli niewolnikami, wśród ludzi, którzy przychodzili i wychodzili, kiedy chcieli. Nic nie mówił, ponieważ potrzebował pieniędzy, aby móc ruszyć dalej. Przepracował trzy dni, a czwartego zasnął.

- Umieram i nic na to nie można poradzić - powiedział do Murzynów i do białego farmera, kiedy nieśli go z pola.

- No to znajdziemy ci tam miejsce - odrzekł biały człowiek, wskazując na cmentarz, który Counsel mijał w dniu swojego przyjazdu. Zamieszkał w pokoju w domu białego mężczyzny, gdzie zajmowała się nim głównie Matilda, czarna kobieta, która gotowała im i sprzątała. Jeśli nawet umiała mówić, nigdy się do niego nie odezwała, nawet nie mówiła „dzień dobry” czy „dobranoc”. Powoli zaczął przychodzić do zdrowia i każdego dnia przeklinał Boga, za to, że tak się nim bawił.

- Zdecyduj się w końcu - powiedział do Boga. - Mogę umrzeć. Chcę tylko, żebyś się w końcu na coś zdecydował.

Późno w nocy, trzy tygodnie po tym, jak się rozchorował, odczekawszy, aż wszyscy domownicy zasną, zabrał pieniądze z biurka w salonie mężczyzny i osiodławszy jednego z koni tego człowieka wyjechał. Chciał jechać do Alabamy i ostatecznie dotrzeć do Kalifornii. Nie wiedział o Kalifornii nic poza tym, że była daleko od Północnej Karoliny. W listopadzie, będąc w Carthage w stanie Missisipi, kupił sobie pistolet w miejsce rewolweru, którego po ciemku nie potrafił znaleźć na farmie w Estill. Ten rewolwer bębnekowy Allena z 1840 roku należał kiedyś do jego ojca i przez całą Alabamę Counsel zastanawiał się, czy nie wrócić jednak do farmera i nie oddać mu pieniędzy, żeby nie tracić ojcowskiego pistoletu. Ale w Północnej Karolinie spłonęło dużo więcej jego ojcowizny i zbliżając się do Carthage, uzmysłowił sobie, jakie bezsensowne było rozpamiętywanie zguby głupiego pistoletu.

Za Merryville w stanie Luizjana, w gminie Beauregard Parish, wjechał na rozległą przestrzeń ziemi, która zdawała się nie mieć końca, i zobaczył wypaloną trawę i glebę spękaną szczelinami, w niektórych miejscach szerokimi na pół metra. Wyglądało to tak, jakby drzewa nie wyrastały z ziemi, ale zostały poustawiane jak meble w pomieszczeniu. Koń sam zwolnił kroku i Counsel poczuł, że w każdej chwili wierzchowiec może zawrócić. Nie

sprzeciwiłby się tej decyzji. Jednak później teren powoli zaczął robić się coraz bardziej zielony pojawiły się pojedyncze cyprysy a koń zaczął jechać dużo pewniej. Counsel zauważył pelikany i zdawało mu się, że czuje zapach morza. Jednak nadal nie widział śladów obecności ludzi.

Zielony teren zaczął się wyrównywać i w końcu zobaczył w oddali dom i jakiś mniejszy budynek. Zabudowania te znajdowały się w miejscu, do którego mógłby dotrzeć mniej więcej w dwie godziny, w zależności od tego, jak szybko jechałby jego koń. Nie spieszył się, rozważając, czy to, co widzi, nie jest tylko jakimś wytworem zmęczonego umysłu, i dojechał do tego domu mniej więcej po godzinie. Jednak po tej godzinnej jeździe ponownie znalazł się w wymarłym świecie. Ziemia wyglądała tak, jakby mogła rodzić jedynie smutek, ale patrząc wokół, Counsel zauważył, że ktoś czynił tu starania, aby coś uprawiać. W kilku miejscach dostrzegł nawet, że praca zakończyła się małym sukcesem, chociaż trudno było mu rozpoznać, co tam rośnie. Uprawy miały jakiś metr wysokości. Dom chylił się w prawą stronę, a przypominające stodołę zabudowanie - w lewą.

Ze stodoły wyszedł muł i popatrzył w stronę przeciwną do tej, po której stał Counsel i jego koń, następnie popatrzył na Counsela i niespiesznie podszedł do niego. Muł szturchnął konia w nos, a koń odpowiedział podobnym szturchnięciem.

Jakieś pół godziny wcześniej Counsel spostrzegł dym unoszący się z komina i teraz, zsiadłszy z konia, podszedł do drzwi. Zanim zapukał, jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Z ganku wszystko wyglądało lepiej - to było miejsce, z którego mógł wyżyć człowiek wraz z rodziną, jeśli tylko zależało mu jedynie na wyżyciu. Wzdłuż całego sufitu ganku zwisały skórki i drobna upolowana zwierzyna: wiewiórki, króliki i nieco większe stworzenia, jakich Counsel nigdy w życiu nie widział.

Drzwi były uchylone. Zapukał i drzwi otworzyła mu kobieta, która obrzuciła go wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy zasługuje na jej uśmiech. Nie uśmiechnęła się, tylko odwróciła do kogoś w pokoju i powiedziała:

- Ktoś przyszedł.

Counsel zauważył, że jest ładna, zwłaszcza kiedy poruszyła głowę, i zobaczył, jak jej kark wznosi się na spotkanie włosów Uroda gasła i to bardzo szybko.

- Kto taki? - odezwał się męski głos.

Do drzwi podszedł chłopiec, mniej więcej dwunastoletni, i powiedział Counselowi, aby ten wszedł do środka. Zwróciwszy się do kobiety „mamo”, powiedział jej, żeby po wejściu Counsela zamknęła te przeklęte drzwi, a ona go posłuchała. Mężczyzna siedział przy stole w tej części pomieszczenia, która służyła za kuchnię. Podłogę stanowiła ubita ziemia. W

pomieszczeniu wisiał ciężki zapach dymu i przytłaczająca wilgoć. Dom był dużo większy, niż wyglądało to z zewnątrz, nie składał się jednak z kilku pomieszczeń, ale z jednego ogromnego, a poszczególne jego części pełniły funkcje różnych pokoi, jak w normalnym domu. Łóżka daleko po prawej, piecyk i stół z tyłu po lewej, a z przodu znajdowała się część mieszkalna, gdzie na podłodze, lalkami z kolb kukurydzy bawiły się dwie dziewczynki, młodsze od chłopca. Po sposobie, w jaki mówiła jedna z dziewczynek, Counsel mógł stwierdzić, że nie była to przyjacielska zabawa.

Jedzący przy stole mężczyzna odezwał się do Counsela:

- Jestem Hiram Jinkins.

Counsel przedstawił się i powiedział, że jest tu przejazdem i że byłby wdzięczny, gdyby mógł się zatrzymać na noc i dostać coś do jedzenia. Jinkins wskazał na krzesło stojące po drugiej stronie stołu i dał do zrozumienia, że Counsel powinien usiąść. Krzesło miało jedną nogę krótszą i Counsel przez cały czas musiał starać się utrzymywać równowagę. Miał wrażenie, że mężczyzna nie życzy sobie, aby ruszał się gdzieś indziej. Obok mężczyzny stało jeszcze jedno wolne krzesło i wkrótce po tym, jak Counsel zajął swoje miejsce usiadł na nim chłopiec.

- To Meg - powiedział Hiram, pokazując na kobietę, która właśnie podeszła i zabrała pusty metalowy rondel, z którego jadł Hiram.

- A to jest Hiram numer cztery - i skinął głową na bok, w stronę chłopca. Counsel przywitał się z obojgiem.

- Mówisz, że nie jadłeś? - zapytał Hiram ojciec.

- To prawda - odparł Counsel. - No cóż... Kobieta wkrótce powróciła z tym samym metalowym rondlem, teraz wypełnionym sporymi kawałkami duszonego mięsa i zastygłym tłuszczem. Counsel był zbyt głodny, żeby pytać, z czego to mięso. Kobieta położyła łyżkę obok rondla.

- Jeszcze bułeczki - odezwał się chłopiec do matki. - Nie zapomnij o tych pieprzonych bułeczkach.

Meg przyniosła bułeczki i Counsel zabrał się do jedzenia. Dziewczynki nadal bawiły się w drugiej części pomieszczenia, ale ta brzydko mówiąca teraz ucichła.

- Skąd pochodzisz? - zapytał chłopiec. - Z Luizjany? Chociaż wyglądał na dwanaście lat, miał chropawy głos i w ciemnym pokoju można było go wziąć za dorosłego.

- Z Georgii - odrzekł Counsel, starając się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o farmie w Estill.

Nadciągał wieczór i w pokoju zaczęło się robić jeszcze ciemniej. Meg i dziewczynki chodziły po pokoju, zapalając świece i dwie latarnie. Chłopiec zobaczył jedną z dziewczynek z latarnią. Odwrócił się szybko na krześle i powiedział:

- Oszczędzaj te przeklęte latarnie. Chyba sama wiesz. Oszczędzaj te przeklęte latarnie.

- Jak powiedział, skąd? - zapytał łagodnie mężczyzna chłopca.

- Z Georgii. Gdzie ty masz uszy?

Mężczyzna dotknął obu małżowin usznych i powiedział:

- Tam, gdzie zawsze były.

- To ich używaj. Powiedział, że z Georgii, wyraźnie jak w dzień, a ty go nie słyszałeś.

Siedzisz bliżej niż ja, a i tak nic nie słyszysz.

Po raz pierwszy Counsel zatęsknił za wieczorami spędzonymi z rodziną, kiedy Laura grała na fortepianie, a Belle czytała młodszym dzieciom. *Zdecyduj się w końcu, Boże, tylko o to cię proszę.*

- Idź się wysrać, synu - odezwał się mężczyzna. - Idź się wysrać i siedź w tym gównie.

- Przez cały czas nic innego nie robię. Hiram ojciec powiedział:

- Co pan robi w Georgii, panie Skiffington? Widzę, że zna się pan na książkach. To widać.

- A po czym to widzisz? - zapytał Hiram syn. - Skąd możesz cokolwiek wiedzieć o tym człowieku, jeśli on powiedział tylko, jak się nazywa i że jest z Georgii, i wiemy tyle, że tu przyszedł i je nasze jedzenie? Skąd możesz to wiedzieć, tato?

- Bardzo łatwo - odparł mężczyzna.

Kątem oka Counsel widział stojącą przy oknie Meg. Był przeciąg i znajdująca się w tej części pomieszczenia świeca migotała i od czasu do czasu, rzucając przerywane światło, zdawała się znikać. Dziewczynki rozmawiały ze sobą, ale nie miał pojęcia, w którym miejscu tego wielkiego pomieszczenia mogły teraz przebywać.

- Co pan robi w Georgii? - mężczyzna powtórzył swoje pytanie.

- Zajmowałem się rolnictwem. Miałem nawet sklep, w którym sprzedawałem tekstylia i takie różne rzeczy

- Człowiek wszechstronny - powiedział Hiram starszy - Lubię ludzi wszechstronnych.

- Tato, on nic takiego nie powiedział. On nie zajmował się wszystkim i nie wiem, dlaczego ty tak myślisz.

Mężczyzna ziewnął.

- Umarła trójka moich dzieci, a później pojawiłeś się ty - powiedział. Skrzyżował ręce na piersiach i rzekł do Counsela: - Może pan spać w stodole. Wystarczy panu?

- Tak - odparł Counsel. - I jestem za to wdzięczny Podniósł się z krzesła.

- No chyba - rzucił chłopiec.

- Hiram - powiedział ojciec - dopilnuj, żeby pan Skiffington ulokował się w stodole.

Pokaż mu, gdzie jest sracz.

Chłopiec odrzekł:

- Sam dopilnuj, żeby się ulokował w tej przeklętej stodole. Mężczyzna wyciągnął pięść w stronę Counsela.

- Trójka odeszła.

Podniósł jeden, dwa, trzy palce.

- Trójka, a później pojawił się on. Bóg i jego tajemnice. Pokiwał głową.

- Meg, dopilnuj, żeby ten człowiek ulokował się w stodole. Meg, ze świecą i dwoma kocami w rękach, pokazała drogę do stodoły, a Counsel ruszył za nią, prowadząc konia.

- Zostawiam świecę - powiedziała, gdy mu już pokazała odpowiednie miejsce, w którym mógłby się położyć - ale proszę nie spalić stodoły. To nie byłoby zbyt dobre.

- Będę uważał - odrzekł, gdy już odchodziła. Sprawdził, czy koniowi niczego nie brakuje, i zrobił sobie legowisko naprzeciw muła, który zdawał się spacerować po swoim boksie.

- Spokój - powiedział Counsel do muła, kiedy ułożył się już na swoim prymitywnym posłaniu. - Uspokój się.

Muł przerwał swoje zajęcie, wydawało się, że zastanawia się nad słowami człowieka, a następnie ponownie zaczął chodzić w koło. Counsel odwrócił się na bok i naciągnął koc aż po same uszy Spał głęboko, gdy nagle poczuł, że coś dotyka jego ramienia. W pierwszej chwili pomyślał, że to muł podszedł do niego i trąca go nosem, ale poszturchiwanie stawało się coraz bardziej uporczywe, sięgnął więc po swój pistolet. Odwrócił się i odbezpieczył broń.

- Och - powiedziała Meg i na dźwięk broni cofnęła się.

- Co? Czego chcesz? - zapytał Counsel. Próbował rozpoznać jej twarz w ciemnościach, starał się przypomnieć sobie to, co mógł pamiętać z tego niewyraźnego obrazu, jaki widział wieczorem, ale na myśl przychodziła mu tylko twarz kobiety spotkanej w Alabamie, jadącej na wozie wypełnionym dobytkiem i rodziną.

Meg, ponownie na kolanach, podniosła koc i wsunawszy się pod niego, zaczęła całować twarz Counsela. Podciągnęła sukienkę i położyła jego rękę między swoimi nogami. Zastanawiał się, czy to ona urodziła tego chłopca. W końcu ułożył ją obok siebie i podczas gdy dalej się całowali, wciąż słyszał, jak muł chodzi tam i z powrotem. Jego koń był cicho. Kobieta wsunęła się pod Counsela i szerzej rozchyliła nogi, ani na chwilę nie odrywając

swoich ust od jego. Zaskoczyło go, gdy się w niej znalazł, jakby to całe dotykanie się i całowanie wcale nie miało do tego prowadzić, ale do czegoś zupełnie niewinnego, czegoś, co mogliby robić przed chłopcem przy stole. Przez cały czas, jaki z nim spędziła, to jej „och” było jedynym słowem, jakie wypowiedziała.

*

Kiedy obudził się rano, leżał jakiś czas bez ruchu, starając się pozbierać. Słyszał, jak muł sika w swoim boksie. Od razu wiedział, że wizyta Meg mu się nie przyśniła. Czasami miał właśnie taki problem z sytuacjami, które zdarzyły się od wyjazdu z Północnej Karoliny - po przebudzeniu nachodziło go dziwne uczucie, że miejsce, w którym się znalazł, jest tylko snem, że rzeczywistość jest jedynie Północna Karolina i że teraz w nic już nie można wierzyć.

Wyszedłszy ze stodoły, spojrzął na boczną ścianę domu i stwierdził, że jej wymiary są zdecydowanie zbyt małe, żeby odpowiadać wielkości rzeczywistego wnętrza domu. To, co widział na zewnątrz - najwyżej sześciometrowa ściana - po prostu nie mogło zmieścić tego wszystkiego, co zeszłej nocy widział w środku. A ściana frontowa miała najwyżej cztery i pół metra. Wczorajsze wnętrze miało przynajmniej dwadzieścia metrów na piętnaście. Counsel pomyślał, że powinien wrócić do stodoły i spróbować jeszcze raz rozpocząć ten dzień, ale gdy przypomniał sobie chłopca, nabrał chęci do szybkiego wyjazdu.

Podszedł do drzwi domu i zatrzymał się, zwlekając z pukaniem. Liczył na to, że kobieta zachowa dla siebie to, co się między nimi wydarzyło. Wyglądała na taką, która wie, jak to zrobić. Wciąż jeszcze tak stał, kiedy drzwi się otworzyły i jedna z dziewczynek powiedziała mu „dzień dobry”. Przywitał się z nią, a ona oznajmiła mu, że na stole jest coś do jedzenia.

Wewnątrz ujrzał znane mu z wczorajszego wieczoru dwadzieścia metrów na piętnaście. Dwóch Hiramów jadło przy stole, a Meg stała za mężczyzną.

- Zjedz pan coś - odezwał się ojciec i pokazał na stojący naprzeciwko rondel. Counsel zajął to samo miejsce, co ubiegłej nocy. W naczyniu była jajecznica i plaster mocno wysmażonego bekonu, a obok dwie wielkie bułki. Counsel usiadł i dopiero wtedy dostrzegł pistolet leżący obok rondla mężczyzny. Znajdował się prawie dokładnie między rondlem mężczyzny a rondlem chłopca i trudno było stwierdzić, do kogo należy ta broń. Jakby dla wyjaśnienia mężczyzna położył pistolet na swoich kolanach i cmoknął.

- Jak się spało? - zapytał chłopiec Counsela.

- Lepiej niż w wielu innych miejscach - odpowiedział. - I bardzo za to dziękuję.

Swój pistolet zostawił z koniem w stodole i chociaż przyszedł tu głodny, widok stojącego przed nim jedzenia spowodował, że zaczęło mu się przewracać w brzuchu.

Zastanawiał się: czy kula w brzuch bardziej boli, jeśli nie musi mieszać się z jajkami, bekonem i bułkami? Czy dłużej się umiera z pustym brzuchem?

Przyjrzał się kobiecie. Tuż obok jej lewego oka widniał ciemnoniebieski siniak.

- Nie mamy hotelowych wygód - powiedział chłopiec.

- Chciał powiedzieć, że staramy się dobrze przyjmować obcych.

- Sam wiem, co chciałem powiedzieć, tato. On też wie, co chciałem powiedzieć.

Mówię chrześcijańskim angielskim.

Ojciec mówił dalej:

- Nigdy nie wiadomo, czy obcy nie jest aniołem, który przybył sprawdzić, po której stronie dobra i zła stoimy. Bóg wciąż tak sprawdza ludzi, chociaż niektórzy ludzie, a nawet pastorki, mówią coś innego. Wciąż wysyła aniołów, żeby nas egzaminowali. A ja nie chcę oblać.

- Nie - odrzekł Counsel. - Ja również nie chciałbym oblać. Ojciec wziął do ręki rewolwer i pokazał nim na stojące przed Counselem jedzenie.

- No, jedz pan - powiedział. - Moja żona od rana się nad tym biedziła.

Położył broń obok swojego rondla, tym razem dużo dalej od naczynia chłopca.

- Dziś już nie jestem tak głodny - odparł Counsel. - Prawdę mówiąc, przyszedłem tylko się pożegnać.

- No, jedz pan. Na pewno jest pan głodny. Praca aniołów na pewno jest ciężka. Aniołowie wykonują całą ciężką pracę dla Boga, a my możemy przynajmniej ich nakarmić - podniósł broń i ostatnie słowa wypowiadał, stukając się w pierś lufą rewolweru. - Dobrze wiem, że ja sam byłbym głodny, gdybym wykonywał taką pracę.

- Proszę posłuchać - zaczął Counsel.

- Uważasz pan, że jedzenie mojej żony nie jest wystarczająco dobre dla jednego z boskich aniołów?

- To właśnie powiedział - odezwał się chłopiec. - Pakuje się tutaj, śpi u nas, a potem wypina się na jedzenia mamy A ty, tato, zupełnie nie wiem dlaczego, nazywasz go jakimś aniołem.

Counsel powiedział:

- Przyszedłem tylko podziękować wam i powiedzieć, że odjeżdżam. Tylko to chciałem zrobić.

Wstał powoli, patrząc to na mężczyznę, to na kobietę, która wcale nie wyglądała na nieszczęśliwą, mimo tego siniaka na twarzy

- Ja tylko chcę ruszyć w drogę, tylko tego chcę. Krzesło z jedną nogą krótszą przewróciło się i Counsel przeklął je w duchu.

- Ja tylko chcę wyjechać.

Zrobiwszy krok w tył, skierował się w stronę drzwi, ani na chwilę nie odwracając się tyłem do mężczyzny. Chłopiec pił z kubka znajdującego się po drugiej stronie jego rondla. W kubku było mleko i Counsel zauważył białą kreskę wzdłuż górnej wargi chłopca. *Gdzie oni przez cały ten czas trzymali krowę?* - myślał, krok za krokiem przesuając się do tyłu, w stronę drzwi. *Gdzie była ta krowa? Gdzie ta krowa jest teraz? A kury znoszące jajka, gdzie były kury? A świnia na bekon?*

- Ja tylko chcę odejść w spokoju.

Mężczyzna podniósł się niespiesznie, jakby w ogóle nie zaprzętał sobie głowy Counselem.

- Szkoda, że już musisz wyjeżdżać, aniele. Ale jeśli musisz zajmować się pracą dla Boga, to nic nie możemy poradzić.

Chłopiec powiedział:

- Powinieneś zapłacić za wszystko, co dostałeś. Powiniennem zabrać ci ostami grosz, jaki jesteś nam winien. Później zaś zabrać ci jeszcze twoją skórę.

Sięgnął po broń, ale mężczyzna się odwrócił.

- Nie doprowadzaj mnie do szału - powiedział chłopiec do ojca. - Wiesz, co się dzieje, kiedy doprowadzasz mnie do szału.

Counsel otworzył drzwi i wyszedł z domu. Czy powiedziała o wszystkim mężowi, a potem wspólnie z nim bawiła się zakłopotaniem i strachem Counsela?

Dotarł do stodoły i osiodłał konia, a kiedy wyszedł na zewnątrz, chłopiec stał na ganku, z szeroko rozstawionymi nogami i dłońmi zatkniętymi za pas portek. Counsel dosiadł swojego wierzchowca i odjeżdżał bardzo powoli, ponieważ wiedział, że szybkość była jeszcze jedną rzeczą, której nie lubił ten chłopiec.

*

Wykorzystał ten cały dzień, aby dojechać do Teksasu. Już nie miał pewności co do Kalifornii. Tak bardzo cywilizowany był wschód, tam, w pobliżu Oceanu Atlantyckiego, tak bardzo pewnie można się tam było czuć. Tutaj, daleko od tego, co znał od zawsze, istniał świat, z którym trudno byłoby mu się pogodzić. Jechał dalej, unikając miast, farm i oznak ludzi.

Trzy dni po opuszczeniu Luizjany, w pobliżu Georgetown, w Teksasie, ni z tego, ni z owego pojawił się przed nim las i Counsel z radością powitał ten widok po ciągłej

jednostajnej płaskości krajobrazu. Kiedy jeszcze spory kawałek dzielił go od lasu, po ziemi przetoczył się grzmot, ale Counsel pomyślał, że to musiało być jakieś zjawisko atmosferyczne - niebo zsyłało na ziemię wiadomość o nadchodzącej burzy Pewnego dnia w Północnej Karolinie stał na werandzie w deszczu, ale wystarczyło zejść po schodkach i zrobić kilka kroków, aby dojść do miejsca, w którym nie padało. Wiele razy grzmiało i błyskało także podczas opadów śniegu. Był więc przyzwyczajony do takich figli pogody Drzewa w lesie wyglądały na wystarczająco grube, aby podczas burzy zapewnić jakieś schronienie dla niego i konia. W miarę jak zbliżał się do lasu, grzmot na ziemi stawał się głośniejszy.

Znajdował się niecałe piętnaście metrów od skraju lasu, kiedy spomiędzy drzew wyłoniły się psy, poruszając się powoli, ale w jakimś wyraźnym celu. Była to wspaniała i dziwnie zdyscyplinowana zgraja mieszkańców - prawdziwych kundli. W całym stadzie, wśród dwudziestu pięciu psów, nie zauważył ani jednego zwierzęcia czystej rasy Były zbyt blisko, żeby mógł zdecydować się na ucieczkę, bardzo szybko dognałyby go. Pierwszy dostrzegł go pies w środku sfory, następnie zauważył go drugi, z samego skraju, aż wreszcie wszystkie psy spojrzały na niego przelotnie. Kiedy już całe stado wyszło z lasu, usiadły zgodnie na tylnych łapach. Pomyślał, że z pewnej odległości mógłby nawet podziwiać ich cudowny widok, różnorodność barw i rozmiarów oraz to wrażenie, że rządzi nimi jeden mózg. Psy zatrzymały się, ale po ziemi dalej przetaczał się grzmot. Counsel wyjął rewolwer z kabury i trzymał go przy cuglach. Może sam widok jednego czy dwóch umierających wystarczy, żeby odstraszyć pozostałe.

Coś mu powiedziało, że lepiej się nie zatrzymywać, może pomyślą, że on i koń są odważni, skoro nie uciekają. Zdziwiło go, że koń nie okazuje ani śladu wahania czy przestachu. Powoli wszedł w sforę, a psy, rząd po rządzie, podnosiły się i schodziły mu z drogi, a po jego przejściu znów siadały na swoich miejscach. Wjechał już głęboko w las, kiedy grzmot stał się głośniejszy, i Counsel pomyślał, że musiał to spowodować dźwięk zamknięty pod baldachimem drzew. I wtedy, jakby przez cały czas byli niewidoczni i wybrali właśnie ten moment, aby się ukazać, jak spod ziemi wyrosła przed nim dziesiątka mężczyzn i kobiet na koniach, a za nimi Counsel widział jeszcze więcej ludzi i koni oraz sześć czy siedem wozów - wszystkie nadjeżdżały przez las z taką łatwością, jakby jechały porządną drogą. Patrzył po twarzach ludzi, a w tym czasie cały tłum zwolnił i się zatrzymał. Dłoń mu zadrżała i pistolet prawie bezgłośnie upadł na poszycie lasu. Czarnoskóry mężczyzna, oddalony niecały metr od Counsela, podjechał bliżej i pochyliwszy się w siodle, jednym ruchem zgarnął pistolet z ziemi i podał go Counselowi, wraz z liśćmi szczawiu, w które wpadł pistolet.

Ten czarny mężczyzna, znajdujący się teraz po jego prawej, zaczął mówić w jakimś obcym języku, wskazując na kieszeń w płaszczu Counsela i na jego sakwy przy siodle. Counsel potrafił rozpoznać kilka angielskich słów, ale całość była zupełnie niezrozumiała. Counsel strząsnął szczaw z lufy pistoletu i oparł broń o łąk siodła. Czarnoskóry mężczyzna nie przestawał mówić, a jego słowa, wypowiedane niemal szeptem, niesły się po lesie, chociaż stali w otoczeniu tych wszystkich ludzi i zwierząt. Zdawało się, że wszyscy ludzie i wszystkie konie ucichły, aby wysłuchać tego, co on miał do powiedzenia. Mężczyzna wyciągnął rękę i chwyciwszy brzeg płaszcza Counsela szarpnął nim, a kiedy nie usłyszał tego, czego się spodziewał, zrobił rozczarowaną minę. Counsel pistoletem odsunął rękę mężczyzny. Na koniu jasnej maści podjechała kobieta, zdaniem Counsela wyglądająca na Meksykankę, i zatrzymawszy się obok czarnego mężczyzny, skinęła głową w stronę Counsela. Uważał, że jest Meksykanką, bo wyglądała jak kobieta na obrazku w jednej z ksiązek, jakie miał w swojej bibliotece w Północnej Karolinie.

- Co mówi ten czarnuch? - zapytał Counsel. - O czym on mówi?

Mówił do tej kobiety, ale swoje słowa kierował również do białego człowieka, którego zauważył tuż za czarnym mężczyzną, oraz do drugiego białego, który z kolei pojawił się po jego lewej stronie.

- Czego ten czarnuch chce ode mnie? - zapytał mężczyznę po lewej. - O czym on mówi?

- On mówi językiem Amerykanów - odezwała się meksykańska kobieta, bez cienia uśmiechu na twarzy, jakby podkreślając powagę tego, co mówił czarny mężczyzna.

Wiedział, że ona kłamie, i chciał, żeby teraz po prostu się oddaliła.

- On pyta, czy masz tytoń - powiedział biały mężczyzna po lewej. - Widzę, że nie jesteś Amerykaninem, bo w przeciwnym razie rozumiałbyś jego słowa.

Mężczyzna uchylił kapelusza, ujawniwszy go za denko, a później pozwolił mu opaść z powrotem na głowę. - On źle słyszy, bo gdyby nie to, zaczęłby z tobą dyskutować, dlaczego nazywasz go nie tak, jak należy. Z tego, co słyszałem, jego dyskusje potrafią być przykre.

- Powiedz mu, że nic dla niego nie mam.

Czarny mężczyzna wzruszył ramionami, najwyraźniej rozumiejąc, co Counsel powiedział. Podjechał do Counsela, zatrzymał się i zdjął z broni Counsela ostatni kawałek szczawiu. Czy powiesiliby go na jednym z drzew, gdyby teraz zastrzelił tego czarnucha?

- Potrzeba czysty strzelec - powiedział czarny mężczyzna równie wyraźnie, jak wymawiał wszystkie inne słowa. Pojechał dalej.

Biały mężczyzna po lewej sprawiał na Counselu wrażenie w miarę rozsądnej osoby, niezależnie od głupot, jakie płynęły z jego ust.

- Ja chcę tylko jechać dalej.

Czyż nie mówił tego jeszcze godzinę temu? Kilka dni temu? A może to była tylko pozostałość z rozmowy prowadzonej we śnie?

- Nikogo nie zatrzymujemy - rzekła meksykańska kobieta i ruszyła za czarnym mężczyzną.

- Przynajmniej nie mamy takiego zamiaru - dodał znajdujący się za nią biały.

Counsel ruszył do przodu, a ludzie i konie usuwali mu się z drogi. Początkowo wydawało mu się, że ludzi jest dwa razy mniej, jednak kiedy tak jechał, zdawało mu się, że ich szpaler z końmi i wozami nigdy się nie skończy. W pewnym momencie odwrócił się i spojrzawszy na tył jednego z wozów, ujrzał dwie ciężarne kobiety, jedna była biała, a druga czarna, siedzące i patrzące na niego. Czarna kobieta pomachała do niego, a biała patrzyła z nadąsaną miną. Na głowie miała jasnozielony czepek, a jedna z tasiemek kończyła się w jej ustach. Zobaczył, że wozem powozi ciemnoskóry mężczyzna - nie był to prawdziwy Murzyn, nie był też przedstawicielem żadnej rasy, jakie zostały opisane w książkach z jego zniszczonej biblioteki. Patrząc między ciężarne kobiety, zauważył drobnego chłopczyka, blondynka, stojącego i obejmującego rękami szyję ciemnoskórego mężczyzny, o którego się opierał. Chłopiec odwrócił się i spojrzął na niego. Counsel zastanawiał się, czy władze wiedzą o tych ludziach. Tu działo się coś niedobrego i rząd Teksasu powinien coś z tym zrobić.

Kiedy odwrócił wzrok od wozu z ciężarnymi kobietami, przed nim stał chłopiec uśmiechający się rzędem wspaniałych zębów. Jego pochodzenie znał z innej ze zniszczonych książek - to był ktoś z Orientu. Być może z Chin, jeśli tylko w książce napisano prawdę. Miał najwyżej piętnaście lat, a jego długi i gruby warkoczyk leżał swobodnie na lewym ramieniu, jak ulubione zwierzątko. Chłopiec stał mu na drodze, Counsel zatrzymał się więc. Chłopiec, trzymając wyciągniętą rękę przed sobą, przesunął się nieznacznie w prawo i Counsel ruszył dalej, a gdy go mijał, ręka chłopca, wyciągnięta w geście zupełnie pokojowym, niczemu niezagrażająca, zatrzymała się przy uchu konia Counsela i przesunęła się wzdłuż końskiej szyi, wzdłuż siodła i uda Counsela, i dalej przez koński zad, na koniec delikatnie chwytając ogon, aby wreszcie pozwolić koniowi i człowiekowi jechać dalej. Z twarzy chłopca nie schodził uśmiech i to właśnie ten uśmiech, a nie dotyk, przyprawiał Counsela o dreszcze.

Obok niego, przy akompaniamencie przetaczających się grzmotów, przepływali ludzie o różnych kolorach skóry, a także ich konie, wszystko pokryte cętkami spływającego na nich światła słonecznego. Można było odnieść wrażenie, że to nie on i jego koń się poruszali, ale

że po prostu byli przenoszeni przez jakąś przeciwną, wytwarzaną przez mijające go konie, wozy i ludzi. Znajdował się w utworzonej przez nich rzece i nie miał tu nic do powiedzenia.

Zamknął oczy

- Lepiej otwórz oczy, bo możesz wypaść z Teksasu. Counsel podniósł powieki i zobaczył, że patrzy na niego rudowłosa biała kobieta. Zdawało mu się, że za jej plecami dostrzegł już koniec tego wszystkiego.

- Pamiętam, jak kiedyś to zrobiłaś, wypadłaś z Alabamy do Missisipi.

Obok niej pojawił się jasnowłosy mężczyzna. Jego włosy były podobne do włosów chłopca obejmującego Murzyna na wozie i Counsel, próbując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens, pomyślał, że ten mężczyzna może być ojcem chłopca. Mężczyzna i kobieta dosiadali czarnych wierzchowców, ale w miarę upływu czasu koń kobiety zdawał się zmieniać kolor na niebieski.

- Nieprawda - powiedziała kobieta i kopnęła mężczyznę w nogę. - To była Jenny i jej jedno oko.

Teraz oni zagradzali Counselowi drogę, znowu więc się zatrzymał.

- Jedziesz dalej w głąb Teksasu? - zapytał mężczyzna Counsela.

- Taki mam plan.

Czuł, że wszystko, co było za nim, konie, ludzie i wozy, zatrzymało się teraz, jakby to, co on i biała kobieta oraz mężczyzna mówili, było ważniejsze od tego, dokąd oni sami jadą.

- Hm - powiedział kobieta. - Widziałam już cały Teksas i jak teraz widzę ciebie, to nie wydaje mi się, żebyście do siebie pasowali.

Gdzież było prawo w Teksasie, jeśli tacy ludzie mogli tu się kręcić?

- Możesz się do nas przyłączyć - powiedział biały mężczyzna. *Tak*, pomyślał Counsel, *chłopczyk musi być jego synem*.

- Widzieliśmy Teksas i możemy powiedzieć ci wszystko, czego nie wiesz. Rzeki, ziemia, kurz. Zanim skończymy naszą opowieść, będziesz myślał, że byłeś we wszystkich zakątkach Teksasu.

- Jesteśmy tak dobrzy jak książka z obrazkami - dodała kobieta.

- Prosimy jedynie, abyś nie krzywdził dzieci - powiedział mężczyzna.

- A to jest trudne - dorzuciła kobieta, znowu kopiąc mężczyznę.

- Ja się tego nauczyłem. On też może się tego nauczyć.

- Chciałbym sam zobaczyć - odparł Counsel i ponownie próbował ruszyć swojego wierzchowca z miejsca.

- Nauczysz się tego, kiedy nauczysz się już nigdy nie kłamać - to powiedziawszy, kobieta wyciągnęła rękę i grzbietem dłoni przesunęła po brodzie jasnowłosego mężczyzny. Mężczyzna zamknął oczy i uśmiechnął się; gdyby był kotem, pewnie zwinąłby się w kłębek i zamruczał.

- Nie - rzekł mężczyzna, otwierając oczy - To Jenny miała problemy z kłamaniem. Problemy z kłamaniem i wpadanie do Missisipi.

Counsel zwrócił konia w prawo.

- Teksas - powiedział.

- Rób, jak uważasz - odparł mężczyzna.

- Niech każdy robi, jak uważa - dodała kobieta i gdy to powiedziała, podniósł się tumult, wszystko ruszyło z miejsca, biały mężczyzna i biała kobieta rozdzielili się, a Counsel przejechał między nimi.

- Po prostu nie kłam i nie krzywdź dzieci. Jenny nauczyła się tego na własnej skórze.

Po raz pierwszy od wjechania do lasu Counsel ujrzał pełne światło słoneczne, ale po przejechaniu kilku metrów poczuł nadciągający z przodu łoskot grzmotu i zobaczył dziesiątki koni. Ludzi nie było, były tylko konie, które zdawały się podążać za tymi wszystkimi ludźmi z posłuszeństwem psów, jakie spotkał na początku lasu. Wjechał w ten wir i zamknął oczy. Unosił się słodki, stęchły zapach końskiego ciała i w innej sytuacji, innego dnia, mógłby się cieszyć cudownością tych zwierząt. Jakiś mężczyzna za nim zaczął gwizdać. Counsel pomyślał, że być może Teksas został opróżniony z plugastwa i teraz był lepszym miejscem dla takiego człowieka jak on.

Pięć minut później pozostawił już wszystko za sobą, a powietrze oraz ziemia należały tylko do niego. Ale nadal słyszał grzmoty, które nie opuszczały go nawet wtedy, gdy od tej grupy dzieliła go już spora odległość. Zatrzymał się przy strumieniu, gdzie i on, i koń napili się wody, ale nawet kiedy zanurzył całą głowę, grzmoty nie zniknęły. Przeprowadził konia przez strumień i po drugiej stronie wsiadł na swojego wierzchowca i przez następne dwie mile nie napotkali żadnych przeszkód. A potem pojawiła się gęstwina roślinności. Zsiadł z konia i początkowo szło mu dosyć łatwo, wystarczyło tylko w niektórych miejscach wyciąć co nieco nożem. Wydawało mu się, że jeszcze kilka cięć nożem i znowu wyjdą na odkrytą przestrzeń. Jednak zarośla ciągnęły się dalej, podobnie jak nieustannie pojawiały się grzmoty w jego głowie. Counsel rozejrzał się w lewo i w prawo, w nadziei na odnalezienie drogi pozwalającej mu uniknąć zarośli, ale widać było tylko długie rzędy roślin i czuł, że całe dnie może zająć ich przebycie. Koń zaczął się opierać. Counsel pociągnął wierzchowca i dalej ciął zielsko nożem.

- Chodź - powiedział do konia, zastanawiając się, czy zwierzę nie wyczuło jakiegoś węża czającego się w zaroślach. - Chodź.

Puścił cugle i ruszył do przodu, aby wyciąć ścieżkę. Kiedy wrócił po konia, zwierzę wyglądało na uspokojone, ale kiedy ruszył w drogę, wciąż trzymając w ręce cugle i tnąc zarośla, koń ponownie się zaparł.

- No, chodź. Rusz się.

Koń zaczął ciągnąć go do tyłu. Counsel zatrzymał się, spocony, z głową wypełnioną dźwiękiem grzmotów i z falującą piersią, i spojrzał koniowi prosto w oczy

- Chodź - powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił.

- Chodź. Wyjął pistolet.

- Kiedy mówię chodź, to znaczy, że masz iść. Koń się nie poruszył.

- No, chodź - powiedział, znowu spokojnie. Podniósł broń i strzelił koniowi prosto między oczy. Zwierzę upadło na kolana i stęknęło, Counsel strzelił jeszcze raz i koń padł na ziemię. Zwierzę ciężko oddychało i Counsel gotów był ponownie strzelić, ale wkrótce oddychanie ustało.

- Dlaczego tak trudno jest iść? - powiedział do konia. Jedna ze zniszczonych książek, jakie znajdowały się w jego domowej bibliotece, zawierała opowieść o pewnym człowieku gdzieś w mrocznym miejscu, który miał latający dywan. Counsel sadzał na kolanie jedną z córek i czytał jej bajki. Jakież to proste było dla tego człowieka i jego dywanu.

Włożył pistolet do kabury i po raz pierwszy od momentu jego wejścia do lasu grzmoty ucichły. Nad ciałem konia natychmiast pojawiło się kilka much.

- Czego ty ode mnie chcesz? - zapytał Boga. Usiadł, jakiś metr od konia, do którego czarną chmurą nadlatywało coraz więcej much, większych niż te znane mu z Północnej Karoliny. Zdjął kapelusz i starał się je odgonić, ale zbierało się ich coraz więcej, jakby machanie stanowiło dla nich sygnał do przylotu.

- Co ja mam zrobić? - zapytał Boga. - Powiedz mi, czego chcesz.

Spojrzał w górę i ze zdziwieniem zobaczył, że tak szybko pojawiły się nad jego głową myszołowy. Strzelił do jednego, ale nie trafił i zanim jeszcze ucichł dźwięk wystrzału, myszołowy zaczęły siadać na ziemi. Może jednak nie powinien być w Teksasie, może wciąż pełno tu było czarnuchów i ludzi, których nikt nie potrafił zidentyfikować, ponieważ nie było ich w książkach, i wciąż pełno tu było białych kobiet, które zeszły na złą drogę, oraz białych mężczyzn, którzy im na to pozwalali.

- Powiedz mi, co mam zrobić, a ja to zrobię - powiedział do Boga. - Czyż nie było tak zawsze? Ty mówisz, a ja to robię. Ty mówisz, ja to robię.

Jego myśli powędrowały do ludzi z wielkiej rodzinnej *Biblii* stojącej niegdyś w zniszczonej dziś bibliotece, którzy mówili to samo, co on mówił teraz. Czasami Bóg słyszał ich i coś robił, litował się nad swoimi stworzeniami, a czasami słyszał i nie zwracał uwagi na słowa mówiących do niego istot. Jego córki lubiły historie z *Biblii*, z tej *Biblii*, w której ich imiona i daty ich urodzin były zapisane wielkimi literami przy użyciu atramentu, który - jak powiedział sprzedawca w sklepie wielobranżowym - miał przetrwać całe pokolenia.

- Najpierw - powiedział ten mężczyzna - atrament zapisze daty narodzin pana dzieci, a później daty ich ślubów. Ten atrament przetrwa pana, panie Skiffington.

Counsel dalej mówił do Boga, a myszłowy usiadły na ziemi i przyłączyły się do much, wspólnie uczując na ciele konia i zupełnie nie zwracając uwagi na człowieka, w którym wciąż jeszcze tliło się życie.

8

Imiennicy. Szeherazada. W oczekiwaniu na koniec świata

Od przyjazdu Fern Elston w dniu śmierci Henry ego Townsenda do dnia, w którym zakończyła swój przedłużający się pobyt u Caldonii, minęło ponad pięć tygodni, choć w tym czasie zdarzało jej się powracać do domu na dzień czy dwa. Mieszkała w odległości około ośmiu mil od Caldonii. Fern, podobnie jak matka Caldonii, Maude, oraz jej brat Calvin, uważała, że może być dla niej większą pociechą, jeśli będą na co dzień mieszkać pod jednym dachem. Fern wiedziała, jak śmierć i następująca po niej żałoba potrafią zupełnie rozbić życie i rzucić człowieka w otchłań rozpacz i jak ważne jest, aby rodzina i przyjaciele poprowadzili zagubioną duszę z powrotem na brzeg, z powrotem do domu. Na początku czwartego tygodnia Fern zauważyła, że Caldonia podniosła się już w swojej łodzi, położyła dłoń na ramieniu sternika, aby uspokoić zarówno jego, jak i wszystkich na pokładzie, i sama decydowała, gdzie będzie najlepiej dobić do brzegu.

- Pochodzi z dobrej rodziny, nie obawiałam się więc o nią - powiedziała Fern Andersonowi Frazierowi, kanadyjskiemu autorowi broszur, tego sierpniowego dnia w 1881 roku.

- A pani była jej nauczycielką - dodał Anderson.

Nie zwracając uwagi na komplement, odpowiedziała mu:

- Czasami niesłusznie przypisywano mi pewne zasługi. Zdarzało się również, że nie doceniano moich prawdziwych zasług. Ale taki jest los wielu nauczycieli - i dobrych, i złych.

Maude pierwsza wyjechała do domu. Być może zostałyby dłużej, ale zauważyła, że to całe jej opowiadanie0 dziedzictwie jedynie bardziej uodparniało Caldonię na jej słowa. Poza

tym Maude pragnęła powrócić do swojego kochanka, którego sobie wzięła po śmierci męża. Ten kochanek, niewolnik o imieniu Clarke, został w domu i opiekował się jej posiadłością, ponieważ pokładała w nim nie mniejsze zaufanie niż we własnych dzieciach. Clarke sam nauczył się czytać i pisać, a zaufanie Maude brało się z tego, że na kilka tygodni przed śmiercią jej męża, Tilmona Newmana, Clarke przyszedł i z własnej woli powiedział jej, co teraz potrafi robić. Nie musiała sama tego odkrywać, nie musiała zaskakiwać go, jak siedzi z głową w książce, a następnie niezdarnie stara się jakoś z tego wytłumaczyć, odwracając książkę do góry nogami i mówiąc, że w rzeczywistości nie wie, co robi. Coś podobnego przydarzyło się pewnej parze białych, znajomym Maude z hrabstwa Amelia. Białą kobietę wprost przeraził skandaliczny widok niewolnicy siedzącej z książką, jak to później opowiadała Maude, już po tym, gdy ta niewolnica, Victoria, została wychłostana i polecono jej zapomnieć wszystko, czego się nauczyła. Ta kobieta powiedziała jeszcze Maude, że przeraziła się bardziej, niż gdyby poszła do stodoły i zastała tam muła śpiewającego hymny albo głoszącego słowo Boże.

- Czy wiesz - powiedziała Maude, kiedy po raz pierwszy poszła do łóżka z Clarkiem - że gdybym była białą kobietą, to mogliby tu przyjść i rozerwać cię na strzępy?

- A co zrobią z tobą, kobietą kolorową? - zapytał.

Maude, zachwycona tym, że zrobiła taki krok w swoim życiu, leżała na plecach, wciąż jeszcze mokra od potu.

- Podejrzewam, że ponieważ jestem twoją właścicielką i mam potwierdzające to dokumenty, mogliby zrobić to samo, jeśli tylko zaczęłabym krzyczeć. Pewnie nie byłiby tacy szybcy, ale przyszliby, Clarke.

Nic na to nie odpowiedział.

Calvin pojechał za matką dwa dni później, chociaż on akurat nie miał specjalnie do czego wracać. Z czasem posiadłość Maude robiła się coraz mniejsza, matka oddawała bowiem kolejne kawałki ziemi w dzierżawę. Wynajmowała również wielu swoich niewolników. Każdy z wynajętych niewolników mógł jej przynieść do 25 dolarów dochodu rocznie, a w czasie wynajmu najemca był odpowiedzialny za jedzenie i utrzymanie niewolnika, niemal całe 25 dolarów stanowiło więc czysty zysk. Calvin nie należał do leniuchów i potrafił pracować na tym pozostałym jeszcze kawałku pola, ramię w ramię z niewolnikami swojej matki. Ale ta ciężka praca, nawet jeszcze przed śmiercią Henry'ego Townsenda, nie dawała mu takiej satysfakcji jak przed laty. A kiedy wrócił do domu po śmierci Henry'ego, zebrał się w sobie i poszedł na stale kurczące się pole tylko dlatego, że w przeciwnym razie zmarniałoby do szczeru. Zaczął za wszystko winić niewolnictwo. Gdyby

zdarzyło mu się porozmawiać z Clarą Martin, kuzynką Winifred Skiffington, być może on zrozumiałby jej problem z miazmatami. Ból, jaki zadawało samo otaczające go powietrze, sączył się w jego kości i lokował się tuż obok bólu skrywanego uczucia do Louisa.

Następna wyjechała Fern. Jej mąż nie opuszczał domu przez cały okres jej nieobecności, na jakiś czas rezygnując ze swoich hazardowych wypadów. Ale podczas krótkich wizyt w domu zauważyła, że Ramsey stawał się coraz bardziej nieobliczalny i nie mogła mieć pewności, że będzie zajmował się wszystkimi sprawami w sposób należyty. Nie miała tak wielkiej posiadłości jak Caldonia, ale, jak sama mówiła swoim uczniom, nie od samej wielkości zależała podatność na zepsucie. Uczyła, że upadek imperium wcale nie musi zaczynać się od rewolty w najdalszym zakątku imperium, może rozpocząć się na poddaszu albo w sypialni czy kuchni cesarskiego pałacu, gdzie sam władca pozwoli na rozwój domowego chaosu, który ostatecznie doprowadzi do upadku pałacu, a za pałacem do upadku imperium. Jej mąż nie był nałogowym alkoholikiem, powiedziała kiedyś Caldonii, ale często zachowywał się z nieodpowiedzialnością pijaka. „Być może lepiej byłoby, gdyby był pijakiem - ciągnęła dalej - bo wtedy przynajmniej mógłby kosztować wesołości, jaka towarzyszy picciu”.

Caldonia stała na werandzie i patrzyła za odjeżdżającą Fern, a tuż za swoją panią, nieco po lewej, stała Loretta. Weszły do domu i Caldonia przez większą część popołudnia czytała, a później wraz z Loretą zajęły się szyciem. Tego wieczoru przyszedł Moses i opowiadał Caldonii o pierwszym gwoździu, który Henry wbił w deskę w kuchni, kiedy dom istniał jeszcze jedynie w głowie jego właściciela.

*

Niewolnik odwożący tego dnia Fern do domu pierwszy zobaczył tego mężczyznę i powiedział jej, że ktoś jest na drodze. Dzień chylił się już ku końcowi i niebo płonęło na czerwono i pomarańczowo. Minęli już patrol, Fern była więc pewna, że osoba na drodze, kimkolwiek jest, ma uzasadniony powód, aby tam przebywać.

- Nie mogę tego rozpoznać - odezwał się do niej sługa Zeus. - To coś wielkiego.

„To” było wielkie, ponieważ mężczyzna siedział na koniu, a zachodzące za mężczyzną słońce tworzyło zarys ogromnej postaci i Zeus widział tylko ciemne kontury czegoś, co nie wyglądało ani jak mężczyzna, ani jak koń.

- Pani Elston? - uchyliwszy kapelusza, zapytał mężczyzna, kiedy się już zbliżyli.

Był Murzynem i w ostatnich promieniach słońca Fern widziała, że ma skórę koloru ciemnego orzesznika.

- Jestem Jebediah Dickinson - powiedział mężczyzna.

- Czy pan mnie szukał, panie Dickinson? - zapytała Fern.

- Tak, proszę pani, i nie.

- Jestem zmęczona, panie Dickinson, i nie mam teraz ochoty na zagadki.

- Pani mąż jest mi winien pięćset dolarów i ja chcę tylko, żeby on mi zapłacił, żebym mógł jechać tam, dokąd muszę.

Jej mąż, Ramsey Elston, wyjechał z domu dzień wcześniej, w końcu po tych wszystkich tygodniach ogarnięty chęcią hazardu.

- Rozumiem, że był pan w domu, i że nie ma tam pana Elstona. W niczym więcej nie mogę panu pomóc. Ruszaj - powiedziała Fern do Zeusa, który uniósł lejce, ale ponownie je opuścił, kiedy mężczyzna zaczął mówić.

- Można by sądzić, że dług jednej osoby jest długiem drugiej, jeśli dwoje ludzi jest jednym i tym samym jako mąż i żona.

Mężczyzna się nie poruszył. Stał nieco bokiem do drogi, jednak nie wyglądał groźnie i Zeus mógłby przejechać obok, gdyby pani kazała mu to zrobić. Koń Jebediaha sprawiał wrażenie narowistego, przez cały czas kiwał łbem i ze wszystkich sił wymachiwał ogonem. Ogon był przycięty, ale zauważył to tylko Zeus, który nie był specjalnie obeznany z końmi.

- Tak pan sądzi? - zapytała Fern. Jebediah zsiadł z konia i podszedł do niej, a jego koń przestał wymachiwać ogonem i kilka sekund później zaprzestał również kiwania łbem. - Myli się pan, panie Dickinson. To, co pan Elston robi poza domem, jest jego prywatną sprawą. Nie ma to nic wspólnego ze mną, podobnie jak nie ma wspólnego ze mną to, co pan tam robi.

Byłam dobrą żoną.

- Proszę pani, ja tylko chciałem powiedzieć...

- Nic mnie nie obchodzi, co pan chciał powiedzieć. Jego długi to jego sprawa. Jeśli jest pan hazardzistą, a sądzę, że tak jest, to pan o tym wie.

Zastanawiała się, kiedy Ramsey zaczął grać z czarnymi ludźmi. Zastanawiała się również, czy wciąż jeszcze gra z białymi.

- Ruszaj - poleciła Zeusowi.

*

Następnego dnia nadal tam był, podobnie jak codziennie przez prawie tydzień. Jeździła tam i z powrotem - w tym raz do Caldonii - a on nie odzywał się do niej, tylko uchylał kapelusza, kiedy przejeżdżała w jedną stronę, a potem jeszcze raz, kiedy wracała. Również w nocy nie opuszczał swojego miejsca, wiedziała o tym, ponieważ mogła dostrzec małe ognisko. Dało się zauważyć jeszcze jakiś ruch, chociaż to akurat mogło oznaczać niedźwiedzia. Często był sprawdzany przez patrole - wyciągał wtedy zza pazuchy swoje

dokumenty i zostawiano go w spokoju. Fern widziała go ze swojego okna, patrząc na drugi koniec ścieżki. Zgodnie z jej dawnym życzeniem nie powinna była go widzieć, chciała, żeby przed wjazdem zasadzono drzewa, które teraz byłyby wystarczająco wysokie, żeby go zupełnie zasłonić. Ale Ramsey zawsze chciał mieć niczym nieprzesłonięty widok.

Fern nie miała pojęcia, czym się żywił, również jej niewolnicy nic na ten temat nie mogli powiedzieć. Siedem dni po swoim przyjeździe zapukał do frontowych drzwi domu. Zeus otworzył i powiedział Jebediahowi, że pani nie życzy sobie, aby różni ludzie, niewolnicy i tacy jak on, obcy Murzyni, pukali do drzwi frontowych.

- Po to zrobiono drzwi z tyłu domu - wyjaśnił Zeus.

- W takim razie po co są drzwi frontowe? - zapytał Jebediah.

Zeus zamknął drzwi, delikatnie, jakby naprawdę nie chciał robić hałasu. Niecałe dwie minuty później do drzwi podeszła Fern, a za nią stanął Zeus, bez śladu uśmiechu na twarzy.

- Pani Elston, kobyła mi zdycha, a ja nie mam broni i nie mogę skrócić jej cierpienia - odezwał się Jebediah. Kapelusz trzymał przy piersiach, mocno zaciskając na nim obie dłonie.
- Gdybym miał wystarczająco dużo siły, mógłbym skrócić jej kark, ale to zajęłoby dużo czasu i ona by cierpiała, podobnie zresztą jak i ja sam. Mam nóż, ale to też sprawiłoby nam obojgu podobne cierpienie.

- Zeus - powiedziała Fern - zawołaj tu Colleya. Powiedz mu, żeby przyniósł strzelbę i pistolet.

Zeus pozostał z nią, kiedy wychodziła za męża po raz drugi i trzeci. Był też w domu, gdy rozmawiała z Andersonem Frazierem tego dnia w 1881 roku, i od czasu do czasu przez zasłony spoglądał z tyłu na ich głowy. Przyniósł lemoniadę Andersonowi, kiedy Fern mu ją zaproponowała.

- Tak, proszę pani - powiedział Zeus.

- Czy zamierza pan tu zamieszkać, panie Dickinson? - zapytała, kiedy czekali na Colleya.

- Pani mąż jest mi winien pięćset dolarów, to wszystko. Gdyby miała inny charakter, pewnie by westchnęła.

Jednak wzdychanie było oznaką poddania się, sygnałem nadciągającej bezradności. Skrzyżowała ręce na piersiach.

Zeus wyszedł z za węgła domu, niosąc pistolet, a za nim kroczył Colley, mężczyzna większy nawet od Jebediaha. Na ramieniu Colleya spoczywała strzelba. Mężczyźni poszli w kierunku konia i kiedy w pewnym momencie Jebediah powiedział coś do Colleya, ten wręczył mu strzelbę i Jebediah strzelił dwukrotnie w łeb zwierzęcia, a następnie oddał broń

Colleyowi. Fern obserwowała to wszystko z werandy i zobaczyła, jak w jednej sekundzie koń po prostu zniknął z jej nieprzesłoniętego drzewami pola widzenia, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, może tylko trochę kłopotliwego kurzu. Mężczyźni wrócili i Jebediah poprosił Fern o pożyczanie szpadla, żeby mógł pogrzebać zwierzę, a kiedy skończył kopać, Colley zabrał ze sobą jeszcze jednego mężczyznę i dwa muły, a potem ci trzej mężczyźni, wspomagani przez dwa muły, z trudem zaciągnęli martwego konia do dołu. Dickinson zasypał dół ziemią. Zeus nie uczestniczył w tych pracach, ponieważ pracował jedynie w domu, na zewnątrz tylko czasami grzebał w ogródku Fern.

Kiedy Fern później wychodziła z domu lub do niego wracała, zawsze widywała Jebediaha, który jeśli nie stał, to siedział na siodle. Jak zawsze uchylał kapelusza. I przez te wszystkie dni jej mąż ani razu się nie pokazał, nie dawał też znaku życia.

*

Oden Peoples, uczestniczący w patrolach Indianin Cherokee, zaczął mieć już dosyć codziennego widoku Jebediaha i powiedział o tym szeryfowi Johnowi Skiffingtonowi. Było to w drugim tygodniu pobytu Jebediaha.

- Daj mu trochę więcej czasu - powiedział Skiffington.

- Mogę tolerować włóczęgostwo, ale wszystko ma swoje granice.

I pod koniec tego drugiego tygodnia, w biały dzień, kiedy nie miał być na patrolu, Oden podjechał do Jebediaha i skierował broń w jego stronę. Fern obserwowała ich z okna.

Jebediah od razu uniósł ręce w górę. Musiał powiedzieć coś o tym, że jest wolnym człowiekiem, ponieważ Oden krzyczał na niego długo i głośno. Oden najpierw siedział na koniu, a następnie z niego zsiadł, przez cały czas trzymając pistolet wymierzony w Jebediaha. Dwumetrowym sznurem związał ręce Jebediaha i obwiązał go nim w pasie, po czym wsiadł na konia i zaczął jechać, jedną ręką trzymając cugle, a drugą koniec sznura, do którego przywiązany był idący za nim Jebediah. Pistolet schował do kabury, ponieważ czuł, że nie będzie już mu potrzebny.

Fern wyszła na drogę, a za nią podążył Zeus i oboje stanęli i patrzyli, patrzyli za nimi dość długo. Do miasta było ponad dziesięć mil i wzrok kobiety oraz jej niewolnika nie sięgał tak daleko, widzieli tylko na jakąś milę, później widok przesłaniały im drzewa i wzgórza. Powiedziała Zeusowi, żeby ktoś przyniósł do domu siodło pana Dickinsona.

*

Nikt nie pamiętał takiej sytuacji, żeby w areszcie hrabstwa Manchester przebywał kiedykolwiek człowiek kolorowy Nikt z nich - ani wolny, ani niewolnik - nigdy nie zrobił czegoś takiego, żeby trzeba go było zatrzymać. Wolni ludzie w hrabstwie Manchester zdawali

sobie sprawę z niepewności swojego bytu i zawsze starali się postępować w sposób prawy. Wiedzieli, że są niewolnikami, których tylko inaczej nazywano. Większość przestępstw i występków niewolników była karana przez ich panów, którzy mogli nawet powiesić niewolnika, jeśli ten zabił innego niewolnika, ale byłoby to wyrzucaniem pieniędzy, kiedy już spora część pieniędzy została zmarnowana przez tego niewolnika, jak to kiedyś tłumaczył Skiffingtonowi William Robbins.

Skiffington nie kwapił się z wsadzeniem Murzyna do pomieszczenia, które w przyszłości miało znowu być używane przez białego człowieka, białego przestępcę. Miał Odenowi za złe, że ten postawił go w tak kłopotliwym położeniu. Mógłby przykuć Jebediaha z tyłu, w stodole Sawyera, ale Sawyer za wszystko liczył sobie krocie i Skiffington uważał, że prawo nie powinno ponosić takich kosztów. A ponadto, zgodnie z prawem, szeryf hrabstwa powinien przez cały czas sprawować kontrolę nad więźniem, a to nie byłoby możliwe w stodole Sawyera. Postanowił więc wsadzić Jebediaha do aresztu, stwierdziwszy, że wszyscy będą musieli jakoś się z tym pogodzić.

Z dokumentów poświadczających wolność Jebediaha wynikało, że został wyzwolony przez pastora Wilbura Manna z Danville w stanie Wirginia. Na pierwszy rzut oka dokumenty wyglądały na autentyczne, ale Skiffington zadesperzował do szeryfa w Danville z informacją, że zatrzymał podejrzanego Murzyna, a w odpowiedzi ten szeryf przesłał depeszę, z której wynikało, że Jebediah stanowi własność Manna. „Pastor w drodze” - brzmiał dopisek na depeszy. Cztery dni później Mann stanął w drzwiach aresztu. Przyjechał wcześniej rano i kiedy Skiffington dotarł do budynku, zastał Manna zagląającego przez okno i śmiejącego się. Pastor był wysokim, bardzo wychudłym mężczyzną i miał najpiękniejsze długie blond włosy, jakie Skiffington kiedykolwiek widział u mężczyzny

- Należy do mnie - powtarzał Mann, kiedy już weszli do budynku. Przedstawił akt kupna, z którego wynikało, że Jebediah został kupiony w Durham szesnaście lat wcześniej za 250 dolarów.

- Jak zdobył dokumenty potwierdzające jego wolność? - zapytał Skiffington.

Mann wyglądał na zmieszanego.

- Sam je napisał. Potrafi czytać i pisać lepiej niż ja i pan. Mann zdjął swój elegancki szary kapelusz i chwyciwszy go w obie dłonie, położył go na biurku Skiffingtona, tuż obok *Biblii*.

- To zasługa mojej żony, niech ją Bóg błogosławi. Mówiłem jej, żeby nic takiego nie robiła, ale nigdy nie potrafiłem się jej sprzeciwić. Wtedy był jeszcze zupełnym szczeniakiem. Ona była wspianała, ale czasami robiła pewne rzeczy, których ja nie pochwalałem.

Jebediah siedział w celi i się nie odzywał.

- Powinien pan powstrzymać żonę - odezwał się Skiffinkton. - Powinna była wiedzieć, że takich rzeczy nie należy robić. Czy ona wie, co mówi prawo o uczeniu niewolników czytania i pisania?

- Wiem - odrzekł Mann. - Ale ona już nie żyje od dwóch lat, opuściła nas na krótko przed ucieczką tego przekłętą Jebediaha. Świeć Panie nad jej duszą. Teraz mam naprawdę mądrą żonę - nie potrafi czytać ani pisać, nikogo więc nie nauczy tego, czego sama nie umie.

Powiedział Skiffingtonowi, że Dickinson było nazwiskiem panińskim jego pierwszej żony.

- I czy to pana zdaniem nie jest prawdziwy policzek? - zapytał pastor.

- Nie wiem - odparł Skiffinkton. - Ja po prostu wierzę panu na słowo.

- Tak właśnie jest. To prawdziwy policzek - stwierdził Mann.

- Jeśli pan go nie wyzwolił - powiedział Skiffinkton - to w takim razie jak zdobył dokumenty potwierdzające jego wolność?

- Już panu mówiłem, że potrafi czytać. Potrafi czytać i pisać. Robi to nawet lepiej niż ja, nieprawdaż, Jebediah? Potrafi też rachować jak diabli - podszedł do krat. - Niech twoja dusza smaży się w piekle za te wszystkie kłopoty, jakich mi przysparzasz. Jebediah nadal się nie odzywał.

- I dlaczego postanowiłeś zbecześcić pamięć mojej żony, wybierając jej nazwisko dla swoich niecných poczynañ? No? No, odpowiedz. Niech cię diabli.

- W każdej chwili może pan go zabrać do domu - powiedział Skiffinkton.

- Może najpierw pójdę coś przekąsić. Przyjechałem tu z moim sąsiadem, który poszedł coś zjeść. Razem zabierzemy go tam, gdzie jego miejsce.

- Dobrze, mnie to nie przeszkadza.

Podczas rozmowy Mann stał odwrócony w stronę Skiffingtona, ale teraz podszedł do Jebediaha.

- Będę batożył ci tę twoją czarną skórę, aż Bóg każe mi przestać, słyszysz mnie?

Jebediah cofnął się i usiadł na sienniku leżącym na podłodze. Z aresztu usunięto łóżko służące białym więźniom.

- Tak, mój drogi, odpocznij teraz, bo czekają cię niezłe cięgi, mój chłopcze. A potem poczekam, aż skóra ci się zagoi, poczekam, aż będzie zupełnie nowiutka, i tę również z ciebie zedrę. Później poczekam, aż będziesz znowu miał nową, i tę też z ciebie zedrę. Żeby tak zbecześcić dobre imię mojej żony i popełniać Bóg jeden wie jakie zbrodnie. Tak, Jebediah,

teraz to będziesz miał tylko jedną pracę: wyhodować nową skórę i patrzeć, jak ja ją z ciebie zdieram.

Mann podniósł swój kapelusz, następnie odchylił głowę nieco do tyłu, przyglądził grzywę jasnych włosów i ułożył kapelusz na głowie tak delikatnie, jakby go układał w pudle na kapelusze.

- Niedługo wracam - rzekł do Skiffingtona i wyszedł.

*

Tak się złożyło, że Ramsey Elston powrócił do domu dwa dni przed tymi wydarzeniami. Swojej żonie powiedział, że nie zna żadnego Jebediaha Dickinsona i że jeśli Jebediah Dickinson dla niego nie istnieje, to również nie może istnieć dług w wysokości 500 dolarów. Fern wiedziała, że nie mówi jej prawdy. Z wiekiem Ramseyowi coraz łatwiej przychodziło kłamstwo. Mijał jedenasty rok ich małżeństwa. Nie potrafiła przestać myśleć o Jebediahu od dnia, kiedy Oden z nim odjechał.

Dzień po tym, jak jej mąż powiedział, że nie zna tego człowieka, chciała pojechać do miasta i wypytać się o Jebediaha, ale tego dnia Ramsey od rana był uroczy jak nigdy. Jednak wieczorem zrobił się zgorzkniały i kładąc się spać postanowiła, że pojedzie i zasięgnie informacji o Jebediahu. *Byłam dobrą żoną.* Nic nie wiedząc o Mannie, przyjechała z Colleyem do aresztu w momencie, kiedy Mann wkładał do ust pierwszy kęs jedzenia, siedząc przy stole ze swoim sąsiadem.

Skiffington opowiedział jej wszystko o Jebediahu, a ona usiadła w powozie, czekając, aż Mann skończy posiłek. Kiedy pojawił się na ulicy, szedł za nim biały człowiek takiego samego wzrostu co on, ale kiedy Mann wkroczył do aresztu, ten mężczyzna został na zewnątrz. Mann ponownie obiema rękami zdjął kapelusz i jeszcze raz położył go na biurku Skiffingtona, obok *Biblii*. Do pomieszczenia weszła Fern.

Powiedziała mu, że chce kupić Jebediaha. Od razu zapytał:

- Za ile?

Kiedy wymieniła kwotę 250 dolarów, lekko cmoknął kącikiem ust, na znak, że kwota go nie satysfakcjonuje.

- Biorąc pod uwagę jego przeszłość, trudno uznać go za godnego zaufania - powiedziała Fern.

- Zapłaciłem za niego trzysta pięćdziesiąt dolarów, kiedy był jeszcze szczeniakiem - odrzekł Mann.

Skiffington widział akt kupna opiewający na 250 dolarów, ale nie zaprzeczył. Jedynym duchownym, w którego słowa wierzył, był jego własny ojciec, ale ojciec nie był

wyświęcony przez żadnego człowieka. Fern zaproponowała 300 dolarów. Mann podszedł do celi, w której Jebediah nadal siedział na sienniku. Tego dnia z pewnością miało dojść do sprzedaży, wyraźnie widać to było po twarzy Manna. Widać na niej było również rozczarowanie, że nie będzie mógł spełnić tego wszystkiego, co planował od przyjazdu z Danville. *Może to jednak nie było gorsze rozwiązanie*, pomyślał, trzymając ręce zaciśnięte na prętach celi. Bo przecież ile mógłby wymierzyć batów, zanim Jebediah zasłabłby i wreszcie umarł. Fern i Mann nie odzywali się przez kilka minut, aż w końcu Fern zaproponowała 375 dolarów: „dobry zysk zawsze i dla każdego”. Mann się zgodził.

Mann i jego sąsiad towarzyszyli Fern i jej woźnicy Colleyowi oraz Jebediahowi w drodze do jej domu. Jebediah ponownie został spętany i siedział na koźle z Colleyem, który nie odezwał się do niego przez całą drogę. U Fern Mann i biały mężczyzna zabrali Jebediaha do stodoły i przykuli go do ściany.

- Jeśli w nocy nagle wstanie i zniknie - powiedział Mann, zanim wraz z towarzyszem odjechali - i tak mi się należą moje pieniądze.

- Rozumiem - odparła Fern - ale nie przewiduję żadnych zniknięć.

Przez cały czas Mann sądził, że ma do czynienia z białą kobietą, i nigdy nie miał się dowiedzieć, jak bardzo się mylił.

Poleciła Colleyowi zadbać, żeby Jebediahowi niczego nie brakowało, żeby był najedzony i żeby dostał koc, i było mu tak wygodnie, jak to tylko możliwe przy mniejszej swobodzie poruszania się niż miał w celi aresztu Skiffinktona. Jej mąż, którego nie było w domu, kiedy wróciła z Jebediahem, został przyprowadzony do stodoły następnego dnia, a Jebediah z miejsca zaczął na niego ciskać gromy

- Ramsey, gdzie są moje cholerne pieniądze? Jesteś mi winny pięćset dolarów, a ja chcę je odzyskać co do grosza!

Z całej siły napierał na łańcuchy i kopał słomę w kierunku Ramseya.

- Wypuść mnie, słyszysz!?! - krzyczał do Fern.

- Nie znam cię i nic nie wiem o żadnych pięciuset dolarach - odparł Ramsey, stojąc na rozstawionych szeroko nogach i nie zwracając uwagi na słomę spadającą na jego buty

- Po co kupujesz coś, co sprawia tylko kłopoty? - odezwał się do żony Ich rodzice spotkali się i omówili kwestię ich małżeństwa, zanim jeszcze oni sami mogli się zobaczyć. W wieczór ich pierwszego spotkania Ramsey skubał kurczaki. Nie zrobił na niej zbytniego wrażenia i tak też miało pozostać przez pewien czas.

- Stoisz tak sobie z tą całą twoją miłością, co? - powiedział Jebediah do Ramseya.

Colley podszedł do Jebediaha i kiedy ten napierał na łańcuchy, starając się sięgnąć do Ramseya, Colley chwycił łańcuch i ciągnął go z powrotem.

- Wiele osób w Richmond i w innych miejscach cholernie by się zdziwiło, gdyby się dowiedziało, że masz żonę.

A potem zwrócił się do Fern i powiedział:

- Ja też nie wiedziałem, że ma żonę, dowiedziałem się dopiero, gdy pewnej nocy obudził się z krzykiem z tą piękną po drugiej stronie sali. Obudził mnie i wielu innych ludzi.

Na sukience i bucikach Fern znalazło się trochę słomy, zaczęła więc ją zbierać i odrzucać.

- Ramsey, chcę moje pięćset dolarów i chcę je teraz, co do grosza.

Ramsey wyszedł ze stodoły. Fern przestała zbierać słomę i podeszła do Jebediaha.

- Zostaniesz tu, aż nauczysz się dobrych manier; aż nauczysz się, że nie możesz wstać i chodzić sobie jak jakiś wolny człowiek.

- Ja jestem wolny - odparł Jebediah. - Ten Mann nie wiedział, co mówi. Jestem wolny.

- Jednak prawo twierdzi coś zupełnie innego.

Jeszcze kilka godzin wcześniej miała zamiar uwolnić go, zgodzić się na to, aby pieniądze, jakie za niego zapłaciła, stanowiły rozliczenie długu Ramseya. Spodziewała się, że Jebediah na to przystanie, ponieważ w końcu stałby się raz na zawsze wolny i swobodny. Jednak poczuła się przytłoczona niewiernością męża, która teraz przesłoniła jej wszystko inne. Czuła urazę do swojego męża i czuła urazę do posłańca, towarzysza swojego męża. Miała trzydzieści cztery lata.

- Ta stodoła stoi tu już wiele lat i będzie stała jeszcze wiele następnych, a ty będziesz w niej siedział, jeśli nie potrafisz nauczyć się dobrych manier.

- Ja nie potrzebuję dobrych manier, moja pani. Ja potrzebuję moich pieniędzy.

Fern zwróciła się do Colleya:

- Ma nigdzie nie wychodzić, aż nauczy się odróżniać dobro od zła, noc od dnia.

- Tak jest, proszę pani - odrzekł Colley i trzy razy pociągnął za łańcuch.

- Ty i ten twój przeklęty, beznadziejny mąż możecie iść sobie do diabła! - krzyczał Jebediah za odchodzącą Fern. - Słuchajcie dobrze. Oboje możecie iść do diabła.

Jebediah siedział w stodole przez cztery dni, aż w końcu powiedział Colleyowi, że jest gotów robić to, za co ona zapłaciła, i Colley wraz z drugim mężczyzną zabrali go na tyły domu, z którego wyszła Fern i zbliżyła się do Jebediaha.

- Nie chcę żadnych kłopotów. Nie życzę sobie żadnych kłopotów - powiedziała Fern.

- Dobra, dobra - odparł Jebediah, na co ona uderzyła go w policzek.
- Mówiłeś chyba, że nauczyłeś się już dobrych manier - powiedziała Fern do Colleya.
- Tak mi powiedział, *mistress*. On tak mi powiedział.

Colley chwycił Jebediaha za kark i zmusił go do klęknienia. Od dnia swojego powrotu, kiedy to Jebediah przebywał w areszcie, Ramsey nie wyjeżdżał na następne hazardowe eskapady. Od kiedy powrócił, nie był w jej łóżku. Ona nie wykapała się w dniu, w którym powrócił - wykapała się w noc poprzedzającą jej wyjazd do miasta, kiedy miała kupić Jebediaha.

- Proszę, powiedz mu, żeby mnie puścił - powiedział Jebediah. - Będę się dobrze zachowywał. Obiecuję.

*

Był dobrym pracownikiem, jeśli tylko zdecydował się pracować. Przez ponad dwa tygodnie nie sprawiał Fern żadnych kłopotów. Elstonowie nigdy nie mieli nadzorca z prawdziwego zdarzenia; najbardziej zbliżoną funkcję pełnił Colley, który teraz przez całe dni i noce pilnował Jebediaha. Fern ostrzegła Skiffingtona, że niewolnik może próbować ucieczki, i szeryf dopilnował, żeby patrole nie udawały się na nocny spoczynek, zanim nie sprawdzą, gdzie jest Jebediah. Wszyscy przyzwyczaili się do tego, że jest dobrym pracownikiem. Później, pod koniec trzeciego tygodnia wykonywania wszystkich poleceń, zaczął się samowolnie oddalać. Nie robił tego w sposób demonstracyjny. Po prostu porzucał wyznaczone mu zadanie i odchodził, wybierał się na ryby lub szedł na jagody i obżerał się nimi tam, gdzie je zbierał, albo znajdował sobie łąkę, na której drzemał, przeganiając wcześniej krowy, jeśli tylko znajdowały się w upatrzonym przez niego miejscu.

Było trochę zamieszania z zaciągnięciem go z powrotem, ale on i tak robił to ponownie, może nie za dzień czy dwa, ale dosyć szybko.

W czwartym tygodniu zaczął wychodzić w nocy i powracać nad ranem, i wyglądało na to, że nie napotykał kłopotów ze strony patroli. Kilka niewolnic w okolicy dobrze poznało jego imię, jednej powiedział, że był pastorem i że to sam Bóg Wszechmogący go powołał. Przez tydzień spotykał Alice i choć słowem się do siebie nie odzywali, za każdym razem machali do siebie, jakby mijali się na targowisku. Pewnej nocy pozdrowił ją, a ona zaczęła wygadywać swoje brednie, na co on odwrócił się i zaczął iść obok niej, słuchając wszystkiego, co mówiła. Był ciekaw, jak długo ona potrafi tak ciągnąć, i okazało się, że mogła robić to dłużej, niż on był w stanie obok niej iść.

Dopiero później Fern i Ramsey odkryli, że jakoś udało mu się zdobyć kawałek papieru i że zrobił sobie przepustkę, którą pokazywał patrolom, jak tylko spotykały go w nocy na

drodże. Miał szczęście, że nigdy nie spotkał Odena Peoples. „Ten czarnuch - głosił napis na papierze - załatwia sprawy dla swoich właścicieli, Ramseya i Fern Elston z posiadłości państwa Elstonów. Można mu zaufać, że wróci do domu”. Na papierze był również podpis: „Fern Elston”, który jednak w niczym nie przypominał jej podpisu, ponieważ Jebediah nigdy go nie widział. Elstonowie zabrali mu tę przepustkę, ale nie wiedzieli, że miał jeszcze jedną, z podpisem „Ramsey Elston”. Na tej drugiej nie tylko „załatwiał sprawy” dla Elstonów, ale „załatwiał ważne sprawy”.

Najgorsze było jednak to, że zawsze, kiedy tylko znalazł się w pobliżu domu, wykrzykiwał, że chce swoich pieniędzy

- Pamiętam, że masz moje pieniądze. Pamiętam, co mi jesteś winien. Chcę moje pięćset dolarów.

Mówił to w nocy, zanim jeszcze zabrali mu te jego przepustki. Powtarzał to w drodze na jagody i powtarzał to, udając się na drzemkę.

- Pamiętam, że masz moje pieniądze.

Pewnego ranka Ramsey wyszedł z domu i z pistoletu strzelił nad jego głowę, ale to nie dało.

A później, trzy dni po tym, jak Ramsey powrócił do hazardu, Fern wyszła z domu i powiedziała Jebediahowi, że jej życzeniem jest, aby zaczął nowy rozdział w swoim życiu. Colleyowi i dwóm innym mężczyznom kazała chwycić mocno Jebediaha przed chatą, w której mieszkał z innym samotnym mężczyzną.

- To wszystko dziś się skończy - powiedziała Fern. - Byłam cierpliwa, ale moja cierpliwość ma swoje granice. Jeśli nie będziesz postępował, jak należy, z powrotem zakuję cię w łańcuchy. Kiedy odchodziła, Jebediah rzucił za nią:

- Gdybyś była moją kobietą, nie byłabyś co noc sama w łóżku.

Zatrzymała się, ale się nie odwróciła.

- Wiesz, ile czasu zajęłoby mi rozplecenie twoich włosów i zdjęcie z ciebie tych wszystkich twoich ubrań? Wiesz, ile?

Musiał zdać sobie sprawę, sercem i umysłem urodzony w niewoli, że tym razem przesadził, i opuścił głowę. Fern nic nie powiedziała, ale kiedy mężczyźni go puścili, Jebediah zdjął koszulę i położył się na brzuchu na ziemi. Fern nie lubiła chłostać niewolników, jej zdaniem każdy ślad biczowania na plecach niewolnika obniżał jego wartość o 5 dolarów. Ale pewne rzeczy na tym świecie były niewybaczalne.

Dostał piętnaście batów, z czego ostatnich pięć nie miało żadnego znaczenia, ponieważ zemdlął przy dziesiątym. Tydzień dochodził do siebie, a kiedy powrócił do pracy,

nie odzywał się. I przestał się błąkać po okolicy. Tydzień po powrocie do pracy nastąpił w stodole na deskę, z której sterczał zardzewiały gwóźdź. Początkowo zbagatelizował to, jedynie opatrzył ranę odrobiną błota i pajęczyną. Ale rana zaczęła się jątrzyć i w końcu musieli odpiłować prawą stopę Jebediaha, żeby uratować mu życie, tak przynajmniej powiedział biały doktor.

Po tym wypadku nie ruszył się już sprzed swojej chaty, wstawał tylko, kiedy szedł za potrzebą, albo kiedy wchodził do środka, żeby coś zjeść czy położyć się spać. Niecałe dwa tygodnie po tym, jak odcięto mu stopę, Fern przyszła do niego i powiedziała, że go wyzwoli. Nic nie odpowiedział, tylko dalej wsłuchiwał się w to, co do niego mówiła głośno jego fantomowa stopa.

Następnego dnia przyszedł do domu z Colleyem, wszedł do środka i poszedł do kuchni. Szedł o kulach, które ktoś dla niego zrobił. Fern siedziała przy stole, zajęta pisaniem. Kiedy skończyła, osuszyła papier bibułą i wręczyła mu go. Przeczytał, co tam było napisane, i oddał go jej.

- W słowie *manumit* jest tylko jedno „t” - powiedział jej - chyba że jest używane w czasie przeszłym.

Jeszcze nigdy nie pisała tego słowa. Przepisała dokument, a następnie napisała jeszcze jeden. Mężczyźni byli znani z tego, że gubią różne rzeczy. Ze wszystkich ludzi, jakich знаła w swoim życiu, on był jedynym, któremu mogłaby powiedzieć „przepraszam”. O tym wszystkim nie wspomniała autorowi broszur, Andersonowi Frazierowi.

Zaproponowała mu miejsce i pracę w swojej posiadłości, ale powiedział, że dla niego Wirginia stała się diabelskim stanem i nie chce mieć z nią nic wspólnego.

- Gdyby tu był ocean - powiedział - od razu bym do niego wskoczył i popłynąłbym do Baltimore, żeby już nie musiał chodzić po tej przeklętej ziemi w Wirginii.

Na drogę dała mu wóz i starego konia, a także 50 dolarów

- Ty i ten twój bezwartościowy mąż jesteście mi winni czterysta pięćdziesiąt dolarów i od tego nie uciekniecie. Całą pracę, jaką wykonałem, oraz moją stopę daję wam za darmo.

Odjechał, zabierając ze sobą wóz i posuniętego w latach konia. Po drodze wiodącej na północ spotkało go wiele życzliwości, ponieważ miał tylko tę jedną stopę, ale ile ciepłych łóżek i pełnych talerzy czarni i biali ludzie by mu nie dali i jakby dobrze nie traktowali jego konia, nigdy nie przestał myśleć, że jedzie przez diabelski stan. Dotarł do Waszyngtonu i tam się zatrzymał, chociaż serce ciągnęło go do Baltimore. Sześć miesięcy po przybyciu do Waszyngtonu padł koń Fern. Jebediah nigdy nie zadał sobie trudu przejechania czterdziestu mil do Baltimore, żeby sprawdzić, czy miasto odpowiada jego wyobrażeniom. Swoje

pierwsze dziecko, jedyną córkę, nazwał Maribelle, na cześć konia, którego musiał zastrzelić strzelbą Fern obok domu Fern. Drugiemu dziecku dał na imię Jim, po koniu, który go przywiózł do Waszyngtonu. Pewnego dnia przyłapał syna na podpisywaniu się na lekcjach imieniem „James” i, nie podnosząc głosu, powiedział synowi, że gdyby chciał dać mu na imię James, to by tak zrobił.

*

Odwiedziny Mosesa w domu w niemal każdy roboczy dzień i jego relacje z tego, co się wydarzyło, stały się dla Caldonii i Mosesa stałym elementem ich egzystencji. Rzadko działo się coś rzeczywiście nowego, niemniej jednak on opowiadał wszystko w najdrobniejszych szczegółach - ile gontów potrzeba do naprawienia stodoły, jakich plonów może Caldonia oczekiwać z poszczególnych upraw, co niewolnicy dostali na obiad i na kolację, ile wiader mleka dała każda krowa, ile czasu zajęło postawienie nowego silosu do składowania kukurydzy w miejsce zniszczonego przez lunatycznego muła. Najważniejsze było tylko to, że uprawy dobrze się rozwijały, a to można było powiedzieć w niecałe pięć minut, ale pod koniec swojej przemowy dodawał krótkie informacje o życiu niewolników. Pewnego wieczoru na początku września, mniej więcej wtedy, gdy Augustus Townsend został porwany, a następnie sprzedany, Moses stał w salonie, trzymając w dłoniach kapelusz. Bardzo spociał się w ciągu dnia i czekał z tyłu domu, aż uznał, że jest już suchy i nie cuchnie. Kazała mu usiąść, a on jak zawsze się zawahał, ponieważ miał na sobie to, co nosił w polu. Jednak usiadł i na koniec opowieści o dniu pracy wspomniał Caldonii, że ciąża Celeste przebiega dobrze i że Gloria poparzyła się ługiem, a lewa strona twarzy Radforda jest trzy razy większa niż normalnie, prawdopodobnie z powodu bólu zęba, ponieważ Radford znany był z tego, że żuł wszystko oprócz kowadła.

Był już gotowy rozpocząć kolejną zmyśloną opowieść o Henrym, kiedy do pokoju weszła Loretta i zapytała Caldonię, czy jej czegoś nie przynieść, na co Caldonia odpowiedziała, żeby przyniosła herbatnik i pół filiżanki kawy, i poprosiła jeszcze, żeby było w niej więcej wody niż kawy.

Caldonia powiedziała jej także, żeby przyniosła herbatnik dla Mosesa.

Pojawił się problem z kradzieżą jedzenia z jednej czy dwu chat, ciągnął dalej Moses, ale on miał już pewne podejrzenia co do tego, kto mógł to zrobić.

- Wydaje mi się - powiedział - że to może być jakieś dziecko. Ginęła głównie melasa.

Caldonia siedziała z głową odchyloną do tyłu i z zamkniętymi oczami, jak zawsze od drugiego wieczoru. Poczul, że może mówić cokolwiek, bo i tak nie ma to żadnego znaczenia.

- Czy wiesz dokładnie, kto to może być?

- Mam oko na dzieciaka Selmy i Princea, na Patricka. Może to robić z Grantem, synem Eliasa i Celeste. Albo z Grantem i Boydem. Od czasu tych sennych wariactw są nierozłączni, jak gdzieś jest jeden, to zaraz pojawia się i drugi.

- Sennych?

Loretta podała mu dwa herbatniki, ale on nic nie jadł.

Opowiedział jej o tym, jak chłopcy śnili te same sny i jak później bardzo się do siebie zbliżyli. Celeste mówiła, że sny powinny się skończyć z nastaniem jesieni, ale Moses w to nie wierzył.

- Są gorsi niż normalni chłopcy w ich wieku. Mają diabła za skórą, a ten nie wyjdzie z nich tylko dlatego, że zmieni się pora roku.

- Czy uważasz, że mogą być głodni? - zapytała Caldonia. - Czy to może być powodem, dla którego kradną?

Usiadła na skraju kanapy, ubrana na czarno.

- Głodni?

Z reguły Henry zawsze w soboty przydzielał każdemu niewolnikowi to, co jego zdaniem było wystarczającym zaopatrzeniem, w tym pół litra melasy. Przydziały te czasami były większe, a czasami mniejsze, w zależności od zysków danego roku, jednak zawsze zawierały pół litra melasy i Henry uważał, że to wystarczało dla wszystkich niewolników, może z wyjątkiem tych, którzy mieli dzieci.

- Nie, nie sądzę, żeby byli głodni. *Master* Henry, jeśli tylko mógł, nie dopuściłby do tego, żeby niewolnicy głodowali.

- Wiem, że by do tego nie dopuścił - powiedziała Caldonia.

Upiła nieco z filiżanki i ostrożnie postawiła ją na kolanach. Ręka, w której trzymała herbatniki, spociała się jej, przełożyła więc ciasteczka do drugiej. Nie patrzył na nią, tylko na środek kanapy.

- Wiem, że twój syn, Jamie, jest bardzo wyrośnięty, czy nie myślisz, że to on może być winowajcą?

Roześmiała się, żeby go uspokoić, jeśliby poczuł się urażony jej oskarżeniem.

- Mój syn? Jamie? Miałby kraść? To prawda, że on lubi jeść i nie będę temu zaprzeczał, ale on wie, że obdarłbym go ze skóry, gdybym przyłapał go na dotykaniu czegoś, co nie należy do niego.

Z każdym słowem przesuwiał wzrok ze środka kanapy w stronę Caldonii. Pamiętał, jak zobaczył ją po raz pierwszy - kobietę zbyt wiotką, żeby mogła być dobrą żoną.

- Rozumiem. Może warto by zwiększyć przydział melasy do trzech czwartych litra - powiedziała.

- Tak jest, proszę pani. Zacznę od najbliższej soboty

- Dobrze. Do zobaczenia jutro. Otworzyła oczy i podniosła się. Moses wstał i powiedział:

- Dobranoc, *missus*.

Następnego wieczoru przed przyjściem do niej postanowił się umyć, stał przy studni, polewał się wodą i szorował się rękami, a Priscilla, jego żona, przyglądała mu się ze śmiechem.

- Jutro znowu będziesz miał na sobie cały ten brud.

- Ucisz się, kobieto - odparł Moses. Powycierał się koszulą, którą miał na sobie w polu, a następnie znowu ją włożył.

- Nie możesz iść do tego domu i pozwolić, żeby Loretta widziała, jak harowałeś w polu przez cały dzień.

Ponieważ Moses nie był dla niej dobrym mężem ani zbyt dobrym ojcem dla ich dziecka, Priscilla nie wykluczała ewentualności, że to właśnie z powodu Loretty tak często chodzi do domu. Ostatecznie był nadzorcą i chociaż pracował w polu, był jednak człowiekiem dysponującym pewną władzą i każda kobieta, nawet pracująca w domu, mogła odczuć pokusę zakolysania biodrami w jego stronę.

- Nie, nie możemy pokazywać się Loretcie, jak naprawdę wyglądamy, tak na co dzień. Najpierw musimy zmyć trochę naszego smrodu.

Uderzył ją w policzek. Uderzenie nie było mocne, ale ona i tak padła na kolana, ponieważ ten cios był tylko dodatkiem do lat znęcania się i braku miłości.

- Dlaczego ty mnie tak traktujesz, Moses? Dlaczego nie możesz być dla mnie dobry?

- Traktuje cię najlepiej, jak potrafię - odrzekł. Nadeszła Tessie, córka Celeste i Eliasa, prowadząc Alice do jej chaty.

- Mały *morse* daje klapsy. Mały *marse* daje klapsy. Mały *marse* zachorował na dawanie klapsów - śpiewała Alice.

- Dlaczego płaczesz? - zapytała Tessie.

- Idźcie dalej - odezwał się do nich Moses. A do Priscilli powiedział:

- A ty idź do chaty.

Podniosła się i poszła do chaty Wśród niewolników nie było tajemnic i dużo później, kiedy szeryf przybył i wypytywał o zniknięcia, dowiedział się o tym, jak Moses bił Priscillę.

- Wszyscy to słyszeliśmy - powiedziały dzieci Skiffingtonowi, chociaż dorośli niewiele mówili temu białemu. - To nie było codziennie, ale prawie codziennie. On ją bił, a ściany się trzęsły To było tak: bum, bum, bum.

Priscilla dotarła do swojej chaty i lekko dotknęła drzwi, które natychmiast się przed nią otworzyły; oświetlił ją ogień rozpalony dla nich przez ich syna i weszła do środka, zamykając drzwi za sobą.

- A czy kiedyś skrzywdził swojego synka? - pytał później Skiffington dzieci. - Czy skrzywdził kiedyś tę Alice?

- On krzywdził wszystkich - powiedziała Tessie, a jej zdanie potwierdziły wszystkie dzieci, które potrafiły mówić.

- Mosesie - odezwała się Caldonia, kiedy już opowiedział jej o wydarzeniach tego dnia - ile czasu zajęło wam z Henrym zbudowanie domu?

- Jak długo, *missus*?

- Tak, jak długo? Tygodnie? Miesiące?

- Jakieś cztery miesiące codziennej pracy Tak jest, proszę pani, pracowaliśmy wiele dni i on powiedział: „Moses, czy myślisz, że pani Caldonii spodoba się ten pokój? Czy myślisz, że jej serce będzie szczęśliwe, kiedy na to popatrzy?”. A ja odpowiedziałem: „Tak, *marse* Henry, spodoba się jej to”.

Znowu głowa opadała jej do tyłu i jeśli nawet pamiętała, że dom był gotowy na długo, zanim Henry ją spotkał, nic nie powiedziała.

- Rozumiem - odezwała się po chwili.

- Chciałbym też powiedzieć, że były takie pokoje, w których nie pozwalał mi ze sobą pracować. Były takie pokoje, które chciał zrobić sam.

- Pokoje?

- Ten pokój, *missus*. Salon. On wiedział, że będzie wiele takich dni, które będzie chciał spędzać tylko z panią, i chyba nie chciał, żebym mu tu pomagał. I... i sypialnia na górze. Zostawił ją dla siebie. On taki już był, *missus*.

Oczami wyobraźni widziała, jak pracuje ten mężczyzna, którego wciąż kochała. Co ona sama robiła w te dni, kiedy Henry tu pracował, kiedy jeszcze nic o sobie nie wiedzieli? Czy może marzyła o kimś innym, może planowała przyszłość z jakimś innym, spotkanym na drodze mężczyzną?

Kazała mu odejść po prawie półtoragodzinnym spotkaniu. To był najdłuższy czas, jaki spędzili razem. Kiedy wychodził, Loretta siedziała w korytarzu. Podniosła się z krzesła i nie zamieniwszy z Mosesem ani słowa, zapukała w lekko uchylone drzwi do salonu, a on poszedł

korytarzem do kuchni. Nie ociągał się, ale szedł wolniej niż zazwyczaj. W kuchni skłamał Bennettowi, mężowi kucharki Zeddie, i powiedział, że *missus* życzyła sobie, żeby Moses miał nową koszulę i portki. Gdyby chodziło o kogoś innego, o niewolnika, który nie był nadzorcą i który nie rozmawiał przez tyle wieczorów z ich panią, Bennett mógłby nabrać podejrzeń. Bennett powiedział, że ubranie będzie czekać na niego następnego ranka.

Moses spotkał Eliasa siedzącego na pniaku i strugającego ptaszka dla swojego najmłodszego dziecka, Ellwooda.

- Jutro rano mamy spotkanie z mułem - odezwał się Moses. Przecież musiała mieć jakiegoś mężczyznę, dlaczegóżby więc nie jego. - Lepiej prześpij się trochę.

Czy będzie śmiało podnieść wzrok tak wysoko? Czy będzie go na to stać?

- Nie chciałbym tu wracać i jeszcze raz ci tego powtarzać. Elias nie ruszył się z miejsca. Moses, na chwilę zanim otworzył drzwi do swojej chaty, jeszcze raz powiedział:

- Jutro mamy spotkanie z mułem. Czy chcesz, żebym powiedział jej, że jest tu jedna osoba, która nie chce robić tego, co jej każe?

Elias wstał i zabrał lampę ze sobą do środka. Niósł ją tak ostrożnie, jak ptaka i nóż do wycinania. Lampę pożyczył od Clementa, który miał ją na spólkę z Delphie i Cassandra. Kiedy na dróżce między chatami zapanowała cisza i ciemność, Moses wszedł do swojej chaty. Priscilla przygotowała mu kolację, ale on nie chciał jeść. W palenisku błyskały ostatnie ogniki ognia, a on usiadł na skraju swojego siennika i zjadł herbatniki. Żona i syn obserwowali go. Godzinę później na dróżkę wyszła Alice, powęszyła pod drzwiami wszystkich chat i poszła swoją drogą. Głos miała zachrypnięty od całodziennego plotkowania, ale i tak śpiewała. Całe setki aniołów czekały na jej śpiew.

Później, po kolejnych zniknięciach niewolników, Skiffington najdłużej wypytywał Eliasa, a Elias jako jedyny wśród dorosłych niczego nie ukrywał. Celeste mówiła najmniej.

- Nic nie wiem o Mosesie i o żadnym z nich - oświadczyła Skiffinktonowi.

- Nic mu nie mów, Elias - powiedziała Celeste, kiedy Skiffington po raz drugi przyszedł do chat niewolników. - Proszę, mężu, nic nie mów.

- Muszę - odrzekł Elias.

Leżeli na swoim sienniku, a wokół nich spały ich dzieci. Tej nocy na dworze było zimno i z paleniska buchały płomienie.

- Czuję to w sercu i nie mogę tego tam zatrzymać. Przed nikim nie mogę tego ukryć.

- Elias, proszę...

*

Dzień po tym, jak Bennett dał mu nowe spodnie i koszulę, Moses powrócił do lasu, aby po raz pierwszy od śmierci pana być sam ze sobą. Kiedy skończył, leżał i patrzył na gwiazdy migocące pomiędzy kołyszącymi się liśćmi stojących wokół niego drzew. Świat cieszył się ostatnimi dniami lata, emanując żyznością, która wywoływała w nim senność. Odczuwał błogi spokój i wyszeptał, że jeśli miałby teraz umrzeć, nie miałby tego Bogu za złe. Kiedy był gotów wstać i ubrać się, usłyszał trzask łamanej gałązki i od razu się zorientował, że to nie przechodzi zwierzę, obojętne na niego i na to, co on robił. Podniósł się na łokciu i czekał. Aż nazbyt świadom był teraz swojej nagości i zakrył spodniami środkowe partie ciała. Istota ludzka podniosła stopę ze złamanej gałązki i Moses usłyszał, jak patyk wydaje z siebie prawie niesłyszalne westchnienie.

- Kto tam jest? - zapytał. - Priscilla? To ty?

Wstał i ubrał się, a kiedy to robił, poczuł, że ten ktoś się oddala. Skierował się tam, skąd dochodziły go odgłosy poruszania się, a następnie zaczął biec. Kiedy wybiegł z lasu, znalazł się sam, a dookoła nie było nic, poza uprawami i świerszczami, które mówiły mu rzeczy, jakich nie chciał słuchać.

Wszedł między chaty i na środku dróżki natknął się na Alice, kłęczącą i modlącą się. Powiedział:

- Idź do domu. Zignorowała go.

- Idź do domu, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. Podeszedł do niej od tyłu i palcami stóp lekko dotknął jej lewego uda.

- Słyszysz mnie, dziewczyno?

Zupełnie nie mógł zrozumieć, co ona mówi, bo bełkotała bardziej niż zazwyczaj.

- Albo pójdziesz do domu, albo dostaniesz baty. Minął ją i kiedy znalazł się w drzwiach swojej chaty, spojrzął za siebie i zobaczył, że wstała. Odwróciła się dookoła, a on już wiedział, że to ona była w lesie. Podeszła do niego i minąwszy go, zniknęła w kierunku, który prowadził do głównej drogi. Teraz słyszał ją wyraźnie:

U pana na drodze umarlaka spotkałam.

Jak go zobaczyłam, o imię go zapytałam.

Zdjął kapelusz i kościstą głowę podniósł,

Powiedział to i owo i gdzieś się wyniósł.

Pomyślał, że może by za nią pójść i ją załatwić, ale kiedy doszedł na polanę za chatami, jej już tam nie było. Wciąż słyszał jej śpiew, ale im dłużej tam stał, tym mniej był pewien, co naprawdę słyszy, czy to jej śpiew, czy tylko wspomnienie tego śpiewu. A jej głos zdawał się dochodzić ze wszystkich stron.

Poszedł za nią następnej nocy, tłumiąc chęć samotnego wyjścia do lasu, schował się za stodołą i czekał, aż Alice wyjdzie ze swojej chaty. Zniknęła zaledwie kilka minut po tym, jak wyszła na drogę. Poszedł w stronę, w którą, zdawało mu się, musiała się udać, i kilka minut później przyszło mu na myśl, że już od lat nie był tak daleko od plantacji Townsenda. Plantację znał jak własną kieszeń, ale wszystko, co znajdowało się tuż za granicami posiadłości Caldonii, stanowiło dla niego wielką niewiadomą. Moses rozejrzył się po otaczającym go obcym krajobrazie i cicho powiedział:

- Alice? Jesteś tu? Zawołał głośno:

- Alice, podejdź, żebym cię mógł zobaczyć. Wychodź, dziewczyno.

Z naprzeciwka dobiegł go dźwięk galopujących koni i ruszył pędem w kierunku plantacji, ale poczuł, że konie zbliżają się, zanurkował więc w kępę krzewów przy drodze. Wzbijany przez kopyta gęsty letni kurz pokrył zarówno jego, jak i krzaki, i Moses poczuł, że się krztusi. Zanurzwszy twarz w krzewach, wgrzył się w kolczaste liście, w obawie, że nawet w hałasie galopu biali jeźdźcy usłyszą jego kaszel. Z ust płynęła mu krew. Konie i jeźdźcy przejechali, ale kiedy wykaszłał cały kurz zmieszany z krwią i ponownie znalazł się na drodze, nie miał już pewności, z której strony leży plantacja. Stał na jakimś skrzyżowaniu dróg i drżał na myśl, że sam się w to wpakował, że podążył za kobietą, której już dawno temu trzeba było skrócić kark. Odwrócił się. Jedna z dróg wyglądała na tę właściwą, ale kiedy spojrział na pozostałe trzy, one również wyglądały na odpowiednie. Gwiazdy i księżyc świeciły równie jasno jak ubiegłej nocy, ale, jak powiedział Skiffingtonowi Elias, Moses „nie wiedział o świecie” i niebiosa nic mu nie mówiły.

- Och Boże - powiedział, idąc w stronę, w którą odjechały konie. Ale w tym kierunku napotkał małą kępę drzew, której wcześniej nie mijał. - Och Boże.

Zatrzymał się i próbował się uspokoić, wypluwając równocześnie krew. Odgłosy koni i ich jeźdźców przeszły teraz tylko w delikatne dudnienie ziemi.

- Alice, wychodź.

Usłyszał trzask łamanej gałązki na drodze, dźwięk prawie taki sam, jaki dobiegł go ubiegłej nocy, i ruszył tą drogą.

Do plantacji dotarł pół godziny później, z ustami opuchniętymi od ukłuc kolców. Przy chacie Alice oparł obie dłonie na drzwiach, gotowy je pchnąć, ale natychmiast się zorientował, że ona jest w środku i albo już śpi, albo właśnie zasypia. Cofnął się na drózkę i rozejrzył się dookoła. Jeśli ona widziała go w lesie, może i inni też go widzieli? Co mogli pomyśleć i co mogli powiedzieć pani? Moses sam w lesie bawi się ze sobą. Nie z kobietą, z niczym innym, sam, zupełnie samutki. Mogą mówić o Alice, ale *missus*, to o Mosesa trzeba

się martwić. Moses poszedł do swojej chaty. W chatach nie było okien, ponieważ Henry nie chciał płacić za szyby, ale Moses i tak czuł, jak oni patrzą na niego przez drzwi, przez ściany. *Widzę Mosesa, jak chodzi między chatami. Widzę Mosesa, jak chodzi między chatami. Widzę Mosesa, jak leży między chatami.* Kiedy doszedł do własnej chaty, ledwo mógł otworzyć usta.

- Moses? - odezwała się Priscilla, kiedy wszedł do środka. Śniła, że znajduje się w dziwnym domu, nie we własnej chacie i nie w domu swojej pani, ktoś zapukał, ona poszła otworzyć drzwi i powitała nieznanego w czymś, co, jak uzmysłowiła sobie, idąc, było jej własnym domem. - Witaj w moim domu - powiedziała nieznanemu. Moses zatrzasnął drzwi chaty i coś zamruczał, a Priscilla odwróciła się na drugi bok i próbowała ponownie zasnąć.

Do rana większa część opuchlizny zeszała i mógł wyprowadzić niewolników na pole. Alice zachowywała się tak samo, jak każdego innego dnia: dobra robotnica, która nie pyskuje i zdaje się obchodzić swój zagon tam i z powrotem w czasie, w jakim inni zdążą się jedynie porządnie obejrzeć. Od czasu do czasu podnosił się od swojej pracy i patrzył w jej stronę, ale ona jak zawsze była pogrążona we własnym świecie. Kiedy wiatr wiał w jego stronę albo kiedy nikt inny nie śpiewał, docierał do niego jej śpiew:

- Wybiorę cię. Wybiorę cię. Zostawię cię w spokoju, dopóki nie wypowiesz dobrze mojego imienia.

Tego wieczoru umył się przy studni, ubrał nową koszulę i spodnie, a następnie poszedł złożyć Caldonii sprawozdanie. Powiedział jej, że praca przebiegała dobrze. Usiadł w fotelu, a ona po raz pierwszy zapytała go, czy nie napiłby się kawy. Przyjął zaproszenie i Loretta przyniosła mu kawę w takiej samej filiżance, z jakiej piła Caldonia.

- Martwię się tą Alice, która co noc gdzieś się włóczy - powiedział pod koniec spotkania. - Może dobrze byłoby zamykać ją na noc, żeby nic jej nie zrobili mężczyźni patrolujący okolicę.

- Ani szeryf, ani jego ludzie nic mi nie mówili. Czy może ktoś mówił coś tobie, Moses?

- Nie, *missus*. Ale ona już za długo to robi. Uważam, że taka szalona kobieta może zakłócić spokój i harmonię. Wszyscy inni mogą również zacząć zachowywać się jak szaleni.

- Od jak dawna to robi?

- Od kiedy *marse* Henry ją kupił.

- To może już bardziej nie oszaleje.

- Och, ona jak najbardziej może jeszcze bardziej oszaleć. Ja bym nie zakładał, że już bardziej nie oszaleje.

Odstawiła filizankę na stojący obok mały stolik, a następnie, odchyliwszy głowę, zamknęła oczy i nic już nie powiedziała. Myślał, że zasnęła, ale po chwili rozłożyła skrzyżowane wcześniej ręce i położyła otwarte dłonie po bokach. Przyglądał się linii jej szyi, biegnącej od podbródka i znikającej w bluzce. Siedziała nieruchomo, ale jej pierś podnosiła się i opadała, a on tak długo przyglądał się jej, że aż porwał go ten ruch falującej piersi. Przez lata trochę przytyła. Tej pierwszej nocy po ślubie Henry'ego i Caldonii stał w drzwiach swojej chaty i z niewielkim zainteresowaniem patrzył w stronę domu. Teraz tylko jeden krok dzielił go od niej, od tego wszystkiego, co Henry mógł mieć każdej nocy ich wspólnego życia.

- Nie zapomnisz o nim? - powiedziała w końcu.

- Proszę?

- Nie zapomnisz o Henrym Townsendzie, prawda?

- *Missus*, prędzej zapomnę, jak sam się nazywam.

- Dobranoc, Moses. Powiedz Loretcie, żeby tu przyszła.

Odczekał tak długo, jak tylko mógł, a później, zachowując obraz Caldonii siedzącej na kanapie, poszedł do lasu. Już od dawna nie myślał o żadnej rzeczywistej kobiecie, o kobiecie, jaką spotkał w swoim życiu, od tych wczesnych dni, kiedy przychodził tu i myślał o Bessie, kobiecie, którą Jean Broussard i jego skandynawski współnik kupili wraz z Mosesem w Aleksandrii. Jak tylko skończył, Moses wstał i zaczął nasłuchiwać, czy w lesie nie usłyszy Alice.

Kiedy znalazł się ponownie między zabudowaniami, zobaczył ją, wychodzącą ze swojej chaty, i stanął jej na drodze. Próbowana go ominąć, ale on szedł za nią.

- Zostaw mnie, bo pošlę cię do diabła - powiedział i przysunął obie pięści do jej twarzy.

- Och, *marse*, ja tylko idę nakarmić moje kurczaki - powiedziała.

- Co takiego? - zapytał Moses. - Co ty powiedziałaś?

- Ja tylko idę nakarmić moje kurczaki. Chodź, malutki kurczaczku. I ty chodź tu, kurczaczku, ja was nakarmię.

Z całej siły pchnął ją na ziemię.

- Mówiłem, żebyś dała mi spokój. Alice zaczęła płakać.

- Mówiłem, żebyś dała mi spokój.

Zostawił ją leżącą na ziemi. Alice rozłożyła ręce i nogi szeroko na ziemi i płakała jeszcze głośniejsze. Z chaty wyszła Delphie i podeszła do niej.

- Moses, co tu się dzieje? Już dobrze, kochanie, jestem przy tobie. Moses, co jej się stało? Wiesz, że tak nie można.

- Powiedziałem jej, żeby zostawiła mnie w spokoju. Powiedz jej, żeby zostawiła mnie w spokoju, albo następnym razem ją zabiję. Zabiję ją na śmierć.

Odszedł w stronę swojej chaty.

Delphie pomogła Alice wstać.

- Zostań dzisiaj w domu, dobrze?

Kiedy Alice znalazła się w chacie, przestała płakać, ale godzinę później znowu była na zewnątrz. Najpierw powęszyła pod drzwiami, a później wyruszyła dalej.

Następnego dnia była niedziela i nigdzie nie wychodził, ale w poniedziałek czekał koło domu i patrzył, jak Alice wylania się spomiędzy chat i w tylko jej wiadomym celu zmierza w kierunku drogi. Noc była bardzo ciepła i dokuczały mu owady. Nie miał pojęcia, jak daleko będzie za nią szedł, ale kiedy znalazł się niecałe pół mili od plantacji, usłyszał tętent galopujących w ich stronę koni. Zszedł do jaru i z odległości wielu metrów obserwował ją i konie z jeźdźcami. Alice uniosła sukienkę i tańcząc, starała się wspiąć na konia, na którym siedział jeden z mężczyzn. Mężczyzna odepchnął ją, a wierzchowiec stanął dęba. Konie ruszyły z kopyta i odjechały, a Moses leżał w jarze, czekając, aż znajdą się daleko, przez cały czas zamykając oczy i usta i zakrywając nos przed kurzem.

Kiedy się podniósł, zobaczył odchodzącą Alice. Po chwili zatrzymała się i rozejrzała się dookoła, a potem lekko przechyliła głowę. Znowu zaczęła śpiewać, z początku cicho, nieśmiało. Kilka razy przerywała śpiew i nasłuchiwała, obserwując, co się wokół niej dzieje. Za każdym razem, gdy podejmowała swoją pieśń, robiła to z mniejszą pewnością siebie niż uprzednio. Przez ponad godzinę czekał na jej powrót, a kiedy nie wracała, poszedł do domu. Nie pojawiła się nawet po godzinnym czekaniu pod drzwiami jego chaty. Wszedł do środka z uczuciem pewnej satysfakcji, pamiętając, jak rozglądała się i nasłuchiwała, czy go nie usłyszy. Niewykluczone, że można oszaleć od samego udawania przez bardzo długi czas, że jest się szalonym. Położył się i zanim zasnął, starał się przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek jakiś niewolnik uciekł z plantacji Townsenda. Nie, nie było takiego wypadku.

*

Już nie wspominał przy Caldonii o Alice. Jak sam stwierdził, na pewno zajmą się nią patrole. W środowy wieczór ustąpił panujący przez kilka ostatnich dni upał i Caldonia poleciła Lorecie podać Mosesowi ciasto i kawę. Poprosiła go, żeby jej znowu opowiedział o tym, jak Henry budował dom, o tym, jak samotnie budował salon i sypialnię.

- Powiedz mi, co robił - powiedziała, odchylając się do tyłu i zamykając oczy.

- Kiedy pomyślę, jak *marse* Henry tym się zajmował, to aż dziwię się, że ten dom nie powstawał wiele lat - powiedział Moses. - Przyglądał się każdemu gwoździowi, jak pamiętam. Ważył w rękach każdą deskę, każdą deskę w tym właśnie pokoju. *Missus*, ten dom będzie tu stał w dniu, w którym Jezus ponownie przyjdzie, aby nas ze sobą zabrać, tyle pracy *marse* Henry w niego włożył, tyle czasu i tyle troski. Widzę go, jakby to było wczoraj.

- Moses, ty go nie zapomnisz, prawda?

Zanim jeszcze zdążył jej odpowiedzieć, pochyliła się i schowawszy twarz w dłoniach, zaczęła płakać. Podniósł się. Czy Loretta może coś usłyszeć i pomyśleć sobie, że on skrzywdził ich panią? Popatrzył na drzwi, które się jednak nie otwierały. Nasłuchiwał, oczekując jakiegoś wielkiego poruszenia w domu, spodziewając się, że zaraz całe tłumy rzucą się na niewolnika, który ośmielił się zrobić o jeden krok za dużo, ale słyszał tylko dom, który w kolejnych swoich zakątkach układał się do snu, oraz wypełniający resztę ciszy płacz kobiety. Powoli podszedł i ukląkł przy niej.

- Nie zapomnę *marse* Henry ego, *missus*. Powiedziałem już, że tego nie mógłbym zrobić, i nie zrobię tego aż do końca moich dni.

Ciągle płakała i po chwili, kiedy już ostatnie zakątki domu zapadały w sen, wziął jej rękę i palec po palcu otworzył jej zaciśniętą w pięść dłoń, na koniec podnosząc kciuk, wcześniej schowany pod pozostałymi czterema palcami. Ucałował otwartą dłoń, a jego świat się nie skończył. Przycisnęła dłoń do jego twarzy, a kiedy podniósł na nią wzrok, pochyliła się i go pocałowała, a świat nadal się nie kończył.

Stali, obejmując się i po chwili, jakby myśląc to samo, rozdzielili się, a ona przyłożyła dłoń do jego piersi, licząc uderzenia serca. Przez cały czas płakała. Dotknął jej twarzy i powiedział sobie, że musi już wyjść, że wystarczy już tego na jeden wieczór. Kiedy w swoim liczeniu doszła do sto dziewiątego uderzenia jego serca, podszedł do drzwi i powiedział Lorecie, że *missus* jej potrzebuje, a następnie ruszył korytarzem do kuchni, do drzwi na tyłach domu.

Następnego wieczoru nie ruszali się ze swoich miejsc. Przez cały dzień myślał, że ona nie będzie życzyła sobie jego powrotu, ale kiedy poszedł do tylnych drzwi i Loretta zaprowadziła go do salonu, i gdy zobaczył ją siedzącą jak dzień wcześniej, nie musiał się już martwić. Tego wieczoru snuł najbardziej zmyśloną opowieść o tym, jak Henry Townsend ujarzmił ziemię i stworzył miejsce, do którego mógł sprowadzić swoją pannę młodą.

- Jak tylko panią zobaczyłem, *missus*, od razu wiedziałem, że to pani miała uszczęśliwić *marse* Henryego. On miał już i to, i tamto, ale tak naprawdę to potrzebował kogoś, kto mógłby nadać temu jakiś porządek, kto mógłby nad tym świecić i to upiększyć.

Dalej snuł zmyśloną historię swojego pana, zaczynając od chłopca, który miał w głowie tyle, że można by tym obdzielić dwóch chłopców. Był świadkiem narodzin Henrygo, był świadkiem dnia, kiedy został wyzwolony, widział, jak to wszyscy najlepsi biali ludzie podnosili stopy i prosili Henrygo, aby zrobił im buty i trzewiki, w jakich mogliby pójść do nieba.

Kolejnego wieczoru znowu płakała, a on usiadł na kanapie i ją objął. Później zaś pozwoliła, aby on, nie przerywając swojej opowieści o Henrym, wziął ją na kolana. Do zbliżenia między nimi miało dojść dopiero po tygodniu, oboje byli wtedy niemal zupełnie ubrani, a dom, ułożywszy się już do snu, był pogrążony w ciszy.

9

Stany rozkładu. Skromna propozycja. Dlaczego ludzie z Georgii są mądrzejsi

Darcy i Stennis wraz z ludźmi - a wśród nich był Augustus Townsend - których ukradli, w niecałe dwa tygodnie dotarli do Południowej Karoliny. Jeszcze na długo przed tym Stennis wyrzucił na poboczu drogi martwe dziecko, Abundance, to dziecko, które ciągle kaszało od samego Manchesteru.

- Powinniśmy pochować to dziecko - odezwał się skuty łańcuchami Augustus, kiedy Stennis z powrotem wgramolił się na wóz po rzuceniu ciała dziewczynki w chaszczę. Augustus przez wiele mil trzymał w ramionach martwe ciało, nie chcąc uwierzyć, że dziewczynka nie żyje.

- Nie zostawiajcie tego biednego dziecka w ten sposób. Darcy i Stennis porwali Abundance Crawford, wolną, cierpiącą na silne przeziębienie dziewczynkę, gdy szła w nowych bucikach drogą w pobliżu Fredericksburga. Za dwa tygodnie miała skończyć dziewięć lat.

- Zakopimy ją, Stennis? - zapytał Darcy.

- Nie mamy szpadla, *marse* - odparł Stennis.

- Ja to zrobię - odezwał się Augustus. - Własnymi rękami wykopię jej grób. Dajcie mi tylko trochę czasu.

Ludzie siedzący z Augustusem z tyłu wozu powiedzieli, że oni również własnymi rękami pomogą mu kopać grób. Wśród nich byli dwaj mężczyźni i jedna kobieta. Wszyscy, z wyjątkiem Augustusa, mieli zostać sprzedani, jeszcze zanim wóz dotarł do Georgii. Tymi mężczyznami byli: Willis, trzydziestosiedmioletni ceglarz z jedną nogą krótszą od drugiej, i Selby, dwudziestodwuletni piekarz, który pięć tygodni wcześniej poślubił kobietę o włosach opadających ponad pół metra poniżej jej karku. Obaj byli wolnymi ludźmi, podobnie jak

Augustus. Kobieta nazywała się Sara Marshall i była dwudziestodziewięcioletnią szwaczką, która dziesięć lat wcześniej otrzymała od swoich państwa ich nazwisko.

- Nie przynieś wstydu naszemu nazwisku, Saro - powiedzieli podczas małej uroczystości, jaką zorganizowali w kuchni. - Zawsze staraj się przynosić zaszczyt temu nazwisku. Nazwisko Marshall coś znaczy w tym kraju.

- Nic nie wiem o grzebaniu, *marse* - powiedział Stennis, myśląc o małej Abundance. - Ściągać te wszystkie łańcuchy, a później je znowu zakładać. Pilnować ich, żeby nie uciekli. Dużo kłopotu z powodu czegoś, co już nie przyniesie więcej kłopotów na tym świecie.

- Dobra - odrzekł Darcy - jeśli ty nie wiesz, to skąd ja mam wiedzieć? Ruszaj dalej, Stennis. Ruszaj.

Kiedy zbliżali się do Roxboro w Północnej Karolinie, Augustus spytał, czy Darcy mógłby wysłać telegram do Mildred - „do mojej zaniepokojonej żony” - z wiadomością, że jej mąż żyje. W odpowiedzi Darcy zapytał Augustusa, czy wie, że telegram oznacza stratę dla jego kieszeni i powiedział mu, że roztropny człowiek interesu ogranicza straty, jak tylko może. Telegram to strata, powiedział, i dodał, że lepiej jest, kiedy „biedna Mildred” uważa, że on, dzięki swojej dobrej duszy, po prostu wstąpił do nieba. W Roxboro ceglarnik Willis krzyknął do mijającego ich białego mężczyzny, że jest wolnym człowiekiem i że został porwany. Darcy uśmiechnął się do tego białego i powiedział:

- Mam z nim ten problem już od Wirginii. Biały mężczyzna tylko skinął głową.

W Południowej Karolinie, w Kingstree nad Black River, Augustus postanowił, że będzie starał się nie robić nic, aby w żaden sposób nie pomagać swoim porywaczom, jednak poza tym był bezsilny. Wcześniej, jeszcze na długo przed dotarciem do Kingstree, piekarz Selby został sprzedany za 310 dolarów, a Sara Marshall za 277 dolarów i pochodzący z początków dziewiętnastego wieku pistolet, który działał tylko wtedy, kiedy sam chciał, ale o tym Darcy miał się dowiedzieć później. Człowieka, który kupił Sarę, bardzo rozbawiło, że ona ma nazwisko.

- Świadczy o tym, że jest dobrze wychowana - powiedział Stennis do kupującego.

To właśnie w Kingstree Willis zaczął siedzieć stale pochylony do przodu, z klatką piersiową prawie dotykającą kolan i z twarzą schowaną w dłoniach.

- Wyrwiemy się stąd - stale powtarzał mu Augustus.

W Kingstree Darcy podszedł do mężczyzny, który właśnie wychodził z domu. Dom stał na jedynej w tej miejscowości ulicy.

- Może zainteresuje pana dobra niewolnicza skóra - powiedział Darcy i poprowadził tego mężczyznę na koniec drogi, a następnie w aleję, gdzie stał wóz z ludźmi. Darcy przez

cały czas trzymał tego mężczyznę za łokieć, a mężczyzna nie protestował. Stennis sprowadził Augustusa z wozu. Willis nie podniósł twarzy schowanej w rękach.

Mężczyzna wyglądał na osobę, która akurat nie ma nic ciekawszego do roboty. Odezwał się do Augustusa:

- Otwórz usta.

Sam nie miał niewolników, ale był na wielu aukcjach i wiedział, że jedną z pierwszych rzeczy, jaką powinien zrobić potencjalny kupiec, to kazać niewolnikowi otworzyć usta.

Augustus wymamrotał coś i przyłożył otwartą dłoń do ucha. Wymamrotał coś jeszcze.

- Co jest, ten niewolnik jest głuchy i niemy.

- Co pan opowiadasz? - odezwał się Darcy

- Co on opowiada, *marse*. - powiedział Stennis.

- Mówię, że on nie słyszy ani nie mówi. Słyszysz? - zapytał mężczyzna Augustusa, który dalej patrzył na niego z kamiennym wyrazem twarzy, wciąż trzymając dłoń przy uchu. - Cóż to pan tu sprzedaje?

- Nie, nie. On słyszy i mówi - powiedział Darcy. - Mówił i słyszał w Wirginii. Mówił i słyszał w Północnej Karolinie. Zapewniam, że on mówi i słyszy. - A potem, zwracając się do Augustusa: - Otwórz gębę i przywitaj się z tym białym panem, powiedz mu, że mamy miłe popołudnie.

Augustus znowu coś wymamrotał i przyłożył drugą rękę do drugiego ucha. Biały mężczyzna patrzył to na Augustusa, to na Darcyego, a potem na Stennisa.

- To chyba nie jest miłe popołudnie, bo on nic takiego nie mówi.

- On wcale nie jest głuchoniemy Daję słowo - powiedział Darcy. - Stennis, powiedz, czy on potrafi mówić?

- Tak, *master*. On mówi. On potrafi mówić tak wyraźnie jak ptak śpiewający na drzewie, jak...

- Dobra, Stennis, wystarczy Panie, nie okłamywałbym pana.

- Nie potrzebuję głuchoniemego czarnucha. Potrzebny mi kompletny czarnuch, od stóp do głów.

Mężczyzna odwrócił się z zamiarem odejścia i Darcy chwycił go za rękaw. Mężczyzna powiedział:

- Zabierz tę rękę, bo jak ja się za ciebie zabiorę, to się nie pozbierasz.

Stennis głośno zrzędził. Darcy cofnął się i mężczyzna odszedł. Darcy odezwał się do Stennisa:

- Wiesz dobrze, że nie można warczeć na białego człowieka, nawet jak jest takim niechętnym klientem.

Odwrócił się do Augustusa i dwoma palcami szturchnął go w piersi.

- Co się z tobą dzieje, czarnuchu? Przecież nie jesteś bardziej głuchoniemy niż Stennis. O co tu chodzi?

Augustus nic nie odpowiedział.

- Co, straciłeś słuch tu, w Południowej Karolinie? Straciłeś język, tak? A co straciłeś w Północnej Karolinie? Może fiuta? A w Wirginii mózg, jeśli go w ogóle miałeś. A co stracisz w Georgii? Ręce? A następnie nogi w Alabamie i w Missisipi, jeśli tam dotrzemy? Tak będziesz marniał z każdym stanem, do którego dojedziemy Tak będzie? - Darcy spojrział na Stennisa. - Stennis, mogę się założyć, że jak go dowieziemy do Teksasu, to zupełnie zniknie. Zostanie z niego tylko obłoczek niczego, gdy dotrzemy do Teksasu. I czy to nie będzie szkoda? To będzie cholerna szkoda. Bo w Teksasie nie płacą zbyt wiele za czarnuchaducha.

- Co zrobimy? - zapytał Stennis.

- Będziemy ciągnąć dalej. Będziemy ciągnąć dalej, aż wszystkie ptaki pospadają z drzew.

Splunął, a potem podniósł łapkę jednego z martwych bobrów wiszących na jego piersiach i głęboko wciągnął powietrze.

- O tej porze roku warto być w Tennessee, Stennis. Powietrze samo cię zanieśie, gdziekolwiek byś nie chciał się udać. - Puścił łapkę bobra i ponownie szturchnął Augustusa. - I sprzedamy tego czarnucha, choćbym miał do oferty dorzucić mojego ojca i dziadka, i jeszcze jego ojca. Jazda!

Stennis szarpnął za łańcuch, do którego był przykuty Augustus, chwycił Augustusa i wrzucił go na wóz. Darcy wziął w dłoń inną bobrową łapkę i znowu głęboko wciągnął powietrze.

- Powietrze w Tennessee wyleczy cię z wszystkiego, co ci dolega, Stennis.

- Już teraz to czuję, szefie.

*

W Charleston sprzedali Willisa za 325 dolarów. Darcy mógł dostać 400 dolarów, ale małżeństwo białych, dwójka nauczycieli, nabrało podejrzeń co do papierów, jakie Darcy miał na niewolnika. Trzymając dokumenty, kobieta powiedziała, że jej ojciec zajmował się handlem niewolnikami i w związku z tym ona wie, że cena nigdy nie jest ustalona raz na zawsze.

- Trzysta dwadzieścia pięć - zaproponowała, a mąż powtórzył jej słowa.

- W Wirginii byłem wolnym człowiekiem - powiedział cicho Willis do nauczycieli, kiedy już uzgodniono cenę. Darcy się roześmiał.

- Ciągłe to powtarza - rzekł, chichocząc. - Wirginia to piękne miejsce. Wszyscy tam czujemy się wolni. To boski salon, ale on zapomniał, że nie jesteśmy w Wirginii.

Wypowiedź zawierała jakiś niemiły podtekst na temat Południowej Karoliny, ale nauczyciele zdawali się tego nie zauważać. Kiedy Darcy i nauczyciele stali obok banku, a Darcy przeliczał pieniądze, Willis odezwał się do Augustusa:

- Zobaczmy się jeszcze. Zobaczmy się kiedyś tam. Augustus odrzekł:

- Ja też zobaczę się z tobą kiedyś tam, Willis. Zobaczę się z tobą kiedyś tam. Obiecuję.

*

W salonie Winifred i Johna Skiffingtonów stała precyzyjna biblioteczka z trzema półkami, zrobiona z pięknego dębu, ozdobiona głową ryczącego lwa w każdym z narożników u góry; używany mebel wykonany przez Augustusa Townsenda wkrótce po tym, jak Augustus wykupił swoją wolność. Początkowo myślał, że zachowa ją dla siebie i dla swojej rodziny, którą miał wykupić z niewoli, chociaż wtedy jeszcze żadne z nich nie potrafiło czytać (on i Mildred mieli się tego nigdy nie nauczyć). Chciał ją zatrzymać jako symbol swojej determinacji, aby ich odzyskać. Ale później uzmysłowił sobie, że to, co może dostać za biblioteczkę, pozwoli mu wcześniej zbliżyć do siebie żonę i dziecko, postanowił ją więc wycenić. Piętnaście dolarów. Najpierw została sprzedana człowiekowi, który był właścicielem dwóch niewolników, ale stracił wzrok i w związku z tym, jak sam powiedział Skiffingtonowi, stracił również chęć i potrzebę posiadania książek. Skiffington kupił ją za pięć dolarów.

Skiffington nie czytał zbyt wiele poza *Biblią*, jednak Winifred była zapaloną czytelniczką. Jak powiedział kiedyś jej mąż, czytała tak dużo, że mogłaby zostać nauczycielką. Wszystkie półki używanej biblioteczki były wypełnione, stały tam głównie książki, które przywiozła z Filadelfii. Skiffington prosił ją, żeby nie uczyła Minervy czytania, ale nie mogła się powstrzymać. Poprosiła jedynie Minerve, aby ta uważała, czy nikt nie widzi, kiedy ona czyta. Wśród skarbów Winifred na pierwszej półce biblioteczki znajdował się komplet dramatów Szekspira w dwóch tomach, prezent od jej rodziców, oraz *Sketch Book* Washingtona Irvinga, prezent od Skiffingtona, jaki otrzymała, kiedy prosił ją o rękę. Książka Irvinga była oprawiona w czerwoną skórę, piękne drugie wydanie opublikowane w Londynie w 1821 roku. Po kolacji Skiffingtonowie wraz z ojcem Johna zbierali się w salonie, a

Winifred wybierała coś z biblioteczki i czytała. Sam Skiffington miał słabość do książki *Ripa Van Winkle*.

- John, daj spokój, przecież to nam się w końcu zupełnie znudzi - mawiała Winifred. - Wyczerpiesz z tego całą świeżość.

Aby ją zachęcić, zaczynał:

- *Rip Van Winkle, pośmiertne wydanie pism Diedricha Knickerbockera.*

Sтары Rip, pomyślał Skiffington, kiedy zobaczył mężczyznę na schodach prowadzących z ulicy do budynku aresztu. Owłosienie na twarzy mężczyzny było skołtunione i bardzo obfite i dopiero kiedy Skiffington się zbliżył, udało mu się rozróżnić oczy, nos i usta wystające spomiędzy włosów. To, że ten człowiek był biały, można było rozpoznać tylko po włosach, ponieważ skóra była zbyt brudna, żeby mogła o tym zaświadczyć. Mógł to być jeden z tych ludzi z gór, żyjących w samotności i schodzących raz na jakiś czas, by usłyszeć ludzki głos. Mężczyzna podniósł się, kiedy Skiffington znajdował się w odległości kilku metrów od aresztu, i stał pewnie na dwóch nogach, jakby na potwierdzenie, że niezależnie od tego, co o nim mówiły brud i włosy, za nimi kryło się serce i umysł gotowe powiedzieć coś zupełnie innego.

- John - odezwał się Counsel Skiffington. Skiffington zatrzymał się w pół kroku, z jedną nogą na stopniu schodów, a drugą nadal na ulicy. Przez ponad minutę przyglądał się temu człowiekowi, a kiedy mężczyzna powtórzył jego imię, Skiffington spytał:

- Czy to ty, Counsel?

Uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę. Doszły go słuchy, że Counsel spłonął w pożarze, który wywołał w „Dziecięcym Marzeniu” w Północnej Karolinie, zaraz po tym, jak strzelił sobie w głowę. Tę pogłoskę rozpuścił bank, któremu Counsel był winien pieniądze, w celu zakończenia całej sprawy Counsela Skiffinktona. Któż mógł wiedzieć, że wśród dziesiątek spalonych ciał nie było ciała właściciela plantacji?

- To ja - odezwał się Counsel. - To ja, i sądzę, że mogę to powiedzieć zupełnie poważnie.

Zaczęli ścisnąć sobie dłonie i mogliby nawet paść sobie w ramiona, gdyby to było w ich zwyczaju. Counsel przybył późną nocą z mężczyzną, który zabrał go z Roanoke. Ten człowiek prowadził dwa wozy, na których wiozł towar - od ubrań przez kule po książki - do północnej Wirginii. Counsel zamierzał skorzystać z darmowego transportu i pojechać tam, dokąd zmierzał ten człowiek, ale odnaleziony w Teksasie Bóg powiedział mu, że przecież może się zatrzymać i zobaczyć, co wydarzy się u Johna Skiffinktona.

- Counsel, myślałem, że nie żyjesz - powiedział Skiffington. - Oboje z Winifred sądziliśmy, że wszyscy nie żyjecie, przynajmniej tak słyszeliśmy.

- Wszyscy nie żyją, John. Wydaje mi się, że ja również nie żyłem. Ale teraz stoję tu przed tobą i mówię ci, że jest inaczej.

- Chodź, zabiorę cię do domu, do Winifred. Musisz się umyć.

- Nie wydaje mi się, że bym był przygotowany na spotkanie z jakąś kobietą - odparł Counsel. - A zwłaszcza z moją krewną.

- To pani Skiffington nie będzie przeszkadzać.

- Ale mnie będzie, John - i Counsel przypomniał sobie, że wszyscy zawsze nazywali jego żonę „panią Skiffington”. - Mnie to przeszkadza. Gdybyś mógł mi coś pożyczyć, a ja zatrzymałbym się w pensjonacie, to może za dzień lub dwa mógłbym się już pokazać ludziom. Kąpiel, trochę jedzenia i znowu będę człowiekiem gotowym wrócić między ludzi.

- Nie jest z tobą tak źle, ale jeśli zależy ci na pensjonacie, to w takim razie mogę ci to załatwić.

Poszli dwie ulice dalej i Skiffington opłacił w pensjonacie trzy noclegi.

Powrócił w południe i zjadł z Counselem obiad w małej jadalni pensjonatu. Kiedy już Counsel wykapał się i ogolił, podczas posiłku zaczął się wyłaniać człowiek, którego Skiffington kochał, ale który również przysporzył mu w przeszłości wielu kłopotów. Przy jedzeniu Counsel powiedział, że był prawie wszędzie i teraz nie wie już, co ma ze sobą zrobić. Pod koniec posiłku Skiffington zapytał Counsela, czy nie zechciałby zostać jego zastępcą.

- Zawsze mi się wydawało, że jesteś człowiekiem, który sam chce wykonywać swoją pracę - powiedział Counsel, popijając kawę. - A przynajmniej tak wywnioskowałem z listów Winifred, które czytała mi Belle. John Skiffington wszystko potrafi zrobić sam.

- Jest coraz więcej do zrobienia. Nie zaszkodziłoby mieć kogoś, kto zawsze stanie przy mnie murem. Rodzina dobrze się do tego nadaje. Jest doskonała do wspierania człowieka.

- Zrobię, co w mojej mocy.

*

Counsel zamieszkał w domu Skiffingtona, dzieląc pokój i łóżko z Carlem Skiffingtonem, ojcem Johna. Chociaż głośno tego nie wyraził, uważał, że ma prawo do pokoju od początku zajmowanego przez Minerve. Nie mógł zrozumieć, dlaczego mała niewolnica miała być traktowana lepiej niż on. Niewolnica, której sam był kiedyś właścicielem. Podejrzywał, że między nią i Skiffingtonem coś jest i że jej własny pokój był

jedną z tych rzeczy, jakie udało się jej wyłudzić od jego kuzyna. Widział wielu mężczyzn, którzy ulegali pokusie, dlaczego więc inaczej miałby się zachować człowiek, który tak stanowczo twierdził, że podąża ścieżkami Pana? Po otrzymaniu pierwszej miesięcznej pensji Counsel przeniósł się z powrotem do pensjonatu, a właścicielka policzyła mu mniej niż innym mieszkańcom, ponieważ reprezentował prawo, i dlatego, że w Północnej Karolinie przeszedł taką tragedię.

*

Po uprowadzeniu Augustusa Mildred Townsend każdego ranka i wieczora wychodziła na drogę i czekała tam prawie pół godziny. Wiedziała, że podczas swoich podróży Augustus czasami brał niespodziewane zlecenia i zapominał powiadomić ją, że niedługo powróci. Na koniec każdego półgodzinnego oczekiwania wznosiła wysoko ręce z rozcapierzonymi palcami i czuła, jak duch Augustusa wnika w koniuszki jej palców, dzięki czemu wiedziała, że jej mąż jest w drodze. Nie martwiła się przez pierwszy tydzień ani przez większość drugiego.

- Zrobię mu piekło, kiedy wróci - powiedziała do ich psa, który wychodził z nią na drogę i przez cały czas czekał wraz z nią. - A ty mi pomożesz, prawda? Pomożesz mi zrobić mu prawdziwe piekło.

Byli z Augustusem małżeństwem od ponad trzydziestu pięciu lat i wierzyła, że jest gdzieś bezpieczny. Wiedziała, że po odejściu ich jedyne dziecko nie zrobiłby niczego, co mogłoby powiększyć jej cierpienie. Dopiero pod koniec drugiego tygodnia wybrała się do Caldonii i razem z Fern Elston pojechały do Skiffingtona, który jednak gdzieś wyjechał. Ale w areszcie spotkały jego nowego zastępcę, Counsela.

*

Mniej więcej tydzień po opuszczeniu Południowej Karoliny obozowali niedaleko McRae w Georgii i kiedy już Stennis pokruszył trochę jedzenia dla Darcyego, który miał zaledwie dwa zęby w szczęce, nakarmił Augustusa i posadził go przy jabłonce.

Zanim Stennis wrócił do Darcyego, Augustus powiedział mu:

- Jestem ci winien takie same baty, jakie ty mi dałeś jeszcze w Wirginii. Chcę, żebyś wiedział, że ja pamiętam.

- No pewnie, wszystko ma swoją cenę, nawet jakieś tam baty w Wirginii.

- A jak się do ciebie zabiorę, to popamiętasz - dodał Augustus.

- To też jest wkalkulowane w mój interes.

- Chcę wrócić do domu - powiedział Augustus. - Chcę wrócić do domu i myślę, że ty wiesz, jak mi pomóc.

- Wszyscy chcemy wrócić do domu.

- Chcę wrócić do domu.

Stennis zauważył, że były to pierwsze słowa, jakie Augustus wypowiedział od czasu udawania głuchoniemego w Południowej Karolinie.

- Widzę, że znowu mówisz.

- Nie mam nic do powiedzenia. Stennis jeszcze raz sprawdził łańcuchy.

- Życzę dobrej nocy.

- Po prostu pozwól mi się wymknąć - powiedział Augustus.

- On się dowie, że to ja cię wypuściłem.

- To chodź ze mną. Możemy iść razem. My razem.

- To nie leży w mojej mocy

- A ja ci mówię, że leży

- Po prostu nie leży. On jest dla mnie jak chleb i masło. I jeszcze jak dżem.

- W domu - powiedział Augustus - ja sam jestem dla siebie chlebem i masłem. Stennis

westchnął:

- Widzę. - Podniósł się. - Widzę na własne oczy. Darcy krzyknął:

- Stennis! Stennis! Gdzie się podziewasz?

- Tutaj, *marse* - Stennis zaczął odchodzić.

- Po prostu pozwól mi się wymknąć.

- Stennis!

- Idę, *marsel*

- No to chodź. Chodź i natrzyj mi stopy

*

Tego ranka, po tym, jak Caldonia Townsend po raz pierwszy kochała się ze swoim nadzorcą Mosesem, obudziła się o świcie i usiadłszy na łóżku, patrzyła na wschodzące słońce. Sądziła, że nie będzie spała zbyt dobrze, ale noc była łaskawa i kiedy już sen nadszedł, spokojnie przespała wiele godzin. Na chwilę przed obudzeniem śniło się jej, że była w domu mniejszym niż jej własny, w domu, jaki dzieliła z tysiącem innych osób. Siedząc teraz i patrząc na wschodzące słońce, starała się przypomnieć sobie ten sen. Jednak nie mogła odnaleźć w pamięci żadnych szczegółów poza tym, że we śnie ktoś jej mówił, że ludzie na poddaszu palą innych ludzi. W domu zbudowanym przez Henrygo nie było poddasza. Zawsze spała z rozsuniętymi zasłonami, a Henry przyzwyczyił się do tego. *Któż inny na świecie mógłby zgodzić się na spanie z rozsuniętymi zasłonami?* - pomyślała i podciągnęła kolana pod brodę. Nie odczuwała winy po tym, do czego doszło z Mosesem, i sama się temu

dziwiła. Ktoś śpiewał na polu, jakaś kobieta. Wkrótce zdała sobie sprawę, że to Celeste. Celeste nie śpiewała smutnej pieśni, nie śpiewała też pieśni wesołej, to były po prostu melodyjne słowa, aby wypełnić ciszę, która w przeciwnym razie zostałaby zagarnięta przez śpiew ptaków. Kiedy po raz pierwszy otworzyła oczy, w pokoju panowały ciemności, ale w miarę jak słońce docierało coraz wyżej, unosiło również pieśń Celeste i wraz ze światłem niosło ją do wszystkich zakątków pokoju, a Caldonia czuła, jak powoli opuszcza ją sztywność snu, przeciągnęła się więc i ziewnęła, zastanawiając się, co ostatecznie zrobi z Mosesem. Nie myślała o nim tak, jak myślała o Henrym Townsendzie pierwszego ranka po spotkaniu z nim. W tamten poranek podniosła się z łóżka z obawą, siły odbierał jej strach, że nigdy już nie będzie miała przyjemności spotkania Henrygo. Gdyby wtedy wiedziała, że jego uczucia są podobne, być może byłaby równie silna jak dzisiejszego ranka, kiedy po kolei docierały do niej pojedyncze, czyste i wyraźne słowa pieśni Celeste.

Ubrała się i wyszła na korytarz, do którego słońce docierało powoli pomimo umieszczonych na obu końcach korytarza okien. Słyszała, jak Loretta budzi się w swoim pokoju obok schodów, ale Caldonia nie zapukała do niej i nie powiedziała swojej służącej, żeby jej towarzyszyła. W kuchni przy piecu stała kucharka Zeddie, a jej mąż Bennett układał drewno w skrzynce.

- *Missus* - odezwała się Zeddie - co mogłabym zrobić pani na śniadanie?

- Na razie nic - odrzekła Caldonia i otworzyła drzwi z tyłu domu.

- Dziś rano powietrze jest ostre - powiedział Bennett. - Przynieść pani płaszcz?

- Nie, dziękuję - odparła Caldonia i wyszła z domu, zamykając za sobą drzwi.

Powietrze rzeczywiście było ostre, ale rozgrzała się w drodze na cmentarz zajmowany tylko przez jednego rezydenta. Kopczyk ziemi osiadł jeszcze bardziej od jej ostatniej wizyty. Zamówiono już nagrobek, ale kamieniarz powiedział, że dostarczenie go może potrwać miesiąc. Stojąc u stóp grobu Henrygo, żałowała, że nie przyniosła kwiatów z ogrodu.

- Czy mi wybaczasz? - zapytała.

Kwiaty złożone dwa dni wcześniej, podczas ostatniej wizyty, wciąż były jeszcze dość żywe i leżały na kwiatach sprzed czterech dni, które już brązowiały i powoli zaczynały stapać się z ziemią.

- Wciąż jestem twoją żoną, czy ty mi więc wybaczasz? Moses przyszedł do niej tego wieczoru, ale ona nie dała mu żadnego znaku, żeby wstał z fotela i podszedł do niej. Opowiadał zatem o pracy niewolników, siedząc w fotelu z uszakami, uczesany i ubrany w już nie tak nową koszulę i spodnie przylepiające się do ciała, ponieważ spocił się, jeszcze zanim wkroczył do kuchni. Miał nadzieję, że kiedy znowu ją weźmie, przekroczą nieodwołalny

próg. Ale tego dnia nie było śladu łez i nic nie świadczyło o tym, że ona go pragnie, siedział więc, pocąc się i szukając odpowiednich słów do swojej opowieści o przygotowaniach do zniw. Gdyby nie był jej niewolnikiem, mógłby wstać i do niej podejść, upoważniony tym, co się wydarzyło ubiegłej nocy. Ale w życiu Mosesa słońce nie wschodziło zbyt wysoko i pewne rzeczy zdarzały się tylko raz, a to, co zdarzyło się jednego dnia, wcale nie musiało się powtórzyć następnego.

- Powiedz Loretcie, żeby tu przysłała - powiedziała Caldonia, wstał więc i wyszedł z pokoju. Jeszcze nie doszedł do tylnych schodów, kiedy pożałowała, że go odprawiła. *Cóż byłoby w tym złego, gdybym pozwoliła mu wziąć się w ramiona?* - myślała, kiedy Loretta pytała ją, czy przed snem chciałyby się napić kawy i zjeść kawałek placka.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, następnego wieczoru gościła na kolacji Fern, swojego brata Calvina i dzieci Williama Robbinsa - Dorę i Louisa. Pieczony kurczak, jedna ze specjalności Zeddie, oraz zupa z dyni, którą tak lubiła Fern. Fern, będąc od kilku tygodni właścicielką Jebediaha Dickinsona, niewiele miała do powiedzenia, co rzadko zdarzało się tej gadatliwej nauczycielce, gdy przebywała w towarzystwie trójki byłych uczniów, którzy uważali, że prawdopodobnie to właśnie ona wywarła najsilniejszy wpływ na ich życie. Kiedy się w końcu odzywała, mówiła ogólnie o swoich kłopotach z „kłótlwym” niewolnikiem, który upierał się, żeby na niego mówić Jebediah Dickinson, chociaż jego dawny pan twierdził, że tak naprawdę to nazywał się po prostu Jebediah. Jebediah, i tyle.

- Nazwisko Dickinson - powiedział ten dawny pan - zostało skradzione mojej zmarłej żonie.

Wszyscy przy stole zauważyli, że Fern nie jest sobą, ale nie zwracali na to uwagi, ponieważ ją kochali.

- Od kiedy go mam - powiedziała po kolacji - czuję się, jakbym to ja do niego należała, jakbym to ja była jego własnością.

Młodzi roześmieli się, słysząc, jak ona mówi coś tak nadzwyczajnego. Wszyscy należeli do klasy wolnych Murzynów i choć nie dysponowali możliwościami niektórych białych, to jednak nauczono ich wierzyć, że byli władcami oczekującymi na swoją kolej. Byli dużo lepsi niż większość białych ludzi i było tylko kwestią czasu, zanim ci biali zdadzą sobie z tego sprawę.

- Dlaczego pani go nie sprzeda? - zapytała Dora.

- Obawiam się, że cała Wirginia już wie o nim tyle co ja, i sprzedanie go może kosztować mnie więcej niż już zapłaciłam.

Jej słowa wszystkim wydawały się pozbawione sensu, ale złożyli to na karb tego, że Fern wypła kieliszek porto, co również nieczęsto się jej zdarzało.

- To niech go pani sprzeda na południe, tam, gdzie jest miejsce niesfornych niewolników, jak powiadają - odezwał się Louis.

- On wróci - odrzekła Fern - cofnie się jak niedobre jedzenie. Caldonio, przepraszam za tę moją marną metaforę, ale tego wieczoru nie stać mnie na nic lepszego. To nie ma nic wspólnego z dzisiejszym wspaniałym wieczorem. Ufam, że rozumiesz stan mojego umysłu, droga Caldonio.

- Oczywiście - rzekła Caldonia. - Zeddie nie mogłaby popsuć jedzenia, nawet gdyby była ślepa i nie miała rąk.

- Właśnie - powiedziała Fern.

- Pani Elston - odezwał się Calvin - a może uwolnić go i niech sobie idzie? To na dłuższą metę może być tańsze rozwiązanie.

- Zastanawiałam się nad tym. Ale mam wrażenie, że on stał się jakimś długiem, który odziedziczyłam po moim ukochanym mężu. Jest teraz mój i wydaje mi się, że wyzwolenie go nie wchodzi w rachubę.

Nie powiedziała, że uwolnienie niewolnika nie leżało w jej naturze. Ktoś opowiadał jej kiedyś o białej kobiecie w Południowej Karolinie, która po śmierci męża wyzwoliła swoich niewolników, a jeden z nich wrócił i ją zabił.

- Fern, wszystko się jakoś ułoży - powiedziała Caldonia. Jako najstarsza uczennica Fern stała się jej powiernicą i tylko ona mogła zwracać się do niej po imieniu. Inni jednak nie pragnęli tego przywileju.

- Obawiam się, że tak będzie - odparła Fern i wypła ostatnią kroplę ze swojego kieliszka. - Czy wypłałam już całe porto, jakie mi dziś przysługiwało, droga Caldonio? Czy już wykorzystałam swój przydział?

- Wiesz dobrze, że w tym domu możesz wypić tyle porto, ile tylko dusza zapagnie.

- Człowiek zapomina, kiedy zaczyna mu się mieszać w głowie.

- Bennett - zawołała Caldonia.

Pojawił się Bennett i napełnił kieliszek Fern. Podeszedł do Caldonii z boku i wyszeptał jej, że w kuchni czeka Moses, „żeby powiedzieć jej o tym i owym”.

Pomyślała, że może do niego pójść i powiedzieć mu, że zobaczy się z nim jutro, ale dotarło do niej to, co Fern mówiła o tym „niewolniku, który miał imię i nazwisko, powiedziała więc Bennettowi, żeby przekazał Mosesowi, że dzisiejsze wiadomości mogą poczekać, chyba że jest coś, co wymaga jej obecności. Dodała, że ma gości. Bennett

przekazał to na swój własny sposób i Moses poszedł do swojej chaty. Jego żona, Priscilla, powiedziała, że przygotowała mu coś do zjedzenia, ale on, najdelikatniej jak potrafił, odpowiedział jej, że nie jest głodny, mając nadzieję, że to zakończy sprawę. Znała go dobrze i potrafiła czytać w jego myślach, usiadła więc wraz z ich synem przy ogniu i grała z chłopcem w kamyki. Jamie grał coraz lepiej, od kiedy zauważył, że jeśli podrzuci kamyki tak, aby zbiły się w grupkę, będzie miał większą szansę wygrać z matką. Moses, słysząc odgłosy ich gry, już miał wyjść do lasu, ale obawiał się, że teraz dzieli to miejsce z Alice. Zamiast tego poszedł więc do szopy na narzędzia i ostrzył motyki, aż światło latarni zaczęło przygasać i poczuł ból w rękach.

Przy drugim kieliszku porto nastrój Fern zaczął się poprawiać i już nie mówiono o niewolniku Jebediahu Dickinsonie.

- Ostatnio dostaję - zaczęła wkrótce po tym, jak Bennett ustawił nowe świece - bardzo dużo broszur na temat abolicji. Nie mam pojęcia, skąd oni mają moje nazwisko.

- I co pani o tym sądzi, pani Elston? - zapytała Dora.

- Jeszcze raz uświadomiłam sobie, że gdybym była w niewoli, to pierwszego dnia poderznęłabym gardło mojemu panu. Dziwię się, dlaczego oni się nie ruszą i tego nie zrobią.

Pociągnęła łyczek porto.

- Władze stanu wdeptałyby ich w ziemię - powiedział Louis. Jak zawsze odezwał się nie dlatego, że miał jakieś przemyślane stanowisko, ale aby zrobić wrażenie na otaczających go kobietach, a w tym momencie kobietą, na której najbardziej chciał zrobić wrażenie, była Caldonia. Dołączył do klasy Fern, kiedy Caldonia zakończyła swoją kilkuletnią edukację, ona nie miała więc specjalnie okazji, aby go poznać. Calvin niewiele jej o nim mówił, pod wieloma względami nadal więc byli sobie obcy - Stan Wirginia szybko by się z tym rozprawił.

- Władze stanu wahałyby się - odezwał się Calvin. - Nie chcieliby stracić własnych ludzi, tak wielu wspaniałych białych ludzi, jak również wszystkich tych, których praca na polu i wszystkie inne prace przyczyniają się do wielkości Wirginii.

- Czy wy dwaj mówicie o wojnie? - zapytała Dora.

- A masz na to jakąś inną nazwę? - odparł Louis. Dora się roześmiała.

- Niewolnicy przeciw panom. Spróbuj to sobie wyobrazić, a następnie wyobraź sobie wszystkich niewolników, jak leżą martwi.

- Ja potrafię - rzekła Fern. - Naprawdę potrafię. - Myślała o zuchwałości, z jaką Jebediah odchodził, kiedy tylko miał na to ochotę. - Dla nas, siedzących tu przy tym

błogosławionym stole, jedynym pytaniem jest, po której stronie mamy stanąć. Podejrzewam, że tego właśnie ode mnie chcą te broszury Stań po naszej stronie.

- I co, staniesz? - zapytała Caldonia.

- Choć z natury jestem bardzo niezdecydowana, jednak sądzę, że tak - powiedziała Fern. - Nie wydaje mi się, żebym dobrze sobie radziła w terminie u krawca. „Tak, proszę pana” i „Tak, proszę pani” z trudem przechodzi mi przez gardło. Moje ręce i całe moje ciało obawiają się brudu z pól.

- Przecież dalej mogłaby pani uczyć - rzucił Louis. - Przez cały czas mogłaby pani uczyć.

- Czuję, że światło nauczania powoli we mnie wygasa.

- To dlatego, że miałaś złych uczniów - powiedziała Caldonia i cała piątka się roześmiała.

Fern pomyślała, że mogłaby wypić trzeci kieliszek porto, ale trzymając w ręce puste naczynie, zauważyła, że zaczyna odczuwać skutki pierwszych dwóch, i uśmiechnąwszy się do kieliszka, powiedziała sobie, że dwa wystarczą na jeden wieczór. Od przyjazdu Jebediaha jej mąż nie ruszał się z domu, ale nic nie było już takie samo. *Jestem... Tej nocy jestem dobrą żoną. Tej nocy...*

- Gdyby była wojna, zostawiłbym to wszystko - odezwał się Calvin.

- I co, nie pomógłbyś ukochanym niewolnikom? - zapytał Louis.

- No cóż, skoro to powiedziałeś, skoro poruszyłeś ten temat, sądzę, że bym pomógł.

Caldonia wybuchnęła śmiechem.

- I uważasz, że mama pozwoliłaby ci podnieść na nią rękę?

Oczami wyobraźni wszyscy zobaczyli Maude - ze skrzyżowanymi rękami i w złości tupiącą nogą - i się roześmieli.

- Zrobiłbym to, kiedy się odwróci plecami - śmiał się Calvin.

- Kula w plecy twojej biednej mamie, Calvin, bardzo pięknie - odezwała się Dora.

- To ty powiedziałaś „kula”. Za bardzo ją kocham, żebym mógł wyrządzić jej większą krzywdę, niż powiedzieć samo „nie”. Poza tym za plecami mojej matki stoi wysoki ceglany mur. Nic nie może tego przeniknąć.

Kiedy przez te wszystkie lata jego matka była chora, Calvin wiele nocy spał na podłodze przy jej łóżku.

- Bardzo miła rozmowa na porę trawienia - rzekła Fern. - Jakaż to szkoła was tego nauczyła?

- Trudna placówka w hrabstwie Manchester w stanie Wirginia.

Louis patrzył przez stół na swoją siostrę, a jego wędrujące oko uchwyciło pyłek unoszący się w powietrzu i podążało za nim, aż w końcu zamrugał.

*

Tej nocy goście spali u niej w domu. Rano, wkrótce po śniadaniu, Caldonia i Calvin odprowadzili Dorę i Louisa na werandę, gdzie Louis niespodziewanie uściśnął gospodynię.

- Twoja gościnność jest niezrównana - powiedział, bynajmniej nie próbując zrobić na niej wrażenia.

- Całe uznanie - odrzekła Caldonia - należy się gościom. Dużo, dużo później, tego dnia, kiedy Louis poprosił ją o rękę, wyznał jej, że obawiał się prosić, ponieważ sądził, że nie jest jej godzien.

- Wszyscy jesteśmy tyle samo warci - odpowiedziała mu Caldonia.

Dora i Louis odjechali na swoich wierzchowcach. Fern spała długo i wyjechała dopiero późnym popołudniem. Calvin został na jeszcze jedną noc i był w domu, kiedy wieczorem przyszedł Moses. Bennett poszedł do salonu i powiedział Caldonii, że przybył nadzorca. Podniosła się.

- O co chodzi? - zapytał Calvin.

- Nic ważnego - odpowiedziała i przeprosiwszy go, poszła przed Bennettem do kuchni.

- *Missus*, ja tylko chciałem powiedzieć, jak minął dzień, to wszystko - odezwał się Moses, gdy tylko weszła do kuchni. Nie odprawiła Bennetta.

- Goszczę teraz mojego brata - powiedziała, podchodząc blisko do niego. Z jej słów i zachowania było widać, że chciała się z nim zobaczyć, ale na razie nic więcej nie mogła zrobić. - Opowiesz mi wszystko jutro wieczorem. A teraz idź do domu i odpocznij. Wiem, jak ciężko pracujesz.

Skinął głową i wyszedł.

- Wygląda na to, że dochodzi ci coraz więcej obowiązków - powiedział Calvin, kiedy wróciła.

- Jeden po drugim - odparła.

- Mogłabyś żyć szczęśliwie ze mną w Nowym Jorku. Nowy świat, nowe powietrze. Moglibyśmy tam być szczęśliwi. Pozbyłabyś się tego ciężaru z barków.

- Calvin, ty masz tylko siebie i to, co niesiesz ze sobą na plecach. Na mnie spoczywa odpowiedzialność za tak wiele osób. Dorosłych i dzieci. Nie mogę z tego zrezygnować. Mój mąż coś tu stworzył, teraz to jest moje i nie mogę tego porzucić dla jakiegoś innego świata.

Calvin nic nie odpowiedział. Siedział na krześle, na którym zawsze zasiadał Moses. Chciał jej powiedzieć, że może wszystko porzucić, ale zaczął już tracić wiarę, że jest w stanie przekonać kogokolwiek do czegokolwiek. Ona nie potrafiła wyobrazić sobie, że ktoś z tej mniej więcej trzydziestki istot ludzkich z jej plantacji mógł żyć jako człowiek wolny, podobnie jak on w Wirginii nie potrafił wyobrazić sobie tego wszystkiego, co widział ten pies zastygły na fotografii z Nowego Jorku.

Nie chciała, żeby wyjeżdżał następnego dnia, i powiedziała mu o tym. Zauważyła, że gdy byli przy niej ludzie jej bliscy - a do nich zaliczała Fern, Dorę i Louisa - mogła pewniej stawić czoło światu. Calvin powiedział, że ma coś do załatwienia w Richmond, ale po powrocie może z nią zostać dłużej.

Wieczorem powiedziała Mosesowi, że nie chce słuchać o nudnej pracy tego dnia, on usiadł więc i wymyślał kolejną opowieść o Henrym. Po dłuższym czasie wstała, usiadła mu na kolanach i pocałowała go. Tego wieczoru nie pozwoliła mu się ze sobą kochać, ale kiedy powrócił następnego wieczoru, wtedy już się zgodziła.

- Brakowało mi cię - powiedziała mu.

- Mnie też pani brakowało, *missus* - odrzekł Moses.

Powiedział to, kiedy już skończyli i częściowo ubrani siedzieli na podłodze, a jego słowa spowodowały, że zaczęła się zastanawiać, czy w Wirginii prawo zakazywało takich rzeczy między kolorową kobietą a kolorowym mężczyzną będącym jej niewolnikiem. *Czy to mogło mieć coś wspólnego z krzyżowaniem ras?* - rozmyślała. Biała kobieta w Bristolu została wychłostana za takie przestępstwo, a jej niewolnika powieszono na drzewie na placu, który uchodził za miejski rynek. Trzysta osób przyszło to zobaczyć - i chłostę, i wieszanie, pierwsze odbyło się rano, a drugie po południu. Ludzie przyprowadzili ze sobą dzieci, które spały przez większą część obu widowisk. Wydarzyło się to już rok temu, ale wiadomości o tym dotarły do Manchesteru zupełnie niedawno.

- Wrócisz jutro? - zapytała, kiedy już podniósł się z podłogi.

- Tak, proszę pani. Tak, proszę pani, wrócę.

Wyszedł i zanim przyszła Loretta, Caldonia powiedziała do siebie:

- Kocham Mosesa. Kocham tego Mosesa o jednym imieniu. Ale kiedy Loretta weszła do pokoju, te słowa straciły cały swój sens.

- Jestem gotowa do łóżka - powiedziała, i właśnie to nabrało największego sensu. Przed położeniem się spać obmyła swoje wnętrze octem i mydłem, które jej niewolnicy robili dla wszystkich mieszkańców plantacji. Jednak jej mydło było robione z dodatkiem perfum, jakie Loretta dostarczała producentom mydła. Władze w Bristolu twierdziły, że ta biała

kobieta była w ciąży. Nikt ani słowem nie mówił, nie pisały o tym również gazety, co stało się z dzieckiem.

*

Tego wieczoru Moses po raz pierwszy pomyślał, że jego żona i dziecko nie mogą żyć w tym samym świecie co on i Caldonia. Gdyby kochali się w ciszy, jak wcześniej, być może nie zaczęłby myśleć o czymś więcej niż tylko o samym sobie. Ale ona mówiła o jutrze, a to oznaczało kolejne jutro. Jak mogli pasować żona niewolnica i syn niewolnik do mężczyzny, który zmierzał do tego, aby być wyzwolonym, a następnie zostać mężem wolnej kobiety? Do mężczyzny, który miał zostać panem Townsendem?

Wracając tego wieczoru z domu Caldonii, zatrzymał się na początku dróżki biegnącej między chatami. Gdzie można umieścić niechcianą rodzinę?

Alice wyszła ze swojej chaty i jeśli nawet zaskoczył ją jego widok, nie dała tego po sobie poznać. Niemniej jednak nie śpiewała i nie tańczyła.

- A ty dokąd idziesz? - zapytał ją.

Wiedział o niej teraz więcej niż jeszcze trzy tygodnie temu, i chociaż ona do niczego się nie przyznawała, czuł, że zdawała sobie sprawę, że jej świat się skurczył. Nie wędrowała już sama w nocy, teraz noc spowijała swoim płaszczem również jego, podążającego za nią. Alice minęła go, a on odwrócił się i chwycił ją za ramię.

- Odpowiadaj, kiedy cię pytam.

- Nigdzie - odparła.

Oczywistość tej prostej odpowiedzi uderzyła ich oboje i na chwilę zaniemówili, aż usłyszeli śmiech Eliasa i Stamforda, wychodzących ze stodoły i zmierzających do swoich chat. Obaj mężczyźni nieśli latarnie.

- To już bardziej prawdopodobne - powiedział Moses do Alice i puścił ją wolno. Ruszyła w kierunku ścieżki prowadzącej w stronę drogi.

Spodziewał się, że ona ucieknie tej nocy i że przed świtem jakiś patrol przywiezie jej ciało, ale rano była w swojej chacie.

*

Następnego wieczoru czekał na nią przy drzwiach jej chaty

- Mam dla ciebie robotę - powiedział - a jeśli wykonasz ją tak, jak należy, już nigdy nie będziesz musiała być niczyją niewolnicą.

Tego wieczoru nie kochał się z Caldonia, ale niebo nad jego głową uniosło się bardzo wysoko.

Chciała śpiewać, ale aniołowie mogli nie zrozumieć jej słów, jeśli obok niej stał ten nadzorca. *U pana na drodze umarlaka spotkałam...* Może gdyby podniosła teraz rękę, mogliby nagrodzić ją za to jej całe śpiewanie w przeszłości i unieść ją wysoko, do wolności. *Człowiek... Zmarły człowiek jest tym, co... Jak można zapomnieć zmarłego człowieka?* To całe jej śpiewanie musi być coś warte. Jeśli podniesie rękę i zacznie przebierać palcami, to aniołowie będą mogli zobaczyć ją nawet w ciemnościach z tym nadzorcą i wezmą ją, jakby była jakąś ogrodnicą niszczylistką. *U mojego zmarłego pana na drodze martwa kobieta leżała jak długa...*

Moses powiedział do niej:

- Możesz sobie iść, bo ja mam cię na oku. Na obu oczach. Patrzył za nią.

- Ten muł będzie czekał na ciebie rano - powiedział. *To było prawdą*, myślała, stawiając niepewnie stopy na drodze; świat miał na nią oko i gdyby nawet aniołowie rzeczywiście ją teraz wzięli, świat wyciągnąłby po nią swoje ręce i ściągnął ją z powrotem. *Nie chcę cię tam, dziewczyno, wracaj więc do nas...* Tej nocy nie zaszła zbyt daleko i zawróciła wkrótce po tym, jak minęła skrzyżowanie dróg. Między chatami było cicho, jednak nie tak cicho, jak we wszystkie pozostałe noce, kiedy głos miała ochrypli, a stopy zmęczone tym całym chodzeniem i tańczeniem. Weszła do swojej chaty i czekała w środku, aż te wszystkie dźwięki ucichną. Może gdyby bardziej ją obchodzili inni, może gdyby uczestniczyła w ich życiu, może gdyby nawet wierzyła, że Delphie i Cassandra chciałyby pójść i wraz z nią śpiewać do aniołów Nie dochodziły ją żadne dźwięki, jedynie odgłos bicia jej własnego serca, uklękła więc i na czworakach popęzła na swój siennik leżący niedaleko sienników Delphie i Cassandra Może czekała zbyt długo, a podczas oczekiwania mijający ją ludzie w pociągu machali do niej. Kto mógł wiedzieć, że nigdy nie było wystarczająco dużo czasu? Kto mógł wiedzieć, że Bóg wydzielal czas, tak jak Bennett i Moses wydzielali im mięso, mąkę i melasę? *To musi wam wystarczyć, uważajcie więc, ile jecie...* Na plantacji, na której była ostatnio, pewna kobieta skoczyła do studni, zarzekając się, że popłynie do domu. I do zrobienia tego nie potrzebowała błogosławieństwa w postaci kopniaka wymierzonego przez muła. Co ją powstrzymywało przed pójściem do domu? Teraz, kiedy muł może zechcieć cofnąć tego swojego kopniaka. *Nie używasz tego, oddaj więc...*

Dwa dni później, w czwartek rano, Caldonia powiedziała Lorecie, aby powtórzyła Zeddie, że zje z Mosesem kolację w kuchni. Loretta należała do kobiet, którym pani nie musi dwa razy powtarzać swojego życzenia, ale Zeddie chciała się upewnić, czy Loretta przypadkiem nie ma zbyt brudnych uszu, żeby dobrze słyszeć. Loretta jednak z nikogo nie

kpila i kiedy Zeddie spostrzegła, że na jej twarzy malował się taki sam wyraz jak każdego ranka, powiedziała:

- Powiedz jej, że przygotuję wszystko dla niej i dla nadzorcy.

Posiłek upłynął dosyć szybko, ponieważ nie rozmawiali ze sobą. Nigdy nie siedział przy takim stole, z pełnym talerzem przed sobą. Nie wiedział, co ma robić, i kiedy to zauważyła, zabrała go od stołu.

Nie kochali się, jednak kiedy powrócił na drózkę między chatami, znowu był pełen tej samej radości. Zapukał do drzwi chaty Alice i kazał niewolnicy iść ze sobą, a kiedy doszli za stodołę, powiedział, że Alice jest teraz wolna, że on dysponuje władzą wyzwolenia jej. Kiedy nic nie odpowiedziała, roześmiał się, bo wiedział, że podejrzewa go o jakiś podstęp.

- Przygotuj się na sobotę. Sobota to chyba dobry dzień na odejście? Można wędrować przez tę całą leniwą niedzielę? Prawda?

- Nic nie wiem o żadnym odejściu - powiedziała. - Ja jestem Alice z plantacji *morse* Henrygo, tyle wiem. *Marse* Henry i *missus* Caldonia Townsend w hrabstwie Manchester, w Wirginii.

Znowu się roześmiał.

- Henry nie żyje. Sam go wkładałem do ziemi i zasypałem.

Widziała, że ten człowiek nie jest już tym mężczyzną, który szukał czegoś po omacku i obejmował się samotnie w lesie, przedstawiając jeden z wielu żalonych widoków, jakie przyszło jej oglądać podczas wielokrotnego powtarzania tej samej drogi po nocach. Żaden niewolnik, nawet nadzorca, nie wymawiał imienia pana, wcześniej nie nazywając go panem, a Moses to robił, nie zważając, czy ktoś może usłyszeć ich w nocy. Po chwili dodał:

- I chcę, żebyś wzięła ze sobą moją żonę i mojego syna - i wtedy poczuła, że nie chodzi mu o to, żeby ją oszukać.

- Zabrać Priscillę i Jamiego? Ich też zabrać? Chłopiec był gruby, a kobieta przygnieciona uwielbieniem dla swojego męża i swojej pani.

Skinął głową.

- Po prostu zabierz ich ze sobą. Nie mów, że nie wiesz, co robisz. Nie zwiedzisz mnie, chodząc nie wiadomo gdzie. Znam cię. Wiem, o co ci chodzi.

- O nic mi nie chodzi. Ja jestem tylko Alice. Już ci mówiłam. Tutaj, na plantacji *marse* Henrygo w hrabstwie Manchester w Wirginii.

Nikt nigdy później nie pił wody ze studni, do której zanurkowała ta kobieta, chcąc popłynąć do domu. Z tej studni korzystali biali ludzie i nawet kiedy wykopano im już nową, nie pozwolili Murzynom brać wody z tej studni, w której niewolnica odплыnęła do domu.

Wszyscy niewolnicy chcieli skosztować wody, która dała niewolnicy moc ryby, ale biali ludzie zamurowali studnię. Niektórzy powiadali, że przed zrobieniem tego zatruli w niej wodę.

- Słuchaj tego, co mówię, bo inaczej dopilnuję, żebyś już nigdy więcej się nie wałęsała.

Tej nocy Moses powiedział swojej rodzinie, że wysyła ich na wolność i że on wkrótce podąży za nimi.

- Nie wiem, jak dostać się na wolność - odezwała się Priscilla.

- Ani ja - powiedział chłopiec.

- Alice zabierze was ze sobą, a wy możecie przygotować dla mnie miejsce. - Moses stał w zamkniętych drzwiach.

- Alice? Moses, a kim jest Alice? Kim ona jest? Jej lewa ręka zgubiłaby się, próbując odnaleźć prawą. Co może zrobić Alice?

Priscilla miała właśnie podłożyć do ognia, kiedy do chaty wszedł jej mąż. Teraz podniosła się z naręczem drewna. Ogień zamigotał, pod wpływem wiatru wiejącego z komina przechylił się w stronę kobiety, a następnie skierował się ku drzwiom.

- Kobieto, ona wie więcej niż ty. Ona wie. Wystarczy, że mi zaufasz, Priscillo. Musisz mi tylko zaufać, że potrafię was przeprowadzić na drugą stronę.

Priscilla zapytała:

- Na Boga, Moses, dlaczego nas tak odrzucasz?

- Nic takiego nie robię - odparł Moses. - Ja tylko staram się wam wszystkim tu pomóc.

Priscilla drżała i drewno wypadło z jej rąk.

- Tylko uwierz, że Alice wie, co ma robić - dodał.

- Moses, dlaczego nie możesz pójść z nami?

Stała nad otchłanią, a on mówił, żeby skoczyła, że to łatwy skok, że ona po prostu powinna skoczyć do tej wolności, w której na początku jego nawet nie będzie. Nie był dobrym mężem, ale był wszystkim, co miała. Niektóre kobiety w ogóle nie miały mężów albo miały mężów na innych plantacjach, a nie tuż obok, co noc oddychających i walczących przez sen ze światem.

- Tatusiu, a ty przyjdiesz później? - zapytał Jamie.

- Przyjdę - odrzekł Moses.

Nic więcej już nie powiedzieli, ale następnego dnia Priscilla bardzo wolno pracowała w swoim rzędzie i Moses musiał do niej podejść i kazać jej wziąć się solidnie do pracy.

- Nie chcę drugi raz cię upominać - powiedział.

W tę sobotnią noc, po przejściu ponad mili od plantacji, cała czwórka dotarła do lasu, który kończył się trzy mile dalej na granicy posiadłości Williama Robbinsa. Alice nie mówiła wcześniej o tym Mosesowi, ale w sobotę często się zdarzało, że mężczyźni zamiast jeździć na patrole, sięgali do kieliszka. Nie wiedziała o tym, ale właśnie w sobotę szeryf płacił członkom swoich patroli i chociaż im tego nie zakazywał, wolał, żeby nie pracowali w niedzielę, w Dzień Pański, dzień odpoczynku. W związku z tym mężczyźni często zaczynali swoją niedzielę już w sobotę, jeszcze na długo przed wybiciem północy.

W lesie Priscilla zaczęła płakać.

- Moses, dlaczego nie możesz teraz iść z nami? Proszę, Moses, proszę.

Alice podeszła do niej i dwa razy uderzyła ją w policzek. Moses nie odezwał się, również Jamie nic nie powiedział. *Kim była ta nowa kobieta, kim była ta Alice, tak dziwnie zachowująca się w nocy?* Powiedziała:

- Natychmiast przestań płakać. Nie życzę sobie tego. Nawet jedna łza nie zwilżyła mojego pragnienia i nie zwilży również twojego. Przestań więc natychmiast.

- Mamo, nie jest tak źle - powiedział Jamie. - Damy radę. Zobaczysz. - I chłopiec odbiegł kilka merów, a potem wrócił i jeszcze raz pobiegł, i znowu wrócił. Zatrzymał się i biegł w miejscu. - Mamo, damy radę.

- Słuchaj, co mówi ten chłopak - powiedziała Alice do Priscilli. - Lepiej go posłuchaj. Moses, a ty nic nie mów, jak długo się da.

W ciemnościach lasu nie mogli się nawzajem zobaczyć, jeśli patrzyli wprost na siebie, i żeby zobaczyć drugą osobę, musieli patrzeć na coś z boku. Dopiero wtedy twarz stawała się wyraźna. Alice spojrzała na drzewo obok Mosesa.

- Jeśli powiedzą, że widzą cię tam, po drugiej stronie, to znaczy, że wiedzą lepiej niż ja.

Aby spojrzeć na Alice, popatrzył na swojego syna stojącego obok niej.

- To do zobaczenia.

- Pa, tatusiu.

- Moses - powiedziała Priscilla - nie zapomnij o mnie. Alice wzięła Priscillę za rękę i cała trójka zniknęła w lesie, i choćby nawet Moses nie wiadomo jak długo rozglądał się na lewo i prawo, nie mógłby ich zobaczyć. Zdawało mu się, że ich słyszy, ale takie same dźwięki słyszał, kiedy był sam ze sobą w innym lesie. Kiedy panowała cisza, myślał o tym, co ich wszystkich czeka, jeśli zostaną złapani. *To Moses pomógł nam w tym...* Obejrzał się za siebie i znowu usłyszał dźwięki. *Moses, dlaczego to zrobiłeś, skoro ja ci zaufałam? Dlaczego tak po prostu wzięłeś naszą przyszłość i ją odrzuciłeś?* Przez cały czas zaciskał i otwierał pięści.

Znał drogę powrotną, ale czy potrafiliby odnaleźć ich gdzieś tam i trafić stamtąd do domu? *Och, Moses, dlaczego? Przecież mieliśmy i to, i tamto, powiedz więc, dlaczego, Moses?* Ruszył za nimi, najpierw powoli, a następnie rzucił się biegiem, wyciągniętą do przodu ręką osłaniając się przed uderzającymi go w twarz nisko wiszącymi gałęziami.

*

Odczekał, aż minie południe, i dopiero wtedy zgłosił w domu, co się stało. Serce biło mu jak oszalałe, ale miał nadzieję, że wraz ze wschodem słońca nadejdzie ulga, jednak serce nie spełniło jego oczekiwań. W kuchni powiedział Caldonii, w towarzystwie Loretty, Zeddie i Bennetta, że Priscilla i ich syn opuścili chatę w nocy, kiedy on spał. Powiedział też, że poszedł do chaty Alice i okazało się, że ta kobieta nie powróciła ze swojej włóczęgi.

Caldonia nie zmartwiła się i stwierdziła, że na pewno jakiś patrol ich spotka i przyprowadzi z powrotem.

- Na pewno się oddalili - powiedziała. Alice była na tyle zwariowana, że mogła się zgubić.

Kiedy zapadł zmierzch, a o nich nic nie było wiadomo, poleciła Bennettowi, aby następnego dnia, w poniedziałek, udał się do szeryfa i zameldował o „zniknięciu” trzech niewolników. Raczej nie brała pod uwagę możliwości ucieczki, zważywszy, kim byli ci troje - nie było wśród nich żadnego mężczyzny - ale być może mogło im się coś przytrafić. Mężczyźni patrolujący okolicę mogli wykorzystać kobiety, a potem je zabić, aby ukryć ślady przestępstwa. Ale po co zabijać, jeśli przestępstwem był jedynie gwałt? Za takie przestępstwo, jak zgwałcenie niewolnicy, nie musieliby nawet stawać przed sądem. Dla wielu gwałt na niewolnicy w ogóle nie był przestępstwem. Poważniejszym wykroczeniem było zabicie czyjejś własności. Wypisała Bennettowi przepustkę, a następnie napisała list do szeryfa Skiffingtona, w którym wyjaśniała, co jej wiadomo o całej sprawie. Kazała Mosesowi mieć baczenie na wszystkich, dopóki sprawa się nie wyjaśni. W pierwszej chwili obwiniła Mosesa, ponieważ dwie z zaginionych osób to była jego żona i dziecko, ale to jej rozczarowanie nadzorcą nie trwało zbyt długo.

Bennett znalazł Skiffinktona przed wejściem do aresztu, kiedy szeryf rozmawiał z Counselem, a im więcej Bennett dopowiadał do treści listu, tym Skiffington nabierał większego przekonania, że Moses maczał w tym palce. Niewiele wiedział o tym, co się dzieje na plantacji Townsenda, i teraz miał pretensje do siebie, jako szeryfa tej całej krainy. Zostawił Counsela i pojechał z Bennettem na plantację. Wierzył w swoje patrole i uważał, że jego ludzie nie przeoczyliby trzech sztuk czyjegoś inwentarza. Zatem niewolnicy są jeszcze gdzieś

na terenie hrabstwa. Jeśli żyją, powinni powrócić przed zachodem słońca. A jeśli nie żyją, mogło to oznaczać spotkanie z wilkami, niedźwiedziami czy pumami.

Bennett zajął się koniem Skiffinktona, a Zeddie zaprowadziła szeryfa do salonu, w którym stała już Caldonia. Zdjął kapelusz i podobnie jak w czasie pogrzebu powiedział, że mu przykro z powodu jej męża.

- Nie mam pojęcia, dokąd oni mogli pójść - rzekła Caldonia. Nikt nie usiadł.

- O ile wiem, Alice miała pewne problemy z głową.

- Tak, ale Priscilla nie prędzej pożegnałaby się z tą plantacją niż ja sama, szeryfie.

- Ile byli warci?

- Przepraszam?

- Pytam, jaka była wartość tych trzech niewolników. Ile mogłaby pani za nich dostać, gdyby pani zdecydowała się ich sprzedać? Na rynku.

- Och, nie mam pojęcia. Mój mąż by wiedział, ale muszę przyznać, że ja nie bardzo orientuję się w tych sprawach. Przepraszam.

- To nie ma znaczenia, ile byli warci. Od jak dawna nadzorca był z nią żonaty?

- Chyba jakieś dziesięć lat - odrzekła Caldonia. Po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę, że kochała się z mężem innej kobiety Priscilla była tam cały ten czas, a jednak znajdowała się po drugiej stronie ziemi, była żoną innego mężczyzny.

- Dziesięć lat to dość długo - powiedział Skiffington. Caldonia nic już nie mówiła, ale wyglądała na nieco zaskoczoną. Kiedy zapytał o Mosesa, zaproponowała, żeby zawołać go do domu, ale Skiffington powiedział, że sam pójdzie z nim się spotkać.

Idąc w stronę pola, przypomniał sobie niewolnika i niewolnicę w swoim biurze, mężczyznę sprzedanego tego dnia Williamowi Robbinsowi i kobietę sprzedaną kilka dni później komuś innemu. „My razem - powtarzał niewolnik. - My jedno...” Doszedł do niewielkiego wzniesienia, z którego droga prowadziła w dół, na pole, jednak z tego miejsca nie potrafił rozpoznać nadzorcy tym razem nie siedział na koniu, nie mógł więc patrzeć na wszystko z góry, po prostu stał jak jeden z pracujących tam niewolników. Zszedł ze szczytu wzniesienia i zawołał, że chce się zobaczyć z Mosesem. Moses podniósł się z bruzdy i ruszył w kierunku Skiffingtona.

Nadzorca zdjął kapelusz i powiedział Skiffingtonowi „dzień dobry”, na co szeryf odpowiedział „dzień dobry”.

- Wiesz, gdzie mogą być?

- Nie, proszę pana. Kiedy się wczoraj obudziłem, nie było ich, nie było całej trójki.

- A byli tam, kiedy kładłeś się spać?

Skiffington coraz więcej przypominał sobie z tego dnia, kiedy Moses został sprzedany w areszcie.

- Tak, proszę pana. Ale ta Alice lubiła się wałęsać, bo ona nie była zupełnie normalna. Nikomu to nie szkodziło. Nikomu nie szkodziło to jej wałęsanie się i temu podobne rzeczy. A czasami moja Priscilla i Jamie chodzili z nią dla towarzystwa. Byli ciekawi świata Alice.

Podczas drugiej wizyty Skiffingtona Elias miał zaprzeczyć przeważającej części tego wszystkiego. Moses dalej konstruował swoją wersję wydarzeń, którą Elias i inni obalali po kilku zaledwie pytaniach Skiffingtona, w końcu Skiffington polecił mu wracać do pracy i Moses, nałożywszy kapelusz na głowę, wrócił na pole. Po kilku dniach Skiffington nie pamiętał już, kto powiedział mu, że Moses i jego pani na krótko przed zniknięciem niewolników jedli razem kolację - „tak jak jedzą mężczyzna i jego żona”. Pamiętał natomiast, że nikt nie zauważył na niebie myszołowów, które mogłyby świadczyć o śmierci w pazurach wilków lub niedźwiedzi. Nabral przekonania, że tych troje nie żyje i że ktoś musiał pogrzebać ciała w ziemi, aby pozbawić myszołowy padliny. Obserwując Mosesa, który pohamował chęć odwrócenia się i spojrzenia na szeryfa, Skiffington wiedział, że każdy niewolnik z chęcią opuściłby pole i nigdy tam nie wracał. Kiedy tak patrzył za odchodzącym Mosesem, zaczął podejrzewać go o morderstwo. Wtedy jeszcze nie wiedział dlaczego, zrozumiał to dopiero, kiedy dowiedział się o wspólnej kolacji Mosesa i Caldonii. Ale dlaczego miał zabijać, przecież wystarczyło, żeby wyszedł ze swojej chaty, umył ręce od żony i dziecka i wszedł do pańskiego domu? I dlaczego miał krzywdzić dziecko i kobietę niespełna rozumu?

Patrzył na Mosesa, który wrócił do swojego rzędu i podniósł worek, stając się jednością z tym wszystkim, co go otaczało - z ziemią i jej darami, z pochylonymi niewolnikami, zbierającymi i kroczącymi w swoich rządach. Nad nimi szybowwały wrony. Skiffington zauważył, że ptaki unosiły się na tyle wysoko, aby nie można ich było sięgnąć ręką, ale zbyt nisko, aby nie można było dosięgnąć ich kamieniem. Moses przez cały czas patrzył mu prosto w oczy, ani razu nie zamrugał, nie próbował też unikać jego wzroku. Nie bez przyczyny Bóg ustanowił mówienie prawdy jednym ze swoich przykazań, kłamstwo miało moc tworzenia potężnego muru ukrywającego wszystkie inne grzechy. Skiffington pomyślał o Caldonii. Słyszał o tej białej kobiecie w Bristolu, która sypiała ze swoim niewolnikiem. Nieprzyjemna sprawa. Ale to, co robili między sobą kolorowi, jak Caldonia i Moses, samo w sobie nie było wykroczeniem. Jednak zabicie niewolnika bez żadnego wyraźnego powodu zawsze było przestępstwem zarówno przed człowiekiem, jak i przed Bogiem.

*

Dwa dni później, wieczorem, Skiffington usłyszał na ulicy jakiś hałas, wyszedł więc, aby zobaczyć, co się dzieje.

- Witaj, John - Barnum Kinsey, jeden z mężczyzn patrolujących okolicę, odezwał się ze swojego wiekowego konia, którego otrzymał w prezencie od teścia. Zanim się jeszcze do niego zbliżył, Skiffington zauważył, że Barnum coś wypił, i to nie mało. Minęły już ponad dwa tygodnie, od kiedy Augustus Townsend został sprzedany w niewolę. Zona Kinseya miała wiele powodów do zmartwień, ale nigdy nie żałowała, że poślubiła Barnuma.

- Tak, Barnum? - odezwał się Skiffington. Właściciel sklepu tekstylnego bezskutecznie próbował przegonić Barnuma sprzed swojego sklepu, ale kiedy pojawił się Skiffington, dał sobie spokój i poszedł zamknąć swój kram na noc. Kiedy handlarz wszedł już do sklepu, na ulicy pozostali jedynie ci dwaj mężczyźni, koń, na którym siedział Barnum, uwiązany koń Skiffingtona i zagubiony pies siedzący po drugiej stronie ulicy.

- Witaj, John. Miły wieczór, nieprawdaż?

- Niezły, Barnum. Jedziesz do domu?

- Tak, John. Myślę, że tam pojedę. Już niedługo. Ale mam swoje obowiązki na patrolu.

Przez chwilę nie odzywał się i w tym czasie pies podniósł się z ziemi i ruszył na zachód.

- Chciałem ci coś powiedzieć i zastanawiałem się, jak to zrobić, żeby moje słowa zabrzmiały jak trzeba i do ciebie dotarły. Sam wiesz, John, jak to czasami bywa.

- Wiem, Barnum. Po prostu poukładaj słowa po kolei, a one same już sobie poradzą, my zaś znajdziemy się tam, gdzie trzeba.

- Harvey Travis i Oden Peoples wzięli Augustusa Townsenda i go sprzedali. Harvey zjadł jego dokumenty, a potem go sprzedali, John. Tyle miałem ci do powiedzenia.

- Sprzedali Augustusa? Kiedy to było?

- Już kilka dni temu. Może tydzień. Ja już nie za bardzo radzę sobie z czasem i dla mnie dzień równie dobrze może trwać miesiąc albo minutę. - Barnumowi się odbiło i można było odnieść wrażenie, że z każdą chwilą trzeźwieje. - Ten facet nazywa się Darcy, to ten handlarz niewolników, na którego kazałeś nam uważać. Dostali za niego tak dużo pieniędzy, że tylu naraz w życiu nie widziałem. A do tego, John, sprzedali jego muła. Sprzedali muła tego człowieka. A ten Darcy na wozie miał czarnuchów, których pewnie chciał sprzedać. Nie wiadomo, do kogo należeli.

- Jak byś mi wcześniej o tym powiedział, Barnum, to może by to coś dało. Sprzedaż wolnego człowieka jest przestępstwem i ty powinieneś być temu przeszkodzić.

- Wiem, John. Dobrze o tym wiem. Nie mówisz mi nic nowego.

Pies powrócił i zatrzymawszy się pośrodku ulicy, rozglądał się. Potruchtął na wschód. Barnum ponownie beknął. Podniósł się w siodle.

- Żałuję, że nie byłem dzielny, John, Żałuję, że nie byłem tak dzielny jak ty

- Jesteś, Barnum, i kiedyś ludzie się o tym dowiedzą.

- Ciekawe, ciekawe - pochylił się w siodle. - Wiesz, John, mnie nie chodzi o to, żebyś mówił o mnie, że ja podlizuję się czarnuchom, czy coś takiego. To nie jest tak. Znasz mnie, John. Ale oni sprzedali tego Augustusa i sprzedali jego muła.

Zapadał zmierzch i na niebie wyraźnie rysowały się gwiazdy. Księżyc, wciąż jeszcze dosyć nisko, znajdował się *la Skiffingtonem* i tylko Barnum go widział.

- Znam cię, Barnum.

- Ale on był wolnym i spokojnym człowiekiem, i tak też mówiło prawo. Augustus nigdy mnie nie skrzywdził, nigdy złego słowa mi nie powiedział. To, co zrobił Harvey, było złe. Me to, że ci to mówię, nie oznacza, że biorę stronę czarnula. John, ja wciąż jestem po stronie białych. Nadal jestem: białymi. Niech mi Bóg dopomoże, jeśli myślisz inaczej.

Jeszcze raz uniósł się w siodle. Księżyc był teraz tuż nad horyzontem, wielki, zakurzony pomarańczowy punkt, ale Barnum nie podniósł głowy tak wysoko, aby to zobaczyć.

- Chodzi tylko o to, że każdy powinien móc powiedzieć, co jest, ale żeby nie było tak, że ktoś powie, że on jest po stronie czarnuchów. Trzeba móc stanąć w jakimś... W jakimś świetle i oznajmić to, co ktoś wie, i nie spotka go za to żadna kara. Powinna być jakaś latarnia, John, pod którą moglibyśmy stanąć i powiedzieć:

„Wiem, co wiem, i to, co wiem, jest boską prawdą”, a potem wyjść z tego światła i nikt nie będzie robił wielkiej sprawy z tego, co ten człowiek powiedział. Może to powiedzieć i później zająć się swoimi sprawami, a nikt nie powie: „On popiera czarnuchów, on popiera Indian”. Latarnia prawdy nie pozwoli im na to. Powinno być jakieś takie światło, John. Żałuję, że coś takiego przydarzyło się Augustusowi.

- Tak, Barnum, wiem.

Kupiec wyszedł ze sklepu i uchylił kapelusza przed *Skiffingtonem*, *Skiffington* odklonił się w odpowiedzi i kupiec poszedł do domu.

- Człowiek mógłby stanąć pod tym światłem i mówić prawdę. Mógłbyś trzymać latarnię z tym światłem tam, gdzie stoisz, John. Trzymać ją, a ja mógłbym pod nią stać. A kiedy nikt by nie mówił, nie opowiadał prawdy o tym, co wie, mógłbyś ją trzymać w więzieniu, John. Trzymać bezpiecznie w więzieniu, John.

Barnum zamknął oczy, zdjął kapelusz, a po chwili otworzył oczy i zaczął oglądać rondo kapelusza.

- Tylko nie trzymaj latarni zbyt blisko krat, John, bo pewnie nie chciałbyś, żeby dotykali jej przestępcy i co tam jeszcze. Powinieneś napisać do prezydenta, napisać do delegata, żeby uchwalili prawo, żeby taka latarnia była w każdym więzieniu w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Ja bym poparł takie prawo. Bóg wie, że ja bym poparł. Naprawdę, John.

- Ja również, Barnum - odparł Skiffington. Barnum założył kapelusz z powrotem na głowę.

- A teraz chciałbym, żebyś wrócił do domu. Dzisiaj nie pojedziesz na patrol. Odpocznij. Jedź do domu, do pani Kinsey i dzieciaków. Jedź prosto do domu.

Pies wrócił i poszedł na zachód, i tej nocy już nie powrócił.

- Tak zrobię, John. Pojadę do domu, do pani Kinsey i dzieciaków.

Barnum widział lampę płonąca na stole, na którym on wraz z rodziną jedli posiłki. Kolejne dwie widział na kominku, a kiedy odwrócił się w tym pokoju, zobaczył swoją żonę, a w jej oczach odbicie tych dwóch lamp stojących na kominku.

- Tak zrobię, John.

Kilka dni przed tym, jak wraz z rodziną na zawsze opuścił hrabstwo, jeden z jego synów, Matthew, w gazecie sprzed dwóch lat znalazł mapę Ameryki. Matthew pokazał ojcu, dokąd jada, wziął jego palec i przesunął nim po mapie z Wirginii do Missouri. „Daleko” - powiedział Barnum. „No” - odrzekł chłopiec.

- Zaraz - powiedział John - poczekaj chwilę. Wszedł do aresztu i wrócił z małym płóciennym workiem, nie większym niż głowa szczeniaka.

- Masz tu trochę słodyczy dla dzieciaków, Barnum. Trochę cukierków. Trochę miętusów dla dzieciaków.

- Dziękuję, John.

- Jedź teraz prosto do domu, Barnum.

Patrzył za odjeżdżającym Barnumem. Słodycze były dla Winifred i Minervy, i może dla jego ojca, jeśli akurat byłby w domu. Po odejściu kupca Skiffington musiał czekać do następnego dnia, żeby móc kupić więcej. Co się tyczy jego samego, to żołądek nie pozwalał mu na słodkości.

Następnego ranka oświadczył Winifred, że może zatrzymać się na noc u Robbinsa i żeby się nie martwiła. Następnie udał się do biura telegrafu i wysłał długie depesze o Darcym i jego wozie do szeryfów między Manchesterem a granicą Północnej Karoliny. Wiedział, jak

wygląda Darcy, wspomniał więc o bobrowych skórkach i o tym, że podróżuje z Murzynem, który może, ale nie musi być niewolnikiem. Wspomniał również o Augustusie Townsendzie, „wolnym człowieku i wybitnym obywatelu hrabstwa Manchester”.

- Na pewno chcesz to wszystko powiedzieć? - zapytał go człowiek obsługujący telegraf.

- Tak, na pewno. Wyślij każde słowo. Hrabstwo zapłaci.

- Tym akurat się nie martwię, John.

Poszedł do aresztu i powiedział Counselowi, że nie będzie go przez resztę dnia, i poprosił go, żeby zajął się wszystkim do czasu jego powrotu, czyli do następnego dnia.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał? - zapytał Counsel. Skiffington odparł:

- Sądzę, że dam sobie radę. Tylko pilnuj tu spokoju, dobra, Counsel?

Jechał najszybciej, jak tylko mógł. Zastanawiał się, dlaczego ani Mildred, ani nikt inny nie przyszedł do niego i nie poinformował go o tym, że zabrano Augustusa. Na plantację Williama Robbinsa zajechał około pierwszej i choć mógł się tam zatrzymać i skorzystać z dobrego posiłku, pojechał dalej. Gdyby on sam był człowiekiem kolorowym i gdyby go jakoś sprzedano, na pewno chciałby, żeby ktoś poinformował o tym Winifred, żeby jej powiedział, że wciąż może mieć nadzieję. Minął szczątki spalonego przez Trávisa wozu Augustusa, ale nie miał pojęcia, że mija to, co pozostało po Augustusie. Około trzeciej dotarł do domu Mildred i zapukał do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Nie było jej ani w stodole, ani w małym warsztacie, jaki Augustus sobie urządził obok stodoły. Znalazł ją za domem, idącą z ogrodu. Był z nią pies, który podbiegł do Skiffingtona, obwąchał go i poszedł do domu.

Skiffington zdjął kapelusz.

- Mildred...

- Mój mąż nie żyje, szeryfie?

Niosła koszyk pomidorów, ale teraz go odłożyła i otarła pot z jednej strony twarzy, a kiedy wycierała drugi policzek, powiedziała:

- Czy mój mąż odszedł?

- Nie, nic o tym nie wiem. Został sprzedany przez handlarza.

W hrabstwie wciąż jeszcze byli ludzie, którzy wierzyli, że pomidory są trujące, ale Mildred i Skiffington do nich nie należeli.

- Szeryfie, jak można sprzedać wolnego człowieka?

- Poza prawem, Mildred. Tylko łamiąc prawo.

- Poza. Wewnątrz. Poza. Wewnątrz. Podniosła koszyk.

- Nie sądzą, żeby Augustus żył poza prawem. To nie byłby Augustus.

- Postaram się go odnaleźć, Mildred, i sprowadzić ci go do domu. To, co się zdarzyło, było przestępstwem i prawo się tym zajmie.

- Wiem o tym.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że go nie ma? Przebierała w pomidorach i rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Ja, Caldonia i Fern poszliśmy do aresztu, a pana zastępca powiedział, że wszystko panu powtórzy. Powiedział mi, że przekaże panu, że Augustus zniknął.

Nie lubił mówić Murzynom o błędach innych białych ludzi, jednak odparł:

- Nic mi nie powiedział, Mildred. Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj wieczorem.

- Od niego? Dopiero teraz panu powiedział?

- Nie, to Barnum Kinsey mi powiedział. Wyobrażał sobie Counsela, jak siedzi przy jego biurku i pogwizduje, czyszcząc broń.

- Nic nie wiedziałem, zapewniam cię.

- To już i tak nie ma żadnego znaczenia, szeryfie.

Minęła go i poszła w stronę drzwi na tyłach domu. Pies chciał wejść do środka, otworzyła mu je więc i odwróciła się do Skiffingtona. Drzwi same się zamknęły.

- Wierzyłam, że on wróci. Zdarzało się, że gdzieś coś robił i tak się w to angażował, że wtedy tracił poczucie czasu i nie było go przez wiele dni. Nie protestowałam, ponieważ wiedziałam, że jest bezpieczny. Ale pana przyjazd tu to coś zupełnie innego. Wolalabym raczej czekać całymi miesiącami na jego powrót, niż żeby pan tu przyjeżdżał z tymi tak bardzo złymi wiadomościami.

- Będziemy robić, co w naszej mocy, Mildred.

- Czuję, że to już nie ma żadnego znaczenia, szeryfie. Nikogo to nie obchodzi. Pana zastępcę najwyraźniej to nie obchodziło.

- Ale prawo to obchodzi, Mildred. Prawo zawsze się interesuje.

Popatrzyła na niego, a on zamrugał, ponieważ wiedział, że to ona była bliższa prawdy, a nie on.

- Prawo się interesuje - powtórzył.

Mildred nic więcej nie powiedziała i otworzywszy drzwi, weszła do domu. Skiffington założył kapelusz i obszedł budynek, kierując się z powrotem do swojego wierzchowca. Koń skubał trawę i Skiffington musiał go odciągnąć. Zaprowadził go do koryta z wodą, ale okazało się, że koń nie tego chciał, Skiffington pozwolił mu więc wrócić do jedzenia trawy.

Mildred przeszła przez dom i stanęła na ganku.

- Augustus nie wybaczyłby mi, gdybym nie zapytała pana, czy czegoś by pan nie zjadł.

- Dziękuję, nie będę ci już sprawiał kłopotu - odparł Skiffington. - Muszę wracać, zanim zrobi się późno.

Pomyślał o pięknych pomidorach, być może miała jeszcze chleb.

- Dziękuję za zaproszenie.

- To żaden kłopot. Mam dużo.

- Z przyjemnością usiądę i spędzę więcej czasu, kiedy przywiozę dobre wieści o twoim mężu - powiedział. - Następnym razem.

Pożegnała się z nim i weszła z powrotem do domu. Pies patrzył przez cały czas, ale nie ruszył się z progu.

W drodze powrotnej Skiffington nie zatrzymał się u Robbinsa, ale dwa razy stawał, aby poczytać *Biblię*. Znowu zaczął myśleć o Minervie i chciał, aby *Biblia* pomogła mu odsunąć od siebie te myśli. Nie siadał. Po prostu stał na drodze i czytał książkę, a jego koń i za pierwszym, i za drugim razem kręcił się obok. Zwierzę najadło się trawy u Mildred i wędrowało tam i z powrotem z ciekawością dziecka. Skiffington czytał i czytał, ale nie potrafił się skoncentrować.

Trzy tygodnie wcześniej, w rano po piętnastych urodzinach Minervy Skiffington, wychodząc do pracy, zobaczył ją, jak ubiera się w swoim pokoju. Widocznie poszła wylać brudną wodę i kiedy wróciła, aby skończyć się ubierać, zostawiła drzwi uchylone, jak to robiła jeszcze w czasach, gdy była dzieckiem. Kiedy ją zobaczył, miała na sobie bardzo obcisłą koszulę nocną, przez którą prześwitywały krągłości jej ciała, od piersi po kolana. Nie widziała go i odszedł, nic nie mówiąc, ale od tego czasu nie mógł się pozbyć myśli o niej. Znał wielu białych mężczyzn, którzy brali czarne kobiety jak swoje, i wśród tych mężczyzn byłby uznawany za zupełnie normalnego. Ale uważał się za człowieka krocącego ścieżką wyznaczoną przez Boga, który dał mu Winifred za żonę, i wierzył, że Bóg opuściłby go, gdyby wziął Minerve. A Winifred odkryłaby to, nawet jeśli Minerva nigdy by o tym nie powiedziała.

Odłożył *Biblię*, ponieważ czytanie nic mu nie dało, i o siódmej powrócił do aresztu, w którym było zupełnie ciemno, dopóki nie zapalił latarni. Nie było żadnej informacji od Counsela, podejrzewał więc, że dzień minął bez żadnych wydarzeń. Od samego początku nie miał przekonania do Counsela. A teraz pokładana w nim wiara słabła jeszcze bardziej. Wyszczotkował konia i zostawiwszy go w stajni za domem, poszedł do domu. Minerva siedziała na huśtawce na ganku i pomachała do niego, a jego znowu ogarnęło to uczucie, jakie

pojawiło się w ten poranek, kiedy ujrzał ją po jej urodzinach. Na cóż były te wszystkie modlitwy? Dlaczego człowiek musiał odczuwać coś takiego do kogoś, kto był dla jego serca jak córka?

- Jak się masz? - powiedział. Odparła:

- Głodny?

- Nie. Gdzie jest Winifred?

- Siedzi w domu i szyje.

Wszedł do środka i nagle poczuł w sobie ogromny ciężar tego dnia i długiej jazdy. Pomidory w koszyku Mildred były wielkie i zupełnie dojrzałe. Z chęcią zjadłby teraz pomidora, ale wiedział, że jego żołądek by zaprotestował. Przytłoczony ciężarem dnia zbliżył się do Winifred w jej fotelu i usiadł przy niej na podłodze. Odłożyła szycie na kolana.

- Sadzę, że twój żołądek mógłby dostać coś do jedzenia - powiedziała.

- Nie. Nic.

- A ja uważam, że tak, panie Skiffington.

- Może zacznę od odrobiny mleka - powiedział.

- Dobrze - odparła. - Najpierw mleko, a później coś jeszcze. Umył się. Wciąż istniała jeszcze możliwość, że odezwą się inni szeryfowie. Wciąż można było mieć nadzieję. Ale kiedy pił mleko, ta nadzieja się rozwiewała. W jaki sposób mógł ukarać Counsela, Harveya i Odena? Odstawił szklankę i pomyślał, jak przydałoby mu się kilka plasterków pomidora z solą i octem. Kilka plasterków pomidora ślicznie ułożonych na jednym z cennych talerzy Winifred.

Poszedł do pensjonatu i kiedy bez pukania wszedł do pokoju, w którym mieszkał jego kuzyn, ujrzał tam właścicielkę pensjonatu siedzącą na łóżku Counsela. Była bez butów i chociaż poza tym była ubrana, przyłożyła dłoń do swojej w pełni okrytej szyi. Powiedziała Skiffingtonowi, że Counsel wyszedł za potrzebą, a następnie założyła buty i zeszła za Skiffingtonem po schodach. Counsel wychodził z wygodki.

- John.

- Słyszałeś, że ten wyzwolony człowiek, Augustus Townsend, zaginął? - zapytał Skiffington, zanim jeszcze kuzyn zdążył zamknąć drzwi do wychodka. - Counsel, powiedziałeś jego żonie i synowej, że powiesz mi o jego zaginięciu, a później nic mi nie przekazałeś?

- Augustus?

- Augustus Townsend to nazwisko tego człowieka.

- Pewnie coś słyszałem, John, a potem po prostu zapomniałem. Czarnuchy od zawsze opowiadają takie historie. Kto by im tam wierzył?

Właścicielka pensjonatu stała w drzwiach na najwyższym z trzech stopni schodów. Ze znajdującej się za nią kuchni docierało nieco światła, ale było słabe i jej sylwetka była niewyraźna.

- Idź do domu, Thomasina - rzucił Counsel. Odwróciła się i powiedziała:

- Counsel, jeśli będziesz mnie potrzebował, będę na górze. Nie brała od niego już teraz prawie żadnych pieniędzy za pokój i wyżywienie. Była dobrą kobietą, lecz z pewnością nie mógł liczyć na to, że pewnego dnia da mu dzieci i będzie z nim tak, jak kiedyś była z nim Belle. Kiedy się kochali, zawsze potem płakała i drżała na całym ciele. Opuszczona od dawna kobieta powracająca do życia. Zaoszczędził trochę pieniędzy, będąc dla niej miły, ale to nie mogłoby wystarczyć na odkupienie tego, co Bóg zabrał mu w Północnej Karolinie.

- A poza tym, John, to było trzech czarnuchów mówiących o innym czarnuchu. Myślałem, że zatrudniłeś mnie do opieki nad białymi.

- Zatrudniłem cię dla dobra prawa. *To, co było między jego kuzynem a właścicielką pensjonatu, nie stanowiło zdrady małżeńskiej*, pomyślał Skiffington. Grzech cudzołóstwa był tylko w ich duszach, ale czuł, że kłamstwo o Augustusie spadało również na jego głowę, ponieważ to on zaangażował Counsela. To on ręczył za niego przed Bogiem.

- Nie życzę sobie, abyś ukrywał przede mną coś, co dotyczy ludzi w tym hrabstwie. To się nie może powtórzyć. Słyszysz mnie, Counsel?

- Słyszę, John. Niemniej jednak... Skiffington odszedł.

Wyjechał z miasta i nieco ponad godzinę później znalazł Harveya Trvisa i Odena Peoples, którzy głośno rozmawiali, jadąc po ciemnej drodze. Zgodnie z przepisami patrol powinien składać się z trzech osób, ale Skiffington nie zwracał na to uwagi.

- To wy sprzedaliście tego wyzwolonego Augustusa Townsenda z powrotem w niewolę?

Travis się roześmiał, ale Oden milczał.

- John, kto ci nagadał tych bzdur? - odezwał się Travis. - Kto mógł ci zrobić coś takiego, John?

- Powiedz mi, Harvey, czy ty to zrobiłeś? Ty i Oden.

- No, do diaska, nie, John. Ja nic takiego nie zrobiłem. Prawda, Oden?

- To prawda, szeryfie.

- John, kto ci tego naopowiadał? Barnum Kinsey?

To, pomyślał Skiffington, był człowiek, który próbował sprzedać zdechłą krowę, a później chciał ją odebrać, kiedy krowa odżyła. Ale to był również człowiek, który schwytał trzech niewolników Roberta Colfaxes podczas próby ucieczki. On i Oden budzili strach wśród wszystkich próbujących ucieczki.

- John, nie bierz poważnie tego, co mówi Barnum.

- Nie chcę więcej słyszeć o czymś podobnym. Pomyślał o Józefie i jego braciach: *wyrządzili ci bowiem krzywdę. Teraz przeto daruj łaskawie winę nam, którzy czcimy Boga twojego ojca...* A przecież wciąż jeszcze można było odnaleźć Augustusa Townsenda i przywieźć go z powrotem do żony i domu. Bóg wciąż jeszcze mógł to zrobić.

- Jeśli jeszcze raz o czymś takim usłyszę...

- Dobrze wiesz, John, że nie usłyszysz i na tym chyba możemy zakończyć tę sprawę.

Wracając do domu, nie był z siebie zadowolony. Był zadowolony, kiedy Colfax chwalił go przed Williamem Robbinsem i przed innymi. Wrócił do miasta i chciał po prostu jechać dalej, ale nie mógł tego zrobić swojemu wierzchowcowi. Poprosił Boga o przewodnictwo. Tej nocy śniła mu się Minerva. Szedł przez pole, a przez cały ten spacer latały nad nim wrony, i doszedł do namiotu na pustyni, z wejściem trzepoczącym na wietrze. Wiedział, że ona jest w środku, że czeka na niego, ponieważ słyszał jej płacz, i był gotów wejść do środka, ale zatrzymał się, obserwując trzepotanie wejścia. Namiot był w niebieskim, wyblakłym kolorze, jaki nie powinien zwracać niczyjej uwagi, ale on nie mógł oderwać od niego wzroku. A potem wiatr ustał, a wejście nadal trzepotało, a kiedy wiatr znowu się zerwał, wejście zwiśło nieruchomo.

Następnego dnia napisał do Richmond, informując władze, że stan Wirginia powinien znać prawdę o handlarzu niewolników, który sprzedawał Murzynów ponownie w niewolę. Na osobnej kartce papieru udzielił odpowiedzi na typowe pytania odnośnie zarzucanego przestępstwa, nazwisk świadka lub świadków oraz sprawcy lub sprawców. Kiedy zabierał się za pisanie, był pewien, że sprzedaż Augustusa Townsenda była przestępstwem, ale nie był już tego taki pewien na chwilę przed złożeniem podpisu pod wszystkimi odpowiedziami. Czy rzeczywiście Wirginia uznawała taką sprzedaż za przestępstwo? Czyż powinna człowieka urodzonego niewolnikiem kiedykolwiek mogła być przecięta raz na zawsze, nawet jeśli kilka lat był wolny? Czyż sam kolor skóry nie decydował o jego przeznaczeniu? A cóż on sam mógł zrobić z Travisem i Odenem, mając za świadka jedynie Barnuma, który mógł powiedzieć, że zostało popełnione przestępstwo? Słowo białego przeciw słowom innego białego i Indianina. Słowo Barnuma przeciw słowu Trávisa oznaczało ucziwą walkę - Barnum był pijakiem, z kolei Travis był znany jako oszust i brutal. Historia ze zdechłą krową

była szeroko komentowana. Ale słowo Travaisa było poparte słowem Odena, które można było liczyć tylko za pół słowa, ponieważ był Indianinem. Ale to pół słowa było tą połówką, której Barnum nie miał. Skiffington włożył kartkę z odpowiedziami do szuflady i zajął się listem.

Jak zawsze pisał do Harryego Sandersona, który pełnił funkcję rzecznika we władzach stanowych i zazwyczaj był pomocny, kiedy Skiffington potrzebował, żeby przyjechał sędzia sądu okręgowego i przewodniczył w jakiejś sprawie. „Mam wpływ na gubernatora” napisał Sanderson w jednym z listów, w interesującej uwadze sporządzonej na marginesie. Skiffington uważał, że coś jest nie w porządku z tym Darcym, ale potrzebował pomocy w określeniu, co stanowi problem. Chciał wiedzieć, czego od niego żąda prawo.

Dwa dni później, w odpowiedzi na jeden z telegramów, dostał wiadomość od szeryfa z okolic granicy z Północną Karoliną. Szeryf napisał, że Darcy tamtędy przejeżdżał. Nie było żadnych problemów, „powietrze niezmacone”, jak napisał, ale kiedy Darcy wyjechał z hrabstwa, szeryf odkrył martwe murzyńskie dziecko na poboczu drogi, „zgodnie z naszą wiedzą nie będące członkiem naszej społeczności”.

Trzy dni później dostał list od Sandersona. Rzecznik napisał, że rzeczywiście popełniono przestępstwo, i dołączył materiał, jaki skopiował z ksiąg, które o tym traktowały. Kolejną wiadomość z Richmond Skiffington otrzymał cztery dni później. W liście, napisanym nie znanym mu charakterem pisma, Gracida Sanderson informowała go, że jej mąż, Harry, nie żyje, i że ona obecnie zajmuje się jego korespondencją. Dwukrotnie przeczytał ośmiostronicowy list, ale nigdzie nie znalazł żadnej informacji, co stan Wirginia robi w wypadku przestępstwa sprzedaży wolnych Murzynów. Wdowa pisała o swoim mężu, o tym, jak go spotkała, kiedy był na wakacjach we Włoszech, jak się do niej zalecał, a następnie po ślubie przywiózł do Ameryki i uczynił z niej szczęśliwą kobietę w Richmond, „gdzie znajduje się rezydencja gubernatora”. List zamykały dwa akapity poświęcone „zniechęcającej” pogodzie, jaka ostatnio panowała w Richmond, oraz pytanie do Skiffingtona, czy powinna powrócić do domu we Włoszech, „gdzie słońce nie jest tak złośliwe”, czy pozostać w stolicy stanu, gdzie tak dobrze wiodło się jej dzieciom i wnukom. „Jestem przygnębiona i oczekuję odpowiedzi od pana na temat tego, co mam robić”.

Przez kilka następnych dni dostał od niej więcej listów, ale nie miał czasu jej odpisać.

*

W Hazlehurst w Georgii, tuż obok Altamaha River, Darcy i Stennis pod knajpą spotkali mężczyznę. Mężczyzna był trochę wstawiony, ale miał się na baczności, a obok stał jego Murzyn. Spotkanie odbyło się wieczorem, ale było wystarczająco dużo światła, żeby ten biały mógł zobaczyć Augustusa siedzącego z tyłu wozu.

- To dobra skóra - odezwał się Darcy.

- Dobra skóra - powiedział Stennis.

- Teraz nie kupuję żadnego niewolnika - odparł mężczyzna, jedną rękę opierając na podłodze wozu.

Darcy powiedział:

- Czteryście dolarów. Tylko czteryście dolarów, lepiej nie będzie.

Mężczyzna czknął.

- Wszystko może być lepiej innego dnia.

Towarzyszący białemu mężczyźnie Murzyn stał w pobliżu knajpy, ale teraz podszedł ulicą i kiedy spojrzał na Augustusa, skinęli sobie nawzajem głowami.

- Nie z tym, z tym tak nie będzie - odparł Darcy. - Żądam tylko czterystu dolarów i dziś wieczorem pójdę do domu i będę płakać, jak bardzo mnie pan na tym oszukałeś.

- Ta cena wydaje mi się za wysoka - powiedział mężczyzna.

- Nie z mojego punktu widzenia, a ja dobrze widzę. Zapłaciłem za tego czarnucha pięćset dolarów w Wirginii.

- My tu, w Georgii, jesteśmy bardziej rozważni w wydawaniu pieniędzy.

- Tak, zgadza się - odrzekł Darcy. - Z pewnością. No jasne, tydzień temu, kiedy byłem w Północnej Karolinie, powiedziałem do pewnego dżentelmena i do jego łaskawej i gościnnej żony: „Nie ma mocnych na ludzi z Georgii, są tak mądrzy i inteligentni. Na nich nie ma byka”. A oni się zgodzili.

- Nawet dwóch byków - dodał Stennis. - Trzech byków. Czterech byków.

- Przecież powiedziałem, Georgia dała nam naszego najlepszego prezydenta.

- Co? - zapytał mężczyzna. - Jakiego prezydenta?

Wyglądało na to, że trzeźwieje.

- Powiedziałem, że na ludzi z Georgii nie ma mocnych, zważywszy na to, co dali i dają, i będą dawać temu krajowi, od tego wspaniałego prezydenta począwszy

- Co? O jakim prezydencie mówisz? - położył drugą rękę na podłodze wozu i zaczął potrząsać łańcuchem Augustusa. - Do cholery, o jakim prezydencie mówisz?

- Jak to o jakim? O prezydencie Stanów Zjednoczonych, oczywiście. A jaki inny prezydent tu jest?

- Nie ma innego - powiedział Stennis.

- Z tego, co wiem, to żaden prezydent nie pochodził z Georgii - czknął. - Jeszcze o żadnym nie słyszałem.

Augustus i towarzyszący białemu mężczyźnie Murzyn nie odrywali od siebie oczu.

- Jak to? Oczywiście, że był, panie. I był wspaniały. Stennis, jak on się nazywał?

- Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę. Czy to nie był prezydent Bentley? Chyba tak.

- Tak, prezydent Bentley z Georgii. Hura dla prezydenta Bentleya. Hura! Hura!

- Mówię ci, że nie było żadnego cholernego prezydenta z Georgii.

- Nie było? - zapytał Darcy. - Nie było? No to w takim razie na pewno, do cholery, powinien być. I powiem coś jeszcze - będzie prezydent z Georgii, i to niedługo.

- Tak - potwierdził Stennis. - Będzie. Przynajmniej pięciu, o ile się orientuję. Może dziesięciu. Może dziesięciu. Będzie dziesięciu, jeśli tylko mam tu coś do powiedzenia. Może nawet być dwudziestu albo trzydziestu.

- W porządku, Stennis, już wystarczy No, widzi pan - Darcy wziął go za rękę. - Ja próbuję dać panu okazijną cenę na tego tu czarnucha. Tylko czterysta pięćdziesiąt dolarów. Tylko tyle chcę.

- Wydaje mi się, że chwilę temu powiedziałaś czterysta dolarów.

- Naprawdę? Naprawdę tak powiedziałem? To tylko wyjaśnia, że ten czarnuch staje się z każdą chwilą bardziej cenny. Och, Boże! Ależ za godzinę ten czarnuch będzie tak cenny, że pan nie będzie mógł go kupić, nawet gdyby pan był królem Anglii.

- Muszę już iść - powiedział mężczyzna. - Czeka na mnie królowa Anglii.

- Panie, proszę - rzekł Darcy - Może trzysta pięćdziesiąt, a ja będę z tego powodu dzisiaj wylewał łzy do mojej zupy

- Nie.

Mężczyzna zaczął odchodzić. Darcy szedł za nim, a za Darcym Stennis. Murzyn został przy Augustusie.

- Trzysta? Dwieście pięćdziesiąt. Dwieście. - Darcy ciągnął mężczyznę za rękaw.

- Nie. Chodź, Belton - powiedział do Murzyna, ale niewolnik się nie ruszył.

- Proszę. Dwieście dolarów. Czego pan chce ode mnie, żebym go oddał za darmo?

- To byłby niezły pomysł. Chodź, Belton - i obaj mężczyźni zniknęli za rogiem.

- Psiakrew! Psiakrew! - powiedział Darcy, patrząc na puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał ten mężczyzna. - Stennis, myślisz, że byłem zbyt stanowczy w pertraktacjach?

- Nie, *master*, myślę, że pan miał rację, jeśli chodzi o pieniądze.

- Hm. No tak, lepiej dajmy sobie spokój z tym gościem. Nie chce mi się myśleć o podróży na Florydę. Nie przewiduję szczęścia na Florydzie, ale jutro będzie nowy dzień.

- I nowy dolar, *morse*.

10

Zeznanie przed wysokim sadem. Spragniona ziemia. Czy muły rzeczywiście są mądrzejsze od koni?

W dniu, w którym Skiffington po raz pierwszy przybył do Caldonii w sprawie zniknięcia Alice, Priscilli i Jamiego, Moses spodziewał się, że wieczorem znowu zje z Caldonią kolację, ale pani nie była głodna i tego dnia jedynym jej posiłkiem był obiad. Przez cały dzień myślała, że zaginiona trójka powróci przed zmierzchem, nie mogła uwierzyć, że dwie kobiety i chłopiec mogli opuścić to, co ona wraz z Henrym stworzyła. Być może któryś z mężczyzn, ktoś taki jak Elias lub Clement, ale nie wariatka i kobieta, która zdawała się uwielbiać swoją panią. Z szacunku dla prawa poinformowała Skiffingtona, ale kiedy się zjawił i stanął przed nią, cała sprawa zniknięcia przestała już być tylko drobnym kłopotem i stała się ważniejsza, niż jej się wcześniej wydawało. To było tak, jakby uciekł jeden z jej byków, i zanim sługa zdążył go znaleźć i przyprowadzić z powrotem, byk nie tylko zniszczył czyjeś pole, ale również stratował dziecko czy nawet dwoje. Prosty występki, który można by naprawić finansowym zadośćuczynieniem, stawał się poważnym przestępstwem. Ratowało ją jedynie to, że to ona była ofiarą.

W salonie Moses powiedział jej, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, nawet bez Alice, Priscilli i Jamiego. Zbiory zapowiadały się dobrze. Wyciągnęła do niego rękę, pragnąc, aby przy niej usiadł.

- Jak myślisz, gdzie oni mogą być? - zapytała. Po wizycie Skiffingtona zajrzała do wielkiej księgi Henryego i oceniła, że za tę trójkę mogłaby dostać nawet 1400 dolarów, w zależności od potencjału, jaki kupiec mógł dostrzec w pulchnym chłopcu i kobiecie, która potrafiła pracować, ale mogła też od czasu do czasu się oddalać. - Czy myślisz, że coś im się stało?

- Nie, proszę pani - odparł Moses. Wracając do pracy, kiedy czuł na sobie wzrok Skiffingtona, zastanawiał się, ile czasu musi upłynąć, zanim wszyscy przeboleją to, że tych troje już nie wróci, zanim wszyscy zajmą się wreszcie innymi sprawami.

Objął ją ramieniem, ale powiedziała, że jest zmęczona, a kiedy nie cofnął ręki, odsunęła się od niego. Siedzieli razem jeszcze kilka minut, po czym powtórzyła, że jest zmęczona i potrzebuje Loretty, na co on wstał i wyszedł.

Wkrótce udała się do łóżka, ale nie mogła zasnąć, koło drugiej wstała więc i stojąc w oknie, wyobrażała sobie, jak oni we troje nadchodzą ścieżką, wyczerpani i cieszący się z powrotu do domu. Co powiedziałby Henry o tym strasznym stanie, w jakim znalazło się to

miejsce? Jeśli jutro odejdą następne trzy osoby, później następne i jeszcze następne, to wkrótce nikt nie zostanie, tylko ona sama, Zeddie, Bennett i Loretta. Czy Moses zostanie? Czy on też odejdzie? Pocieszyło ją to, że Skiffington przyjechał tak szybko. Całą sprawę potraktował poważnie, a to dawało jej nadzieję. Kusiło ją, aby wyjść z domu i udać się na grób Henry ego, ale nie chciała potykać się w ciemnościach, kiedy będzie wychodziła na cmentarz. Nie chciała wszystkich pobudzić, udając się w tak osobistej misji.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi i przez chwilę opadł ją strach, że to może być Moses. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Loretta, trzymając w ręce świecę.

- Wiedziałam, że pani nie śpi - odezwała się Loretta. Czy Loretta kiedyś ją zostawi? W której będzie trójce? Henry zapłaci za nią 450 dolarów, jak dowiedziała się dziś rano z wielkiej księgi. - Czuję, kiedy dom nie układa się do snu jak trzeba.

- Nawet jeśli ja nie śpię, to ty powinnaś - powiedziała Caldonia.

- Przynieść pani coś? - Loretta mogła nie wiedzieć wszystkiego, co działo się za zamkniętymi drzwiami salonu, ale wiedziała, że nie było to chyba dobre ani dla kobiety, ani dla mężczyzny.

- Loretto, proszę, znajdź mi coś w tej twojej torbie. Pięć minut później Loretta wróciła z napojem, który Caldonia wypila do dna. Położyła się, a Loretta przysiadła na brzegu łóżka. Nie rozmawiały ze sobą. Mężczyzna, którego Loretta w końcu poślubiła, chciał się dowiedzieć, dlaczego ona nie przyjęła jego nazwiska, dlaczego w ogóle nie chciała nazwiska.

- Czy tak ma wyglądać małżeństwo z tobą? - zapytała go. - Dzień w dzień kolejne pytania, przez resztę mojego życia? Tak? Tak ma być?

Ten mężczyzna był wolnym człowiekiem, który większą część życia spędził na morzu. Pewnego dnia, kiedy morze było wyjątkowo spokojne, rozmawiał z innym człowiekiem i nad ramieniem tego mężczyzny zobaczył, jak dwóch marynarzy po prostu znika, w jednej chwili, między skończeniem jednego zdania a rozpoczęciem drugiego, rozplynęli się w powietrzu. Marynarzy nie było w morzu, nie było ich też na statku.

- Nie - odparł mężczyzna Lorecie. - Nie będę już zadawał ci żadnych pytań.

- Martwię się - odezwała się Caldonia, kiedy napój powoli rozchodził się po jej ciele.

- Nie powinna się pani martwić - odparła Loretta. Kapitan i pozostali marynarze przypisali to zniknięcie jeszcze jednej morskiej tajemnicy Po tym wydarzeniu mężczyzna, za którego wyszła Loretta, nie miał już serca do morza. Kiedy jego świeżo poślubiona żona poprosiła go, aby nie zadawał jej tylu pytań, łatwo było mu się zgodzić.

Caldonia zakryła usta, ziewając. Loretta wstała i wygładziła kołdrę, wzięła świecę i zanim zdążyła wyjść za drzwi, Caldonia już usnęła.

*

Następnego dnia Moses kazał wszystkim, łącznie z dziećmi, pracować do późna, jeszcze długo po zapadnięciu ciemności. W końcu Delphie zawołała, że są głodni i zmęczeni, i że Moses powinien uważać, co robi.

- Nawet nie widzimy, co robimy - powiedziała. - Ta cała praca pójdzie na marne, bo jutro będziemy musieli wszystko zaczynać od nowa.

Moses ustąpił. Stał pośrodku pola i patrzył, jak powoli odchodzą, wlokąc się noga za nogą. Trzymał w dłoni lejce muła, który ruszył w ślad za wszystkimi, kiedy zobaczył, że odchodzą. Moses w zamyśleniu poszedł za mułem. Tego dnia po obiedzie usłyszał, jak ktoś mówi, że jego rodzina nienawidzi go do tego stopnia, że woleliby być wychłostani i zabici przez patrol, niż znosić jego rządy. *Tylko poczekajcie, pomyślał. Poczekajcie tylko, aż to wszystko się skończy.*

Odprowadził muła na miejsce i poszedł do domu, wciąż w przepoconym ubraniu prosto z pola. Caldonię ujął jego wygląd. Sama poszła przynieść mu ser, chleb i kawę, i patrzyła, jak on je, a na jego twarzy powoli rozlewa się uśmiech.

- Tego mi było trzeba - powiedział na koniec.

- Dlaczego tak ciężko pracujesz, skoro to ty tu rządzisz? - zapytała. Wzięła z jego kolan tacę i odstawiała ją na mały stolczyk przy jego krześle. Z rękawa wyjęła uperfumowaną chusteczkę i delikatnie wytarła mu kąciki ust, a on czuł się nieswojo podczas tej czynności, tak odmiennej od stosunku płciowego, ale kiedy skończyła i złożywszy chusteczkę odłożyła ją na tacę, poczuł żal, że to już koniec. - Znam nadzorców, którzy siedzą na koniach i tylko pilnują innych.

- Nie potrafiłbym tego robić inaczej - powiedział i bardzo szybko zdał sobie sprawę, jak niestosowna była to odpowiedź. Ale jego niezdolność do udzielania wyjaśnień była równie ujmująca. Z powodu tych jej słów czuł coraz większe skrępowanie i obawiał się, że nie znając właściwej odpowiedzi, niechcący może udzielić złej.

- W zeszłym roku miałem bóle pleców, a bardziej bolało mnie to, że nie pracowałem, niż że miałem chore plecy. Moja żona mówi, że mam to we krwi.

Nie zatrzymał się na wspomnienie Priscilli, ale Caldonia przypomniała sobie o trzech zaginionych niewolnikach i przy słowach „moja żona” po raz pierwszy przeszło jej przez myśl, że on mógł być w to zamieszany. Trzymał ręce wyciągnięte przed siebie, jakby sądząc, że mogą udzielić lepszego wyjaśnienia niż jego słowa. Wzięła jego dłonie w swoje i poczuła twardość starzejącej się skóry. Były mniejsze niż dłonie Henryego, który wcierał w dłonie końską maść.

Poklepała jego dłonie i ułożyła je na jego kolanach, po jednej na każdym.

- Pracowałem, od kiedy skończyłem trzy lata, zawsze ciągnąłem za sobą ten worek z bawełną - powiedział, mówiąc tak, jak nie mówił nigdy od swoich pierwszych dni z Priscilla.
- Może nawet wcześniej, jeśli tylko pamiętam tak daleko - i opuścił wzrok na swoje kolana. - Ciało dostosowuje się do pracy tak, jak naginane drzewo, które rośnie, jak sobie wymyślimy. Ono nie potrafi inaczej. Wiesz, *misuss*, że są konie, które można zmusić do pracy, i będą pracować, i pracować, i tak będą pracować, aż padną ze zmęczenia. Normalny muł tak nie będzie robił, ale normalny koń tak. Muły są mądrzejsze.

Bała się, że on będzie ciągnął dalej, wstała więc, w nadziei, że to zakończy jego wypowiedź, ale on nie przerywał, opowiadając jej, że pewne pieśni śpiewane przy pracy ułatwiały robotę, a były też inne, w zależności od pory dnia, które przygniatały ciało do ziemi, więc „trzeba uważać, co się śpiewa, co się nuci i w ogóle”. Henry śpiewał, kiedy ona wtulała się w jego ramiona. Moses zauważył, że ona stoi, i także się podniósł. Przestał mówić, a ona go pocałowała, jedynie dlatego, że był cicho. Kiedy się cofnęła, zrozumiał, że powinien odejść. Pragnął się z nią kochać, ponieważ następnym razem chciał wejść przez tylne drzwi już bez pukania.

*

Skiffington przyjechał następnego dnia, aby powiedzieć Caldonii, że nikt w hrabstwie nie widział Alice, Priscilli i Jamiego. Spotkał ją, kiedy wchodziła do domu, wracając z ogrodu, i rozmawiali na werandzie, a jej twarz połyskiwała od potu.

- Mamy tu do czynienia z tajemnicą - powiedział - a prawo nie lubi takich tajemnic.

- Ja również - odparła Caldonia. - Czy pan sądzi, że mogli po prostu zbiec z hrabstwa?

Trzymał kapelusz przy boku i myślał o Travisie i Odetii, którzy sprzedali Augustusa Townsenda. Nie wierzył, żeby mogli sprzedać jeszcze trzech Murzynów, tak szybko po sprzedaży Augustusa i po tym, jak ich ostrzegał. Poza tym nabrał nieodpartego przekonania, że niezależnie, co się wydarzyło, był w to zamieszany Moses.

- Zaczynam traktować to jako jedną z ewentualności - powiedział, podnosząc kapelusz i przesuwając dłonią wzdłuż i ego runda. Kiedy była młodsza, Minerva nałożyła jeden z jego kapeluszy, co rozbawiło i jego, i Winifred, a także jego ojca. Miała wtedy dziewięć lat.

- Albo uciekli, albo - i z tym również należy się liczyć - leżą gdzieś nieżywi.

- A dlaczego nie mogliby po prostu się ukrywać? Potarł rondo kapelusza.

- Moi ludzie sprawdzili wszystkie zakątki hrabstwa i jeśli zaginieni niewolnicy nie zamieszkali w pniu drzewa lub nie zapadli się pod ziemię, to...

Zastanawiała się, czy tych troje mogło być objętych polisą Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Atlas”. Ubezpieczeniem od ucieczki niewolników.

- Muszę się zobaczyć z Mildred Townsend - powiedział. - Jeśli pozwolisz, to przekażę jej od ciebie pozdrowienia.

- Tak. Tak - odparła Caldonia. - Proszę jej powiedzieć, że nie będzie mnie jutro w domu. Nie ma żadnych wiadomości o Augustusie?

Pokręcił głową.

- Być może ci sami ludzie, którzy porwali Augustusa, porwali również moją trójkę.

- Rozwahałem taką ewentualność - powiedział - ale ci łajdacy od dawna są daleko. Minie wiele miesięcy, zanim tu ponownie zawitają. Pojechali na południe. Jeśli twoi uciekli, to podążyli na północ, chyba że zmyliły ich gwiazdy i słońce, i poszli w przeciwnym kierunku. - Założył kapelusz na głowę. - Muszę jechać, Caldonio. Jednak jeszcze przed odjazdem chciałbym zadać kilka pytań twoim sługom.

- Tak - odparła. - Miłego dnia, szeryfie.

- Nawzajem, Caldonio. Weszła do domu.

Poprowadził swojego konia na pole i stojąc tam, przez dłuższą chwilę patrzył, zanim wśród innych niewolników dojrzał Moseesa. Po pewnym czasie również Moses go zobaczył, ale nie pozdrowił go i dalej zajmował się swoją robotą. Skiffington wsiadł na konia. Czuł, że sprawy zaczynają mu się wymykać spod kontroli i jeśli szybko się tym nie zajmie, zarówno on, jak i wszystko, co dotychczas udało mu się stworzyć, skończy się bezpowrotnie. Augustus. Trójka niewolników najprawdopodobniej zamordowanych. Tak właśnie zaczęło się z Gillym Pattersonem - nie potrafił poradzić sobie z problemami, a następnie William Robbins stracił do niego zaufanie. Skiffington kiedyś nawet zapytał Boga, czy to pragnienie, aby Robbins darzył go zaufaniem, nie stawiało go w oczach Boga w złym świetle, i dowiedział się, że Bóg nie ma nic przeciwko temu.

Zobaczył dziewczynkę wracającą z wychodka na pole i zapytał ją, czy знаła trójkę zaginionych niewolników, na co ona powiedziała, że tak. Tessie, córka Celeste i Eliasa, nie spieszyła się z odpowiedzią i Skiffington pomyślał, że dziewczynka wymyśla jakieś kłamstwo, a w rzeczywistości ona się zastanawiała, dlaczego on o to pyta, skoro odpowiedź była tak prosta, jak odpowiedź na pytanie, jak ona sama ma na imię. Zapytał jeszcze, kto mieszka w chacie obok Moseesa, i powiedziała mu, że tam mieszka Elias i Celeste wraz ze swoimi dziećmi. Poprosił ją, żeby poszła do Eliasa i powiedziała mu, że szeryf chce się z nim zobaczyć. Odparła, że Elias jest jej ojcem.

- Powiedz tatusiowi, żeby tu przyszedł.

Elias nie był specjalnie rozmowny, ale pięć dni później miał dużo więcej do powiedzenia, chociaż jego żona błagała go, żeby zachował to dla siebie. Jednak on stwierdził, że nie może tego ukrywać. Oświadczył Celeste, że gdyby to dotyczyło kogoś innego, mógłby trzymać język za zębami.

- W takim razie spróbuj to zrobić dla mnie - odparła.

*

Skiffington zapukał do drzwi Mildred i usłyszał szczekanie psa. Zaprosiła go do środka, ale on, wiedząc, że nie przynosi dobrych wiadomości, nie chciał zajmować jej zbyt dużo czasu. Powiedział tylko:

- Zawsze się spieszę, a dziś jest jeden z takich dni.

- Wciąż nie ma mojego męża - powiedziała.

- Tak, Mildred. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

- Dziękuję, że pan przyjechał.

Zatrzymał się na noc u Williama Robbinsa i kiedy następnego dnia rano wstał z łóżka, za stan swojego rozstrojonego żołądka winił twarde mięso kurczaka - rzadkość na stole Robbinsa - jakie podano mu na kolację. Czyż oni doprowadzili tego ptaka do wściekłości, zanim mu ukręcili łeb? Rozgniewali to mięso?

Przy kolacji Robbins powiedział:

- John, chciałbym wyznaczyć nagrodę w wysokości pięciuset dolarów za głowę tego handlarza, który zabrał Augustusa Townsenda. Zapłacę każdemu, kto go przyprowadzi do mnie lub do ciebie. Czy muszę wspominać, że nie ma znaczenia, czy dostarczą go żywego, czy martwego?

- Sądzę, że gdy ktoś zobaczy kwotę pięciuset dolarów, od razu pomyśli, że chodzi o „martwego”, bez umieszczania tej informacji na plakacie.

- Dobrze - odparł Robbins, jedząc trochę kurczaka, trochę kukurydzy i po trochu wszystkiego na stole, a następnego ranka Skiffington, zanurzając twarz w misce z wodą, był wdzięczny, że Robbins nie zapytał o tę trójkę niewolników. Ale to nie byłoby w stylu Robbinsa - zawsze dawał człowiekowi trochę czasu, aby ten udowodnił, że potrafi wykonać swoją pracę. Od zniknięcia niewolników nie minął jeszcze tydzień.

W drodze powrotnej do miasta zajechał na plantację Caldonii i zatrzymał się na polu, gdzie tak długo siedział na koniu, aż nabrał pewności, że Moses go zobaczył. Uprzejmość wymagała, żeby o swojej obecności dał znać właścicielce plantacji, jednak nie sądził, żeby Caldonia specjalnie się tym przejmowała. Stał tam tak długo, że miał czas wyjąć *Biblię* i trochę z niej poczytać, nie schodząc z konia. Żołądek powoli się uspokajał.

*

Tego wieczoru Caldonia pozwoliła Mosesowi kochać się z nią po raz pierwszy od zniknięcia niewolników. Chciał spędzić z nią noc w jej łóżku i nawet jej o tym powiedział, ale kiedy skończyli, ona leżała tylko w jego ramionach i nic nie mówiła. Po chwili zapytał:

- Kiedy mnie wyzwolisz? - Co?

- Pytam, kiedy mnie wyzwolisz? Odsunęła się od niego i wstała.

- Myślałem, że powinnaś mnie wyzwolić.

Nie mógł zostać jej mężem, jeśli najpierw nie byłby wolny, a już na pewno nie prawdziwym mężem, z pełną władzą nad wszystkimi i wszystkim. Zdarzały się, co prawda, wolne kolorowe kobiety, które wychodziły za niewolników, ale one nie miały ani ziemi, ani ludzi.

- Proszę, Mosesie...

Nikt o tym nie mówił, nie pisały o tym również gazety, ile batów dostała w Bristolu biała kobieta za to, że spała ze swoim niewolnikiem. Czy ta biała kobieta była zmuszana przez tego niewolnika, wielokrotnie zmuszana? Czy to mogło złagodzić karę? „On mnie zmusił i mnie wziął, wysoki sędzie, czyż to nie jest warte pięć batów mniej? A poza tym, wysoki sędzie, czyż ja wciąż nie jestem biała?”

- Proszę, Mosesie, nie chcę o tym mówić.

Myślała o jego wyzwoleniu, ale nigdy nie zastanawiała się nad dniem i godziną.

- Chcę mieć papiery dające mi wolność - powiedział, a następnie dodał - *missus*.

Wstał i doprowadził się do porządku. Ona sama już była pozapinana. Pomyślał, że na tym nie powinien kończyć, ale Loretta zapukała do drzwi i weszła po tym, jak Caldonia powiedziała:

- Tak.

Moses wyszedł, tłumiąc wściekłość.

*

Następnego ranka, około szóstej, Celeste powiedziała do Eliasa, że nie czuje się zbyt dobrze. Była w szóstym miesiącu ciąży.

- To może mała niestrawność - stwierdziła. - Wiesz, jak to jest z twoimi dziećmi mniej więcej w tym czasie: pchają się na świat, zanim jeszcze przyjdzie na nie czas.

- Powiem Mosesowi, że nie możesz dzisiaj pracować.

- Może dam sobie radę - odparła Celeste.

- Mamo, nie możesz dać rady? - zapytała Tessie.

- Kochanie, ty nie masz się czym martwić. Wszyscy już wyszli na drózkę i Moses otworzył drzwi chaty, chcąc się dowiedzieć, dlaczego Elias i jego rodzina zwlekali z wyjściem.

Celeste stała najbliżej i powiedziała, że ma problemy z poruszaniem się.

- Macie iść na pole wraz z wszystkimi innymi - oświadczył Moses i chwycił Celeste za ramię.

- Zaraz, zaraz! - krzyknął Elias i uderzył Mosesa pięścią w rękę, a nadzorca puścił Celeste. - Nie dotykaj mojej żony, Moses, powiedziałem ci, że ona nie może. Ja zrobię jej pracę, może w niedzielę albo w nocy. Powiedziałem ci, że ona nie może. Daj jej spokój.

Stał między żoną a Mosesem. Między innymi przez to wydarzenie było mu dużo łatwiej rozmawiać później ze Skiffingtonem.

- Nikt nie będzie wykonywał za kogoś pracy, każdy ma zrobić swoje.

- Zapytaj panią, czy mogę pracować za żonę. Zapytaj ją.

- Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem - odparł Moses, cofając się o krok. - Cały czas o tym mówimy A co ty myślałeś, co? - Cofnął się jeszcze o krok i znalazł się w drzwiach, przez które ludzie zaglądali do środka, a on wiedział, że oni patrzą. - Ja pytam ją, ona pyta mnie i ustalamy, żeby wszyscy pracowali, zanim jeszcze słońce wstanie. A co ty sobie myślałeś, co?

- Elias, nic mi nie będzie - powiedziała Celeste. - Zobaczysz, nic mi nie będzie.

Położyła mu dłoń na ramieniu, a on odwrócił się do niej. Zanim poczuła ból, zaczesła włosy i teraz widział, jak te jej włosy opadały po obu stronach przedziałka, spełniając życzenie grzebienia.

- Co ty sobie myślisz? Ze ożeniłeś się z jakimś chucherkiem? Jestem gotowa. Jestem gotowa. - Wyminęła go i podeszła do Mosesa, mówiąc: - Idę. Już idę.

Elias już wcześniej zaprowadził swoje najmłodsze dziecko, Ellwooda, i pozostałe dzieci, które jeszcze nie skończyły pięciu lat, do domu i teraz Tessie i Grant podążyli za matką. Celeste zostawiła dwóch mężczyzn stojących w pomieszczeniu i wyszła na dwór, gdzie przyłączyła się do innych ludzi zmierzających na pole. Obok niej szły May i Gloria, które wzięły ją za ręce. Dzień był jasny, słońca było tyle, ile tylko można sobie wymarzyć, dzień, o jaki wielu ludzi mogło się modlić.

Jeszcze podczas obiadu Celeste czuła się dosyć dobrze. Po obiedzie wróciła do swojego na poły skończonego rzędu i kiedy tylko się schyliła, poranny ból powrócił, a ona osunęła się na kolana. Zaczęła krzyczeć i szarpać palcami okoliczne rośliny, aż w końcu złapała jedną, wyrwała ją z korzeniami i z całych sił ścisnęła.

- Słodki Jezu, zabierz to - powiedziała, myśląc o bólu. Zanim jeszcze Elias zdążył do niej dobiec, noszone przez nią dziecko zaczęło z niej wychodzić. Schylony, trzymał ją, kiedy dziecko wyszło na świat i znalazło się w krwawej kałuży na dnie bruzdy, wciąż jeszcze połączone ze swoją matką. Kobiety podeszły do Celeste i kazały Eliasowi odsunąć się, cofnąć się. Nadeszły również dzieci Celeste, ale dwaj mężczyźni wzięli je na ręce i odnieśli na bok. Celeste zemdląła.

- Elias, cofnij się - powiedziała Delphie. - Cofnij się, jak mówię.

- Zostaw ją - powiedział do Delphie, płacząc i z uporem maniaka wierząc, że jeśli będzie trzymał żonę, wszystko jeszcze może być dobrze.

Delphie obiema rękami chwyciła Eliasa za kark i zaczęła potrząsać mężczyzną, aż w końcu puścił Celeste. Gloria podtrzymała Celeste, ale zupełnie inaczej, niż robił to Elias. Ziemia od kilku dni nie zaznała deszczu i z łatwością przyjęła krwawą kałużę.

W końcu Elias podniósł Celeste i zaniósł ją do chaty. Po drodze obudziła się, nie wiedząc, gdzie się znajduje, i przez moment nie pamiętając, co się wydarzyło. Nie wiedziała, że słońce świeci jej prosto w twarz i że tak dużo słońca oznacza, że może jej zabraknąć deszczówki do umycia włosów.

Położył ją na sienniku w chacie i zanim jeszcze Gloria i Delphie przyszły, aby się nią zająć i zmienić jej ubranie, Elias zdążył pomyśleć o Mosesie.

- Zabiję go - powiedział, a jego słowa zabrzmiały jak syk.

- O czym ty mówisz, mężu? - zapytała Celeste. - O czym ty mówisz?

Elias się podniósł.

- Zranię go tak, jak jeszcze nikt nie był zraniony. Delphie rzuciła się do drzwi i zamknawszy je, przyłożyła dłoń do piersi Eliasa.

- Nigdzie teraz nie musisz iść - powiedziała. - Zostaw go tam. Proszę, Elias, zostaw go.

- Odsuń się, Delphie. Nie chcę cię skrzywdzić, ale muszę go dorwać. Odsuń się.

Nie krzyczał. Usłyszał Tessie przy drzwiach i chciał, żeby ze spokojnego tonu jego głosu córka mogła wywnioskować, że ojciec nadchodzi. Wyobrażał sobie, jak ona stoi obok Granta i widział również, jak Grant patrzy w górę na siostrę, która najpierw zawołała matkę, a potem ojca. Zapomniał, że mały Ellwood był tam, w domu. Spokojny głos, tego właśnie potrzebowała jego córka.

- Znam cię od dawna - powiedział do Delphie - ale ty stoisz na mojej drodze, a ja nie chcę z tobą walczyć.

- Mężu, chodź tu - odezwała się Celeste, starając się podnieść na łokciu. Gloria delikatnie ją przytrzymała.

- Nie ruszaj się - rzekła Gloria.

Delphie położyła dłoń na karku Eliasa, tym razem raczej po to, aby przyciągnąć jego uwagę, i powiedziała:

- Zostaw to tak, jak jest.

- Mężu, chcę, żebyś tu przyszedł. Czy ty mnie słuchasz, mężu?

Moses znajdował się dokładnie w tym samym miejscu pola, w którym był, gdy Celeste upadła na ziemię. Czekał na odpowiednią chwilę, żeby kazać wszystkim powrócić do pracy. Wkrótce po tym, jak Elias odniósł Celeste, Clement, mężczyzna, który zabrał Stamfordowi Glorię, poszedł do domu pani. Teraz, kiedy Moses próbował znaleźć odpowiednie słowa i poukładać je w głowie, Caldonia szła do chaty Celeste, a za nią podążała Loretta. Loretta zapomniała wziąć torbę z bandażami i ziołami.

Caldonia próbowała otworzyć drzwi, a kiedy nie chciały ustąpić, wykrzyknęła imię Celeste, a następnie Eliasa.

- Są w środku - powiedziała Tessie. Delphie jedną ręką otworzyła drzwi, drugą starając się powstrzymać Eliasa.

- Przez Mosesa straciła dziecko - powiedziała do Caldonii. Delphie nie odstępowała od drzwi i kiedy Elias opuścił ramiona, odezwała się do Tessie i Granta:

- Mama i tato chcą, żebyście na razie tu poczekali. Zanim dzieci zdążyły otworzyć usta, Delphie zamknęła drzwi.

- To jeszcze nie jest koniec - powiedział Elias, kiedy Caldonia i Loretta uklękły przy jego żonie. - To jeszcze się nie skończyło.

- Nigdy nic takiego nie mówiłam - odparła Delphie.

*

Tego wieczoru Moses trzymał się z dala od domu pani, a kiedy przyszedł następnego wieczoru, dom był cichy. Zapukał i czekał, aż przyjdzie Zeddie i wpuści go do środka.

- Ona jest w salonie - powiedziała Zeddie, a Moses zdjął kapelusz i przeszedł obok niej. Miał na sobie swoje dobre spodnie, ale się nie umył, czując, że tym razem było to zbędne.

Loretta stała przy oknie, a Caldonia siedziała na środku kanapy.

- Moses, dlaczego naraziłeś na niebezpieczeństwo kobietę będącą przy nadziei? - zapytała Caldonia.

- Ona udawała - odrzekł. - Oni wszyscy czasami udają. Nigdy nie widziałem nawet jednego, który by czasami nie udawał.

Miał przed oczami plecy Loretty i część słów wypowiadał do jej pleców, a część do zegara szafkowego stojącego obok okna.

- Ona straciła dziecko, Moses. Czy ty o tym nie wiesz? - zapytała Caldonia.

- Słyszałem - odparł.

- Od teraz masz zawsze mnie informować, jeśli ktoś mówi, że się źle czuje. Najpierw masz przyjść do mnie.

- To będą z tego kłopoty. Duże kłopoty. - Chciał zwrócić się do niej po imieniu, ale nie byli sami. „To ja - chciał jej powiedzieć. - To do mnie to wszystko mówisz”.

Loretta odwróciła się od okna. Niezależnie od tego, na co tam patrzyła, przestało to być interesujące. Rozplotła założone ręce. *I on mógł być moim mężem*, pomyślała. *A ja mogłam być jego żoną. Jako małżeństwo stanowiąc jedność.* Czy teraz byłaby gdzieś tam, gdzie były Priscilla i Alice, gdzieś tam, jeden Bóg wie gdzie, razem z jej dzieckiem?

- Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia, Moses. Rozczarowałeś mnie. Dziś już nic więcej nie mam do powiedzenia. - Loretta zrobiła dwa kroki, dając Mosesowi znak, że powinien odejść.

Wyszedł przez tylne drzwi, jednak nie poszedł w stronę chat. Stał oddalony od nich o wiele metrów, patrząc na dym wznoszący się znad wszystkich dachów poza jego własnym. Słyszał szmer i pomyślał, że to muszą być te wszystkie wieczorne rozmowy unoszące się razem nad chatami i wspólnie tworzące zgiełk we wszechświecie. Spod chat popłynął serdeczny śmiech, ale kiedy dotarł do Mosesa, zdawał się już pozbawiony życia. Chciał pójść do lasu i być sam ze sobą, zrobić coś, czego od wielu dni nie robił, ale w tym celu musiałby przejść między chatami, a nie chciał oglądać tych twarzy widzących jego własną twarz. Była, co prawda, dłuższa droga dookoła, ale wołał z niej nie korzystać.

Stał tak przez dwie godziny, aż życie w chatach ucichło, a później zszedł na dół, w stronę własnego domu. Z położonej obok chaty Celeste i Eliasa nie dochodziły żadne dźwięki. Moses zdjął buty. Oparłszy plecy od wewnątrz o drzwi, usiadł w ciemnościach. Około trzeciej po prostu przechylił się i tak zasnął. Niedługo po tym przyszedł Elias i pchnąwszy drzwi, próbował je otworzyć, ale kiedy zauważył, że są zabarykadowane, wrócił do swojej chaty.

*

Następnego wieczoru Moses wszedł przez tylne drzwi bez pukania, po prostu je otworzył i mijając Bennetta i Zeddie, siedzących przy kuchennym stole, wszedł do salonu, w którym stała Caldonia rozmawiając z Loretta.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział. - Muszę.

- Co? - zapytała Caldonia. Pokazał na Loretę.

- Ty wyjdź.

- Zaraz, Mosesie. Zaraz, zaraz - powiedziała Caldonia. Loretta minęła go, kierując się w stronę drzwi, a Moses zbliżył się do Caldonii.

- Dlaczego każesz mi tak czekać, jakbym był jakimś dzieckiem? Dlaczego mnie jeszcze nie wyzwoliłaś? - Podniósł pięść do góry, w dzielącą ich przestrzeń. - Dlaczego to robisz?

Zrobił jeszcze jeden krok, ale w tym momencie Loretta podeszła i, wsunawszy rękę pod jego szyję, przyłożyła mu nóż do gardła, musiał więc opuścić stopę w pół kroku.

- Ja nie żartuję - powiedziała Loretta.

On również widywał ją, dawno, dawno temu, zanim w końcu ożenił się z Priscilla, ale zawsze myślał, że kobieta z domu jest poza jego zasięgiem. Cóż ona mogła w nim zobaczyć? A Priscilla harowała na tym samym polu co on. Dużo lepiej do siebie pasowali.

- Ja nie żartuję, Moses.

Patrzył na Caldonię, a ona na niego. Drżał na całym ciele i wyobrażał sobie siebie, samego tam, w lesie, jak leży nago na plecach. Patrzyły na niego nocne ptaki i patrzyła Alice. Słyszał nadchodzącą głośno Priscillę, jak następuje na jedną gałązkę po drugiej. Opuścił głowę, a nóż znalazł się jeszcze bliżej.

Kiedy wyszedł, Loretta wyjęła pistolet i wręczyła go Bennettowi. Chciała pójść poszukać patrolu, aby zabrał Mosesa, ale Caldonia powiedziała jej, że do rana powinien dojść do siebie.

- Śmierć Henryego - stwierdziła w końcu - wszystkich nas poruszyła.

Zanim poszła tego wieczoru do Celeste, Loretta z własnej woli poprosiła Clementa, żeby przyszedł tej nocy i stanął przy tylnych drzwiach.

- Uważaj - powiedziała mu Gloria, nim wyszedł.

*

Jeszcze zanim stanął na nogi następnego ranka, Moses poczuł, że świat się zmienił. Kiedy otworzył drzwi, wszyscy już stali i czekali, żeby poprowadził ich na pole. Nie było wśród nich Celeste i Elias, ponieważ Loretta powiedziała Eliasowi, że ma zostać z żoną i że Zeddie przyniesie im jedzenie. Niewolnicy pracujący na polu szeptałi między sobą, jak to robili każdego dnia, ale wiedział, że tym razem brzmiało to zupełnie inaczej, a w ustach czuł suchość.

Około ósmej wieczorem poszedł do tylnych drzwi, przy których czekała już Loretta i powiedziała mu, że pani nie będzie go dziś słuchać.

- Zrobisz to jutro - oświadczyła i uniosła pistolet, który znalazł się kilka centymetrów od jego twarzy

- Mam jej dużo do powiedzenia - rzekł. - Muszę jej coś powiedzieć.

- To może poczekać. Do czego to ma prowadzić? - powiedziała, a za nią pojawił się Bennett. - Do niczego.

Odszedł i stał w tym samym miejscu, w którym stał dzień wcześniej, czekając, aż życie na plantacji ucichnie, aby mógł powrócić do swojej chaty. Nawet nie pomyślał, żeby pójść do lasu. Przebywanie tam mogło być dobre tylko wtedy, kiedy mógł wrócić do czegoś, co nie sprawiało mu bólu w każdej sekundzie. Uzmysłowił sobie, że nie jadł od ponad doby, ale nie czuł głodu. Ta myśl naszała go mniej więcej w tym samym momencie, w którym Celeste stała nad swoim mężem, trzepiącym słomę w ich sienniku. Ich dzieci spały, a z paleniska docierały ostatnie tego dnia promienie światła i żaru. Wcześniej razem, całą rodziną, poszli po raz pierwszy na świeży grób malutkiej Lucindy i wszystkich przygnębiła ta smutna wizyta. Kiedy Elias skończył zajmować się siennikiem, sięgnął po dłoń żony i przyłożył do swojego policzka, a następnie pomógł Celeste usadowić się na ich posłaniu.

- Zastanawiam się - powiedziała po raz pierwszy - zastanawiam się, czy Moses już coś jadł.

*

Słyszał, jak jeszcze przed paniem pierwszego kura zbierają się na dróźce między chatami. Ktoś zastukał raz w drzwi jego chaty i zawołał go, ale on nie odpowiadał. Siedział oparty plecami o drzwi, tak jak pierwszej nocy i podobnie jak tej nocy, nie siedział tam, aby zatarasować komuś wejście, ale dlatego, że nie potrafił już dalej wejść do chaty. Znowu ktoś go zawołał. Jakaś kobieta zaśpiewała:

Panie Moses, z chaty do nas wyjdź,

Wyjdź i do Ziemi Obiecanej z nami idź.

Ludzie się roześmiali, nawet dzieci się śmiały.

- Panie nadzorco, jest pan tam? Panie nadzorco, jest pan tam? Ta kobieta znowu zaczęła śpiewać. Moses zastanowił się, czy ktoś mógłby zasadzić rząd bawełny z taką piosenką.

- Zostawcie go - powiedział jakiś mężczyzna. Mosesowi wydawało się, że mógł to być Elias, ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że mógł to być każdy. Później usłyszał, jak odchodzą na pole, pierwszy poranek od roku, kiedy nie był z

nimi. Czy będą wiedzieć, że teren nisko położony wzdłuż rzeki należy zostawić w spokoju przynajmniej przez pięć następnych dni? Dwa dni wcześniej zjadł sporą szczyptę ziemi i wiedział, że nie była jeszcze gotowa - potrzebowała solidnego deszczu, a potem można tam było robić, co dusza zapragnie. Ale nie teraz, jeszcze nie dziś...

- Liczę na ciebie, że potrafisz zająć się tą ziemią - powiedział do niego Henry, kiedy na plantacji była już czwórka niewolników, a w każdej chwili miało przybyć z sąsiedniego hrabstwa kolejnych trzech.

- Będiesz tu szefem. Najważniejsze jest moje słowo, później słowo mojej żony, a potem twoje słowo.

- Tak, *morse* Henry.

Pewnego dnia jego pan otworzył wielką księgę, aby coś tam wpisać, i pokazał na jakieś słowa, mówiąc:

- To ty, Moses. Tu jest napisane: „Nadzorca Moses Townsend”.

Wokół panowała cisza. Pomyślał, że tak właśnie brzmiało to miejsce, kiedy żywej duszy nie było w pobliżu. Wstał i wysikał się do wygasłego paleniska. Znowu usiadł pod drzwiami. W całej chacie panowały ciemności, jarzyła się tylko cienka linia światła, które przeciskało się pod drzwiami; linia przzerwana w środku przez jego ciało. Priscilla wiele czasu poświęcała na zabezpieczenie chaty przed wiatrem wiejącym spod drzwi.

- To cud, że wszyscy nie pozamarzamy na śmierć, Mosesie. Możesz mi dać więcej szmat pod te drzwi?

Priscilla nie była taką złą żoną. Jeden Bóg może wiedzieć, czy gdyby był z Loretta, nie zabiłby jej do tego czasu. Żeby tak wyciągnąć na niego pistolet i nóż. Tak, pewnie by ją do tego czasu zabił. Albo ona by go zabiła. Albo jedno, albo drugie. Czy tam naprawdę było napisane „Nadzorca Moses Townsend”? A może tam było tylko napisane, że ten mężczyzna na zawsze należy do mnie? A kiedy odejdę, będzie należał do mojej żony, pani Caldonii Townsend. Chyba widać moje piętno wypalone właśnie tam, na jego zadku?

Coś dziobnęło w drzwi. Słyszac trzepotanie skrzydeł i pianie koguta, Moses zastanawiał się, kto miał doglądać kurczaków. Kogut jeszcze raz dziobnął w drzwi.

- Odejdź - powiedział Moses. - Odejdź od tych drzwi. Jego głos zdawał się dodawać odwagi kogutowi, który ponownie zapiał. Nie, Priscilla nie była taką złą żoną. A ich syn mógł wyjść na ludzi, jeśli tylko poświęciłby mu trochę więcej czasu. Mógłby być trochę mniej gruby. Kogut dziobnął w drzwi.

- Chcesz, żebym tam wyszedł i skręcił ci kark? Tego chcesz?

Później powróciła cisza.

Cóż on takiego chciał od tego życia, jakiegokolwiek by było? Mógłby zadbać o to miejsce lepiej niż Henry Townsend. Ludzie mówiliby:

- Ten *marse* Moses, on musi mieć w sobie coś magicznego, żeby stworzyć taką plantację. Byłem u *marse* Robbinsa i u *marse* Tego, i u *marse* Tamtego. Byłem w tych wszystkich miejscach i żadne z nich nawet w połowie nie może równać się z tym, co ma *marse* Moses. To jak drugi Eden, jak mówi pastor, a ja nic więcej nie mogę dodać.

Przesiedział tak cały dzień, drzemiąc i gadając do siebie, a następnie słyszał, jak wszyscy wracają z pól, słyszał, jak Elias i Celeste, i cała ich rodzina, przygotowują sobie kolację. Dzieci śmiały się bardzo głośno. No cóż, trudno je winić. To są małe szkraby, to wszystko. Kto może winić dzieciaki? Około ósmej trzydzieści do drzwi zastukała Celeste.

- Moses, mam tu coś dla ciebie do jedzenia. Moses, otwórz drzwi i weź to.

Słyszał, że ona stoi po drugiej stronie drzwi; widział ją tak wyraźnie, jakby stała tuż przed nim, lekko przechylona w lewo z powodu tej jej chorej nogi, z włosami zaczesanymi jednym z tych grzebieni, których tak wiele zrobił dla niej mąż.

- Moses?

Był świadkiem, jak pewnego dnia ten niewolnik powiedział, że należałoby ją zastrzelić jak kulawego konia; widział, jak płakała. Czy płakała z powodu tego, co mówił ten niewolnik, czy może dlatego, że widziała, jak on tam stoi, i widziała, jak odwraca się od niej? Gdzie był teraz ten niewolnik? Posłuchaj tylko - odszczekaj każde słowo, jakie powiedziałeś do tej kobiety Odszczekaj je albo nadzorca wychłoscze cię do żywego mięsa. Ta kobieta będzie kiedyś przy nadziei i nie wolno do niej tak mówić.

- Moses, uchyl tylko drzwi i weź trochę jedzenia. Moses, potrzebujesz jedzenia.

Odeszła i wróciła godzinę później, a potem jeszcze raz po następnej półgodzinie. Na krótko przed północą wstał i otworzywszy drzwi, wyszedł na dwór, wchodząc prosto w jedzenie, które Celeste w końcu zostawiła pod drzwiami. Ukląkł przy nim i zjadł chleb i mięso, a następnie włożył kolbę kukurydzy do kieszeni spodni, które dawno temu dał mu Bennett. Kiedy się ponownie podniósł, zastanowił się nad tą całą kukurydzą i pomyślał o tym, jak czuł się w tych spodniach, kiedy były nowe, i wyjął kolbę kukurydzy z kieszeni, znowu ukląkł i położył ją w pustym metalowym rondlu. Miał nadzieję, że Celeste nie będzie mu miała za złe, że zostawił kukurydżę. Wstał i przez chwilę wydawało mu się, że widzi Alice wychodzącą ze swojej chaty i śpiewającą. *U pana na drodze umarłaka spotkałam. Jak go zobaczyłam, o imię go zapytałam...* Tak, to była piosenka, przy której człowiek mógł orać przez cały dzień. *Zdjął kapelusz i kościstą głowę podniósł. Powiedział to i owo i gdzieś się wyniósł...* Odpowiedni rytm. Jednym rzędem w jedną stronę, a drugim z powrotem.

Kiedy szedł w stronę drogi, w oknie salonu stała Loretta. Nie zastanawiała się, co on robi ani dokąd się wybiera, mimo to położyła pistolet na stole obok siebie. Rano będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby odłożyć go z powrotem do szafki.

Ruszył w stronę, w którą szła Alice, kiedy pewnego razu podążał za nią. A kiedy doszedł do rozwidlenia dróg, wybrał tę, którą jego zdaniem poszłaby Alice. Droga była pusta i nic nie przesłaniało widoku, dzięki czemu mógłby dojrzeć patrol, zanim jego by dostrzeżono. Uważał, że była to jedna z najważniejszych rzeczy. Nie znał na tyle świata, żeby wiedzieć, że kieruje się na południe. Na plantacji Caldonii znalazłby drogę z zamkniętymi oczami, nawet nie używając rąk, którymi mógłby dotykać znanych mu drzew, ale teraz znajdował się w zupełnie innym miejscu. Na pozostałych trzech drogach były jakieś zakręty i nie sądził, żeby Alice mogła wybrać którąś z nich. *Dlaczego?* - zapytał sam siebie, kiedy przeszedł już spory odcinek drogi. *Dlaczego ten umarłak na tej drodze nosił kapelusz?* Przecież to było zupełnie bez sensu. Piosenka nadawała się do pracy, ale do niczego poza tym.

*

Drzwi zostawił uchylone i następnego ranka Elias pchnął je dwiema rękami, aby otworzyć na oścież. Elias zgarbił się, wychodząc na spotkanie małej grupki stojącej na dróźnie. Ludzie wciąż jeszcze wychodzili ze swoich chat i Elias wykorzystał ten czas na zabranie pustego rondla do swojej chaty, a następnie poszedł do domu pani i najpierw zapytał Bennetta, czy widział Mosesa, później zaś powiedział mu, że nadzorca nie przyszedł do pracy ani tego, ani poprzedniego dnia.

Elias wrócił do zebranych niewolników i powiedział im, że Moses chyba uciekł. Niektórzy ludzie poszli do pracy, inni wrócili do swoich chat. Gloria i Clement wymknęli się wśród tego porannego zamieszania. Bennett przyszedł około ósmej i polecił Eliasowi zabrać wszystkich na pole, a sam pojechał do miasta, żeby znaleźć szeryfa i opowiedzieć mu, że na plantacji Townsendów są kłopoty ze zbiegłym nadzorcą. Dopiero później tego dnia, kiedy już Skiffington przyjechał i odjechał, zauważono, że nie ma Glorii i Clementa. Nigdy już ich nie widziano.

- Nic im nie mów - powiedziała Celeste do Eliasza, kiedy Bennett odjechał. - Nie każ im iść na pole. Nigdzie im nie każ iść. Jeśli tak jej zależy, żeby pracowali, niech sama tu przyjdzie i niech to zrobi.

Byli w swojej chacie, a ich dzieci bawiły się na dworze za drzwiami. Lalka, jaką zrobił dla córki, leżała na środku małego siennika córeczki, obok śpiącej ich najmłodszej latorośli, Ellwooda.

- Nie rób nic za nią, Elias. Proszę, nie rób.

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Na dworze, tam gdzie bawiły się dzieci, wstał dobry dzień, dzień wprost stworzony do uciekania. Silny mężczyzna bez rodziny mógłby pobiec na wolność i znaleźć się po drugiej stronie, z rękami wysoko uniesionymi do góry, i kpić sobie z patroli i z panów, i z szeryfa, po prostu kpić sobie z nich, a następnego dnia wstać i znowu to robić, a potem wziąć się za życie, jakie Bóg mu przeznaczył. Tak, silny mężczyzna mógł tego dokonać. Ucałował czubek głowy Celeste.

*

Do ich dzieci dołączyły inne i jedno z nich krzyknęło w żartach:

- Nie pchaj mnie. To boli.

- Mówiłem ci, że idę - odparło inne dziecko. - Mówiłem że idę, uważaj więc.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Elias i ledwo zdążył to powiedzieć, wysunęła się z jego objęć. - Teraz mnie posłuchaj, Celeste.

Myślał: *Kiedy sprowadzą tu z powrotem Mosesa, on zobaczy, jak ten świat kręcił się bez niego.* Elias wziął żonę za rękę. To nie było wiele, jedynie dzień czy może tydzień dobrej pracy, jakie można by rzucić nadzorca w twarz, to nie było warte życia dziecka czy smutku żony, ale właśnie to mu przypadło w udziale.

- To nie jest w porządku - odezwała się Celeste. - To nie jest w porządku, żeby iść i robić to, po co cię kupiono. Dlaczego im ułatwiać?

- A teraz patrz, jak daleko zaleci ten kamień! - krzyknęła dziewczynka na dworze. - Patrz. Patrz.

- To jest nic - rzucił hardo chłopiec. - Ja mogę rzucić aż tam.

- Tylko się przechwalasz.

- Bo mam się czym przechwalać. Elias rzekł:

- Czy coś takiego może stanąć między mną a tobą, moja droga? Do chaty wpadł ich syn i objął Eliasa w pasie.

- Chodź, zobacz, jak biegam - powiedział Grant. Elias dodał:

- Tylko mi odpowiedz, czy coś takiego może stanąć między mną a tobą?

Celeste była na pograniczu płaczu. Przez łzy spojrzała na chłopca.

- Chodź, zobacz, jak biegam - powiedział chłopiec.

Elias zobaczył, że ona kręci przecząco głową. Zastanawiała się. Kręciła głową, dając Grantowi znak, że nie teraz, ale Elias pomyślał, że to jej „nie” było skierowane do tego, co pojawiło się między nimi, poczuł więc ulgę.

- Muszę iść do roboty - powiedział Elias do swojego syna. - Później popatrzę, synu.

Czuł, że teraz on jest odpowiedzialny za to całe miejsce, a to oznaczało, że jego rodzina, a już na pewno jego dzieci, nie będzie musiała tyrać.

- Dobra, popatrzę przez chwilę - powiedział do chłopca - ale mam tylko chwilę.

Do Celeste powiedział:

- Ty po prostu odpocznij.

Wyszedł z chaty, a Celeste odprowadziła go do drzwi. Grant biegł tam i z powrotem, jego ojciec klaskał. Po chwili nadeszła ich córka Tessie wraz z innymi dziećmi i wszystkie krzyczały do Eliasa, że one potrafią to robić dużo lepiej. Chłopiec mówił, że nie, nie, na pewno nie lepiej niż on. Elias powiedział dzieciom, że tego dnia nie będą szły na pole, i zabrał ze sobą dorosłych. Grant podszedł do Celeste i rozhuścił jej rękę, jakby to była lina zwisająca z drzewa, a następnie wrócił do pozostałych dzieci.

Pokuśtykała na drózkę między chatami i spojrzała za siebie, żeby się upewnić, czy Ellwood nadal śpi. Obok niej przebiegły dzieci, po chwili jeszcze raz, kiedy zmierzały z powrotem. Było jak w niedzielę. Kogut, który dziobał w drzwi chaty Moseosa, czmychnął na bok, kiedy dzieci nadbiegały w jego stronę, i wpadłby do jej chaty, gdyby go nie przepędziła.

- Wracaj do domu - powiedziała. Myślała, że taki piękny dzień może oznaczać tylko to, że jak złapią biednego Moseosa, to go zabiją. Ten Bóg z *Biblii*, będąc tym, kim był, nigdy nie dawał niewolnikowi dobrego dnia, nie żądając nic w zamian.

*

Kiedy tylko Skiffington zobaczył Bennetta, od razu wiedział, że ten człowiek przyszedł w sprawie nadzorcy. Jakiegoż to przestępstwa dopuścił się tym razem? Szeryf właśnie wychodził ze sklepu wielobranżowego, kiedy zobaczył Bennetta nadjeżdżającego na wozie. Zauważył, że Bennett powozi, prawie nie patrząc na drogę, tylko spoglądając w dół, na głowę i uprzęż muła. W poprzedni wieczór do aresztu przyszedł William Robbins i zaczął wypytywać szeryfa - oraz Counsela - o postępy w poszukiwaniu trójki należących do Caldonii niewolników oraz zaginionego Augustusa Townsenda. Robbins zabrał ze sobą Louisa, ale jego syn nie ruszył się od drzwi przez cały czas, kiedy biały mężczyzna uświadamiał szeryfa i jego zastępcę, że zbiegli niewolnicy stanowią niebezpieczeństwo właściwie dla wszystkiego, co oni mają.

- Bill - powiedział Skiffington - nie mówisz mi nic takiego, o czym nie myślałbym już setki razy.

Bennett przymierzał się do zejścia z wozu, ale Skiffington powiedział mu, że to, co ma do przekazania, może powiedzieć z kozła. Bennett przez chwilę wyglądał żałośnie, jakby jego wiadomość miała stracić coś ze swojej wagi, jeśli przekaże ją z wozu. A kiedy Skiffington

patrzył za odjeżdżającym niewolnikiem, zauważył, że ten mężczyzna nie ma wprawy w powożeniu wozem, wystarczyło zobaczyć, jak pozwala mułowi chodzić po całej drodze. *Nie ma żadnych wątpliwości*, pomyślał, wciąż patrząc za odjeżdżającym Bennettem, *jeśli on nie ma pojęcia o powożeniu mułem, to nie może nic wiedzieć o jeźdźeniu konno*.

Ktoś przechodzący po drugiej stronie ulicy powiedział „dzień dobry” i Skiffington z przyzwyczajenia uchylił kapelusza. On i Winifred, a także jego ojciec i Minerva, już od dawna powinni być w Pensylwanii. Powinien być amerykańskim obywatelem żyjącym dostatnio w Pensylwanii, tam, gdzie kiedyś mieszkał Benjamin Franklin. Powinien teraz siedzieć na brzegu ładnej rzeki i pokazywać swojemu synowi, jak żyć z samych darów Bożych. A Minerva powinna się wyprowadzić, powinna być z jakimś Murzynem z Pensylwanii, wyprowadzić się, żeby nie myślał o niej tak, jak nie powinien ojciec myśleć o córce. Minerva powinna gdzieś się wynieść, żeby on nie myślał tak, jak dzień wcześniej: *Ten jeden raz, tylko raz, nikogo by to nie skrzywdziło, nie zakłóciłoby niczego ważnego. Ciii...* Nie powie Winifred i nic nie powie Bogu. *Ciii...* Zobaczył, że Bennett się zatrzymał, bo coś przechodziło przez drogę. Skiffingtonowi wydawało się, że Bennett stoi tam bardzo długo i szeryf zastanawiał się, co mogło tak długo przechodzić przez drogę. *Tylko raz...* Czyż coś takiego powiedziała Ewa do Adama, a może to Adam jej to powiedział? A gdyby to było tylko raz, czy Bóg pozwoliłby mu zobaczyć Pensylwanię?

Bennett ruszył dalej i Skiffington zszedł po schodkach na drogę, a kiedy stawał obie stopy na ziemi, kurz drogi wznosił się prawie niedostrzegalnie. *Wszystkim nam przydałby się porządny deszcz*. Spojrzał przez ramię. Drzwi do aresztu były nieco uchylone, ale nie miało to najmniejszego znaczenia, ponieważ tego dnia nie było w nim żadnego aresztanta. Ktoś inny życzył mu miłego dnia i Skiffington ponownie uchylił kapelusza. Poszedł w lewo, kierując się do pensjonatu, do Counsela, żeby powiedzieć mu, że zarówno on, jak i członkowie patroli nie spełniali swojego podstawowego zadania, do którego wykonywania zostali zatrudnieni. Czterech niewolników z jednej plantacji. Kto mógłby znieść coś takiego? A jeden z tych niewolników zamordował pozostałą trójkę. Ale tak czy owak, brakowało czwórki, czwórka zniknęła z ksiąg. Zatrzymał się na ulicy i uzmysłowił sobie, że pensjonat leży w przeciwnym kierunku. A jeśli przeniesie się do Pensylwanii i Winifred urodzi mu córkę, a nie syna, czy będzie o tej córce myślał tak, jak myślał o Minervie?

Odwrócił się i ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł. Niewolnicy, Minerva, a teraz Counsel, coraz później przychodzący do pracy, spędzający noce z tą właścicielką pensjonatu, jakby był młodym psem, który nigdy w życiu nie widział kobiety Wszystko się rozpadło.

- Jak się masz, John?

Jego jedynym zadaniem było pozbierać to wszystko w całość tak, jak Bóg mu to przekazał.

- John, powiedz, proszę, Winifred, że pani Harris bardzo docenia to, co dla niej zrobiła. Możesz jej to powiedzieć?

Pani Harris była jąkałą. *Idź i więcej się nie jąkaj, bo ja wyprowadziłem cię z doliny jąkania do tego miejsca, które ofiarowuję tobie i wszystkim pokoleniom, które po tobie przyjdą. Policz je... Usiądź tu przy drodze i policz je, jak liście na drzewie...*

Trzy dni później Skiffington stał prawie w tym samym miejscu co tego poranka, kiedy Bennett przybył, aby powiedzieć mu o ucieczce Mojżesza.

- Panie szeryfie - powiedział Bennett - *missus* prosi powiedzieć, że zginęli też jej Clement i jej Gloria. Tak po prostu odeszli. Chciała, żebym to panu powiedział.

Bennett znowu miał problemy z manewrowaniem wozem.

- Dlaczego nie jeździsz konno, jak wszyscy inni ludzie? - zapytał go Skiffington, licząc, ilu niewolników zaginęło.

- Bo, proszę pana - odparł Bennett, wpatrując się w lejce trzymane w dłoniach - ja słyszałem, że konie nie są tak mądre jak muły.

Kiedy Bennettowi udało się w końcu zawrócić wozem, z przeciwnej strony nadjechał Counsel i Skiffington od razu na niego naskoczył, mówiąc, że robi się coraz bardziej leniwy. Counsel nic nie odpowiedział, zsiadł tylko z konia, przywiązał go do słupka i wszedł do aresztu. Skiffington ruszył za nim, przez cały czas wyzywając go od leniwych zastępców, a mówił tak głośno, że nawet kiedy obaj znaleźli się w budynku aresztu, ludzie na ulicy mogli usłyszeć swojego szeryfa, który zachowywał się jak nie ich szeryf. Również i muł, i Bennett go słyszeli, wyjeżdżając z miasta. To było we wtorek.

11

Muł się podnosi. O zwłokach, pocałunkach oraz kluczach. Amerykański poeta mówi o Polsce i śmiertelności

W Georgii, w pobliżu Valdosta, żył kiedyś pewien powszechnie lubiany biały człowiek, dosyć bogaty, mający i niewolników, i ziemię, i pieniądze, a także swoją historię. Ten człowiek, niejaki Morris Calhenny, cierpiał na ciężką melancholię, a zdarzało się to zwłaszcza w dni, kiedy padało. Wsiadał wtedy na konia, a raczej na klacz, której używał tylko w deszczowe dni, i jechał tak długo, aż udało mu się osiągnąć jakiś wewnętrzny spokój. Ten spokój oczywiście nigdy nie trwał długo, ale Morris nic na to nie mógł poradzić.

W tym samym miejscu, w okolicy Valdosta w Georgii, żył również mężczyzna czarnoskóry, niejaki Beau. On także miał na nazwisko Calhenny, ale tylko dlatego, że wszyscy niewolnicy Morrisa nosili jego nazwisko. Kiedy Beau i Morris byli jeszcze chłopcami, żyli ze sobą prawie tak blisko jak bracia, i kiedy nachodziła go melancholia, Morris szukał towarzystwa Beau, ponieważ Beau nigdy go nie pytał, dlaczego on tak cierpi, dlaczego Morris nie może wstać i zostawić tego wszystkiego, co go tak martwi. Beau po prostu trwał przy jego boku, dopóki Morris nie poczuł się trochę lepiej.

Gdy chłopcy dorośli i mieli po czternaście lat, nadeszło nieuniknione rozstanie i już nigdy nie powróciły dawne czasy, kiedy byli ze sobą tak blisko. Ale wielokrotnie, kiedy już byli dorośli, Beau przypominał sobie, jak te smutne dni wpływały na Morrisa i nie pytając nikogo o zgodę, brał jednego z koni Morrisa i wyjeżdżał w deszczu szukać swojego pana. Jechali tak obok siebie przez długi czas, aż w końcu Beau pytał Morrisa:

- Czy już wystarczy?

To pytanie zawsze pojawiała się w odpowiednim momencie, nawet jeśli wciąż jeszcze padało, a Morris kiwał wtedy głową i mówił:

- Tak, mam już dość.

Powoli wracali do stajni, w której trzymano tylko konie Calhenny'ego, a później Morris szedł do swojego wielkiego domu, a Beau do swojej chaty, gdzie czekała na niego rodzina z pytaniem, co on w taki deszcz robił na dworze.

Pewnego deszczowego dnia Beau i Morris pojechali na wschodni kraniec ziemi Morrisa i z koni patrzyli przez wzgórza w stronę linii, na której kończyła się ziemia tego białego człowieka. Na polnej drodze, już poza jego terenem, zobaczyli młodą białą kobietę, która próbowała zmusić białego muła do podniesienia się z błotnistej drogi. Muł ciągnął wóz w deszczu i dla Beau oraz Morrisa nie było jasne, czy zwierzę siadło, bo było zmęczone, czy też po prostu lubiło siedzieć w deszczu.

Biała kobieta nazywała się Hope Martin, ale o tym wiedział tylko Beau. Chociaż była biała, nie należała do klasy Morrisa.

- Czy mam zejść i jej pomóc? - Beau zapytał Morrisa.

- Nie - odparł Morris. - Dajmy jej trochę czasu.

Początkowo kobieta zdawała się mówić do muła, starając się go przekonać, że powinien wstać, żeby mogli jechać dalej. Muł się nie poruszył. W końcu Hope poszła na tył wozu i ze znajdującego się tam kosza przykrytego wiekiem wyjęła kilka jabłek. Usiadłszy na drodze przed mułem, zaczęła jeść jabłko, równocześnie karmiąc muła najpierw jednym,

później kolejnym jabłkiem. Kilka razy chodziła do wozu po następne jabłka. Deszcz nie ustawał, a czarny mężczyzna i biały mężczyzna nie ruszali się z miejsca.

Po mniej więcej trzydziestu minutach jedzenia jabłek muł się podniósł, ale Hope nadal siedziała w błocie, niespiesznie jedząc czwarte jabłko. Widząc siedzącą przed nim Hope, muł zaczął się niecierpliwić, machał ogonem i kiwał głową, najpierw niespokojnie stukał jednym przednim kopytem, a następnie drugim. Minęło jeszcze przynajmniej piętnaście minut, zanim, we wciąż padającym deszczu, Hope podniosła się i przeciągnęła. Powiedziała coś do muła i pokazała na drogę, w stronę, w którą mieli jechać. Muł ruszył, nim jeszcze zdążyła wsiąść na wóz.

- Jak ona się nazywa? - Morris zapytał Beau, kiedy tak patrzyli na kobietę, muła i wóz bez problemów wspinających się na wzgórze.

Beau powiedział mu, kim jest ta kobieta - że przybyła tu z północnej Georgii, aby zaopiekować się swoją ciotką i chorym wujkiem. Wujostwo byli starymi ludźmi, którym niewiele już życia pozostało.

- Będzie z niej dobra żona dla jakiegoś mężczyzny - powiedział Beau, kończąc swoją opowieść o kobiecie.

Nie powiedziałby tego, gdyby nie wiedział, że jego pan już o tym pomyślał.

- Czy już wystarczy? - zapytał Beau.

- Sądzę, że tak - odparł Morris.

*

Morris był ojcem młodzieńca - jedyne białego dziecka, jakie miał mieć w życiu - o cudownie złożonym umyśle. Tego dnia, kiedy w deszczu patrzyli na Hope i jej muła, to jego dziecko, o imieniu Wilson, od ponad roku przebywało w Waszyngtonie, studiując medycynę na George Washington University. Wilson wiele się nauczył na tym uniwersytecie, a jego umysł posiadałby pewnie jeszcze większą wiedzę, jednak kiedy już od pewnego czasu był na drugim roku, do Wilsona zaczęły przemawiać zwłoki, a to, co one mówiły, było bardziej rozsądne niż to, co mówili jego profesorowie. Profesorowie, ponieważ byli bogami, nie chcieli z nikim, żywym czy umarłym, dzielić swojego nieba i w połowie drugiego roku odesłali młodego człowieka do domu.

Jeszcze zanim profesorowie odesłali Wilsona do domu, jego ojciec pomyślał, że chciałby, aby Hope została żoną jego syna. Chociaż pochodziła z innego świata, Morris czuł, że można by ją oczyścić, uczynić ją godną, tak jak utyłane w błocie jabłko można umyć i zjeść. Morris wysłał do niej i do jej krewnych posłańca z informacją, że pragnie się z nią zobaczyć, ale Hope nigdy do niego nie przyjechała i w końcu wyszła za mąż za innego

młodzieńca, Hillarda Ustera, biedaka mającego tylko ładną działkę ziemi, którą odziedziczył po rodzicach. Hillard nie był tak przystojny, jak Hope była piękna, ale ona stwierdziła, że można z tym żyć, i jak pomyślała, tak zrobiła.

Ich ślub rozżłościł Morrisa i ta złość wciąż jeszcze go nie odstępowała, kiedy jego syn na dobre powrócił z Waszyngtonu i próbował opowiedzieć Morrisowi i swojej matce, co mówiły do niego zwłoki. Ojciec i syn prowadzili długie nocne rozmowy i wielokrotnie to, co mówiły zwłoki do syna, brzmiało rozsądnie dla ojca. Jednak rankiem Morris patrzył na wszystko dużo trzeźwiej i obwinał wielu ludzi - a przede wszystkim Hope i Hillarda - za te wszystkie rzeczy, jakie zmarli wkładali w głowę jego syna. Morris powiedział ludziom żyjącym w tej części Georgii, że Hope i Hillard mają cierpieć samotnie i nikomu nie wolno im pomagać. I tak też było przez długi czas.

Dzieci Usterów były wątłe i miały słabe kości i płuca, i to głównie Hope i Hillard musieli zajmować się uprawą ziemi, próbując zarobić na życie. Po pewnym czasie, w 1855 roku, Hillardowi udało się zaoszczędzić 53 dolary i spotkał czarnoskórego mężczyznę o imieniu Stennis oraz jego białego pana, Darcyego, który bał się zabierać ostatnią część ludzkiego inwentarza na Florydę, gdzie nigdy nie dopisywało mu szczęście. Za swoje pieniądze Hillard kupił tego niewolnika od Darcyego.

Tego wrześniowego dnia Darcy i Stennis pożegnali się z Augustusem Townsendem, który nic im nie odpowiedział i tylko patrzył, jak odjeżdżają wozem, który wytrzymał całą drogę z Wirginii. Należącego do Augustusa muła sprzedali jeszcze w Północnej Karolinie. Augustus stał na skraju pola Hillarda, po raz pierwszy od opuszczenia hrabstwa Manchester wolny od łańcuchów. Hillard trzymał w rękach strzelbę. Po obu stronach białego mężczyzny stali chłopcy. Na ganku małego domu Hope trzymała niemowlę. Po jej obu stronach były małe dziewczynki.

- Nie chcę mieć z tobą żadnych kłopotów - powiedział Hillard do Augustusa. Darcy stwierdził, że Augustus, nie znając jeszcze Georgii, może początkowo być drażliwy. - Nie chcę żadnych kłopotów.

- Ze mną będziesz miał same kłopoty - odparł Augustus, patrząc wokoło i starając się rozeznąć w sytuacji.

- Tato, teraz mamy czarnucha, jak wszyscy? - zapytał chłopiec stojący po prawej stronie Hillarda.

- Cicho.

- Chcę wrócić do domu, wtedy nie będę ci przeszkadzał. Hillard podniósł strzelbę, mierząc z niej w Augustusa.

- No, to chyba ty i ja będziemy mieli kłopoty

- Będziemy mieli kłopoty, tato - powiedział chłopiec stojący po lewej.

- Cicho - rzucił Hillard. Podniósł strzelbę jeszcze wyżej, tym razem mierząc prosto w twarz Augustusa. - Ja tylko chcę, żebyś pracował, tak jak powinienes.

- Ja już wykonałem całą pracę, jaką powinienem.

- Ja chcę wykarmić moją rodzinę i zrobię wszystko, żeby do tego doprowadzić. Ja tylko chcę wykarmić moją rodzinę. Tylko o to chodzi.

- Wiem, co to jest rodzina. Wiem wszystko o rodzinie. Ale, panie, nie możesz wychować swojej rodziny na moich plecach - i Augustus, patrząc, gdzie jest słońce, odwrócił się i ruszył w kierunku północnym.

- Tato, nasz czarnuch idzie sobie? - zapytał pierwszy chłopiec.

- Cicho.

Augustus oddalił się o kilka metrów, kiedy Hillard powiedział:

- Wracaj tu. Lepiej tu wracaj. Rozkazuję ci tu wrócić. Augustus szedł dalej.

- Ty stój! - wrzasnął drugi chłopiec. - Stój ty.

- Hilly? - zawołała Hope z ganku. - Hilly, co tam się dzieje?

Jej mąż uniósł strzelbę i wystrzelił w lewe ramię Augustusa. Augustus przystanął, spojrzał na ziemię i znowu uniósł głowę. Krew niespiesznie rozlała się po górnej części koszuli, a następnie ściekła w dół i wszędzie dookoła, spływając jeszcze niżej, aż do jego spodni. Augustus opuścił głowę i padł na ziemię. Hope zaczęła krzyczeć.

Hillard i chłopcy podbiegli do Augustusa. Podbiegły również dziewczynki z ganku, podobnie jak i Hope, ale trzymając w ramionach dziecko, nie mogła biec tak szybko, jak dziewczynki.

- Mówiłem, żebyś się zatrzymał. Chciałem tylko, żebyś się zatrzymał.

Augustus leżał na plecach i patrzył w górę, na mężczyznę i chłopców. Nie patrzył na dziewczynki i na kobietę z dzieckiem, ponieważ zanim tam dotarły, miał już zamknięte oczy, co przyniosło mu ulgę w bólu.

- Psiakrew, kazałem ci stanąć! Ty czarnuchu, ja chciałem tylko, żebyś się zatrzymał.

Augustus słyszał go i chciał powiedzieć, że to było największe kłamstwo, jakie w życiu słyszał, ale już umierał i słowa były cenne.

*

Hope i jej rodzina - poza dzieckiem, które zostało chwilowo położone na ziemi, w miejscu, gdzie upadł Augustus - zataszczyli go do stodoły, w której, zgodnie z zamiarem Hillarda, Augustus miał mieszkać, kiedy nie pracował. Hope siedziała przy nim przez większą

część dnia, wieczoru i sporą część nocy Hillard nie przyszedł do niego i w pewnym momencie Hope powiedziała do Augustusa:

- Mam nadzieję, że nie będziesz miał mu za złe, że do ciebie nie przyszedł.

W okolicy mieszkał odważny człowiek, który nie obawiał się Morrisa Calhennyego, i ten człowiek przyszedł i próbował wyjąć kulę, ale kula była uparta i nie chciała opuścić swojego gniazdka.

Kiedy Augustus Townsend zmarł w Georgii, niedaleko granicy z Florydą, wznosił się nad stodołę, w której umarł, w górę, nad drzewa i nad rozpadającą się wędzarnię oraz pobliski mały dom, a następnie odszedł szybkim krokiem do Wirginii. Zauważył, że kiedy ludzie już znaleźli się ponad tym wszystkim, potrafili iść dużo szybciej, nawet sto razy szybciej niż wtedy, gdy byli przywiązani do ziemi. I prawie zaraz dotarł do Wirginii. Dotarł do domu, który zbudował dla swojej rodziny, dla swojej żony Mildred i dla syna Henryego, a potem otworzył drzwi i wszedł do środka. Pomyślał, że być może zastanie żonę przy kuchennym stole, gdzie siedziała i piła coś na uspokojenie, nie mogąc zasnąć. Ale nie znalazł tam żony Augustus poszedł na górę i zastał Mildred śpiącą w ich łóżku. Patrzył na nią przez długi czas, z pewnością na tyle długo, aby mógł, krocząc ponad tym wszystkim, dotrzeć do Kanady i jeszcze dalej. Później podszedł do łóżka, nachylił się i ucałował lewą pierś żony.

Pocałunek przeniknął przez pierś, przez skórę i kości, i dotarł do klatki, która chroniła serce. Ten pocałunek, jak wiele innych pocałunków, dysponował wszelkiego rodzaju kluczami, ale podobnie jak inne pocałunki był bardzo zapominalski i nie potrafił znaleźć odpowiedniego klucza do tej klatki. W końcu, poirytowany i zdesperowany, pocałunek precyzyjnie się przez kraty i ucałował serce Mildred. Natychmiast ocknęła się, wiedząc, że jej mąż nie żyje. Zupełnie straciła oddech i ogarnął ją taki ból, że musiała zerwać się na nogi. Jednak zarówno pokój, jak i cały dom, były zbyt małe, aby pomieścić jej ból, chwiejnym krokiem wyszła więc z pokoju, zeszła po schodach i wyszła przez drzwi, które Augustus, jak zawsze, zostawił otwarte. Pies patrzył na nią z paleniska. Dopiero na podwórzu udało się jej ponownie złapać oddech. A oddech przyniósł łzy Upadła na kolana, na otwartej przestrzeni, na podwórzu, w swojej koszuli nocnej, czego Augustus z pewnością by nie pochwalił. Augustus umarł w środę.

*

Skiffington spał niewiele od czasu, kiedy Bennett przyjechał powiedzieć mu o Mosesie. W czwartek po śmierci Augustusa pojawił się delikatny ból zęba, który w piątkowe południe stał się już nie do zniesienia. Tej piątkowej nocy Skiffington leżał w łóżku obok Winifred, ale tylko dlatego, żeby nie wypominała mu, że za mało śpi. Leżał i wsłuchiwał się

w jej cichy sen, zastanawiając się równocześnie, gdzie w tym hrabstwie mógł się ukryć Moses. A od czasu do czasu podnosił się, nękany bólem zęba aż do sobotniego poranka.

Przez cały tydzień ciskał gromy na Counsela i członków patroli, a oni wszyscy dniami i nocami jeździli i szukali mężczyzny, którego zaczął nazywać zbiegiem mordercą.

- A co jest gorsze - żartował Harvey Travis za plecami Skiffingtona - mordowanie czy uciekanie?

Tropowce z hrabstwa Manchester sprawiały wrażenie zupełnie nieudolnych.

- Nie potrafiłyby znaleźć smrodu skunksa - narzekał Oden Peoples i sprowadzono więcej psów z innych hrabstw. Ale one również nic nie działy. Patrole i psy skupiły się na miejscach położonych na wschód od miasta, najbliżej północy. A w tę sobotę szukali już nie tylko Mosesa, ale również Glorii i Clementa.

- Ktoś - powiedział Travis - powinien zamknąć bramę na jej plantacji albo nauczyć tą kobietę, jak być właścicielką niewolników Facet umiera, a kobieta doprowadza do ruiny jego dobytek.

Skiffington całymi dniami żuł korę, poleconą mu przez mieszkającą w pobliżu i znajdującą się na ziołach niewolnicę, która twierdziła, że to powinno przynieść ulgę na ból zęba. We wtorek zajrzała mu w usta i oświadczyła, że niewiele może poradzić na jego cierpienie.

- Wierzę - stwierdziła, patrząc to na jeden, to na drugi ząb - że ten ból pana przytłacza i musi go pan usunąć. Proszę chwycić za korzeń, a następnie szarpać i szarpać, aż nic nie pozostanie.

Nawet nie weszli do jej chaty i badała wnętrze jego ust przy gasnącym świetle dnia.

- Proszę trochę otworzyć, panie szeryfie.

Dotknęła chorego zęba kawałkiem kory, a Skiffington aż wzdrygnął się z bólu. Sądził, że mówiąc o tym szarpaniu, dawała mu do zrozumienia, że to ona może podjąć się tego zadania. Ale ona, kiedy już przyciągnęła go do siebie i obiema rękami zamknęła mu usta, powiedziała mu, że nie lubi spędzać czasu na zajmowaniu się ustami.

- Jeśli będą pana boleć plecy albo serce czy też stopa, mogę panu pomóc. Ale ja nie lubię wchodzić do ust. To zbyt daleko od tego, co ja wiem o pomaganiu ludziom. Za blisko mózgu.

Przyjechał w środę i zaproponował jej pięćdziesiąt centów za wyrwanie zęba, ale odmówiła i włożyła pieniądze z powrotem do jego dłoni. Jej pan pozwalał jej pracować dodatkowo dla innych ludzi, żeby mogła wykupić swoją wolność. Tej środy, po trzech latach pracy, miała już zaoszczędzone 113 dolarów. Za jej wolność pan wyznaczył cenę 350 dolarów.

- Nie mogę dotykać pana ust, panie szeryfie. Mogę panu bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

Tej środy ponownie pojechał z Counselem na najbardziej na wschód wysunięty kraniec hrabstwa, gdzie mieszkała jego kuzynka ze strony żony, Clara Martin, a później przejechał do sąsiedniego hrabstwa, wiedząc, że tamtejszy szeryf nie będzie miał pretensji o naruszenie granicy. W powrotnej drodze Counsel zaczął narzekać na tę całą jazdę i mówił, że powinni spędzić noc u Clary, ale Skiffington chciał wrócić do Winifred.

*

Fern przyjechała z Dorą i Louisem odwiedzić Caldonię w czwartek. Kiedy Robbins usłyszał o ucieczce niewolników, wysłał ich do Caldonii, aby się dowiedzieli, jak jej można pomóc. Tylko Louisowi Robbins powiedział, że już nie pokłada wiary w Skiffingtonie. W drodze do Caldonii młodzi złożyli kurtuazyjną wizytę Fern, a ona postanowiła im towarzyszyć. Stwierdziła, że dobrze jej zrobi oderwanie się od obecności tego hazardzisty Jebediaha Dickinsona. Wiele tygodni później, kiedy on był już w drodze do Baltimore, codziennie wysyłała Zeusa do Manchesteru, aby sprawdzał, czy nie nadeszła jakaś poczta. Złożyła Bogu obietnicę, że jeśli dostanie jeszcze jakąś wiadomość od Jebediaha, wyśle temu człowiekowi pozostałe 450 dolarów, które jego zdaniem był mu winien jej mąż.

Zjedli wczesną kolację, po której Caldonia przeprosiła gości i wstała od stołu, mówiąc, że od ucieczki nadzorcy każdego wieczoru odwiedza chaty niewolników „dla własnego spokoju”, jak to określiła. Te jej wizyty polegały jedynie na spacerowaniu z Loretą tam i z powrotem dróżką między chatami, jakby sama jej obecność mogła zapobiec ucieczce jeszcze jednego niewolnika. Obowiązek codziennego zajmowania się plantacją złożyła w ręce Eliasa. Kiedy zapytała go w czwartek rano w salonie, czy coś wie o ewentualnych kolejnych ucieczkach, Elias najpierw spojrzał na Loretę i powiedział, że na takie pytanie tylko Bóg mógłby odpowiedzieć. Tego ranka, kiedy Elias poszedł na pole, wysłała wiadomość do swojej matki, Maude, prosząc ją, żeby do niej przyjechała, że chce, aby matka była przy niej.

Jej goście, a wśród nich Fern, postanowili towarzyszyć jej w to późne czwartkowe popołudnie. Loretta szła dwa kroki za całą grupką, niosąc w ręku latarnię, chociaż było jeszcze wystarczająco dużo światła słonecznego. Elias wcześniej zwolnił niewolników z pola i teraz prawie wszyscy byli już w swoich chatach i jedli kolację. W związku z tym kiedy wkroczyli na dróżkę między chatami, nie było tam nikogo, ale po chwili wyszedł Elias, a później ze swojej chaty wyszły Delphie i Cassandra. Celeste podeszła do drzwi, ale nie przekroczyła progu.

- Jak się masz, Tessie? Jak się masz, Celeste? - odezwała się Caldonia. Celeste tylko skinęła głową.

- Jak się pani ma, *missus* - zapytała Tessie. Trzymała swoją lalkę, którą jej bracia już za długo się bawili, a to dziewczynce niezbyt odpowiadało.

- Dobrze - odparła Caldonia. - A ty, Celeste?

- Dobrze, *missus*.

- Ale masz śliczną laleczkę - powiedziała Fern.

- Tatuś mi zrobił - odrzekła Tessie. Te same słowa miała powtórzyć na chwilę przed śmiercią, prawie dziewięćdziesiąt lat później. Przez cały ten poranek, kiedy umierała, myślała o ojcu i poprosiła jedno z prawnucząt, aby poszło na strych i odnalazło lalkę.

- Twój tatuś ma talent - powiedział Louis.

- Tak, *morse*, to prawda.

Elias stał na dróżce między chatami i wszystkim nadchodzącym mówił „dobry wieczór”, na końcu skłaniając głowę przed Loretą. Zza stojącej w drzwiach Celeste wyszło na czworakach najmłodsze dziecko Eliasa, Ellwood; Celeste wzięła go na ręce. Słyszała, jak Louis mówi, że wybiera się na poszukiwania Moseesa i innych, i jak Elias odpowiada, że jeśli Moseesa nie będzie do niedzieli, to on też przyłączy się do poszukiwań. Elias poprosił Delphie, żeby przed złożeniem zmarłej dziewczynki do ziemi odcięła kosmyk włosów dziecka, i teraz nosił ten kosmyk zawinięty w kawałek szmatki i przypięty pod koszulą. Potem Celeste usłyszała, jak Elias mówi do Louisa, że Moses nic nie wie o świecie - to były te same słowa, które wypowiadał do Skiffingtona - i że Moses nie potrafi nigdy odróżnić południa od północy, dopóki ktoś mu tego nie pokazał, a i tak później wcale nie był pewien, czy dobrze wie. Obaj mężczyźni się roześmiali. Caldonia nic nie mówiła, czuła tylko na plecach oddech Loretty.

Celeste uniosła Ellwooda w ramionach. Po jej bokach stali Tessie i Grant, trzymając się jej sukienki, i cała czwórka wspólnie obserwowała, co się wokół nich dzieje. Obok Granta spoczywał jakiś pies tropiciel z innego hrabstwa, który trzy dni wcześniej zaplątał się w okolicę chat. Celeste nie wiedziała, co ma zrobić z Eliaszem. Kochała go i cokolwiek by się nie działo, tego nie dało się zmienić. Cokolwiek miało stanąć między nimi - nawet jego nienawiść do Moseesa - musiało walczyć z jej miłością do męża. Mogła mieć tylko nadzieję, że Elias odnajdzie drogę powrotną i że znowu będzie taki jak przedtem.

Zobaczyła, że Elias coś mówi, coś, czego nie dosłyszała, ale zauważyła, że Louis i Fern zareagowali śmiechem. Dora i Caldonia trzymały się za ręce, tak jak często ona sama robiła to z Cassandrą, tak jak robiła to z May, jak kiedyś robiła to z Glorią. Świat był inny, a o

ileż bardziej byłby inny, gdyby Elias jej nie kochał. Ale wiedziała, że on ją naprawdę kocha, nawet jeśli pewne sprawy, podczas spędzanych wspólnie nocy i dni, czasami czyniły go na to ślepym.

Elias odwrócił się i długo patrzył na swoją żonę. „Żono, zaufaj mi - zdawały się mówić jego oczy - a ja wyciągnę nas, ciebie i siebie, z tego wszystkiego”. Następnie Elias spojrzał na dwójkę swoich starszych dzieci, na Tessie i Granta. Dzieci podniosły wzrok na ojca. Wyciągnął do nich rękę, a one rzuciły się do niego. Malutki Ellwood trzymał się mocno Celeste, jednak po chwili zaczął się wiercić, chcąc, aby go postawiono na ziemi. Elias jeszcze raz spojrzał na Celeste. „Zono, żono...” Opuściła wzrok, a następnie zupełnie odwróciła od niego oczy, spojrzała na dróżkę, na której teraz zaczynało być tłoczno od ludzi, a potem tam, gdzie słońce miało zwyczaj rano wstawać. Potomkowie Celeste i Eliasa Freemanów mieli licznie zaludnić Wirginię.

Ellwood nie przestawał się wiercić, ale kiedy matka postawiła go na ziemi, zaczął ciągnąć ją za sukienkę, żeby go znowu wzięła na ręce.

- No widzisz - powiedziała. - Widzisz, nie zawsze wiesz, czego chcesz. Widzisz. Mógłbyś mnie czasami posłuchać.

Dziecko patrzyło w górę, prosząc: „Ja już dostałem nauczkę, weź mnie na ręce”. Matka zaczęła tupać zdrową nogą. „Nie” - mówiła noga. Żadna lekcja nie pozostawała w głowie, jeśli trwała tylko kilka sekund. Dalej przytupywała. Leżący obok nich pies obgryzał kość, której nie chciał oddać, nawet kiedy później przyszło dziecko i dało mu coś większego i lepszego. Ellwood wyciągnął obie rączki do Celeste, a ona w końcu ustąpiła. Znalazłszy się ponownie na górze, Ellwood objął ją za szyję.

- Panie Blueberry - ponad dwadzieścia lat później powie w Richmond Ellwood Freeman do Stamforda Crow Blueberry ego - przybyłem spełnić mój obowiązek, jak wcześniej panu obiecałem. Przybyłem nauczać u pana i dzieciaków.

Malutki Ellwood, z powrotem na rękach matki, rozejrzał się dookoła i westchnął. Matka pocałowała go w szyję i powiedziała:

- Może następnym razem będziesz mnie słuchał.

W 1993 roku wydawnictwo University of Virginia Press wydało liczącą czterysta piętnaście stron książkę autorstwa białej kobiety, Marcii H. Shia, dokumentującą, że co dziewięćdziesiąta siódma osoba w stanie Wirginia była spokrewniona przez więzy krwi lub przez małżeństwo z linią zapoczątkowaną przez Celeste i Eliasa Freemanów.

Stamford podszedł z tyłu do Celeste i połaskotał ją w ramię. Malutki Ellwood, Celeste i Stamford patrzyli na ludzi zgromadzonych przed nimi na dróżce między chatami.

Niewolnicy wychodzili ze swoich chat do Caldonii nie dlatego, że była ich panią, ale ponieważ zupełnie niedawno dotknęła ją śmierć. Wszyscy znali śmierć, nawet ci bardzo młodzi, którzy dopiero w przyszłości mieli kogoś stracić. Mały Ellwood dojrzał Stamforda i wyciągnął do niego rękę. Jeszcze kilka tygodni temu ten mężczyzna i to dziecko nie wiedzieli o swoim istnieniu, ale wtedy to Stamford zobaczył chatę na niebie. Ellwood zaczął się wrywać, chcąc się do niego dostać, i Stamford wziął go na rękę. Dziecko przyglądało się badawczo Stamfordowi, a kiedy wyciągnęło rączki do twarzy mężczyzny, Stamford zaczął się z nim droczyć i odsuwać je od siebie, a usta mężczyzny powoli otwierały się, żeby wypowiadać słowa, które dziecko chciało usłyszeć. Miał minąć jeszcze cały rok, zanim Stamford pocałował Delphie.

- Boże, jakbym chciała, żebyśmy mieli lepsze dni - powiedziała Celeste do Stamforda.

- Mam już dość tej strasznej pogody. Naprawdę. Gdyby tak Pan mógł sięgnąć do tego wielkiego wora, w którym trzyma dni, i wyciągnąć te z dobrą pogodą, która mogłaby trwać i trwać. Takie ładne i obfite dni, leżące tam, w kącie, zaraz obok dnia przedwczorajszego. Bóg mógłby użyczyć nam takich ładnych dni, Stamfordie, jeśli by mu na tym zależało. Mógłby je nam nawet pożyczyć. Już powinien wiedzieć, że my jesteśmy ludźmi, którzy dbają o rzeczy i oddają je takimi, jakie on nam je daje.

Celeste jednak mówiła właściwie tylko do siebie, ponieważ Stamford i dziecko byli już we własnym świecie. Rączki dziecka sięgały do twarzy mężczyzny i dotykały każdej jej fałdy, robiąc wszystko, co było trzeba, aby mężczyzna mówił te słowa, których dziecko nauczyło się oczekiwać przez ten krótki okres ich znajomości. Usta Stamforda otwierały się coraz szerzej.

- Przyszedłeś wcześniej rano - Stamford Crow Blueberry powiedział Ellwoodowi Freemanowi tego dnia, dwadzieścia lat później, w Richmond. Ellwood kroczył ulicą, trzymając w dłoni cugle swojego konia, a Stamford szedł, niosąc na ramieniu dziecko, najnowszego mieszkańca sierocińca dla kolorowych dzieci w Richmond. Rodzice malca zginęli w pożarze. Poranny spacer i śpiewanie zdawało się uspokajać dziecko na resztę dnia. Ellwood Freeman odezwał się:

- Przybyłem spełnić mój obowiązek, jak obiecałem, panie Blueberry. Czy to jest jeden z moich uczniów?

Stamford uściśnął mu rękę i skinął głową. Ellwood powiedział:

- Wygląda pan, jakby pan nie wierzył, że dotrzymam słowa.

- Och - odparł Stamford - tym się nie martwiłem. Wiem, gdzie mieszkają twoi rodzice. Wiem, gdzie mogę ich znaleźć, żeby im powiedzieć, że ich syn nie dotrzymał danego słowa.

Ellwood powiedział mu, że musi pojechać załatwić pewną sprawę w innej części Richmond i że wkrótce wróci, aby zadomowić się w sierocińcu. Wsiadł na konia i powoli odjechał w kierunku głównej ulicy, tej, która zostanie później nazwana na cześć Stamforda Blueberry'ego i jego żony Delphie. Blueberry, z nową sierotką na ramieniu, poszedł za nim. Patrzył, jak Ellwood niespiesznie odjeżdża, i tego dnia miał po raz pierwszy uzmysłwić sobie, jak daleko zaszli. Rozpłakałby się, tak jak tego dnia, kiedy ziemia otworzyła się i pochłonęła martwe wrony, ale w ramionach trzymał dziecko, dla którego sieroctwo było czymś zupełnie nowym.

- Stamfordie, to teraz nie ma znaczenia - powiedział do siebie, patrząc, jak Ellwood wolnym krokiem odjeżdża na swoim koniu. - To teraz nie ma znaczenia.

Zarówno cały ten dzień, jak i towarzyszące mu słońce potwierdzały, że to prawda. Nie miało znaczenia, jak długo wędrował po puszczy, jak długo więzili go w łańcuchach, jak długo sam im pomagał, więżąc się we własnych łańcuchach - to wszystko teraz nie miało znaczenia. Poklepał dziecko po plecach, odwrócił się i poszedł z powrotem do sierocińca dla kolorowych w Richmond. Nie, to nie miało znaczenia. Jedyne, co miało znaczenie, to było to, że te łańcuchy już zniknęły i że wyczołgał się na polanę, i potrafił stanąć na swoich tylnych łapach, i rozejrzawszy się, docenić różnicę między tym, co było, a tym, co jest, nawet w te okropne dni w Richmond, kiedy to, co jest teraz, jawiło się przebrane za to, co było w przeszłości. Ruszył w drogę powrotną, odchodząc od rogu ulicy, na którym ponad sto lat później miano umieścić pierwszą tabliczkę z nazwą: ULICA STAMFORDA I DELPHIE CROW BLUEBERRY.

Mały Ellwood właśnie zakończył rytuał dotykania fałd twarzy Stamforda. Celeste powiedziała:

- Może wiele dni to za dużo. Może wystarczy życzyć sobie tylko dwóch albo trzech dni pod rząd?

Mały Ellwood czekał grzecznie na swoją nagrodę i w końcu Stamford otworzył usta i zaśpiewał tak samo, jak to zrobił po latach, na chwilę przed tym, jak tego dnia w Richmond pojawił się na ulicy Ellwood, a za nim włókł się jego koń:

Malutki synuś mamusi dostanie coś słodkiego,

Malutki synuś mamusi dostanie coś słodkiego...

Po całym ciele dziecka rozlała się radość. Zaczęło klaskać w dłonie, nie dlatego, że było brawo, ale ponieważ w jego ciele było tyle szczęścia, że tylko w ten sposób mogło uwolnić nieco tego nadmiaru.

Celeste popatrzyła teraz na drózkę, gdzie zebrał się już większy tłum, a wśród niego jej mąż i dwójka ich dzieci. Ze swojej chaty niepewnym krokiem wyszły małe bliźniaki, Henry i Caldonia, a Loretta obniżyła nieco latarnię, żeby wszyscy mogli im się lepiej przyjrzeć. Kiedy tak zniżała latarnię, cienie bliźniaków, które z początku spoczywały za nimi na ziemi, zaczęły rosnać i rosnać do tego stopnia, że kiedy wszyscy mogli się już dobrze przyjrzeć tym dzieciom, cienie były tak wysokie jak one same.

Następnego dnia, w piątek, Celeste dowiedziała się, że Caldonia, za radą Louisa, uczyniła Eliasa nadzorcą. Ci dwaj mężczyźni mieli się zbliżyć do siebie w ciągu następnych dni.

*

Również w ten piątek Ray Topps, agent z Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Atlas”, powrócił na plantację i tym razem nie miał kłopotów, by zobaczyć się z Caldonia. Przyjechał z Maude. Topps - wdowiec z dziewiątką dzieci, z których troje nie potrafiło chodzić, a jedno nie widziało i nie słyszało, mężczyzna, któremu nie udało się rozkręcić interesu z lekami sprzedawanymi bez recepty - miał ze sobą wiele dokumentów, które bardzo chętnie pokazywał Caldonii. Na wszystkich znajdowała się nazwa towarzystwa, napisana jako „Aetlas”.

- Niestety - tłumaczył, siedząc przy niej na kanapie - wygląda na to, że w tej akurat drukarni mają za dużo liter e. Ale zapewniam panią, że zawsze byliśmy znani pod nazwą „Atlas” i tak nadal pozostanie. Pani dzieci będą nas znały pod tą nazwą i podobnie pani wnuki. A również ich dzieci będą znały tę samą nazwę.

Przez chwilę, opowiadając o tych dzieciach, zapomniał, że rozmawia z bezdzietną wdową.

- Rozumie pani, co chcę powiedzieć, pani Townsend - powiedział, kiedy już się zreflektował. A Caldonia odparła, że rozumie.

Topps powiedział jej, że jeśli będzie płaciła 15 centów od głowy co dwa miesiące, jej mienie, każdy pracujący niewolnik powyżej pięciu lat, będzie ubezpieczone od prawie wszystkiego, co może Bogu przyjść do głowy. Kopnięcie przez muła podczas pracy w polu. Śmierć po spożyciu skażonej żywności - pod warunkiem, że lekarz potwierdzi, że jedzenie nie było tylko zjełczałe i że każdy normalny człowiek po jego spożyciu umarłby w ten sam sposób. Złamanie karku w studni po wpadnięciu do niej podczas jej czyszczenia. Ukąszenie węża długiego na przynajmniej trzydzieści centymetrów podczas pracy w polu lub w stajni, w wędzarni, w stodole na tytoń czy silosie na kukurydzę - aby uzyskać odszkodowanie, należy dostarczyć takiego węża, żywego lub nieżywego, po usunięciu odpowiedniego zęba czy też

zębów Odszkodowanie przysługiwało po pogryzieniu przez rozwścieczonego psa jesienią, zimą lub na wiosnę (obłęd psów w lecie był „czymś normalnym”, czego można się było spodziewać i polisa milczała w sprawie tej pory roku). Nic nie można było uzyskać po stracie ręki czy też jednego lub obojga oczu, ponieważ po takich uszkodzeniach trudno było ocenić, ile pracy niewolnik będzie mógł jeszcze wykonywać. Odszkodowanie przysługiwało za wszelkie uszkodzenia ciała spowodowane przez autoryzowanego łowcę zbiegłych niewolników; zwykli obywatele, doraźni łapacze niewolników, którzy tylko starali się dorobić dolara czy dwa, raniąc zbiega, mogli spowodować, że ta pozycja polisy traciła moc prawną. Śmierć lub uszkodzenie ciała spowodowane przez sąsiada podczas przechodzenia przez teren tego sąsiada w czasie załatwiania jakichś „ważnych” spraw dla pana lub pani czy też ich potomstwa. Odszkodowanie nie przysługiwało, jeśli niewolnik zmarł lub doznał uszkodzenia ciała podczas odwiedzania swojej rodziny na innej plantacji. Przypadkowe postrzelenie podczas towarzyszenia panu, pani lub ich potomstwu na polowaniu czy w podróży z tymi osobami, pod warunkiem, że podróż trwała przynajmniej trzy dni. Porażenie piorunem podczas pracy w polu, jeśli tylko powrót do zdrowia był krótszy niż trzy dni i jeśli niewolnik nie został wystarczająco ostrzeżony, że może uderzyć piorun. Śmierć od pioruna nie była objęta polisą, była po prostu innym „normalnym działaniem sił boskich”, za które „towarzystwo, w całej swojej mądrości, nie mogło ponosić konsekwencji”.

Za jedynie dolara miesięcznie Caldonia mogłaby otrzymać trzy piąte wartości każdego zbiegłego niewolnika, którego nie złapano w czasie dwóch miesięcy. Topps oświadczył, że odrębna polisa, ochraniająca przed „zwyčajną śmiercią z przyczyn naturalnych”, kosztowała 10 centów od głowy raz na dwa miesiące, ale Caldonia postanowiła „na razie” skorzystać jedynie z polisy piętnastocentowej. Fern Elston przestała tego słuchać i wyszła z pokoju, jeszcze zanim Maude zaczęła podkreślać, że większość niewolników leżących na cmentarzach w hrabstwie Manchester zmarła podczas pracy i w związku z tym nie było sensu ubezpieczać się od śmierci z przyczyn naturalnych. Ponadto zauważyła, że dzieci niewolników, które zmarły z przyczyn naturalnych, zazwyczaj były zbyt młode, aby objęła je polisa.

- Tak wyglądają fakty - powiedziała Maude dosyć autorytatywnym tonem.

- A zatem - stwierdził Topps, podsumowując - tym razem nie będzie zabezpieczenia przed ostatnią godziną pani ludzkiego inwentarza. „Ostatnia godzina” czy też śmierć z przyczyn naturalnych, było sformułowaniem, którego ludzie w firmie „Atlas” używali często, a nikt nie używał go częściej niż owdowiały Topps, który oczami wyobraźni widział, jak pewnego dnia obejmuje ważne stanowisko w siedzibie firmy w Hartford w stanie

Connecticut, i jak, patrząc w dół na ziemię, dzieli się wiedzą zdobytą przez lata ciężkiej harówki w dziczy nie ubezpieczonych. Sformułowanie „ostatnia godzina” zostało wymyślone przez człowieka pracującego w biurze w Hartford w celu oddania kruchości ludzkiego życia, zwłaszcza życia niewolników, i uzmysłowienia klientowi palącej potrzeby skorzystania z polisy firmy „Atlas” na ich własne życie, na życie niewolników i tak dalej. Ten człowiek w siedzibie w Hartford, który amerykańskiego niewolnika widział tylko w gazetach i magazynach, lecz nigdy w rzeczywistości, był również trochę poetą i emigrując z Polski, przywiózł ze sobą dwa tomiki swoich wierszy Mniej więcej w tym czasie, kiedy poeta wprowadził nazwę „ostatnia godzina”, wydawca w Bridgeport w stanie Connecticut zgodził się wydać te tomiki, ale uważał, że jeden z nich jest „zbyt przesycony nawiązaniami” do Polski. „Daj spokój z Polską - napisał wydawca do poety - Ja nawet nie potrafię znaleźć tego miejsca na mapie”. Obiecał wydać oba tomiki, jeśli poeta ostatniej godziny na nowo skomponuje ten, w którym pisał o Polsce, i poeta właśnie się nad tym zastanawiał, kiedy zmarł Henry Townsend. Żaden z tych tomików nie mógł przynieść pieniędzy, jak napisał do poety wydawca z Bridgeport, ale mogły przynieść chwałę i pamięć oraz uwielbienie ze strony czytelników, głodnych rzeczywistej prawdy o Ameryce. Powszechnie wiadomo, wiedział o tym nawet obcokrajowiec w oddalonej o mile ubezpieczeniowej twierdzy w Hartford, że siedzący w swoim kantorku w Bridgeport wydawca dotrzymywał swoich obietnic.

*

Wszyscy goście Caldonii, poza jej matką, zostali u niej do niedzieli, kiedy to Elias i Louis wyruszyli na poszukiwania Moseśa, Glorii i Clementa. Jak się później okazało, miano znaleźć tylko tego pierwszego mężczyznę, dawnego nadzorcę.

12

Niedziela. Barnum Kinsey Missouri. Odnalezienie utraconego skarbu

Tego ranka, w niedzielę, Skiffington po raz pierwszy przebudził się z jasnym wyobrażeniem, gdzie może być Moses. Pamiętał, jak Elias powiedział o tym zbiegu, że „zupełnie nie zna świata”. Przecież to było jasne jak słońce i teraz się zastanawiał, dlaczego Bóg wcześniej nie podsunął mu tej myśli. Być może, myślał siedząc na skraju łóżka i patrząc na blask słońca u stóp, on sam usunął dom Mildred Townsend poza sferę podejrzeń, ponieważ nie był w stanie sprowadzić jej Augustusa. Ponadto miejsce to leżało w drodze na południe, w kierunku przeciwnym do tego, w którym zbiegły niewolnik chciałby się znaleźć. Jednak Bóg, działający zgodnie z własnym harmonogramem, właśnie teraz podsunął mu myśl, gdzie był ten morderca. Skiffington, na podstawie swojej wiedzy o zbrodni i zbrodniarzach, miał

wrażenie, że Moses nadal tam przebywa, ale przeczuwał również, że jeśli wkrótce nie dotrze do domu Mildred, zbiegły niewolnik stamtąd zniknie. Miał również inne wrażenie, nieco słabsze niż to pierwsze - że jeśli Moses zabił własną kobietę i syna oraz szaloną Alice, to mógł również zabić Mildred, jedynie dlatego, że teraz miał zabijanie we krwi.

Tej niedzieli obudził się ponadto z tym samym bólem zęba, jaki nie odstępował go od wielu dni. Dzień wcześniej ból nieco ustąpił, ale teraz powrócił, pulsujący i uporczywy kłęb bólu zalegający na dole, po lewej stronie szczęki. Powiedział sobie, że może z tym żyć. W poniedziałek może być za późno, żeby ruszać za niewolnikiem Mosesem i pozostałą dwójką. Nie wychodząc z łóżka, opuścił głowę i zaczął się modlić. Jego żona była na dole wraz z Minerva i jego ojcem. Dziś nie będzie czasu na nabożeństwo. Normalnie poszedłby wyrwać ząb do przedsiębiorcy pogrzebowego dorabiającego jako miejski dentysta, ale człowiek ten wyjechał na trzy dni do Charleston, gdzie się opiekował bratem kawalerem, który nie miał ani żony, ani niewolników, mogących się nim zająć. Skiffinkton mógł pojechać do białego lekarza, ale od czterech lat ze sobą nie rozmawiali. Lekarz od dawna skarżył się Skiffingtonowi, że owczarek szetlandzki szeryfa morduje jego kurczaki. Skoro nie było owiec, za którymi mógłby biegać, pies wyładowywał się na kurczakach, jak lekarz tłumaczył Winifred. Skiffinkton był przekonany, że dobrze wyszkolił psa i że lekarz powinien gdzie indziej szukać winowajcy „Podejznanego” - jak to określił Skiffinkton.

Aż pewnego miłego poniedziałkowego ranka, kiedy Skiffinkton już wyjechał do aresztu, lekarz wyszedł na podwórze za swoim domem i ujrzał psa beztrząsliwie zmiatającego do kojca na kurczaki. Pies odwrócił się i jak zahipnotyzowany przez długi czas patrzył w oczy lekarza, na tyle długo, że doktor zdążył zawołać niewolnika, żeby przyniósł mu pistolet. Cztery razy strzelił do psa, dwa razy w głowę i dwa razy w ciało. A następnie kazał niewolnikowi zabrać zwłoki psa i rzucić na podwórze Skiffingtona.

Skiffinkton ubrał się i wyszedł z domu bez jedzenia. Nic nie mówił Winifred o bólu zęba, bo ona tylko narobiłaby niepotrzebnego zamieszania. W areszcie zastał Counsela czyszczącego broń i rozżościł go widok kuzyna pracującego w niedzielę. Powiedział mu, co myśli o przebywaniu w areszcie w niedzielę, kiedy nie ma tam żadnego aresztanta, ale Counsel niewiele sobie z tego robił. Counsel pogwizdywał jakąś melodyjkę i Skiffinkton, kiedy tylko wkroczył do biura, pomyślał, że słowa towarzyszące tej melodii prawdopodobnie były nieprzyzwoite.

- Lepiej się zbieraj - powiedział Skiffinkton. - Wyjeżdżamy

- Dokąd?

- Po tego zbiega Mosesa.

Starł się poruszać jak najostrożniej, ponieważ każdy ruch drażnił obolałą część twarzy. Niezbyt uśmiechała mu się długa jazda i towarzyszące jej podskakiwanie na siodle, ale przysięgał spełniać swoje obowiązki i w sprawie tak ważnej jak morderca nie chciał zawierzyć Counselowi czy też członkom patroli. Nie wątpił, że Augustus i Mildred mieli broń. Wziął swoją strzelbę ze stojaka.

O dziesiątej trzydzięci byli już daleko od miasta Manchester. Dzień był bardzo gorący, a oni jechali w kierunku często nazywanym przez jego ojca, Carla, „zębami słońca”. Counsel żuł tytoń (tego zwyczaju nabral w Alabamie) i od czasu do czasu pluł przed siebie na zakurzoną drogę, chcąc zobaczyć, jak daleko polecą ślina. Niewiele rozmawiali, a jeśli już im się to zdarzało, zazwyczaj odzywał się Counsel, aby przerwać panującą między nimi ciszę. A kiedy nic nie mówił i nie pluł na drogę, gwizdał tę swoją melodyjkę, w której na pewno były brzydkie słowa.

Mniej więcej w połowie drogi do plantacji Williama Robbinsa Skiffinkton odezwał się i powiedział, że Counsel powinien spróbować pozbyć się nawyku żucia tytoniu. Mówił przez zaciśnięte zęby, żeby wpuszczać do ust jak najmniej powietrza, które urażało parszywe nerwy zęba.

- Nigdy nie widziałem w tym nic złego - odparł Counsel, robiąc kolejną notatkę w pamięci na temat tego, jak dupiatio patrzył na świat jego kuzyn. - To tylko nic nieznaczące przyzwyczajenie, które Bogu nie przeszkadza.

- Jeśli nazbierasz odpowiednio dużo przyzwyczajajeń - rzekł Skiffinkton - wkrótce będziesz miał ich wystarczająco na prawdziwy grzech. A wtedy znajdziesz się w kłopotach.

Bezlitosne słońce bardzo się dało jeźdźcom i ich koniom we znaki i do Robbinsa przybyli około dwunastej trzydzięci, nieco później, niż zamierzał Skiffinkton. Robbinsa nie było, ale ugościły ich jego żona i córka Patience. Pani Robbins poczęstowała ich obiadem. Skiffington prosił tylko o zupę, chłodną i tak zbliżoną do bulionu, jak tylko kucharz mógł zrobić. Kiedy spożywali posiłek, Patience powiedziała:

- John, ty i Counsel powinniście tu dzisiaj odpocząć i dopiero jutro ruszyć dalej.

Patience przypomiwała Counselowi Belle, jego żonę, kiedy była młoda.

Cztery lata i jeden miesiąc po tym dniu William Robbins miał udar mózgu. Stało się to w czasach, kiedy jego żona okropnie już zgorzkniała, ponieważ mieszkała w jednym domu z mężczyzną, który nie potrafił jej kochać. Dora, której nie wystarczały otrzymywane z drugiej i trzeciej ręki informacje o stanie ojca, postanowiła nie czekać już ani chwili dłużej i pojechała na plantację ojca, kiedy ten od trzech tygodni leżał na łożu boleści. Louis odradzał

jej ten wyjazd, ale ona była równie stanowcza jak ojciec. Żadne z dzieci nie było wcześniej na tej plantacji.

Patience odezwała się do Skiffingtona:

- John, zatrzymajcie się u nas na noc. Obu wam dobrze zrobi wypoczynek. A twój ząb podziękuje ci za chwilę odpoczynku.

Ocierając serwetką swoje wąsy, Skiffington powiedział do Patience:

- Z przyjemnością bym został, panienko Patience, ale, niestety, moje zadanie nie może czekać.

Pogratulował jej i pani Robbins doskonałej zupy i dokończył całą miseczkę.

Tego dnia cztery lata później Dora zapukała do drzwi frontowych rezydencji swojego ojca, a otworzyła jej siostra przyrodnia, Patience, której nigdy wcześniej nie spotkała. Za Patience stała jej matka.

- Przepraszam bardzo, czy mogłabym zobaczyć się z panem Robbinsem? - zapytała Dora, starając się formułować zdanie jak najuprzejmiej, z czego Fern Elston mogłaby być dumna. Dora, która nie przyjechała konno, miała na sobie zieloną sukienkę kupioną przez ojca w Charlottesville. Przyjechała powozem, którym sama powoziła. Miała żółty czepek, z którego po obu stronach zwisały nie związane tasiemki długości około pięciu centymetrów, co przypomniało Patience o twarzy spalonej słońcem, jakiej od wielu lat nie oglądała w lustrze.

Te dwie kobiety wyglądały tak samo, tylko Dora była ciemniejsza i młodsza. Murzyni powiedzieliby, że w dniu, w którym stworzył Patience, Bóg wiedział, że chce stworzyć jeszcze jedną kobietę taką samą jak ona. Bóg naprawdę nie chciał czekać na dzień, kiedy Robbins i Philomena spłodzą Dorę, zrobił ją więc już wtedy, ponieważ wiedział, że kiedy po latach na świat będzie przychodzić Dora, on już pewnie nie będzie w takim samym humorze. Zrobił więc Dorę i włożył ją do lewej kieszeni swojej koszuli, aby ją wyjąć, kiedy przyjdzie czas jej poczęcia. Jak mówili Murzyni, ważne było, żeby znaleźć się w lewej kieszeni, ponieważ w niebie, w którym przebywali ci wszyscy szczęśliwi ludzie, czasami dochodziło do chuligańskich wybryków, zwłaszcza w sobotnie wieczory

- Przyjechałam zobaczyć się z panem Robbinsem - powiedziała Dora. Patience szerzej otworzyła drzwi. Prawie od razu się zorientowała, że stoi przed nią jedyna osoba, która kocha Williama Robbinsa tak mocno jak ona sama. Samotnie niosła brzemień jego choroby i stojąc teraz w drzwiach, czuła, jak ten ciężar staje się coraz lżejszy. Służba jej pomagała, ale nie dlatego, że kochali jej ojca. A jej matka już go nie kochała i nawet palcem by nie kiwnęła, żeby pomóc.

Patience odwróciła się do matki i powiedziała:

- Mamo, proszę, idź na Wschód - używając nazwy, jaką córka nadała tej części rezydencji, w której matka obecnie mieszkała, gdzie matka i córka bawiły się w chowanego, kiedy Patience była jeszcze dzieckiem. - Idź na Wschód, a ja tam zaraz do ciebie przyjdę. Proszę, zrób to dla mnie.

Matka odeszła, a Patience odezwała się do Dory:

- Proszę, wejdź.

I kiedy służący zamykał drzwi, obie kobiety uniosły suknie i poszły na Zachód.

- Tak, John - powiedziała pani Robbins do Skiffingtona - zostań, proszę, na noc.

Niedziela jest na odpoczynek.

- Bardzo bym chciał.

Po obiedzie jeden z niewolników zrobił okład z chrzanu i Skiffinkton przy pomocy tego niewolnika zamocował okład na swojej szczęce, a o drugiej trzydzieści byli już z Counselem z powrotem w drodze.

Okład przynosił ulgę przez dobrą godzinę, ale kiedy słońce zaczęło chylić się nad horyzontem, jego działanie zaczęło słabnąć.

- Nie ufaj medycynie czarnuchów - powiedział Counsel.

- Nie zaufałem - syknął Skiffinkton. - Ale teraz po prostu nic o tym nie mów.

Do zachodu słońca zostało nieco ponad cztery godziny, kiedy zbliżyli się do domu Mildred Townsend. Zatrzymali się w pewnej odległości i czekali, ponieważ Skiffinkton sądził, że może usłyszy gdzieś Moseśa.

- Możemy spokojnie wejść do środka i zabrać go - rzekł Counsel. Skiffinkton odparł:

- Siedź cicho i słuchaj.

W końcu na drogę wyszedł pies Mildred i zaszczekał na nich, Skiffinkton postanowił więc dokończyć zadanie. Podjechali do domu, a Mildred otworzyła drzwi i skierowała w ich stronę lufę strzelby

- Przyszedłeś mi powiedzieć o moim mężu to, co ja już wiem, szeryfie? - zapytała. - Przychodzisz powiedzieć to, co Bóg już powiedział.

Pies wyglądał zza węgła i za każdym razem, kiedy Mildred coś mówiła, nabierał śmiałości i dwukrotnie szczekał, a potem czekał na następne słowa Mildred. Na koniec podszedł i stanął obok swojej pani.

Widok strzelby upewnił Skiffingtona, że Moseś przebywa w jej domu.

- Mildred, wiesz, po co tu przyjechaliśmy

- O niczym nie wiem, szeryfie Skiffinkton.

- Oddaj cudzą własność - powiedział, opierając się na łęku siodła. - Po prostu oddaj cudzą własność, a będzie po wszystkim, Mildred.

Nie pamiętał, czy kiedykolwiek wcześniej wypowiedział jej imię, i przez chwilę miał wątpliwości, czy ten cały dzień nie jest jedną wielką pomyłką, ponieważ wydawało mu się, że ona ma inaczej na imię. Czy naprawdę nazywała się Mildred?

- Po prostu oddaj nam go.

- Nigdy.

- Mildred, posłuchaj, co ci powiem. - Szukał w pamięci imienia jej męża, aby mieć do czego nawiązać, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak nazywał się ten mężczyzna. - Chcę, żebyś oddała cudzą własność.

- Nigdy. Nigdy, już nigdy żaden mężczyzna stąd. Nigdy żaden mężczyzna z żadnego miejsca. Ani jednego.

- Rób, co ci każe szeryf - odezwał się Counsel. - Na Boga, oddaj tę przeklętą cudzą własność, jak powiedział.

Skiffington odwrócił się w jego stronę:

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie używał imienia Boga nadaremnie? Counsel, ile razy? Zbyt szeroko otworzył usta i wpadające do środka powietrze uderzyło w nerw zęba.

Counsel nic nie odrzekł i pomyślał, że to było typowe dla Johna - nie wiedzieć, kiedy on stoi po jego stronie.

Skiffington ponownie zwrócił się do Mildred.

- Nie po to przejechałem całą tę drogę, żeby teraz mi ktoś odmawiał. - Nerwy wokół zęba pulsowały jak oszalałe i Skiffington z trudem wypowiadał słowa przez prawie zaciśnięte wargi. - Nie po to przejechałem tę całą drogę, żeby odmówił mi... jakiś czarnuch. Słyszysz, Mildred? Żaden czarnuch nie przeszkodzi mi w wypełnianiu moich obowiązków - Zupełnie zamknął usta, aby dojść do siebie, a chwilę później odezwał się ponownie: - Mam prawo robić to, co jest zgodne z prawem, i żaden czarnuch nie będzie mi w tym przeszkadzał.

Zawsze starał się być uprzejmy, dlaczego więc ona zmuszała go do tego, żeby był nieuprzejmy? Counsel się nie poruszył, ale nie spuszczał oka z Mildred.

- Stoję na straży prawa - rzekł Skiffington. - To wszystko. Teraz odezwał się Counsel:

- Stoimy na straży prawa.

Skiffington był zadowolony, że Counsel poparł go i potwierdził powód ich wizyty. Zaczął ostrożnie wysuwać swoją strzelbę z olstra, trzymając palec na spuście.

- Oddaj niewolnika - powiedział Counsel, a Skiffington szybkim ruchem wyciągnął strzelbę z olstra, a kiedy to robił, broń wypaliła.

Pocisk najpierw uderzył w jeden z palców Mildred, roztrzaskując go, a następnie trafił ją w pierś, odrzucając kobietę na pół metra w głąb domu. Jej strzelba z głośnym hukiem upadła na próg, a przerażony pies schował się za dom. Gdy tylko kula roztrzaskała serce Mildred na kawałki, kobieta natychmiast stanęła w drzwiach. Była późna noc, a ona znajdowała się w miejscu, którego nie pamiętała. Weszła do ciemnego domu, wspięła się po schodach i zastała otwarte drzwi do pokoju Henryego. Obok niego w łóżku leżała Caldonia, która powiedziała Mildred, że Henry nie mógł zasnąć, ale że teraz już spokojnie odpoczywa. Henry nie poruszył się, kiedy jego matka na niego patrzyła, a Mildred była mu za to wdzięczna. Wyszła z pokoju i zobaczyła Augustusa leżącego w ich łóżku, również pogrążonego we śnie, położyła się więc i wtuliła w jego ramiona. Przez okno wiał wiatr, tak jak to lubiła. Zawsze mówiła, że taka pogoda jest dobra do spania. Ale gdzież ona była? Czy była w ogrodzie? Czy była przy studni? Zamknęła oczy, mocniej zacisnęła rękę Augustusa wokół siebie i zamknęła oczy. Nie pamiętała, czy zostawiła drzwi otwarte. To nie miało znaczenia, bo wszyscy sąsiedzi byli dobrymi ludźmi.

Skiffington i Counsel przez długą chwilę się nie odzywali i w tym czasie Skiffington próbował się modlić, ale po raz kolejny nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Counsel spojrział na Skiffinktona, który upuścił strzelbę, a kiedy broń spadała na ziemię, koń Skiffinktona odszedł o kilka kroków od Counsela i jego wierzchowca.

- Czy prosiłem o coś więcej niż uprzejmość i praworządność? - odezwał się Skiffington.

- John? - powiedział Counsel. - John?

- Wstaję rano - ciągnął dalej Skiffington, nie słysząc słów Counsela - i niczego od tego czarnucha nie chciałem, tylko tego, co jest słuszne i zgodne z prawem. Od żadnego czarnucha nic więcej nie chcę. Nic więcej. Czy ktoś może powiedzieć, że chciałem czegoś więcej, Counsel? Powiedz mi zaraz, kto mówi, że ja prosiłem o coś więcej niż uprzejmość i praworządność dla samej praworządności. Nie możesz mi powiedzieć, bo takiej osoby nie ma. Czy uprzejmość i praworządność są tak drogie, że są mi niedostępne?

Counsel powtarzał:

- John? John, słyszysz mnie?

- Counsel, idź i wyciągnij stamtąd tego czarnucha, żebyśmy mogli zabrać go do jego właścicielki, do jego prawdziwej i prawowitej właścicielki. To już zbyt długo trwa. To już wszystko trwa zbyt długo.

- John?

- Zrób, co ci mówię, Counsel. Strzeż prawa, jak przysięgałeś, jak obaj przysięgaliśmy. Idź tam i wyciągnij tego mordercę. Rób, co mówię, albo czekają nas straszne kłopoty. Rusz się, do cholery!

Counsel zsiadł z konia i wyciągnął rewolwer. Powinien ożenić się z właścicielką pensjonatu i raz na zawsze dać sobie spokój z byciem czyimś zastępcą, a zwłaszcza zastępcą osoby, o której wiedział, że jest od niej lepszy. Stał niecałe pół metra od ciała Mildred i podniósł głowę wysoko, a później jeszcze wyżej, żeby na nią nie patrzeć. Skiffington rzekł:

- Counsel, nie możemy jej tak zostawić. Znam tę kobietę. Wiem, jak się nazywa. Znam jej męża.

Counsel podniósł nogę, żeby przekroczyć ciało Mildred, ale kiedy to robił, uzmysłowił sobie, że może wdepnąć w krew, musiał więc spojrzeć w dół. Oczy miała otwarte i Counsel zapytał Boga, dlaczego nie mógł wyświadczyć mu tej małej przysługi i ich nie zamknął. Robiąc ogromny krok, przestąpił jej ciało. Obszedł parter domu, a jego spojrzenie przykuła zielona zasłona wisząca w bocznym oknie, pięknie powiewająca pod wpływem wiatru, którego nie czuł, stojąc przed domem. To leżało w naturze domów - taki przyjemny wiaterek z boku i okropne nic z przodu i z tyłu. Poszedł do kuchni. Ten dom był tak czysty, że nikt nawet nie pomyślałby, że mieszkał w nim czarnuch. Na stole stała misa z jabłkami, a jedno z nich było przechylone i długi ogonek wskazywał wprost na Counsela, jakby sugerując, że to jabłko powinno być zjedzone pierwsze. Przy tylnych drzwiach pies kulił się ze strachu, a kiedy odwrócił się i zobaczył Counsela, zaczął sikać. Otworzył pysk, chcąc zaszczezać, ale nie wydał żadnego dźwięku. Counsel przez prawie minutę patrzył na psa, a później podszedł i otworzył mu drzwi, a kiedy je zamknął, po raz pierwszy od wejścia do środka pomyślał, że znajduje się w domu z mężczyzną, który zabił trójkę ludzi. Mocniej ścisnął rewolwer w dłoni.

- Counsel! Co ty tam robisz? Wyprowadź go! Counsel wrócił przez kuchnię, a następnie szedł przez pokój od frontu, trzymając się tylnej ściany, aby Skiffington go nie widział. Problem był w tym, że właścicielka pensjonatu nie była osobą zamożną. Obok schodów zauważył stojak na laski i nie mógł się powstrzymać od ich podziwiania. Sięgnął ręką i dotknął jednej laski, a następnie ją odwrócił, żeby lepiej zobaczyć, co tam wyrzeźbił Augustus Townsend. Gdyby właścicielka pensjonatu nie była bezpłodna, mógłby mieć z nią jedno dziecko. Jeden chłopiec, tylko tego potrzebował. Z góry na dół, na całej lasce widać było domy, każdy cudownie inny od pozostałych, domy wielkie i małe, domy zagraniczne, jak w książkach w tej spalonej bibliotece w Północnej Karolinie. Gdzie jakiś czarnuch mógł widzieć takie rzeczy? Stał jak urzeczony pięknem tej laski, a później, jakby starając się

zrzucić z siebie jej czar, postukał lufą pistoletu w najbardziej obco wyglądający dom i wreszcie spojrzął na schody. Właścicielka pensjonatu mówiła, że ma trzydzieści siedem lat, ale zmarszczki na jej górnej wardze zdawały się świadczyć, że była dużo starsza.

- Counsel!

- Idę sprawdzić na górze, John.

- No to zrób to i przyprowadź go!

Schody nie zatrzeszczały. Jeszcze jedna dziwna sprawa w naturze domów - niektóre skrzypiały, a inne nie i kiedy się na nie patrzyło, żadną miarą nie można było odróżnić jednych od drugich. Jakaś piętrowa buda w Missisipi miała schody, które nie wydawały żadnego dźwięku. Jego zniszczony dom był jednym z najwspanialszych w Północnej Karolinie, na Południu, a wszystkie schody w nim skrzypiały, nawet tylne, biegnące z kuchni do góry, z których korzystała głównie służba i jego dzieci. A oni wszyscy stąpali lekko.

Na piętrze zajrzał do wszystkich pokoi i kiedy zbliżał się do ostatniego, do sypialni Mildred i Augustusa, czuł, jak rośnie jego rozczarowanie. Jeśli tam nie znajdzie tego niewolnika, John będzie strasznie wściekły. Stał na środku małżeńskiej sypialni i zaklął.

- Counsel! Nie możemy tak zostawić Mildred. Counsel otworzył górną szufladę komody stojącej obok drzwi i lufą pistoletu zaczął przerzucać znajdujące się wewnątrz rzeczy. W pewnym momencie coś zabrzęczało. Znalazł pięć złotych dwudziestodolarówek owiniętych w mały zwitek żółtego materiału. Zaśmiał się i rozejrzał dookoła, a potem jeszcze bardziej się roześmiał i włożył pieniądze do kieszeni. Sprawdził pozostałe szuflady, wybebeszył łóżko, tupnął kilka razy w podłogę, aby sprawdzić, czy pod którąś deską nie krył się jakiś schowek. Nie znalazł już więcej złota, ale wiedział, że musiało być jeszcze więcej, wiedział, że ta dwójka czarnuchów siedziała tu sobie z bogactwem białego człowieka. Jeszcze raz obrzucił pokój spojrzeniem, ale teraz patrzył świeżym okiem, okiem człowieka, który wiedział, że zbawienie i wybawienie były na wyciągnięcie ręki. Potrzebował czasu na przeszukanie domu i ziemi, a teraz nim nie dysponował.

- Counsel!

Być może było tu tyle, że mógłby się z kimś podzielić, ale może było mniej, a on nie chciał ryzykować i mówić o tym Skiffingtonowi. Kuzyn mógłby powiedzieć, że to nie należy do nich. Być może było tego tyle, że udałoby mu się powrócić tam, gdzie był przed spustoszeniem w Północnej Karolinie. Nie, najlepiej będzie, jeśli nic Johnowi nie powie. Co ta sierota boża, John Skiffington, może wiedzieć o pieniądzach i o potrzebie czy stracie rodziny?

Zszedł po schodach, starając się, aby monety w kieszeni nie brzęczały i zatrzymał się przy głowie Mildred.

- Counsel, gdzie on jest?

Jakoś to pytanie wydało się Counselowi dziwne i bez zastanowienia odpowiedział w dziwny sposób:

- Jam go nie odnalazł.

Włożył pistolet do kabury i, sięgnąwszy w dół, podniósł strzelbę Mildred, teraz równie zakrwawioną, jak podłoga wokół kobiety, i skierował lufę w stronę Skiffingtona.

- Cofnij się, Counsel. Lepiej odejść i się cofnij. Counsel wystrzelił w pierś Skiffingtona i chociaż szeryf przechylił się do przodu tylko o kilka centymetrów, Counsel widział, że rana była śmiertelna. Ale John Skiffington był wielkim mężczyzną, Counsel Skiffington strzelił więc do niego jeszcze raz. Drugi strzał osmalił ucho wierzchowca Skiffingtona, zanim trafił w człowieka, i koń stanął dęba, ale ciężar mężczyzny zdawał się przygniatać go w dół i zwierzę, znów stojąc na ziemi, zaczęło potrząsać łbem we wszystkie strony, a Skiffington ześlizgnął się na bok, jednak wciąż starał się utrzymać w siodle, ponieważ coś mówiło mu, że jeśli będzie się trzymał, to może się uratować.

Skiffington wkraczał do domu, do którego zabrał swoją oblubienicę. Wbiegł po schodach, ponieważ sądził, że musi zrobić coś ważnego. Znalazłszy się w bardzo długim korytarzu, pobiegł nim, zaglądając do wszystkich otwartych pokoi i chciał się zatrzymać, ale wiedział, że nie ma na to czasu. Minał wszystkie pomieszczenia - od tego, w którym jego matka gotowała kolację, do tego, w którym jego ojciec rozmawiał z Barnumem Kinseyem. Minerva szyła. Winifred w koszuli nocnej wyciągała do niego ręce. Ale on się nie zatrzymał. Na samym końcu korytarza zauważył stojącą *Biblię*, pochyloną do przodu i wyższą od niego o jakiś metr. Zdażył dobiec do niej i przytrzymać ją, zanim upadła, a kiedy wyciągał ręce, aby ją podeprzeć, jego otwarta lewa dłoń oparła się o literę „s” w słowie „Pismo”, a prawa otwarta dłoń na „i” w słowie „Święte”.

Counsel się nie poruszył. Zastanawiał się, jak to wszystko wytłumaczy, ale odpowiedź była dla niego bardzo prosta - Murzynka strzeliła do jego kuzyna, a szeryf odpowiedział ogniem i również ją zastrzelił, zanim on, Counsel, zdażył wyciągnąć broń. I miał mieć rację - dla wszystkich sprawa była prosta i większość ludzi uwierzyła jego słowom.

Skiffington zsunął się z konia. Kiedy jeździec upadł na ziemię, koń próbował się odsunąć, ale nie mógł tego zrobić, ponieważ prawa stopa Skiffingtona uwięzła w strzemieniu i tak koń ugrzązł między chęcią oddalenia się od martwego człowieka a pragnieniem bycia blisko swojego pana. Counsel wyciągnął rękę do tyłu i upuścił strzelbę, a następnie wytarł

dłonie o te części ubrania Mildred, które nie były zakrwawione. Na dźwięk strzelby uderzającej o podłogę, koń Skiffingtona przestał się poruszać. Wierzchowiec Counsela przez cały czas stał w tym samym miejscu, nawet na centymetr się nie ruszając. Counsel usłyszał skrzypienie schodów i kiedy obejrzał się, zobaczył patrzącego na niego Murzyna, stojącego z podniesionymi rękami. Counsel wyjął pistolet i, wymachując nim, kazał niewolnikowi podejść do siebie.

- To ty jesteś Moses, którego szukaliśmy? - zapytał Counsel. Moses podszedł do niego, przez cały czas potakując głową. - Gdzie jest pozostała dwójka? - zapytał Counsel, mając na myśli Głorię i Clementa, na co Moses powiedział, że nic nie wie o żadnej pozostałej dwójce, że był sam, tylko on i Mildred. *A zatem*, pomyślał Counsel, *coś ukrywa*. I ucieszył się z tego, ponieważ to oznaczało, że były miejsca, w których może być złoto.

Myśl, że Moses zabił swoją żonę Priscillę i swojego syna Jamiego oraz wariatkę Alice, umarła wraz z Johnem Skiffingtonem, i tak miało zostać na wiele lat.

Counsel powiedział do Mosesa:

- Czy na pewno jesteś sam?

- Tak, proszę pana.

Moses spojrział na Mildred i z trudem powstrzymał się, żeby do niej nie podejść. O nic go nie pytała, po prostu dała mu dom. „My”, powiedziała, „znajdziemy sposób, żeby jakoś cię z tego wyrwać”.

- Otwórz usta - powiedział Counsel. Moses wykonał polecenie i Counsel włożył pistolet głęboko w gardło mężczyzny, i chociaż Moses wił się, próbując się uwolnić, jednak Counsel nie puszczał go. Chwycił Mosesa za koszulę i trzymał mocno.

- Nie chciałbym zabijać dwóch osób jednego dnia, ale jeśli będzie taka potrzeba, to się przed tym nie cofnę. - Moses zakaszłał z pistoletem w ustach. - Ani piśnij o tym, co wiesz, masz trzymać gębę na kłódkę, tak jak teraz. Słyszysz, co mówię? - Moses, czując ból i krztusząc się, z całych sił kiwał potakująco głową. - Jeśli tylko kiedyś się odezwiesz, zastrzelę cię jak psa. I chyba widzisz, że ja nie rzucam słów na wiatr.

Ten czarnuch, pomyślał Counsel, *nigdy nikogo nie zabił. Co ten John sobie wymyślił?*

Counsel wyjął pistolet i pchnął Mosesa w stronę drzwi, a ten pochylił się nad Mildred i dotknął jej zakrwawionych włosów. Moses ponownie się podniósł. Counsel, czując, że po tych wszystkich latach w końcu zbliża się jego zwycięstwo, zrobił się wielkoduszny. Odezwał się do Mosesa:

- Możesz się z nią pożegnać, tak jak chcesz. Ostatecznie to przecież ta martwa kobieta otworzyła wrota do tego złotego zwycięstwa. *Czy Hiob zaniósł do Boga jakąś modlitwę, kiedy*

ten oddał mu milion razy lepsze usługi niż Hiob miał przed spustoszeniem? Dzięki ci, Panie. Nie potrafię zapomnieć, co kiedyś miałem, ale już nie będę żywił do ciebie takiej urazy, kiedy będę wspominał te dawne dni i moich ukochanych zmarłych.

- *Mister*, nie chcę zostawiać tu pani Mildred na tej podłodze - odezwał się Moses.

Counsel westchnął i wzruszył ramionami. Moses ponownie pochylił się nad Mildred. Niespełna pół godziny później, kiedy zaczął sobie zdawać sprawę, że jego czas jest ograniczony, Counsel miał pożałować swojej wielkoduszności. Ale w tym momencie schował pistolet do kabury i wyszedł na ganek. Nie martwił się o strzelbę leżącą obok Mildred, ponieważ cała jej wcześniejsza moc tkwiła obecnie w Johnie Skiffingtonie.

Niecałe dwie godziny później, wiele mil od miejsca, w którym mieszkali Mildred i Augustus Townsend, Counsel, jadąc na swoim koniu, spotkał Eliasa i Louisa, nieślubnego syna Williama Robbinsa i przyszłego męża Caldonii Townsend. Counsel spotkał również mężczyzn patrolujących okolice, Barnuma Kinseya, Harveya Trvisa oraz Odena Peoples, czystej krwi Indianina Cherokee. Wszyscy spotkani mężczyźni jechali konno. Counsel powitał ich ze stosownym, smutnym wyrazem twarzy człowieka, któremu właśnie zabito krewnego. Do łęku siodła Counsela przywiązana była lina, na końcu której, jakieś półtora metra dalej, znajdowały się związane ręce Mosesa, niewolnika i byłego nadzorcy, który jako jedyny mężczyzna szedł pieszo.

Kiedy już Counsel opowiedział im, co się stało w domu Mildred, Travis zaczął w kółko powtarzać:

- John nie żyje. Czy ja dobrze słyszę? John nie żyje. Kiedy już przyjął do wiadomości słowa Counsela,

Travis odezwał się do zgromadzonych:

- Nie możemy wskrzesić Johna, ale mamy tu przyczynę tego całego zamieszania - i wskazał na Mosesa. - Mamy tu czarnucha, który wymyślił sobie, że powinien uciec. To właśnie sobie wymyślił, a teraz szeryf tego hrabstwa nie żyje. Dobry i prawy szeryf. Myślę, że powinniśmy zrobić coś takiego, żeby on już nigdy nie wpadł na taki pomysł, żeby znowu uciekać.

- O czym myślisz? - zapytał Louis. Był Murzynem, ale i biali, i Oden wiedzieli, że był Murzynem Williama Robbinsa, a to oznaczało, że jest kimś szczególnym.

- Załatwmy go tu, na miejscu - powiedział Travis, patrząc na Mosesa. - Niech na zawsze popamięta, co zrobił Johnowi Skiffingtonowi. Załatwmy go tak, żeby już nigdy nie uciekał.

Louis powiedział:

- Ten niewolnik nie należy do ciebie i nie możesz robić z nim, co ci się podoba. Nie jest twoją własnością. Nie należy do ciebie.

Travis odparł:

- On jest przyczyną śmierci naszego Johna. A to oznacza, że należy do wszystkich.

- Jasne, że do nas należy - odezwał się Counsel. - Czy ktoś z nas wałęsałby się tu w tej spiekocie, gdyby on nie uznał, że ma prawo uciekać?

- Zostawcie go w spokoju - odparł Louis. Barnum milczał. Coś w duszy mówiło mu, że słowa Counsela były przepełnione kłamstwem. Ale John nie żył i tylko to się liczyło. Również Elias się nie odzywał. Siedział na szarej klaczy, która była, jak powiedziała Caldonia, dodatkiem do jego stanowiska nadzorcy Tego ranka Celeste nic do niego nie powiedziała. Niecałą godzinę później, kiedy już wszyscy zmierzali na plantację Caldonii, Elias źle się poczuł i nie mógł jechać dalej. Kiedy coraz bardziej zostawał w tyle, Louis, sam zdumiony tym, jak bardzo się do siebie zbliżyli w ostatnich kilku dniach, wrócił do niego, zsiadł z konia i pomógł Eliasowi zsiść z jego wierzchowca, a później obaj mężczyźni szli pieszo, trzymając w rękach cugle, a Louis przez cały czas mówił Eliasowi, że mają dużo czasu.

- Nie ma się co spieszyć.

Kiedy znaleźli się w tym punkcie swojej drogi, jeźdźcy i ich konie większość dnia mieli już za sobą, podobnie jak i słońce.

Moses, wciąż stojąc za Counselem i jego koniem, odezwał się do białych mężczyzn i do Louisa:

- Proszę, nie róbcie mi krzywdy. Proszę. - Zawołał do Eliasza: - Proszę, nie pozwól, żeby mnie skrzywdzili! Elias, proszę, powiedz im, żeby mnie zostawili w spokoju!

Elias widział, jak Celeste stoi w drzwiach ich chaty, czekając na niego. Potrzebował teraz Celeste. Potrzebował, żeby mu powiedziała, co jest słuszne, i wskazała mu drogę do domu. Jak on mógł zapomnieć, gdzie było jego miejsce na świecie? Martwił się w tym momencie, że coś może mu się stać, tu, na tej drodze z wściekłymi białymi, i że już nigdy nie zobaczy swojej rodziny. Elias wiedział, że po Mosesie może przyjść kolej na niego, a później na Louisa, syna czarnej kobiety. A jeśli tego będzie im jeszcze mało, biali ludzie mogą rzucić się na Indianina, który nie był tak biały, jak mu się zawsze wydawało.

Counsel, Travis i Oden zsiadli z koni. Moses odwrócił się, chcąc uciekać, ale Counsel chwycił linę, którą związał Mosesa, i przyciągnął go z powrotem. Barnum odezwał się z konia:

- To nie on wyrządził krzywdę Johnowi. To nie on. A poza tym wygląda na to, że dostał już nauczkę.

Oden spojrzał na Trávisa i obaj mężczyźni się roześmiali.

Kiedy Counsel i Travis trzymali nadal spętanego Mosesa, Oden pochylił się i przesunął swój nóż, wykonując dwa szybkie ruchy tam i z powrotem, przez ścięgno Achillesa w nodze Mosesa.

- Proszę - powtarzał Moses - zostawcie mnie. - Próbował ściągnąć na siebie uwagę Eliasa, a także Louisa. - Proszę, zostawcie mnie.

Chwilę po cięciu Oden nałożył na ranę Mosesa swój powstrzymujący krwawienie okład, a niewolnik upadł na ziemię, wyjąc w męczarniach.

Barnum odjechał, ruszył do swojego domu i do swojej rodziny W Wirginii nic już dla niego nie było. W Wirginii przez całe życie dreptał w miejscu - brodził w wodzie, której było zbyt mało, żeby utonąć, ale wystarczająco dużo, żeby zawsze miał mokre stopy i portki. Dopiero po przejechaniu wielu mil usłyszał, że Moses przestał krzyczeć.

Okulawiony człowiek zawsze już zostawiał zauważalne ślady na ziemi i podobnie było w wypadku Mosesa. Osoba obeznana z nauką okulawiania nie zastanawiałaby się zbyt długo nad takimi śladami na drodze. Ale osoba nie znająca się na sztuce okulawiania mogłaby się schylać i bardzo długo zastanawiać, dlaczego bosy człowiek szedł, opierając się całym ciężarem na jednej stopie, a następnie drugą zawsze stawiał na palcach.

*

Dwie godziny wcześniej, jeszcze w domu Mildred, Moses powiedział kilka słów nad ciałem zmarłej, ale wiedział, że to, co mówi, to zbyt mało. Nigdy nie przysłuchiwał się całym mowom pogrzebowym i teraz brakowało mu odpowiednich słów.

- Gdybym tylko słuchał - karcił sam siebie, sprząając wszystko ze stołu kuchennego. Odstawił miskę z jabłkami na krzesło i zdjął obrus. Wiedział, że jest wdzięczny Mildred i podczas pracy dziękował jej, że mu pomogła, a później podniósł jej ciało i ułożył na stole. Zaniknęły oczy Mildred. Wolniejsza śmierć dałaby jej czas potrzebny na to, aby się położyła i sama zamknęła swoje oczy Moses przykrył ciało obrusem i zaczął się zastanawiać nad tym, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Wiesz, Moses - rzekła mu jeszcze dzień wcześniej - lubię porządne obrusy. Wolalabym raczej mieć dobry obrus niż dobrą narzutę. Dla mnie łóżko może być gołe, ale muszę mieć porządny obrus do posiłków.

Niedługo po zabójstwie Johna Skiffingtona Barnum Kinsey zabrał rodzinę do Missouri, gdzie jego żona miała krewnych. Barnum zmarł w mieście Hollinger wkrótce po

tym, jak przekroczyli rzekę Missouri. Najstarsze dziecko z jego drugiego małżeństwa, chłopiec o imieniu Matthew, nie kładł się spać przez całą noc przed pogrzebem, zapisując historię swojego ojca na drewnianej płycie nagrobkowej. Zaczął od napisania w pierwszej linii imienia i nazwiska ojca, a w następnej napisał daty jego urodzin i śmierci. I dalej wszystko, co wiedział o tym, kim był jego ojciec. Mąż. Ojciec. Rolnik. Dziadek. Członek patrolu. Handlarz tytoniem. Wytwórca terlic. Litery w słowach stawały się coraz mniejsze, w miarę jak niespełna dwunastoletni chłopiec zbliżał się do końca deski, ponieważ nigdy wcześniej nie robił nagrobka i nie zaplanował sobie miejsca na wszystko, co chciał napisać. Chłopiec zapisał cały kawałek drewna i na końcu ostatniej linijki postawił kropkę. Grób jego ojca miał się ostać, ale drewniany napis nie przetrwał roku. Chłopiec wiedział, że nie należy stawiać kropki na końcu takiego zdania. Czegoś takiego, co nawet nie było zdaniem w pełnym tego słowa znaczeniu, zawierającym wiele podmiotów, ale żadnego czasownika, który mógłby je powiązać. Zdanie - jak nauczyciel Matthew w Wirginii próbował wbić do tępego łba Kinseya - może istnieć bez podmiotu, ale nigdy bez czasownika.

*

W dniu śmierci Mildred Counsel wyszedł na ganek jej domu i tylko raz popatrzył na ciało swojego kuzyna, a następnie wyjął tytoń oraz bibułki i skręcił sobie papierosa. Nie miał już tytoniu do żucia. Wreszcie stopa Johna Skiffingtona wy dostała się ze strzemienia i Counsel patrzył, jak koń Johna zaczyna odchodzić na bok. Counsel zastanawiał się, czy zwierzę trafi do domu, czy też skończy się na tym, że napotka je niedźwiedź, kiedy będzie piło z jakiegoś strumienia i tam je zabije. Usłyszał, że Moses rusza się w środku chaty. Powinien był jednak zabrać strzelbę tej martwej kobiety. Ten czarnuch może ją wziąć i zdzielić go nią w głowę. Zdając sobie sprawę z tego, że to zupełnie możliwe, Counsel odwrócił się przodem do drzwi chaty, żeby w razie czego być przygotowanym. To całe złoto oznaczało, że będzie mógł kupić olbrzymi nagrobek na grób Johna, tak wielki, jak wielki był ten mężczyzna. Wyobraził sobie nagrobek tak duży, że ze swoich kryjówek w górach Wirginii zejdą dzicy i obłąkani ludzie i będą modlić się przy tym nagrobku, sądząc, że stoi na grobie bóstwa.

Na drodze, jakieś dwie godziny później, kiedy już okulał Mosesa, Oden wsiał z powrotem na swojego konia. Spojrzał z góry na mężczyznę wijącego się na ziemi i na swoje własne dzieło. Moses na pewno nie mógł wracać do domu piechotą i Oden podał mu rękę. Tego dnia jeździł bez siodła. Odezwał się:

- Nie będzie długo krwawił. Podnieście go tu. Wszyscy oprócz Eliasa pomogli wtaszczyć Mosesa na zad konia Odena. Louis drżał na całym ciele, widząc obolałego Mosesa.

Zgodnie z prawem Oden mógł kazać wieźć Mosesa niewolnikowi Eliasowi, ale nie podobało mu się zło, jakie zdawało się narastać w Eliasie. Gdyby Louis nie był synem Williama Robbinsa, Oden mógłby również jemu kazać wieźć Mosesa. Jednak w końcu zdecydował, że równie dobrze on sam może zabrać Mosesa i postanowił nie robić wokół tego zamieszania.

- Podnieście go. Ja go zabiorę. Nie będzie długo krwawił - powiedział Oden, chociaż nikt nie mógł go usłyszeć przez wrzaski Mosesa. Oden już nigdy później nie przyłożył noża do człowieka. Co innego było wykonać cięcie na człowieku, dostać pieniądze za swoją pracę i wrócić do domu na kolację ze swoją rodziną, a co innego było pokonywać długą drogę z mężczyzną, który przez cały czas siedział za jego plecami i jęczał w męczarniach w ucho Odena, otoczonego w pasie ramionami tego mężczyzny, ponieważ ten mężczyzna bał się, nawet w największym bólu, że może spaść z konia.

*

Kiedy Moses już przykrył obrusem ciało Mildred, wyszedł na ganek i po raz pierwszy spojrzał na leżące na podwórzu ciało Johna Skiffingtona. Dla tego martwego mężczyzny nie miał żadnych słów, ponieważ nie mógł przypomnieć sobie ani jednej dobrej rzeczy, jaką John Skiffington dla niego zrobił. *Na pewno znajdzie się wielu ludzi, którzy będą go oplakiwać*, pomyślał Moses, *może nawet tak wielu, jak tych oplakujących Mildred*. Counsel spojrzał na Mosesa, zszedł z ganku i zgasił papierosa na ziemi. Nie było sensu ryzykować pożaru, zanim nie znajdzie całego złota.

Counsel Skiffington nie znalazł już więcej złota u Mildred. Było tam tylko pięć dwudziestodolarówek, które znalazł wcześniej. Przez wiele tygodni jeździł tam i kopał wszędzie wokół, a potem, kiedy poczuł, że zaczyna mu się kończyć czas, wziął do pomocy Odena i Trvisa. Lepiej było podzielić skarb, niż w ogóle go nie mieć, a poza tym Indianinowi mógłby dać mniej niż białemu. Znaleźli w domu tajne pomieszczenia, przeznaczone, o czym nie wiedzieli, do ukrywania niewolników czekających na Podziemną Kolej. Zdenerwowani spalili dom, ale Counsel zatrzymał sobie wiele rzeczy, między innymi laski. Jednak ostatecznie prawo zmusiło go do oddania Caldonii Townsend wszystkiego, co zabrał. Przez całe lata Counsel walczył o tę ziemię na drodze sądowej. Opierał się przy tym na teorii wymyślonej przez Arthura Brindlea, handlarza tekstyliami i byłego prawnika, który utrzymywał, że dla Counsela istniała podstawa roszczeń do tej posiadłości, ponieważ zamordowano tam jego kuzyna. Zjednał sobie dla tej sprawy Roberta Colfaksa, ale prawo stanęło po stronie Caldonii. Poślubił właścicielkę pensjonatu. Nie mieli dzieci.

William Robbins zaangażował się w spór prawny o posiadłość Townsendów, ponieważ uważał, że prawnie należy się ona Caldonii, która miała poślubić jego syna, Louisa.

Robbins i Colfax przestali być w dobrych stosunkach, od kiedy Robbins kupił ziemię Clary Martin od jej spadkobierców; ziemię, której od dawna pragnął Colfax. Koniec przyjaźni dwóch najbogatszych ludzi w hrabstwie odbił się na prawie wszystkich mieszkańcach Manchesteru, ponieważ biali podzielili się i zaczęli szukać sprzymierzeńców w sąsiednich hrabstwach. W efekcie tego sporu zginęło czterech białych, jeden z nich ze strony Robbinsa - brat jego żony, a trzech ze strony Colfaxesa, w tym dwóch jego kuzynów. Z czasem wrogość przyczyniła się do podziału hrabstwa, tak że podczas pożaru w 1912 roku, kiedy zniszczeniu uległy wszystkie akta sądowe hrabstwa, miasto Manchester dla nikogo nie było już siedzibą władz hrabstwa. Manchester stało się jedynym hrabstwem w historii stanu Wirginia, które zostało podzielone i wchłonięte przez inne hrabstwa: hrabstwo Amherst, hrabstwo Nelson, hrabstwo Amelia, hrabstwo Hanover... „Hrabstwo Manchester - jak napisał historyk z University of Virginia, posługując się zapożyczeniem z *Biblii* - zostało rozdarte na kawałki”. Historyk określił to zdarzenie jako „najpoważniejsze zniknięcie ziemi” w stanie, od kiedy wielkie zachodnie części Wirginii, znane pod historyczną nazwą „Matka Stanów”, zostały oddzielone, aby utworzyć osiem innych stanów, a wśród nich Michigan, Illinois, Minnesotę, Zachodnią Wirginię i Wisconsin.

Mężczyźni, którzy uprowadzili i sprzedali Augustusa Townsenda - białego człowieka Darcy i jego niewolnik Stennis zostali schwytani bez żadnych problemów w pobliżu granicy Wirginii i Północnej Karoliny. Jechali nowiutkim krytym wozem. Z tyłu wozu znajdowała się dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka, oboje skradzeni ich wolnym rodzicom. Dzieci nazywały się Spencer i Mandy Wallace. Mandy została później pierwszą czarnoskórą kobietą, która uzyskała doktorat z literatury na uniwersytecie w Yale. W tym nowym wozie znajdowały się również dwie dorosłe siostry, niewolnice porwane pewnego wieczoru, kiedy wracały do domu z pobliskiej plantacji, z pogrzebu trzeciej siostry. Te siostry - Carolyn i Eva - pewnie nie znalazłyby się na tej drodze, na której zostały porwane, gdyby właściciel zmarłej siostry nie postanowił, że pogrzeb ma się odbyć późnym popołudniem, po skończeniu większości prac na polu, dzięki czemu można było skrócić jeszcze jeden murzyński pogrzeb.

Stennis i Darcy zostali osądzeni i skazani - Darcy na pięć lat w zakładzie karnym, a Stennis na dziesięć lat. Darcy odsiedział swój wyrok w tym samym więzieniu, w którym zakończył życie zabójca Jean Broussard. Stennis miał jechać do więzienia dla Murzynów w Petersburgu, ale dzień przed tym, jak miał zostać tam przyjęty, władze zdecydowały, że lepiej będzie go sprzedać i w ten sposób pomóc spłacić te rodziny, którym porwano i sprzedano niewolników. Jego historia była bardzo barwna i był kupowany i sprzedawany pięć razy w ciągu sześciu tygodni. Odszkodowanie dostali tylko właściciele niewolników, wszyscy biali.

Ci ludzie, których rząd potrafił odnaleźć, otrzymali 15 dolarów za każdego skradzionego dorosłego niewolnika i 10 dolarów za każde skradzione niewolnicze dziecko. Cała pozostała suma, około 130 dolarów, została przekazana do skarbcza Wirginii.

Stan Wirginia niewiele mógł zrobić w sprawie członków rodzin skradzionych ludziom wyzwolonym, ponieważ takie osoby w oczach prawa nie miały w rzeczywistości wartości pieniężnej. W związku z tym nie otrzymali nic poza podniosłym listem z przeprosinami od zastępcy gubernatora, człowieka o stale rozmarzonym wzroku. W liście rząd przyznawał, że nie potrafił odpowiednio ochronić ich bliskich, i za to przeproszał.

Stennis został ostatecznie sprzedany za 950 dolarów białemu człowiekowi, mieszkańcowi Kentucky. Jadąc tam, Stennis zapytał, czy Kentucky leży gdzieś w pobliżu Tennessee.

- Zaraz obok - odpowiedział jego nowy pan - ale my w Kentucky trzymamy ze sobą.

Stennis, prowadząc wóz, zaczął rozwódzić się nad tym, jak to powietrze z Tennessee będzie mogło szybko dotrzeć do niego w Kentucky. W końcu jego nowy pan miał już tego dość. Wyciągnął pistolet, który nosił wsunięty w poły płaszcza, i kazał Stennisowi zatrzymać wóz. Przyłożył broń do skroni Stennisa i powiedział:

- Mam już dość twojej paplaniny, lepiej więc natychmiast się zamknij. Ludzie z Kentucky zupełnie nie przejmują się murzyńskim dziecięciem.

*

Tego popołudnia, gdy zmarła Mildred, stojący na jej ganku Moses patrzył, jak Counsel gasi papierosa na podwórzu. Counsel odezwał się do Mosesa:

- Skończyłeś już?

Moses po raz ostatni spojrział na przykryte ciało Mildred. Na chwilę przed wyjściem Mosesa z domu Counsel rozmawiał z Bogiem i Bóg odpowiadał na jego pytania. Bóg powiedział:

- Hiobie, nie zapomniałem o tobie. Słyszałem, jak płaczesz. Byłeś moim godnym i oddanym sługą, a ja nie zapomniałem o tobie, Hiobie. Zrobię to, na co zasługujesz. Umieszczę cię z powrotem tam, gdzie cię znalazłem. Obiecuję.

- Jak tam, skończone? - Counsel zapytał Mosesa. Moses skinął głową. Zamknął drzwi domu Mildred.

- To jesteś gotowy? - powiedział Counsel.

- Tak, gotowy - odparł Moses, nie dodając ani „master”, ani nawet „mister”, ale tylko powtórzył: - Gotowy.

Counsel nie zauważył, że nie usłyszał ani „master”, ani „mister”. Obaj patrzyli na ciało Skiffingtona. Moses myślał, że biały człowiek będzie chciał, żeby zabrali ze sobą ciało białego człowieka. Powiedział Counselowi, że u Mildred nie ma wozu, którym można by przewieźć zwłoki. Koń Skiffingtona gdzieś zniknął.

- Tak się sprawy mają? - powiedział Counsel na temat braku wozu. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby wieść ze sobą Skiffingtona. Będzie jeszcze dużo czasu, żeby wrócić i go zabrać. - Tak się sprawy mają?

Moses skinął głową.

- Jeśli już skończyłeś, to możemy się stąd zabierać. Zabierajmy się - powiedział Counsel, kiedy Moses szedł w jego stronę, wyciągając ręce, żeby Counsel je związał.

*

Trzy lata i dziewięć miesięcy po zamordowaniu Johna Skiffingtona Minerva Skiffinkton, młoda kobieta, która była dla niego niczym córka, wyszła ze sklepu mięsnego, oddalonego o osiem przecznic od ratusza w Filadelfii, i skręciła w lewo. Tego dnia, jak zawsze, na ulicach był tłum. Uniosła ściereczkę znad porannych zakupów w koszyku i zauważyła, że o czymś zapomniała. Ruszyła do apteki, żeby kupić mydło, które lubiła i ona, i Winifred Skiffinkton, wdowa po Johnie. Jej skóra odżyła, kiedy Minerva przestała używać mydła robionego z ługu, powszechnie stosowanego w Wirginii. Mieszkały z siostrą Winifred, która sama również była wdową, oraz z ojcem Johna, Carlem.

Na rogu ostatniej przecznicy przed apteką Minerva weszła na ulicę, nie rozglądając się na boki i niewiele brakowało, a zostałaby przejechana przez białego mężczyznę na koniu.

- Patrz, jak idziesz! - zawołał mężczyzna. Minerva krzyknęła i w ostatniej chwili ktoś odciągnął ją do tyłu. Kiedy się odwróciła, ujrzała bardzo czarnego mężczyznę o półtorej głowy wyższego od niej.

- Mogła pani zginąć - odezwał się młodzieniec. Był najciemniejszym przystojniakiem, jakiego w życiu widziała. - Mogła pani zginąć pod kopytami - powiedział i uwolnił się z jej ramion. - Proszę na siebie uważać - dodał, a ona skinęła głową. - Proszę uważać.

Uchylił kapelusza na pożegnanie i ominąwszy ją, przeszedł przez ulicę i poszedł dalej.

Patrząc, jak mężczyzna wtapia się w tłum, Minerva ruszyła na drugą stronę, a kiedy przechodziła przez ulicę, trzy psy, wyczuwające jej zakupy od rzeźnika, zaczęły podążyć za nią. Minęła aptekę i kiedy znalazła się w pobliżu następnej przecznicy, czarnoskóry mężczyzna odwrócił się, na co ona zatrzymała się, a to samo zrobiły również trzy psy za nią. Szła dalej za mężczyzną do następnej przecznicy Psy jej nie odstępowały. Wiedziały, że ludziom zdarza się popełniać błędy i że w każdej chwili kosz może stać się łatwym łupem.

Kiedy w odległości zaledwie trzech przecznic od ratusza mężczyzna odwrócił się ponownie, nie wyglądał na zbytnio zdziwionego jej widokiem. Ruszył w jej stronę, a ona schyliła się, żeby postawić kosz na ziemi. Psy zbliżyły się i kiedy je zauważyła, ściągnęła ściereczkę, żeby ułatwić im zadanie. Mężczyzna podszedł do niej, a ludzie mijali ich z obu stron.

- Obawia się pani koni? - zapytał.

- Nie boję się żadnych koni - odparła - ani niczego podobnego.

Zaczęła opowiadać mu swoją historię, a on zaprowadził ją do domu, w którym mieszkał wraz z rodzicami oraz dwiema siostrami, jedną młodszą od Minervy, a drugą od niej starszą. Trzy dni później ten mężczyzna zobaczył plakat na budynku, a następnie drugi, podobny, dwie przecznice dalej. Ten drugi plakat przyniósł Minervie do pokoju, który dzieliła z jego młodszą siostrą. Minerva w kółko czytała napis na tym plakacie. Następnego dnia wraz z tym mężczyzną poszli na posterunek policji, aby powiedzieć władzom, że ona nie zaginęła i że żyje. Była, jak to sama określiła, ni mniej, ni więcej, tylko wolną kobietą w Filadelfii w stanie Pensylwania.

Czarnoskóry mężczyzna i jego rodzina bardzo długo starali się ją nakłonić, żeby poszła do Winifred i opowiedziała jej o swoim nowym życiu, ale Minerva nie zgodziła się na to.

Na plakacie widniał napis: „Zginęła lub zaginęła w nie wyjaśnionych okolicznościach na ulicach tego miasta - nasz ukochany skarb”. Podane było imię Minervy, wzrost, wiek, wszystko, co było potrzebne do jej rozpoznania. Niedługo po przyjeździe do Filadelfii zrobiono dagerotyp Winifred i Minervy, na którym obie kobiety siedziały obok siebie w atelier fotograficznym. Na plakacie znajdowała się reprodukcja tej części fotografii, na której widniała postać Minervy. Ale na dole plakatów, jakby po namyśle, literami dużo mniejszymi niż pozostałe napisy na plakacie, umieszczono linijkę następującej treści: „Reaguje na imię Minnie”. I tak Minerva przez długi czas miała nie zobaczyć się z Winifred Skiffington.

Oczywiście to „reaguje na” było przyczyną tego wszystkiego. Pisząc te słowa, Winifred nikogo nie chciała skrzywdzić. Dysponując niewielką sumą pieniędzy, wynajęła drukarza - światłego białego imigranta z Savannah w Georgii - aby wydrukował plakaty i rozmieścił je w całej Filadelfii, „żeby każdy mógł je zobaczyć”, jak mu poleciła. Jej słowa miały tylko wyrażać miłość, bo kochała Minerve bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Ale wdowa po Johnie Skiffingtonie spędziła piętnaście lat na Południu, w hrabstwie Manchester w Wirginii, a tam w ten sposób właśnie mówiono. Zarówno ona, jak i drukarz z Savannah wszystkim mogli powiedzieć, że nie mieli złych zamiarów.

Waszyngton

12. kwietnia 1861 roku

Moja Najdroższa i Najukochańsza Siostró, chwytam dziś za pióro, aby do Ciebie napisać w niecałe dwie niedziele od dnia, kiedy przybyłem do miasta, które albo odeśle mnie pokonanego do Wirginii, albo tchnie we mnie więcej życia, niż może zmieścić się w mojej duszy. Być może już na zawsze pożegnam się z moją potrzebą przebywania w Nowym Jorku. Moje myśli są z Tobą i Louistem, tak jak już od dawna, od kiedy wyszłaś za mąż. Moja obietnica, że wrócę i będę z Tobą, kiedy Twoje dziecko przyjdzie na świat, pozostaje niezachwiana, niezależnie od tego, jak wiele życia to miasto mi zaofiaruje.

Miasto składa się z samych dziur pełnych błota i wszędzie tu, jak okiem sięgnąć, widać brud. Zieleń Wirginii jest już tylko wspomnieniem. Dopiero w ostatnich trzech dniach znalazłem w sobie na tyle odwagi, aby zapuścić się nieco dalej i wyjść poza pięć kwartałów, które składają się na to, co zacząłem nazywać moim siedliskiem. Pozostaję w pobliżu domu, ponieważ ulice (nauczyłem się powstrzymywać od nazywania ich drogami), szczególnie po zmroku, nie są bezpieczne dla nikogo. Nawet zbiry nie czują się tu pewnie i chociaż jestem gotów użyć rewolweru, na razie wolałbym go nie wyciągać i z niego nie korzystać. Oprócz obawy, towarzyszącej człowiekowi dopiero co wypuszczonemu na wolność, panuje tu ogólna atmosfera przerażenia, jakie wywołuje tak wielka metropolia, a ja panicznie się boję, że zagubię się w tym mieście.

Mieszkanie, które obecnie zajmuję, jest aż za dobre jak na moje potrzeby i zdecydowanie lepsze od tego, czym muszą zadowolić się niektórzy imigranci. To, w jaki sposób trafiłem do tego mieszkania, stanowi interesującą historię i mam nadzieję, że masz na tyle czasu i cierpliwości, żeby przeczytać, jakie to okoliczności mnie tu doprowadziły.

Ku memu rozczarowaniu znajomy, którego nazwisko dał mi Louis, od roku już nie żył. Powiedziano mi, że może znajdę kwaterę w hotelu przy C Street. Dowiedziałem się również, że chociaż tam mieszkali senatorowie i kongresmani, hotel był gościnny dla ludzi naszej rasy, ponieważ takie było życzenie jego właścicieli i posiadaczy Wejście przy C Street zaprowadziło mnie do baru, który mieści się na parterze hotelu. Chociaż znane w tym mieście osobistości zaczynają pić alkohol już o pierwszej po południu, ja zadowolilem się przy barze napojem cytrynowym. Kiedy już kończyłem swój napój, nabrałem na tyle odwagi, aby rozejrzeć się wokół. W pomieszczeniu nie było prawie nikogo poza moją osobą i dwoma innymi dżentelmenami, w tym jednym mężczyzną naszej rasy, który siedział przy stoliku w kącie.

Widziałem, jak ludzie wchodzić i wychodzą z pomieszczenia przylegającego do salonu. Doszedłem do wniosku, że to musi być jadalnia całego hotelu. Dopilem resztki mojej odwagi i

postanowiłem zbadać ten szczególny pokój. Rzeczywiście, była to jadalnia, dosyć duża, mieściło się tam ponad trzydzieści stolików, ale odkryłem, Droga Siostró, że to nie był jedyny powód, dla którego ludzie tam przychodzili. Pora obiadu już minęła, a do kolacji było jeszcze dużo czasu.

Nie, ludzie oglądali ogromną tkaninę dekoracyjną wiszącą na ścianie, wspinała się dzieło sztuki, stanowiące częściowo gobelin, częściowo obraz, a częściowo konstrukcję z gliny - wszystko połączone w jednym wyjątkowym dziele, wiszącym cicho, a równocześnie rozbrzmiewającym pieśnią, na ścianie wschodniej, fest to, moja droga Caldonio, coś w rodzaju mapy życia w hrabstwie Manchester w Wirginii. Niemniej jednak słowo „mapa” jest zbyt ubogie, żeby oddać coś tak cudownego. Jest to mapa życia wykonana z wykorzystaniem wszelkich form sztuki, jakie tylko człowiek wymyślił do przedstawienia samego siebie. Jest tam glina. Jest tam farba. Jest tam również tkanina. Na tej „mapie” nie ma ludzi, są tylko wszystkie domy, stodoły, drogi, cmentarze i studnie w naszym Manchester. To właśnie widzi Bóg, kiedy spogląda z góry na Manchester. W prawym dolnym narożniku tego dzieła znajdowały się tylko dwa wyszyte słowa - Alice Night.

Stałem jak sparaliżowany. O tej porze, około drugiej trzydzieści, w jadalni nie było wielu ludzi, przebywały tam tylko osoby przygotowujące stoliki na wieczorny posiłek. Podszedłem bliżej do tej wizji świata, oddzielonej błękitną liną z konopi od reszty pomieszczenia. Sięgnąłem ręką, nie po to, aby tego dotknąć, ale aby bardziej poczuć tę emanację. Ktoś za mną powiedział cicho:

- Proszę nie dotykać.

Odwróciłem się i ujrzałem Priscillę, żonę Mosesa. Ręce trzymała założone za plecy jak osoba pewna siebie, a jej ubranie było nienaganne. W ciągu tych kilku sekund zrozumiałem, że kimkolwiek była w Wirginii, teraz jest już kimś zupełnie innym.

Dopiero wtedy zauważyłem ponad jej ramieniem drugie dzieło, wykonane z tego samego materiału - z farby, gliny i tkaniny. Byłem tak pochłonięty żywą mapą hrabstwa, że wcześniej nie odwróciłem się, aby zobaczyć wiszące na przeciwległej ścianie kolejne cuda.

- Co u ciebie, Calvinie? - zapytała Priscilla. W jej głosie nie wyczuwało się strachu, że ja mogłem przybyć, aby zabrać ją z powrotem. Jej słowa wyrażały jedynie to, co powiedziała, chęć poznania mojego stanu.

Odpowiedziałem jej:

- Staram się, żeby było dobrze, Priscillo. Bardzo się staram. Wciąż widziałem ponad jej ramieniem to drugie dzieło.

Priscilla dostrzegła to w moich oczach i odsunęła się. To dzieło było chyba jeszcze cudowniejsze niż to z hrabstwem. Jego tematem był Twój dom, Caldonio. To jest Twoja plantacja i tak jak pierwszy obraz, przedstawia to, co widzi Bóg, kiedy spogląda z góry. Niczego tam nie brakuje, ani jednej chaty, ani jednej stodoły, ani jednego kurczaka, ani jednego konia. Nie brakuje też ani jednej osoby. Podejrzewam, że gdybym miał policzyć źdźbła trawy, ich liczba byłaby zgodna z rzeczywistością, tak jak to było kiedyś, kiedy twórca tej pracy znał ten świat I podobnie jak na pierwszym obrazie, w prawym dolnym narożniku tego dzieła znajdują się wyszyte słowa - Alice Night.

Na tym przeogromnym cudzie na ścianie zachodniej Ty, Caldonio, stoisz przed swoim domem z Loretta, Zeddie i Bennettem. Jak już wspomniałem, są tam wszystkie chaty, a przed nimi stoją ludzie, którzy w nich mieszkali, nim zniknęli Alice, Priscilla i Jamie. Poza tą trójką są tam wszystkie osoby, co do jednej, jakby stały tam i czekały na malarza i jego sztalugę, żeby zostać uwiecznionymi w chwale dnia. Twarze wszystkich, łącznie z Twoją, są wzniesione, jakby miały patrzeć prosto w oczy Boga. Wpatrywałem się we wszystkie twarze i teraz jestem wyjątkowo zadowolony, że poznałem imiona i twarze wszystkich osób w Twoim domu. Są tam również zmarli, którzy powstali z cmentarza i stoją przy chatach, w których niegdyś mieszkali. A cmentarz niewolników to tylko zwykła ziemia, trawa i nic więcej. Jest opróżniony, nawet nie ma tam najmniejszych dzieci, które spoczywają żywe i w dobrym zdrowiu w ramionach matek. Na cmentarzu, na którym pochowany jest nasz Henry, on sam stoi przy swoim grobie, ale ten grób jest pokryty kwiatami, jakby wciąż go zamieszkiwał.

Są w mojej pamięci pewne rzeczy, o których istnieniu nie wiedziałem, dopóki nie zobaczyłem ich na ścianie. Muszę Ci się przyznać, droga Caldonio, że osunąłem się na kolana. Kiedy już się opanowałem, wstałem i zobaczyłem, że obserwowała mnie nie tylko Priscilla, ale również Alice.

Odezwałem się do Alice w te słowa:

- Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

I wtedy, i teraz najbardziej obawiałem się jednego: że będą pamiętać moją przeszłość, że ja, niezależnie od tego, jak się temu sprzeciwiałem, byłem właścicielem ludzi mojej rasy. Bałem się, że mnie odeślą, i nawet teraz, kiedy to piszę do Ciebie, wciąż się tego obawiam. Alice odrzekła:

- Opatrzność Boża czuwa nade mną.

Teraz „pracuję” w tym hotelu, w tej restauracji i w tym barze, starając się być jak najbardziej pomocny, a równocześnie próbując nie rzucać się w oczy, żeby ktoś nie

przypomniat sobie mojej przeszłości i żeby mnie nie wyrzucono. Chyba rozchorowałbym się śmiertelnie, gdyby mnie odesłano. Po latach pielęgnowania matki moja praca tu nie jest zbyt uciążliwa. Jestem szczęśliwy, wstając rano, i jestem szczęśliwy, kiedy wieczorem przykładam głowę do poduszki.

Wszystko, co tu jest, stanowi własność Alice, Priscilli i tych wszystkich ludzi, którzy tu pracują, a większość z nich to bez wątpienia zbiegowie. Mój pokój znajduje się na najwyższym piętrze hotelu, w którym wszyscy mieszkają. Pokój jest bardzo miły i bardzo mi odpowiada. Jamie jest tu uczniem szkoły dla kolorowych dzieci. Jest bardzo miłym młodym człowiekiem, jakiego chciałaby mieć każda matka i każdy ojciec.

Na tym zakończę mój list i pomodłę się za Ciebie, a także za Louisa. Kiedy będziesz mogła napisać, wspomnij mój strach przed wyrzuceniem i, proszę, napisz moje nazwisko na kopercie możliwie jak najskromniej.

Twój oddany na zawsze brat Calvin

*

Caldonia czytała ten list wiele razy w ciągu kolejnych dni, uspokojona, że Calvinowi udało się opuścić stan Wirginia i bezpiecznie dotarł do Waszyngtonu. Pokazała list Louisowi, który ostrzegł ją, że w końcu zniszczy ten papier, jeśli będzie go ciągle czytać i bez przerwy składać i rozkładać.

- Do tego czasu - odpowiedziała mu - zapamiętam już wszystkie słowa i będę gotowa na następny list.

Caldonia przeczytała ten list nawet nad grobem Henry'ego, omijając fragment, w którym Calvin o nim wspomniat, ponieważ pamiętała, że jej pierwszy mąż bardzo lubił Calvina. Tego wieczoru, kiedy wracała do domu, podchodząc do tylnych schodów, zobaczyła Mosesa kuśtykającego po dróżce w stronę swojej chaty. Serce jej zamarło. Nawet po tych wszystkich latach, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania, jej serce zamarło.

Moses nie spojrzat w jej stronę. Po tym spotkaniu trudno jej było ruszyć się z miejsca.

Moses wszedł do swojej ciemnej chaty i nie zapalił lampy. W ciągu godziny Tessie i Grant, dzieci Celeste i Eliasa, przynieśli mu kolację, świecąc sobie po drodze lampą zabraną z domu. Teraz już rzadko sam zabierał się za zrobienie sobie posiłku. Czasami jadł to, co przyniosły dzieci, a czasami po prostu zasypiał, nic nie jedząc, a jedzenie leżało w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego głowy.

Tego wieczoru, gdy Caldonia czytała list Calvina nad grobem Henry'ego, Moses zjadł kolację. Rano dzieci wróciły i przyniosły śniadanie.

Raz nawet spróbował przypomnieć sobie imiona dzieci Celeste, które przynosiły mu jedzenie, ale zdawało mu się, że jest ich tak dużo, że dał sobie spokój. Pamiętał, że sam kiedyś miał dziecko. Syna. Zdecydowanie zbyt grubego. Wiedział, że jedzenie pochodziło od Celeste, i pamiętał o niej w swoich modlitwach. Celeste już zawsze miała utykać, ale jej mąż i dzieci nigdy tego nie widzieli, dopóki ktoś im tego nie pokazał.

- Dlaczego ta wasza mama tak kuśtyka?

- Kuśtyka?

Dzieci Celeste zawsze przychodziły do Mosesa z niemowlęciem, które zafascynowane patrzyło na niego leżącego na sienniku. Codziennie rano Moses miał duże problemy z poruszaniem się, co, jego zdaniem, wynikało z faktu, że kiedyś tyle czasu spędzał sam ze sobą w wilgotnym lesie. Lubił czuć to niemowlę w pobliżu, chociaż brakowało mu sił, żeby odwrócić się i zająć je zabawą czy rozmową. Leżał na plecach i ramionami zakrywał oczy, jakby starając się osłonić przed jakimś oślepiającym światłem.

- Jak on się ma? - Celeste pytała po powrocie Tessie lub Granta albo też jedno z pozostałych dzieci.

- Wygląda dobrze, mamó. Ale chyba światło razi go w oczy

- A jak tam ogień w jego palenisku?

Tessie zazwyczaj mówiła, że przez dobrą chwilę próbowała rozpalić ogień.

- Mamó, ten ogień po prostu nie chce się dobrze palić.

- W porządku - odpowiadała Celeste. - Poprosimy waszego tatę, żeby tym się zajął. On jest najrzęczniejszym człowiekiem, jeśli chodzi o ogniska i takie rzeczy.

Jej posiłki dla Mosesa miały trwać do samego końca. Celeste miała już nigdy nie kończyć swojego dnia, nawet po śmierci Mosesa, żeby przynajmniej raz nie pomyśleć na głos do wszystkich, ale równocześnie do nikogo w szczególności:

- Zastanawiam się, czy Moses już coś jadł.